

C O R I N A B O M A N N

Tajemnica z przeszłości  
i namiętna miłość  
ukryte wśród  
herbacianych wzgórz

Wyspa  
*Wotryki*



Bomann Corina

Wyspa motyli

15 lutego 1888 roku

*Najdroższa Grace,*

*nie wiem, czy mi wybaczyłaś. Przypuszczam, że nie, ale i tak nie mogę się powstrzymać, więc piszę...*

*Widzę Cię, jak siedzisz teraz w oknie swojego pokoju i zlorzeczysz losowi. Słusznie, a ja mogę tylko napisać, jak bardzo jest mi przykro.*

*Odkąd wyjechałaś, wiele się tu zmieniło. Tak bardzo za Tobą tęsknię!*

*I myślę, że papa również, choć się do tego nie przyzna. Całymi godzinami przesiaduje w swoim gabinecie i nie chce nikogo widzieć.*

*Mamcia boi się nawet, że zdiczeje (wiesz, jak ona lubi przesadzać!).*

*Sama popadła w jakąś nerwową krzątaninę i organizuje przyjęcie, żeby poprawić papie humor. Choć tak naprawdę chce jedynie wy badać, jakie rozmiary przybrał ten skandal.*

*Zapewne uśmiechasz się gorzko, czytając ten list, choć kto wie, może od razu rzuciłaś go w ogień. Z całego serca liczę jednak, że dasz mi szansę, bo mam dla Ciebie wiadomość, która przyniesie Ci odrobinę nadziei.*

*Niedługo po Twoim wyjeździe on zjawił się pod naszym oknem i powiedział, że wkrótce do Ciebie dołączy. Na dowód tego wręczył*

*mi coś, co miałam przechować, bo on sam nie ma już gdzie mieszkać.*

*Pewnie zechce Cię porwać jak księżniczkę z zamku i odtąd będziecie żyli długo i szczęśliwie.*

*Najdroższa Siostrzyczko, obiecuję, że zawsze, bez względu na to, co się stanie, będę służyć pomocą Tobie i Twoim bliskim. A jeśli znajdziecie się w potrzebie, drzwi mojego domu zawsze będą stały przed Wami otworem. Jestem Wam to winna.*

*Twoja kochająca siostra*

*Victoria*

**PROLOG**

**Tremayne House, 1945**

Młoda kobieta zjawiała się przed starym dworkiem któregoś słotnego

popołudnia. Był październik. Park tonął we mgle, a ogołoczone z zieleni wierzby wydawały się jeszcze smętniejsze. Wypiełęgnowane niegdyś ścieżki pokrywały teraz zmarniałe liście, walające się niedbale na niestrzyżonych od długiego czasu trawnikach.

Z wyrazem napięcia na twarzy, nie zwracając uwagi na swoje zniekształcone odbicie, nieznajoma zajrzała do środka przez szybę w drzwiach wejściowych. Dzwoniła już dwa razy, ale nikt się nie pojawił, mimo że dobrze słyszała dobiegające ze środka głosy domowników.

Najwyraźniej byli zbyt zajęci, by podejść do drzwi.

Przycisnąwszy dzwonek po raz trzeci, wciąż bez rezultatu, zamierzała odwrócić się i odejść. Wtedy jednak za drzwiami rozległy się kroki i po chwili stanęła w nich kobieta w stroju służącej. Na przypiętej do uniformu plakietce widniało imię Linda. Popatrzyła surowo na przybyłą, przypominającą tak wiele innych kobiet, z którymi wojna obeszała się bez pardonu. Czarne,

zmierzwione włosy, blade policzki i cienie pod oczami, znamionujące wygłodzenie i ogólny niedostatek. Toporne, o kilka numerów za duże robocze buciory ziały po bokach dziurami. Zaś pod brudną odzieżą i podartym trenczem uwypuklał się brzuch.

- Przykro mi, nie mamy już miejsc - mruknęła chłodno Linda.

W odpowiedzi wymizerowana postać wyciągnęła w jej stronę zmiętą, pokrytą smugami brudu kopertę.

- Proszę to przekazać swojej pani - powiedziała sztywno. Chociaż rzadko miała okazję posługiwać się językiem angielskim, w jej prośbie dało się wyczuć stanowczość niepasującą raczej do kogoś ciężko doświadczonego przez życie i pogodzonego ze swym losem. Linda spojrzała więc uważniej na tę dziwną kobietę, a ponieważ tamta nie zamierzała zrezygnować i patrzyła na nią teraz wręcz wyzywająco, wzięła od niej kopertę.

- Proszę chwilę poczekać.

Nie skończyło się na jednej chwili, jednak nieznajoma tkwiła pod drzwiami jak skamieniała. Nie przestąpiła nawet z nogi na nogę ani nie usiadła na zachęcającej ku temu niskiej kamiennej balustradzie.

Gładziła się tylko delikatnie po brzuchu. Dla dziecka, które się w niej rozwijało, warto było znieść każdy trud i każde poniżenie.

W końcu zamiast pokojówki stanęły przed nią dwie kobiety -około pięćdziesięcioletnia blondynka i druga, o jasnorudych włosach, w podobnym

wieku co ona sama. Mimo że wojna i na nich odcisnęła swoje piętno, wyglądały dużo lepiej, o czym świadczyły choćby krągłości czy zdrowa cera.

- Beatrice? Beatrice Jungblut? Przybyła kiwnęła głową.
- Tak, córka Heleny. Panie Stanwick, prawda?
- Jestem Deidre Stanwick, a to moja córka Emmely Woodhouse - odpowiedziała starsza z kobiet. Córka była jej żywym odbiciem.

Beatrice skinęła markotnie. Czuła, że nie jest tu mile widziana.

Jednak nie miała dokąd pójść. Mniejsza o jej własne życie -tyle razy stawiała oko w oko ze śmiercią, że przestało to na niej robić jakiegokolwiek wrażenie. Ale to dziecko powinno mieć szansę, by zobaczyć słońce i nacieszyć się pokojem, który nastał zaledwie kilka miesięcy temu.

Wymieniwszy z córką wymowne spojrzenia, starsza z kobiet zapytała:

- A gdzie jest Helena?
- Zginęła podczas nalotu. Mój mąż także - odparła dziewczyna.
- A ty? - zapytała wstrząśnięta Emmely.
- Udało mi się ukryć - odrzekła i otoczyła brzuch rękami. -Matka powiedziała mi, że gdyby coś jej się stało, mam się zwrócić do was.

Kobiety znów popatrzyły na siebie, po czym Deidre zapytała: - Masz jakieś dokumenty, które potwierdziłyby twoją tożsamość?

Beatrice pokręciła przecząco głową.

- Spłonęły podczas bombardowania.
- „To koniec - pomyślała. - Odprawia mnie z kwitkiem. Dlaczego miałyby mi uwierzyć? Wszystko na nic, a ten kawałek papieru w mojej ręce to tylko pusta, dawno zapomniana obietnica”.

- No dobrze, wejdz. Potem porozmawiamy. Poprowadzono ją długim korytarzem, wszędzie unosiła się woń

karbolu i śmierci. Prawdopodobnie w razie ciężkich obrażeń musiało tu brakować zarówno leków, jak i środków do dezynfekcji.

- Od trzech lat nasz dom zamienił się w lazaret - pośpieszyła z wyjaśnieniem Emmely, której najwyraźniej ciążyło milczenie. -

Pokoje pękają w szwach. Nie miej Lindzie za złe, że chciała cię odprawić. Nie możemy się wręcz opędzić od ludzi powracających z wojny czy proszących o coś do jedzenia.

Beatrice spojrzała stropiona na swoje zabrudzone buty.

- Przepraszam.

- Damy sobie radę - odpowiedziała dobrotliwie Emmely, kładąc jej na moment dłoń na ramieniu. - Trafiłaś we właściwe miejsce.

Po tych słowach zakręciło się jej w głowie. Czy istniało jakiegokolwiek właściwe miejsce dla niej i dziecka? To, które dotąd nazywała ojczyzną, spłynęło krwią i leżało w gruzach.

W kuchni, choć sporej, nie było teraz zbyt wiele wolnej przestrzeni.

Niemal każdy centymetr podłogi zajmowały bowiem skrzynie, szafy i inne meble, poustawiane, jeśli tylko się dało, jedno na drugim. Jedynie pośrodku zostało trochę miejsca na kuchenkę i stół dla czterech osób.

- Okropne warunki, ale jakoś przywykłyśmy - westchnęła Deidre, zdejmując z półki trzy filiżanki. - Wcześniej zajmowała się tym służba, lecz wojna odbiera nie tylko wolność, ale i przywileje. Teraz jadamy zatem przy jednym stole z naszymi służącymi, choć właściwie już dla nas nie pracują.

Beatrice przypomniała sobie, że i jej rodzina miała kiedyś służące.

Jednak cierpienia, jakich zaznała, tak dalece przysłańiały wspomnienia jej domu, własnego pokoju i strojów, że nie bardzo już wiedziała, jak wyglądało jej życie, zanim zaczęło się całe to wojenne szaleństwo.

Pamiętała dobrze tylko jedną rzecz. I to ona pomogła jej przetrwać.

- A ta kobieta, która otworzyła mi drzwi? - zapytała, siadając wolno na zaofiarowanym jej krześle.

- Linda jest moją służącą, ale strój służbowy nosi jedynie pro forma, bo pracuje teraz w lazarecie. My też tam pomagamy, na tyle, na ile potrafimy. - Deidre przesunęła wzrokiem po jej brzuchu.

- Ja też mogłabym się na coś przydać - zaproponowała Beatrice, ale ciotka pokręciła głową.

- Ty mogłabyś co najwyżej pomóc w kuchni, a nie przy chorych.

Jeszcze straciłabyś dziecko, gdybyś się czymś zaraziła!

Niespodziewana gwałtowność jej słów przestraszyła Beatrice. Znowu powróciły wątpliwości. „To, że pozwoliły ci posiedzieć

w tej zagraconej kuchni, nie oznacza jeszcze, że będą skłonne ci pomóc”.

Deidre zamierzała coś jeszcze powiedzieć, kiedy stojący za nią na kuchence czajnik zaniósł się przenikliwym gwizdem. Wstała więc z krzesła, by przyrządzić herbatę w imbryku. Jej cierpki aromat podziałał

na Beatrice kojąco. Zawsze go lubiła, nawet w obozie dla uchodźców, do którego trafiła po przekroczeniu Odry, dawał jej poczucie, że jest u siebie. Dzięki niemu choć na chwilę, w marzeniach, przenosiła się do domu, do ogrodu różanego babci Grace i do jej szklarni, w której ta usiłowała

wyhodować egzotyczne kwiaty. Babcia przesiadywała w niej nieraz godzinami, wpatrzona w krzew plumerii, trzymając w dłoni karteczkę z - jak zawsze utrzymywała mama - horoskopem.

- To dosyć marny assam, ale niestety nie mamy nic innego - wyrwała ją z zamyślenia Deidre i postawiła przed nią filiżankę. Wypełnione herbacianym barwnikiem pęknięcia w jej glazurze przypominały ciemne żyłki.

Assam, Darjeeling, Ceylon. Naraz przed oczami stanęły jej pe-dantycznie opisane pudełeczka z babcinej kuchni. Wykaligrafowane z pieczołowitością nazwy przyozdobione etykietką z kwiatami i listkami herbaty. Teraz zapewne obróciły się w pył, podobnie jak kapitański dom nad brzegiem Bałtyku, ogród i szklarnia.

Kobiety siedziały nad herbatą, każda pogrążona we własnych myślach. Deidre spoglądała gdzieś w dal, zaś Emmely zastygła ze wzrokiem utkwionym w Beatrice, która udawała, że tego nie dostrzega, sama mając teraz przed oczyma twarz babci.

„To dziwne, że wspominam teraz ją, a nie mamę”, pomyślała, odtwarzając w pamięci delikatne kontury jej twarzy, przesuwając wzrokiem po jej ognistorudych włosach stanowiących spuściznę po szkockich przodkach i wpatrując się w jej jasną, skłoną do piegów cerę. Jako dziecko tak bardzo zazdrościła babci tej jasnej, promiennej karnacji. Ona sama, podobnie zresztą jak matka, miała cerę ciemniejszą, czarne, kędzierzawe włosy i osobliwie wycięte oczy, które według babci obie odziedziczyły po rodzinie

jej męża. Niestety dziadek, kapitan, zmarł jeszcze przed jej naro-dzinami.

- Dziś zostaniesz tutaj - zdecydowała w końcu Deidre, przywracając je rzeczywistości. - Przenocujesz w pokoju mojej córki, a Emmely prześpi się dziś u mnie.

- Ale... - zaczęła Emmely, która najwyraźniej wolałaby dzielić pokój z gościem.

- Żadnego ale, nasz gość dostanie pokój wyłącznie do swojej dyspozycji.

- Deidre ostrym spojrzeniem ucięła dalszą dyskusję. - Idź

na górę i pokaż Beatrice, gdzie będzie spała. A potem wszystko przygotuj. Ja wracam do szpitala.

Po czym wstała i wyszła sztywnym krokiem. Młode kobiety popatrzyły na siebie nieśmiało.

- Bardzo mi przykro z powodu twojej mamy i twojego męża -

odezwała się w końcu Emmely, kładąc delikatnie dłoń na zabrudzonej



ręce Beatrice. - To bardzo bolesne, kiedy traci się ukochane osoby.

- Ty też straciłaś kogoś w czasie wojny? - zapytała Beatrice, bo Emmely wyglądała raczej na zdrową i zadowoloną. Teraz jednak jej twarz się zmieniła.

- Tak, straciłam - odpowiedziała tamta, wpatrując się intensywnie w swoją filiżankę. - Dziecko.

- Zginęło podczas nalotu?

Słyszała o bombardowaniach w Londynie. Jednak Emmely potrząsnęła przecząco głową.

- Poroniłam w piątym miesiącu. Mąż akurat wyruszył na front. Nawet nie wiem, czy żyje. On pewnie myśli, że nasze dziecko już chodzi.

„I po tym wszystkim jeszcze potrafi mnie pocieszać? - pomyślała Beatrice. - Jej krzyż jest równie ciężki, jak mój”.

- Nie mówmy już o tym. - Emmely wstała, próbując gorzkim uśmiechem przegnać złe wspomnienia. - Chodź, pokażę ci pokój. Jest prześliczny i pomieściłybyśmy się w nim obie, ale skoro matka woli, żebym chrapała jej w nocy do ucha...

Emmely poprowadziła ją labiryntem korytarzy, obok dawnej sali balowej, zastawionej teraz łózkami i materacami, po czym weszły na schody. Korytarze na piętrze również były zagracone meblami i skrzyniami, wystawionymi tu z innych pomieszczeń. Kiedy potrąciła jedną lekko ramieniem, rozległ się dźwięczny odgłos szkła albo kryształu. Najpewniej wszystkie te popakowane rzeczy czekały, podobnie jak ludzie, aż znów zapanuje pokój.

- To tutaj. - Emmely otworzyła szerokie dwuskrzydłowe drzwi. Pokój emanował ciepłem i w porównaniu z resztą domu w o wiele mniejszym stopniu przypominał magazyn. Wprawdzie kwieciste wzorki na tapetach nieco już przyblakły, jednak nadal czuło się urok tego wnętrza. Pod wysokimi oknami, zasłoniętymi lekko poźółkłą firaną, stały odwrócone tyłem obrazy w połyskujących złotem ramach.

Jednak największe wrażenie zrobiło na Beatrice posłanie. Jeszcze nigdy nie widziała tak zwalistego, szerokiego łóża, które zajmowało większą część pokoju. Na oparciach dwóch krzeseł wisiały ubrania, które Emmely nosiła najczęściej, zaś szafę, której drzwi były lekko uchylone, wypełniały inne rzeczy.

- Jeżeli chcesz, подарuję ci jakąś sukienkę - zaoferowała Emmely. -

Tego, co masz na sobie, nie ma już nawet sensu cerować.

- Dziękuję, ja...

- No, chodź! - Emmely stanęła przed jedną z komód i otworzyła szufladę. W środku leżały rozmaite części garderoby: bielizna, bluzki, spódnice, swetry i szale. - Wybierz coś!

- Ja...

- Śmiało...

- Ale ja nawet nie wiem, czy będę mogła tu zostać. Twoja mama...

- Daj spokój, zapewniam cię, że mama w końcu ustąpi. - Wyłowiła z szuflady różową bluzkę z marynarskim kołnierzykiem i delikatnym haftem. - W tej będzie ci do twarzy bardziej niż mnie. Nie pamiętam już nawet, dlaczego ją kupiłam. Spójrz tylko na moje włosy! Rudy i różowy przecież się gryzą.

I zanim Beatrice zdążyła cokolwiek powiedzieć, przyłożyła do niej bluzkę, sprawdzając, jaki będzie tego efekt.

- Wiedziałam! Z twoimi ciemnymi włosami i złocistą cerą będzie ci w niej bardzo dobrze.

- Ale co z brzuchem? - wtrąciła Beatrice. - Przecież za kilka tygodni już się w niej nie zapnę.

Spojrzały na siebie i wybuchły śmiechem. Emmely wyszła z pokoju dopiero po tym, jak wyszukała dla Beatrice jeszcze spódnice, sweterek, a także bieliznę i skarpety.

- Zorganizuję ci też nowe buty. Akurat urządzamy zbiórkę. Jak tylko trafi się jakaś pasująca para, będzie twoja.

Beatrice, przytłoczona okazaną jej troską, opadła na łóżko. Materac łagodnie ustąpił pod jej ciężarem, a z prześcieradła uniosła się woń mydła lawendowego. Położyła się, po raz pierwszy od dawna czując się naprawdę bezpieczna. Mimo że nie była pewna, jak długo to potrwa.

Powieki jej opadły, zanim Emmely zdążyła wrócić z wodą, także nawet nie usłyszała, kiedy tamta pojawiła się w pokoju.

W nocy obudził ją jednak koszmary sen. Znow przeżywała rozdzielanie z matką i mężem, znow widziała ten straszny tłum, który omal jej nie stratował. A potem, gdy nad jej głową przelatowały bombowce, czyjeś ręce uniosły ją w górę i pociągnęły w stronę zarośli.

Patrzyła stamtąd bezradnie, jak na ciągnących drogą uchodźców spadają kule, i jak matka i mąż, który został zwolniony ze służby z powodu astmy,

nikną pod górą martwych ciał.

Była przekonana, że nadal znajduje się w amerykańskim obozie dla uchodźców, ale kiedy podniosła się na łóżku, poczuła ciepło bijące od rozpalonego kominka. Za wysokimi oknami panował spokój, zaś duży, prawie idealnie okrągły księżyc próbował przedzierać się przez woal chmur zwiastujących mgłę i słotę.

Na korytarzu rozległy się czyjeś ciche kroki. Trzasnęły drzwi. Po chwili zza ściany dobiegły ją stłumione głosy. Nie była w stanie

zrozumieć, o czym mówią. Poczuła jednak niepokój i coś kazało jej przybliżyć się do ściany i przyłożyć ucho do osobliwie pachnącej tapety.

- Skąd mamy wiedzieć, że to naprawdę ona? Może znalazła gdzieś ten list? - głos Deidre brzmiał nerwowo. Czyżby podjęła już decyzję?

Tylko że gdzie teraz ona, Beatrice, się podzieje? Przecież nikogo w Anglii nie zna.

- Nie sędzę, żeby tak było - broniła jej młodsza z kobiet. - Nie było przy nim żadnych pieniędzy. Myślisz, że zainteresowałby jakąś włóczęgę?

- Obiecałam, że jej pomożemy.

- Przecież musiała się liczyć z tym, że ktoś ją rozpozna - upierała się Emmely. - Widziałaś jej włosy? Jej twarz?

- Po świecie chodzi mnóstwo ciemnowłosych dziewcząt. Może po prostu wykorzystwała okazję.

- Mamo! - zawołała z oburzeniem Emmely. - Przyjrzałaś się jej dokładnie? To się od razu rzuca w oczy. Nawet jeżeli to wnuczka, to widać to jak na dłoni.

„Co takiego widać?”, zastanawiała się Beatrice, zapominając o palącym ją w gardle pragnieniu. Naraz serce zaczęło jej kołatać jak oszalałe, zagłuszając głosy za ścianą. Dotarło do niej, że te kobiety wiedzą o niej coś, co dla niej samej stanowi tajemnicę. Co to mogło być?

Za ścianą zapanowała cisza, w końcu odezwała się Deidre: - Wiesz, że nasze zapasy są racjonowane.

- A ty wiesz, co powiedziała babcia Victoria - odparła jej córka.

- Tak, to... - Zamilkła, jak gdyby bojąc się dokończyć. - Ach, co za niedorzeczność!

- A jednak obiecałaś jej przed śmiercią, że postąpisz zgodnie z jej wolą i pomożesz potomkom Grace, jeśli znajdą się w potrzebie. Tak jak ona sama obiecała to kiedyś swojej siostrze.

- Może byłoby lepiej, gdyby tego nie zrobiła... - rzuciła Deidre z

goryczą, po czym w pokoju obok rozległy się kroki. - No dobrze, niech tu zostanie, dopóki nie urodzi. A potem zobaczymy.

Wypełnimy nasze zobowiązanie również wtedy, jeżeli jej i dziecku zapewnimy jakiś bezpieczny ką. Trudno, żeby zatrzymali się na dłużej w samym środku tego chaosu.

- Ale ten chaos kiedyś się skończy...

Deidre musiała chyba wykonać jakiś gest, bo jej córka urwała.

„Czyżby się zorientowały?”, przestraszyła się Beatrice. Nie, to niemożliwe, w końcu starała się cicho oddychać, a do ściany przylegała tak lekko jak przewrócona przez wiatr figurka.

- Zatrzymamy ją tutaj, pozwolimy jej urodzić, a potem zobaczymy.

Jak widzisz, wszystkie nasze plany wzięły w łeb. Najlepiej więc będzie na razie niczego nie planować.

Po tych słowach zapanowała cisza. Najwyraźniej obie się położyły - bez jednego nawet słowa, które zakończyłoby ich spór.

Kiedy napięcie opadło, Beatrice znów poczuła pieczenie w gardle.

Wody. Musi się koniecznie czegoś napić.

Z zaciśniętymi zębami oderwała się od ściany. Z powodu niewygodnej pozycji rozbolały ją plecy i ścierpły opuchnięte od miesiąca kostki. Gdyby nie to natarczywe pragnienie, położyłaby się i czekała na sen. Teraz jednak koniecznie musiała się czegoś napić.

Wyszędłszy z pokoju, wyciągnęła rękę w poszukiwaniu włącznika, ale lampa nie zapaliła się, gdy go znalazła. Awaria czy może energia też jest racjonowana? Przypomniała sobie sporą skrzynkę na bezpieczniki, którą widziała w kuchni. Wszystkie zostały wykręcone, żeby prąd nie płynął.

Na szczęście rozproszone światło księżycy pomogło jej znaleźć drogę. Najpierw korytarzem, potem schodami w dół, następnie przez drugie drzwi po prawej. I znów korytarzem, podążając za zapachem herbaty.

Kiedy schodziła na dół, tłumiąc oddech, schody lekko zaskrzypiały pod jej stopami. Na samym dole zatrzymała się na chwilę, bo pragnienie przeszło w mdłości, od których zakręciło jej się w głowie.

Przed oczami zamigotały jej nagle nieistniejące światełka. Nie pomogło nawet zamknięcie oczu.

Z bijącym mocno sercem wczepiła się w poręcz schodów. Kątem oka dostrzegła obok jakiś ruch. W zasięgu światła wpadającego przez szklane drzwi sali balowej pojawiła się czyjaś sylwetka.

- Dobrze się pani czuje?

Chciała odpowiedzieć, że tak, ale nie była w stanie. Słowa uwięzły jej w gardle.

- Jestem doktor Sayers - mówił dalej mężczyzna, stając tuż przed nią.

- Pomogę pani.

Wówczas kolana ugięły się pod nią i osunęła się w mrok.

**KSIĘGA PIERWSZA**

**T A J E M N I C A**

**1.**

**Berlin, kwiecień 2008**

Obudziły ją pierwsze promienie słońca. Diana Wagenbach z westchnieniem otworzyła oczy, próbując zorientować się w sytuacji.

Przez szyby werandy graniczącej z pokojem dziennym wpadał do środka cień rozłożystej lipy, układając się we wzory na bordowym dywanie. W powietrzu unosił się dziwny zapach, jak gdyby ktoś rozlał alkohol.

Dopiero po jakimś czasie przypomniała sobie, jak trafiła na białą skórzaną sofę. Wczorajsze ubranie kleiło się jej do ciała, spocone czarne kosmyki opadały na czoło i policzki.

- O Boże... - stęknęła, podnosząc się. Ręce i nogi bolały ją tak, jakby całą noc nosiła ciężary. W dodatku dziwna pozycja, w jakiej leżała, wywołała ból pleców.

Kiedy wychyliła głowę znad oparcia, omal nie trafił ją szlag. Pokój wyglądał jak pobożowisko! I to nie z powodu jakiejś dziwnej imprezy, tylko dlatego, że wczoraj straciła nad sobą panowanie. Z przestrawieniem przesunęła rękami po twarzy.

W gruncie rzeczy Diana była całkiem spokojną osobą. Jak twierdzili znajomi, może nawet zbyt powściągliwą. Ale wczoraj

zobaczyła swojego męża z tą kobietą. Oczywiście kolacje biznesowe stanowiły część jego pracy, jednak namiętne całowanie i pożądlive obściskiwanie piersi nowej kontrahentki nie wchodziły już chyba w zakres jego obowiązków.

„Mogłam zostać w domu”, pomyślała Diana, siadając i przyglądając się siniakom na rękach. Ale nie, musiała pójść do ich knajpy, bo jak sądziła, po

ciężkim dniu i jej należała się odrobina przyjemności.

Podniosła się z sofy i próbując rozruszać kości, jeszcze raz od-tworzyła w pamięci wydarzenia wczorajszego wieczoru.

Naturalnie nie miała odwagi wszcząć awantury jeszcze w restauracji.

Wymknęła się stamtąd niezauważona i pobiegła do domu, gdzie trzasnąwszy z wściekłością drzwiami, rzuciła się z płaczem na sofę.

Jak on mógł jej to zrobić!

Po kilku spazmach zaczęła krążyć po domu, zadręczając się niezliczonymi pytaniami. Czy coś wcześniej już na to wskazywało?

Czy mogła się jakoś domyślić? A może to tylko nieporozumienie, a ten pocałunek był całkiem niewinny?

O nie, ten pocałunek z całą pewnością nie był niewinny. Musiała też przyznać, że jej małżeństwo już od dawna niebezpiecznie dryfowało na mieliznę i wystarczyłaby pierwsza lepsza rafa, by je rozbić.

Przez głowę przelatywały jej najgorsze przekleństwa. Wymówki, groźby, złorzeczenia i żądania. Jednak kiedy Philipp, pobrzękując trzymanymi w rękach kluczami, stanął potem przed nią, chęć zrobienia mu sceny dawno już wyparowała. Popatrzyła tylko na niego i ze spokojem zapytała, kim była ta kobieta, którą tak namiętnie obściskiwał.

- Kochanie, ja... ona...

Nie dała wiary jego zapewnieniom, że to tylko znajoma. Jak nikt inny doskonale potrafiła wyczuć kłamstwo. Już jako dziecko zawsze wiedziała, gdy ktoś nie mówił prawdy. Nieraz zdarzało jej się także przyłapać swoją cioteczną babkę Emmely na tym, że ta coś przed nią ukrywa.

- Wynos się! - Nie była w stanie wydusić z siebie nic więcej. - Wynos się...

A potem obróciła się i wyszła na przeszkloną werandę. Gdy tak stała i przez szybę, w której odbijała się jej twarz, spoglądała na oświetlony blaskiem księżyca ogród, rozległo się trzaśnięcie zamykanych drzwi.

Teraz najlepiej byłoby zagrzebać się w łóżku i wypłakać w poduszkę.

Jednak Diana zareagowała całkiem inaczej.

Później, myśląc o tym, co zrobiła, sama nie mogła w to uwierzyć.

Jeszcze nigdy nie zdarzyło jej się stracić nad sobą kontroli. Zaczęło się od wazonu, którym cisnęła o ścianę z okrzykiem wściekłości. Potem przyszła kolej na krzesła z jadalni, którymi rzucając z całej siły po pokoju, roztrzaskała szklany stolik i witrynę z trofeami Philippa. Nie lepszy los

spotkał butelkę Single Malt Whisky, której złocista zawartość wsiąkła w dywan.

„Może lepiej było ją wypić”, pomyślała Diana z przekąsem.

Przynajmniej nie musiałaby się zbytnio tłumaczyć firmie ubezpieczeniowej.

Kiedy przechodziła przez pokój, pod butami zachrzęściły, połyskując złowrogo, szklane odłamki. Kąpiel pomoże jej odzyskać równowagę i zebrać myśli.

Kiedy się rozebrała, popatrzyła na swoje odbicie w lustrze i zrobiło się jej głupio. Czy naprawdę będzie się teraz zastanawiać, co ma tamta, a czego jej samej brakuje?

Nie wyglądała na swoje trzydzieści sześć lat. Ktoś obcy dałby jej najwyżej dwadzieścia dziewięć. Siwe włosy, którymi - jeśli wierzyć reklamom - powinna się już martwić, jakoś się dotąd nie pojawiły.

Nieskazitelnie czarne pukle opadały jej na ramiona, które za sprawą słońca przybrały już złocisty odcień, stanowiący przedmiot zazdrości zarówno koleżanek z pracy, jak i przyjaciółek. Reszta jej ciała, może niezbyt wysportowanego, ale szczupłego, była na razie jaśniejsza, jednak mocno tęskniła już za wyjściem na plażę, aby dorównać barwą opalonym fragmentom.

„Urlop”, pomyślała, wchodząc pod prysznic. Może powinna gdzieś wyjechać, żeby zapomnieć o tym wszystkim?

Pod naporem wartkich strumieni letniej wody jej zmysły znów ożyły, jednak równocześnie odezwał się dobrze znany nerwowy ucisk w żołądku. Co z tego, że woda zmyje z jej ciała i włosów ślady nocnych przeżyć? Przecież ich nie cofnie.

Rozległ się przenikliwy dźwięk telefonu. Diana zamierzała go z początku zignorować. Pewnie to Philipp z jakąś niedorzeczną wymówką. Albo, co gorsza, z pytaniem, jak się czuje. Wcześniej wyłączyła komórkę, więc nie miał innej możliwości, żeby się z nią skontaktować.

Jednak kiedy dzwonienie nie ustawało, a jej przemknęło przez głowę, że to może Eva Menzel, jej współpracowniczka z kancelarii, wyszła w końcu z łazienki owinięta w miękki, błękitny ręcznik i skierowała się do przedpokoju, gdzie stał telefon. Jeżeli to Eva, to powie jej od razu, że dziś nie przyjdzie do biura.

- Wagenbach, słucham?

- Mrs Wagenbach? - rozległ się w słuchawce czyjś głos, wy-mawiający

jej nazwisko z angielska.

Diana, mocno zaskoczona, nabrała tchu.

- Mr Green?

Kamerdyner ciotki potwierdził łamaną niemczyzną, więc Diana przeszła na angielski.

- Miło mi pana słyszeć, wszystko w porządku? Próbowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio rozmawiała

z ciotką Emmely. Lub jej kamerdynerem, który zazwyczaj odgrywał rolę pośrednika, przytrzymując słuchawkę przy uchu ciotki, gdyż ta od czasu wylewu nie mogła już władać rękami.

- Obawiam się, że nie mam dobrych wieści.

Diana poczuła się, jakby dostała cios prosto w żołądek.

- Proszę mnie już dłużej nie trzymać w niepewności. Co się stało?

Pan Green milczał przez moment, zanim zdecydował się wypowiedzieć i tak nieuniknione słowa.

- Dwa dni temu pani ciotka miała kolejny wylew. Przebywa teraz w St. James Hospital w Londynie, ale lekarze nie wiedzą, jak długo jeszcze pożyje.

Diana zakryła usta dłonią, zaciskając równocześnie z całej siły oczy, jak gdyby chciała w ten sposób obronić się przed tą wiadomością.

Jednak już zdążyła dotrzeć do jej świadomości i przed oczami miała teraz starszą panią o dobrotliwym uśmiechu na rumianej twarzy, której jasnorude włosy stopniowo przechodziły w śnieżną biel. Ile lat może mieć ciotka Emmely? Osiemdziesiąt sześć, może siedem? Babka Diany, kuzynka ciotki, mniej więcej w podobnym wieku, nie żyła już od wielu lat.

- Mrs Wagenbach? - głos pana Greena wyrwał ją z zamyślenia.

- Tak, tak, jestem. Tylko... jestem zaskoczona. Jak to się mogło stać?

- Pani ciotka jest już w słusznym wieku, a i życie nie zawsze obchodziło się z nią łagodnie, jak sądzę. Moja matka mawiała, że ludzie są jak zabawki, prędzej czy później się psują. - Zrobił pauzę. -

Powinna pani przyjechać. Madame kazała mi panią sprowadzić, dopóki jest jeszcze choć trochę przytomna.

- A więc rozmawiała z panem? - W jej sercu pojawił się maleńki, absurdalny promyk nadziei. Może lekarze znów ją z tego wyciągną. W końcu mówi się, że śmiertelny bywa dopiero trzeci udar.

- Tak, ale jest bardzo słaba. Jeżeli chce pani spełnić jej prośbę, powinna pani jeszcze dziś wylecieć. Gdyby się pani zdecydowała, mógłbym panią



odebrać z lotniska.

- Tak... przylecę. Muszę tylko... sprawdzić, kiedy odlatuje najbliższy samolot i czy są jeszcze bilety.

- Dobrze - odparł kamerdyner. - Czy byłaby pani tak uprzejma i wysłała mi potem e-mail z wiadomością, kiedy pani przybędzie? Nie chciałbym, żeby stała pani zbyt długo na deszczu.

- To bardzo miło z pana strony, jak tylko będę coś wiedzieć, wyślę panu e-mail z numerem lotu.

Znów nastąpiła krótka pauza. I lekki trzask. Odłożył słuchawkę?

- Ogromnie mi przykro... Przygotuję wszystko na pani przybycie.

- Jest pan bardzo uprzejmy. Bardzo dziękuję i do zobaczenia.

Odłożywszy słuchawkę, poczuła, że najpierw musi usiąść.

Oczywiście nie w tym pobjowisku. Wybrała więc kuchnię. Kiedy odwiedzała ciotkę Emmely razem ze swoją mamą Johanną, także przesiadywały głównie w kuchni.

Johannę łączyła z Emmely szczególna więź, w końcu została przez nią wychowana, po tym jak jej matka zmarła przy jej narodzinach pod koniec wojennej zawieruchy. Znała Beatrice jedynie z poblakłej fotografii zrobionej krótko przed rozwiązaniem. Diana nigdy jednak nie mogła zrozumieć, dlaczego Emmely, która nie miała własnych dzieci, nie adoptowała jej mamy.

Stary zegar - pamiątka z Czech, którą przywiózł kiedyś Philipp i której ona serdecznie nie znosiła i tolerowała jedynie przez wzgląd na niego - zaczął wybijać godzinę, co przypomniało jej, że czas ucieka, a samoloty nie będą na nią czekać.

Pomimo dojmującego smutku i lekkiego drżenia na całym ciele udało jej się ubrać w niecałe pięć minut. Wybrała praktyczne rzeczy: dżinsy, bluzkę z krótkim rękawem i cienki czerwony sweterek na wypadek niepogody. Czarne pukle splotła w warkocz. Makijaż już sobie darowała. Dzięki doświadczeniu zdobytemu za sprawą licznych podróży służbowych umiała się teraz spakować w mgnieniu oka.

Zresztą nie zabierała zbyt wiele: bluzkę na zmianę, jakąś podkoszulkę, szczoteczkę do zębów. Poza tym laptop, notatnik, no i oczywiście kabel i baterie. W sąsiedztwie Tremayne House znajdowała się nieduża wieś, w której można było dostać wszystko, czego potrzebował turysta podróżujący rowerem. Nawet gdyby miała przy sobie jedynie portfel i dokumenty, dostałaby tam niezbędne rzeczy.

Stojąc już za drzwiami, raz jeszcze rzuciła okiem na panujący w domu chaos. Odłamki szkła połyskiwały w słońcu niczym

diamenty. „Niech Philipp posprząta”, pomyślała, ciesząc się w duchu, że tym razem, inaczej niż zazwyczaj, gdy musiała pilnie wyjechać, nie zostawia mu żadnej wiadomości.

Wsiadła do swojego czerwonego mini coopera, który świetnie sprawdzał się na ciasnych ulicach Berlina, i chwilę później była już na autostradzie prowadzącej na lotnisko Tegel.

Mniej więcej w tym samym czasie pan Green stanął przed regałem z książkami w gabinecie poprzedniej pani. Na wypadek swojego odejścia chlebodawczyni przekazała mu dokładne instrukcje. Miał

dopilnować, żeby Diana ją odkryła - poznała tajemnicę.

On sam nic o niej nie wiedział. Przez wszystkie lata służby w Tremayne House oduczył się wścibstwa. Musiał jednak przyznać, że już pierwszego dnia poczuł, że ten dom coś w sobie skrywa. I to przecucie nie opuściło go do dziś. Kto wie, może na krótko przed emeryturą będzie jeszcze świadkiem zapierających dech w piersiach wydarzeń.

W pełne zawłóci wskazówki pani Woodhouse został wtajemniczony już rok temu. Już wtedy starsza dama sądziła, że u jej drzwi stanął anioł śmierci. Ale Bóg podarował jej jeszcze czas, i było go wystarczająco dużo, aby skrupulatnie porozkładać tropy. Tu jakieś zdjęcie, tam list włożony do książki, która oczywiście niby przypadkiem wpadnie w ręce adresatki. To jej pomoże przeboleć stratę, uważała starsza pani. Mimo że Diana nie pokazywała się tu od lat, pani Woodhouse nie wątpiła w miłość i lojalność tej dziewczynki, która w jej sercu zajęła osierocone miejsce wnuczki.

Stojąc teraz przy regale, pan Green szukał konkretnego tytułu.

Kolejność poszczególnych tomów nie uległa zmianie od czasu śmierci jego dawnej chlebodawczyni Mrs Deidre, matki Emmely Woodhouse.

Zresztą żadna z książek nie została tu przestawiona nawet w czasie wojny, która przecież wszystko inne postawiła na głowie.

O, tu jest! Zielona okładka, wyblakłe złote litery. Jak gdyby ktoś włożył ją tu przypadkiem. Temu, kto znał system, wedle którego zostały uszeregowane wszystkie książki, musiała rzucić się w oczy.

Mimo to na wypadek, gdyby smutek przyćmił nieco umysł gościa, wyciągnął ją teraz nieco do przodu. Dźwięk, jaki się przy tym rozległ, przypominał pełne ulgi westchnienie umierającego, który nareszcie może

odejść w spokoju.

Pan Green cofnął rękę i popatrzył na swoje dzieło z zadowoleniem.

Przy wpadającym przez wysokie okna światło, nawet tak pochmurnego popołudnia jak dziś, nie sposób było nie spostrzec tej książki.

2.

Pan Green najwyraźniej mówił całkiem poważnie, deklarując, że nie chce, by mokła na deszczu, bowiem kiedy samolot z Berlina wylądował na lotnisku Heathrow, cały Londyn przykrywała gruba warstwa deszczowych chmur sprawiająca, że nawet w środku dnia panował tu wieczorny półmrok. Lekka mżawka przeszła w ulewę. O

płytkę lotniska i szyby autobusu wiozącego pasażerów do hali odpraw uderzały z impetem ciężkie krople deszczu.

Po zdjęciu walizki z taśmy Diana pośpieszyła do poczekalni, gdzie miała nadzieję spotkać pana Greena. W odpowiedzi na jej e-mail obiecał, że stawi się punktualnie aczkolwiek panujące dziś wszędzie problemy z dojazdem w godzinach szczytu mogły pomieszać szyki nawet tak sumiennemu kamerdynerowi jak on.

Z początku nie mogła go odnaleźć pośród tłumu, w końcu jednak zobaczyła go, stojącego przy drzwiach. Ich spojrzenia skrzyżowały się dokładnie w tym samym momencie i pan Green wyciągnął rękę w górę, machając w jej kierunku.

Diana od razu przyśpieszyła, przeprosiła jakiegoś mężczyznę z walizką na kółkach, którego potrąciła, i zaczęła się przedzierać przez grupkę Japończyków fotografujących ochoczo tablicę ogłoszeń.

Z każdym krokiem widziała wyraźniej, że od czasu ich ostatniego spotkania przed pięciu laty pan Green właściwie niewiele się zmienił.

Dobiegał już wprawdzie sześćdziesiątki, ale mimo to jego perfekcyjnie ułożone włosy były ledwie przyprószone siwizną, zaś patrząc na jego wysoką, wyprostowaną sylwetkę, próżno byłoby szukać śladów nadwagi. Lodenowy płaszcz nałożony na garnitur był tak doskonale skrojony, że jego właściciela można było z powodzeniem wziąć za jakiegoś zamożnego biznesmena.

„Cała ciotka Emmely”, pomyślała. Perfekcja w każdym calu. A więc także i w osobie pana Greena, który służył u niej już od blisko trzydziestu lat. Udało jej się znaleźć perfekcyjnego kamerdynera.

- Witam w Londynie. Bardzo się cieszę, że znowu panią widzę.

Uścisk jego dłoni był równie ciepły i serdeczny jak jego uśmiech.

Diana zaś od razu zaczęła się zastanawiać, czy ma już nową przyjaciółkę. Poprzednia uciekła kilka lat temu z jakimś marynarzem.

- Ja też się cieszę, że pana widzę - odpowiedziała zupełnie szczerze. Z

kamerdynera emanował spokój. A to oznacza, że ona jeszcze żyje, szepnął jej jakiś wewnętrzny głos. Nie spóźniłam się. - Jak się panu udało przedrzeć przez korki?

- Bez większych trudności, madame - odparł, trzymając pod pachą niebotycznych rozmiarów parasol. - Miałem przy tym szczęście, bo znalazłem na parkingu miejsce całkiem blisko, więc jest szansa, że dotrzemy tam względnie suchą stopą.

Po twarzy Diany przemknął uśmiech. Nie było sensu prowadzić z nim konwersacji tuż po przylocie. Kamerdyner pozwalał sobie na kilka osobistych uwag zazwyczaj dopiero po kilku dniach jej pobytu w Londynie.

Po wyjściu z hali powitała ich rześista ulewa, która niejednego z przyjezdnych, mimo ciężkich bagaży, zmusiła do prawdziwego sprintu. Pan Green, niezrażony oberwaniem chmury, rozpostarł tylko parasol.

- Chodźmy, madame.

Dianie nie było łatwo dotrzymać kroku jegomościowi o nogach dłuższych od jej nóg o ponad dwadzieścia centymetrów, i jeszcze omijać kałuże tworzące się w okamgnieniu na chodniku.

W końcu zatrzymali się przed czarną limuzyną, bentleyem brooklands z 1998 roku, który wciąż prezentował się nienagannie.

Emmely zapewne niezbyt często nim podróżowała. Diana wątpiła też, by Green wykorzystywał go do swoich prywatnych celów. Był na to zbyt *correct*.

Kamerdyner wziął od niej podręczny bagaż i otworzył drzwi. Gdy zajmowała swoje miejsce, włożył torbę do bagażnika.

- Zapewne chce pani od razu jechać do szpitala - powiedział, sadowiac się z gracją na fotelu kierowcy. Kiedy się do niej odwrócił, na jego ramieniu i włosach błysnęło kilka kropel deszczu.

- Tak, chcę - potwierdziła Diana. - Czy udało się już panu dowiedzieć czegoś więcej?

- Niestety nie. Nie jestem krewnym. Ale lekarz, który wziął mnie za jej syna, powiedział, że podejrzewa udar, który pozbawi ją na dobre władzy nie

tylko w rękach, ale i w nogach. Gdybym nie zauważył, że nie jest w stanie podnieść się z krzesła, prawdopodobnie umarłaby jeszcze tamtej nocy.

- Jest pan bardzo czujny - odezwała się Diana, której nic innego nie przyszło do głowy. Ale co można powiedzieć w takiej sytuacji?

Zapięła pasy, pan Green uruchomił silnik i wycieraczki. Już po chwili wtopili się w pulsujący londyński ruch.

St. James Hospital emanował sterylnym chłodem przyprawiającym każdego, kto przekraczał jego próg, o mimowolny skurcz żołądka. Nie od dziś Diana zachodziła w głowę, dlaczego miejsce, gdzie ludzkie życie się rozpoczyna, jest ratowane i gdzie także się kończy, musi być aż tak nieprzyjemne. Tego wrażenia nie

zatarła nawet sympatyczna pielęgniarka z recepcji, która poprosiła ją, aby zgłosiła się także do dyżurki na oddziale intensywnej terapii. W

budynku, w którym królował zapach środków do dezynfekcji, mogło zabraknąć sił do życia nawet najbardziej żywotnej duszy.

Wolałaby, aby pan Green nadal jej towarzyszył, ten jednak opuścił ją na pół godziny, by załatwić jeszcze sprawunki. W końcu, jak wyjaśnił, ma teraz gościa i obiecał o wszystko zadbać.

- Zaczekam na panią w holu, jak wrócę.

Pozwoliła mu zatem odejść i kroczyła teraz pomiędzy zabieganym personelem w różnobarwnych kitlach w stronę wielkich dwuskrzydłowych drzwi ze szkła z napisem „Emergency Room”.

Zanim jeszcze do nich dotarła, rozwarły się przed łóżkiem z pacjentem pchanym przez dwóch pielęgniarzy. Leżący na nim siwowłosa mężczyzna był niemal niewidoczny pośród poduszek i koców. U jego stóp pracował przenośny respirator. Pielęgniarze nie zwrócili nawet uwagi na pozdrowienie Diany, kontynuując rozmowę na temat sobotniego meczu.

Drzwi nadal stały otworem, a na korytarzu nie było nikogo. Diana zastanawiała się, czy nie wejść do środka. Coś jednak ją powstrzymywało. „Ona jest gdzieś tam, w którejś z tych sal”, pomyślała z kołącym sercem, podczas gdy jej wzrok powędrował

wzdłuż wykafelkowanych ścian poprzedzielanych w regularnych odstępach drzwiami ze stojącym obok stanowiskiem pielęgniarki.

„Czy mnie rozpozna?” przyszło jej nagle do głowy.

- Mogę pani w czymś pomóc?

Diana wzdrygnęła się, lekko spłoszona. Zapatrzona przed siebie nie

zauważyła, jak za jej plecami stanął lekarz. Miał może ze czterdzieści lat, wyglądał na Pakistańczyka, ale mówił bez akcentu. Na identyfikatorze przy fartuchu widniało nazwisko: doktor Hunter.

- Tak, przepraszam. Nazywam się Diana Wagenbach. Chciałabym się zobaczyć z Emmely Woodhouse. Przywieziono ją tutaj wczoraj.

- Jest pani krewną? - zapytał lekarz, na co Diana skinęła twierdząco. - Proszę ze mną - powiedział wtedy.

Zaprowadził ją do stanowiska pielęgniarek i polecił siedzącej tam kobiecie w różowym kitlu, by wskazała Dianie pokój numer dziewięć.

Siostra skinęła głową i odłożywszy na bok clipboard, podeszła do niej.

Lekarz tymczasem zniknął już w głębi korytarza.

- Jest pani wnuczką? - zapytała, na co Diana po prostu przytaknęła.

Nie była pewna, czy została by uznana za krewną, albo czy pielęgniarka zdołałaby zrozumieć skomplikowane dzieje jej rodziny. - Dobrze, proszę tędy - poinstruowała ją tylko.

Mijając szereg drzwi, zza których dobiegały dźwięki aparatury monitorującej funkcje życiowe, przeszły na tył korytarza, który wcześniej pokonał lekarz. Zatrzymały się wreszcie przed pokojem z zamkniętymi drzwiami. Pielęgniarka otworzyła niedużą szafę obok archiwum i zanim Diana zdążyła tam zajrzeć, wręczyła jej jasnoniebieski tłumoczek.

- Proszę to założyć. Nie możemy narażać pani babci. Poza udarem przyplątało się jeszcze zapalenie płuc.

- Tak szybko? - zapytała Diana, której natychmiast przypomniały się wszystkie mrozące krew w żyłach historie o zakażeniach szpitalnych.

- To prawdopodobnie niedoleczona grypa. Objawy były widoczne, już kiedy ją przyjmowaliśmy. Gdyby nie udar, to zapalenie płuc rozwijałoby się niezdiagnozowane. - W jej głosie pobrzmiwała konsternacja.

„Ty też byłabyś zdenerwowana, gdyby ktoś nawet nieświadomie zarzucił ci, że nie wykonujesz należycie swojej pracy”, napomniała się w myślach Diana.

- Jak się pani ubierze, proszę jeszcze zdezynfekować ręce. A gdyby w międzyczasie wychodziła pani z pokoju, należy tę procedurę powtórzyć po powrocie.

Ale Diana nie zamierzała opuszczać pokoju.

- Może pani zostać pół godziny. Nie dłużej - poinformowała pielęgniarka Dianę, próbującą zawiązać sobie niebieskawy fartuch

na plecach, co wcale nie było proste. - I niech pani nie mówi do niej zbyt głośno. Niech pani zanadto jej nie denerwuje.

No jasne, przecież nie wpadnie tam z werblem i trąbką! Pohamowała jednak złość i podziękowała za wręczony jeszcze na koniec czepek, zapewniając jednocześnie, że będzie się trzymać wszystkich zaleceń.

Dopiero po włożeniu czepka i maseczki mogła nareszcie wejść do środka.

Choć zdążyła się już jakoś wewnątrz przygotować i wiedziała, jak może wyglądać ciężko chora osoba - jej mama zmarła na raka dziewięć lat temu - widok Emmely ją zaszokował. Jasnorude włosy poszarzały niczym wełna pozostawiona zbyt długo na słońcu. Rumiane policzki zapadły się, a pod oczami pojawiły się fioletowe cienie. Z lekko uchylonych ust wydobywał się rżący oddech. Sparaliżowane ręce były unieruchomione bandażami, aby nie zsunęły się między szczeble szpitalnego łóżka. Diana spostrzegła też z przerażeniem, jak wychudzone jest ciało Emmely. Wyglądało na to, że oprócz skutków udaru nadwątlili je jeszcze inne dolegliwości.

Próbując powstrzymać łzy dławiące ją w gardle, zbliżyła się do łóżka otoczonego mnóstwem urządzeń wydających rytmiczne odgłosy.

- Dzień dobry, ciociu - powiedziała cicho, nachyliwszy się nad twarzą chorej. Nie było żadnej reakcji. Czy ona w ogóle jest w stanie ją usłyszeć? Pielęgniarka już wyszła, więc nie miała nawet kogo o to zapytać.

- Ciociu - powtórzyła Diana nieco głośniej, mobilizując całą swoją wolę, aby się nie rozpłakać.

- Diana?

Emmely mówiła cicho, ale wyraźnie. Powoli, bardzo powoli obróciła głowę w stronę, skąd dobiegały słowa, po czym otworzyła oczy.

- Tu jestem, ciociu - Diana już chciała chwycić ją za dłoń, jednak przypomniawszy sobie, że jest bez czucia, pogładziła ciotkę delikatnie po głowie i poczuła, jak rozpalone ma czoło.

- Jak to dobrze, że mogę cię jeszcze raz zobaczyć - wyszeptała Emmely, wpatrując się w Dianę przenikliwie. - Wyładniałaś jeszcze, całkiem jak twoja babka Beatrice. Ona też była prześliczna, jak już trochę wydobrzała po wojennych przejściach.

Diana zdławiła szloch, ale nie zdołała już powstrzymać łzy, która potoczyła się jej po policzku, spadając na szpitalne prześcieradło.

- Ty też jesteś prześliczna, ciociu.

- Uwierzę ci tym razem, w drodze wyjątku - odparła Emmely w przebłysku humoru, którym potrafiła sobie zjednywać wszystkich sąsiadów. - Tylko dlaczego płaczesz? Tak źle wyglądam?

Diana potrząsnęła głową.

- Nie, tylko...

- Tylko że przyszedł na mnie koniec? - Po jej twarzy przemknął cień uśmiechu. - Ach, dziecinko, prędzej czy później czeka to każdego z nas. Przeżyłam długie życie, nie zawsze szczęśliwe, jak wiesz, ale na tyle długie, by mieć możliwość zadośćuczynić winom, ciężącym na naszej części rodziny.

Jakim znowu winom? Diana uniosła brwi ze zdumienia. Jaka wina może obciążać tę dobrotliwą i kochaną osobę? Albo jej rodzinę?

- Może tam, po drugiej stronie, spotkam Grace, kobietę, która w jakimś stopniu zdeterminowała także i moje życie, choć wcale jej nie znałam - ciągnęła Emmely, a na jej czole pojawiły się kropelki potu.

Diana poradziłaby jej najchętniej, żeby teraz raczej odpoczywała, ale kiedy Emmely zaczynała mówić, nigdy nie było sposobu, by ją powstrzymać. I jak widać, nic się w tej materii nie zmieniło.

- Opowiem jej, że jej miłość nadal przynosi owoce, i że zrobiłam wszystko, by uzyskać przebaczenie dla Victorii. Umarli wiedzą, jakie winy ciążą na człowieku...

Napad kaszlu wprowadził w alarm wszystkie urządzenia. Diana cofnęła się z przestachem, zamierzając biec po pomoc, jednak już po chwili wszystko znów się unormowało.

Tymczasem Emmely z ciężkim westchnieniem opadła na poduszki.

- Nasza rodzina skrywa pewną tajemnicę. Tajemnicę, której Grace nie znała. - Kiedy ponownie otworzyła oczy, jej wzrok wydawał się wpatrzony gdzieś w dal, jakby zobaczyła tam tę zmarłą jeszcze przed wojną kobietę. - Moją babkę dręczyły z tego powodu straszne wyrzuty sumienia... - Oddychała teraz ciężko, a wypowiedanie kolejnych słów przychodziło jej z ogromnym trudem. - Nie mogę ci niestety powiedzieć, o co dokładnie chodzi. Zawsze podejrzewałam, że moja matka wie więcej, ale nie wtajemniczyła mnie w szczegóły. Jedyne, co zdradziła mi tuż przed śmiercią, to to, że tajemnica babki Victorii powinna zostać ujawniona dopiero wtedy, gdy na świecie pozostanie już tylko jedna z nas. Ty jesteś ostatnim szczepem naszej rodziny, bo ja nie miałam przecież dzieci. A więc nadszedł czas.



Diana poczuła, jak żołądek ściska się jej boleśnie. To prawda, ona była ostatnia. Potomstwo Tremayne'ow nie było liczne i w dodatku wyłącznie płci żeńskiej, przez co nazwisko rodowe już dawno zniknęło z annałów.

- W starym gabinecie, w środkowym regale jest skrytka. Kluczyk zaginął już za czasów mojej matki, ale chyba nie powinno być problemów z jego dorobieniem. Wyjmij zawartość skrytki i zrób z niej dobry użytek. Powiąż ze sobą wszystkie wątki tej historii, aby nareszcie zdjąć klątwę z naszej rodziny.

Diana usłyszała czyjeś kroki na korytarzu. Zdaje się, że czas jej odwiedzin dobiegał końca i to pielęgniarka zmierzała w ich kierunku, aby jej o tym przypomnieć.

Emmely spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami. Z kącika lewego oka popłynęła łza. Łza serca, jak mawiała jej matka.

- Obiecuj mi, że wszystko odkryjesz i znów połączysz. Połączysz Grace i Victorię...

- Miss Wagenbach?

Pielęgniarka stanęła w drzwiach w stanowczej pozie, niczym strażnik więzienny.

- Minęło pół godziny. Proszę się pożegnać, chcemy przenieść pani babcię.

Diana kiwnęła głową i odczekała, aż tamta znów zniknie. Następnie nachyliwszy się nad Emmely, ucałowała ją w czoło.

- Obiecuję, wszystko znów połączę. Ciotka uśmiechnęła się uspokojona.

- Naprawdę kochane z ciebie dziewczątko. Zaslugujesz na szczęście.

Kiedy rozwikłasz tę tajemnicę, sama także odnajdziesz spokój, jestem tego pewna.

Głowa Emmely opadła sennie na poduszkę.

- Przyjdę jutro - obiecała Diana i znów pogładziła ciotkę po włosach.

Nie wiedziała, czy tamta słyszała jej słowa. Kiedy odchodziła od łóżka, Emmely zapadła już bowiem w sen.

Pan Green, zgodnie z obietnicą, czekał na nią w holu. Diana otarła pośpiesznie łzy, na które pozwoliła sobie wreszcie po wyjściu od ciotki. Co prawda policzki nadal miała podejrzenie zaczerwienione, jednak lepsze to, niż rozplakać się w czyjeś obecności niczym małe dziecko.

- O, jest już pani! - Pan Green złożył gazetę i wstał z krzesła. - Czy mógłbym zapytać, jak się czuje madame?

- Rozmawiałam z nią - poinformowała go dzielnie Diana. - Ale jest w

bardzo złym stanie. Pielęgniarka jest zdania, że to zapalenie płuc, które teraz jeszcze dodatkowo zdiagnozowano, ciągnie się już od dobrych kilku dni.

- Bardzo mi przykro. Nawet jeżeli pani ciotka była już wcześniej chora, zupełnie nie dała tego po sobie poznać. - Green wyglądał na zdruzgotanego. Do obowiązków kamerdynera należało prowadzenie domu, nie wymagano jednak od niego, by troszczył się o samopoczucie swojej pani, dopóki ona by o to nie poprosiła lub też sam nie spostrzegł, że sprawy źle się mają. W dodatku Emmely była mistrzynią w ukrywaniu swoich dolegliwości.

- Tak. Ona już taka jest. - Roześmiała się, jednak śmiech zabrzmiał raczej jak szloch.

- Jak zdążyła pani zauważyć, Anglia pokazała się dziś ze swojej najlepszej strony, jeśli chodzi o wilgotność powietrza - rzucił ironicznie pan Green, wyciągając eleganckim ruchem parasol ze stojaka. Deszcz wprawdzie nieco zelżał, jednak nie było też żadnych widoków na słońce. - Zechce pani zjeść coś po drodze, madame?

- Nie, dziękuję, najlepiej będzie, jeśli od razu pojedziemy do domu.

Do domu. Dopiero po wyjściu przez drzwi szpitala dotarło do niej, jak naturalnie wiązała ten zwrot z Tremayne House. Jak gdyby jej życie w Berlinie nigdy nie istniało.

### 3 .

Podczas gdy zakorkowane ulice zamieniały się stopniowo w wiejskie szosy usiane krzewami róż i szpalerami drzew, Diana zmagala się z obrazami, które przywoływało donośne buczenie silnika.

Zobaczyła Emmely dobiegającą pięćdziesiątki, jak nachyla się nad jej łóżeczkiem i gładzi ją czule po głowie. I kilka lat później - Diana siedzi przy kuchennym stole, a ciotka krząta się między szafkami. Spędzała tu wszystkie wakacje, bo mamę, która wyjechała do Niemiec w wieku osiemnastu lat, by studiować w Berlinie, zawsze ciągnęło do miejsca, gdzie się urodziła.

Jako następny pojawił się obraz ponad sześćdziesięcioletniej Emmely, jak elegancko ubrana siedzi w kościele podczas jej bierzmowania, ściągając na siebie zaciekawione i pełne podziwu spojrzenia pozostałych gości. Już po siedemdziesiątce wybrała się po raz drugi do Berlina, by pogratulować Dianie ukończenia studiów. Nawet wtedy jeszcze nie było widać, że czas jednak stopniowo pozbawia ją sił

witalnych.

Kiedy odwiedziła ją ostatnim razem, ciotka była już po wylewie, ale nadal nie traciła wigoru. Diana z dumą opowiadała jej o otwieranej razem z koleżanką ze studiów kancelarii. Po tym jak

ojciec zginął w wypadku samochodowym, a mama zmarła na raka, Emmely stała się jej jedyną podporą. Kiedy nie umiała sobie poradzić z żałobą i smutkiem, ciotka zaprosiła ją do Tremayne House, gdzie spędziła w spokoju całe lato.

Potem w jej życiu pojawił się Philipp. On i praca w biurze -to były przyczyny, dla których przez kolejne lata tak rzadko się tu pokazywała.

Teraz bardzo tego żałowała. „Zawsze mogłam na nią liczyć” - pomyślała - a ja ją zawiodłam”.

Smutek mieszał się ze złością na Philippa. Kto wie, może gdyby nie on, bywałaby tu częściej...

Wiedziała jednak dobrze, że jeśli nie Philipp, to w jej życiu i tak pojawiłby się jakiś inny mężczyzna. Może choć trochę lepszy. Nie zmieniało to faktu, że i tak byłby ważniejszy od ciotki z Anglii.

- Zaraz będziemy na miejscu - oznajmił Green, jak gdyby nie chciał, by przegapiła ten widok.

Zbliżali się do lekkiego wzniesienia, skąd można było zobaczyć całą posiadłość, na którą składały się dwupiętrowy dworek, służbówka i folwark.

Usytuowany w pobliżu Tamizy majątek był ponoć własnością okrytego niesławą arystokraty, uwikłanego w spisek przeciwko Elżbiecie I. W jego sąsiedztwie zaś mieszkać miał wierny Elżbiecie słynny szef królewskiego wywiadu sir Francis Walsingham. W XVII wieku prawa własności otrzymał ród Tremayne'ow - z rąk króla Karola II z przywróconej do władzy dynastii Stuartów. Odtąd to potomkowie tego rodu utrzymywali ten dom przy życiu, a przy tym udało im się nie przekształcić go w skansen.

Tego słotnego popołudnia Tremayne House przypominał przemoczonego psa, który ze skruchą kładzie się u stóp swego pana, zaglądając mu przy tym błagalnie w oczy. Z wszystkich wykuszy, rynien i dachów skapywały ciężkie krople wody, a studzienka tuż obok schodów na próżno trudziła się, by wchłonąć ten nieustający potok deszczówki.

Pan Green zaparkował bentleya przy okrągłym klombie uwieńczonym fontanną, po czym sięgnął po parasol spoczywający na podłodze pod tylnym siedzeniem.

- Proszę zaczekać. Odprowadzę panią pod drzwi.

I zanim się zorientowała, że może spokojnie przebyć ten krótki odcinek bez jego pomocy, pan Green zjawił się obok niej z roz-postartym parasolem i otworzył drzwi od samochodu. Na ramieniu miał zawieszoną jej torbę podróżną, o której ona sama już prawie zapomniała.

Znalazłszy się w holu, zastanawiała się przez moment, jak też mógł on wyglądać wcześniej. Za czasów Grace i Victorii. O tej porze dnia uwijał się tu zapewne cały zastęp służących, gotowych spełnić każde życzenie państwa. Ówczesny majordomus doglądał wszystkich prac, zaś w kuchni rozlegały się odgłosy przestawianych garnków i naczyń.

Mury domu najwyraźniej przechowały pamięć tamtej krzątaniny, skąd inaczej przyszłoby jej to teraz do głowy?

- Przygotowałem już pani pokój - oznajmił kamerdyner, odstawivszy niemal bezgłośnie parasol na metalowy stojak. -Pozwoli pani za mną.

Diana chciała jeszcze wtrącić, że poradzi sobie z torbą, ale pan Green był już przy schodach. „A może powinnam po prostu przyjąć do wiadomości, że ktoś się o mnie troszczy”, pomyślała, wspinając się po marmurowych schodach,

poznaczonych

wprawdzie

licznymi pęknięciami, ale nadal stabilnych. Ostatecznie to byłaby miła odmiana po wielu miesiącach zaniedbywania przez Philippa.

Znajome stiukowe ornamenty otaczające obrazy z postaciami i scenami rodzajowymi z odległej przeszłości, skrzypienie podłogi na drugim piętrze, no i zapach starych tapet kazały jej wrócić do lat dzieciństwa i zapomnieć na moment o problemach dorosłości. Z

czułością gładziła złocone ramy obrazu z widokiem tutejszego parku.

Pod rozłożystymi wierzzbami otaczającymi stawek dwie dziewczynki, siedząc razem z matką na kocu, urządziły sobie piknik.

Sądząc po dacie powstania malowidła, 1878, musiały to być właśnie Grace i Victoria, ostatnie z rodu noszące nazwisko Tremayne. Victoria, młodsza z dziewczynek, późniejsza babcia Emmely, siedziała przed maleńką sztalugą. Starsza była zajęta wiciem wianka. A pomiędzy nimi królowała matka w zielonkawej sukni zdobnej w koronki i jedwabne różyczki.

Diana zawsze uwielbiała ten obraz, który dzięki swojemu realizmowi pozwalał jak przez okno zajrzeć w odległą przeszłość. Teraz też chętnie zatrzymałaby się przed nim na dłużej, by raz jeszcze przypatrzeć się dziewczynkom i ich matce, jednak pan Green był już przed drzwiami jej pokoju.

Pociągnawszy nosem, wyczuła od razu, że pomieszczenie zostało odremontowane. Zapach nowości, niczym nieproszony gość, mieszał się teraz z wonią minionych dni. Na szczęście zmian było niewiele.

Wyblakłą tapetę w kwiaty, która była jeszcze w dość dobrym stanie, pociągnięto transparentnym pokostem, który miał jej zapewnić żywotność na następne lata. Odnowiony został też jeden z filarów łoża, co można było rozpoznać nie tyle po bardziej rudawym kolorze, ile po strukturze drewna - w wymienionym słupku brakowało po prostu dziurek po kornikach. Z kolei nowością był miękki dywan, którego gęsty włos wprost zachęcał, by przejść się po nim boso. Jego kolor pasował idealnie do mebli, sam dywan był jednak zbyt czysty, by udawać starość.

Niemal z nabożną czcią Diana podeszła do kominka. Płonący w nim ogień wyciągał z powietrza całą wilgoć i łagodził chłód ciągnący od starych okien. Jako dziecko lubiła przed nim siedzieć, wpatrując się w taniec płomieni i próbując policzyć iskry wzniecane przez załamujące się polana.

- Jeżeli takie jest pani życzenie, przyniosę do pokoju herbatę -głos

kamerdynera wkradł się łagodnie w ostatnie ułamki wspomnień.

Diana pokręciła jednak głową. Po całym dniu pełnym wrażeń nie miała ochoty siedzieć sama w pokoju, w którym duchy

Tremayne'ow zaczynały prowadzić szeptem rozmowy, jak tylko kamerdyner zniknął.

- Rozpakuję tylko szybko rzeczy i zejść do kuchni. Przypuszczam, że ciotka nie zatrudniła żadnej nowej kucharki.

- Nie. Ja przejąłem te obowiązki. - Po twarzy kamerdynera przemknął cień uśmiechu. Czyżby to był powód do wstydu? A może dziwiło go, że tak wymagająca chlebodawczyni jak Emmely Woodhouse zadawała się jego skromnymi umiejętnościami kulinarnymi?

- Jeżeli pan pozwoli, chętnie pomogę - zaoferowała się Diana. - W końcu ma pan dziś gości.

- I właśnie dlatego nie potrzebuję pomocy - odparł uprzejmie. -

Obiecałem pani Woodhouse, że zapewnię pani komfortowe warunki i zamierzam dotrzymać słowa.

Rozpakowanie rzeczy zajęło jej zaledwie kilka minut i Diana postanowiła odświeżyć pamięć krótką wycieczką po całym domu.

Przedtem rzuciła jeszcze okiem na swój blackberry, gdzie znalazła e-maile od Evy i od szefa firmy budowlanej, który realizował jeden z ich projektów. Przeczytała je naprędce, ale postanowiła odpowiedzieć później. Eva wiedziała o wszystkim, bo Diana zadzwoniła do niej dziś rano.

Była też odrobinę zawiedziona brakiem jakiegokolwiek wiadomości od Philippa, choć właściwie wcale jej to nie zdziwiło. Prawdopodobnie jeszcze w ogóle nie zauważył jej zniknięcia.

Walcząc ze wzbierającą w niej na nowo falą złości na męża, wyszła na korytarz, który jak zwykle sprawiał wrażenie nieco zapuszczonego.

Skrzypienie desek podłogowych, które tak raziło ją w nowych domach, tu brzmiało w jej uszach niczym głosy starych przyjaciół, zapraszających do siebie w odwiedziny.

Oprócz jej pokoju i jeszcze jednego, podobnego pokoju dla gości na piętrze znajdowała się biblioteka, do której wymykała się podczas deszczowych dni wakacji ze starym świecznikiem

w rękę, mimo że już dawno doprowadzono tam elektryczność. Nie zwracała przy tym uwagi na upomnienia Emmely, że przy tak słabym świetle na pewno popsuje sobie wzrok. Nic bowiem nie budowało nastroju lepiej niż przewracanie bogatych w ilustracje stronic książek przy świetle świec i



wyobrażanie sobie, że żyje w zupełnie innych czasach.

Sypialnię Emmely, odkąd choroba zmusiła ją do poruszania się na wózku, przeniesiono na dół. Pan Green wysłał wówczas do Diany obszerny list, w którym opisał wszystkie środki przedsięwzięte, aby uczynić życie ciotki jak najznośniejszym.

Naraz usłyszała w głowie głos Emmely: „W starym gabinecie, w środkowym regale jest skrytka...”. Wzdrygnęła się, jakby poczuła na karku czyjąś lodowatą dłoń, po czym jej wzrok znów przyciągnął obraz przedstawiający rudowłose dziewczynki i ich majestatyczną matkę.

Tajemnica. Klątwa... Czy to może być prawda? Ciotka Emmely była wprawdzie bardzo chora i słaba, ale Diana nie miała podstaw, by wątpić w trzeźwość jej umysłu. Nikt szalony nie kazałby odwiedzającej go osobie badać rodzinnej historii, szukać skrywanej tajemnicy i zdejmować klątwy.

Po zejściu na dół odsunęła jednak poszukiwania w starym gabinecie na dalszy plan i wiedziona cudowną wonią herbaty, pośpieszyła do kuchni. Kiedy tam weszła, pan Green zabierał się właśnie do krojenia ciasta wyjętego przed chwilą z piekarnika.

„To niewątpliwie człowiek o wielu talentach”, pomyślała. Szkoda, że jest od niej starszy o dwadzieścia lat. Gdyby było inaczej, to kto wie...

Zajęty krojeniem kamerdyner nie zorientował się z początku, że Diana przygląda mu się, stojąc w drzwiach. Spostrzegł ją dopiero, kiedy się wyprostował, by ułożyć ciasto na paterze.

- O, Mrs Wagenbach - powiedział, nie przerywając swojego zajęcia. -  
Właśnie przygotowuję herbatę.

- A pamięta pan jeszcze czasy, kiedy nazywał mnie panienką Dianą? -  
zapytała, usiadłszy na jednym z prostych kuchennych  
krzesel. Choć meble były względnie nowe, bił z nich urok początku XIX  
wieku, kiedy to Tremayne House przeżywało swoje najlepsze lata.

Kamerdyner uśmiechnął się.

- Chciała pani wtedy koniecznie wiedzieć, dlaczego nie nazywam się  
James, jak inni kamerdynerzy z telewizji.

- Robił pan ze swojego imienia wielką tajemnicę.

- I tak jest do dziś. Jeżeli chce je pani poznać, proszę o to zapytać swoją  
ciotkę - powiedział i powłóczył się, ćwiczącym zapewne latami gestem  
zaserwował jej herbatę i ciasto.

- Ale dlaczego? - chciała wiedzieć Diana. Cudowny zapach herbaty  
pozwolił się jej nareszcie uwolnić od tego bolesnego ścisku w żołądku, który

dręczył ją od wizyty w szpitalu.

- Każdy człowiek ma jakieś sekrety, nieprawdaż? Moim jest moje imię, które znają tylko moja chlebodawczyni i moja kochanka. No i oczywiście urząd meldunkowy.

Diana uznała, że byłoby zbyt tanim chwytem wypytywać go teraz o kochankę, skoro zawsze robił z tego wielką tajemnicę.

- A czy wiadomo coś panu o tajemnicy Tremayne'ow? - zapytała więc po skosztowaniu herbaty, którą od razu rozpoznała jako ceylon.

Kamerdyner zastygł na ułamek sekundy w miejscu, co uznała za dobry znak.

- Ten dom kryje zapewne wiele tajemnic - odparł po chwili wymijająco. - Ja troszcę się jedynie o jego wygląd, ale kto wie, co tkwi w jego murach...

- Kiedy byłam u ciotki w szpitalu, wspomniała o jakiejś tajemnicy - ciągnęła Diana. W końcu Emmely nie zabroniła jej o tym rozmawiać z innymi. - Poleciała mi szukać w starym gabinecie. Szczerze mówiąc, już jako dziecko bałam się tego miejsca. Jak gdyby ze ścian spoglądali na mnie wszyscy mężczyźni z rodu, dziwiąc się, że śmie tam wchodzić jakaś kobieta.

Tym razem pan Green zachował kamienną twarz.

- Kobiety przebywały tam już od czasów pani Victorii. I o ile mi wiadomo, jej potomkinie nie wpuszczały tam za próg żadnego z małżonków. Także pani Emmely.

- Ale mąż ciotki Emmely zginął na wojnie. - Dianę dziwiło zawsze, dlaczego ciotka nie wyszła ponownie za mąż, choć prawdopodobnie zdarzały się jej jeszcze jakieś miłosne historie.

- Nawet jeżeli później w jej życiu pojawiłby się jakiś mężczyzna, nie zostałby wpuszczony do tego pokoju - odparł Green, najwyraźniej dumny z tego, że jemu samemu wolno było tam wchodzić. - Po okresie pobytu za morzem musiały zaistnieć jakieś okoliczności, które sprawiły, że rządy mężczyzn zastąpił matriarchat.

- Może dlatego, że na świat przychodziły wyłącznie dziewczynki? - zauważyła Diana i ugryzła kawałek ciasta, które eksplodowało w jej ustach feerią smaków.

- Zapewne tak. - Po twarzy kamerdynera przemknął chytry uśmiezek.

„Jest chyba coś jeszcze - pomyślała Diana. - On o czymś wie, ale Emmely zabroniła mu pewnie o tym mówić”.

- Proszę, niech pan ze mną usiądzie - powiedziała, kiedy kamerdyner

zaczął znów się krzątać. - Jest po piątej, woził mnie pan po całym mieście, a wcześniej w domu przyszykował pan wszystko, aby było mi tu jak najwygodniej. Zasłużył pan na przerwę.

Oczy pana Greena przez krótki moment wyrażały sprzeciw, jednak jakoś się przemógł i usiadł przy kuchennym stole.

Zacząło się ściemniać, kiedy Diana po wypiciu herbaty, by zapełnić czymś to ponure popołudnie, zebrała się w sobie i ruszyła korytarzem, wyłożonym parkietem o wzorze szachownicy, w stronę okazałych dwuskrzydłowych drzwi sprawiających wrażenie, że kryje się za nimi równie obszerne pomieszczenie. W rzeczywistości jednak gabinet Tremayne'ów był raczej skromnych rozmiarów.

Mimo że wiszące na ścianach rzędem kinkiety były elektryczne, zachowały wygląd wcześniejszych lamp gazowych, przez co istotnie Diana miała wrażenie, że przeniosła się do innej epoki. Jako dziecko lękała się trochę tego miejsca i wchodziła tu jedynie wówczas, gdy nie znalazła cioci Emmely w żadnym z pozostałych pomieszczeń. Ciotka siedziała tu zazwyczaj za biurkiem i coś pisała.

Dotarłszy na miejsce, przystanąła pod drzwiami i położyła dłonie na obu klamkach. Pod palcami wyczuła zdobienia na chłodnym metalu.

Potem na nie nacisnęła, pchnęła drzwi i znalazła się w Tremayne House u schyłku XIX wieku. Za typowym dla tamtych czasów ciężkim mahoniowym biurkiem znajdowało się krzesło w tym samym stylu.

Jego skórzana tapicerka była przytwierdzona do drewna grubymi ćwiekami. Na zielonym kloszu lampki o wygiętym pałaku nie było nawet śladu kurzu, podobnie jak na spoczywającej na blacie biurka grubej szklanej tafli o odrobinę zadrapanych brzegach, która miała chronić jego cenne intarsje przed zaplamieniem lub wytarciem.

Diana otworzyła wieczko srebrnego kałamarza. Była przekonana, że znajdujący się w nim niegdyś atrament zdążył już dawno wyschnąć, tymczasem ze zdumieniem dostrzegła w środku jego połyskującą powierzchnię. Na jej twarzy pojawił się przelotny uśmiech.

Niezawodny pan Green jak zwykle pomyślał o wszystkim. To jego zapobiegliwości zawdzięczała też zapewne notatnik, przemycony tu z całkiem nieodległych lat. Prawdopodobnie spodziewał się, że zechce coś zanotować.

Odwróciwszy się w stronę środkowego regału, poczuła w brzuchu

osobliwe łaskotanie. Tajemnica, przemknęło jej przez głowę. Klątwa.

Czy na pewno chce o tym wiedzieć?

O tak. Już w dzieciństwie przeszkadzało jej, że śmierć jej babki otaczał rodzaj zasłony, za którą kryła się odleglejsza przeszłość.

Poznała wprawdzie imiona przodków, jednak ich zapis na pożółkłych kartach, opatrzone skąpymi notatkami o ich życiu, nie

zdradzał nic na temat tego, jakimi byli ludźmi. Teraz miała okazję, by dowiedzieć się czegoś o własnej rodzinie. I wynagrodzić Emmely wszystkie stracone lata.

Zacząła ostrożnie wyciągać książki z regału, jedną po drugiej, i kłaść je na biurku, uważając przy tym, aby nie znalazły się w bezpośrednim sąsiedztwie kałamarza. Dopiero po opróżnieniu pierwszej ze środkowych półek, na której nie znalazła niczego szczególnego, odkryła na drugiej przysłonięte tapetą drzwiczki, których istnienie zdradzały jedynie dziurka od klucza i nieco ciemniejszy rant.

Dzięki książkom nie docierało tu światło słoneczne, więc charakterystyczne perskie wzory Paisley na tapecie były tak samo wyraźne jak w dniu, w którym ją położono. Dianie przemknęło nawet przez myśl, że w tamtych czasach podobne ornamenty musiały być ostatnim krzykiem mody. W końcu przywiozła je z Indii sama królowa Wiktorja. Przesunęła potem palcami wzdłuż wybrzuszenia i spróbowała otworzyć drzwiczki za pomocą agrafki, którą zawsze nosiła przypiętą do jakiejś części garderoby.

Zgodnie ze słowami Emmely skrytka była zamknięta na klucz.

Delikatne zadrapania zdradzały jednak, że ktoś już próbował się do niej włamać. Jednak ów sejf został wykonany tak solidnie, że ostałby się zamknięty, nawet gdyby reszta domu poszła któregoś dnia w drzazgi.

Dlaczego nikt nie spróbował dorobić klucza? Te zadrapania musieli zrobić złodzieje, którzy próbowali otworzyć sejf w nadziei, że znajdą tam jakieś rodowe klejnoty. Odwróciła głowę z westchnieniem, myśląc już o sprowadzeniu ślusarza, kiedy jej wzrok padł na książkę wystającą nieco z szeregu, niczym zagapiony żołnierz. Jak to możliwe w panującym tu akuracnym i skrupulatnym porządku?

A może to nie przypadek? Czy to Emmely pozostawiła jej jakąś wskazówkę? Ale jak dokonałaby tego sparaliżowanymi rękami?

Czyżby pan Green został wtajemniczony w tę intrygę?

Z bijącym sercem wyciągnęła zielony tom ze złoconymi, choć

wyblakłymi literami. Był to *David Copperfield* Karola Dickensa.

Wydanie z 1869 roku. Kiedy otworzyła książkę, w nozdrza uderzył ją zapach stęchlizny. Jej uwagę zwróciło jednak coś jeszcze. Coś, co musiało tu zostać włożone całkiem niedawno, inaczej nie wypadłoby tak szybko z tego zupełnie dobrze zachowanego tomu. Kartka, która upadła na dywan, nie była nowa.

Kiedy Diana ją podniosła, okazało się, że to telegram. Nadany 15 października 1886 roku. Rozłożyła ją, a kiedy zaczęła czytać, gabinet zaczął się zmieniać, porywając ją w zamierzchłe czasy jej przodków...

*Henry Tremayne westchnął i wyjrzał przez okno, w którego zalanej deszczem szybie odbijała się jego twarz, już od wielu dni lało jak z cebra i nie zanosilo się wcale na koniec tego potopu. Krople deszczu tworzyły na stojących na ścieżce kałużach bańki, co wedle starego porzekadła wróżyło długą słoć.*

*Taka pogoda pasowała jednak znakomicie do jego nastroju. Już przed kilkoma dniami dotarło do niego, że będzie mógł zachować tylko jedną rodową posiadłość. Wybór właściwie nie powinien nastęczać trudności. Nigdy nie przepadał za tym szkockim zameczkiem. Byli tam ledwie dwa, może trzy razy od czasu ślubu. Jedyńa rzeczą, która łączyła go z tym miejscem, były comiesięczne listy od zarządcy, w których ten zdawał relację ze stanu majątku.*

*Jednak był on bliski sercu jego żony. Ona kochała tę posiadłość, on natomiast nie chciał jej złościć, oznajmiając jak gdyby nigdy nic, że muszą poświęcić zamek na poczet długów. Jednak on sam nie wyobrażał sobie rozstania na zawsze z rodową siedzibą, z Tremayne House. Znalazł się więc między młotem a kowadłem i z każdym dniem, kiedy zwlekał z podjęciem decyzji, rozterka rosła.*

*Z zamyślenia wyrwało go pukanie do drzwi.*

*- Proszę! - zawołał i wyprostowany odwrócił się od okna.*

*Do środka wszedł kamerdyner, suchy jegomość po pięćdziesiątce, trzymając w odzianej w rękawiczkę dłoni niewielką, srebrną tacę z kopertą.*

*- Właśnie przyszedł telegram do pana, sir.*

*„Kolejny wierzyciel?”, zaniepokoił się Henry, sięgając po kopertę.*

*Dał znać kamerdynerowi, by zaczekał na wypadek, gdyby należało niezwłocznie odpowiedzieć.*

*Usiłując stłumić drżenie rąk, rozciął kopertę srebrnym nożykiem.*

*Telegram stanowiła nieduża karteczka, złożona na pół, aby uchronić treść przed niepowołanym spojrzeniem. Henry zamarł, czytając zapisane na maszynie słowa. Wiadomość przebyła daleką drogę. W*

*prawym rogu widniała miejscowość: Kolombo, Cejlon.*

*- Mój brat zginął w wypadku - odezwał się cichym i ochryłym z przerażenia głosem. - Piszq, że spadł z Adams Peak.*

*Mimo że nie lubił okazywać publicznie swoich uczuć ani nie miał takiego zwyczaju, teraz, czytając dalej, zakrył usta dłonią. Nie mógł w to uwierzyć. Richard nie żyje...*

*- Czy mam wysłać odpowiedź, sir? - zapytał kamerdyner z kamienną twarzą. Jego obowiązkiem było powstrzymać się od zdradzania jakichkolwiek emocji, więc tak było i tym razem, choć dobrze znał pana Richarda, a wieść o jego śmierci i jego przeraziła.*

*Jednak Henry tylko bez słowa wybiegł na korytarz. W jednej chwili przestało być ważne, którą posiadłość trzeba będzie sprzedać...*

Znów rozległo się pukanie. W jednej chwili cała scena z Henrym Tremayneem rozplynęła się w powietrzu.

- O co chodzi? - zapytała Diana, kładąc telegram obok książki na biurku.

- Proszę wybaczyć, że przeszkadzam, madame. Chciałem tylko zapytać, kiedy życzy sobie Pani, aby podano kolację?

- Kiedy będzie gotowa - odparła z lekkim zakłopotaniem Diana. Nie była przyzwyczajona do podobnych pytań. - Nie bardzo wiem, na którą godzinę mógłby ją pan przygotować.

- Czy może być o siódmej?

- Oczywiście.

Kiedy pan Green opuszczał pokój, na twarzy igrał mu tajemniczy uśmiech.

„Pewnie wcale go nie dziwi moje zakłopotanie”, pomyślała Diana, ponownie biorąc do ręki telegram.

4 .

Następnego dnia przed południem pan Green uparł się, że zawiezie Dianę do szpitala, odrzuciwszy jej propozycję, że przecież może sama udać się tam autobusem.

- A cóż ja będę robił przez pół dnia? Poza tym mam jeszcze coś do załatwienia w mieście.

Diana czuła, że to nieprawda, a pan Green chce po prostu o nią zadbać. Zresztą była przyzwyczajona do środków komunikacji w Berlinie, nie miałyby zatem nic przeciwko przejażdżce autobusem.

Kamerdyner wysadził ją przed głównym wejściem do szpitala, po czym odjechał w nieznaną stronę. Diana ruszyła, tak jak poprzedniego dnia, w stronę oddziału intensywnej terapii. Z każdym kolejnym krokiem przybliżającym ją do sali, gdzie leżała Emmely, lekki, pożółkły skrawek papieru spoczywający w kieszeni jej spodni zdawał się coraz bardziej ją uwierać. Przez całą noc próbowała odgadnąć, jakie skutki pociągnął za sobą ów telegram. Dotąd nie wiedziała nawet o istnieniu brata Henryego Tremaynea, ani tym bardziej o jego tragicznej śmierci.

Czy to od niej wszystko się zaczęło?

Coś tknęło ją już przy kantorku pielęgniarek. Lekarz, który do niej podszedł, to nie był doktor Hunt, lecz jakiś szczupły, jasnowłosy trzydziestolatek z wypolerowanym na błysk stetoskopem spoczywającym na kitlu, jaki nosili chirurdzy.

- Pani jest wnuczką?

Najwyraźniej znana jej już pielęgniarka, która tego dnia również miała dyżur, zdążyła go poinformować o jej wizycie.

- Nazywam się Blake - przedstawił się, kiedy przytaknęła, i wyciągnął dłoń w jej stronę. - Niestety pani babcia nie czuje się najlepiej. Jej stan pogorszył się na tyle, że musieliśmy podłączyć ją do respiratora.

Krążenie jest bardzo niestabilne, ale robimy wszystko, co w naszej mocy.

Wstrząśnięta Diana pokiwała głową. Nie liczyła wprawdzie na jakąś radykalną poprawę, jednak nie spodziewała się także tak szybkiego pogorszenia.

- Naturalnie może ją pani odwiedzić, jednak ze względu na narkozę, którą zastosowaliśmy, aby trochę jej ulżyć, raczej nie będzie pani słyszała.

Podziękowała nieco oszołomiona tymi wieściami, następnie jakimś cudem udało jej się trafić pod właściwe drzwi i przebrać w szpitalny kitel. Dopiero stanąwszy przed brzęczącą aparaturą, odzyskała jasność umysłu. Twarz Emmely była ledwie widoczna spod rurek doprowadzających tlen i składniki odżywcze. Oczy zapadły się głęboko, pierś unosiła się i opadała w mechanicznym rytmie respiratora. Diana poczuła tak wielkie współczucie, że nie była w stanie powstrzymać łez. Jej własną pierś wstrząsnął skurcz - nawet wobec zdrady Philippa nie odczuła aż takiego bólu. Osunęła się na stojący przy łóżku taboret i przez kilka minut cicho płakała. Całe szczęście,

że w tym czasie nie zjawił się nikt z pytaniem, co się stało albo czy może pomóc.

Kiedy po kwadransie łyzy w końcu przestały płynąć, znów stanęła przy łóżku Emmely i pogładziła ją po głowie. Nadal szlochała, jednak poczuła, jakby ciocia stanęła obok niej i w pocieszającym geście położyła jej dłoń na ramieniu.

„Ach, dziecinko, na każdego prędzej czy później przyjdzie jego pora”... Przypomniała sobie nadzieję w oczach Emmely, jakby nie mogła się już doczekać spotkania ze swoimi przodkami.

Przypomniała też sobie opowieści o pacjentach w śpiączce, którzy jakoby mieli słyszeć rozmowy czuwających przy nich bliskich.

- Znalazłam telegram - odezwała się, kiedy przemogła zawstydzenie.

- Co prawda nie wiem, czy to ty włożyłaś go do tego Dickensa, ale jeśli tak, to dziękuję. - Była odrobinę zmieszana, mimo to miała pewność, że ten kawałek papieru, którego Emmely niestety nie mogła teraz zobaczyć, stanowił element tajemnicy. - Znalazłam też drzwi do skrytki. Tak jak mówiłaś, zamknięte na klucz. Ale jeszcze dziś zadzwonię po ślusarza. Obiecuję ci, że to znajdę.

Usłyszała czyjeś kroki i stropiona spojrzała w tamtą stronę. Zza rogu wyłoniła się pielęgniarka w pełnym rynsztunku. Pewnie usłyszała jej słowa i teraz ma ją za wariatkę. Nawet jeśli tak było, to nie dała po sobie nic poznać.

- Wie pani, że może zostać tylko pół godziny, prawda? - zapytała, a Diana kiwnęła głową.

- Tak, dziękuję, miałam już iść.

Tym razem darowała sobie uwagę, że przyjdzie znów jutro. Nie chciała zapeszyć i wołała, by przy dyżurce pielęgniarek nie czekał już więcej na nią żaden lekarz.

Na pożegnanie ucałowała przez maseczkę czoło Emmely, po czym wyszła z sali, zdzierając z siebie ochronne ubranie.

Nie zdążyła dojść do holu, kiedy zadzwieczyła jej komórka.

Właściwie powinna była ją wyłączyć, jednak powstrzymywało ją poczucie obowiązku wobec kancelarii. Przeszukując torebkę, żeby sprawdzić, od kogo dostała wiadomość, zaczęła się zastanawiać, jak długo właściwie zamierza tu pozostać. Evie powiedziała wprawdzie, że nie będzie jej dwa, może trzy dni, jednak w obecnym stanie ducha, no i biorąc pod uwagę jej małe prywatne śledztwo oraz to, że musi być przy Emmely, w razie gdyby nastąpiło najgorsze, zaczynała powoli wątpić w rychły powrót do Berlina.



Tylko czy może sobie pozwolić na tak długą nieobecność? Jasne, że może polegać na swoim zespole, a Eva to prawdziwy skarb, mimo to od czasu do czasu któryś z klientów chce rozmawiać tylko z nią...

Kiedy spojrzała na telefon, okazało się, że wiadomość jest od Philippa.

*Nie było cię w domu. Odezwij się, proszę, daj znać, gdzie jesteś.*

*Musimy pogadać. Philipp*

„Pogadać? - powtórzyła w myślach Diana z goryczą, bez wahania usuwając wiadomość. - O czym? O twojej zdradzie? Albo o tym, że ci przykro? O nie, mój drogi, pomęcz się jeszcze trochę”.

Ta wiadomość pozwoliła jej jednak podjąć decyzję. Po powrocie do Tremayne House wysłała do Evy e-mail z informacją, że zostaje tu dwa tygodnie - na początek - i że o wszystkich ważnych sprawach może ją informować drogą elektroniczną.

Pan Green, podobnie jak poprzedniego dnia, czekał już na nią w szpitalnym holu. Rozmawiał z jakimś starszym człowiekiem. Spod pachy wystawała mu niewielka paczuszka.

„Dlaczego nie zostawił jej w aucie?” zastanawiała się Diana i przekraczając szklane drzwi, zamachała do niego.

- Jak się miewa pani Woodhouse? - zapytał, pożegnawszy się wcześniej ze swoim rozmówcą.

- Gorzej. Podłączyli ją do respiratora - więcej już nie była w stanie z siebie wydobyć. Pan Green pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Bardzo mi przykro. Mam tu coś dla pani. Diana spojrzała na niego, mrugając oczami.

- Kupił pan coś dla mnie?

- Nie, ja tylko odebrałem coś, co zakupiła pani ciotka. Coroczna paczuszka.

Tego już było za wiele. Łzy popłynęły teraz wartkim strumieniem.

Emmely, choć w ostatnich tygodniach nie czuła się przecież

najlepiej, pomyślała o takiej błahostce, jak paczka, którą posyłała Dianie każdego roku bez żadnej okazji. Diana nazywała je żartobliwie dowodami opieki. Dostawała je już jej matka, po tym jak osiadła w Niemczech.

- No już, panienko, trzeba być dzielnym. Pani ciotka to typ wojownika, nie podda się tak szybko.

Wyciągnął z kieszeni płaszcza czystą chusteczkę i chyba dopiero wtedy się zorientował, że zwrócił się do niej jak w dzieciństwie, więc poczerwieniał

jak burak.

- Dziękuję - powiedziała, wydmuchawszy nos. - Może pan pozostać przy panie. Zdaje się, że już niedługo przestanę się przedstawiać jako pani Wagenbach.

Kamerdyner spojrział na nią lekko skonsternowany, po czym odprowadził ją do samochodu.

- Prawdopodobnie rozwiedziemy się z mężem - wyjaśniła, kiedy znaleźli się już poza Londynem.

Z początku nie zareagował na tę informację, która jako pracownika nie miała prawa go obchodzić. Później jednak chrząknął i powiedział: - Powinna to pani dobrze przemyśleć. W dzisiejszych czasach ludzie tak łatwo rezygnują z bliskich relacji.

Za czasów Emmely czy Deidre podobna uwaga spotkałaby się z połajką ze strony chlebobdawcy. Diana przyznała mu jednak rację.

Ludzie rzeczywiście odrzucają dziś ot, tak sobie dobre, długoletnie związki choćby na rzecz przelotnego romansu.

- On mnie zdradził - dodała zatem, co także w innych czasach byłoby nie do pomyślenia.

- Aaa, to zmienia postać rzeczy. - Czyżby dosłyszała w jego głosie gniew? - Nie rozumiem niektórych mężczyzn. Wdają się w romans i wydaje im się, że ich żony niczego się nie domyślą. Dawniej było podobnie. Ale kobiety potrafią to świetnie wyczuć.

- No i dziś kobiety nie chcą już się pokornie godzić na takie postępowanie - dodała Diana.

- Właśnie! A mimo to mężczyźni i tak zakładają, że nic nie wyjdzie na jaw. W dodatku dla paru przyjemnych chwil są gotowi narazić się na tyle złych słów i złość ze strony żony.

Z tak rozsądnymi poglądami właściwie powinien być w najszczęśliwszym związku na świecie. Tymczasem dobrze wiedziała, że tak nie jest. Czyżby doznał olśnienia dopiero w późnym wieku?

- Czy mogę panu zadać osobiste pytanie?

Od razu spostrzegła, jak jego brwi poszybowały w górę. Spodziewał się najwyraźniej tego, co miało teraz nastąpić.

- Śmiało! Poza moim imieniem nie mam nic do ukrycia.

- Czy był pan kiedyś żonaty? Green nie odpowiedział od razu. -Nie.

- A bliski małżeństwa?

- Bywało. Od czasu do czasu pojawiały się kobiety, z którymi wiązałem życiowe plany.

- I co pana powstrzymywało?

- No cóż, co powstrzymuje nas przed tym ostatecznym krokiem?

Czasami za mało miłości, a czasami za dużo. Czasami niesprzyjające okoliczności, a czasami głupota.

„A służba? - zapytała w myślach Diana. - Czy w dalszym ciągu nie jest tak, że kamerdyner jest własnością rodziny, której służy, a kiedy się ożeni, zostaje wydalony ze służby?”

- Ale jestem pewien, że kiedyś znajdę kobietę, z którą warto będzie zostać na zawsze. Tymczasem jednak mamy inne zmartwienia, nieprawdaż?

Diana pokiwała głową. Jej ciekawość nie została do końca za-spokojona, czuła jednak, że nic więcej nie uda się już z niego wyciągnąć.

Po przyjeździe do Tremayne House udała się z paczuszką od razu do salonu, który poprzedniego wieczoru zdążyła zresztą przekształcić w rodzaj kwatery głównej. Od zawsze uwielbiała stojącą tu ogromną skórzaną sofę w stylu kolonialnym. Tym

bardziej że dzięki starannej pielęgnacji w ogóle nie było widać, że to mebel aż z przełomu wieków. Jej laptop z kablem podłączonym do gniazda telefonicznego stał na niskim, masywnym stoliku, służącym zazwyczaj jako miejsce na misę z owocami. Z gabinetu przyniosła sobie skoroszyt, zrezygnowała jednak z kałamarza, w obawie, by nie zaplamieć dywanu, co mogłoby się niechybnie przydarzyć podczas pisania piórem lub obsadką ze stalówką.

W notatniku nadal nie było żadnej wzmianki o domniemanej tajemnicy. Widniała tam już jednak lista spraw, które Diana chciała załatwić jeszcze tego samego dnia. Od wielu lat trzymała się tego systemu, który przyczynił się istotnie do tego, że w jej życiu zapanowały ład i porządek. Ta lista, na której szczycie widniał zapis: „numer telefonu do ślusarza”, była teraz również czymś w rodzaju koła ratunkowego. Usiadła więc na sofie i wyciągnęła telegram, który wcześniej, dla lepszej ochrony, włożyła do nowej koperty.

Już wczoraj próbowała wygooglować Richarda Tremayne'a. Bez rezultatu. Jego duch nie dotarł jeszcze do internetu. Zatem na listę trafiła wizyta w tutejszym archiwum.

Sięgnęła po telefon, który może poza kuchenką elektryczną stanowił

najnowocześniejsze urządzenie w całym domu. Krążąc po częściowo nieogrzewanych pomieszczeniach, nigdzie nie odkryła na przykład telewizora.

Od pani z informacji telefonicznej uzyskała trzy numery telefonów do ślusarzy. Jeden miał akurat urlop, a u drugiego telefon wciąż był zajęty.

Co prawda mogło to świadczyć o jakości firmy, jednak Diana nie chciała dłużej czekać. Gdy wykręciła trzeci numer, w słuchawce odezwał się głos jakiegoś miłego starszego pana, który zaczął jej opowiadać, że wkrótce przechodzi na emeryturę. Wszelako skoro idzie o Tremayne House, zjawi się jutro po południu, żeby obejrzyć zamek.

Nie zdążyła nawet odłożyć słuchawki, kiedy zauważyła stojącego w drzwiach pana Greena. Nie wiedziała, jak długo stał tam,

czekając cierpliwie, aż skończy rozmawiać. Za to do jej nozdrzy dotarł jakiś smakowity zapach.

- Obiad będzie gotowy około pierwszej. Czy to pani odpowiada, panno Diano? - zapytał.

- Zależy, co to będzie - zażartowała, choć w głębi duszy wcale nie było jej do śmiechu.

- Angielska specjalność. Proszę się przygotować na niespodziankę! - dobiegł ją głos z korytarza, w którym kamerdyner zdążył już zniknąć.

Diana wcale nie była pewna, czy jeszcze lubi niespodzianki.

Przesunęła wzrokiem po schludnie zapakowanej paczuszce, niczym niezdradzającej ani co zawiera, ani gdzie została kupiona. Na brązowym papierze nie było żadnego firmowego logo, a paczka przewiązana była zwyczajnym sznurkiem, jaki można kupić na każdym rogu. „No dobrze, niech to będzie niespodzianka”, pomyślała, ciągnąc za sznurek.

Już przy otwieraniu wyczuła pod opuszkami palców coś niesamowicie miękkiego. A kiedy spostrzegła co to takiego, z wrażenia głośno nabrała powietrza. Była to pomarańczowa chusta pokryta przepięknymi wzorami w kolorze purpury i złota. Chusta nie była nowa. Jej brzegi były odrobinę wytarte, zaś haft przypominał ten z dawnych ubrań, jakie można było oglądać w muzeach. Nie była jakąś wielką znawczynią mody, jednak wydawało się jej, że gdzieś czytała o podobnych indyjskich chustach pokrytych orientalnymi wzorami, i w dodatku bardzo drogich. To z tego właśnie powodu w pewnym szkockim miasteczku o nazwie Paisley zaczęto owe wzory reprodukować.

„Dowody opieki” ciotki Emmely zawsze były też dowodem jej hojności,

jednak nigdy dotąd nie dostała czegoś tak pięknego.

Ciekawe, czy należała kiedyś do niej? Ale gdyby tak było, to dlaczego pan Green miałby ją skądś odbierać? A może była w naprawie? Jeżeli tak, to krawiec się nie postarał...

Nieoczekiwanie przypomniała sobie podobny wzór na tapecie.

Czyżby to również była jedna ze wskazówek Emmely?

Wzbraniała się przed konfrontacją z panem Greenem, przed zapytaniem go, czy Emmely wtajemniczyła go w całą tę intrygę.

Zresztą pewnie tylko by się uśmiechnął i dał jej jakąś zagadkową odpowiedź. Nie, sama do tego dojdę, postanowiła, przesuając w zadumie palcami po materii chusty i czując pod palcami chropowatość jej haftów.

## 5.

Anonsowaną przez pana Greena angielską specjalnością okazała się soczysta pieczeń jagnięca z ziemniakami i przepyszny sosem z lekko miętową nutą. Diana tak właściwie nie była wcale głodna, jednak kulinarne umiejętności pana Greena sprawiły, że objadła się do tego stopnia, iż miała wrażenie, że wracając do pokoju, zamiast iść, raczej się toczy.

Po południu ktoś zadzwonił do drzwi. Przenikliwy dźwięk dzwonka zupełnie nie pasował do wnętrza domu, był za to słyszalny w każdym jego zakątku. Ponieważ pan Green wyjechał po sprawunki, sama musiała otworzyć. Odstawiła laptop i podniósłszy się z wygodnej sofy, pośpieszyła do holu przez labirynt korytarzy.

Przybysz był najwyraźniej przyzwyczajony do dłuższego oczekiwania. Kiedy zjawiła się w końcu pod przeszklonymi drzwiami, stał nadal cierpliwie ze spuszczoną głową, z kapeluszem w ręku.

Mleczne szkło z secesyjnymi zdobieniami nie pozwalało odgadnąć od razu jego wyglądu. Dopiero kiedy pociągnęła za jedno ze skrzydeł, ujrzała przed sobą dżentelmena około osiemdziesiątki o gęstej, siwej czuprynie, odzianego w czarny trencz.

- Doktor Sayers? - wyrwało się jej.

Mężczyzna otworzył szeroko oczy ze zdumienia, jak gdyby zobaczył przed sobą ducha, po czym skinął głową. Wydawało się, że dopiero po dłuższej chwili skojarzył, kim ona jest.

- Pani jest wnuczką Beatrice, prawda?

- Tak, zgadza się - uśmiechnęła się Diana. Kiedy widziała go ostatni raz? W czasach jej dzieciństwa często odwiedzał Tremayne House. Ze względu na jego zawód łączyły go bardzo zażyłe stosunki z rodziną Emmely. Przestała go widywać, kiedy sama zaczęła tu bywać coraz rzadziej, po tym jak się usamodzielniała. Ciotka Emmely wspominała o nim wprawdzie od czasu do czasu, jednak dla Diany stał się już tylko duchem z przeszłości. Teraz wszakże pamięć ożyła.

- Mój Boże, kiedyż to widzieliśmy się po raz ostatni? - łagodny uśmiech rozjaśnił jego surową twarz. - Miała pani czternaście lat. To było chyba ze dwadzieścia lat temu.

- Możliwe. Ale pan wcale się nie zmienił. Sayers roześmiał się. Lody zostały przełamane.

- Proszę nie pochlebiać starcowi. Gotów sobie jeszcze nie wiadomo co pomyśleć!

- Pewnie przychodzi pan zapytać o ciotkę Emmely.

- Tak, już od kilku dni nie mam żadnych wieści. Jak ona się czuje? Na pewno cieszy się z pani wizyty. Zawsze traktowała panią jak swoją wnuczkę.

Diana spuściła smutno głowę. Sayers najwyraźniej o niczym nie wiedział.

- Proszę, niech pan wejdzie. Zaraz panu wszystko opowiem.

Lekarz w milczeniu podążył za nią do kuchni, zalanej akurat słońcem, które zdołało się przebić przez gęste chmury. Mimo że pan Green wykonywał swoje obowiązki nadzwyczaj sumiennie, w słonecznych promieniach tańczyły cząsteczki kurzu. Stare domy kurzą się same z siebie, zauważył kiedyś jej profesor podczas wykładu o renowacji budynków z przełomu wieków. Właśnie miała tego naoczny dowód.

- Proszę, niech pan usiądzie. I od razu przepraszam, że ciągnę pana do kuchni, ale narobiłam trochę bałaganu w salonie. Wszędzie leżą jakieś papierzyska.

Doktor kiwnął głową ze zrozumieniem i usiadł na kuchennym krześle.

- No tak, ze sprawami urzędowymi nigdy nie ma spokoju. Emmely pewnie cieszy się, że ma w pani oparcie.

Diana poczuła ścisk w gardle. Musi mu to w końcu powiedzieć.

- Ciocia Emmely trafiła do szpitala. Przedwczoraj, jak powiedział mi pan Green, znów miała udar.

- Dobry Boże! - Doktor Sayers bezradnie uniósł ręce. - Gdzie jest teraz?

- W St. James. W dodatku przyplątało się zapalenie płuc i została

podłączona do respiratora. Jest nieprzytomna. Byłam u niej dziś przed południem.

Sayers potrzebował trochę czasu, aby dojść do siebie.

- To takie straszne... Bardzo mi przykro, Miss Diana.

- Dziękuję - Diana westchnęła, spoglądając w przygnębieniu na swoje dłonie.

Pan Green nie wyszedłby z domu, nie zostawiwszy dzbanka z gorącą herbatą. Podniosła się więc z krzesła i rozlała napar do filiżanek. Tym razem herbaciany aromat nie zdołał odpędzić czarnych myśli, jednak przez wzgląd na gościa starała się nad sobą panować.

- Szkoda, że już nie praktykuję, a przez to nie mam prawa wkroczyć do żadnego szpitala jako lekarz rodzinny. Zapowiedziałem kochanej staruszce, żeby nawet nie myślała o odejściu. W końcu z kim będę mógł pogadać i poprzekomarzać się w środowe popołudnia?

Po jego twarzy przebiegł gorzki uśmiech. Diana zaś zastanawiała się w myślach, czy kiedykolwiek spróbował zacieśnić znajomość z Emmely. Owdowiała dość wcześnie i była jeszcze w wystarczająco młodym wieku, by przynajmniej sprawić sobie kochanka.

- Pamiętam dobrze jeszcze pani babkę - odezwał się lekarz, po czym upiwszy łyk herbaty, przymknął oczy. - Znakomita herbata! Ciekawe, czy są jakieś szanse, że Green zdradzi mi, skąd ją sprowadza?

- O to musi pan zapytać jego samego. Sayers westchnął z rezygnacją.

- Wątpię, ten stary szelma za bardzo lubi ze wszystkiego robić tajemnice. Zdaję sobie sprawę, że zabrzmiało to dość komicznie, skoro ja sam jestem od niego starszy o dobre trzydzieści lat. - Zaśmiał się i sięgnął po filiżankę. - A wracając do pani babki... Cóż to była za ślicznotka! Poznałem ją w nocy, tuż po jej przybyciu do Tremayne House.

Diana знаła zaledwie skrawek swojej rodzinnej historii. Pod koniec XIX wieku jej antenatka Grace wraz z mężem wybudowali w części Prus Wschodnich, należących teraz do Polski, dom nad brzegiem Bałtyku. Mąż Beatrice i jej matka Helena, córka Grace, zginęli w czasie exodusu w 1945 roku. Samej Beatrice, ciężarnej i bardzo wymizerowanej, udało się jakoś przepłynąć do Anglii. Matka Emmely przyjęła ją do domu, kiedy ten służył jeszcze jako wojskowy lazaret.

- Ze względu na swój stan nie mogła za wiele pomagać w szpitalu, mimo to bardzo starała się być przydatna. Nawet jeśli Deidre patrzyła na to

krzywym okiem.

Jego oczy wyglądały tak, jakby znów znalazł się w tamtych czasach.

Kiedy był młody i zapewne otoczony wianuszkami dziewcząt.

- Podejrzewam, że w jej stanie musiała się bardzo oszczędzać.

- To po pierwsze, a po drugie Deidre chyba nie do końca jej dowierzała.

W końcu nie było żadnego dowodu na to, że jest tym, za kogo się podaje.

Poza tamtym listem.

Diana nadstawiła uszu.

- Listem?

- Tak, nosiła go przy sobie. Ten list miała jej przekazać matka. Nie widziałem go na własne oczy, ale słyszałem, jak Deidre

i Emmely rozmawiały na ten temat. Zdaje się, że dla Beatrice to była ostatnia deska ratunku. W przeciwnym razie Deidre odprawiłaby ją z kwitkiem.

- A Emmely?

- Och, ona od samego początku przepadała za Beatrice. Traktowała ją chyba jak starszą siostrę.

„Rządy mężczyzn zastąpił matriarchat”, przypomniały się jej słowa pana Greena.

- W każdym razie Emmely i Beatrice były nierozłączne, zapewne najpierw z inicjatywy Emmely, która wbiła sobie do głowy, że uczyni coś dobrego dla biednej uciekinierki. Beatrice z kolei była bardzo zamknięta w sobie, prawdopodobnie dręczyły ją złe wspomnienia.

Dopiero po paru miesiącach stała się bardziej przystępna. Nikomu nie zwierzała się z tego, co przeszła, jednak musiało jej to także dodawać sił, co czyniło ją jeszcze piękniejszą i bardziej promienną.

Oczy doktora na moment zajaśniały szczególnym blaskiem, po czym znów przygasły.

- Śmierć Beatrice podczas narodzin jej córki Johanny była dla nas wszystkich szokiem. Owszem, bywały dni, kiedy czuła się gorzej, ale kładliśmy to na karb niedożywienia podczas ucieczki, no i ciąży.

Nawet przy względnie dobrym zaopatrzeniu nie było jednak mowy, żeby udało się komuś przytyć.

Diana starała się nie przerywać doktorowi. Historia śmierci jej babci nigdy nie była tematem rodzinnych rozmów. Emmely nie opowiadała o niej nikomu, a jej mama w ogóle jej nie znała. Nie spodziewała się, że teraz o niej usłyszy.



- Podczas parcia doszło niespodziewanie do silnego krwawienia.

Położna i ja byliśmy kompletnie bezradni. Podejrzewaliśmy, że doszło do rozerwania tkanek, ale mieliśmy nadzieję, że uda się zatamować krwawienie operacyjnie. Kiedy dziecko przyszło na świat, jeszcze przez godzinę walczyłem o jej życie. Na próżno. Straciła za dużo krwi.

- Ramiona Sayersa, do tej pory wyprostowane, jakby nadal znajdował się na sali operacyjnej, teraz opadły

bezwładnie. - Podczas obdukcji odnalazłem w jej ciele odłamek granatu. Nie mam pojęcia, dlaczego sama nigdy nie zwróciła na to uwagi. Niewykluczone, że po prostu go nie zauważyła, a on, wędrując po ciele, dotarł do tętnicy brzusznej.

- To znaczy, że jej śmierć była tylko kwestią czasu - powiedziała przygnębiona Diana, uświadamiając sobie jednocześnie, jak mało brakowało, by jej ród całkiem wygasł.

- Właśnie. Równie dobrze mogła umrzeć już w czasie ciąży. Jednak Bóg, czy ktokolwiek inny, chciał, aby to dziecko przyszło na świat. A w świetle późniejszych wydarzeń można by nawet stwierdzić, że przynajmniej raz los okazał się łaskawy dla potomków Tremayne'ów.

Emmely nie było dane mieć jeszcze jednego dziecka, po tym jak straciła pierwsze.

Cisza, jaka zapanowała po tych słowach, zabrzmiała jak echo minionych wydarzeń. Obrazy z przeszłości nabrały wyrazistszych kształtów i otoczyły Dianę i lekarza niczym kordon żołnierzy, nie dając im innego wyboru, jak tylko się im poddać.

- Czy istnieje jeszcze jej grób? Grób pani babki? - głos Sayersa rozległ się w ciszy niczym huk tłuczonej szyby. - Dawno nie byłem na cmentarzu. Teraz, kiedy zbliża się i mój koniec, unikam tego miejsca jak zarazy, z obawy, że już się stamtąd nie wydostanę.

Podczas gdy przeszłość oddalała się w ciemne zakątki domu, Diana wzruszyła ramionami, nieco oszołomiona, i nie zareagowała na żarcik gościa. Grób babci majaczył niczym zjawa jedynie gdzieś w odległych zakątkach pamięci z jej dzieciństwa. Skrzydlata zjawa. Emmely kazała bowiem ustawić na nim marmurową figurę anioła.

- Jeszcze nie zdążyłam tam zajrzeć. Ciocia Emmely zatrudniła ogrodnika, aby opiekował się grobem.

- Może powinna pani odwiedzić babcię. W przeciwieństwie do mnie pani

nie musi się jeszcze obawiać śmierci. A Beatrice chciałaby pewnie wiedzieć, na kogo wyrosła jej wnuczka. Jest pani do niej uderzająco podobna, proszę mi wybaczyć tę uwagę.

Diana poczuła nagły przyływ wyrzutów sumienia. Może zmarli, naprawdę na nas patrzają? Jeżeli tak, zarówno matka, jak i babka musiały być oburzone tym, co zrobił jej Philipp, podobnie jak i jej reakcją. Z

całą pewnością żadna kobieta przed nią nie spustoszyła swojego salonu w ataku furii.

- Pójdę tam, jak tylko uporam się z papierami.

Sayers popatrzył na nią, jakby chciał się przekonać, czy istotnie ma zamiar dotrzymać słowa. Następnie skinąwszy głową, sięgnął do kieszeni marynarki.

- Proszę, oto moja wizytówka, na wypadek gdyby coś się działo albo Emmely znów była gotowa na wizyty. Proszę dzwonić o każdej porze, jeżeli będzie pani miała ochotę się wygadać albo potrzebowała pomocy w domu.

Kiedy Diana podziękowała, oparł się na krzesło i spojrzawszy w sufit, uśmiechnął się, jakby dostrzegł tam coś dobrze sobie znanego.

- Ach, ten dom! Czuję się w nim prawie jak u siebie. I nadal mam przed oczami ten przytulny rozgardiasz, jaki panował tu w latach mojej młodości. Praca w lazarecie bywała niekiedy straszna, brakowało miejsca, panował głód. Jednak nigdy nie wymazałbym tego okresu ze swojego życia. Mimo tak wielu cierpień był też piękny.

Rozmawiali jeszcze jakiś czas na nieco lżejsze tematy, po czym doktor Sayers pożegnał się, obiecując, że zajrzy znowu w przyszłym tygodniu. Diana zorientowała się przy tym, że po prostu nie chciał

spędzać środowych popołudni w samotności. Nie miała jednak nic przeciwko jego obecności, nawet jeżeli łączyła się ona z niekoniecznie miłymi tematami.

Po powrocie do salonu osunęła się na sofę. Poczwała naraz, jak nogi się pod nią uginają. Opowieść doktora Sayersa była tak plastyczna, że zdawało się jej, jak gdyby babka zmarła zaledwie wczoraj. Piękna Beatrice. Znała ją jedynie z fotografii i nigdy zbyt wiele

o niej nie myślała. Tymczasem teraz jej wizerunek nałożył się na postać Emmely, która dzisiaj również stała na progu śmierci.

Może rzeczywiście powinna pójść na grób i sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku. Emmely nie może się już tym zająć. Poza tym, jak

podpowiadał jej jakiś wewnętrzny głos, powinna się zastanowić, gdzie pochować Emmely, gdyby zdarzyło się najgorsze.

Niewiele później, w samej bluzce i pulowerze, wyruszyła na wiejski cmentarz, oddalony od domu zaledwie o dziesięć minut drogi. Chrząst kamieni pod stopami miał w sobie jakąś hipnotyczną moc, która pozwalała odzyskać jasność umysłu i przyporządkować to, co właśnie usłyszała, do posiadanych już wspomnień.

Kiedy była w połowie drogi, słońce przedarło się wreszcie przez grubą warstwę chmur. Naraz cała okolica całkowicie zmieniła wygląd.

Krzewy jeżyn rozbłysły mieniącymi się w słońcu kroplami deszczu, rywalizując z nie mniej migotliwymi trawnikami. Głośniejsze odezwały się ptaki, a nawoływanie kukułki zwiastowało rychłe nadejście lata.

Ciekawe, że słońce pokazało się akurat teraz, pomyślała Diana. Może to znak? Wprawdzie nie wierzyła w podobne rzeczy, jednak kiedy spostrzegła w oddali cmentarz okolony kamiennym murem, ta nieoczekiwana jasność przepełniła jej serce lekkością. Miejsce, które zawsze wydawało się bardziej wietrzne niż reszta okolicy, otaczały lipy i kasztanowce. Pośród żelaznych krzyży nagrobnych wznosiła się niewielka kaplica, która była miejscem ostatniego spoczynku rodu Tremayne'ów. Diana nigdy dotąd nie zastanawiała się, dlaczego jej babka nie została właśnie tam pochowana. Teraz to pytanie nie dawało jej spokoju. Czy w kaplicy nie było już miejsca? Czy to Deidre nie chciała na to pozwolić? A może to była wola samej babki?

Odszukanie grobu Beatrice Jungblut nie zabrało dużo czasu. Anioł, trzymający wieniec nad porośniętą bluszczem płytą nagrobną, był widoczny z daleka.

Dawniej kaplica musiała być centralnym miejscem cmentarza, czas i rosnące potrzeby zrobiły jednak swoje, więc środek przesunął się teraz o dobre pięćdziesiąt metrów. Obecnie centrum stanowił właśnie ów anioł, którego skrzydła przewyższały nieco dach kaplicy. Nie wiadomo, czy był to zabieg celowy, że rzucany przez wieniec cień otaczał dokładnie daty urodzin i śmierci, jednak ten piękny efekt wywołał uśmiech na twarzy Diany.

- Witaj, babciu - powiedziała cicho, przykucnąwszy, i przesunęła palcami po wykutych w kamieniu znakach.

*Beatrice Jungblut  
z domu Feldmann*

1918-1945

Ktokolwiek opiekował się grobem, dobrze wykonywał swoją pracę.

Właściwie zawsze uważała to za niedorzeczne, by rozmawiać ze zmarłymi. Już jako dziecko była przekonana, że śmierć oznacza ostateczny kres. A mimo to czuła teraz ogromną potrzebę opowiedzenia tej kobiecie, po której odziedziczyła tylko jedną fotografię, no i geny, co wydarzyło się od czasu, kiedy stała tu ostatnim razem.

Zaczęła od studiów, opowiedziała o tym, jak poznała Philippa i jak stworzyła kancelarię. Zakończyła słowami o zdradzie męża i o tym, że Emmely jest umierająca, a ona sama ma wrażenie, że jej świat rozpada się na kawałki.

Kiedy podniosła głowę, by spojrzeć na wieniec, który anioł trzymał teraz i nad jej głową, zauważyła, że jego liście są jakieś dziwne.

Podczas studiów i w swojej pracy widziała już mnóstwo wieńców laurowych, bardziej lub mniej realistycznych, żaden jednak nie miał

takich liści! To nie był laur! Diana, poczuwszy łaskotanie w brzuchu, podniosła się, by przyjrzeć się im bliżej. To była najosobliwsza rzeźba, jaką kiedykolwiek widziała. Każdy z listków został wyrzeźbiony z niezwykłą pieczołowitością, jak gdyby według jakichś drobiazgowych wskazówek. Z westchnieniem

przesunęła dłonią po marmurze - tak gładkim, że nie zdołały się tam osadzić żadne porosty. Ach, Emmely, dlaczego nie mogę cię teraz o to zapytać!

A potem przypomniała sobie, że już widziała podobne liście. Nie pamiętała wprawdzie gdzie, ale wydały się jej niesamowicie znajome.

Łaskotanie w brzuchu jeszcze się wzmogło, a potrzeba odświeżenia pamięci stała się tak przemożna, że w jednej chwili obróciła się i pobiegła w stronę bramy, omal nie tratując po drodze dwóch dam, które, uzbrojone w konewki i grabki, zmierzały akurat na groby swoich bliskich. Nie zauważyła też ich wzburzonych gestów, bo była już daleko na piaszczystej drodze prowadzącej do domu.

Sport nigdy nie był jej mocną stroną. Przekonała się o tym ponownie, kiedy ciężko dysząc, wspiniała się na schody ganku Tremayne House.

Pan Green zdążył już wrócić i odstawić bentleya do garażu, którego brama stała teraz na wszelki wypadek otwarta.

Odsapnąwszy krótką chwilę, ignorując skurcz przepony, wpadła z impetem do kuchni, czym przeraziła pana Greena tak dalece, że prawie wypuścił z rąk dzbanek z herbatą.

- Co się stało?

Diana nie zwróciła jednak na niego uwagi. Dopadłszy kredensu, otworzyła z hukiem obie szufladki, a następnie jedne z drzwiczek.

- Jest! - z triumfalnym okrzykiem wyciągnęła stamtąd niewielki pakiecik. Dopiero wtedy spostrzegła, że kamerdyner patrzy na nią jak na wariatkę. - Przepraszam - powiedziała z zakłopotaniem, przycisnąwszy paczuszkę do piersi niczym najcenniejszy skarb. - Nie chciałam pana przestraszyć. Ale musiałam się upewnić.

Kamerdyner uniósł brwi.

- Upewnić? Czy mamy dość herbaty? Diana wybuchła śmiechem.

- Nie, panie Green. Ale wygląda na to, że ciocia Emmely pozwoliła sobie na lekką ekstrawagancję na grobie mojej babki.

- O czym pani mówi? - Kamerdyner zmarszczył czoło. Opowiedziała mu o wizycie doktora Sayersa, który zachęcił ją do odwiedzin na grobie babki.

- Dawno tam nie byłam i teraz łatwiej przyszło mi dostrzec detale -

dodała, po czym obróciła wyrwaną z kredensu paczuszkę i podniosła do góry niczym trofeum. - Wieniec trzymany przez anioła na grobie, a tym samym i jego cień rzucany na daty urodzenia i śmierci mojej babci, jest spleciony z liści herbaty.

- Wieniec z liści herbaty... - wymamrotał pan Green w zamyśleniu, kiedy parę chwil później siedzieli przy stole nad herbatą i ciastem. -

Jest pani pewna?

- Całkowicie - upierała się Diana, popijając ciasto herbatą. - Listki są dokładnie takie jak na tym opakowaniu. Oczywiście odrobinę bardziej dekoracyjne, jednak opierając się na własnym kilkuletnim doświadczeniu, kiedy zajmowałam się historycznymi budynkami, mogę z całą pewnością stwierdzić, że wieniec na grobie to nie wieniec laurowy.

Pan Green wpatrywał się w zamyśleniu w blat stołu, noszącego liczne ślady kuchennego noża.

- Ale dlaczego madame miałyby robić coś podobnego?

- Proszę mnie nie pytać - odparła Diana. - Tak czy inaczej to bardzo dziwne.

- Może pani babka szczególnie lubiła herbatę? A może to jakaś wróżba?

W końcu nie na darmo wróży się z herbacianych fusów.

Diana pokręciła jednak głową. Takie wyjaśnienia jej nie wystarczały.

Emmely nigdy nie była przesadna, nawet jeżeli teraz wspomniała jej o kłątwie. A wróżenie z herbacianych fusów wzbudziłoby najwyżej jej śmiech. Bardziej wiarygodne wydawało się wytłumaczenie o zamiłowaniu babki do herbaty. Wywodziła

się wszak z marynarskiej rodziny, dorastała na wybrzeżu. Ale czy to wystarczyłoby, aby przyozdobić grób liśćmi herbaty?

- Czy będzie pan miał coś przeciwko, jeżeli zabiorę tę paczuszkę i dodam do moich znalezisk? - zapytała, na co pan Green spojrzał na nią z nadzwyczajnym zdumieniem.

- Oczywiście, że nie. Mamy jeszcze spory zapas. Poza tym to pani tu teraz rządzi, przynajmniej do chwili powrotu madame.

Diana poczuła wzruszenie, że kamerdyner nie pogodził się jeszcze z odejściem swojej chlebodawczyni, i zawstydzienie, że jej własne serce mówiło, że dni Emmely są już policzone.

Po podwieczorku wróciła do salonu, gdzie odłożyła roztaczającą korzenny aromat paczuszkę tam, gdzie leżały już szal i telegram. Jak dalej tak pójdzie, będzie musiała poszukać jakiejś skrzyni.

Pracowała aż do wieczora, odpowiadała na e-maile z biura, ignorując przy tym kolejną, tym razem przysланą pocztą elektroniczną, wiadomość od Philippa. Zresztą czego on mógł chcieć poza próbą usprawiedliwiania się? O czym chciał z nią niby rozmawiać? Nie chciała już tego wiedzieć.

Wtuliwszy się w oparcie sofy, pomyślała, że to przeszukiwanie rodzinnych dziejów przypomina grę, w jaką bawiła się w dzieciństwie z Emmely. W Niemczech nazywano to *Schnitzeljagd*, czyli podchodami, a ciotka była mistrzynią w podkładaniu strzępków wiadomości. Szkoda tylko, że teraz jest w szpitalu i nie może jej udzielić żadnych wskazówek.

## 6.

W nocy, leżąc w staromodnym łożu, pod zalatującymi nieco stęchlizną kocami, Diana powróciła we śnie na cmentarz. Tym razem tonął w porannej mgle. Dianie zdawało się, że słyszy pośród niej jakieś szepty. Spostrzegła, że ma na sobie tylko koszulę nocną. Jej białe stopy zostawiały ślady na piaszczystej ścieżce, a jej rozpuszczone włosy, dłuższe niż w rzeczywistości, unosiły się na wietrze niczym welon.

Wyglądało na to, że nie licząc tych osobliwych szeptów, których źródło

przysłała gęsta, różowawa mgła, od ostatniej wizyty nic się tu nie zmieniło. Anioł nadal trzymał nad grobem wieniec. Wprawdzie mgła przysłała promienie słońca i na daty nagrobne nie padał teraz żaden cień, jednak widok i tak był imponujący.

Naraz coś musnęło delikatnie policzek Diany. Zrobiwszy krok w tył, zauważyła wyłaniającego się z mgły motyla. Mały, egzotycznie wyglądający owad przeleciał obok niej i krążąc nad aniołem, przysiadł

na wieńcu. Pod jego dotykiem listki ożyły, nabrały zielonej barwy i blasku. To samo stało się z trzymającym wieniec ramieniem i kolejnymi partiami figury, aż w końcu zamiast anioła Diana zobaczyła stojącą naprzeciw niej rudowłosą kobietę odzianą w biały całun. Z jej oczu płynęły łzy, złote niczym krople

herbaty. A potem nagle kobieta spojrzała na nią i powiedziała błagalnym tonem: „Zwróć mi go”. Te słowa, tak pełne smutku, bardzo przeraziły Dianę. Mrugając oczami, rozejrzała się dookoła i po chwili, zorientowawszy się, że jest w swoim pokoju, zrzuciła na ziemię wszystkie koce.

Ciężko dysząc, opadła z powrotem na poduszkę. „To tylko sen”, mówiła sobie w duchu, jednak myśl, że odwiedziła ją jej przodki -ni, by przekazać swoją prośbę, przyprawiała ją o gęsią skórkę.

Nie mogła już zasnąć, więc leżała wpatrzona w sufit i zastanawiała się nad gatunkiem motyla ze snu i nad tym, jak zdołał dotrzeć do zimnej Anglii. Statkiem? Niesiony prądem powietrza? A może samolotem, którego personel nie zauważył owada podczas sprzątnięcia.

Dopiero nad ranem udało jej się zmrużyć oczy. Tym razem nic się jej nie śniło, spała, dopóki nie obudził jej dźwięk komórki. Nastawiła budzik, wiedząc przez przecucie, że noc może być niespokojna. Przed południem zamierzała pójść do Emmely, żeby później mieć czas dla ślusarza, który miał się zjawić około południa.

Po rześkim prysznicu - ciepła woda jakoś nie chciała płynąć z kranu - i śniadaniu złożonym z herbaty i tosta z dżemem, przeszła do salonu, gdzie przez moment myślała, że opowie o wszystkim Emmely. Potem jednak uświadomiła sobie, że ciotka pewnie nie wybudziła się ze śpiączki.

Akurat przewieszając przez ramię pasek torebki, kiedy rozległ się dzwonek telefonu. Zamarła, podobnie jak pan Green czekający już na nią przy drzwiach. Nie umiałaby tego wytłumaczyć, ale miała złe przecucia. Kto to mógł być?

- To z pewnością ktoś ze znajomych madame - pocieszył ją kamerdyner, choć jego głos zabrzmiał niepewnie.

- Odbiorę - zdecydowała Diana i podniosła słuchawkę akurat po trzecim sygnale.

- Halo, Woodhouse - odezwała się na wypadek, gdyby faktycznie był to ktoś ze znajomych Emmely. Na przykład doktor Sayers z pytaniem o jej samopoczucie.

- St. James Hospital, doktor Hunter. - „To ten Pakistańczyk”, pomyślała Diana. - Czy rozmawiam z wnuczką pani Woodhouse?

- Tak, tu Diana Wagenbach - odpowiedziała, czując bolesny skurcz.

- Bardzo mi przykro, Mrs Wagenbach - powiedział lekarz po krótkiej pauzie. - Pani babcia zmarła przed godziną. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, ale nasze starania nie przyniosły rezultatu.

Diana opuściła słuchawkę. Poczła naraz, że nie ma siły jej trzymać.

- Halo? - usłyszała głos docierający ze słuchawki. - Wszystko w porządku?

Po krótkiej chwili, kiedy stała po prostu wpatrzona w dal, odłożyła słuchawkę i oszołomiona wróciła do holu. Twarz pana Greena nabrała ponurego wyrazu.

- Wszystko w porządku, panienko?

Diana pokręciła głową, a jej oczy napęłniły się łzami.

- Umarła godzinę temu.

Z tego co nastąpiło później, zapamiętała jedynie, że pan Green odprowadził ją na sofę w salonie. Na jego pytanie, czy mógłby jakoś pomóc, pokręciła tylko głową. Mimo to po pewnym czasie zjawił się ze świeżo otwartą paczką chusteczek i filiżanką herbaty, po czym dyskretnie wycofał się do kuchni.

Diana przez dłuższą chwilę wpatrywała się w kominek, na którym tłoczyły się fotografie nieżyjących już od dawna osób, a kiedy minął pierwszy szok, oddała się smutkowi.

Pan Green stał półprzysłony przy kuchennym oknie. Roztaczał się stąd widok na warzywnik i fragment parku, który po wojnie już nigdy nie wrócił do dawnej świetności.

Mimo że nie był zbyt sentymentalny, po jego policzkach płynęły teraz łzy. Nieme łzy. Nigdy nie pozwoliłby sobie bowiem na głośny płacz.

Bądź co bądź, był w dalszym ciągu na służbie.



Śmierć jego chlebodawczyni zmartwiła go nie tylko dlatego, że pani była dla niego dobra, lecz także z powodu tajemnicy. Teraz odpowiedzialność za jej ujawnienie spoczywała wyłącznie na nim. Nie będzie już mógł o nic zapytać pani Woodhouse. Będzie musiał polegać jedynie na tym, co poleciła mu wcześniej.

Druga wskazówka, mianowicie kalka pewnego listu, spoczywała w sejfie w Londynie. Madame nie powiedziała mu wprawdzie, co ów list zawiera, jednak musiał mieć on wielką wartość. Zgodnie z jej poleceniem miał go podrzucić Diane w jakiś dyskretny sposób. Do tej pory nie zaprzętał sobie tym jednak głowy, bo zakładał, że madame pozostanie odrobinę dłużej wśród żywych. Może wymyśli coś podczas jazdy do miasta. Miss Diana z pewnością zechce pojechać do szpitala, jak już zawiadomi zakład pogrzebowy.

Podszedł prosto do komody obok drzwi i wyjął z niej grubą, dawno nieużywaną książkę. Znajdująca się między jej kartkami koperta powędrowała do kieszeni marynarki. Następnie sięgnął po książkę telefoniczną i ruszył z nią do pokoju.

Diana była bardzo wdzięczna, kiedy pojawił się z książką telefoniczną otwartą na stronie z najbliższymi zakładami pogrzebowymi.

Przypomniała sobie pogrzeb matki i całe mnóstwo związanych z nim formalności. Na szczęście tym razem miała przy sobie pana Greena, dzięki któremu czuła się nieco mniej tym wszystkim przytłoczona.

- Norton & Fenwick ciszą się tu dosyć dobrą opinią, pracownicy są schludni i dyskretni, a trumny nie są kupowane okazyjnie w Europie Wschodniej - wyjaśnił, wskazując palcem na zupełnie niepozorny anons z nazwą firmy umieszczoną jedynie w prostej, czarnej ramce.

Nic dziwnego, że ginął na tle innych ogłoszeń, pełnych palmowych gałązek, wytwornych róż, krzyży i wieńców.

- Czy ciocia Emmely życzyłaby sobie tego?

- Na pewno wolałaby pogrzeb w dobrym guście, a jestem pewien, że tego właśnie możemy się spodziewać po tym zakładzie. Czy chce pani, abym to ja zadzwonił?

- Nie, zrobię to sama po drodze. Teraz najlepiej będzie pojechać jak najszybciej do szpitala.

- Ależ oczywiście.

Pan Green pośpieszył na zewnątrz, zaś Diana pobiegła schodami na górę. Kiedy pierwszy szok minął, ogarnęła ją absurdalna nadzieja, że ten lekarz może się pomylił. Że zdarzył się cud i ciocia Emmely jednak zmieniła zdanie. Jednak gdy znalazła się w pokoju, dopadła ją rzeczywistość i przygniotła niczym ciężki plecak. Nie miała tu ze sobą żadnych eleganckich czarnych ubrań, zapięła więc tylko naprędce guziki w czarnym sweterku i chwyciła torebkę.

Kiedy wracała na dół, jej wzrok prześlizgnął się po obrazie ze sceną nad stawem. Przez moment miała wrażenie, że w twarzączce Victorii rozpoznaje rysy ciotki. Próbując panować nad sobą, wsiadła do bentleya, który z rykiem silnika ruszył zwirową drogą.

Siedząc już we wnętrzu pomrukującego auta, odbyła rozmowę z bardzo uprzejmą i miłą starszą panią, która obiecała przysłać do szpitala karawan najszybciej, jak to będzie możliwe.

- Miał pan rację, wydają się bardzo kompetentni.

- Cieszę się, że mogłem pomóc.

- Zamierzają być w klinice za pół godziny - westchnęła Diana. -

Szczerze powiedziawszy, wcale nie wiem, czy jestem gotowa na taki widok.

- Na pewno niewiele się zmieniła - odparł pan Green. - Ja też obawiałem się, jak śmierć wpłynie na wygląd mojej matki. Ale nie było tak źle. Wyglądała, jakby spała. Zresztą być może w klinice zwieziono już panią Woodhouse do podziemi, żeby przygotować ją na przejście przez zakład.

Zorientowawszy się, że nieco się zagalopował w tym pragmatyzmie, pan Green umilkł. Ale Diana nic nie zauważyła. Patrzyła na mijane okolice, po czym odezwała się:

- Pewnie weźmie mnie pan za wariatkę, ale ja chętnie ją jeszcze raz zobaczę. Mimo że się boję. Teraz mam ją przed oczami, jak leży podłączona do wszystkich tych rurek. Chciałabym zobaczyć ją pogrążoną we śnie, jakby miała się zaraz przebudzić i zdziwić na mój widok.

- Dla mnie nie ma w tym nawet krzty wariactwa - odpowiedział

kamerdyner, następnie docisnął pedał gazu, ignorując mijany właśnie znak z ograniczeniem prędkości.

Na oddziale panował na szczęście taki ruch, że nikt nie miał nawet czasu na współczujące spojrzenia. Pielęgniarka w dyżurce kazała jej poczekać na krześle w korytarzu. Spoglądając nieobecny wzrokiem na łóżko, które

przejechało obok, Diana czuła osobliwy spokój.

Oczywiście przepelniał ją żal, jednak strach gdzieś zniknął. Już nie musiała martwić się o Emmely. Jeżeli niebo naprawdę istniało, trafiła do swoich bliskich, którym mogła teraz opowiedzieć o swoim życiu.

Doktor Hunter zjawił się przed nią znienacka, czym potwornie ją przestraszył.

- Och, przepraszam! - Diana uderzyła się w pierś. - Zamyśliłam się.

- Nic dziwnego. - Lekarz podał jej dłoń. - Wyrazy współczucia...

Diana skinęła głową, po czym podniosła się z krzesła, spodziewając się, że lekarz będzie wolał rozmawiać z nią gdzie indziej niż na korytarzu.

- Zabraliśmy ją do sali zmarłych. Wiedzieliśmy, że pani tutaj jest, więc nie zawieziono jej od razu do podziemi. Przypuszczam, że powiadomiła już pani zakład pogrzebowy?

- Tak. - Diana poczuła, że nogi się pod nią uginają, jak gdyby zaraz miała dostać ataku paniki. „Masz przy sobie lekarza - powiedziała sobie czym prędzej w duchu. - W razie czego cię podtrzyma”.

- Możemy iść? Na pewno chce ją pani jeszcze raz zobaczyć? Chyba przytaknęła, bo doktor Hunter prowadził ją teraz gdzieś na koniec korytarza, do sali, w której nigdy nie była.

Serce zaczęło jej łomotać i najchętniej powiedziała by mu, że się rozmyśliła. Że wystarczy jej galeria wizerunków Emmely, jaką ma już w swoim sercu. Potem jednak drzwi się otwały i zobaczyła ją.

Ciało Emmely, przykryte prześcieradłem, wydawało się kruche jak u staromodnej porcelanowej lalki. Uwolniona od rurek i przewodów rzeczywiście wyglądała jak pogrążona we śnie. A o przeżytym cierpieniu przypominały jedynie cienie pod zapadniętymi oczami.

Jej włosy, które ktoś niemal z czułością rozłożył na poduszce, wyglądały jak ślubny welon przeplatany miedzianymi nitkami.

- Miała spokojną śmierć - powiedział lekarz. - Po prostu zasnęła i już się nie obudziła. Kiedy rozległ się alarm, próbowaliśmy ją jeszcze przywrócić do życia, ale ona wolała odejść.

Czy śmierć istotnie była kwestią decyzji? Czy Emmely wróciłaby, gdyby tylko tego chciała? A może uznała, że wolno jej już odejść, bo opowiedziała swojej ciotecznej wnuczce o istniejącej tajemnicy?

Diana przykryła usta dłonią, a z jej oczu potoczyły się łzy. Mimo ucisku w piersi, nie była jeszcze w stanie głośno zaszlochać. Nie dawało jej spokoju,

że Emmely wytrzymała tak długo tylko po to, by przekazać jej zadanie odkrycia rodzinnej tajemnicy.

Nie dotarły do niej słowa lekarza o przyczynie śmierci. Doszła do siebie dopiero, kiedy we współczującym geście położył jej dłoń na ramieniu.

- Zostawię teraz panią na chwilę samą. Może pani wyjść, kiedy pani zechce. Kiedy przyjadą z zakładu pogrzebowego, pošlę ich tutaj.

Diana podziękowała skinieniem i usłyszała, jak drzwi się zamykają.

Stała jeszcze przez chwilę, po czym przysunęła sobie krzesło i usiadła.

- Znalazłam pierwsze wskazówki - wyszeptala, gładząc Emmely po głowie i czując przy tym chłód jej skóry. - Ale nie wiem, jak to ze sobą połączyć. Tak bardzo chciałabym, żebyś tu była i mogła mi pomóc.

Umilkła, jak gdyby czekając na odpowiedź, choć wiedziała, że ta nie padnie. Po jakimś czasie rozległo się pukanie i do środka weszło dwóch mężczyzn w czarnych garniturach. Diana przywitała się z nimi, po czym rzuciwszy Emmely ostatnie spojrzenie, wyszła. „Spełnię obietnicę”, pomyślała, kiedy oparłszy się o ścianę korytarza, cicho zapłakała.

Po południu, zgodnie z zapowiedzią, zjawił się ślusarz. Jego dzwonienie do drzwi wyrwało Dianę ze snu.

Wróciła ze szpitala kompletnie wyczerpana. Położyła się na kanapie, ale całe ciało wydawało się jej nadal ciężkie jak ołów. Odrzuciła myśl, by po prostu nie otwierać, i pobiegła do drzwi. Przecież obiecała!

Ślusarz, siwowłosa jegomość w niebieskim kombinezonie, mógł być już dobrze po sześćdziesiątce. Kiedy mu otworzyła, wyprostował się i spojrzał na nią zdziwiony.

- Wszystko w porządku, proszę pani? Może przyjdę kiedy indziej?

Musiał zauważyć, że płakała.

- Już dobrze - odpowiedziała Diana, ocierając łzę czającą się w kącie lewego oka. - Dowiedziałam się dziś, że zmarła moja ciocia.

- O, bardzo współczuję. Pani Woodhouse była uroczą osobą. Od czasu do czasu kazała u mnie dorabiać klucze.

- Dziękuję, to miło z pana strony - odparła Diana i zamrugnęła piekącymi od łez oczami, bo dzienne światło za bardzo ją raziło.

- Ale jest pani pewna, że nie powinienem jednak przyjść innym razem?

- Nie, panie Talbott. Proszę wejść.

Przepuszczając ślusarza w drzwiach, spostrzegła pana Greena, który z

zaciętą miną pchał przed sobą taczkę z obciętymi gałązkami żywopłotu. Każdy radzi sobie z żalobą po swoim, pomyślała. Też miałyby ochotę odreagować. Może spacer? Albo przejażdżka rowerem?

Z obojętnością właściwą osobom, które bywały w danym miejscu dostatecznie często, pan Talbott ruszył za nią korytarzem, nie rozglądając się zanadto dookoła.

- Nie wiedziałam, że pracował pan już dla mojej ciotki - odezwała się Diana, czując się zobowiązana do rozmowy. To tak jak u fryzjera.

Nawet jeśli nie mamy ochoty rozmawiać z nieznaną osobą, zaczynamy w końcu gawędzić choćby o pogodzie, byleby nie patrzeć na tę markotną twarz w lustrze.

- Tak, pani Woodhouse nie była może zbyt rozmowna, ale bardzo miła. Dopóki wszystko szło po jej myśli, pozwalała pracować w spokoju. Szkoda tylko, że nie znalazła sobie drugiego męża. A, jak mówią we wsi, starał się o nią niejeden.

Czy ciotka rzeczywiście dostarczała tematów do rozmów we wsi?, zastanawiała się Diana. W dzieciństwie nie miała jak się o tym dowiedzieć, bo rzadko opuszczała ochronną strefę parku i niemal nie miała kontaktu z dziećmi z okolicy.

Dotarli do gabinetu i Diana zrezygnowała z dalszych pytań.

Pomieszczenie za skrzydłowymi drzwiami też zdawało się nie robić wrażenia na przybyszu. Za to widząc skrytkę za regałem, aż krzyknął ze zdumienia.

- Tremayne House nie mogłoby istnieć bez tajnych przejść i skrytek!

Każdy angielski dworek miał podobne zakamarki. Wciąż powtarzałem to pani Woodhouse, ale nie chciała o tym słyszeć.

Czy naprawdę były tu jakieś tajemne korytarze? Albo piwnice skrywające jakieś sekrety? Diana stanęła z boku, przyglądając się, jak ślusarz bada palcami brzegi małych drzwiczek, jak gdyby spodziewał

się tam znaleźć jakieś magiczne znaki. Po gruntownych oględzinach skrytki i zamka wyjął z torby coś w rodzaju plasteliny.

- Dzisiaj ślusarze posilkują się silikonem - wyjaśnił. - Ale ja uważam, że to nic niewarte, bo tylko kleją się od tego klucze. Wolę stare metody.

Diana nie miała na ten temat zbyt wiele do powiedzenia, bo kompletnie nie znała się na ślusarstwie. Pozwoliła mu więc robić swoje, po czym kiwnęła głową, kiedy pokazał jej odcisk zamka.

- Niech pani spojrzy! To będzie chyba jeden z najpiękniejszych kluczy, jakie kiedykolwiek robiłem! Proszę mi dać parę dni, a potem go pani przyniosę.

Diana zgodziła się i odprowadziła ślusarza do drzwi. Następnie zamiast do salonu poszła raz jeszcze do gabinetu. Będąc tu w obecności Talbotta, poczuła dziwny spokój. Koniuszkami palców z nabożeństwem przesunęła po blacie stołu i usiadła na krześle, które cicho zaskrzypiało. Przyglądała się chwilę skrytce i książkom, po czym odwróciła głowę w stronę okna.

Jaki wspaniały musiał być kiedyś ten ogród! Chociaż pan Green robił wszystko, by utrzymać w nim ład i porządek, nie przypominał już tych wystawnych angielskich ogrodów z ilustracji. Mimo to jego widok działał kojąco. Stopniowo zaczęło do niej docierać, dlaczego jej przodkowie wybrali właśnie ten pokój na miejsce pracy. Akurat ten pokój, który w dzieciństwie przyprawiał ją o gęsią skórę. Stwierdziła ze zdumieniem, że teraz, kiedy Emmely umarła, coś się zmieniło.

Jakby ten dom zaakceptował ją jako nową panią.

Ponieważ przygnębienie z powodu śmierci ciotki nieco ustąpiło, postanowiła ulokować tu swoją „centralę”. Przyniosła więc z salonu laptop, bezprzewodowy telefon, szal, paczkę z herbatą, telegram i urządziła się na nowo w gabinecie. Kiedy skończyła, przyszło jej jednak do głowy, że teraz powinna się zająć innymi sprawami. Trzeba zamówić pastora, obejrzyć miejsce pochówku i załatwić sprawy w urzędach. Z westchnieniem pogładziła tylko miękki jedwabny szal i zaczęła układać nową listę spraw do załatwienia.

## 7.

Przez kolejne dwa dni Diana była tak zajęta przygotowaniem do pogrzebu, że nie miała czasu ani zatroszczyć się o sprawy w biurze, ani kontynuować poszukiwań związanych z rodzinną tajemnicą. Kiedy już wybrała trumnę, porozumiała się z pastorem i załatwiła wszystkie formalności, zakupiła w niewielkim butik w pobliżu szpitala klasyczny czarny kostium, czarną bluzkę z jedwabiu, do tego stosowne rajstopy i czarne pantofle. Pozostała jej już tylko kwestia przygotowania miejsca pochówku.

Pan Green, który jak zwykle przewidywał każde jej życzenie, miał już pod ręką klucz od krypty, nim jeszcze zdążyła go o to zapytać.

- Co ja bym bez pana zrobiła! - zawołała, na co kamerdyner lekko się skłonił.

- To mój obowiązek, by służyć pani pomocą. Nic więcej.
  - Jest pan zbyt skromny - odparła, rozbawiona jego staroświeckim gestem. - Kiedy zabezpieczę majątek mojej ciotki, dam panu podwyżkę. A wtedy będzie pan łaskaw wyjawić mi wreszcie swoje imię.
- Pan Green tylko uśmiechnął się dyskretnie pod nosem.

Tym razem pojechali na cmentarz samochodem, co ściągnęło na nich zdziwione spojrzenia osób odwiedzających akurat groby swoich bliskich. Wprawdzie już dawno minęły czasy, kiedy wieś pławiła się w blasku właściciela ziemskich posiadłości, nadal jednak spoglądano na członków jego rodziny z nabożną czcią. Zwłaszcza w takim miejscu jak cmentarz, a tym bardziej że wieść o śmierci pani Woodhouse już się rozeszła.

Pod ostrzałem spojrzeń Diana po raz pierwszy w życiu weszła do miejsca wiecznego spoczynku Tremayne'ów, swoich odległych przodków. Tu także znać było troskliwą rękę ogrodnika. Musiał mieć dodatkowy klucz do krypty, bo po jej otwarciu wcale nie buchnęła na nich chmura kurzu, a na ziemi nie leżał ani jeden suchy liść.

Patrząc z zewnątrz, zastanawiała się, jak taka mała kaplica może pomieścić tak wiele trumien. Teraz, stojąc w drzwiach, na próżno szukała jakiegokolwiek sarkofagu czy urny. Z rozwiązaniem tej zagadki pośpieszył nieoceniony pan Green. Trzymaną w pogotowiu latarką oświetlił niewielką żelazną furtkę, za którą widniały jakieś czarne kształty.

- Właściwa krypta znajduje się pod ziemią. Drzwiczki otwiera ten wąski, srebrny kluczyk.

Diana czuła się nadzwyczaj osobliwie, wkraczając do tego przybytku umarłych. Przypominał jej on nieco wnętrza egipskich grobowców, jakie widziała kiedyś w reportażu National Geographic. Naturalnie nie było dla niej niczym nowym, że bogate rodziny posiadają tego rodzaju krypty. Jednak jeszcze nigdy nie była w takim miejscu. A w dodatku ten akurat grobowiec mieścił prochy jej własnych przodków. Jako dziecko zastanawiała się czasami, jak by to było spotkać ich wszystkich, pójść razem z nimi na spacer albo wypytać o czasy, w których żyli. Teraz natomiast dawna ciekawość zamieniła się w przygnębienie. To miejsce, zastawione regałami z trumnami, ze stoją-

cymi pośrodku sarkofagami, uświadomiło jej, co pewnego dnia czeka każdego.

- W sarkofagach leżą protoplasta Tremayne'ow i jego żona, prawda? - zapytała, oświetlając tabliczki na masywnych, kamiennych bryłach.

- Zdaje się, że tak - odpowiedział kamerdyner, który pozostał na schodach, po których spływało na dół słabe światło dzienne. - Pozostali członkowie rodziny spoczywają na bocznych regałach. W niektórych kryptach każdy ze zmarłych ma nawet osobną półkę na ścianie.

Począwszy od lewej, Diana zaczęła się rozglądać po pomieszczeniu zgodnie z kierunkiem wskazówek zegara. Każde kolejne imię i nazwisko przyporządkowywała potem, podług dat wypisanych na trumnie, do miejsc na rodzinnym drzewie genealogicznym o rozłożystej koronie. W końcu zatrzymała się przed jedną z trumien z polerowanego, dębowego drewna, ozdobionego przepięknymi intarsjami, które nawet po tak wielu latach wciąż wyglądały niemal jak nowe. Starłszy kurz z mosiężnej tabliczki, odczytała napis: „Tu spoczywa w Panu Victoria Princeton, z domu Tremayne, 12 września 1873-15 sierpnia 1929”. Słynna Victoria, babka Emmely. Ciotka niewiele o niej mówiła. Zresztą nic dziwnego. Kiedy zmarła, Emmely miała zaledwie dziewięć lat.

Jeżeli dobrze zrozumiała system, według którego układano trumny, przed nią lub za nią musiała być pochowana jej siostra Grace. Jednak jej trumny brakowało, jak stwierdziła, oświetliwszy pozostałe. Stały tam trumny Henry'ego Tremayne'a, jego żony Claudii, Deidre i jej małżonka. Żaden z Tremayne'ow nie żył długo. To samo zresztą dotyczyło i jej rodziny. Nikt nie dożył nawet siedemdziesiątki. Na ich tle Emmely była wyjątkiem.

Brak Grace dałoby się wyjaśnić w ten sposób, że jej mąż mógł obstawać za tym, by mieć ją przy sobie. Sam był kapitanem i został pochowany najprawdopodobniej w Prusach Wschodnich, przynajmniej tyle wiedziała od swojej matki. Ale dlaczego Beatrice, która nie miała tu wprawdzie żadnych bliższych krewnych, ale przecież należała do potomków Tremayne'ow, nie spoczywała

w krypcie? Dlaczego przeznaczono dla niej osobny grób - z aniołem trzymającym herbaciany wieniec?

- Czy słyszał pan kiedykolwiek, dlaczego moja babka nie została pochowana w krypcie?

- Przykro mi, nie słyszałem - odpowiedział pan Green, który nadal stał przy wejściu. - To jedna z tych rzeczy, o których nie mówiło się w ogóle. Ale może taka była wola pani babki?

Czy Beatrice, wyczerpana porodem, byłaby w stanie wyrazić jeszcze



takie życzenie? Jeżeli była umierająca, było jej chyba obojętne, gdzie zostanie pochowana. Czy nie była to raczej wola Deidre, która wciąż traktowała ją z nieufnością?

Kiedy Diana nachyliła się, by zajrzeć na pustą półkę pod miejscem spoczynku Deidre, światło latarki oświetliło jakiś przedmiot pod jej trumną.

- A to co takiego? - wymamrotała, oświetlając dalej wnękę poniżej trumny. Pożółkły i lekko pognieciony kawałek papieru leżał tam, pokryty warstewką kurzu, tuż na wyciągnięcie ręki. Najpierw pomyślała, że to ogrodnik wetknął tam papier po kanapkach, kiedy jednak go wyciągnęła, okazało się, że to koperta. - Panie Green?

Nie było odpowiedzi, bo kamerdyner już dawno wyszedł na zewnątrz.

- Przepraszam, wołała mnie pani? - zapytał, zbiegając po schodach. -

Chciałem tylko sprawdzić, czy nie przyszedł już ogrodnik.

Diana odwróciła się do niego ze wzrokiem wciąż utkwionym w trzymanym liście.

- Znalazłam to pod trumną Deidre. To jakaś koperta. Obróciła list w palcach. Zaadresowany był do Grace Tremayne, nie zawierał jednak ani nadawcy, ani żadnej daty. Koperta nie była zaklejona, mimo to Diana postanowiła zajrzeć do niej dopiero później.

Z każdą chwilą czuła się w krypcie coraz bardziej nieswojo, jak gdyby naraz spoczęły na niej spojrzenia wszystkich jej przodków.

- Zaglądała pani do środka?

Pan Green wydawał się dziwnie mało zaskoczony.

- Nie, zrobię to potem - odpowiedziała i wsunęła kopertę do kieszeni.

- Podejrzewam, że to miejsce jest przeznaczone dla mojej ciotki. Jak pan sądzi? Tu, pod trumną jej matki.

- Jestem pewien, że pani Woodhouse będzie z niego zadowolona.

Diana spojrzała w głąb ciemnej wnęki i wzdrygnąwszy się, opuściła kryptę. Może babcia rzeczywiście nie chciała tu leżeć. Może wołała otwartą przestrzeń i widok na gwiazdy. Albo na wieniec z liści herbaty?

Na górze czekał już na nią ogrodnik. Po krótkim omówieniu szczegółów co do przebiegu pogrzebu odesłała pana Greena do domu, a sama zdecydowała się na powrót piechotą. Po drodze spotkała kilka osób, które pozdrowiła grzecznie, choć znów zarejestrowała wyłącznie zdumione spojrzenia. Sięgnęła zaraz do kieszeni, by wyjąć list, jednak ostatecznie z tego zrezygnowała. Zamiast tego zaczęła się zastanawiać, kto mógł go

podłożyć pod trumnę. Emmely? A może ktoś go ukradł, lecz dopadły go wyrzuty sumienia, i nie znalazł lepszego miejsca, by go ukryć? Kto jednak mógł tak po prostu wejść do krypty?

Po powrocie do Tremayne House od razu skierowała swe kroki do gabinetu, gdzie opadła na krzesło. Poczła przytłaczający ją ciężar. Dał

o sobie znać stres ostatnich dni. Właściwie wolałaby się położyć na sofie, jednak list nie dawał jej spokoju. Co w nim było? Czy było możliwe, że przeleżał tam wszystkie te lata od pogrzebu Deidre?

Wskazywałby na to kurz, a ponieważ leżał w ciemności, nie nosił zbyt wielu śladów pleśni czy zżółknięcia. Koperta była jednak zatłuszczona na brzegach i pokryta licznymi brudnymi odciskami palców, a kiedy Diana obróciła ją na drugą stronę, wydało jej się, że widzi nawet kilka kropli zaschniętej krwi.

Ostrożnie  
rozprostowała  
kopertę

na

szklanym  
blacie.

Najprawdopodobniej ktoś kiedyś najpierw ją zgniótł, a następnie próbował wygładzić, najpewniej włożył ją nawet do książki.

Zagniecenia pozostały jednak widoczne i koperta wyglądała niczym zmięte ubranie wyprasowane letnim żelazkiem.

Na kopercie jako adresatkę wpisano na maszynie „Grace Tremayne z Tremayne House”. Przodkinię Diany. Może to list od wielbiciela?

Nazwiska nadawcy nie było na kopercie.

Z lekkim drżeniem wyciągnęła z niej kartkę papieru. Była tak samo zabrudzona, ale przynajmniej nie nosiła śladów krwi. Rozmyty atrament wskazywał, że list musiał kiedyś zamoknąć. Miejsca złożenia sprawiały wrażenie tak kruchych, jak gdyby przy dotknięciu miały się rozpaść na drobniutkie włókienka drewna.

List był dość krótki, jednak te parę linijek wystarczyło, by Diana ze zdumieniem opadła na oparcie krzesła. Babka Emmely Victoria przepraszała w nim swoją siostrę, wspominała o jakimś skandalu i zapowiadała wizytę mężczyzny, w którym Grace najwyraźniej była zakochana. Poza tym obiecywała, że zawsze będzie służyć pomocą rodzinie Grace.

Co się wtedy wydarzyło? Dlaczego Grace i Victoria nie były w jednym miejscu? Diana odwróciła kartkę, ale nie znalazła żadnej wzmianki, gdzie list nadano, jedynie datę: 15 lutego 1888 roku. Niemal dokładnie półtora roku wcześniej nadszedł telegram o śmierci brata. A teraz ten list. Czy coś łączyło te dwa fakty?

Spojrzała z żalem na skrytkę. Może odpowiedź kryje się tam w środku? Szkoda, że na klucz trzeba będzie jeszcze trochę poczekać. Był

dopiero czwartek. No i teraz czekał ją pogrzeb.

Popatrzyła jeszcze raz na pismo i nagle przypomniała sobie słowa doktora Sayersa. O liście, który miała przy sobie Beatrice, prosząc o pomoc po swoim przybyciu. Czy chodziło o ten właśnie list? Czy to właśnie była owa dawna obietnica pomocy? Tak przynajmniej wynikałoby z jego treści.

Diana rozmyślała nad tym jeszcze jakiś czas, jednak żadna odpowiedź nie przychodziła jej do głowy. W końcu stwierdziła, że najlepiej będzie położyć się spać. Po włożeniu listu z powrotem do koperty umieściła go obok telegramu i paczki herbaty, następnie zgasła światło i poszła na górę.

**8.**

W dniu pogrzebu pogoda była iście żałobna. Nawet w dzień panował lekki półmrok, a światło rzucane przez lampy zdawało się wyciekać przez okna, dając zaledwie mętną poświatę.

- Czy nie należało zasłonić luster? - zapytała Diana z zadumą, poprawiając fryzurę w niedużym kuchennym lustrze, które niegdyś pozwalało kuchmistrzynie czuwać nad personelem nawet wtedy, gdy stała odwrócona plecami. Rzadko nosiła związane włosy, pasowały one jednak do okoliczności, także do kostiumu.

- Już dawno zarzucono ten zwyczaj - machnął ręką pan Green. - Pani Woodhouse uznałaby to za zabobon - odpowiedział i spojrział na Dianę.

- Wygląda pani bardzo wytwornie. Pani ciotka byłaby z pani dumna.

- Dziękuję - odparła, przyciskając do nosa kciuk i palec wskazujący, by powstrzymać łzy. - Proszę się jednak wstrzymać z komplementami, bo będę wyglądać jak Alice Cooper.

Pan Green uśmiechnął się.

- Dobrze, że humor pani nie opuszcza.

- A mnie się zdaje, że my Niemcy nie mamy poczucia humoru.

W oczach kamerdynera błysnęły szelmowskie iskierki.

- Ależ pani nie jest Niemką, Miss Diana. W pani żyłach płynie jeszcze sporo brytyjskiej krwi.

- Od razu mi lepiej.

Chwilę później opuściła dom w jego towarzystwie. Nabożeństwo żałobne za ciotkę miało się odbyć w wiejskim kościółku. Diana przypuszczała, że wiele osób zechce złożyć jej kondolencje, zaopatrzyła się więc zawczasu w odpowiednią ilość chusteczek. Jeżeli nawet posiadała w żyłach niemałą domieszkę brytyjskiej krwi, to daleka była od typowo angielskiej powściągliwości.

Przed kościółkiem stał już rząd samochodów.

- Wygląda na to, że przyszli wszyscy, i ci zaproszeni, i ci nie-zaproszeni.

- Pan Green sprawiał wrażenie zadowolonego. Już od wczoraj czynił wielkie przygotowania do uroczystości pogrzebowych.

Przynajmniej będzie komu zjeść tę górę ciasta, którą upiekł.

Diana popatrzyła odrobinę zaniepokojona w stronę owej rzeszy żałobników, trzymających w rękach bukiety kwiatów albo wieńce. Na jej barkach spoczywała ogromna odpowiedzialność. Wszyscy ci ludzie, którzy

znali, lubili, a przynajmniej szanowali jej ciotkę, oczekują teraz stosownej uroczystości. Oczywiście gdyby to od niej zależało, wszystko powinno przebiec jak należy, ale jak zawsze diabeł

tkwił w szczegółach. A przy tym myśl o tajemnicy nie dawała jej spokoju. W nocy przyśniła jej się nawet Emmely, napominając, by nie traciła czasu. Wskazówki mogły przecież zniknąć jak ślady na piasku zmyte przez fale. Wciąż jeszcze czuła zimny pot, z jakim się po tym śnie przebudziła.

- Idziemy? - zapytał pan Green i zaoferował jej swoje ramię. Diana przyjęła je i mijając zgromadzonych, przeszła do portalu. Trumna stała przed ołtarzem. Była zamknięta, zgodnie z dyspozycją Emmely, jaką Diana znalazła w jej notatkach. „Nie chcę, aby na mnie patrzono, kiedy nie będę już mogła sama temu zapobiec” - napisała swoim charakterystycznym pismem, co wywołało uśmiech na twarzy Diany.

Zastanawiała się teraz, czy ludzie

nie uznają tego za coś dziwnego. Jednak goście po prostu ruszyli w ślad za nią, a kilku mężczyzn, mijając trumnę, skłoniło się w milczeniu.

Ku wielkiej uldze Diany ceremonia przebiegła tak, jak to sobie zaplanowała - i jak życzyłaby sobie tego Emmely. Pastor w ciepłych słowach opowiedział o jej życiu, podkreślił jej wojenne zasługi i dodał

kilka słów o małżeństwie i utraconym dziecku. Rodzinę Diany - na jej własną prośbę - wspomniał pokrótce, po czym panie z gminnego chóru odśpiewały dwie pieśni kościelne. Kiedy trumna została już wyniesiona na zewnątrz, Dianie udało się nie wybuchnąć szlochem.

Roniąc łzy cicho i godnie niczym prawdziwa angielska dama, podążyła za trumną, odprowadzana wzrokiem zgromadzonych, do krypty, gdzie leżały już złożone bukiety i wieńce. Wyszła stamtąd, kiedy Emmely spoczęła na swoim miejscu pośród przodków.

- Śpij dobrze, ciociu Emmely - szepnęła, zamykając drzwi krypty, i zawiesiła sobie na szyi łańcuszek z kluczem. Następnie podziękowała tym, którzy nieśli trumnę, czyli miejscowym panom nieustępującym wiekiem Emmely, którzy mimo to nie chcieli zrezygnować z oddania ostatniego hołdu pani na Tremayne House.

Żałobnicy zgromadzili się tymczasem przy bramie, kilkoro rozmawiało cicho z wielebnym Thorpeem, któremu Diana również zamierzała podziękować.

Idąc do samochodu, rzuciła jeszcze spojrzenie na anioła, którzy z

obojętną miną trzymał wieniec nad grobem Beatrice. Przypomniawszy sobie swój sen, przyjrzała się teraz bliżej rysom jego twarzy. Jednak nie było to oblicze kobiety. Rysy były wyraźnie męskie. Męskie i odrobinę egzotyczne. Przechyliła więc głowę, próbując rozpoznać narodowość anioła. O ile ją posiadał. Może był to jedynie kaprys rzeźbiarza? Może nadał rzeźbie rysy osoby, którą znał i chciał w ten sposób uwiecznić?

Z zamyślenia wyrwała ją czyjaś ręka, która spoczęła na jej ramieniu.

Pan Green zjawił się przy niej zupełnie niepostrzeżenie.

- Miss Diana, wszystko w porządku? - odezwał się szeptem.

- Tak, chyba tak. Przyglądałam się temu aniołowi. Jego twarz...

Pan Green podniósł głowę i zmrużył oczy.

- To mężczyzna - stwierdził. - Przypuszczam, że to któryś z archaniołów.

- A czy nie wydaje się panu, że ma nieco egzotyczne rysy twarzy?

- Nie zwróciłem na to uwagi do tej pory... - kamerdyner umilkł, po czym kiwnął głową. - Ma pani rację, to nie są rysy Europejczyka. Może to jakiś osobisty akcent rzeźbiarza.

- Możliwe. - W głowie Diany pojawiła się pewna myśl, jednak nie zdołała jej zatrzymać. - Nie każmy gościom dłużej czekać.

Do Tremayne House przybyli niemal wszyscy żalobnicy. Pan Green postarał się o pomoc kilku pań ze wsi, które zechciały pokroić i rozdać ciasto. Po kilku wygłoszonych przez Dianę zdaniach skierowanych do gości i podziękowaniach za przybycie stary dom wypełnił się gwarem i witalnością, jakiej nie było tu już od wielu lat. Pośród tych wszystkich osób, których nie znała nawet z nazwiska, Diana wypatrzyła po chwili twarz doktora Sayersa.

- Cieszę się, że pan przyszedł - powiedziała, podając mu rękę. Lekarz uśmiechnął się smutno.

- Przynajmniej tyle mogłem zrobić dla swojej starej przyjaciółki.

Żal, że odeszła już z tego świata, ale taka jest kolej rzeczy. Ja pewnie będę następny.

Diana nie chciała go pocieszać ani zaprzeczać. W końcu to nie ona odmierzała czas ludzkiego życia. Zamiast tego przyszło jej coś do głowy.

- Na pewno widział pan, że grób mojej babki jest w całkiem dobrym stanie.

- Owszem, widziałem. I szczerze mówiąc, bardzo mnie ten widok pokrzepił. Szkoda, że tak długo tam nie byłem, ale już pani tłumaczyłem, że śmierć tylko czyha na mężczyzn w moim wieku.

Diana pogрузyła się w myślach. Czy powinna go o to zapytać?

- Odwiedziłam grób tuż po pana wizycie i zwróciłam uwagę na kilka ciekawych szczegółów.

Twarz lekarza rozjaśniła się.

- Na pewno zastanawiała się pani, dlaczego ona nie leży w krypcie.

- Między innymi.

- No cóż, to jeden z tych sekretów, które pani Deidre zabrała ze sobą do grobu. Nas wtedy też to zdziwiło.

- Może stało się tak dlatego, że cały czas sądziła, że moja babka jest oszustką.

- Nie, na pewno nie dlatego. Wydaje mi się, że powodów trzeba szukać w odleglejszej przeszłości, tyle że nikt jej już nie zna. Wiadomo tylko, że pomiędzy ciotką Deidre Grace a jej ojcem doszło do jakiegoś konfliktu, przez co Grace została wydziedziczona.

Diana uniosła brwi ze zdziwienia. Nic o tym nie wiedziała.

- Naprawdę?

Doktor Sayers pokiwał twierdząco głową.

- Po śmierci starego Henryego Tremaynea dom i posiadłość przeszły w ręce Victorii, jego młodszej córki, a później majątek odziedziczyła jej córka Deidre.

- Może Grace Tremayne nie chciała tego domu. Moja mama opowiadała mi kiedyś, że Grace wyszła za mąż w 1888 roku. I że miała swój własny dom nad Bałtykiem.

- Tak jak mówiłem, nikt nie zna już szczegółów. Deidre przyjęła Beatrice z chłodem i rezerwą, jakby dobrze znała wcześniejsze wydarzenia. Natomiast Beatrice nie wiedziała o niczym. Trzymała się więc z dala od Deidre, za to bardzo zżyła się z Emmely. Były jak siostry. Nic dziwnego, w końcu były w podobnym wieku. Jej śmierć złamała Emmely serce i prawdopodobnie była przyczyną tego, że jeszcze jako młoda kobieta zaczęła stronić od ludzi.

Trudno było nie dosłyszeć żalu w głosie Sayersa, co dało Dianie kolejny powód do podejrzeń, że lekarz był w Emmely zakochany.

Sądząc, że jest bliska rozwiązania zagadki anioła, pytała dalej: - A ten anioł? Czy on przedstawia jakąś konkretną osobę?

- O ile wiem, to nie. Emmely kazała go wykonać już po śmierci matki, wcześniej stał tam tylko nagrobek. Nie mam pojęcia, czy ten anioł miał



kogoś przypominać. Być może, że to podobizna męża Beatrice, który zginął podczas ucieczki. Byłby to piękny gest, nieprawdaż? Mąż czuwający nad żoną nawet po śmierci... - W oczach doktora zamigotały łzy. Otarł je ogromnie wzruszony, podczas gdy jego wargi zadrżały.

- To naprawdę piękna wizja - potwierdziłam.

Zanim lekarz cokolwiek na to odpowiedział, stanęła przed nimi jedna z pań z tacą.

- Może skosztują państwo ciasta?

Diana właściwie nie miała ochoty najedzenie, jednak, podobnie jak doktor Sayers, wzięła talerzyk z udekorowanym czarną i białą czekoladą ciastkiem.

- Cóż, w każdym razie pani babka ma piękny pomnik - wrócił do rozmowy doktor Sayers. - A gdyby udało się pani dowiedzieć, czy ów anioł miał swoje odzwierciedlenie w rzeczywistości, proszę mi dać znać. Bardzo rozpałała pani moją ciekawość.

- Tak zrobię - odparła Diana, a po pierwszym kęsie ciastka natychmiast nabrała ochoty na więcej.

Po wyjściu gości Diana jeszcze długo stała przy oknie werandy, spoglądając, jak dzień zmienia barwę z szarej na czarną bez choćby jednego promienia słońca skrytego za ołowianą warstwą chmur. Z

kuchni docierał do niej sześć talerzy, które pan Green wkładał do zmywarki. Dzielne pomocnice o imionach Idy, Sophie, Jennifer, Marcy i Joan poszły już jakiś czas temu. Wszystkie odmówiły przy tym finansowego podziękowania za swój trud.

- Bardzo lubiłyśmy pani ciocię - wyjaśniła korpulentna Marcy, która podawała jej ciasto podczas rozmowy z doktorem Sayersem. - Szkoda tylko, że ostatnimi czasy nie mogła już opuszczać domu. Moja matka zawsze się zachwycała, jak wiele pani Woodhouse zrobiła dla rannych i weteranów wojennych.

Pozostałe kobiety były chyba podobnego zdania, bo pożegnały się bardzo serdecznie, oferując też Dianie swoją pomoc w razie potrzeby.

Wątpiła jednak, by te miłe panie mogły jej jeszcze pomóc. W jakiegokolwiek sprawie.

Kiedy pan Green zapalił światło na werandzie, odsunęła się od okna i odwróciła w jego stronę.

- Zamierzam teraz odpocząć - oznajmił kamerdyner. - Zostawiłem w

kuchni ciepłą kawę. Zostało też sporo ciasta, gdyby pani zgłodniała.

- Bardzo dziękuję, Mr Green. - Zauważyła, że kamerdyner trzyma pod pachą kurtkę. Zamierzał gdzieś wyjść? Na pewno nie potrzebował jej, by przejść do swojego mieszkania we wschodnim skrzydle.

- Niech mi będzie wolno zauważyć, że była to bardzo udana uroczystość. Pani Woodhouse byłaby naprawdę dumna. I dam głowę, że zyskała sobie pani szacunek tutejszych mieszkańców. W końcu została pani nową dziedziczką.

Diana uśmiechnęła się z goryczą.

- Nie byłabym tego taka pewna.

Pan Green przechylił głowę zdziwiony.

- Nie chce pani przyjąć spadku? O ile mi wiadomo, pani Woodhouse nie miała innych krewnych.

- Podczas przyjęcia dowiedziałam się od doktora Sayersa, że moja praprababka została wydziedziczona przez swojego ojca. Nikt nie wie już dlaczego, ale niewykluczone, że gdzieś znajdują się jakieś stare wytyczne.

- Proszę się tym nie martwić. Doktor Sayers na pewno powiedział też pani, że pani Woodhouse kochała pani matkę nad życie. I panią także.

Nie sądzę, by liczyły się dla niej jakieś zadawnione spory. Inaczej nie poprosiłaby pani o rozwikłanie rodzinnej tajemnicy.

Pan Green miał rację, mimo to Diana czuła przygnębienie. Jaki był powód kłótni ojca z córką? Przypomnił jej się list znaleziony pod trumną Deidre. Dlaczego leżał w tamtym miejscu?

Czy to Emmely umieściła go tam, by Diana znalazła go po jej śmierci?

- Wychodzę jeszcze na piwo do pubu. Ma pani ochotę? Diana popatrzyła na kamerdynera odrobinę zmieszana.

- Nie, dziękuję. Pójdę się położyć.

- Tak będzie najrozsądniej, zważywszy na przeżycia z ostatnich kilku dni. Dobranoc, Miss Diana.

- Dobranoc, Mr Green.

Kiedy pan Green wyszedł, udała się na górę. Obrazowi Grace i Victorii rzuciła tym razem tylko przelotne spojrzenie. W pokoju pozbyła się ubrań i wskoczyła w pachnącą lawendą koszulę nocną, którą wyjęła ze skrzyni stojącej w nogach łoża. Emmely zawsze trzymała zapas nocnej bielizny, mimo że rzadko ktoś tu gościł. Czuła potworne zmęczenie, jednak myśli bezustannie kłębiły się w jej głowie. Raz jeszcze prześledziła wszystkie

wskazówki i zrozumiała, że dopiero rozwikłanie tej zagadki przywróci jej spokój.

Kiedy następnego dnia przed południem zjawił się ślusarz, Diana miała za sobą akurat napad płaczu, z rodzaju tych, jakimi wybucha się nawet na najmniejsze wspomnienie o zmarłym. W starym albumie, który wygrzebała w nadziei, że znajdzie w nim jakąś fotografię dziadka, odkryła zdjęcie, na którym stoi w parku jako mała dziewczynka razem z mamą i Emmely. Wydało się jej tak naturalne, że miała wrażenie, jakby znów znalazła się w tamtym czasie. Czuła zapach krzewów różanych, trawy, którą ogrodnik przycinał wtedy regularnie, a nade wszystko zapach herbaty i fiołków, jakim pachniała zawsze ciotka Emmely, także wówczas, kiedy budziła jeszcze zainteresowanie mężczyzn.

Przypomniała sobie, co podczas przyjęcia doktor Sayers powiedział o aniele. I że to piękne, kiedy mąż czuwa nad żoną nawet po śmierci. No i tego już było za wiele dla jej nadwątłonej równowagi. Łzy nie pozwoliły jej już dalej szukać fotografii dziadka. Teraz zaś, zmierzając w stronę drzwi, pomyślała, że

to niedorzeczny pomysł. Skąd Emmely miałyby wziąć fotografię męża Beatrice?

- Wielkie nieba, widzę, że znów jestem nie w porę! - Pan Talbott podał jej czystą chusteczkę, ale Diana pokręciła głową.

- Już w porządku. Ma pan kluczyk?

- Oczywiście. - Podniósł do góry torebkę z brązowego papieru zamkniętą błyszczącą naklejką z firmowym logo. - Ale zanim pani zapłaci, proszę go najpierw wypróbować. Z takimi starymi zamkami nigdy nic nie wiadomo.

- Wierzę w pańskie umiejętności. Moja ciotka pewnie też w nie wierzyła, prawda?

- Ona ciągnęła mnie zawsze po całym domu i osobiście sprawdzała każdy klucz. A na koniec narzekała, że oczko od klucza nie zostało wykonane wystarczająco artystycznie. Nie znam pani gustu, więc kierowałem się tym, co spodobałoby się Mrs Woodhouse.

- W takim razie będzie się podobał i mnie. Proszę wejść, pójde po pieniądze.

Diana wróciła do pokoju po portmonetkę i odruchowo sięgnęła po banknot euro. W porę się jednak zreflektowała i po chwili w zamian za zawiniątko wręczyła ślusarzowi właściwą sumę w funtach.

- Naklejka to dzieło mojego wnuka. Stwierdził, że powinienem odpowiednio zaprezentować swoje usługi.

- To miło z jego strony.

- Też coś, on chce mi tylko pokazać, jakie sztuczki potrafi robić na komputerze! - zachnął się pan Talbott. - Jak miałem szesnaście lat, to bardziej niż jakieś maszynyery wypluwające kolorowe obrazki i naklejki interesowały mnie dziewczęta. Ale dziś młodzież jest inna, a stare wartości idą w ką.

Pewnie powtarzał to swojemu wnukowi przy każdej okazji, i to dokładnie z tym samym gestem, jakim teraz podkreślił swoje słowa. Po twarzy Diany przebiegł uśmiech, kiedy wyobraziła sobie, jak ów młody człowiek tylko przewraca oczami i znów zagłębia się w wirtualnym świecie.

- O proszę, potrafi się pani uśmiechnąć. A więc to nie ja jestem przyczyną pani przygnębienia.

- Oczywiście, że nie pan, Mr Talbott. I proszę nie zamykać warsztatu.

Niewykluczone, że będę jeszcze potrzebować jakiegoś klucza.

- Albo zatrzasknie pani drzwi od zewnątrz. Choć myślę, że wtedy pan Green osobiście wspiąłby się po rynnie i wślizgnął do domu choćby przez świetlik w dachu, byleby tylko wpuścić panią do środka.

Tymi słowami ostatecznie rozbawił Dianę. Mimo że był to śmiech przez łzy.

Po wyjściu ślusarza otworzyła torebkę tak, aby nie uszkodzić naklejki. W środku znajdował się nieduży, wyglądający staromodnie kluczyk z mosiądzu. Jego oczko z artystycznym ząbkowaniem i małym kwiatuszkiem rzeczywiście wyglądało nadzwyczaj ozdobnie. Jego wykonanie musiało zabrać panu Talbottowi większość czasu, bo sama krzywka nie wydawała się zbyt skomplikowana.

Czy jakkolwiek inny ślusarz zadałby sobie tyle trudu, by wykonać tak piękny kluczyk? A może pan Talbott zrobił tak, sądząc, że ma do czynienia z drugą Emmelą?

Smutek nieco ustąpił, za to serce zaczęło jej bić jak oszalałe. Z

kluczyka w jej ręce zdawała się emanować jakaś magiczna moc. Kluczyk do rodzinnej tajemnicy. Dziś ją odkryje!

Zaczerpnąwszy głęboko powietrza, Diana obróciła się i ruszyła korytarzem, którym nie szła od tamtego pamiętnego razu. Dzisiaj nie towarzyszyła jej już poświata lamp, lecz światło wpadające przez dwoje otwartych na oścież drzwi. Pewnie był tu wcześniej pan Green, może po to,

by odkurzyć te wszystkie budzące postrach trofea łowieckie.

Kiedy dotarła do drzwi gabinetu, zatrzymała się na moment, po czym znów nabrawszy tchu, pchnęła je mocno. W środku nic się nie zmieniło. Tylko kurz, który zdążył się w międzyczasie nagromadzić, został sumiennie starty przez pana Greena. Zacisnęła kluczyk w dłoni tak mocno, że wyczuwała każdy jego

detal. Ostatnia wola Emmely. Co też kryje się za tymi drzwiczkami?

Tajemnica i klątwa...

Kiedy metal w jej ręce nieco się ogrzał, podeszła do regału i włożyła kluczyk do zamka, na chwilę wstrzymała oddech, a następnie go przekręciła. Krzywka natrafiła najpierw na lekki opór zapadki, który jednak szybko ustąpił, potem klucz obrócił się z lekkim kliknięciem.

Kiedy otwierała drzwiczki, dłoń jej drżała, a żołądek kurczył się jak przed egzaminem. Do jej nozdrzy dotarł zapach starych murów. W

głębi spostrzegła jakiś podłużny przedmiot. Szkatułka. Była mniej więcej długości przedramienia i wysokości jej ręki. Wykonana z drzewa różanego, z wijącymi się zdobieniami na brzegach, przypominającymi na pierwszy rzut oka irlandzkie wzory. Diana wiedziała jednak dobrze, że ta szkatułka została zrobiona w innym, dalekim kraju. Potrzeba jej powąchania była tak przemożna, że Diana podniosła puzderko tuż pod nos. Stwierdziła przy tym ze zdumieniem, że nie pachnie ono ani pleśnią, ani stęchlizną. Po tak wielu latach nadal dobywał się z niego dobrze jej znany, słodkawy zapach. Czyżby ktoś przechowywał w nim cynamon?

Przeniosła szkatułkę na stół i przesunąwszy dłonią po wieczku, uniosła je. W środku znajdowały się cztery przedmioty owinięte w czerwony atłas. Wisiorek z dużym, błękitnym kamieniem, zasuszony, podłużny liść, pokryty dziwnymi znakami, fotografia góry i maleńka książeczka. Diana sięgnęła po nią w pierwszej kolejności, czując w całym ciele osobliwe napięcie. Pewnie podobnie czułby się ktoś, kto tak jak ona miałby możliwość zajrzeć za zasłonę przeszłości i dotrzeć do własnych korzeni.

Pogładziła książeczkę w skupieniu. Był to przewodnik z 1887 roku.

W tekturowej niebiesko-zielonej okładce, z niebieskim tytułem *The Passengers Guide To Columbo*. Pomiedzy kartkami znalazła zasuszony kwiat plumerii - jednego z najpiękniejszych kwiatów Indii.

Ten miał białe płatki i krwistoczerwony środek. Na sfatygowanych, choć wcale nie pożółkłych stronicach dostrzegła

kilka podkreślonych miejsc. Przypuszczalnie były to miejscowości, które właściciel przewodnika zamierzał odwiedzić.

Prawie z nabożną czcią wertowała ozdobione przepięknymi winiętami kartki książeczki, oferującej wyczerpujący opis licznych zabytków w mieście. Może należała ona do brata Henry'ego Tremaynea, który zginął w Kolombo? Poczwała, jakby naraz ktoś stanął

za jej plecami i przez ramię szeptem zaczął snuć do ucha historię owego znaleziska.

9.

### **Kolombo, 1887**

- Zobacz, co mam! - Victoria pokazała siostrze maleńką książeczkę w grubej zielonkawej okładce z widniejącym na niej niebieskim napisem *The Passengers Guide To Columbo*. Jej oczy błyszczały niczym błękitne niebo nad portem, który mogły obserwować z okien swojego pokoju w hotelu Grand Oriental.

- Przewodnik? - zdziwiła się Grace, starsza córka Henry'ego Tremayne'a, obracając książkę w rękach. Skromna okładka zarówno na przedzie, jak i z tyłu miała obwódkę ze stylizowanych kwiatów.

- Kosztował jedną rupię! - oznajmiła z dumą Victoria, przyciskając przewodnik do piersi niczym rzadki skarb.

- Papa puszcza cię do miasta z Wilkesem, a ty kupujesz przewodnik! -

Grace pokręciła głową z wyrzutem, po czym znów przechyliła się przez szeroki gład hotelowego okna, skąd miała widok na cały port.

- Jeszcze nam się przyda! - broniła się urażona Victoria. -W końcu jesteśmy w obcym kraju. Jak zamierzasz tu sobie poradzić bez żadnej pomocy?

Najlepiej w ogóle, miała ochotę odpowiedzieć Grace, jednak w ostatnim momencie ugryzła się w język. Choć nie podzielała entuzjazmu siostry, nie chciała jej psuć przyjemności. Wystarczy, że zostawiono je w tym hotelu, niczym nikomu niepotrzebny bagaż!

Podczas gdy młodsza z sióstr zagłębiła się w lekturze, starsza spoglądała z westchnieniem na widoczną w oddali błękitną toń morza, na której unosiły się orientalne łodzie *dau* czy chińskie dżonki, a tuż obok sunęły nowoczesne parowce, wyglądające, jakby tylko przypadkiem trafiły do tej starożytnej

krainy. O tej porze na przystaniach roilo się od ludzi. Pomiędzy marynarzami wszystkich nacji kręcili się miejscowi, odziani albo jedynie w proste białe spodnie, albo w ociekające przepychem żółte lub czerwone szaty. Wielu z nich nosiło na głowie turbany, u niektórych można było dostrzec namalowaną na środku czoła czerwoną kreskę.

Uwagę Grace przykuły dwie kobiety przechodzące właśnie przez ulicę. Sari w turkusowych i intensywnie różowych kolorach stanowiły wspaniałą kontrast dla ich złocistej skóry i kruczoczarnych włosów.

Nic dziwnego, że ściągały na siebie spojrzenia wszystkich mężczyzn, niezależnie od narodowości.

Musiła przyznać, że już widok samego portu był o niebo bardziej fascynujący aniżeli cokolwiek w szarym i ponurym Londynie. Jednak to w owym szarym i osnutym mgłą mieście miała swoje przyjaciółki.

„Eliza i Alyson pewnie przymierzają teraz stroje na bal debiutantek”, pomyślała. Jego termin, który dźwięczał jej w głowie już od miesięcy, właśnie się zbliżał. Tymczasem ona, zamiast także szykować się na bal i cały rozpoczynający się po nim sezon, tkwiła teraz na drugim końcu świata, w tym nieznośnym skwarze, i wdychała rybi odór. Jej debiut przed obliczem królowej Wiktorii został odłożony, „dopóki papa nie dopilnuje pracy na plantacji”, jak oznajmiła matka.

Grace dobrze jednak wiedziała, co się dzieje. Nawet jeżeli oficjalnie spuszczano na to zasłonę milczenia, nietrudno było się

zorientować, że mają kłopoty, których rozwiązaniem może być tylko przejęcie plantacji. Stara rodzinna posiadłość w Szkocji stanowiła wielkie obciążenie dla budżetu Tremayne'ów, a przecież trzeba było jeszcze utrzymać kamienicę w Londynie.

Ojciec od lat nie rozmawiał ze zmarłym niedawno stryjem Richardem. Ten temat był przemilczany podobnie jak ich tragiczna sytuacja finansowa. Ba, zaprzeczano nawet, że to on właściwie odniósł

większy sukces. Plantacji wcale nie trzeba było doglądać, wszystko funkcjonowało doskonale, jak dowiedziała się z listu, który znalazła kiedyś w gabinecie ojca i cichcem przeczytała. No i były jeszcze te dziwne okoliczności śmierci stryja...

- O, popatrz! - zaszczębiotała Victoria, klaszcząc w dłonie jak cztero-, a nie trzynastolatka. - Jest mapa! A na niej nawet zakład dla obłąkanych.

- Zakład dla obłąkanych? - powtórzyła zdumiona Grace.

- To jedna z atrakcji wymienianych w przewodniku. Budynek, jak piszą,

jest całkiem nowy i wart obejrzenia. - Złożyła mapę i zaczęła pilnie wertować książeczkę, aż znalazła właściwą stronę, po czym wyrecytowała: - „Nowy Zakład dla Obłąkanych, instytucja dobroczynna wspierana wyłącznie przez rząd Korony, przysparzała w przeszłości wielu kłopotów władzom kolonialnym. Wynoszące sześćset tysięcy rupii koszty budowy wydawały się niektórym zbędne, co wpłynęło na zmianę początkowych planów budowy. W zakładzie mieszczącym się w jednym z największych budynków wzniesionych za sprawą gubernatora sir Jamesa R. Longdena znalazło schronienie czterystu miejscowych obłąkanych”.

- Domów wariatów nie brakuje i w Anglii - odezwała się lakonicznie Grace. - Nie pamiętam, abyś jeszcze kilka miesięcy temu wykazywała takie zainteresowanie tego rodzaju przybytkami.

- Bo gdybym powiedziała mamie, że chciałabym któryś z nich zwiedzić, na pewno dostałaby ataku - odparła niezrażona Victoria.

- Teraz też go dostanie.

- I dlatego mówię o tym tobie, a nie jej! - odparowała.

- Może lepiej zainteresuj się kościołami albo świątyniami. Tam zapewne mama pozwoliłaby ci pójść.

- Kościoły są nudne, za to tutejsze świątynie są podobno precudne. -

Victoria znów jęła kartkować przewodnik. I już po chwili znalazła odpowiedni ustęp. - Spójrz, to na pewno cię zainteresuje! - zawołała i podstawiła siostrze książkę tak blisko nosa, że ta nie miała już innego wyjścia, jak tylko popatrzeć na wskazaną stronę. - „Ogrody Cynamonowe” - przeczytała siostrze na głos. - A zaraz w pobliżu muzeum. Mamcia nie musi się zatem kłopotać o naszą duchową formację.

Grace z początku chciała zbyć i tę propozycję, jednak musiała przyznać, że Ogrody Cynamonowe wzbudziły jej zainteresowanie.

Uwielbiała tę przyprawę, którą ich kucharka pani Haynes dodawała czasem do deserów i ciast. Victoria chyba zauważyła jej wahanie, więc kontynuowała:

- W Ogrodach Cynamonowych będziesz mogła zobaczyć, jak zbiera się i suszy korę. Może będziemy mogły nawet uszczknąć kawałeczek dla siebie. Na statku na pewno brakowało ci mleka z cynamonem.

- Jeszcze jak! - Grace przymknęła powieki, przypomniawszy sobie jego smak. Pani Haynes została jednak w Anglii. Tutaj będą musiały się zadowalać umiejętnościami kucharki stryja. Ale może ona również potrafi



używać cynamonu i da się namówić na zrobienie jej ulubionego napoju, na pocieszenie z powodu rozstania.

Jako dziecko przepadała za cynamonem i koniecznie chciała wiedzieć wszystko o nim. Ojciec uprzejmie, acz stanowczo zbywał jej pytania, matka zaś zasłaniała się niewiedzą. Jedynie kucharka, z którą Grace tak lubiła przebywać, choć jej tego zabraniano, zdradziła jej parę sekretów.

„Cynamon pochodzi z Indii i Indonezji - odpowiadała zawsze. - A ludzie, którzy go uprawiają, są czarni jak Murzyni od pana Plummera”.

Miała przy tym na myśli służących hrabiego Waxforda, których ten przywiózł sobie z podróży do Ameryki.

Grace spędziła wiele bezsennych nocy, wyobrażając sobie ten kraj, w którym czarni ludzie uprawiają przepyszny cynamon. Kiedy dowiedziała się, że przenoszą się na Cejlon, cynamonowe historie już dawno jednak uleciały z jej pamięci. Dopiero za sprawą przewodnika Victorii ożyły na nowo i załagodziły nieco odczucie spiekoty i znużenia.

- To jak, pojedziemy do tych Ogrodów Cynamonowych? -marudziła Victoria.

- Przecież nawet nie wiesz, jak długo zostaniemy w Kolombo - odpowiedziała Grace, oddając siostrze przewodnik. - Plantacja stryja Richarda leży w pobliżu Adams Peak, a to daleko stąd.

- Wygląda na to, że zostaniemy na zawsze w tym pokoju - powiedziała Victoria i wskazała gniewnie na budynek kapitanatu.

- Ojciec chyba się tam już zadomowił. Gdybyśmy wzięły riksę, już dawno stałybyśmy w środku ogrodów. Nie!, zdążyłybyśmy już wrócić, zaliczając jeszcze po drodze muzeum.

- Nie bądź niemądra - pokręciła głową Grace. - Jeżeli zostaniemy tu jeszcze kilka dni, osobiście zapytam mamę o zgodę. Myślę, że nie będzie miała nic przeciwko cynamonowym ogrodom.

- Wielkie nieba! Ile to jeszcze potrwa?! - zwróciła się w tym samym czasie rezydująca w pokoju obok Claudia Tremayne do swojego kamerdynera Wilkesa, rzucając z hotelowego okna pełne wyrzutu spojrzenia w stronę budynku, w którym jej mążonek przepadł dwie godziny temu. Kapitan portu tak czy inaczej musiał skontrolować ich papiery, a Henry, by wykorzystać czas, umówił się tu także z adwokatem swojego brata panem Cahillem.

- Na pewno zaraz wróci, madame - odpowiedział Martin Wilkes, który

pomimo pięćdziesiątki na karku wciąż był kawalerem i właściwie stanowił część inwentarza, podobnie jak walizki.

- Tylko mnie pocieszasz, Wilkes. Znasz pana Tremayne'a! -Claudia zawsze, kiedy była wzburzona, zaczynała mówić ze swoim rodzimym szkockim akcentem.

Spojrzała potem na córki, które stojąc na drugim końcu zgromadzonych w pokoju niezliczonych bagaży, nachylały się nad jakąś cienką książeczką, nabytą zapewne przez Victorię podczas wyjścia z Wilkesem do Harbour Office. Z lekką melancholią stwierdziła przy tym, że Grace wygląda jak młodsza wersja jej matki, którą, choć wcześniej umarła, dobrze jeszcze pamiętała. Zawsze podziwiała urodę Belli Avery, jej złocistorude włosy, jaśniutką cerę i zielone oczy.

Ona sama, chuda, koścista i o ciemnych włosach, wdała się raczej w ojca. Czasami zastanawiała się nawet, jakim cudem Henry Tremayne, przystojny syn wpływowego parlamentarzysty, zwrócił uwagę właśnie na nią. Podczas debiutu przed królową Wiktoria otaczało go tak wiele pięknych dziewcząt, że z powodu swoich ciemnych włosów nie była w stanie się spośród nich wyróżnić. A mimo to któregoś dnia zjawił się u jej ojca z pytaniem, czy może się starać o jej rękę.

Co prawda rodzicom miłszy byłby pierworodny syn Tremayne'ów, jednak Richard już w tamtym czasie ujawniał oznaki rebelii wobec rodowego dziedzictwa. Kiedy więc wyjechał na dobre na Cejlon, by rzucić się w wir przygód, a jedną z nich było uprawianie herbaty, z zadowoleniem przyjęli fakt, że to Henry, którego w międzyczasie poślubiła, zostanie dziedzicem i właścicielem Tremayne House.

Domu, który wszelako z każdym rokiem stawał się coraz większym przekleństwem. Niewykluczone też, że spora część złości, jaką Henry żywił wobec Richarda, brała się właśnie z powodu obarczenia go owym domostwem, ponieważ w przeciwieństwie do swoich teściów nigdy nie brał pod uwagę odziedziczenia ojcowizny. W dodatku teraz został zmuszony do przejęcia plantacji brata na Cejlonie po tym, jak ten zginął w niewyjaśnionych okolicznościach.

Claudia westchnęła, prostując fałdki swojej szmaragdowej spódnicy z tafty, która w tym tropiku przypominała szklarnię zatrzymującą całe ciepło. Spojrzawszy przelotnie przez okno, miała wrażenie, że dostrzegła w oddali sylwetkę swojego męża. Czyżby

nastąpił koniec rozmów? Niestety, kiedy mężczyzna odwrócił się w jej stronę, okazało się, że to nie Henry, lecz najprawdopodobniej jakiś inny uczestnik spotkania. „Oby!” pomyślała, wachlując się chińskim wachlarzem znalezionym gdzieś w bagażu Victorii.

- Plantacja liczy trzysta mórg ziemi w pobliżu Adams Peak -wyjaśnił

John Cahill, zdejmując z nosa binokle, które powoli zaczynały mu coraz bardziej przeszkadzać. Wspólnie z Henrym Tremayneem, nowym właścicielem plantacji herbaty, przeglądał wszystkie papiery na jej temat, po tym jak załatwili sprawy związane z jego przyjazdem. -

Po Stocktonach i Walburych jest pan teraz jednym z największych plantatorów. Aczkolwiek ich posiadłości znajdują się po drugiej stronie góry.

Henry wydawał się podenerwowany. Nic dziwnego po trudach podróży i stresującej rozmowie w jednym z biur kapitanatu.

Pomieszczenie, w którym siedzieli, było duszne i wypełnione oparami unoszącymi się znad portu. Zapewniano go co prawda, że kiedy wiatr wieje od południa, pachnie tu cynamonem, teraz jednak cuchnęło tu jedynie rybami, wodorostami i słoną wodą, a do tego mieszanką owoców i przypraw oferowanych na pobliskim targu. „Szkoda, że chociaż na spotkania w interesach nie znajdzie się tu chłodniejszego miejsca”, pomyślał, z trudem powstrzymując się, by nie zacząć się wachlować leżącymi na biurku papierzyskami.

- Zechce pan spojrzeć. Plantacja przynosi całkiem niezły dochód i wszystko wskazuje na to, że w tym roku podwoi zyski. Jedyne, czego jej potrzeba, to stanowczy właściciel, a wówczas nie będzie mowy o żadnych problemach.

Henry popatrzył markotnie na książkę handlową podsunętą mu na kolana. Pomimo optymistycznego tonu adwokata nie miał ochoty zajmować się cyferkami. Smutek po stracie brata w regularnych odstępach czasu robił miejsce wybuchom złości i nienawiści do niego.

I akurat w tym momencie jeden stan przechodził w drugi.

Śmierć Richarda Tremayne'a, starszego o pięć lat brata Henry'ego, ujawniła istny chaos. Źle prowadzone księgi, zaległości w płatnościach i nieporządek w papierach osobistych. Wyglądało na to, że jego brat z biegiem czasu coraz bardziej zamieniał się w zwykłego wieśniaka, który wprawdzie posiadał spory kawał ziemi, jednak nie potrafił nim w ogóle zarządzać.

Dobre wyniki plantacji nieco wszakże poprawiły humor Henry'ego.

Skoro Cahill mówił o podwojeniu zysków, to może nie będzie musiał rezygnować z rodzinnej posiadłości, a kto wie, może nawet będzie mógł zachować zamek w Szkocji?

- Czy wiadomo już, jak doszło do wypadku mojego brata? - zapytał, zamykając książkę. Jego słowa zbiły Cahilla z tropu. Chyba jeszcze długo zamierzał rozwodzić się na temat liczb.

- Nie, sir, dochodzenie wciąż trwa. I mimo że prowadzą je Anglicy, wlecze się niemiłosiernie. Sądzę jednak, że możemy to uznać za nieszczęśliwy wypadek. Adams Peak to wprawdzie niezbyt stroma góra, ale ryzyko upadku zawsze istnieje. Zresztą trudno mi powiedzieć, dlaczego pański brat w kółko kręcił się tam z tym przyrodnikiem.

- Czy ten przyrodnik był przy tym? Cahill pokręcił głową przecząco.

- Nie, nie tamtego wieczoru. To dziwne, akurat wtedy Richard wyruszył sam. Jego pracownicy twierdzą, że był czymś wzburzony.

Uznali, że chce po prostu odreagować w samotności.

- Bez żadnego przewodnika?

- Tak, o ile nam wiadomo. Jednak... Przygnębiony Henry opuścił głowę.

- Ale chyba nie poszedł się zabić?

- Ależ nie, to wykluczone! Znałem pańskiego brata. Nawet jeżeli traktował księgowość dosyć nonszalancko, nie był człowiekiem, który pozostawiłby po sobie jakieś niezamknięte sprawy. Gdyby zaplanował odebranie sobie życia, przynajmniej spróbowałby wszystko uporządkować. Lub zostawiłby jakiś list. Niczego takiego jednak nie uczynił.

- A czy mogło to być zabójstwo? Cahill zbladł.

- Miejmy nadzieję, że nie. Gdyby było takie podejrzenie, przez wiele miesięcy nie uwolniłby się pan od urzędników.

- A czy mój brat miał może jakichś wrogów?

- Nie, sir, można rzec, że z wszystkimi żył w większej lub mniejszej przyjaźni. A kiedy wybuchał jakiś konflikt, zażegnano go szybko i w pokojowy sposób. Uprawa herbaty to domena dżentelmenów, nie strzelają do siebie z siodła, jak nie przymierzając ci teksańscy poganiacze bydła.

Henry zamyślił się. Czyjego brat rzeczywiście zginął wskutek nieszczęśliwego wypadku? Może jednak lepiej o tym nie myśleć, nie drażnić tego tematu. A już z całą pewnością nie chciałby żadnych kłopotów ze strony władz. Ma dość innych zmartwień.

- Jak pan sądzi, kiedy moglibyśmy zamieszkać na plantacji?

- zmienił temat.

- Na razie trwają tam prace porządkowe. W ciągu ostatnich miesięcy dom mocno podupadł z powodu zaniedbań pańskiego brata. Ale poganiam ludzi jak mogę i jestem pewien, że za parę dni skończą.

Przekona się pan, że warto było zaczekać. Vannattuppucci to niezwykle miejsce, istny raj. Zobacz pan!

Podczas kolacji w ustronnym kąciku hotelowej restauracji Henry zrelacjonował, co usłyszał od Johna Cahilla. A przynajmniej podzielił

się z rodziną tymi wiadomościami, które nie wzbudzały ani obaw, ani zamętu. Claudia nie była jednak usatysfakcjonowana.

- Wielkie nieba! Jak długo będziemy tu jeszcze tkwić?! - zawołała i rzuciła pogardliwe spojrzenie pozostałym gościom restauracji, którzy na szczęście zupełnie nie zwracali na nią uwagi.

- Wiesz dobrze, jak to bywa z robotnikami, zawsze przeciągają prace, byle tylko wyciągnąć więcej pieniędzy.

- Pan Cahill obiecał mi, że dopilnuje, by się pośpieszyli.

- Jak się będą śpieszyć, to wyjdzie fuszerka.

- Claudio, kochanie - Henry popatrzył na żonę błagalnym wzrokiem.

Ostatecznie czyż narzekanie mogło w czymkolwiek pomóc?

Claudia zdawała się podzielać jego zdanie w tej materii. Spuściła głowę zawstydzona, na co mąż wziął ją za rękę.

- Może wybrałabyś się na któryś z targów z kamieniami szlachetnymi? Podobno można tu dostać wspaniałe okazy, i to za połowę tego, co trzeba by zapłacić w Anglii.

- A przy jakiej niby okazji miałabym je nosić? - zapytała, wciąż jeszcze nadąsana. Jak długo będzie musiała tu tkwić pomiędzy palmami a krzakami herbaty?

- Pan Cahill wspominał o dość bujnym życiu towarzyskim w Nuwara Eliya. Znajduje się tam ponoć hotel, jest też mnóstwo willi pełniących funkcję letnich rezydencji bardzo znacznych angielskich rodów, no i są tam inni plantatorzy cieszący się wielkim poważaniem. Jestem pewien, że z twoim talentem towarzyskim szybko znajdziesz tam przyjaciół. I będziesz mogła wydawać bale, o których będzie mówił cały Cejlon.

Na twarzy Claudii pojawił się wreszcie uśmiech. Grace również, choć wiedziała, że to słaba pociecha po straconym balu debutantek, ucieszyła się

na nieodległą perspektywę tańców.

**10.**

### **Berlin, 2008**

Po powrocie do Berlina Diana poczuła się dziwnie obco. Jak gdyby przestała być u siebie. Już wsiadając do samolotu, zaczęła tęsknić za Tremayne House tak bardzo, że wysłała e-mail do pana Greena.

Pewnie bardzo się zdziwi, pomyślała, wystukując kolejne słowa. Ale może to upewni go, że nie zamierza zniknąć na kolejnych parę lat. W

końcu została panią na Tremayne House... Po otwarciu testamentu Emmely okazało się, że otrzymała w spadku dom i ziemię wokół.

Zgodnie z zapewnieniami notariusza była jedyną spadkobierczynią.

Wolała na razie nie myśleć o utrzymaniu domu. Co prawda ciotka zapisała jej również znaczną sumę pieniędzy i papiery wartościowe, jednak taka posiadłość wymagała niemałych nakładów... No i była jeszcze szkatułka ze skrytki. Przez cały lot zastanawiała się nad jej zawartością. W starym liście Victorii, który znalazła pod trumną Deidre, była mowa o „czymś”, co zdeponował u niej ów tajemniczy mężczyzna do czasu, dopóki sam nie będzie mógł pojechać do Grace.

Jedynym naprawdę dziwnym przedmiotem w szkatułce był liść palmowy. Skoro jednak

pozostał w posiadaniu Victorii, należało sądzić, że mężczyzna zmienił zdanie. Lub to ona celowo go schowała. Może to ten liść miał

coś wspólnego z nieczystym sumieniem, o którym wspominała Emmely? Tak czy owak najpierw należało odkryć sens znaczków na owym liściu. Może był to rodzaj zaszyfrowanego listu miłosnego? Zna w Berlinie kogoś, kto zajmował się chińskim pismem.

Teraz jednak miała inne zmartwienia. Musiała wyjaśnić rodzinną tajemnicę - no i rozprawić się z Philippem. Nie odpowiedziała na żadną z jego wiadomości, nie było jej więc teraz łatwo stanąć z nim twarzą w twarz. Zbliżając się do domu, czuła, że jej mąż będzie tam na nią czekał. Na potwierdzenie swoich przypuszczeń dostrzegła jego samochód zaparkowany na podjeździe. Czyżby nie jadł dziś bizneslunchu ze swoją przyjaciółką? A może jej ucieczka dała mu do myślenia?

Zatrzymała swojego mini coopera tuż za jego autem i wysiadła,

przygotowana na wyrzuty z jego strony, że tak długo się nie odzywała.

Mimo że po swoim romansie nie miał prawa robić jej jakichkolwiek wymówek. Serce łomotało jej w piersi jak dziecku, które za późno wraca z podwórka i musi teraz tłumaczyć się przed ojcem. Gdy przekręcała klucz w zamku, przyszło jej do głowy coś jeszcze, co dodatkowo przyśpieszyło bicie jej serca, jednak nie ze strachu. Co zrobi, jeśli zastanie ich w łóżku? Może on tylko skorzystał na jej nieobecności...

Nasłuchując z przygnębieniem śmiechu lub innych zdradzieckich odgłosów, zamknęła za sobą drzwi najciszej, jak umiała, po czym wślizgnęła się do przedpokoju. Zza półprzymkniętych drzwi do salonu wdzierało się tu światło włączonego telewizora. Żadnych innych odgłosów. Otwierając przesuwne drzwi, zrezygnowała z cichego zachowania. A on siedział tam sobie przed telewizorem w najlepsze jak gdyby nigdy nic. Bałagan zniknął, a o jej wybuchu przypominał

jedynie brak szyby. Nie było z nim kochanki, ale też nie szalał z rozpaczy z powodu zaginięcia żony, w przeciwnym razie już dawno miałyby telefon z policji.

Odwrócił się dopiero, kiedy postawiła na podłodze torbę.

- Diana! - Zerwał się z sofy i podszedł do niej. - Gdzieś ty była, na litość boską?!

- W Anglii - odpowiedziała chłodno, unikając jego wzroku. Jego kanciasta twarz z dołączkiem, brązowe oczy i krótko ścięte, kędzierzawe włosy, czyli to wszystko, w czym zakochała się już na samym początku ich znajomości, mogłyby bowiem sprawić, że poczułaby żal z powodu swojego postępowania. O nie, to nie ona powinna się obwiniać!

- U twojej ciotki? - Philipp podparł się pod boki. - Ale dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Nie zostawiłaś żadnej wiadomości.

- Dobrze wiesz dlaczego. - Zamierzała być spokojna, zamierzała wziąć przykład z pana Greena, który zawsze był opanowany. Mimo to brzmiała jak obrażone dziecko.

- To był tylko ten jeden raz.

- Ach tak? A jak długo trwa już ten jeden raz?

- Diano...

- Gdybyś choć raz zdobył się na szczerłość! - rzuciła. Philipp zacisnął usta. Nie z bezsilności, lecz ze złości.

- A jak się miewa twoja ciotka? - zapytał spokojnie, jakby poprzednie

zdanie w ogóle nie padło.

Diana zacisnęła powieki, ale nie zdołała powstrzymać łez. On nie musi o tym wiedzieć, powtarzała sobie w duchu. Zresztą i tak w ogóle go nie obchodziła.

- Nie żyje - wyparowała mimo to.

Philipp popatrzył na nią zszokowany, a potem próbował ją objąć.

Jednak Diana odepchnęła go bezceremonialnie.

- Nie dotykaj mnie! Twoje współczucie nie zmienia tego, co zrobiłeś!

Philipp prychnął i pokręcił głową.

- Więc co z nami będzie?

- Z nami? - Diana zaśmiała się boleśnie. - Najlepiej, jak będziemy sobie schodzić z drogi. Będę spać w pokoju gościnnym.

Wzięła torbę i poszła na górę.

Dysząc z powstrzymywanej złości, usiadła za swoim biurkiem.

Trzeba było zostać w Tremayne House, pomyślała, wyjmując laptop.

Ale była jeszcze kancelaria. Zbyt długo zaniedbywała swoich klientów. Oczywiście w zaistniałych okolicznościach okażą jej zapewne zrozumienie, jednak nie powinna już dłużej kazać na siebie czekać. Poza tym musi skontaktować się ze znajomym w sprawie tego dziwnego liścia palmowego. Tylko on mógł wiedzieć, co jest na nim napisane...

- Następny przystanek Dahlem Dorf - ponad gwarem w metrze rozległ się odrobinę zniekształcony głos. Diana włożyła ostrożnie do torby przewodnik i kolejny raz sprawdziła, czy znajdująca się w niej także koperta z liściem nadal jest cała. Potem wstała z miejsca.

Jak zwykle zastanawiała się nad wzajemną obojętnością współpasażerów. Można by było przeglądać najdziwniejszą książkę, paradować z zielonymi włosami albo w najgorszych łachmanach, ale w Berlinie i tak nikt nie zwróciłby na to uwagi. A już na pewno nie w metrze, gdzie każdy spogląda w dal, byleby tylko nie patrzeć na sąsiada.

Chwilę później żółte wagony metra wtoczyły się na peron, tuż przed szereg oczekujących, głównie studentów i kilka starszych osób. W

czasie wysiadania poczuła ich niecierpliwość. Na szczęście nikt poza nią nie wychodził tymi drzwiami, więc młodzież mogła natychmiast przypuścić szturm. Kiedy rozległ się dźwięk sygnalizujący zamykanie drzwi wagonów, była już przy windzie, która dostarczyła kolejną partię pasażerów. Był wśród nich starszy pan z teczką, zapewne któryś z profesorów śpieszący na



wykłady.

Diana uśmiechnęła się w zamyśleniu. Niewiele się zmieniło od czasu, kiedy to ona studiowała na Wolnym Uniwersytecie. Może ciuchy nosi się teraz trochę inne, a plany zajęć nie są już tak przeładowane, ale na stacji Dahlem nadal roiło się od młodych adeptów

wiedzy i tych, którzy wiele lat temu postanowili już nie opuszczać murów uczelni. Ona jednak odwróciła się teraz do uniwersytetu plecami i ruszyła w stronę szarego budynku ze szkła i betonu, w którym mieściło się Muzeum Sztuki Wschodnioazjatyckiej.

Dodzwoniła się do znajomego z czasów studiów jeszcze przed południem i od razu udało się jej umówić na spotkanie. Robi to tylko dla niej, podkreślił znajomy, bo wszystkie terminy ma już pozajmowane. Przy wejściu powitały ją podniesione głosy grupy oczekujących studentów, ściągających na siebie oburzone spojrzenia recepcjonistki. Diana stanęła przed nią i powiedziała: - Dzień dobry, jestem umówiona z doktorem Fellnerem. Nazywam się Diana Wagenbach.

Recepcjonistka, zmierzyszy ją takim wzrokiem, jakby usłyszała wierutne kłamstwo, sięgnęła po słuchawkę i zaanonsowała przybycie gościa. Jej rozmówca potwierdził najwyraźniej termin spotkania, na co rysy kobiety nieco złagodniały.

- Proszę zaczekać. Zaraz zejdzie.

Diana podziękowała i usiadła na ławce. Nie było jej dane zbyt długo oglądać znudzonych studentów, ponieważ pięć minut później zjawił

się jej znajomy. Michael Fellner był wysoki i nadal szczupły, choć przestał być takim patykowatym dryblasem, jakim zapamiętała go z czasów studiów. Miał na sobie szarą marynarkę i džinsy. Kołnierzyk błękitnej koszuli był wprawdzie rozpięty, jednak Diana była ostatnią osobą, która pomyślałaby, że tamten zbuntowany punk będzie się kiedyś ubierał tak akuratnie.

Fellner podał jej dłoń z uśmiechem.

- Diana, miło cię widzieć! Od lat pracujemy w tym samym mieście, a jakoś nigdy nie udaje nam się spotkać.

- W takim razie może teraz jest to nigdy? - odpowiedziała i ucisnęła go tak, jak to mieli w zwyczaju, kiedy jeszcze udawało im się spotykać.

- Świetnie wyglądasz! Wcale się nie zmieniłaś.

- A jednak to ja przychodzę do ciebie. Właściwie powinnam cię skomplementować.

Michael roześmiał się.

- Nie ma powodu. Poza tym lepiej, żeby nikt nie zwracał uwagi na początki brzucha i pierwsze siwe włosy. Wystarczy, że codziennie sam patrzę na to w lustrze.

Diana pokręciła głową. Ani nie miał brzucha, ani nie siwiał. Owszem, grzywa trochę mu się przerzedziła, jednak wciąż miał twarz młodego chłopca, który kiedyś nosił na nosie o wiele za duże okulary i blond irokeza na głowie. I w kółko chciał jej robić wykłady na temat sztuki wschodniej Azji. Z okularami jakoś się uporał, włosy miały już wszędzie tę samą długość, a za jego wykład byłaby teraz bardzo wdzięczna.

- Chodźmy do mojego biura. Pokażesz mi swój skarb.

Przemierzywszy schody i kilka korytarzy, stanęli u bram królestwa Michaela. W gabinecie panował akademicki nieład, a z okien rozciągał się widok na zielone tereny uniwersytetu, gdzie poszczególne budynki wyglądały niczym porzucane na trawie klocki.

- Diana Bornemann - powiedział, siadając na krześle za biurkiem.

Kiedy ostatnio użyła swojego panieńskiego nazwiska? Dianie wydało się, że czas cofnął się na chwilę. Była jeszcze niezamężna, właśnie czekały ją egzaminy, a w jej głowie kłębiło się od pomysłów i ambitnych planów na przyszłość. Przed nią zaś siedział przyszły ekspert do spraw Azji Wschodniej, który nie mówił jeszcze płynnie po chińsku i japońsku, a w wolnym czasie uczył się także hindi.

- Wyszłaś za mąż - powiedział, patrząc na obrączkę na jej palcu. - Z początku zastanawiałem się, kim jest ta Diana Wagenbach, ale potem poznałem cię po głosie. Czy ty wiesz, że każdy z naszej paczki marzył po cichu, żeby zaciągnąć cię do łóżka?

Diana udała zdziwienie. Oczywiście awanse kolegów nie uchodziły jej uwagi, podobnie jak ich dziecinne przepychanki, kiedy chcieli pokazać, kto z nich jest najsilniejszy. Michael wprawdzie zawsze trzymał się gdzieś z boku, ale jego spojrzenia mówiły same za siebie.

- A ja myślałam, że interesują was wyłącznie dyskusje na temat niedomagań w sferze socjalnej. No, ale nie będziemy chyba tracić czasu na wspomnienia o męskich fantazjach...

- Racja - przyznał Michael, opierając się na krześle i lustrując ją uważnym spojrzeniem. - Co cię do mnie sprowadza? Przez telefon brzmiałaś

tak tajemniczo.

Diana sięgnęła do torebki i wyciągnąwszy z niej kopertę formatu B4, położyła na biurku ów osobliwy liść. Michael sapnął mimowolnie.

- To niemożliwe!

Splotła lodowate palce. Tak chyba musi się czuć ktoś, kto przynosi do eksperta jakieś szpargały znalezione na strychu, a ten rozpoznaje w nich nieznanie dzieło Leonarda da Vinci.

- Co jest niemożliwe? - zapytała zaciekawiona, podczas gdy Michael przysunął liść bliżej siebie z niemal nabożną czcią i zsunąwszy okulary na czubek nosa, przyjrzał mu się sponad nich, jak czynią krótkowidze.

Przez długą chwilę nie odpowiadała, całkowicie pochłonięty badaniem przedmiotu. Potem zaczerpnął tchu, jak gdyby to, co miał do powiedzenia, wymagało sporej dawki powietrza.

- Słyszałaś kiedyś o Bibliotekach Liści Palmowych w Indiach albo na Sri Lance?

Diana pokręciła głową.

- Pewnie wyjdę na ignorantkę, ale nie, nie słyszałam. Rozdygotanie jej przyjaciela wskazywało jednoznacznie na to, że odkryła coś naprawdę niezwykłego. Tyle że co to miało wspólnego z historią jej rodziny?

- W Indiach i na Sri Lance od wielu stuleci, ba, od tysiącleci pisze się na liściach palmowych, wiązanych później w książki o nieraz bardzo kunsztownych zdobieniach.

Wpisał coś do komputera, następnie przekręcił ekran tak, by i Diana mogła go widzieć. Księgi z liści palmowych, o których mówił Michael, na pierwszy rzut oka wyglądały jak wielkie wachlarze. Grawerunki na ich okładkach składały się z przypominających

zawijasy liter, jakie zaobserwowała już na swoim liściu, i były obwiedzione ozdobnymi wzorkami.

- Sądysz, że mój liść to strona z takiej książki? Michael pokręcił przecząco głową i poprawił okulary.

- Nie, moja droga, to zupełnie co innego. W normalnych warunkach nie wolno by ci było tego posiadać.

- Ale dlaczego? Nie wolno ich wywozić? W takim razie powiem na swoją obronę, że ten egzemplarz liczy sobie prawdopodobnie ponad sto lat.

Michael usiadł na stole. Było niemal widać, jak myśli kotłują mu się pod czaszką. W końcu pokręcił głową, jakby z niedowierzaniem, po czym oznajmił:

- Masz w swoich rękach, jestem o tym przekonany, liść z legendarnych Bibliotek Liści Palmowych, prastarych indyjskich wyroczni. Większość z nich została zapisana w języku starotamilskim, którego dziś już prawie nikt nie zna. Jedna z legend opowiada, jak pewnego dnia Bringhu, syn pewnego mędrca, cieszący się przywilejem obcowania z bogami, spoliczkował samego boga Wisznu. Lakszmi, małżonka Wisznu, obłożyła go za to klątwą. Miał nigdy nie osiągnąć szczęścia. Choć Bringhu okazał głęboką skruchę, bogini nie mogła już cofnąć kary. Jednak zezwoliła mu zajrzeć do legendarnych, kosmicznych zwojów, gdzie zapisane były koleje losu każdego człowieka. Lakszmi rozkazała mu potem przepisać na liście palmowe losy braminów.

- Brzmi interesująco - powiedziała Diana, mimo że ta informacja nic jeszcze nie wносиła do historii jej rodziny. - Pewnie ten liść przywłaszczył sobie któryś z kolonialistów. Niestety nic więcej nie wiem na ten temat. - Zachowała przy tym dla siebie przypuszczenie, że ów liść miał być darem dla Grace.

- Niewykluczone - odparł Michael. - Pewnie nie wiedział, że posiadanie takiego liścia może na niego ściągnąć wielkie nieszczęście.

Liści palmowych nie wydaje się w niepowołane ręce, ich treść odczytują i interpretują tak zwani Nadireaderzy. Ludzie proszą o ich odczytanie, aby poznać swój los w przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Czasami dowiadują się, że żyli już wcześniej. Wiesz pewnie, że Hindusi, podobnie jak buddyści, wierzą w reinkarnację i Nirwanę.

- Do której można trafić dopiero po oczyszczeniu z wszystkich grzechów i odbyciu pokuty.

Wprawdzie za czasów jej studiów era hipisów dawno już prze-brzmiała, jednak sporo jej kolegów z roku czuło ciągoty do buddyzmu.

- Można tak powiedzieć. Jeżeli więc nie uda się nam wpłynąć pozytywnie na swoją karmę, odradzamy się ponownie, i tak do momentu, w którym pojmiemy, co wolno nam czynić, a czego nie.

Mówiąc w uproszczeniu, oczywiście.

Po plecach Diany przebiegł dreszcz. Czyżby to Henry Tremayne ściągnął klątwę na swoją rodzinę? A może to był Richard? Bo zabrał z biblioteki ten palmowy liść?

- A ty wierzysz w tę klątwę?

- No cóż, to indywidualna sprawa. Mówi się, że ludzi, którzy na przykład skradną Maorysom jakiś święty przedmiot, prześladowe potem pech, albo nawet umierają w tajemniczych okolicznościach. Jednak z punktu widzenia

nowoczesnej nauki mogę się tylko cieszyć, kiedy coś trafia ponownie na wyznaczone sobie miejsce. Rzecz jasna po wykonaniu stosownej dokumentacji fotograficznej lub przynajmniej po przekopiowaniu. A propos, czy pozwolisz mi sfotografować ten skarb?

- Jasne - odpowiedziała Diana, lekko skonfundowana, bo jej myśli wciąż krążyły wokół słów o klątwie i tego, co usłyszała od umierającej Emmely.

- Fascynująca sprawa! - Michael przeszył ją wzrokiem. - Chętnie dowiedziałbym się, skąd to masz.

- Znalazłam w skrytce.

- A gdzie znajduje się owa skrytka?

- W starym dworku w Anglii. Zmarła moja ciotka, ale przed śmiercią poleciła mi, abym otworzyła schowek. To znalazłam w środku.

- Bardzo ci współczuję - odpowiedział Michael. - Z powodu ciotki.

Tak czy inaczej twoje znalezisko to prawdziwa sensacja.

„Czy powinnam mu opowiedzieć o pozostałych przedmiotach?”

Diana nie zdecydowała się na to. Zamiast tego zapytała: - Czy da się sprawdzić, z której biblioteki pochodzi ten liść? Żebym mogła go tam oddać.

- To może być trudne. Nawet gdybyś odwiedziła wszystkie biblioteki, nikt nie będzie ci w stanie powiedzieć, czy ten liść pochodzi właśnie stamtąd. Sama widzisz, że nie ma żadnego numeru katalogu.

- Ale ktoś musiał chyba zauważyć, że brakuje tego liścia?

- Przy takiej ilości nikt nie zdoła tego zauważyć. Owszem, może się zdarzyć, że ktoś szukający zapisów o swoim losie nie znajdzie ich na miejscu, bo liść z jego historią leży gdzieś w jakiejś skrytce.

- Każdy człowiek ma swój liść?

- Nie, choć większość tak. Osobiście tłumaczę to tym, że wiele dusz powraca na ten świat, bo jeszcze nie znalazły swojej karmy. Większość ludzi, którzy znajdują zapis swoich losów na liściach palmowych, przeżyło, według braminów, wiele żyć i wcieleń.

Diana popatrzyła na liść. Wprost pękała z ciekawości. Co jest na nim zapisane? Czyjego losu dotyczy? Grace czyjej tajemniczego kochanka? A może innego członka rodziny? Przez chwilę poczuła pragnienie, by znów móc porozmawiać z Emmely. Dlaczego nigdy nie opowiadała jej o życiu swojej babki na Cejlonie? Ani o Henrym i Richardzie? Dlaczego zarówno oni, jak i córki Henrygo pozostali jedynie garstką dat i faktów z dziejów rodu, twarzami na żółknących fotografiach. Czyżby to, co przyprawiało Victorię o wyrzuty sumienia, było aż tak straszne?

- No i co mam teraz zrobić? - usłyszała swój własny głos.
  - Najlepiej, jeśli na początek znajdziesz kogoś, kto odczyta ci jego treść - odpowiedział Michael, nie odrywając wzroku od palmowego liścia. - Może był. własnością któregoś z członków rodziny. Jeżeli uda ci się znaleźć tłumacza, może będzie też umiał powiedzieć, z której biblioteki pochodzi. Choć nie obiecuj sobie zbyt wiele. Tak jak mówiłem, tych liści jest naprawdę mnóstwo.
  - To znaczy, że muszę pojechać do Indii?
  - Na to wygląda. Nie sądzę, żeby poza Indiami żył gdzieś jakiś Nadireader.
  - Albo na Sri Lankę. - Przypomniała sobie o przewodniku. -Czy w Kolombo także istnieje podobna biblioteka?
  - Skąd ci przyszło do głowy Kolombo? - zdziwił się Michael.
  - W skrytce był też stary przewodnik. Stąd moje przypuszczenie, że ten liść może pochodzić z końca XIX wieku.
  - Prawdopodobnie jest jeszcze starszy. Jeżeli pozwolisz mi wziąć go na chwilę, będę mógł ci dokładnie powiedzieć, kiedy został napisany.
  - Będziesz miał na to nawet kilka dni. Potrzebuję trochę czasu, żeby sprawdzić, dokąd będę musiała pojechać.
- Twarz Michaela rozpromieniła się w uśmiechu.
- Jeżeli mi go zostawisz, zrobię dokumentację i pobiorę próbki, żeby sprawdzić jego wiek. Rzadko ma się w rękach coś tak niezwykłego.
  - Ale chcę go dostać z powrotem! - zastrzegła Diana.
  - Bez obaw, dostaniesz. Zadzwoń, jak zrobię zdjęcia i pobiorę próbki. To potrwa dzień, może dwa.

**11.**

## **Kolombo, 1887**

Następnego dnia rano matka wyraziła zgodę na wyprawę córek do Ogrodów Cynamonowych. Sama pozostała na miejscu z powodu migreny, która zapewne przyczyniła się do owego ustępstwa, jednak wyprawiła dziewczęta w towarzystwie panny Giles i Wilkesa, aby nie zgubiły się gdzieś po drodze. Perspektywa tak baczego nadzoru nie martwiła jednak zbyt wiele Victorii.

- Może stangret wybierze drogę obok zakładu dla obłąkanych - szepnęła do ucha Grace, kiedy usadowiły się w dorożce.

- I co spodziewasz się tam zobaczyć? Jakiś smętny budynek otoczony wysokim płotem?

- Może ty tak. Ale kto wie, ile młodych kobiet zamknięto tam wbrew ich woli, bo zbrodniczy mężowie dybali tylko na posag.

Grace nie potrafiła ukryć uśmiechu.

- Znowu czytałaś którąś z tych tanich powieści za sześć pensów, co?

- Ja? - Victoria na próżno usiłowała przybrać minę niewiniątka. -

Daleka jestem od tego! Wiesz przecież, co ojciec sądzi na temat tego rodzaju literatury!

- Co nie przeszkadzało ci jakoś do tej pory jednak ją czytać. Chowasz te książki w jakiejś tajnej przegródce w swoim bagażu?

Po twarzy Victorii przebiegł szelmowski uśmieszek.

- Wiesz o tym? Grace kiwnęła głową.

- I nie powiedziałaś o tym papie?

- Jesteś moją siostrą, pamiętasz? A siostry trzymają się razem.

Victoria przytuliła się do niej z wdzięcznością.

- Dziękuję, siostrzyczko! Jeśli zechcesz, pożyczę ci kilka książek.

- Raczej nie gustuję w przygodach lorda Ruthvena, ale dziękuję za propozycję.

Kiedy panna Giles i pan Wilkes również zajęli swoje miejsca, dorożka ruszyła. Miejscowy dorożkarz, zatrudniony na usługach hotelu, znał się na rzeczy i z dużą zwinnością wymijał grupki ludzi, riksze i wozy zaprzężone w woły. Zatrzymali się tylko raz, kiedy na ich drodze znalazło się stadko słońi.

- Co za wspaniałe kolosy! - Victoria zachwyciała się słońiami okrytymi wzorzystymi kapami, na których grzbietach umieszczono konstrukcje przypominające kształtem pagody.

- Słonie w drodze do świątyni - objaśnił woźnica. - One święte. My musimy czekać.

Procesja świętych olbrzymów zajęła sporą chwilę, a panna Giles zaczęła się już obawiać o skórę dziewcząt, wystawioną na palące słońce.

- Jeżeli postoiemy tu dłużej, okropnie się spieczemy. Panno Grace, proszę naciągnąć kapelusz i lepiej osłonić twarz. To samo dotyczy panny Victorii.

Obie młode damy usłuchały polecenia, ale Victoria nie omieszkała się skrzywić, kiedy guwernantka odwróciła głowę, przyglądając się chłopcu oferującemu jej rzeźbioną figurkę.

Cinnamon Gardens stanowiły właściwie raczej dzielnicę miasta niż ogrody. Pomiedzy uprawami plantacji i na ich obrzeżach wznosiły się liczne domostwa. W centralnym miejscu znajdowała się okazała rezydencja otoczona ogrodami o ścieżkach wysypanych białym żwirkiem, gdzie rosły drzewa, z których kory uzyskiwano cynamon.

- Jeżeli się nam poszczęści, znajdziemy przewodnika, który nas oprowadzi - oznajmiła zachwycona Victoria. - Tak przynajmniej piszą w mojej książeczce.

Panna Giles spojrzała żałośnie na ścieżki wijące się pomiędzy drzewami, jak gdyby już teraz czuła, jakie męki czekają obcasy jej trzewików.

- Jestem pewien, że można by tego przewodnika zabrać do dorożki - stwierdził pan Wilkes, który nawet postanowił poszukać kogoś lepiej zorientowanego.

Grace zauważyła, że Victoria spuściła głowę. Cały poranek przesiedziała z nosem utkwionym w przewodniku. Wyglądało jednak na to, że jak w starych baśniach, to, co zobaczyła, nie do końca ją zadowalało.

- No i masz swoje cynamonowe ogrody - powiedziała, wskazując na drzewa wcale nieprzywodzące na myśl skojarzeń z cynamonem. -

Czemu spuszczasz nos na kwintę?

- Wcale nie spuszczam! - zaprotestowała Victoria. - Ja tylko się zastanawiam.

- Nad czym?

- Nad tym i owym.

- Młode damy nie powinny trwonić czasu na płoche myśli - panna Giles poczuła się w obowiązku, by włączyć się do ich rozmowy.

Jednak Grace podejrzewała, co tak popsulo szyki siostrze. Wbrew nadziejom Victorii nie przejechali obok zakładu dla obłąkanych. Ona sama była z tego powodu zadowolona, bowiem wszystkie, zasłyszane jeszcze w Londynie, historie o tego rodzaju przybytkach zawsze przepełniały ją grozą.

Jakiś czas później panu Wilkesowi udało się znaleźć kogoś, kto był gotowy oprowadzić ich po plantacji. Niewysoki, przysadzisty młodzieniec, którego odcień skóry przypominał łupinę laskowego orzecha, zaraz po tym, jak wsiadł do dorożki, wyjaśnił im, że mimo wszystko będą musieli przejść kawałek pieszo, ponieważ ścieżki pomiędzy drzewami są zbyt wąskie dla powozu. Najpierw zaś łamaną, niemal niezrozumiałą angielszczyzną opowiedział im historię plantacji, istniejącej już za panowania



Holendrów, jednak dopiero za czasów Brytyjczyków doprowadzonej do pełnego rozkwitu. Kiedy w końcu powóz stanął, bo ścieżka stała się za wąska, panna Giles wysiadła z najwyższą niechęcią - choć droga pomiędzy drzewami nie była daleka i z pewnością bardziej interesująca aniżeli jazda obok raczej jednostajnych zabudowań rezydencji.

„Jaka szkoda, że nie jestem teraz w Londynie”, pomyślała znudzona Grace. Żałowała nie tylko niedoszętego debiutu, ale również pozostałych balów, wydawanych przez wszystkich okolicznych ziemian. Zażęskniła za pasztecikami i słodyczami, no i za kadryłem.

Tymczasem jeździ w tym skwarze i ogląda, jak uprawia się cynamon.

Owszem, bardzo go lubi, ale cóż ją obchodzi, jak powstaje.

Patrzyła więc obojętnie na robotników zbierających korę, która następnie była rolowana i po związaniu w pęczki składowana na skraju ścieżek. Poszczególne pęczki były w różnych stadiach suszenia. Jedne przypominały pomarszczone drewno, inne zaś wyglądały już jak owe laski, które ich kucharka przechowywała w szczelnie zamykanym słoju.

- Może weźmiemy dla papy kilka cynamonowych cygar? - zaproponowała Victoria.

- Myślisz, że będzie chciał je palić?

- Przecież pali te okropne cygara od swoich przyjaciół z Sumatry - upierała się przemądrzale jej młodsza siostra. -Dlaczego więc nie miałyby palić cygar cynamonowych? Pachną o niebo lepiej niż tamte.

- No dobrze, kup mu kilka - powiedziała Grace. - Ja kupię parę lasek cynamonu, na wypadek gdyby nie było ich na plantacji stryja. Jak już tam trafimy, to nie wiadomo, kiedy następnym razem zobaczymy jakiś sklep.

Zaopatrzyły się zatem przy małym straganie w parę pudełek cynamonu i kilka cynamonowych cygar, jednak Victoria, zamiast wrócić potem wraz z Grace do powozu, odeszła kilka kroków dalej i przystanęła.

- Victorio! - zawołała za nią siostra. Nie pozostało jej jednak nic innego, jak pójść za nią.

- Popatrz tam! - Victoria wskazała na domy za krzewami stanowiącymi rodzaj ogrodzenia plantacji. Dobiegał z nich gwar.

Pomiędzy krzewami plumerii wila się wiodąca tam wąska ścieżka. - I co, masz ochotę na przygodę?

- Chcesz tam pójść? - Grace obejrzała się na pannę Giles i Wilkesa, którzy nadal stali przy straganie, rozmawiając ze sprzedawcą.

- Czemu nie? Myślałam, że Ogrody Cynamonowe będą fascynującym miejscem. Pomyliłam się. Sama widzisz, że wieje tu nudą. Za to tam w dole - wskazała na dachy domostw, z których dochodził harmider -

tętni życie. Już w dorożce miałam wielką ochotę wmieszać się w tłum.

Może udałoby się nam odszukać świątynię, do której wędrowały tamte słonie?

- Ale panna Giles i pan Wilkes mają za zadanie nie spuszczać nas z oczu.

- Nawet nie zauważą naszego zniknięcia.

I nie oglądając się nawet na opiekunów, zbiegła w dół wąską ścieżką.

- Ale... - wydukała Grace. Wystarczyło krzyknąć, by przywołać kamerdynera i guwernantkę. Victoria zostałaaby zaciągnięta z powrotem do dorożki, trochę by się dąsała, ale w końcu by jej przeszło.

Nie miała jednak sumienia, by zdradzić siostrę. A ponieważ Victoria zdążyła już zniknąć w zaroślach, podciągnęła spódnicę i pognęła za nią najszybciej, jak się dało.

- Zdecydowałaś się jednak - zatriumfowała Victoria, torując sobie drogę wśród gałęzi i pnączy.

- Ale tylko po to, by uważać, żebyś nie popełniła jakiegoś głupstwa.

Victoria uśmiechnęła się pod nosem. Musiała jakoś choć na chwilę odciągnąć siostrę od krępujących więzów dorosłości. Przecież jeszcze do niedawna uwielbiała wszelkie psoty i nie myślała w kółko o strojach i balach. Jak często wtedy chowały się gdzieś w różnych zaroślach w ogrodzie, albo w pergolach w parku, i opowiadały sobie różne historie.

Ale potem matka zabrała się do przygotowania Grace do dorosłości. Z dnia na dzień zaczęto mówić wyłącznie o balach, herbatkach i przymiarkach u krawca. Victoria już teraz drżała na myśl o tym, że i ją czeka to samo, jak tylko skończy szesnasty rok życia. Dlatego zamierzała w pełni korzystać z beztroskich chwil dzieciństwa, a przy okazji przypomnieć Grace o dawnych czasach. I wyglądało, że jest na to szansa, skoro ta ruszyła za nią przez zarośla, ryzykując późniejsze kłopoty.

- Ale zostaniemy tu tylko kilka minut, a potem zobaczymy, czy uda nam się trafić z powrotem na górę - syknęła jej do ucha Grace.

I już chwilę później pożałowała swojej decyzji, bo wpadły w sam środek cizby, która niczym wartki prąd rzeki uniosła je ze sobą. Nie sposób było zawrócić. Kiedy wreszcie udało im się uskoczyć w boczną uliczkę, plantacja cynamonu została daleko w tyle. Grace zrozumiała też, że nie znalazły się tu

przypadkiem. Jej mała, przebiegła siostrzyczka zaplanowała to wszystko w najdrobniejszych szczegółach!

- No chodźże! - zawołała Victoria, ciągnąc ją za rękę. - To musi być gdzieś w pobliżu.

- Ta świątynia?

- Coś dużo ciekawszego.

- Przeczytałaś o tym w swoim przewodniku? - zaniepokoiła się Grace.

- Nie, na karteczce, która leżała na parapecie sali jadalnej.

- A co tam było napisane?

Grace przypomniała sobie tamtą sfatygowaną broszurkę i pożałowała, że nie rzuciła wtedy na nią okiem. Teraz bowiem nie miała nawet możliwości wyperswadowania Victorii jej zamiarów.

- Później ci powiem. A teraz nie każ się tak ciągnąć jak uparty osioł.

Pośród miejscowych ubranych w sari i sarongi Grace czuła się kompletnie obco. Pod gorsetem spływał jej po plecach pot, a skóra piekła chyba nie tylko z powodu nadmiaru słońca. Spojrzenia tubylców, ich zdumienie samotną wycieczką dwóch Angielek działały niczym ukłucia szpilek i najlepiej czmychnęłyby stąd z Victorią jak najprędzej.

Ale wtedy jej siostra przystanąła przed jakimś zaniedbanym budynkiem. Tynk odpadał ze ścian wielkimi płatami, któraś z okiennic zwisała krzywo, trzymając się tylko na jednym zawiasie. W oknach zamiast firan wisiały kolorowe chusty, a tuż obok wejścia Grace spostrzegła barwnie wymalowaną figurę mężczyzny o wielu ramionach. Pod wiatą z liści palmowych siedział zaś młody mężczyzna w jaskrawej szacie. Na jego czole widniały dwie czerwone kreski, podobne do tych, jakie mieli na czołach ludzie w porcie. Przyglądał się obu młodym pannom przenikliwym, wręcz demonicznym spojrzeniem.

- Wy Anglicy - odezwał się w końcu - wy chcecie wiedzieć los?

- Jak najbardziej - zawołała Victoria z zachwytem. - Grace, to jest Biblioteka Liści Palmowych! Są tu setki takich liści, na których spisano ludzkie losy. Tak było napisane na tamtej kartce!

To dlatego Victoria nie powiedziała nic wcześniej! Wiedziała, że się nie zgodzę! Grace pociągnęła siostrę do tyłu.

- To jakieś zabobony, Victorio! Chodźmy stąd!

- Skoro to tylko zabobony, to nie musimy się niczego obawiać. -

Victoria zrobiła niewinną minkę, wiedząc, że zaskarbia sobie nią

przychylność starszej siostry. - Proszę, Grace, niech on przepowie nam przyszłość!

- Ale on na pewno zechce nas oskubać! - upierała się Grace, wiedząc, że to i tak nie wpłynie na jej żadną przygodę siostrzyczkę.

- Inni już dawno mieli ku temu okazję, prawda? I co, nawet ten namolny handlarz kamieniami z portu nic nam nie zrobił!

Grace tylko westchnęła. Jeżeli nie ustąpi, Victoria będzie jej przez całą drogę powrotną wyrzucać, jaki z niej tchórz.

- No dobrze, ile to kosztuje? - zapytała, na co mężczyzna spojrzał na nią swoimi ciemnobrązowymi oczami tak przenikliwie, jakby chciał

prześwietlić na wskroś najgłębsze zakamarki jej duszy. To pewnie część jego kuglarskich sztuczek, pomyślała, jednak nie od razu odwróciła oczy.

- Pięć rupii! - Aby podkreślić swoje słowa, pstryknął palcami prawej ręki, po czym wyciągnął otwartą dłoń w jej kierunku.

Victoria szturchnęła ją łokciem.

- No już, nie bądź taka strachliwa. Jeszcze dwa lata temu to ty zaciągnęłabyś mnie do takiego miejsca.

Naprawdę? Teraz trudno jej było wyobrazić sobie, że była tak szalona jak jej młodsza siostra. Zajęcia z dobrych manier i zapowiedź

przyszłych „dorosłych” obowiązków sprawiły, że dawne psikusy odeszły w niepamięć.

Wręczyła młodemu człowiekowi pieniądze, które ten zręcznym ruchem schował pod swoim okryciem. Następnie podniósł się z miejsca i poprowadził je do niewielkiego pomieszczenia o niebieskich, łuszczących się ścianach. Musiał to być rodzaj poczekalni. Było tu zupełnie pusto, za to zza barwnej kotary dobiegały odgłosy krzątania.

Grace poczuła na karku gęsią skórę. A jeśli tam po drugiej stronie czyha jakaś banda opryszków?

- Ty iść. - Mężczyzna wskazał na Grace, na co ta z przestachem przyłożyła rękę do piersi.

- A nie my obie?

Mężczyzna potrząsnął przecząco głową.

- Jeden liść, jedna osoba. Ty iść naprzód, potem druga miss. Grace rzuciła spanikowane spojrzenie Victorii, która była chyba zawiedziona, że to nie ona wchodzi za kotarę jako pierwsza,

jednak wyglądało na to, że pomimo intensywnej lektury ociekających

przemocą powieści ani trochę nie podziela obaw starszej siostry - Ty iść! - powtórzył mężczyzna, uchylając zasłonę. Z korytarzyka za nią docierało jasne, dzienne światło.

Grace ruszyła więc ze ściśniętym żołądkiem do pomieszczenia obok, nasłuchując przez cały czas, czy nie dobiegnie ją zaraz krzyk Victorii pochwyconej przez jakiegoś handlarza niewolników. W podobnym miejscu w Londynie niechybnie tak by się stało.

„Nie do wiary, że się na to zgodziłam!”, pomyślała znowu. Gdyby mama o wszystkim wiedziała, kazałaby im przez cały tydzień ćwiczyć dobre maniery pod okiem panny Giles. Jedną z zasad było nieoddalanie się samotnie w obcym kraju, a już z pewnością nie w tak podejrzane miejsca jak to, gdzie pewnie roi się od złodziei i morderców. Już po drodze wrogię wydawało się jej każde spojrzenie i każde usłyszane słowo. Należało trzymać się bardziej przyjaznych miejsc.

Jej nieme kazanie urwało się, kiedy spostrzegła przed sobą siwowłosego, mocno opalonego człowieka w długiej, białej szacie.

Pomimo niemłodego wieku siedział na macie z liści palmowych w jakiejś niezwyklej pozycji. Obok stało naczynie, z którego wydobywał

się aromatyczny dym. Jej towarzysz powiedział coś do starca w ich ojczystym języku, zaś Grace zawstydzila się swoich dotychczasowych podejrzeń. Ten staruszek mógłby być jej dziadkiem i wcale nie wyglądało na to, że zamierza się na nią rzucić. Na ziemi obok niego leżały podłużne przedmioty przypominające Grace chińskie wachlarze, tyle że były znacznie większe i pokryte osobliwymi znaczkami.

- Ja pytać, ty odpowiadać - oznajmił młody mężczyzna, sięgając po pióro i kawałek papieru.

Przestraszona Grace podniosła wzrok, po czym zauważyła, że starzec uważnie się jej przygląda. Dopiero teraz zorientowała się, że nie przywitała się z nim po wejściu. Ach, co za brak manier! Ale

co miała powiedzieć do tego człowieka? Skinęła więc tylko głową, a młody pomocnik - bo pewnie taką funkcję pełnił ów młodzieniec z kreską na czole - zaczął zadawać jej pytania. Jak się nazywa, kim są jej rodzice, skąd pochodzi, kiedy się urodziła i tak dalej.

Grace udzielała odpowiedzi niechętnie, bo w dalszym ciągu spodziewała się jakiegoś podstępu. Odrzuciła jednak pomysł, by podać fałszywe dane, bo jeżeli rzeczywiście była to wyrocznia przepowiadająca przyszłość, to wolała uniknąć pomyłek w przepowiedni. Oczywiście nie zamierzała w nią wierzyć,

ale znała samą siebie na tyle dobrze, że wiedziała, iż jakiś zły omen będzie jej potem przez wiele dni spędzał sen z powiek, bo nie będzie miała pewności, czy aby nie tkwi w nim ziarnko prawdy.

Po zapisaniu wszystkich odpowiedzi pomocnik zniknął w następnym pomieszczeniu, zawiązawszy chustę na głowie tak starannie, jakby się obawiał, że ktoś mu z niej coś ukradnie. Grace rozejrzała się niepewnie dookoła. Starzec, który przez cały ten czas nie wypowiedział ani jednego słowa, nadal przeszywał ją spojrzeniem. Aby przed nim uciec, odwróciła głowę w stronę kotary, za którą w poczekalni znajdowała się Victoria. Nie dobiegał stamtąd żaden niepokojący szmer. Pewnie mała okropnie się teraz nudzi, albo zastanawia się, gdzie zniknęła jej starsza siostra...

Jakiś szelest sprawił, że skierowała głowę w stronę przeciwnych drzwi, w których stanął właśnie pomocnik, trzymając w ręku wąski liść przypominający lineał.

- Znaleźć liść dla miss - oznajmił z uśmiechem. - Ja dać to czytać bramin.

Zdaje się, że chodziło mu o starca, któremu wręczył teraz liść z pełnym pokory ukłonem. Bramin nareszcie odwrócił od niej wzrok i zaczął przesuwając palcami po suchym palmowym liściu. Po jakimś czasie z jego ust popłynęły pierwsze obco brzmiące słowa, które pomocnik tłumaczył jej na angielski.

Grace z trudem wyławiała poszczególne zwroty.

- Ojciec bogaty... wielka podróż... decyzja... burza, która wszystko zmieni... ślub...

Po chwili dała jednak za wygraną i przestała słuchać. Informacje, których właściwie wcale nie chciała poznać, szumiały w jej uszach niczym szmer płynącej wody. W końcu młodzieniec powiedział: - Ty iść sześćdziesiąt trzy lata do następnego życia. Ty jeszcze trzy życia do nirwany.

Czy on właśnie przepowiedział jej śmierć? Co prawda nie zrozumiała tego dziwnego słowa na końcu, choć brzmiało mniej więcej jak „niebo”. Naraz gorset zaczął ją jeszcze mocniej ścisnąć, upał w pomieszczeniu wydał się jej nie do zniesienia. Zaczęła drzeć na całym ciele. Musiała użyć całej siły woli, by nie poderwać się na równe nogi i nie wypaść stąd w popłochu.

Kiedy starzec umilkł, a jego pomocnik skończył tłumaczyć, ten ostatni sięgnął po kartkę papieru, na którą w mgnieniu oka przekopiował dziwne znaczki widniejące na liściu palmy. Gdy wręczał

go Grace, ta poczuła taką suchość w gardle, jak gdyby najadła się piasku.

- Wziąć to, miss, na pamiątkę, i jeśli będzie pytanie.

Jednak Grace nie zamierzała więcej tu wracać. Zresztą już prawie zapomniała słowa mamrotane przez pomocnika. Poza tym to na pewno były jakieś bzdury. Mimo to podziękowała uprzejmie i pośpiesznie wyszła z pomieszczenia. W poczekalni przypadła do niej Victoria.

- I co?! Co ci przepowiedział?

- Że czekają nas kłopoty, a to wszystko to jakieś brednie napisane tak, że nikt tego nie odczyta.

Victoria z błyszczącymi oczami wyrwała jej z ręki kartkę.

- Co to znaczy? Co ci powiedział?

- Nic ważnego. Powinnyśmy już iść.

- A ja! - zaprotestowała jej siostra, chwytając ją za spódnicę. - Poza tym pięć rupii to opłata za nas obie!

W tym samym momencie zjawił się też młody pomocnik, zapraszając do środka drugą miss. Victoria pognąła za nim, a Grace, popatrzywszy za nią z westchnieniem, usiadła na drewnianej

ławie i skierowała wzrok na kartkę. Czy te zawijasy naprawdę znaczyły to, co usłyszała? Czy na pewno dobrze zrozumiała tego młodego człowieka? A może należałoby ten liść dać do odczytania jeszcze komuś innemu? Na plantacji z pewnością było mnóstwo osób, które mogłyby to zrobić.

Zresztą, po co się tym w ogóle przejmuję? Te proroctwa pasują pewnie do każdej Angielki przyjeżdżającej na Cejlon. Ten stary i jego pomocnik, być może jego syn, oferują swoje usługi po to, żeby zarobić na kawałek chleba. Kto wie, może sami zapisali te liście i robią z tego teraz sensację, nadając im mistyczną aurę. Może za tymi drzwiami, które tak szybko za sobą zamknął, wcale nie ma żadnej biblioteki tych liści. Jest tylko ten jeden, który pokazuje wszystkim ludziom w kółko, a ten stary wymyśla jakieś stosowne bajeczki. Przecież nikt nie sprawdzi, co tam jest napisane. „Ale ja dowiem się wszystkiego -

postanowiła nagle Grace - i położę kres temu oszukaństwu”.

Victoria wróciła po jakimś ciągnącym się w nieskończoność czasie.

Nie miała jednak ze sobą żadnej kartki, za to niepocieszoną minę.

- Nie mają żadnego liścia dla mnie - powiedziała rozczarowana.

- Co? - Grace uniosła brwi z niedowierzaniem. A potem ogarnęła ją złość. To jasne, że to oszustwo. Wiedziała o tym doskonale! Gdyby istniało więcej tych śmiesznych liści, nie musieliby okłamywać Victorii. A tak bali się oczywiście, że jeżeli powtórzą tę samą przepowiednię, wszystko wyjdzie na

jaw. - Zaczekaj. Porozmawiam z tym człowiekiem.

- Nie, zostaw go... - Ręce Victorii trafiły jednak w pustkę, bo Grace była już po drugiej stronie kotary z paciorków.

- Czy mógłby mi pan wyjaśnić, dlaczego nie chcecie dać mojej siostrze jednego z tych waszych śmiesznych liści? - Stała wy-prostowana jak struna i założyła wymownie ręce na piersi.

Starzec uniósł głowę i popatrzył na nią ze spokojem. A nawet z uśmiechem, jak gdyby usłyszał coś zabawnego.

- Niektórzy ludzie nie mieć liść, bo ich dusza na świecie nowa. Nie mieć jeszcze karma i nie mieć życia wcześniej.

A więc on jednak zna angielski? I to nawet nieźle? Dlaczego zatem udawał, że nic nie rozumie? Czyżby to był element ich oszustwa?

Po pierwszym zaskoczeniu Grace zdążyła już jednak dojść do siebie.

Tłumaczenie starca wydało się jej wysoce nieprzekonujące, więc zażądała:

- Chcę zobaczyć tę waszą niby bibliotekę!

- Nie może pani - odparł ze stoickim spokojem jej rozmówca. Grace znów skrzyżowała ręce na piersi.

- A to dlaczego? Czy aby nie dlatego, że macie tylko ten jeden zeschnięty liść? Poskarżę się u samego gubernatora, że pod jego nosem dochodzi do takich oszukańczych procederów!

Mimo że starszy mężczyzna znów spoglądał na nią tamtym dziwnym, przenikliwym spojrzeniem, popatrzyła na niego wyzywająco. W końcu jednak odwrócił głowę w stronę swojego pomocnika i powiedział: - Pokaż jej.

- Ale one są święte! - zaprotestował tamten.

- Złóż na nas skargę. Pokaż jej.

Młodzieniec spojrział na nią spode łba, po czym podszedł do drzwi i otworzył je.

- Chodź, miss.

Grace zbliżyła się nieufnie. Czy ten młody nie zechce jej uderzyć?

Serce tłukło się jej jak szalone, duma zabraniała wszakże wycofać się w tym momencie. Kiedy zaś zajrzała przez otwarte drzwi, odebrało jej dech w piersiach. W pomieszczeniu wielkości gabinetu jej ojca, na krzywo stojących regałach leżały przypominające wachlarze księgi złożone z owych liści palmowych. Ksiąg było tak wiele, że nie była nawet w stanie oszacować ich



liczby. A każda z nich zawierała dziesiątki suchych i poblakłych liści palmowych. Cofnęła się w końcu wstrząśnięta. Jej wcześniejszy wybuch wydał jej się teraz żaloszny.

- Czułem, że pani nie dowierza - odezwał się starzec. - Ale los o to nie dba. Odczytałem pani, co się wydarzy. Gdyby potrzebowała pani mojej rady albo chciała raz jeszcze usłyszeć przepowiednię, może pani przyjść w każdej chwili.

- Proszę mi wybaczyć... - Grace umilkła zawstydzona.

- Pani jest Angielką. Pani nie zna naszych dróg. Jeszcze nie. Ku jej zaskoczeniu w jego głosie nie było ani gniewu, ani urazy.

Wciąż przejęta pożegnała się ze starcem i wyszła na zewnątrz.

- I co, nie mają dla mnie liścia? - zapytała Victoria na jej widok.

Grace potrząsnęła przecząco głową.

- Chodź, Victorio, musimy wracać - powiedziała, i obejrzawszy się jeszcze na starca, który wyszedł za nią do poczekalni, wzięła siostrę za rękę i oddaliły się czym prędzej.

Wieczorem, po powrocie do hotelu, otrzymawszy solidną reprimendę od matki oraz wysłuchawszy wykładu panny Giles na temat dobrego wychowania, Grace znów usiadła na parapecie okna. Księżyc oświetlał port i zatokę srebrzystą poświata, zaś w szybach okien odbijał

się złocisty blask płonących lamp. W oddali migotały światełka na statkach i jeszcze tylko latarnia morska rzucała odważnie snop światła w mroki nocy. Wizyta w Bibliotece Liści Palmowych wciąż nie dawała jej jednak spokoju. Może dlatego że zachowała się tak okropnie? Im więcej czasu dzieliło ją od tamtego spotkania, tym więcej przypominała sobie szczegółów, które umknęły jej wtedy z powodu uprzedzeń. Jak czary, które zaczynają działać dopiero po jakimś czasie.

Sposób, w jaki ten starzec przesuwiał palcami po wypalonych literach, odczytując z monotonną, śpiewną intonacją znaczenie słów, które później jego pomocnik tłumaczył na angielski. Ten liść, który musiał

sobie liczyć setki lat. Zapach kadzidła, paczuli i jeszcze czegoś, czego nie umiała nazwać. No i spojrzenie tego starego człowieka!

Choć powtarzała sobie, że ten cały horoskop to bujda, wyjęła kartkę, którą dostała, następnie sięgnęła po notatnik i ołówek. Spróbowała sobie przypomnieć mało zrozumiałe słowa asystenta.

- Co robisz? - zapytała Victoria znad swego ulubionego planu miasta.

- Piszę. -Co?

- Parę przemyśleń. Nic ważnego.

- Przemyślenia na temat twojego liścia palmowego? - dociekała jej młodsza siostra, nie uszło bowiem jej uwadze, że Grace obok notatnika położyła kartkę z biblioteki.

- Przemyślenia o tym, że pewnie już nigdy nie dam ci się namówić na wycieczkę po jakichś podejrzanych zaułkach - odparła kąśliwie, by ukryć zakłopotanie. Po tym jak w drodze powrotnej skomentowała ich wizytę w bibliotece, nie mogła się przyznać, że zamierza teraz zrekonstruować jej przebieg.

- Przecież nie było tak źle! - odpowiedziała Victoria, odwracając plan na drugą stronę. - Poza tym jeszcze nie byliśmy na targu kamieni szlachetnych. Wybieram się tam jutro z rana!

- Tylko pod warunkiem że weźmiemy dorożkę, która nie powiezie nas znowu przez jakieś dzielnice nędzarzy. Zresztą dołączą do nas na pewno mama i panna Giles, sama słyszałaś, co mówiła podczas kolacji.

- Tak, tak. „Nie puszczę was już nigdy samych między tych tubylców, moje dzieci. Gotowi jeszcze was pożreć!”

Ton Victorii wywołał uśmiech na twarzy Grace.

- No widzisz, i już po twojej powadze! - dodała siostra, widząc, że Grace tylko z trudem powstrzymuje wybuch śmiechu.

- Lepiej, żeby mamcia albo panna Giles tego nie słyszały. Bo dostaniemy areszt domowy!

- Bez obaw, będę jutro grzeczniutka jak aniołek.

Podczas gdy Victoria znów zagłębiła się w swój przewodnik, Grace powróciła do słów pomocnika. Co on mówił? Że jeszcze przed dwudziestymi urodzinami spotka wielką miłość? Że

wyjdzie za mąż i urodzi dziecko? Do takich prognoz nie potrzebowała żadnego jasnowidza. Już w tym głowa mamci, by wyszła za mąż i miała dzieci. Taki jest pewnie los każdej kobiety. Raczej trudno byłoby od niego uciec. W najlepszym razie zamieszka tu, w Kolombo, nad brzegiem morza.

Zaniepokoiły ją jednak inne słowa. W tym samym roku, kiedy urodzi dziecko, spadnie na nią burza, która całkowicie odmieni jej dotychczasowe życie. Ale czy to oznacza jakieś zjawisko pogodowe, czy raczej jakieś gwałtowne wydarzenia? Najprawdopodobniej to drugie, bo pośród mało klarownej paplaniny pomocnika zrozumiała, że czeka ją dobre życie, a w

wieku sześćdziesięciu trzech lat przejdzie do następnego. Acha, i to, że większość życia spędzi nad morzem!

Spisała to wszystko, po czym przeczytawszy swoje notatki, pokręciła głową. Wyglądało na to, że jej rodzina pozostanie na Cejlonie na dłużej, ślub i narodziny dziecka nie były niczym nadzwyczajnym, a skoro ma żyć sześćdziesiąt trzy lata, to może niezbyt długo, jednak z perspektywy dnia dzisiejszego ma przed sobą jeszcze wiele lat. Tak więc, pomijając może datę śmierci - co wydawało jej się dosyć makabryczne - wszystkie te rewelacje mogła usłyszeć od pierwszego lepszego kuglarza na jarmarku.

Przypomniała sobie wszakże coś jeszcze, jedno zdanie. To była rada, jakiej udzielił jej starzec na drodze. „Słuchaj swojego serca i idź za jego głosem nawet wtedy, gdy wyda ci się to śmieszne lub niedorzeczne.

Jeżeli tak nie uczynisz, ściągniesz nieszczęście na siebie i na wszystkich, których kochasz”. Tak mniej więcej się wyraził. „Słuchać głosu serca - pomyślała, opierając głowę o szybę. - Ale czego pragnie moje serce? I dlaczego moje pragnienia miałyby wpływać na losy naszej rodziny?”. Tremayne'owie mieli przy tym w zwyczaju słuchać raczej głosu rozsądku i wypełniać swoje powinności.

Ta myśl towarzyszyła jej, nawet kiedy już położyła się do łóżka i leżała wpatrzona w sufit, czekając na sen.

**12.**

## **Berlin, 2008**

Pociąg metra turkotał w kierunku centrum. Diana tymczasem próbowała uporządkować wszystkie zebrane dotąd informacje na temat rodzinnego sekretu. Odnalazła fragment przepowiedni, a właściwie coś w rodzaju starożytnego horoskopu. Podobne krótkie proroctwa drukowane w gazetach codziennych wywoływały najczęściej tylko jej śmiech, bo przeważnie były sformułowane w taki sposób, że pasowały do każdego, kto je czytał. Nie wierzyła też specjalnie w istnienie jakiejś instancji wyższej znającej przyszłość poszczególnych ludzi, nawet jeżeli powszechnie uważano, że godzina narodzin determinuje zarazem godzinę śmierci człowieka. A jednak ten liść palmowy emanował czymś niezwykłym. Czy teraz, kiedy wydobyła go ze skrytki w ścianie Tremayne House, to coś odetchnęło z ulgą? Czy mury wiedziały, co przechowują? Pytanie o to pragmatycznego pana Greena nie miało większego sensu...

Trzy kwadranse później znów była pod swoim domem. Zaraz po wejściu uderzyła ją lodowata atmosfera, która panowała już podczas śniadania i do której sama walnie się przyczyniła. „Do

diabła, dlaczego on jest tak wcześnie!”, pomyślała ze złością.

Przecież zwykle przeciągał jak najdłużej swój pobyt w pracy.

- Wróciłaś.

Diana podniosła głowę. Philipp stał oparty o schody.

- Czy teraz już codziennie będziesz się tu objął, czekając, aż wrócę?

Wcześniej jakoś ci się to nie zdarzało.

- Mam wolne, zapomniałaś? W sumie to miały być nasze wspólne wakacje.

- Wakacje - prychnęła Diana. - A kiedy podjąłeś taką decyzję? W ciągu tych dwóch tygodni, kiedy byłam w Anglii? Już od dawna nie spędzaliśmy wspólnie wakacji.

- No to może powinniśmy zacząć.

Diana tylko pokręciła głową. Co w niego wstąpiło?

- Przepraszam, jestem zajęta - wymamrotała przygaszona.

- Porozmawiajmy wreszcie - powiedział Philipp. - Uwierz mi, to był tylko ten jeden raz.

Diana potrząsnęła głową na znak, że nie ma ochoty na żadne rozmowy. Była już dostatecznie skołowana tym, czego się dziś dowiedziała, poza tym Eva miała jej przesłać e-mailem jakieś ważne papiery.

Kiedy przechodziła obok niego po schodach, wyciągnął rękę i przytrzymał ją za ramię. Popatrzyła na niego niechętnie.

- O co chodzi?

- Chciałbym ci tylko to wszystko wyjaśnić.

Dopiero teraz poczuła od niego woń alkoholu. Najwidoczniej musiał się najpierw napić dla kurażu. Uświadomiła sobie, że jej złość na niewiele się teraz przyda. Poczowała wręcz lekką obawę przed mężem.

- Philipp, daj mi spokój - powiedziała z największym spokojem, na jaki potrafiła się zdobyć.

Ich spojrzenia spotkały się na chwilę. Dotarło do niej wtedy, że jego oczy, w które kiedyś tak uwielbiała patrzeć, są teraz zimne niczym dwie ciemne studnie. Zrozumiała, że każde słowo wyjaśnienia z jego strony będzie zwyczajnym kłamstwem. Kłamstwem

mającym na celu uspienie jej czujności i zapewnienie mu swobody, by przy najbliższej okazji mógł powtórzyć skok w bok.

- Philipp, proszę! - w jej głosie słyhać było raczej stanowczość niż prośbę. Jakby zagroziła mu laniem, gdyby jej nie posłuchał.

Momentalnie wypuścił ją z uścisku.

- Niech to szlag! - wykrzyknął, uderzając pięścią w poręcz. Diana odsunęła się lekko przestraszona. Widywała go czasem wściekłego, ale nigdy tak bardzo. - To nie gadajmy! Schowaj się za tymi swoimi ulubionymi papierkami. Albo jedź do tej rozwalającej się rudery w Anglii! - rzucił, i odwróciwszy się na pięcie, wypadł z domu. Chwilę później rozległ się odgłos silnika jego samochodu.

Diana oparła się o ścianę. „On ma rację - pomyślała - powinnam była zostać w Anglii. A on ze swoją kochanką. Po co on tu w ogóle jest?

Chyba tylko po to, żeby uspokoić sumienie”. To już naprawdę nie ten sam człowiek, którego dawno temu poznała. A może to ona się zmieniła?

Kiedy warkot silnika ucichł, poszła na górę, po czym wyjęła szkatułkę.

- Jakie jeszcze skrywasz tajemnice? - zapytała, gładząc palcami ozdobne wieczko i próbując podsumować to, co usłyszała od Michaela.

Wybuch Philippa trochę wytrącił ją z równowagi, jednak w końcu udało jej się zebrać wszystkie informacje.

Po paru minutach usiadła do komputera, by wyłowić z internetu jak najwięcej danych. Relacje naocznych świadków o Nadireaderach, raporty o trafności przepowiedni. Gdyby wierzyć temu, co ludzie pisali - a sceptyczne podejście Diany wciąż stawiało to wszystko pod znakiem zapytania - przepowiednie z liści palmowych były niesamowicie dokładne. Czy możliwe, że naprawdę wydarzało się to, co zostało na nich spisane?

Zastanawiała się nad tym chwilę, po czym sięgnęła po szklaną płytkę fotograficzną, która również spoczywała w szkatułce, a pod wpływem jej dotyku omal się nie rozpadła. Przyglądała się jej po raz pierwszy dokładniej. Wcześniej, w Tremayne House, tylko rzuciła na nią okiem.

„Będę musiała zrobić odbitkę”, przemknęło

jej przez myśl, kiedy spoglądała na pożółkłe jasne i ciemne, nasłone plamy składające się na widok górzystej okolicy pod bezchmurnym niebem. Po dokładniejszych oględzinach spostrzegła, że oprócz widoku imponującej góry uwiecznione zostało coś jeszcze.

Gdzieś w oddali zauważyła białą postać, niemal zamazaną z powodu widniejącej obok plamki. Próbowwała rozpoznać, kto to. W końcu sięgnęła po lupę, której dotąd używała wyłącznie podczas wyciągania drzazg. Nie na wiele się to zdało, mimo to rozpoznała przynajmniej, że jest to sylwetka

kobiety. Kobiety w sukni z epoki wiktoriańskiej.

Przypomniała sobie obraz z korytarza w Tremayne House. Czy mogła to być Grace albo Victoria? Kiedy przyjrzała się raz jeszcze, stwierdziła, że jest to dorosła kobieta. Victoria w tamtym czasie miała trzynaście albo czternaście lat, a więc mogłaby to być jedynie Grace.

Jej praprababka.

Diana opadła na oparcie krzesła. Ogarnęło ją jakieś dziwne uczucie.

Widziała ją już wprawdzie na obrazie, ale jej wizerunek ukształtowały zapewne i gust malarza, i styl epoki. Za to fotografia ukazywała człowieka takiego, jakim jest. Szkoda tylko, że nie mogła zobaczyć jej twarzy, rozpoznać, co czuła Grace w tamtym momencie. Natomiast udało się jej ustalić szczegóły dotyczące tła. Podobną okolicę widziała kiedyś w reportażu z Indii. Grace stała niewątpliwie na tle wzgórza porośniętego krzewami herbacianymi. A więc razem z rodziną musiała wyjechać na Cejlon. Może z powodu śmierci stryja? A może jeszcze z jakiegoś innego powodu?

Naraz uświadomiła sobie, dokąd ona sama musi się udać. W

pośpiechu upchnęła wszystkie skarby w szkatułce, po czym włożywszy ją sobie pod pachę, pognęła w dół po schodach.

Po zaparkowaniu samochodu na parkingu wyciągnęła spomiędzy kartek przewodnika płytkę fotograficzną z podobizną kobiety, która, jak sądziła, była jej przodkinią. Musiała jakoś wydobyć z niej jej tajemnice. Tajemnice skrywane dotąd w cieniu i pod zaciekami płynącego czasu. Przyglądała się zdjęciu ze zmrużonymi

oczami. Jednak nie dopatrzyła się już żadnych szczegółów w obrębie jej sylwetki. Słońce nad zboczem nie przesunęło się ani o milimetr, jak gdyby przytrzymały je jakieś niewidzialne więzy. Pozostało jedynie dawno minione mrugnięcie rzęsami - uwiecznione przez aparat, zatrzymane w czasie.

Z westchnieniem wsunęła fotografię z powrotem między kartki starego przewodnika, który następnie utonął w jej torbie. Ta książeczka zdawała się idealnym towarzyszem jej planów, które podczas jazdy przyjmowały co rusz inny kształt. Spontaniczność jej decyzji zdumiewała ją samą. Przecież potrzeba niemało czasu, by zaplanować taką podróż. A jednak czuła, że postępuje słusznie, jadąc od razu i z miejsca przystępując do działania.

Kiedy wyszła z parkingu, ruszyła prosto do biura podróży, którego witryny szczelnie pokrywał wizerunek uśmiechniętego samolotu i intensywnie żółtego słońca. Jak tylko wywiąże się ze zlecenia pozyskanego

przez Evę w czasie jej nieobecności, poleci do Kolombo, gdzie ruszy na poszukiwanie śladów swoich przodków. No i na poszukiwanie biblioteki, z której został skradziony liść!

W progu przywitała ją młoda, schludnie ubrana pracownica, przypominająca nieco stewardesę, i zaprowadziła ją do równie schludnego stołu, na którym jedyny akcent osobisty stanowiło zdjęcie małej dziewczynki. Diana powstrzymała się od zapytania, czy to jej córka. Od razu podała cel podróży i obserwowała, jak kobieta rozkłada przed nią gorliwie foldery, przedstawiając rozmaite propozycje ośrodków wypoczynkowych.

- Właściwie nie szukam żadnego ośrodka - powiedziała Diana. -

Potrzebuję tylko namiary na hotel i przelot.

- Czyli chce pani poznać kraj na własną rękę.

- Można tak powiedzieć.

- W takim razie polecam...

- A czy istnieje jeszcze Grand Oriental Hotel? - Diana wpadła jej w słowo. Nazwę tego hotelu znalazła w przewodniku, gdzie została podkreślona jak kilka innych miejsc. Może mieszkał w nim Richard Tremayne?

- Oczywiście, że istnieje. Gorąco go pani polecam.

- Opowie mi pani o nim coś więcej? - poprosiła Diana z uśmiechem, odchylając się na oparcie.

Młoda kobieta zreferowała jej tymczasem, że hotel wzniesiono około 1837 roku, a tym samym należy on do najstarszych hoteli w mieście.

Jego obecny właściciel reklamuje go jako legendarne miejsce w Kolombo. Mieści się dziś w bezpośrednim sąsiedztwie World Trade Center Colombo i oferuje niezapomniany widok na miejscowy port.

Kiedy Diana zobaczyła jego zdjęcie, na jej twarzy pojawił się uśmiech. Stojąca w otoczeniu drapaczy chmur klasycystyczna budowla mogłaby równie dobrze znajdować się w Nowym Jorku albo Londynie.

Widniejący przed nią wóz zaprzężony w woły i rosnące dookoła palmy wydawały się przeniesione z innego świata. A przecież to ów hotel pochodził z innego świata.

- Wszystkie pokoje są bardzo ładnie urządzone, częściowo tak jak w XIX wieku. Usytuowany jest w dawnym forcie, a poważni kupcy kamieni szlachetnych mają stamtąd bardzo dogodne warunki dojazdu do centrum.

- W takim razie znalazłam to, czego mi trzeba - odpowiedziała Diana, przyciągając do siebie folder hotelu.

Pracownica biura popatrzyła na nią lekko zdziwiona. Była pewnie przyzwyczajona do znacznie dłuższego namawiania klientów.

Następnie wyjęła kolejne prospekty.

- Obecnie ostrzega się przed wyjazdem w wybrany przez panią region. Czy zasięgała już pani w tej sprawie informacji?

Diana pokręciła przecząco głową. Do tej pory bardziej zajmowało ją poszukiwanie informacji o Richardzie Tremaynie. Wiedziała, że zginął na Cejlonie, ale w jakich okolicznościach? No i jak ten liść palmowy w ogóle trafił do Tremayne House?

Jej rozmówczyni podsunęła jej niewielką broszurę.

- Tu znajdzie pani wszystkie najważniejsze informacje. Jako pośrednik jesteśmy zobligowani do poinformowania pani, że w dalszym ciągu toczą się tam walki między Tamilami

a Syngalezami. Ostrzegano nawet przed atakami terrorystycznymi, więc odradzalibyśmy podróż na północ.

- Ja raczej wybiorę się na południowy zachód.

- I słusznie. Niemniej jednak proszę wszystko dokładnie przeczytać i wziąć sobie wszystkie rady do serca. Proszę też pomyśleć o niezbędnych szczepieniach. Tęzec, żółtaczka typu A i tak dalej.

Wszystkie zalecenia znajdzie pani w tej broszurce.

Diana opuściła biuro podróży po kolejnej półgodzinie wyposażona we wszelkie niezbędne dokumenty. Podmuch wiatru porwał akurat w górę foliową torbę, która przez chwilę unosiła się swobodnie w powietrzu, po czym poszybowała w dal, omijając napotkane drzewo.

Diana poczuła się podobnie lekko. Dni do wyjazdu szybko upłyną.

Spędzi je w pracy i spróbuje wcale nie myśleć o Philippic A jak się postara, to będzie wracać do domu, kiedy jego jeszcze tam nie będzie, i wychodzić, zanim się obudzi. Z tą myślą wsiadła do samochodu i ruszyła do swojego biura.

Po drodze zadzwoniła komórka. Podejrzewając, że to Philipp, nawet nie próbowała gdzieś zaparkować, by odebrać telefon. Kontynuowała jazdę obwodnicą aż do zjazdu do pracy. Sprawdziła, kto dzwonił, dopiero kiedy zaparkowała na parkingu przed swoim biurem w Charlottenburgu.

Ktoś nagrał się jej na pocście głosowej. Wprawdzie tego numeru nie wpisała jeszcze do książki adresowej, ale od razu poznała, kto to, i odsłuchiwała wiadomość.

- To ja, Michael - usłyszała. - Udało mi się wcześniej uporać z twoim



liściem. Odezwił się jak najprędzej. Znasz mój numer.

Nie zwlekając, nacisnęła zieloną słuchawkę, by oddzwonić. Kiedy Michael odebrał, sprawiał wrażenie zdyszanego.

- Co z tobą, biegniesz w maratonie?

- Nie, szukam czegoś - odpowiedział. - Fajnie, że tak szybko oddzwoniasz.

- Może dzwonię nie w porę.

- Nie, nie, daj spokój, cieszę się, że dzwonisz. Odsłuchałaś moją wiadomość, prawda?

- Tak, i pomyślałam, że skoro jesteś taki rozgorączkowany, to od razu się odezwę. Masz dla mnie jakąś sensację?

- No może nie aż tak. Na początek obfotografowałem wszystko i pobrałem próbki do zbadania wieku. Wynik poznamy dopiero za parę tygodni.

Diana poczuła lekki zawód. Mimo to nie musi przecież w tym czasie siedzieć z założonymi rękami.

- Ale mogę do ciebie znów wpaść? Zabukowałam właśnie wyjazd na Sri Lankę. Jadę w przyszłym tygodniu.

- Ho, ho! Jedziesz na wakacje czy chcesz poszukać tej biblioteki?

- To po pierwsze, ale chcę też dokopać się czegoś na temat historii mojej rodziny. Mam wrażenie, że Cejlon odegrał w niej dosyć ważną rolę.

- A dokąd dokładnie się udajesz? - zapytał Michael, a Diana usłyszała w tle szelest papierów. Zdaje się, że uprzątnął biurko wyłącznie z okazji jej wizyty, żeby nie wyjść na bałaganiarza.

- Do Kolombo. Znalazłam stary przewodnik. Podejrzewam, że należał do jednej z moich dawnych krewnych.

- No! - Ten okrzyk nie był odpowiedzią na jej słowa, lecz reakcją na odnalezienie czegoś, czego Michael cały czas szukał. - Mam!

- Co masz? - zdziwiła się Diana.

- Wizytówkę, której szukałem. Dam ci ją, jak przyjdiesz. Możesz być nawet zaraz, bo pewnie będziesz miała masę przygotowań do wyjazdu.

- To nie zajmie mi całego tygodnia. Muszę jeszcze zatroszczyć się o sprawy w kancelarii. Wizytówka, mówisz? Czyja?

- Skoro jedziesz do Kolombo, to musisz koniecznie odwiedzić mojego przyjaciela Jonathana Singha. On już zadba, żebyś tam nie zginęła, a możesz go też spokojnie wykorzystać jako przewodnika i źródło wszelkich

informacji.

Diana zawahała się.

- No nie wiem, czy nie będzie miał jakichś obiekcji co do tego.

- Znamy się od lat, a on wisi mi przysługę. Wystarczy, że go poproszę, a na pewno znajdzie dla ciebie czas.

- Czy on też jest naukowcem? Skąd pochodzi? Jonathan to niezbyt indyjskie imię.

- Jest pół-Anglikiem, pół-Tamilem. Pracował kiedyś w Muzeum Narodowym na Sri Lance. Potem usamodzielniał się i teraz pisze książki. W swoim kraju jest dość popularny, a ja wciąż go naciskam, żeby pomógł nam przy publikacji dla naszego muzeum. Bardzo dobrze zna historię Sri Lanki i jej zwyczaje. Jeżeli ktokolwiek może ci pomóc, to właśnie on.

- Wolalabym jednak nie odbierać ci przysługi, którą jest winien tobie.

Michael się uśmiechnął.

- O mnie się nie martw. O wiele bardziej miałby mi za złe, gdybym wysłał do jego kraju znajomą, nic mu o tym nie wspominając. Musisz wiedzieć, że mieszkańcy Sri Lanki są bardzo uczynni, a Jonathan to naprawdę miły facet.

- No dobrze, w takim razie powiedz mu o mnie i daj mi jego adres.

Aha, kiedy mogę odebrać liść?

### Tremayne House, 2008

Kiedy pan Green po powrocie z ogrodu usiadł przed komputerem, znalazł w poczcie e-mail od Diany Wagenbach.

*Drogi Mr Green,*

*mam nadzieję, że u Pana wszystko w porządku. Chciałam tylko poinformować, że za tydzień wyjeżdżam na Sri Lankę. W ostatnich dniach poczyniłam kilka odkryć, które sprawiły, że*

*czuję się zmuszona wyruszyć do kraju wybranego niegdyś przez mojego przodka i jego rodzinę. Mam się tam spotkać z pewnym naukowcem, którego polecił mi przyjaciel. Nie musi się Pan zatem o nic martwić. Gdyby chciał się Pan ze mną skontaktować, będę miała przy sobie laptop i co jakiś czas będę sprawdzać skrzynkę e-mailową.*

*Kiedy wrócę, będę miała Panu mnóstwo do opowiedzenia.*

*Pozdrawiam serdecznie*

*Diana Wagenbach*

Po twarzy kamerdynera przemknął uśmiech. Wygląda na to, że panna Diana jest na właściwym tropie. Wstał i podszedł do etażerki, z najwyższej szuflady wyjął paczuszkę owiniętą w brązowy papier pakowy. Leżała tu już dostatecznie długo, teraz nadszedł jej czas.

„Następna wskazówka”, pomyślał, narzucając płaszcz i wkładając do kieszeni pakiecik. Właściwie mógłby go nadać pocztą. Miał

wystarczająco dużo czasu. Jednak czegoś tak ważnego wolał nie powierzać poczcie. Wsiadł więc do bentleya i ruszył w stronę Londynu.

**13.**

### **Kolombo / Vannattuppucci, 1887**

Po trzech dniach Henry Tremayne otrzymał wiadomość, że robotnicy zakończyli prace remontowe i można w końcu się wprowadzać.

- Nareszcie! - odetchnęła z ulgą Claudia, przyciskając list do ozdobionego koronką dekoltu. - Myślałam już, że zostaniemy w tym hotelu na zawsze.

- Chyba nie jest tu aż tak źle, moja duszko - odpowiedział Henry, na którego twarzy również malowała się ulga, że w końcu będzie mógł

objąć plantację. - Dbają tu o nas na każdym kroku, no i mamy taki wspaniały widok na morze.

- Raczej na parowce, które swoim dymem zasłaniają cały port - poprawiła go Claudia. - I na tłumy handlarzy, którzy rzucają się niczym muchy na każdego w europejskim stroju.

Henry wybuchnął śmiechem.

- A kiedy już znajdziemy się w Vannattuppucci, nie zobaczysz nic poza herbatą. I palmami.

- Ale tam przynajmniej jest góra, która będzie mi przypominać rodzinne strony.

Henry podszedł do żony, wziął jej dłonie i ucałował.

- Wiem, jak tęsknisz za ojczyzną. Zrobię wszystko, żebyś jak najszybciej się tu zadomowiła.

- A nie mógłbyś powierzyć plantacji zarządcy? Ów Cahill, z tego co opowiadasz, wydaje się do tego stworzony.

- Takie miejsce potrzebuje pańskiego oka. Pan Cahill tylko mi to

uświadomił. Odkąd nie ma Richarda, plantacja pogrążyła się w całkowitym chaosie. Zbieraczki herbaty i pozostali robotnicy potrzebują kogoś, kto będzie doglądał ich pracy.

Claudia spuściła głowę z westchnieniem, a Henry przytulił ją do siebie.

- Poza tym Vannattuppucci to nasza wielka szansa. Wiesz, jak staliśmy w Anglii. Jeżeli wszystko potoczy się zgodnie z moimi przewidywaniami, uda nam się odnowić naszą posiadłość i może nawet utrzymać zamek w Szkocji. Może pewnego dnia znajdzie się ktoś odpowiedni, by przejąć prowadzenie plantacji. Jednak teraz, po śmierci Richarda, trzeba zaprowadzić tam porządek.

Grace i Victoria zapatrzyły się w nieobrobiony kamień szlachetny, który młodsza z nich nabyła w sklepie Sylvie's na Chatham Street.

Choć po wyprawie do Biblioteki Liści Palmowych matka zabroniła im wszelkich wyjść, zabrała je jednak ze sobą na zakupy - oczywiście pod warunkiem że nie oddalą się od niej nawet na krok.

W przeciwieństwie do straganów handlarzy czyhających na obcokrajowców w porcie tutejsze sklepy wyglądały bardzo dostojnie.

Grace niczego sobie nie kupiła. Wydawanie pieniędzy na dużo tańsze niż w Londynie kamienie wydawało się jej mimo wszystko rozrzutnością, a zarazem grubym oszustwem. Ale też ich kolorowe migotanie, przypominające usianą kwiatami łąkę, i unoszący się wszędzie zapach kadzidła pozwoliły jej na chwilę zapomnieć o złym humorze.

- Jestem pewna, że to szafir - stwierdziła Victoria, obracając w palcach nieoszlifowany, intensywnie niebieski minerał. - Wystarczy go oszlifować, a będę miała klejnot godny tych, jakie można znaleźć w szkatułkach angielskich dam.

- Klejnot za dziesięć rupii? Nie wydaje ci się, że to trochę za tanio?

Grace wyjęła kamień z dłoni Victorii i przyjrzała mu się. Rzeczywiście miał kolor prawdziwego szafiru, nie mogła sobie jednak wyobrazić, że ktoś może oferować tak duże i cenne kamienie po tak niskiej cenie. Nawet na tym końcu świata. W dodatku ci sprzedawcy wydali się jej nadzwyczaj przedsiębiorczy. Pewnie nawet te dziesięć rupii to za dużo za tandetę, którą wcisnęli jej siostrze.

- A ty akurat znasz się na kamieniach! - wybuchła Victoria, której zdroworozsądkowe podejście Grace bynajmniej nie odebrało radości ze zdobyczy. - Poza tym już ci czytałam, że ten kraj słynie z kamieni

szlachetnych. Dosłownie rosną tu jak owoce na drzewach!

- Ale to jeszcze nie znaczy, że wszystkie okazy są takie drogie.

Chyba pamiętasz, co mówił pan Norris? Są jeszcze kamienie półszlachetne.

Nie było żadną tajemnicą, że nauczyciel Victorii, który miał do nich na dniach dołączyć, miał słabość do mineralogii.

- Powinnaś mu pokazać ten kamyk. - Grace oddała go siostrze.

- Kamyk? - zaperzyła się Victoria. - Może on ma większą wartość niż cała ta plantacja ojca! Ten kamień, moja droga siostrze, mógłby ze mnie uczynić jedną z najbardziej pożądanых partii w całej Anglii!

- A nie uważasz, że gdyby takie duże kamienie były naprawdę coś warte, to już dawno ozdabiałyby koronę królowej Wiktorii?

- A skąd ty możesz niby wiedzieć, czy ona każe sobie dostarczać każdy kamień o ponadprzeciętnej wielkości? Przecież poszukiwacze kamieni mogą niektóre z nich odkładać, by zaoferować je tym, którzy przybywają tu z całego świata.

- Za dziesięć rupii?

Kiedy nagle otworzyły się drzwi do ich pokoju, przerwały na moment sprzeczkę.

- Panno Giles! - zawołała zdziwiona Grace na widok zdyszanej opiekunki Victorii, która przyciskała dłoń do niewiarygodnie ciasno zasnuwanego gorsetu. - Co się stało?

- Ruszamy! - wydyszała panna Giles, jakby przemierzyła po drodze wszystkie schody w Grand Oriental. W rzeczywistości były to jedynie skutki upału, do którego młoda guwernantka jeszcze nie przywykła. -

Wasza matka poinformowała mnie właśnie, że wyjeżdżamy. Wy naszykujcie bagaż podręczny, ja zajmę się waszymi sukniami.

I potruczała do szezlonga, na którym piętrzyły się szlafroki i popołudniowe suknie dziewcząt. A przy tym, jak zawsze, kiedy się śpieszyła, zapomniała się i zaczęła nucić pod nosem piosenkę, którą najwyraźniej sama siebie chciała popędzić.

- Jeszcze nam tu zemdleje, jeżeli w dalszym ciągu będzie tak ciasno sznurować gorset - szepnęła Victoria.

Starsza siostra przykryła usta dłonią, by ukryć szeroki uśmiech. Sama o tym myślała, patrząc na pannę Giles. Może w Anglii jakoś sobie radziła, tu jednak panował zupełnie inny klimat, który już wystarczająco utrudniał

oddychanie, a co dopiero kiedy miało się na sobie gorset.

- Przecież wiadomo, czemu tak robi - odpowiedziała także szeptem. -

Chce się spodobać panu Norrisowi.

- Tyle że jeszcze zanim on postawi nogę na lądzie, ona zdąży się udusić.

I obie wybuchły chichotem, na co panna Giles, odwróciwszy się, zganiła je wzrokiem. Czyżby usłyszała ich szept?

- Chyba nie muszę wam mówić, jak reaguje wasza matka, kiedy się spóźniacie.

- Tak, panno Giles - odpowiedziały siostry chórem, po czym młodsza dała starszej kuksańca i obie zabrały się do pracy

Godzinę później wszystkie kufry były już na wozie. Cięższe meble i sprzęty też na pewno trafiły do Vannattuppucci. Nauczyciel domowy, podobnie jak kilka innych zatrudnionych osób, z których pani Tremayne nie chciała zrezygnować, miał dotrzeć na miejsce za parę dni.

- Gdyby się kto pytał, to ja wcale się nie palę, by znów zacząć lekcje - szepnęła Victoria, kiedy obie z Grace zajęły miejsca w powozie, na którym przed słońcem chroniły je jedynie otworzone parasolki. - Może po drodze pan Norris padnie ofiarą jakiegoś potwora morskiego?

- Powinnaś się cieszyć, że według ojca wykształcenie nie szkodzi młodej damie. Inaczej nie dowiedziałabyś się tyle o średniowiecznych malarzach skandalistach albo nie mogłabyś czytać swoich ulubionych powieści przygodowych, które panna Giles najchętniej by ci skonfiskowała. - W tym momencie Grace popatrzyła na guwernantkę, która stała gdzieś z tyłu, jak gdyby czekała jeszcze na jakieś polecenie swojej chlebodawczyni. - Poza tym nasza guwernantka umarłaby z żalu, gdyby pan Norris tu nie przyjechał. Spójrz tylko, jak wciąż odwraca głowę w stronę portu.

- Stąd raczej go nie zobaczy - odparła rozbawiona Victoria. - Zresztą jeżeli nie przyjedzie, to tu, na miejscu też jest wielu mężczyzn.

Widziałas tych robotników w porcie? Ich złocistą skórę? Mówię ci, niejeden z nich oczarowałby damskie salony w Londynie.

- Ależ to nie powinno cię jeszcze wcale interesować! - powiedziała Grace z udanym oburzeniem.

- Niby dlaczego? W dawnych czasach byłabym już panną na wydaniu. A w niektórych rodach córki nadal wychodzą za mąż w tak młodym wieku.

Jej słowa znów wywołały w Grace żal za sezonem balów w Londynie.

Tutaj skończę pewnie jako stara panna, pomyślała. Zanim ponownie postawi nogę na Wyspach, wszyscy interesujący kawalerowie będą już

dawno zajęci.

Victoria chyba zauważyła jej zafrasowanie i położyła jej delikatnie dłoń na ramieniu.

- Nie martw się, na pewno nie wyjdę za mąż przed tobą. A teraz lepiej cieszymy się na nową przygodę. Już teraz nie mogę się doczekać zwierząt w dżungli. Może uda mi się namówić pana Norrisa, by oderwał się od swoich martwych kamieni i zainteresował się raczej żywymi stworzeniami.

Ledwie skończyła mówić, do powozu wsiadła panna Giles.

Wydawała się nieobecna, wręcz zatroskana.

- Czy wiedziałaś, Grace, że statki pocztowe przyplývają najczęściej nocą? - Victoria wyciągnęła znów swój przewodnik, puszcżając przy tym oko do siostry.

- Nie, a ty skąd o tym wiesz?

- Tak piszą w przewodniku. Jestem pewna, że pan Norris przybędzie właśnie którymś z owych statków - powiedziała Victoria i kątem oka spojrzęła na pannę Giles. Ta jednak nie zareagowała.

Kiedy Grace popatrzyła na guwernantkę, dostrzegęła na jej zazwyczaj dość beznamiętnej twarzy jakiś grymas bólu. „Ciekawe, czy ja także spoględałabym z takim żalem w stronę portu, gdyby mój ukochany był gdzieś za morzem, a ja nie wiedziałabym, kiedy przybędzie?”

zastanawiała się, podczas gdy powóz nareszcie ruszył.

Na plantację dojechali następnego dnia po południu. Po drodze zatrzymali się w małej wiejskiej gospodzie, którą wyszukał dla nich pan Cahill. Wznosząca się na tle bezchmurnego nieba góra robiła imponujące wrażenie. Wyględała jak przykryta zielonym pledem o jaśniejszych i ciemniejszych wzorach. U jej podnóża rozpościerały się pola herbaty. Soczyście zielone i poprzetykane gdzieniegdzie palmami i nieznanymi krzewami.

Ponad turkotem wozów i końskich kopyt dały się słyszeć jakieś dziwne odgłosy. Grace spojrzęła na palmy górujące nad ich głowami, gdzie, jak jej się zdało, dostrzegęła kolorowe pióra.

- To papugi - powiedziała Victoria, która także zadarła głowę do góry.

- Może uda mi się którąś złapać dla mamci do salonu.

- A jak chcesz to zrobić? - zapytała Grace, wyteżając wzrok w nadziei, że któryś z ptaków podfrunie nieco bliżej. Widziała już kiedyś papugę, w

salonie pani Roswell w Londynie. Ale to było stare i wyleniałe ptaszysko mające w zwyczaju szorować łebkiem o pręty klatki. Wydawało przy tym dziwaczne dźwięki, które pani Roswell uważała za ludzką mowę.

Ptaki nad jej głowami porozumiewały się w swoim naturalnym języku, który brzmiał inaczej niż odgłosy Polly, bo tak nazywała się tamta papuga.

- O, zobacz! - wykrzyknęła Victoria, szarpiąc ją za ramię. W

krzakach, na które pokazała ręką, siedziała nieduża małpka bacznie przyglądająca się ciągnącym powozom. Jedną ręką trzymała się przy tym gałęzi i ssła kciuk drugiej niczym niemowlak.

- Ciekawe, czy mamcia pozwoli nam trzymać taką w domu?

- Zdawało mi się, że najpierw chciałaś schwytać papugę.

- I tak będzie, zobaczysz! Na pewno lubią kostki cukru, a kiedy któraś usiądzie na moim parapecie, złapię ją do siatki na motyle.

- Której właściwie nie masz...

- Ale wiem, jak ją zrobić! - stwierdziła Victoria. - W zeszłym roku widziałam, jak robił to Bobby Fisher, syn ogrodnika, z metalowego kółka i kijka. Jestem pewna, że to wszystko znajdę i tutaj. A jak nie, to poproszę o to kogoś z tutejszych pracowników. Na pewno jest tu ktoś w rodzaju ogrodnika, zobacz tylko na ten teren!

Grace musiała przyznać, że ogród wyglądał cudownie. Oprócz rozłożystych, nieodzownych krzewów plumerii rosły tu rododendrony, których pozazdrościć mogłaby niejedna europejska posiadłość. Trawa była przycięta porządnie, jak w każdym angielskim ogrodzie, i choć nie chodziło jej o poszerzanie wiedzy z botaniki, Grace chciała koniecznie poznać nazwę tych płomiennie czerwonych kwiatów rosnących na schludnie utrzymanych rabatach.

Dom, wzniesiony w stylu kolonialnym, błyszczał na tle zieleni niczym perła. Przypominał Grace odrobinę Tremayne House, choć tamten miał ciemniejsze ściany porośnięte bluszczem, a na okrągłym podjeździe przed wejściem nie było fontanny, ale dookoła domu stały tam za to liczne, większe i mniejsze, budynki gospodarcze.

Oprócz tego Grace zwróciła uwagę na ludzi poruszających się energicznie po całym terenie. Kobiety z koszami wypełnionymi liśćmi herbaty na głowie znikwały w szopie, gdzie zdejmowano z nich ów ciężar. Mimo że ich ubiór wyglądał dość skromnie, mienił się jednak precudnymi barwami, jakich Grace nigdy dotąd nie widziała.



Zewsząd unosiły się zapach herbaty i słodkawa woń kwiatów. O tej porze roku w Londynie byłoby to niemożliwe, chyba że w dusznych salonach, których właścicielki miały słabość do egzotyki.

Kiedy wozy stanęły, rodzina znów znalazła się w komplecie. Grace zaciągnęła  
Victorię,  
zapatrzoną

drzewo

o

pomarańczo-wo-czerwonych kwiatach, do rodziców słuchających akurat wykładu pana Cahilla.

- Zanim zjawił się tu pański brat, próbowano tu uprawiać kawę. -

Adwokat parsknął śmiechem. - Z katastrofalnym skutkiem. Rośliny zaatakowała zaraza, więc poprzednikowi Richarda nie pozostało nic innego, jak sprzedać ziemię. Pański brat postanowił uprawiać tu herbatę, jako że klimat i gleba wydawały się idealne.

- Zdaje się, że dobrze wyczuł ducha czasu - Henry Tremayne rozglądał się wokół z podziwem. Jeżeli w istocie panował tu wcześniej chaos, to robotnicy i służba spisali się na medal.

- O tak, sir, pański brat był tu powszechnie szanowany. Może mi pan wierzyć, wszystkim bardzo go brakuje. Jestem wszelako pewien, że pan szybko zapełni tę pustkę.

Upewniwszy się, że Cahill jej nie widzi, Grace pokręciła głową.

Jeszcze nie słyszała takiego zadęcia! To oczywiste, że ten człowiek myśli wyłącznie o sobie, a raczej o swoich dochodach, bo

ojciec, jako nowy właściciel Vannattuppucci, mógł sobie dobrać kogo innego na doradcę. Znała jednak ojca na tyle dobrze, by wiedzieć, że z pewnością zatrzyma Cahilla, chyba że ten popełni jakieś istotne błędy.

Kiedy odwróciła głowę, by popatrzeć na cudownie kwitnący krzew, który wcześniej przyciągnął wzrok jej siostry, spostrzegła przystojnego, wysokiego mężczyznę, stojącego nieśmiało trochę z boku, który zdawał się czekać, aż ktoś go zauważy. Ubrany był z angielska, jednak było w nim coś obcego. Jego ciemnobrązowe włosy były dłuższe niż nakazywała to obecna moda. Szczupła, nieco kanciasta twarz połyskiwała złotawym odcieniem. Gęste, odrobinę zmierzwiłone brwi ocieniały ciemne oczy. Wydatne usta otaczały czarna broda i wąsy.

- Ach, jest pan, mój chłopcze! - zawołał Cahill i machnął do nieznanomego. - Państwo pozwolą, że im przedstawię pana R.

Vikramę, który kieruje plantacją.

- R? - zdziwiła się Victoria, na co matka spojrzała na nią z wyrzutem.

Pan Vikrama tylko uśmiechnął się łagodnie. Następnie, kłaniając się Henry'emu, powiedział:

- Cieszę się, że mogę pana poznać, sir. Chociaż okoliczności mogłyby być szczęśliwsze. Proszę przyjąć moje kondolencje.

- To bardzo uprzejmie z pana strony - odparł Henry, po czym położył

dłoń na ramieniu żony. - Pan pozwoli, moja małżonka Claudia. A to moje córki Grace i Victoria. - Pani Tremayne lekko się skłoniła, a siostry dygnęły.

- Bardzo mi miło - powiedział pan Vikrama i skinąwszy w stronę dziewcząt, zwrócił się do chlebodawczyni: - Jeżeli będę mógł w czymś pomóc, proszę dać mi znać.

- Pochodzi pan stąd? - zapytał Henry, lustrując młodzieńca wzrokiem.

- Mówi pan doskonale po angielsku.

Grace uznała, że nie pasuje do miejscowych. Ten odcień skóry, całkiem jak u Włocha... No i te nienaganne maniery! Vikrama pochylił głowę, słysząc pochlebne słowa.

- Dziękuję, sir. Z tego kraju pochodziła moja matka. Stąd moja ciemniejsza karnacja.

- A ojciec?

- Nieznany, sir. Ale moja matka twierdziła zawsze, że był biały.

- Zapewne był to jeden z angielskich pracowników pańskiego brata - wtrącił Cahill. - Często zdarzało się, że nasi chłopcy zachwycali się urodą tamilskich kobiet.

Jego wybuch śmiechu wydał się Grace wysoce niestosowny. Nawet jeśli nie rozmawiało się otwarcie o sprawach damsko-mę-skich, wiedziała już, czego panna młoda może się spodziewać w noc poślubną i skąd się biorą dzieci. Wiedziała również, że to nikczemne, kiedy mężczyzna porzuca swoją ciężarną kochankę.

- A więc nie znał pan ojca? - zapytała wstrząśnięta Claudia.

- Nie, madame, zmarł, zanim się urodziłem.

- Trzeba państwu wiedzieć, że miejscowi nie zawsze byli tak przyjaźni jak teraz - Cahill znów poczuł się w obowiązku, by wtrącić swoje trzy grosze.

- Przeszło dwadzieścia lat temu można było w biały dzień zostać napadniętym i obrabowanym. Pewnie taki los spotkał właśnie ojca pana Vikramy.

Twarz młodego człowieka nawet nie drgnęła. Może do tej pory nie zastanawiał się zbyt nad losem swojego bezimiennego ojca.

- A co z pana matką? Mówi pan o niej w czasie przeszłym -kontynuowała Claudia, która najwyraźniej postanowiła dowiedzieć się wszystkiego o nowo poznanym pracowniku męża.

Teraz na twarzy mężczyzny pojawił się grymas smutku.

- Zmarła dwa lata temu na raka.

Cahill poklepał go wspaniałomyślnie po ramieniu.

- Jego matka należała do ekipy zbieraczek pańskiego brata, sir. Pan Tremayne dostrzegł u chłopaka zdolności i posłał go do szkoły. Wielu Tamilów piastuje tu funkcje zarządców. Mają nawet swój język i pismo. Dalekowzroczni plantatorzy stawiają na ich edukację i zyskują w ten sposób lojalnych współpracowników, zdolnych

do samodzielnego doglądania plantacji. Sam nie wiem, jak poradzilibyśmy sobie bez niego po tym tragicznym wypadku.

Grace zauważyła, że Vikrama pochylił głowę z lekkim zakłopotaniem. Czyżby wstydził się swojego pochodzenia? A może nie lubił, kiedy go chwalono? Kiedy jednak w końcu się zorientowała, w jak nieomal bezwstydnym sposób mu się przygląda, szybko spuściła wzrok, mocno się przy tym czerwieniąc.

- Wygląda na to, że świetny z pana nabytek, Mr Vikrama - zagrzmiał ojciec. - Musi pan koniecznie wprowadzić mnie w tajniki zarządzania plantacją.

- Zrobię wszystko, by pana nie zawieść, sir.

- Znakomicie, w takim razie umówimy się jutro z rana na naradę i obchód. Panie są zmęczone, a i mnie, przyznam, podróż dała się we znaki. Może jutro o dziewiątej?

- Będę punktualnie, sir.

- Dobrze! Obawiam się, że na początek będzie pan musiał zrobić ze mnie hodowcę herbaty. Nigdy bowiem nie sądziłem, że zostanę kiedyś właścicielem plantacji. Wszelako Bóg tak chciał i liczę na pańską czynną pomoc.

- Może pan na nią liczyć w każdym zakresie. Zrobię, co w mojej mocy.

- Już ja o to zadbam, sir - włączył się znów do rozmowy nie-pytany Cahill.

Grace wydało się, że dostrzegła gniew w oczach Vikramy. Nim jednak zdążyła się w tym utwierdzić, ów grymas zdążył zniknąć. Aby nikt nie dostrzegł, że znów mu się przygląda, odwróciła się z uśmiechem do Victorii, która ponownie zadarła głowę, wpatrzona w korony drzew. Nie było tam wprawdzie małp, za to odzywały się papugi. W oczach siostry zobaczyła niezłomną wolę schwywania jednej z nich.

Kiedy potem popatrzyła na rodziców, ci właśnie żegnali się z panem Vikramą. Zanim odszedł, Cahill szepnął mu jeszcze coś do ucha.

Dałaby wiele, żeby znów zobaczyć wyraz jego twarzy, jednak Yikrama

nie obejrzał się.

- Chodźcie, dziewczęta, nie bujajcie w obłokach! - zawołała matka.

Grace złapała Victorię za rękę i pociągnęła ją po schodach na górę.

- Widziałas te wspaniałe okazy? - wołała Victoria z uniesieniem. -

Przysięgam, widziałam jedną całkiem niebieską. Muszę ją mieć!

- W taki razie spróbuj ją zwabić jedzeniem - odpowiedziała odrobinę nieobecna Grace, bowiem wciąż nie mogła przestać myśleć o nowo poznanym młodym człowieku.

W Londynie, oczywiście pod warunkiem że byłby synem jakiegoś arystokraty, stałby się atrakcją sezonu. Jeszcze nigdy nie spotkała takiego mężczyzny! I takich oczu! Czy to normalne, żeby mieć oczy koloru bursztynu? W Anglii nigdy takich nie widziała. Poczowała dreszcz na całym ciele i dziwny ucisk w brzuchu. Jednak już w następnym momencie odezwał się rozsądek. „Martw się lepiej o inne sprawy”, zganiła samą siebie, kiedy wchodziły do domu. Ten chłopiec był

podwładnym jej ojca, a poza tym nawet na nią nie spojrzał.

Dom również w środku przypominał pod wieloma względami angielskie dworki, jednak już w holu wejściowym można było dostrzec, że Richard Tremayne pokochał tutejszą kulturę. Podczas gdy w Tremayne House ze ściany przy schodach spoglądało na gości surowe oblicze praprzodka, oprawione w złoczone ramy, tu na podobnym miejscu widniało barwne malowidło, z jakim nigdy dotąd się nie spotkała. Było ono zaskoczeniem także dla rodziców i Victorii.

Widniejący na obrazie dwaj mężczyźni zdawali się razem tańczyć.

Jeden spoglądał na patrzących z uśmiechem, drugi zaś miał głowę słonia uwieńczoną koroną. Obaj ubrani byli w kolorowe, szerokie w kroku pumpy z pasami ozdobionymi złotem i kamieniami szlachetnymi oraz barwne kamizele okrywające klatkę piersiową. Na pierwszy rzut oka Grace wzięła ich za cyrkowców. Zafascynowały ją przy tym wianki z kwiatów zawieszane na

ramie i misy z kwiatami stojące pod obrazem. Widać było, że zostały dopiero co powieszane.

- Czy to jakieś pogańskie bożki? - zapytała zszokowana Claudia.

- To czczone przez hindusów bóstwa Sziwa i Ganesza - odpowiedział

Cahill tonem znawcy. - Wielu okolicznych mieszkańców wyznaje tę religię. Są tu jeszcze buddyści i dość nieliczni muzułmanie. Reszta to

potomkowie Arabów, którzy kiedyś często bywali na wyspie i handlowali z tubylcami.

- Ale dlaczego mój brat powiesił tu ten obraz? Henry także nie wydawał się zachwycony.

- Może liczył, że przyniesie mu szczęście na plantacji. Sziwa to najważniejsze hinduskie bóstwo. Tam gdzie zatańczy, nastaje dobrobyt. Ganesza, któremu urwano głowę...

- Mr Cahill - uniosła się Claudia, wskazując na córki. - Chyba nie zamierza pan przy młodych damach opowiadać jakichś krwawych historii!

- Gdzieżbym śmiał, Mrs Tremayne! - powiedział Cahill, czerwieniąc się na twarzy. - Tak mówią tutejsze mity. W każdym razie pewna bogini zastąpiła głowę Ganeszy łbem słonia. Odtąd uważa się, że słonie przynoszą szczęście.

- Słonie! - wykrzyknęła Victoria z zachwytem i klasnęła w ręce.

Kiedy zaś oczy wszystkich skierowały się na nią, zawstydzona spuściła głowę. - Przepraszam, przypomniały mi się tamte słonie w Kolombo.

Chciałabym zobaczyć kiedyś takie zwierzę, ale bez żadnych ozdób i błyszczących kap.

- Niech mi będzie wolno dodać, młoda damo, że z całą pewnością będziesz tu mogła spotkać niejednego słonia - powiedział pan Cahill, spoglądając przy tym na Claudię, która zdawała się pilnować każdego jego słowa. - Nieopodal na zboczu góry zakładane jest akurat nowe pole herbaty. Do usuwania rosnących tam drzew palmowych używa się właśnie pracy słoni. Dziś niestety mamy niedzielę, ale jutro lub pojutrze będziesz mogła popatrzeć na owe kolosy w akcji.

Policzki Victorii zapłonęły z zachwytem. Ujęła Grace za rękę.

- Pójdziemy popatrzeć, prawda?

- Jeżeli mama się zgodzi.

Claudia tylko westchnęła, po czym powiedziała teatralnym tonem: - Czyż istniał kiedykolwiek jakiś mój zakaz, którego nie zniósłby wasz ojciec?

- Pozwolę wam pójść, ale pod warunkiem że będziecie ostrożne -

zastrzegł Henry. - Słonie to nie kanapowe pieski, potrafią zgnieść człowieka nogami.

- Popatrzymy na nie z daleka i uciekniemy, gdyby się zbliżały! -

obiecała Victoria, głaszcząc z zapalem dłoń siostry, jakby chciała ją powstrzymać od wyrażenia jakichkolwiek wątpliwości.

- Tak, tak właśnie zrobimy - powiedziała Grace ku zadowoleniu siostry.  
- No dobrze, w takim razie możecie się w najbliższym czasie wybrać na spacer na górę. Może nasz młody przyjaciel będzie mógł wam służyć jako przewodnik? - Henry spojrzał na Cahilla z uniesionymi brwiami, na co ten przytaknął usłużnie.  
- Ależ naturalnie! Zapytam go, jak tylko udam się do budynku zarządcy.  
- To miło z pana strony, ale nie ma pośpiechu - odparł Henry, klepiąc go po ramieniu. - Słonie nie uciekną. Z pańskich objaśnień wynika, że karczowanie potrwa jeszcze jakiś czas.  
- Tak jest.  
- Świetnie, w takim razie moje córki przywykną najpierw do nowego klimatu. - Po czym znów spojrzał na obraz. - Myślę, że go tu zostawimy, nie sądzisz, duszko? - zapytał i uśmiechnął się rozbrajająco do żony. - Odrobina szczęścia nam nie zaszkodzi.

Podczas gdy Claudia skrzywiła się sceptycznie, znów wtrącił się pan Cahill:

- Jak mogą państwo rozpoznać po świeżych kwiatach, to miejsce stanowi dla tutejszych pracowników rodzaj sanktuarium. Regularnie przynoszą swoim bogom dary. Wykazałoby się więc

państwo nadzwyczajną mądrością, zostawiając obraz na swoim miejscu.

Po chwili zastanowienia Henry skinął głową.

- Dobrze, niech tu zostanie. W końcu podwładni, którym pozostawi się jakiś margines swobody, pracują znacznie wydajniej, nieprawdaż, panie Cahill?

## **KSIĘGA DRUGA**

### **W Y S P A M O T Y L I**

#### **1.**

#### **Berlin, 2008**

Dwa tygodnie później Diana znów siedziała w samolocie do Londynu, gdzie na Heathrow miała przesiadkę, by już ze Sri Lanka Airlines dotrzeć bezpośrednio do Kolombo. Choć przecież nie leciała po raz pierwszy, czuła dziwny ucisk w żołądku. To strach przed lataniem czy przed tym, co nieznane?

„Raczej to drugie”, pomyślała, uśmiechając się w zamyśleniu i gładząc



jedwabny szal od Emmely, który zabrała ze sobą na szczęście.

Poprzednie dni były pełne wrażeń. Między innymi, na krótko przed wyjazdem, pan Green przysłał jej mały skarb. Rzekomo znaleziony w jakiejś skrzyni na strychu podczas corocznych porządków.

Diana żałowała, że nie udało się jej dotrzeć na strych. Wyglądało na to, że choć Emmely twierdziła, iż pozbyła się już większości zalegających tam szpargałów, wciąż znajdowały się tam jakieś pamiątki. Na pewno jednak nie spodziewała się czegoś takiego.

Dziękując Greenowi, poleciła mu równocześnie prowadzić dalsze poszukiwania, choć wątpiła, czy znajdzie tam jeszcze coś przydatnego.

Kiedy stewardesa rozdała napoje, a jej sąsiad, japoński biznesmen uciął sobie drzemkę, wstała najostrożniej jak się dało i sięgnęła po swój bagaż podręczny. Stary przewodnik był schowany w przedniej kieszonce. Kiedy znów poczuła pod palcami jego gruby papier, po jej twarzy przemknął uśmiech. Usiadłszy na swoim miejscu, przesunęła opuszkami po wypukłym nadruku, po czym wyciągnęła z książeczki złożoną kartkę.

Wydrukowała sobie na niej zdjęcie starej paczuszki z herbatą, którą przysłał jej pan Green. Obok nazwy firmy spedycyjnej znajdowała się również informacja o producencie. Kiedy po raz pierwszy odczytała nazwę Tremayne Tea Company, Vannattuppucci, poczuła, jak zapiera jej dech w piersiach. Pierwszą wskazówką była już tamta stara fotografia. To, że Tremayne'owie posiadali plantację herbaty, stanowiło więc jedną z tajemnic tak pilnie strzeżonych przez Emmely.

Ale dlaczego właściwie nie powiedziała o tym jej albo jej matce?

Czyżby rodzina uważała to za coś wstydliwego?

Trudno było jej w to uwierzyć. Wiele brytyjskich rodzin zbudowało swoje fortuny na uprawie herbaty. W trakcie swoich poszukiwań Dianie udało się ustalić, że początkowo próbowano stworzyć na Cejlonie zagłębienie upraw kawy, jednak skutki okazały się opłakane.

Leżące odłogiem pola w połowie XIX wieku przekształcono następnie w plantacje herbaty, tworząc nową, świetnie prosperującą gałąź

gospodarki tego kraju. Herbata z Cejlonu szybko bowiem stała się słynna na całym świecie. A jej przodkowie przyczynili się do tego, że do dziś można rozkoszować się jej smakiem. Zatem nie było żadnego powodu do wstydu. Dlaczego więc ten temat nie został nigdy poruszony?

Fakt, że owa paczuszka z herbatą przetrwała na strychu, wyraźnie

wskazywał na to, że Emmely musiała wiedzieć o plantacji. Czy mogła o tym zapomnieć? A może opowiedziałyby o niej, gdyby ją o to spytano? Diana sama przyłapywała się czasem na spychaniu pewnych, właściwie istotnych wydarzeń z własnego życia w najdalsze rejony pamięci. Zresztą nie miało znaczenia, czy

Emmely rozmyślnie, czy też nierozmyślnie zataiła tę informację. Ta paczuszka herbaty pozwalała bowiem Dianie stworzyć ramy całej tajemniczej układanki. Wystarczyło teraz tylko wypełnić jej środek.

Poznała już powód, dla którego grób Beatrice Jungblut zdobyły listki herbaty. I to, czego szukał Richard. Teraz wiedziała także, jaka rośliność porastała górę, na której tle została sfotografowana Grace.

Wciąż jednak otwarta pozostawała kwestia, dlaczego Beatrice nie znalazła miejsca w rodzinnej krypcie oraz co łączyło ją ze Sri Lanką.

Diana nie poznała też na razie przyczyn śmierci Richarda Tremayne'a.

Największą zaś zagadkę stanowił liść palmowy, jego pochodzenie, jego znaczenie oraz okoliczności, w jakich trafił do rąk Tremayne'ów.

Pewna była tylko jednego - Tremayne'owie wyjechali na Ceylon. To tam uda się jej odnaleźć pozostałe odpowiedzi.

Po krótkim postoju w Londynie i kolejnych, przeważnie przespanych godzinach w samolocie, następnego dnia rano wylądowała na Katunayake Airport. Podczas kołowania kapitan pożegnał pasażerów nienaganną angielszczyzną. Diana rozmasowała łydki, które całkiem jej ścierpły podczas siedzenia, po czym odpięła pas i sięgnęła po swój bagaż. Ponieważ wszyscy zaczęli się od razu przeciskać do wyjścia, odczekała trochę, wyglądając przy tym przez okno. Oprócz palm na skraju lotniska dostrzegła jedynie drugi samolot, który musiał

wylądować chwilę przed nimi.

Do gmachu lotniska przez szeroko otwarte drzwi wdzierало się gorące powietrze przepelnione swądem spalin. Żadnych egzotycznych zapachów zachwalanych przez foldery biur podróży. Ale to miało się zmienić po dotarciu do miasta.

Jeszcze podczas jazdy pociągiem z lotniska wygrzebała z torebki wizytówkę, którą dostała od Michaela podczas ich ostatniego spotkania. Lakoniczne „Jonathan Singh, Chatham Street 23, Kolombo, Sri Lanka” i numer telefonu wskazywały na prostolinijnego i odrobinę staroświeckiego badacza, przyzwyczajonego najwyraźniej do zamykania nieskomplikowanych przekazów

w kilku prostych słowach. „Czy aby na pewno okaże się on właściwą osobą do moich poszukiwań?” pomyślała. Tak czy inaczej cieszyła się, że może tu na kogoś liczyć. Kto wie, może ten pan Singh udzieli jej paru ciekawych wskazówek?

Kontynuując później podróż w jednym z owych minibusów pełniących tu funkcję taksówek, mogła na własnej skórze przekonać się, czym jest ruch uliczny w Kolombo. Otoczona głośnymi dźwiękami indyjskiej muzyki, przez które przedzierało się nie mniej donośne trąbienie jakiegoś szalonego kierowcy tuk-tuka, który, nie bacząc na śmiertelne zagrożenie, wziął się do wyprzedzania większych pojazdów, dotarła w końcu do hotelu Grand Oriental, którego fasada lśniła jasno w świetle słońca.

Stojące w tle drapacze chmur wprowadziły nieco rozmiary tego okazałego gmachu, jednak Diana bez trudu mogła sobie wyobrazić, jak imponująco musiał się on niegdyś prezentować. W

obrębie tak zwanego fortu stało jeszcze kilka starszych budynków. Jak się mogła przekonać, zaglądając do swojego przewodnika z 1887 roku, zachowane zostały także stare nazwy ulic.

Grand Oriental należał właśnie do owych pozostałości z dawnych czasów. Podobnie jak wartka krzątanka na ulicy przed nim. Pomiędzy mężczyznami ubranymi w ciemne spodnie i jasne koszule, czyli standardowy tutaj strój męski, dostrzegła przedstawicieli wielu różnych nacji, kobiety odziane w tradycyjne sari lub we współczesne ubrania, dzieci, no i turystów.

W dobrym nastroju minęła portiera w czerwono-złotej liberii, weszła do środka przez obrotowe szklane drzwi i skierowała się w stronę recepcji. Wnętrze hotelu również zostało starannie odrestaurowane i i nieco unowocześnione. Oprócz działającej tu od dawna księgarni w hotelu funkcjonowało jeszcze kilka rozmaitych sklepów, między innymi kwiaciarnia, z której witryny pyszniły się przepiękne kwiaty plumerii. Diana przeczytała w jednej z broszur, że w latach osiemdziesiątych XX wieku obiekt ten nosił nazwę Taprobane. Szybko wrócono jednak do starej nazwy

znamionującej czasy świetności hotelu, w którym zatrzymał się na przykład znany pisarz William Somerset Maugham.

- Witamy w Grand Oriental! Czym mogę pani służyć? - powitała ją recepcjonistka w schludnym kostiumie i z włosami związanymi w nie mniej schludny kok.

Diana przedstawiła się i wyciągnęła potwierdzenie rezerwacji. Kiedy już wypełniła stosowne formularze i otrzymała klucz, obok pojawił się boy, który miał ją zaprowadzić do pokoju. „Ciekawe, jak czuli się Tremayne’owie, wchodząc po tych schodach?”, pomyślała, podążając za młodym człowiekiem. Małżonka i córki w rozłożystych sukniach i ciasnych gorsetach, Henry w równie ciasnym kołnierzyku. A za nimi cały orszak służby. Diana pocila się nawet w swoich współczesnych ciuchach, więc co dopiero oni...

Pokój hotelowy, choć odrestaurowany i znakomicie utrzymany, ostatecznie wciągnął ją w XIX stulecie. Brązowy parkiet ułożony w mozaikowy wzór mógłby pochodzić jeszcze z tamtych czasów.

Dominujące w całym pomieszczeniu łoże zdawało się wierną kopią tamtych, wygodnych posłań dla gości. Podobnie jak fotele, które choć nowe, również pasowały stylistycznie do wnętrza. Z okien rozciągał

się wspaniały widok na port. Co prawda na suficie na próżno szukała obrotowego wentylatora z rodzaju tych, jakie widziała na filmach.

Został zastąpiony całkiem współczesną klimatyzacją.

Po wręczeniu napiwku zamknęła drzwi i przez moment napawała się atmosferą pokoju. Następnie podeszła do szeroko otwartego okna.

Twarz i włosy owionął jej ciepły powiew wiatru. Napięcie nieco ustąpiło. Była na właściwej drodze.

Po rozpakowaniu się zaniósła na biurko tubę, w której trzymała liść.

Celnicy patrzyli na nią dość podejrzliwie podczas kontroli, jednak zadowolili się jej deklaracją, że wiezie liść, by oddać go koledze z Kolombo. Może powinna go zdeponować w hotelowym sejfie? W

końcu żeby sprawdzić, z której biblioteki pochodzi, wystarczą zdjęcia od Michaela.

Mimo że była wykończona, postanowiła zrobić jeszcze krótką rundkę po mieście. Wzięła prysznic, przebrała się, po czym zawiadomiła Evę i pana Greena, że wylądowała szczęśliwie w Kolombo. Pół godziny później, wyposażona w stary i nowy przewodnik, mające jej pomóc dotrzeć do pana Singha, i z tubą pod pachą wyszła z pokoju.

W drodze do holu znalazła się na korytarzu, na którym natrafiła na ożywioną krzątanicę. Wyglądało na to, że w Sali Balowej Kwiatu Lotosu, jak przeczytała na widniejącej na drzwiach wypolerowanej tabliczce, trwają przygotowania do jakiegoś wielkiego wydarzenia.

Krzesła spowite w białe narzuty ze złotymi wstążkami znamionowały niezawodnie przyjęcie weselne.

Nagle poczuła ukłucie. Jej własne wesele było bardzo skromne.

Marzyło jej się wielkie przyjęcie, ale Philipp roztoczył przed nią wizję jego licznej rodziny i uległa. A teraz odrobinę żałowała, że nie wyszła za mąż z pompą. Wprawdzie nie wpłynęłoby to zapewne na koniec jej małżeństwa, ale miałyby teraz przynajmniej wspaniałe wspomnienia.

Obsługa zaczęła nakrywać stoły obrusami, więc wołała się wycofać.

Zamiast płakać za czymś, czego nie było, lepiej zatroszczyć się o to, co jest tu i teraz. I o cel swojej podróży. Znalazłszy się w hotelowym holu, wyjęła więc z torby stary przewodnik. Strony z interesującymi ją miejscami pozakładała małymi karteczkami. Szczególnie ciekawiły ją fort, Chatham Street i Ogrody Cynamonowe, dzielnica miasta, która teraz nosiła kompletnie nieromantyczną nazwę Kolombo 7. Ciekawe, czy są tam jeszcze jakieś cynamonowe ogrody?

Oddała liść palmowy do sejfów i wyszła z hotelu. „Jak znam Michaela, pan Singh już na mnie czeka”, pomyślała. Pewnie opowiedział mu już wszystko o liściu. Ale im szybciej ona sama się czegoś dowie, tym lepiej.

Choć wyszukała mnóstwo informacji o Sri Lance i obejrzała parę albumów ze zdjęciami, znalazłszy się na ulicach Kolombo, poczuła się przytłoczona panującymi tu kontrastami. Z jednej strony wieżowce, billboardy, samochody i komórki, z drugiej zaś tradycyjne sari, wozy ciągnięte przez woły, domy z czasów kolonialnych i rudery.

Przechodząc przez ulicę, musiała uważać, by nie przejechał jej któryś z czerwonych busików wiozących swoich pasażerów w zawrotnym tempie. Poprzez tłum kłębiący się na York Street jakiś człowiek próbował przedrzeć się ze swoim bogato przyozdobionym słoniem.

Wszędzie słychać było klaksony tuk-tuków i przenikliwe dzwonki od rowerów. Chatham Street wypełniała cisza pieszych i rowerzystów.

Wiele starych budynków ustąpiło już miejsca nowym, a większość sklepów przejęli chińscy handlarze jedwabiem. Wciąż jednak sprzedawano tu również narodowe skarby, przede wszystkim nieoszlifowane kamienie szlachetne po względnie niskich cenach.

Dianie przypominał się tamten duży niebieski kamień ze skrytki, który spoczywał teraz w jej torbie w hotelu. Mogła go zabrać ze sobą, żeby sprawdzić, czy jest prawdziwy, no i w ogóle dowiedzieć się, co to za kamień.

Przystanąła i zaczęła przeglądać przewodnik w poszukiwaniu budynku, w którym mieścił się niegdyś sklep z kamieniami szlachetnymi. Znalazła go po chwili. Niestety w tamtym miejscu nie było już tego sklepu. Okiennice zabito gwoździami, a na ścianach strzępiły się plakaty reklamowe. Dwa domy dalej odkryła za to witrynę niewielkiego sklepiku jubilerskiego ze świecącym na czerwono neonem z napisem „Sale”. „To pewnie tak jak z naszymi handlarzami dywanów, u których też zawsze jest wyprzedaż”, pomyślała z lekką drwiną.

Ponieważ jej poszukiwania nie zostały uwieńczone sukcesem, ruszyła dalej wzdłuż ulicy, aż dotarła do numeru 23. Wzniesiony w stylu kolonialnym budynek sprawiał wrażenie nieco podupadłego, choć nie stracił jeszcze nic ze swojego szyku. Nowoczesny domofon wydawał

się tutaj zupełnie nie na miejscu. Pośród nazwisk zapisanych tutejszym, pełnym zawijasów pismem dostrzegła tabliczkę z podwójną pisownią. To on! Może będzie wiedział, do kogo ma się zwrócić w sprawie liścia.

Z bijącym sercem nacisnęła przycisk domofonu, po czym cofnęła się i zadarła głowę w nadziei, że kogoś tam zobaczy. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Kiedy już chciała ponownie zadzwonić, gdzieś w górze otwarło się, skrzypiąc, jedno z okien i pojawiła się w nim czyjaś ciemna głowa. Słońce świeciło jej w oczy, więc przysłoniła je dłonią, ale i tak nie była w stanie rozpoznać twarzy.

- Pani do mnie? - dobiegło ją z góry.

- Jeżeli to pan jest Jonathan Singh, to tak - odkrzyknęła.

Jej rozmówca odpowiedział po krótkiej chwili zastanowienia: - Zaraz do pani zejść.

Głowa zniknęła, okno się zamknęło. Tymczasem za plecami usłyszała mrozący krew w żyłach ryk klaksonu. Z wrażenia wypuściła z rąk przewodnik, który upadł tuż obok kupki śmieci gromadzących się w szczelinie obok rynny. Kiedy schyliła się, by go podnieść, otworzyły się drzwi wejściowe. Szybko się więc wyprostowała i spojrzała prosto w czyjeś bursztynowe oczy na lekko ogorzałej twarzy. Ciemnowłosa, wysoki mężczyzna, ubrany swobodnie w jasne spodnie i białą koszulę, na pierwszy rzut oka przypominał raczej artystę niż przykurzonego historyka. Nie tak wyobrażała sobie przyjaciela Michaela.

- Pan Singh, prawda?

Na twarzy mężczyzny pojawił się uśmiech.

- Tak, to ja. A pani jest pewnie przyjaciółką Michaela. Diana Wagenbach, zgadza się?

- Tak, zgadza się - odrzekła i nerwowym gestem wyciągnęła w jego stronę rękę, nie zauważając, że przy okazji coś wypadło z jej przewodnika. Dlatego uskokczyła przestraszona, kiedy Jonathan się schylił.

- Zgubiła coś pani. - Podał jej z ujmującym uśmiechem kawałek szarego papieru. Diana obejrzała go podejrzliwie, po czym

kiedy zorientowała się, co to jest, załała ją fala gorąca. To była fotografia jej praprababki! A raczej jej odbitka, którą zrobiła przed wyjazdem. Przypomniała sobie teraz, że włożyła ją między kartki w czasie lotu. Zdjęcie powinno właściwie powędrować później z powrotem do portfela, ale w międzyczasie usnęła, a po przebudzeniu schowała przewodnik do torby.

- Och, dziękuję. Byłoby bardzo niedobrze, gdybym je zgubiła.

Mężczyzna popatrzył na szarozieloną książeczkę w jej dłoni, po czym uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Nie uważa pani, że lepiej byłoby posługiwać się aktualniejszym planem?

- Mam i taki! - odpowiedziała Diana. - A ten służy mi jedynie do porównania tego, co było, z tym, co jest teraz.

- Czy to znaczy, że zajmuje się pani historią?

- Nie, jestem adwokatką. - Czy Michael nie wspomniał mu o tym?

- Proszę mi wybaczyć. Michael robił z tego wielką tajemnicę, jak gdyby obawiał się, że już na starcie nie będę zainteresowany. Widać, że długo go tu nie było, bo zapomniał, że my chętnie pomagamy każdemu, kto szuka.

Kiedy za nimi rozległy się czyjeś utyskujące głosy, pociągnął ją za sobą bliżej ściany, by przepuścić przechodniów, którym stali na drodze.

- Mam nadzieję, że przynajmniej o mnie opowiedział coś więcej.

- Tylko tyle, że kiedyś był pan naukowcem, a teraz pisze pan książki.

- Zgadza się. Moje imię i nazwisko zdradzają, że jestem synem Hindusa i Angielki. A tak przy okazji, świetnie pani mówi po angielsku.

Diana zarumieniła się. Nie, na pewno nie tak wyobrażała sobie tego Jonathana Singha. Nie tak szarmanckiego i nie przyprawiającego już od pierwszych chwil o taki zawrót głowy...

- Moja ciotka... to znaczy cioteczna babka mieszkała w Anglii. Ja sama mam angielskie korzenie.

- W takim razie jesteśmy właściwie krajanami! - ucieszył się Singh. -

Może na początek pójdziemy na herbatę, co pani na to? Opowie mi pani o sobie i o swoich planach. Tu w pobliżu jest mała herbaciarnia.

- A czy nie odciągam pana przypadkiem od pracy? - zapytała Diana niepewnym głosem.

- Nie, bynajmniej. Szczerze mówiąc, już na panią czekałem.

Przemiana z naukowca w pisarza jeszcze zredukowała moje życie towarzyskie, będę więc szczęśliwy, mając w końcu do czynienia z kimś z krwi i kości, a nie z papieru.

Diana mogła zatem odetchnąć z ulgą i jedyne, co jej zostało, to dać się poprowadzić w stronę lokalu, o którym wspomniał.

- Tak więc szuka pani liści palmowych? - zagadnął, kiedy przedzierali się przez tłum na Baillie Street. - To jedyna rzecz, o której wspomniał

Michael.

- Tak, zgadza się - odpowiedziała Diana.

- W takim razie powinniśmy pójść do Muzeum Narodowego, mają tam wspaniałą kolekcję *Ola*.

-Ola?

- To tutejsze określenie liści palmowych.

Dianie trudno było sobie wyobrazić, by przepowiednie były przechowywane w muzeum. Przecież nawet Michael powiedział jej, że istnieją specjalne biblioteki, strzeżone przez Nadireaderów, Tamilów znających prastare dialekty swojego ojczystego języka. A może się pomylił? Może badacze historii zdążyli już zawłaszczyć ludzkie losy spisane na owych liściach.

- A co znajduje się na tych O/a? - zapytała więc, by się upewnić, że mówią o tym samym.

- Cała wiedza, jaką warto było spisać - odparł Singh. -Tamilowie od wielu wieków byli piśmiennym ludem. Większość zbiorów została zniszczona w czasach kolonialnych. Jednak sporą część z tego, co ocalało, można zobaczyć w muzeach.

- Obawiam się jednak, że to nie te liście, których szukam. Singh spojrzał na nią pytająco, zaraz jednak w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia.

- Ach, przepraszam, pani chce poznać przeszłość. To tego rodzaju *Ola* pani szuka.

- Gwoli ścisłości, nie chodzi mi o przepowiednie... - Czy Michael naprawdę nic mu nie powiedział? - W rzeczach po ciotce znalazłam liść



palmowy. Podejrzewam, że został skradziony, i chciałabym go oddać właściwej bibliotece.

Singh zaniemówił na chwilę.

- Liść palmowy w Anglii?

- Mam nadzieję, że nie grozi mi jakaś kara za to, że go tu wwiozłam.

- Nie, naturalnie, że nie - potrząsnął głową. - Wydawało mi się tylko, że Nadireaderzy pilnują liści i nie dają ich nikomu do ręki.

- Michael też tak sądzi - odpowiedziała Diana. - Ale ten liść znajdował się w tajnej skrytce w regale z książkami. Przypuszczam, że trafił do Anglii w XIX wieku. Razem z bagażem moich przodków, którzy wybrali się w podróż do tego miejsca. A niedawno dowiedziałam się, że mieli tu także planację.

Singh patrzył na nią z wypiekami na twarzy.

- Niesamowita historia. Nie rozumiem, dlaczego Michael nie opowiedział mi o tym wcześniej.

- Zapewne nie chciał panu popsuć niespodzianki - odpowiedziała odrobinę nieśmiało Diana i zaraz samą siebie zganiła za to w myślach.

Ostatecznie jest już dorosłą kobietą, a nie jakąś zahukaną gąską!

Naraz Singh się zatrzymał.

- Proszę tam spojrzeć! - Pokazał na kamienicę, której styl wskazywał na jeszcze wcześniejszy wiek niż pozostałe obiekty przy Chatham Street.

Diana zmarszczyła czoło, widząc napis nad drzwiami wejściowymi.

- To chyba niderlandzki, prawda?

- Racja. W tłumaczeniu brzmi to mniej więcej tak: „Zniszczony przez samowolę, odbudowany przez sprawiedliwość”.

- A co to znaczy?

- W czasach, gdy kolonia należała do Holendrów, rządził tu gubernator Pieter Vuist. Mówi się, że był to jeden z najstraszliwszych i najbardziej okrutnych namiestników tego kraju. W przyływie kaprysu, a niektórzy twierdzą, że i zazdrości, kazał po prostu zburzyć tę kamienicę. Odbudował ją potem jego następca, odrobinę bardziej umiarkowany, i kazał umieścić nad drzwiami właśnie ten napis.

Kiedy słuchała jego opowieści, po plecach przebiegł jej przyjemny dreszcz. Jak gdyby chłodną dłonią dotknęła ją przeszłość, zapraszając do wspólnej wędrówki. Mając u boku Jonathana, chyba nie musiała się niczego obawiać.

Herbaciarenka przy York Street sprawiała wrażenie, jakby ktoś wcisnął ją

siłą pomiędzy dwa sklepy. Dużo prawdopodobniejsze było jednak to, że sąsiadujące z nią budynki po prostu z czasem zaczęły nad nią górować i coraz bardziej ją przytłaczać.

Wymalowane na mocno rudym kolorze wnętrza było ciasne i zastawione różnymi pamiątkami. Z radia ryczała indyjska muzyka, zaś w telewizorze nadawano wiadomości. Nie było wprawdzie obrazów Sziwy, Ganeszy czy innych bogów, za to w którymś miejscu Diana odkryła przepiękną arabską kaligrafię, która musiała mieć co najmniej sto lat.

- Właściciel jest muzułmaninem - wyjaśnił Singh, kiedy rozsiedli się na poduszkach. - Każdemu, kto tylko zechce słuchać, opowiada z dumą, że jego przodkowie przybyli tu z Jemenu, by głosić nauki Mahometa. Po części z sukcesem, jednak nadal to hinduizm i buddyzm odgrywają najważniejszą rolę na Wyspie Motyli.

- Na Wyspie Motyli?

- Tak nazywa się Sri Lankę. Bo ma kształt skrzydła motyla - powiedział i dłonią zatoczył w powietrzu właściwy kształt.

- Wciąż dowiaduję się nowych rzeczy - stwierdziła zdziwiona Diana, nie zdradziła jednak, że przypominał jej się motyl, który w jej śnie obudził do życia anioła.

- Sri Lanka jest pełna niespodzianek - oznajmił Singh, po czym nienagannym tamilem zamówił u przechodzącego właśnie gospodarza dwie szklanki herbaty.

- Ma najlepszą w całej okolicy - objaśnił, kiedy tamten odszedł. -

Pozwoliłem sobie od razu zamówić coś słodkiego. Bo na lunch jeszcze za wcześnie, prawda?

Dianie szumiało w głowie. Czyżby odezwał się *jet lagi* A może po prostu potrzebowała chwili, by się oswoić?

- Może dla odmiany opowiem coś o sobie, zanim znów zacznę wiercić pani dziurę w brzuchu pytaniami.

Diana kiwnęła głową.

- Byłoby miło, trochę odsapnę przed kolejną rundą.

Kiedy właściciel przyniósł parujące szklanki i postawił przed nimi miskę z przypominającymi paszteciki wypiekami, Singh rozpoczął swoją opowieść.

- Dorastałem w Anglii, mój ojciec był Hindusem tamilem pochodzenia, dlatego mówię dziś w obu językach. Przyjechał do Anglii jako

profesor historii Indii, a jego zainteresowania udzieliły się i mnie.

Tyle że ja wolałem pracować naukowo tutaj. Można by więc powiedzieć, że to dzięki niemu interesuje mnie teraz jakiś liść palmowy, zawleczony do Anglii w XIX wieku.

Umilkł na chwilę i zagryzł wargę, jakby nie wiedział, jak ująć następną myśl.

- Pani nie przypadkiem zabrała ten liść, prawda? - zapytał w końcu.

Diana potrząsnęła głową.

- Nie, niestety nie, ale... - urwała nagle. Czy może go tak po prostu zaprosić do siebie do hotelu? Jakże to zrobi na nim wrażenie?

Jednak już w następnym momencie zbeształa się w myślach. Przecież on chce jej tylko pomóc, a nie zaraz się żenić! Powinna się cieszyć, że Michael ją z nim skontaktował.

- Mam go w hotelu. Mam też jego zdjęcia. Jest zbyt cenny, żeby wszędzie go ze sobą nosić.

- Rozumiem. - Singh zamieszał herbatę w szklance i dodał: -Strasznie chciałbym go zobaczyć. Niestety jutro muszę się stawić u mojego wydawcy. Chce ze mną omówić mój nowy projekt.

Diana uniosła brwi.

- Naprawdę? A o co w nim chodzi, jeśli mogę spytać?

- O konflikt między Tamilami a Syngalezami, jego podłoże, jego skutki, jego historię. Napięcie pomiędzy naszymi narodami narastało już od dziesięcioleci, a Tamilskie Tygrysy stawały się coraz bardziej nieprzejednane. Chciałbym swoją pracą rzucić na to odrobinę światła.

Diana przypomniała sobie ostrzeżenia pracownicy biura podróży, kiedy wręczała jej broszury informacyjne.

- To mi wygląda na trudny... nie, raczej niebezpieczny temat.

- Bo tak jest. Ale ktoś musi się tym zająć. Milczenie nie przyniesie niczego dobrego. Pokój na całej wyspie zapanuje tylko wtedy, jeżeli uda nam się znaleźć jakieś wspólne rozwiązanie.

Milczała pod wrażeniem jego słów.

- Ale to nie znaczy, że nie znajdę czasu dla pani. Może spotkamy się jutro wieczorem, wtedy w mieście jest najładniej. Co pani na to?

- Bardzo chętnie - odpowiedziała Diana, czując w brzuchu dziwne łaskotanie.

- W jakim hotelu się pani zatrzymała?

- W Grand Oriental.

Singh spojrział na nią z podziwem.

- Zdaje się, że wzięła sobie pani te poszukiwania naprawdę do serca.

Grand Oriental obok Mount Lavinia Hotel należał w czasach kolonialnych do najelegantszych adresów wybieranych przez Anglików. To idealne miejsce, by rozpocząć podróż w przeszłość.

- Znalazłam go w moim przewodniku, był podkreślony. Nie mam jednak stuprocentowej pewności, czy moi przodkowie w nim mieszkali. Ale ta myśl bardzo mi się podoba.

- Będę u pani o ósmej wieczorem - obiecał Singh. - I pozwolę sobie porwać panią do miasta. Niezależnie od tego, gdzie się trafia, kucharze hotelowi są przekonani, że obcokrajowcy chcą się żywić dokładnie tak samo jak w swoim kraju. A przecież nie po to podróżuje się do egzotycznych krajów, żeby nie móc kulinarnie nagrzeszyć -

oświadczył, i kolejny pasztecik zniknął w jego ustach.

**2.**

Przygotowując się na spotkanie z Jonathanem, Diana zdecydowała się przed południem na spacer po mieście z przewodnikiem, który zaprowadził ją do muzeum i kilku pięknych świątyń, które uwieczniła swoim aparatem fotograficznym. Tak jak przypuszczała, w wypadku liści palmowych w muzeum chodziło nie o przepowiednie, lecz, jak objaśnił oprowadzający ją pan P. Suma, o podania i relacje z wydarzeń historycznych. Choć mówił dosyć dobrze po angielsku, Dianie zaczęło się wkrótce kręcić w głowie od niezliczonych tamilskich nazw i określeń, jakich używał, referując historię kraju.

Jadąc potem pędzącym na złamanie karku czerwonym minibusem, by nie czuć przerażenia, pomyślała o nadchodzącym wieczorze i poczuła dreszcz emocji. Nie tylko dlatego, że liczyła na więcej informacji o liściu palmowym. Cieszyła się także, że znów zobaczy Jonathana.

Kiedy ubiegłej nocy odtwarzała w myślach ich rozmowę, przyszło jej do głowy, że to bardzo sympatyczny człowiek, w dodatku z poczuciem humoru. Przypomniała też sobie jego przepiękne oczy. Zaczęła przy tym, zupełnie niedorzecznie, wyobrażać sobie, jak mogą one wyglądać w różnych sytuacjach.

Po powrocie do hotelu wzięła prysznic i po paru chwilach odpoczynku stanęła bezradnie przed lustrem, przekonana, że przywiozła zdecydowanie za mało ubrań. Chciała zrobić na Singhu jak najlepsze wrażenie. Nawet jeżeli on sam miałby się bardziej interesować jej zdjęciami niż nią.

Zdecydowała się w końcu na białą, szeroką spódnicę do kolan z kwiecistym haftem na brzegach i czarną bluzkę z krótkim rękawem.

Jak dowiedziała się od pana P. Sumy, tolerowano tu wprawdzie T-shirty, jednak jako odzież dla dzieci. A ponieważ planowali opuścić hotel, za nic nie chciałyby zwrócić na siebie uwagi niewłaściwym ubiorem.

Spryskała się lekko perfumami i włożywszy do torebki zdjęcia oraz notatnik, udała się do holu, do którego weszła akurat grupa przyjezdnych. Wyciągnęła szyję w poszukiwaniu Singha, ale nigdzie go nie dostrzegła. Jej wzrok powędrował w końcu w stronę zegara wiszącego nad kontuarem recepcji. Za pięć ósma. Pewnie przyjdzie punktualnie. Albo spóźni się trochę, co w wypadku przedstawiciela jego profesji nie byłoby niczym dziwnym. Zaczęła się też zastanawiać, czego spodziewała się po tym wieczorze?

- Miss Wagenbach?

Diana uniosła głowę zaskoczona. Jonathan Singh wyrósł obok niej jak spod ziemi.

- O, dobry wieczór - powiedziała lekko onieśmielona, następnie wstała i podała mu rękę. - Miło pana widzieć, Mr Singh.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Mam nadzieję, że nie czeka pani zbyt długo...

- Kilka minut - roześmiała się zakłopotana. - Rozumie pan, niemiecka punktualność. - Miała ochotę dać sobie po głowie. Po co powtarzać te głupie stereotypy. Ale Singh tylko uśmiechnął się pod nosem.

- Co pani na to, żebyśmy wybrali się do Pettah? Jak się pani przekona, nocą w mieście jest bardzo spokojnie, za to w Pettah wieczorem ożywa wielki bazar. Tam na pewno uda nam się

znaleźć jakąś restaurację, w której będzie pani mogła zakosztować prawdziwej lankijskiej kuchni.

- Brzmi nieźle - odparła Diana, po czym wyszli z hotelu i ruszyli przez miasto piechotą.

Ruch na ulicach rzeczywiście zmalał. Ubyło także pieszych, więc można było w końcu zobaczyć w pełni ulice, na których gniły owoce i wszędzie wałęsały się nieduże pieski w poszukiwaniu pożywienia.

Dziury w jezdni bywały tak głębokie, że należało się tylko dziwić, iż nie dochodziło do poważniejszych wypadków. Mimo to było tu przyjaźniej niż na którejkolwiek opustoszałej niemieckiej ulicy, gdzie na nieskazitelny asfalt spoglądają jedynie ciemne okna domów.

- Jak poszła panu rozmowa z wydawcą? - zapytała, kiedy zostawili hotel daleko w tyle.

- Lepiej, niż się spodziewałem - odparł Jonathan. - Bardzo się tym zainteresowałem i liczy na spory oddźwięk, również za granicą. A o to głównie chodzi. Oprócz herbaty turystyka stanowi główne źródło dochodów w kraju. Po zamachu na port lotniczy wiele osób zaczęło się jednak zastanawiać, czy jest sens do nas przyjeżdżać.

- Nietrudno to sobie wyobrazić.

- Teraz nie odradza się już podróży, jednak biura nadal zalecają ostrożność. Tak pewnie było i w pani wypadku, prawda?

- Zgadza się, ale tylko rzuciłam okiem na informator. Wolę zawsze przekonać się o czymś na własne oczy i samej oszacować zagrożenie.

- Ale niewiele osób tak robi. Chciałbym pomóc turystom, by umieli zrozumieć tutejszą sytuację i dostrzec zagrożenia.

- Będą panu za to wdzięczni. I kraj też. Jonathan wzruszył skromnie ramionami.

- To się okaże.

Po jakimś czasie dotarli do głównej promenady w Kolombo, którą Jonathan nazwał Galie Face Green. Nakrycia głowy

sprzedawców lemoniady przypominały kapelusze grzybów wyskakujących z podłoża po deszczu. Widok na morze i niebo przedzielone złocistą kreską był powalający.

- Ale to nie jest bazar - zaśmiała się Diana. - Nie.

Dlaczego w takim razie wspominał coś o bazarze? Bo Pettah to bazar, ale jeszcze do niego nie doszli. A to jest jeden z najpiękniejszych widoków na świecie.

- Jeśli przyszlaby tu pani rano, po deszczu, ludzie wyłaniałoby się z mgły niczym baśniowe postacie.

Po chwili ruszyli dalej i skręcili w uliczkę, na której lampy gazowe kołysały się lekko na wieczornym wietrze. Z ulicznego grilla docierały do nich niebiańskie zapachy zmieszane z wonią palonego drewna.

Jonathan nagle rozpostarł ręce i zawołał: - To właśnie Pettah!

Stanęli akurat przed wielką halą, w której tętniło życie.

- Czy to ten bazar?

- Tak jest, a w każdym razie jego fragment - wyjaśnił Jonathan. - W tej hali odbywa się targ tkanin. Gdyby zamierzała pani uszyć sobie sari, powinna tu pani koniecznie zajrzeć. Naprawdę warto.

Diana wierzyła mu na słowo. Wszystkie stoiska przyciągały żywymi kolorami. Może nawet kupi tu coś dla siebie - ale dopiero gdy rozwikła rodzinną zagadkę.

Jonathan poprowadził ją wzdłuż roztaczających oszałamiające zapachy straganów z przyprawami i stoisk z kamieniami szlachetnymi, aż w końcu znaleźli lokal, w którym próżno byłoby szukać turystów.

- Lokal tylko dla wtajemniczonych - wyjaśnił, kiedy stojąc przed niewielkim kontuarem, czekali na stolik. - Przynajmniej na razie.

Właściciele herbaciarni i restauracji wciąż zmieniają lokalizacje.

Niewykluczone więc, że za rok, dwa już nie będzie tu tego lokalu.

- Sądząc po liczbie gości, trudno to sobie wyobrazić.

- Te lokale podlegają dość specyficznym regułom. To, co w danym momencie jest na topie, już parę miesięcy później może pójść w totalną odstawkę. Zatem cieszymy się, póki czas, tym, co nam zaserwują.

Czekając na kelnera, Diana rozejrzała się po sali. Niektóre z siedzących tu kobiet były ubrane w sari, mężczyźni zaś nosili najczęściej ciemne spodnie i jednobarwne koszule. Ściany były ozdobione wizerunkami bóstw i maskami. Na sporej, oprawionej w ramy fotografii prezentowała się barwnie ubrana tancerka. Przed ołtarzykiem boga Sziwy leżało mnóstwo kwiatów plumerii, a z żarzących się kadzideł unosił się wonny dym. Słysząc było gwar rozmów i stonowane dźwięki muzyki. Diana dosłownie napawała się tymi doznaniem, aby mieć co wspominać, gdy już wróci do bezbarwnych - w porównaniu z tutejszym przepychem - Niemiec.

Krótko po tym, jak zwolnił się jeden ze stolików, stanął przed nimi młody mężczyzna. Porozmawiał chwilę z Jonathanem, a w tym czasie kelnerka zajęła się uprzątnięciem talerzy. Wkrótce usiedli przy stole ze świeżymi matami z liści palmowych.

- I co z pani liściem palmowym? - zapytał Jonathan, kiedy otrzymali już menu na grubym, przypominającym skórę słonia papierze, pełne cyfr i dziwnych znaczków.

- Obawiam się, że będę potrzebować pana pomocy. Nie mam pojęcia, co tu jest napisane.

Singh zaśmiał się cicho.

- Spokojnie, proszę zdać się na mnie. Ma pani przy sobie fotografie?

Diana kiwnęła głową i sięgnęła do torebki. Następnie, próbując zachować właściwą kolejność, rozłożyła zdjęcia na stole. Zdjęcia zrobione przez Michaela miały tak doskonałą ostrość, że bez problemu można było dostrzec każdy szczegół. Pismo było tak wyraźne jak wzorek wypalany lutownicą na drewnie.

Jednak zanim Jonathan mógł się im przyjrzeć, przed stolikiem znów pojawił się kelner. Nawet jeśli zdziwił się, widząc

rozłożone na stole odbitki, nie dał tego po sobie poznać. Jonathan powiedział coś po tamilsku, po czym młody człowiek znów się oddalił.

- Co pan dla nas zamówił? - zaciekawiała się Diana.

- Przekona się pani - odparł z tajemniczym uśmiechem.

- Nic pan nie zdradzi?

- Na pewno będzie pani smakować, proszę mi zaufać. Kuchnia tamilska jest przepyszna, zwłaszcza ta pikantniejsza.

- Pod warunkiem że w pogotowiu stoi wiadro wody.

- Woda pomaga tylko na chwilę. Ale o to także zadbałem. Jonathan sięgnął z uśmiechem po jedno ze zdjęć i przyjrzał

mu się uważnie. Diana zaś przyglądała się jemu z przygryzioną wargą. Czy uda mu się to odcyfrować? Kiedy zmarszczył czoło, uznała to za dobry znak.

- To starotamilski - oznajmił w końcu. - Podejrzywałem, że tak będzie.

- I nie potrafi pan tego odczytać?

- Pismo tamilskie na przestrzeni czasu bardzo się zmieniło. *Ola* jak ten tutaj liczą sobie co najmniej tysiąc lat. - Jonathan odłożył zdjęcia na bok. - Obawiam się, że będziemy musieli poszukać Nadireadera, czyli człowieka, który potrafi to odczytać.

- I znajdę go tylko w tych bibliotekach?

- Albo w którejś z wiosek opodal Kolombo. Pani zamierza oddać ten liść do właściwej biblioteki, prawda?

Diana skinęła głową.

- Tak, taki mam zamiar.

- Zatem radziłbym najpierw dać go do odczytania przez jakieś niezależne źródło. Może przy okazji znajdziemy wskazówkę, z której biblioteki pochodzi.

- Czy to można wywnioskować z tekstu? Jonathan wzruszył



ramionami.

- Kto wie... Ale warto spróbować, nie sądzi pani?

Znów kiwnęła głową, po czym Jonathan popatrzył na nią przeciągle.

- Jaka historia kryje się za pani podróżą, co panią kieruje? -zapytał w końcu.

Diana wyjęła fotografię z górą i ubraną na białą kobietą. Tę, której wcześniej omal nie zgubiła przed jego domem. Po jego uśmiechu wywnioskowała, że ją rozpoznał.

- Podejrzewam, że to moja praprababka. Nie jestem w stanie tego potwierdzić, bo wszystkie rodzinne dokumenty i zdjęcia przepadły, kiedy w czasie drugiej wojny światowej moja babka musiała uciekać z domu. Na starej paczce z herbatą obok nazwy producenta znajduje się słowo „Vannattuppucci”. Nie jestem pewna, czy chodzi tu o nazwę plantacji, czy miejscowości.

- Motyl - uśmiechnął się Jonathan.

- Słucham?

- Motyl. Vannattuppucci to po tamilsku motyl. Pani krewni musieli mieć poetyckie zacięcie.

Diana nie umiała nic na ten temat powiedzieć, ale znów przypomniał jej się sen. Motyl ożywiający anioła. Czy to było przeczucie? Nie, niemożliwe...

- Byłbym za tym, że chodzi o nazwę plantacji. Anglicy mieli w zwyczaju nadawać nazwy swoim *estates*.

- Aż trudno mi to sobie wyobrazić, by któryś z moich przodków był tak subtelny w doborze nazwy plantacji. Typowy Anglik w tamtych czasach raczej ukrywał swoje uczucia.

- Z całą pewnością pani przodkowie mieli ku temu jakiś ważny powód.

Jonathan popatrzył znów na fotografię i westchnął.

- Ma pani przed sobą mnóstwo pracy.

- Bardzo lubiłam ciocię Emmely, była dla mnie jak babcia. Spełnić jej prośbę jest dla mnie sprawą honoru, szczególnie...

„Nie, posuwam się za daleko - pomyślała. - Nie mogę tu jeszcze wyjechać ze swoim beznadziejnym małżeństwem. To tylko bardzo uczynny nieznanomy, nic więcej”.

Kiedy urwała, Jonathan popatrzył na nią pytająco. Spróbowała więc znaleźć jakieś sensowne zakończenie zdania.

- W każdym razie chciałabym się koniecznie dowiedzieć, jaka tajemnica kryje się w przeszłości mojej babki. Rozumie pan, co mam na myśli?

Singh skinął głową.

- Chyba tak. - Na jego twarzy pojawił się wyraz zadumy, w końcu lekko potrząsnął głową. - To dziwne. Nasi przodkowie za życia robią wszystko, by zachować w tajemnicy jakieś wydarzenia z przeszłości. A potem proszą nas, swoich potomków, żebyśmy tę tajemnicę odkryli, bo bardzo im ciąży, a nie mają już siły, by osobiście się tym zająć.

Mądrość tych słów wprawiła Dianę w osłupienie. Równocześnie zaś zastanawiała się, czyjej rodzinna tajemnica jest aż taką plamą, że Emmely po prostu się jej wstydziła.

- Powinniśmy na to spojrzeć jak na zobowiązanie wobec przyszłych pokoleń, prawda? - Singh popatrzył na nią z dziwnym wyrazem twarzy, jak gdyby sam uświadomił sobie jakąś plamę z własnej przeszłości. - Naświetlić wszystkie minione wydarzenia, by nie musiały się z tym zmagać nasze dzieci.

- Nie traktuję tego jako zmagania - odpowiedziała lekko przybita Diana. - Przeciwnie. Już w dzieciństwie często myślałam o tym, jak wyglądało życie moich przodków. Druga wojna światowa przyniosła wielkie straty. Moja babka umarła przy narodzinach mojej matki. A ciotka Emmely nigdy za wiele nie opowiadała. Może sama wolała nie wracać do pewnych wspomnień...

- Na pewno wracała - odparł Jonathan, który zdążył się już uspokoić. -

Inaczej nie zwróciłaby się do pani z tą prośbą. Może sądziła, że lepiej ją pani zrozumie, jeśli sama zagłębi się w tę historię, a nie tylko jej wysłucha.

Po jego słowach zapadła cisza. Zastanowiwszy się nad nimi, Diana mogła tylko przytaknąć. Zanim jednak podjęli dalszą rozmowę, zjawił

się kelner, niosąc kilka dymiących miseczek roztaczających cudowne zapachy. Na stole wylądowały małe bułeczki, rozmaite sosy oraz coś przypominającego czerwone curry, spotykane też w tajskich restauracjach. Kelner powiedział coś jeszcze

szybko po tamilsku i odszedł. Diana przyglądała się potrawom z zaskoczeniem, wdychając wszystkie zapachy.

- Wygląda cudownie. Co to takiego?

- Przegląd tamilskiej kuchni. - Jonathan zaczął jej pokazywać poszczególne potrawy. - Idli i vadai, czyli gotowane na parze albo smażone

w głębokim tłuszczu bułeczki z soczewicy i ryżu, chat-nej, rasam, to ten sos pieprzowy, no i czerwone curry. Potem dostaniemy jeszcze jogurt.

- O ile będę w stanie to wszystko pochłonąć - odpowiedziała Diana ze śmiechem, uważając przy tym na gromadzącą się w ustach ślinę.

- Tradycyjnie jadamy palcami na liściach bananowca - objaśnił

Jonathan, pokazując jednocześnie, jak należy trzymać sztywny zielony liść. - Może pani oczywiście użyć sztućców, ale tak jest bliżej tradycji.

- Kiedy jego ręka musnęła jej dłoń, spojrzeli sobie w oczy.

Bursztynowa barwa jego oczu wydawała się teraz ciemniejsza, niemal brunatna. Diana czuła, że się w nich zatracą. Szybko jednak przywołała się do porządku, a po pierwszym kęsie uczucie zakłopotania ustąpiło takiej rozkoszy, jakiej jeszcze nigdy dotąd nie czuła na podniebieniu.

Kiedy po północy wróciła do hotelu, czuła się dosyć osobliwie. I to raczej nie z powodu jedzenia, ani Jonathana, który przez cały czas odgrywał rolę miłego i uprzejmego przewodnika. A to, że zwierzyła mu się z tajemnicy, pozwoliło tylko zobaczyć wszystko jeszcze wyraźniej, mimo że nadal nie posunęła się nawet o krok w swoich poszukiwaniach. Jonathan obiecał jej jednak, że następnego dnia zasięgnie języka w sprawie Nadireaderów. Nie mogła się już doczekać wieści od niego.

Gdy wymienili się w końcu adresami e-mailowymi, Jonathan odprowadził ją do hotelu. Wracali w milczeniu, każde pogrążone we własnych myślach. Choć wzrok Diany co rusz wędrował ukradkiem w stronę jej towarzysza. W głowie kłębiły się jej

absurdalne pytania. Czy on chodzi na siłownię? Jaki ma rozmiar butów? Czy posiada broń? Niemal jak w szkolnych czasach, kiedy wszystkie dziewczyny marzyły o pewnym chłopcu ze starszej klasy, który już jeździł na skuterze i był gwiazdą sportu.

Teraz, stojąc pod ciepłym prysznicem, nadal nie mogła przestać o nim myśleć. Kiedy ostatnim razem tak dużo myślała o jakimś mężczyźnie?

Uświadomiła sobie przy tym, że od momentu przyjazdu przestała kompletnie zaprzętać sobie głowę Philippem. Była więc zła, że dopuściła, by akurat teraz wdarł się w jej rozmyślenia.

Wślizgnąwszy się pod lekką kołdrę, popatrzyła na światła portu i ogarnęła ją głęboka tęsknota. Od jak dawna nie sypiała już z Philippem? Przez ostatnie miesiące seks był dla niej raczej przykrym obowiązkiem, wciśniętym gdzieś pomiędzy pracą a sprawami codziennymi.

Nie przeszkadzało jej to zanadto, dopóki nie przyłapała Philippa na

zdradzie. A potem była tak pochłonięta tym odkryciem oraz chorobą Emmely, że straciła kontakt z własnym ciałem.

Jednak tutaj, z dala od kraju, otoczona egzotycznymi zapachami i powietrzem, które dawało jej poczucie takiej lekkości, jakby była piórkiem niesionym przez wiatr ponad pióropuszcami palm, znów odzyskała świadomość swojego ciała. Czuła, jak krew pulsuje we wszystkich jego częściach, jak serce bije miarowo w jej piersi. Czuła też w brzuchu dreszcz podniecenia, kiedy myślała o tym mężczyźnie, którego należało właściwie traktować tylko jako przypadkową znajomość. A jednak ten jeden niezobowiązujący wieczór dał jej więcej aniżeli ostatnie miesiące spędzone z Philippem. Skrycie cieszyła się więc na ponowne spotkanie, choć naturalnie wciąż powtarzała sobie, że to tylko miły i uczynny człowiek, którego pewnie nie spotka już po tym, jak zakończy swoje poszukiwania.

Kiedy zasypiała z tą myślą, nad Galie Face już dniało. Obudziła się dopiero koło dziesiątej, gdy na twarzy poczuła ostre słońce wpadające do pokoju przez niezastłonięte okna.

Powietrze jeszcze bardziej się nagrzało, w porcie rozległo się buczenie syreny tankowca, a w promieniach słońca niczym maleńkie świetliki wirowały drobinki kurzu. Diana wstała z uśmiechem, czując jednocześnie dreszcz oczekiwania. Ciekawe, czy już napisał?

Z największym trudem powstrzymała się, by od razu nie włączyć laptopa i sprawdzić pocztę. Na pewno jeszcze nie pisał. W końcu ma też swoją pracę.

Odświeżyła się pod prysznicem, zjadła porządne śniadanie, po czym postanowiła przejść się po nadmorskiej promenadzie. Gdy przemierzała hotelowy hol, usłyszała, jak ktoś za nią woła: - Pani Wagenbach?!

Kiedy przystanęła i obejrzała się za siebie, zobaczyła uśmiechającą się do niej recepcjonistkę.

- Przepraszam, zostawiono dla pani list. Właśnie telefonowałam do pani pokoju, ale musiała już pani wyjść.

List? Może od pana Greena? Nie, nie doszedłby tak prędko.

Podeszła do kontuaru, a recepcjonistka wręczyła jej sporą kopertę z hotelowym logo przewiązaną sznurkiem. W środku znajdowała się mniejsza, bardzo pękata koperta. Nie było na niej jednak czerwono-niebieskich belek poczty lotniczej. Podziękowała i ruszyła z listem na górę do pokoju, gdzie z bijącym sercem położyła go na stole.

Na kopercie widniało wypisane skromnym, ale eleganckim pismem jej

imię i nazwisko. Nic więcej.

Przesunąwszy palcami po papierze, sięgnęła po nożyk do otwierania listów, należący do wyposażenia pokoju. Papier koperty ustąpił niemal z ulgą, odsłaniając gruby plik kartek. Kserokopie, jak wywnioskowała po zapachu. Na samej górze znajdowała się odręcznie zapisana kartka.

Charakter pisma zdradzał zarówno angielskie, jak i tamilskie wpływy.

*Szanowna Pani,*

*dziękuję za uroczy wieczór, który okazał się dla mnie tak wielką inspiracją, że zaraz po przyjeździe do domu postanowiłem poszukać*

*Nadireadera. Wyciągnąwszy z łóżka znajomego, który chciał przy tym wiedzieć, czy wszystko ze mną w porządku, udało mi się jednak ustalić, że pewien człowiek znający starotamilski mieszka w małej wiosce o nazwie Ambalangoda. Znajomy nie pamiętał jego nazwiska, jednak jestem pewien, że w tamtej okolicy nie żyje zbyt wielu podobnych mu ludzi.*

*Proponowałbym, abyśmy spotkali się jutro rano przed hotelem.*

*Chyba że będzie Pani wolna wybrać się tam na własną rękę. W takim wypadku proszę wysłać mi tylko krótki e-mail.*

*Dołączam plan miasta, na którym zaznaczyłem tę wioskę. Zaraz potem, o ile będzie Pani chciała, można by pojechać do Nuwara Eliya, gdzie udało mi się odszukać pani plantację herbaty. Stosowne informacje znajdzie Pani także w tym liście.*

*Mam nadzieję, że pozwoli mi Pani nadal uczestniczyć w Pani przygodzie, Miss Holmes.*

*Z wyrazami szacunku*

*Jonathan „Watson” Singh*

Dopiero po trzykrotnym przeczytaniu listu dotarło do niej, że Singh naprawdę był na tyle szalony, by przesiedzieć dla niej całą noc, poświęcając ją na poszukiwania. Choć stała spokojnie, jej serce waliło, jakby ukończyła właśnie sprint, a jej dłonie oblał naraz zimny pot. Nie pomogło przejrzenie kserokopii i planu. Jej pomysł z promenadą stał

się nieaktualny. Wiedziała, że cały dzień przesiedzi nad tymi papierami, próbując wyciągnąć z nich wszystkie możliwe informacje.

Teraz jednak musi odpowiedzieć Jonathanowi. Włączyła więc laptop i po chwili napisała e-mail.

*Drogi Mr Singh,*

*nie wiedziałam, że ma Pan taką słabość do Conan Doylea. Mogę jednak Pana uspokoić. Po tej imponującej próbie Pańskich umiejętności*

*detektywistycznych, za którą jestem Panu niezmiernie*

*wdzięczna, nie wyobrażam sobie lepszego towarzysza podróży do Ambalangody. Mam tylko nadzieję, że uda się Panu oderwać od swoich obowiązków. W przeciwnym razie możemy się umówić na inny dzień, bo obawiam się, że nie znając tamilskiego, sama nic nie wskóram.*

*Z serdecznymi pozdrowieniami*

***Diana „Holmes” Wagenbach***

**3.**

### **Vannattuppucci, 1887**

Wnętrze pokoju, który Grace i Victoria miały wspólnie za-mieszkiwać, dopóki pozostałe pomieszczenia nie zostaną wyre-montowane, wyglądało tak orientalnie, że równie dobrze mógłby się on znaleźć w jakimś arabskim albo tureckim domostwie. Ostrołuki wieńczące okna były ozdobione ornamentami przypominającymi seraj.

Płomiennie pomarańczowe zasłony z haftowanego atlasu wydymały się pod wpływem wiatru wpadającego przez półotwarte okiennice.

Gdzieś z oddali dobiegały odgłosy dzwonków wiatrowych.

Pomieszczenie zostało urządzone dość prosto i niemal prosiło się, by tchnąć w nie trochę życia.

Podłoga była wyłożona kamiennymi płytami w kolorze ochry. Stały tu biurko, bogato zdobiona intarsjami szafa i komoda. Po przeciwległej stronie, przy ścianie, znajdowały się dwa łóżka, przed którymi leżał

rozpostarty chodnik. Na środku pokoju zaś piętrzyły się teraz kufry i torby zawierające cały dobytek sióstr.

- Może nasz stryj miał tu harem! - wypaliła Victoria, gdy tylko panna Giles zniknęła za drzwiami. Na myśl o tym, że ich

kontrowersyjny stryj mógłby hołdować wielożeństwu, jej oczy zaświeciły niczym drogocenne kamienie.

- Nie sądzę, aby stryj Richard zmienił wyznanie - odpowiedziała Grace. - Poza tym to muzułmanie utrzymują haremy.

- Kto wie, może został konwertytą! - upierała się podekscytowana Victoria. - Słyszałam, jak ojciec mówił, że kazał się spalić, tak jak to robią hindusi. Nie znajdziemy tu nigdzie jego grobu.

- Tak czy inaczej nie uważam, że przeszedł na inną religię. Może jego ostatnia wola miała całkiem praktyczne uzasadnienie. Przy tym upale ciało

strasznie szybko się rozkłada.

Victoria jednak nie zamierzała się tak łatwo poddać.

- Kto tak naprawdę znał tego naszego tajemniczego stryja? Ty nawet nie widziałaś go na oczy, bo odkąd opuścił Tremayne House, już nigdy nie pokazał się w Anglii.

Miała rację. Stryja Richarda znały jedynie z portretu wiszącego gdzieś w ciemnym korytarzu w Tremayne House. Ciemnowłosa mężczyzna o ujmujących szarych oczach, spoglądający na patrzącego tak, jak gdyby uwierał go zbyt ciasny kołnierzyk. Wnioskując z wypowiedzi ojca, faktycznie nikt go dobrze nie znał, nawet on sam czy też ich dziadek. Dwadzieścia pięć lat temu, kiedy Richard podjął

decyzję, by szukać szczęścia na Cejlonie, wszyscy byli oburzeni, a przy tym starano się o tym jak najrzadziej wspominać, by nie daj Boże kolejny członek rodziny nie zechciał, wbrew woli ojca, wyruszyć w daleki świat.

Victoria podskoczyła z zapalem i rozłożywszy ręce, zaczęła wirować.

- Czy nie byłoby bajecznie żyć w haremie?

- Raczej nudno - odparła Grace, także czując ochotę do tańca.

Działania Victorii były pod tym względem bardzo zaraźliwe. Ale czy może sobie na to pozwolić? W końcu skończyła już osiemnaście lat i uchodziła za dorosłą. - Przez cały dzień wylegujesz się na jedwabnych poduszkach, słuchasz jakichś opowieści, ale sama nie masz możliwości ich przeżyć, a za jedyne towarzystwo masz grubawych eunuchów w przykrótkich spódniczkach, którzy

swoimi cienkimi głosikami wypyują cię w kółko, czego sobie życzysz. Nie wspominając już o intrygach pozostałych nałożnic.

-Zorientowała się przy tym z przerażeniem, że taka wizja haremu mogłaby równie dobrze pochodzić z którejś z tanich powieści, w których zaczytywała się Victoria.

- Za to moim małżonkiem byłby bogaty sułtan, który rozpieszczałby mnie i zasypywał podarkami, bo byłabym jego ulubioną żoną! -

Victoria nadal kręciła się pośrodku pokoju. A ów taniec, zamiast wywoływać zawrót głowy, zdawał się coraz bardziej ją porywać.

- Skąd wiesz? - odpowiedziała Grace i wstała.

- Codziennie rano patrzę w lustro, które mówi mi, że jestem wystarczająco piękna, by zostać ulubioną małżonką szejka.

- A nie jesteś aby odrobinę próżna?

- Oczywiście, tak jak wszyscy. No chodź, Grace, to jak latanie!

Grace zwlekała tylko krótką chwilę. Dorosła czy nie, w towarzystwie siostrzyczki nie musi się aż tak pilnować. I poczuła, jakby znów miała czternaście lat. Zaczęła kręcić się dookoła własnej osi, coraz szybciej i szybciej, a jej śmiech mieszał się ze śmiechem Victorii.

Świat dookoła zaczął przecudnie wirować i po chwili rzeczywiście miała wrażenie, że unosi się nad ziemią.

- Ależ, moje panny!

Głos panny Giles, w którym dało się słyszeć naganę, natychmiast przywołał je do porządku. Zataczając się, padły sobie nawzajem w objęcia, po czym obie runęły na podłogę.

Guwernantka potrząsnęła głową.

- Powinnyście się zająć czymś rozsądniejszym. Wasza matka pyta, czy jesteście gotowe do podwieczorku.

Zdyszane siostry usiadły, nadal chichocząc.

- Naturalnie, panno Giles - odpowiedziała Grace, która po raz pierwszy od dłuższego czasu była naprawdę wesoła. - Czy byłaby pani tak uprzejma i wyjęła dla nas z kufra dwie suknie? Wie pani, jak nasza mama zareaguje, gdy zjawimy się na podwieczorku w strojach podróżnych.

Kręcąc głową, guwernantka podeszła do skrzyni i zaczęła ją przekopywać w poszukiwaniu odpowiednich strojów.

Grace nie zmrużyła oka przez całą noc, bo przez otwarte okno wdzierało się do pokoju mnóstwo nowych, nieznanych dźwięków. Nie można go było zamknąć z powodu upału, zwłaszcza że nocne powietrze przynosiło odrobinę ochłody. Do jej uszu docierały więc śpiew ptaków, nawoływania małą oraz szelest liści i traw.

Przewracając się w nieskończoność z boku na bok, położyła się w końcu na plecach i szeroko otwartymi oczami spoglądała na zasłony, które w świetle księżyca wyglądały dziwnie bezbarwnie. Wiatr w dalszym ciągu rozwiewał je niczym welon bajkowej królowej. Czasem błysnął też słabo któryś z haftowanych ornamentów, wyszywanych, jak odkryła wcześniej, częściowo złotą nicią. Kiedy powiedziała o swoim odkryciu siostrze, ta oznajmiła:

- Prawdopodobnie tylko królowa ma podobne zasłony.

Poczuła ochotę, by wstać z łóżka i wyrzucić przez okno. Może w ogrodzie kręcą się teraz jakieś nieznanne zwierzęta. Albo węże. Jadąc tu, nie napotkali



żadnego, za to w mieście widziała jednego w koszu zaklinacza węży. Poczula dreszcz na wspomnienie, jak tamten chłopiec potrafił obłaskawić wściekle syczącą kobrę i przywieść ją do tańca.

Może warto mieć przy sobie taki flet na wypadek spotkania z kobrą?

Znalazszy się przy oknie, przysunęła sobie pufę i usiadła na niej.

Parapet był na tyle nisko, że nawet siedząc, miała doskonały widok na cały ogród. Wprawdzie nikt jej teraz nie widział, mimo to naciągnęła koszulę nocną na odsłonięte kolana i zapatrzyła się w księżyc unoszący się nad koronami drzew niczym olbrzymi świetlik. W Anglii wyglądał

zupełnie inaczej. Zwykle otaczała go poświata zwiastująca deszcz.

Natomiast tutejszy księżyc był żółtej barwy jak gomółka holenderskiego sera, zaś niebo nawet w nocy nie traciło szafirowego odcienia.

Nagle coś ciemnego wleciało ponad drzewa. Z początku Grace myślała, że to ptak, jednak zdawały się temu przeczyć jego zbyt energiczne ruchy. Wtedy uświadomiła sobie, to może być nietoperz!

Owszem, w Tremayne House także widywała je o zmierzchu, ale były co najmniej o połowę mniejsze niż ten. Po jej plecach przeleciał

przyjemny dreszczyk, taki sam jak ten, który się pojawiał, gdy czytała jakieś mroczne historie. Ciekawe, czy te wielkie nietoperze to krwiożercze wampiry? Ba, może to nawet te same latające gryzonie, które w Indiach całymi watahami zwisają z drzew? Postanowiła opowiedzieć o tym rano Victorii. Będzie wniebowzięta i zapewne, ku przerażeniu mamci, zechce jednego schwytać.

Kiedy znów spojrzała na dół, dostrzegła w zaroślach coś białego. Z

początku uznała, że to przywidzenie, jednak później zauważyła, że to coś się rusza. Victoria prawdopodobnie uznałaby, że to duch, jednak Grace wolała zaufać rozsądkowi. Zobaczyła, że to ludzka postać. Ktoś ubrany w białe pludry.

Kiedy światło księżyca padło na jego twarz, otworzyła szeroko oczy.

To mężczyzna! Mężczyzna z obnażonym torse! Mimowolnie wstrzymała oddech. Po raz pierwszy miała przed oczami taki widok.

Policzki spłonęły jej rumieńcem, gdzieś z tyłu głowy usłyszała karcący głos panny Giles, ale mimo to nie mogła oderwać od niego wzroku.

Mężczyzna, który chyba nie zdawał sobie sprawy, że jest obserwowany, trzymał pod pachą jakiś podłużny, owinięty w materiał przedmiot. Wyglądało na to, że skądś wraca.

Grace powoli wypuściła powietrze z płuc i w tym samym momencie jego twarz oświetlił na chwilę blask księżyca. Ciemne wąsy i broda odcinały się wyraźnie od reszty twarzy o skórze zbyt jasnej jak na Tamila i zbyt ciemnej jak na Anglika. Nie ulegało wątpliwości, że to młody pan Vikrama!

Chwilę później znów znalazł się w cieniu, jednak Grace patrzyła na miejsce, gdzie go spostrzegła, jak zaczarowana i z wypiekami na twarzy. Skąd wracał? I dlaczego miał na sobie ten strój

przypominający jej postacie z orientalnych baśni? Dlaczego nie miał na sobie ani butów, ani koszuli? I co trzymał pod pachą?

Kiedy zorientowała się, że podnosi głowę w górę, szybko skryła się za zasłoną. Serce łomotało jej w piersi jak szalone, a oddech wydał jej się okropnie głośny. Na próżno nasłuchiwała kroków. Nawet gdyby jej ciało nie zachowywało się tak nerwowo, i tak nic by nie usłyszała, bo trawa skutecznie tłumiła odgłos bosych stóp. Kiedy znów odważyła się wyjrzeć, Vikrama już zniknął.

Poczuła naraz niepokój. Pragnienie, by wyjść z domu i przekonać się, czy tak ubrany idzie również przez podwórze, było tak ogromne, że zerwała się z miejsca i na palcach wymknęła się z pokoju. W całym domu panowała cisza, nie licząc szumu wiatru wpadającego tu przez szeroko otwarte okna i szczeliny drzwi. Grace przemknęła korytarzem, minęła pokój panny Giles, pochrapującej leciutko przez sen, i dotarła do schodów. Jej wzrok w napięciu przeszukiwał dziedziniec. Czy gdzieś było widać coś białego?

Nie, to tylko studnia, na którą padało światło księżyca. Za nią wznosiła się stajnia, a dalej budynek zarządcy. Czy Vikrama zdążył już przejść? A może wybrał inną drogę?

Grace stała chwilę w oknie holu. Jej serce nadal mocno biło. Zatem jeden z pracowników ojca robi w nocy dziwne rzeczy. Czy powinna mu o tym powiedzieć? Nie, lepiej nie, uznała. A przynajmniej dopóki nie dowie się, o co w tym chodzi.

Kiedy się odwróciła, jej wzrok padł na tańczących bogów. Dopiero teraz spostrzegła, że każdy z nich trzyma w prawej ręce krótki miecz lub sztylet, zaś w drugiej kwiaty. Ich spodnie przypominały te, które miał na sobie Vikrama. Przypomniała sobie wtedy słowa Cahilla. Czy Vikrama wyznawał ten tak zwany hinduizm i akurat tej nocy odbywał

jakiś religijne praktyki? A może dopuszczał się czegoś zabronionego?

W końcu zniknął tak szybko...

Tak bardzo chciałyby dowiedzieć się czegoś więcej. Może zacznie od

tego, że będzie go obserwować w ciągu dnia. Z tym zamiarem wróciła po cichu do pokoju. Rzuciwszy krótkie spojrzenie

przez okno i nie dostrzegłszy tym razem żadnego wędrowca, położyła się znowu do łóżka.

W końcu udało jej się zasnąć, jednak już o świcie zbudziły ją krzyki papug. Nie miała ochoty dłużej leżeć, przeszła więc do kąpika z umywalnią, gdzie zrzuciła z siebie koszulę. Stojąca przez noc woda w dzbanku była przyjemnie letnia. Kiedy zanurzyła dłonie w miednicy, nadleciał motyl i jak gdyby nigdy nic przysiadł na jej brzegu. Grace zastygła w bezruchu, bojąc się, by go nie zmoczyć. Pan Norris twierdził, że to mogłoby być zgubne dla skrzydeł motyli i to dlatego zamykają je zawsze podczas deszczu.

Ten jednak zdawał się wcale nie obawiać wody, otwierając i zamykając swoje błękitno-czarne skrzydła. Wspaniały okaz, jaki chciałby mieć w swojej kolekcji niejedyn botanik, z Victorią włącznie.

Grace nie miała jednak serca jej budzić, skazując tym samym motyla na pewną śmierć.

Polewała przedramiona wodą, obserwując go, dopóki nie zdecydował się odlecieć. Odprowadziła go zafascynowanym spojrzeniem, poruszona dziwnym czarem, jakiego nie spodziewała się zupełnie po tym miejscu.

Zakończywszy poranną toaletę, usiadła przy oknie i zapatrzyła się w mgłę spoczywającą niczym puchowa pierzyna nad herbacianymi krzewami. Światło jutrzeńki nadawało jej delikatny błękitny odcień, którego próżno byłoby szukać w całej Anglii. Żaden bal w Londynie, żadna suknia wieczorowa nie mogły się równać z tym, co teraz odczuwała. Były w niej spokój, wyciszenie i poczucie bezpieczeństwa.

To wszystko, co nawet w rodzinnym domu rzadko było jej udziałem, i co właściwie uważała za nieistotne.

Kiedy mgły ustąpiły promieniom słońca, a Victoria poruszyła się na swoim łóżku, odeszła od okna z mocnym postanowieniem nieopłakiwania więcej niedoszłych uroków życia towarzyskiego, lecz odszukania tutaj całkiem nowych - zwłaszcza w porze świtania.

- Dziś po śniadaniu pójdziemy do ogrodu i zakradniemy się pod okna gabinetu ojca! - oznajmiła swojej zaspanej siostrze, czesząc jej włosy.

- A w jakim celu? - zapytała Victoria bez entuzjazmu. - Wolalabym łapać papugi.

- Ale do tego potrzebujesz siatki.

- Na pewno znajdzie się tu ktoś, kto mi ją sporządzi - powiedziała Victoria, trąc oczy.

- Nawet jak już ją będziesz miała, to i tak jeszcze nie wiesz, gdzie znajdziesz najlepsze okazy.

- Wystarczy, że złapię tę niebieską.

Grace spojrzała badawczo na jej odbicie w lustrze, unosząc przy tym brwi, jak to miał w zwyczaju czynić ojciec, kiedy w coś powątpiewał.

- Naprawdę? A może są też inne papugi? Na przykład fioletowe?

- Nie lubię fioleto - marudziła Victoria. - Inaczej kupiłabym sobie tamten ametyst na Chatham Street - oświadczyła i pokazała ręką na swój rzekomy szafir, który położyła obok oprawionego w ramki wizerunku swojego ukochanego, nieżyjącego pieska Oskara.

- Ale lubisz czerwony i pomarańczowy - nie ustępowała Grace, prawie ukończywszy splatanie warkocza. - Może uda ci się nawet znaleźć jakąś w kolorach tęczy?

- Myślisz, że takie występują? - w oczach Victorii pojawiło się zaciekawienie.

- Na pewno! Pięknie wyglądałyby w woliery z tą niebieską.

- W woliery? Czy papug nie trzyma się w klatkach?

- Owszem, ale w woliery można trzymać ich więcej. No i nie uciekają pomiędzy prętami. - Naraz przyszło jej do głowy coś innego.

Omiał o tym nie zapomniła. - Wiesz, że są tu też wielkie nietoperze.

Pan Norris opowiadał już o nich kiedyś, prawda?

Oczy Victorii zajaśniały.

- Nietoperze! Oczywiście, że o nich mówił. Już dawno! Podobno mieszkają na drzewach, z których spadają na swoje nie-przeczuwające niczego ofiary.

- Czy one aby w dzień nie śpią?

- Oczywiście, że śpią, za to nocą spadają na swoje ofiary. -Mało brakowało, a teatralny gest Victorii przyprawiłby Grace o wybuch śmiechu. - No dobrze, pójdziemy się przejść i będziesz mogła podsłuchać rozmowy w gabinecie papy - oświadczyła w końcu jej młodsza siostra.

- Dziękuję, siostrzyczko, na pewno nie pożałujesz!

Grace z uśmiechem zadowolenia dokończyła pleść warkocz. W gruncie rzeczy mogła iść sama, jednak potrzebowała Victorii jako alibi. Gdyby zostały zauważone, mogłyby udać, że po prostu wybrały się do

ogrodu i tylko przypadkiem znalazły się w miejscu, gdzie ojciec rozmawia z zaproszonym młodym człowiekiem.

Kiedy przypomniła sobie nocne wydarzenia, poczuła w brzuchu osobliwe łaskotanie. Odtwarzała sobie w myślach tę scenę, odkąd się obudziła, i za każdym razem dochodziły coraz to nowe detale.

Wypukłość jego mięśni, muskularne łydki, czarna, rozwichrzona czupryna...

- Dlaczego się czerwienisz? - wyrwała ją z zamyślenia Victoria. -

Czyżbyś myślała o czymś nieprzyzwoitym?

Czasami zdumiewało ją, jak ta mała dobrze ją zna i jak potrafi czytać z jej twarzy.

- Skądże! Oczywiście, że nie! - zaprotestowała Grace, szybko opuszczając wzrok, aby Victoria nie spytała, czy aby przypadkiem nie myśli o jakimś mężczyźnie. - A teraz nie ruszaj się, bo muszę związać warkocz.

Zgodnie z rodzinną tradycją śniadanie zostało podane w jadalni, którą poznały już ubiegłego wieczoru. W swoim pokoju jadały tylko w razie choroby albo po późno zakończonym wieczornym

przyjęciu. Henry Tremayne przywiązywał dużą wagę do celebrowania poranków w rodzinnym gronie, bowiem później przez cały dzień zajęty był pracą i obowiązkami, i w najlepszym wypadku pojawiał się znów w okolicach kolacji.

W przeciwieństwie do wczorajszego dnia, kiedy wewnątrz jadalni wyglądało dość bezosobowo, dziś stół, nakryty błyszczącą zastawą, zdobiły biało-pomarańczowe kwiatowe aranżacje.

- Mamcia zaczęła już urządzać dom po swojemu - zauważyła pogodnie Victoria.

- I, jak się zdaje, kazała Wilkesowi wziąć służące w obroty - dodała Grace.

Kamerdyner jak na wezwanie stanął znienacka tuż za nimi.

- Dzień dobry, panno Grace. Dzień dobry, panno Victorio. Wcześniej panienki wstały. Mam nadzieję, że noc minęła wam dobrze.

- Była trochę niespokojna - odpowiedziała Grace, udając się na swoje miejsce. Pan Wilkes ruszył za nią, by odsunąć jej krzesło. - Ale przy tych temperaturach to nic dziwnego, nieprawdaż?

- Ma panienka w zupełności rację - zgodził się Wilkes, następnie pomógł usiąść Victorii.

- A pan jak spał, Wilkes? - zapytała z pozoru mimochodem jej młodsza

siostra, choć Grace wiedziała, jak uwielbia droczyć się z kamerdynerem. W końcu państwo rzadko interesowali się sprawami osobistymi personelu.

- Znakomicie, Miss Victoria - odpowiedział po chwili, po czym znów zwrócił się do Grace. - Czy mogę już coś panience zaproponować?

- Miałabym ochotę na kakao. Co ty na to, Victorio? Owsianka i tosty smakują wtedy o wiele lepiej.

Victoria klasnęła w ręce.

- O tak, poprosimy o kakao, panie Wilkes. Kamerdyner opuścił jadalnię, wyraźnie zadowolony, że nie musi odpowiadać na kolejne pytania.

Henry Tremayne zjawił się przy stole mocno zaabsorbowany swoimi myślami. Claudia wyglądała na bardzo zmęczoną. Podczas gdy Victoria mieszała swoje kakao, a Grace patrzyła przed siebie w zamyśleniu, zaczęła się uskarżać na spiekotę i okropną duchotę panującą w jej sypialni. Jeżeli tak dalej pójdzie, na pewno jeszcze dziś dostanie ataku migreny.

Śniadanie przygotowane przez tutejszą kucharkę składało się z nieznanych owoców, jakiegoś rodzaju ciasta i jogurtu. Grace i Victoria na próżno rozglądały się za owsianką. Podobnie jak Henry, przeglądający gazetę, o którą ubiegłego wieczoru postarał się Wilkes.

- Richard wprowadził tu dziwne zwyczaje. Trzeba powiedzieć kucharce, że od teraz powinna zacząć uwzględniać nasze przyzwyczajenia.

- A ja uważam, że owoce mango świetnie smakują - mlasnęła Victoria, oczywiście ściągając tym gromiące spojrzenie matki.

- Może miejscowi tak właśnie się żywią, ale my zepsujemy sobie tylko żołądki. Kto wie, co to za owoce.

Grace popatrzyła na siostrę, która tylko przewróciła oczami.

- Ależ mamciu, spróbuj tylko, są słodkie! Poza tym chyba tutejsza służba nie ma zamiaru dybać na nasze życie, prawda?

Claudia prychnęła, jakby za nic w świecie nie zamierzała zmieniać zdania, potem jednak zaryzykowała i skosztowała ciasta.

Po śniadaniu Grace i Victoria poszły do siebie, zanim jeszcze dopadła je panna Giles, która pewnie znów śniła o panu Norrisie. Ponieważ ojciec nie udał się jeszcze do swojego gabinetu, a do planowanego obchodu plantacji zostało trochę czasu, siostry postanowiły zwiedzić nieznaną im zakamarki domu.

- Myślisz, że nas tu nie znajdzie? - wyszeptała Victoria, wciąż oglądając

się za siebie niczym zbiegły szpieg.

- Na pewno nie. Jeszcze nie widziałyśmy tej części domu, a wiesz, że ona jest trochę bojaźliwa.

- No tak, choć myślałam, że robi tak, licząc na silne ramię pana Norrisa.

- Zaufaj mi, tutaj nas nie znajdzie.

„A pan Vikrama zjawi się u papy dopiero za pół godziny”, pomyślała.

Musiała jednak przyznać, że sama czuła się tu dość nieswojo. Pokoje, które zajęli, były świeżo odremontowane i dosyć jasne. Jednak w domu znajdowały się także i takie pomieszczenia, które zachowały swój wygląd z okresu sprzed wypadku stryja Richarda.

- Może spotkamy tu gdzieś ducha stryja - wypaliła szeptem Victoria.

- Nie mów bzdur, duchy nie istnieją! - powiedziała Grace, choć nawet wiatr zdawał się tu szumieć inaczej niż w zamieszkannej części.

Minęły jedne i drugie drzwi, po czym górę wzięła ciekawość. Pchnęły więc ostrożnie kolejne, ciemne i zdobne w intarsje skrzydło. Ich zdumionym oczom ukazał się rodzaj męskiego saloniku. Stojące pod oknem fotele i sofa były przykryte prześcieradłami, podobnie jak dwie okazałe witryny i biurko. Stały tu także stół bilardowy, pianino i wielki globus - jedyny nieprzykryty przedmiot, jakby nadał używano go od czasu do czasu.

- Nie uważasz, że to dziwne, że tu nigdy nie było żadnej kobiety? -

zapytała Victoria, przesuwając dłonią po pianinie, z którego lekko zsunęła się narzuta. - Chyba że coś ci wiadomo na temat jego ożenku.

- Nie dalej jak wczoraj wspominałaś coś o całym haremie -zadrwiła Grace.

- To był tylko żart. Nawet jeśli uchodził za czarną owcę w rodzinie, to chyba nie upadłby tak nisko, prawda?

Grace tylko pokręciła głową, przyglądając się ogromnemu, staremu globusowi, który zdążył już jednak stracić na aktualności, bo Cejlon figurował na nim jeszcze jako holenderska kolonia.

- Pewnie nie spotkał nigdy kobiety, która by mu się spodobała.

Pamiętasz te opowieści papy. Jego brat zawsze był bardzo uparty.

- Może miał kochankę niższego stanu?

Grace odwróciła głowę.

- A ty skąd wiesz o takich sprawach?

- Pomyśl tylko. Dlaczego nie? Przecież wielu mężczyzn zakochuje się w

kobietach niższego stanu.

- Ale nie stryj Richard. Jemu w głowie była tylko praca, a nie rodzina.

- Ale chyba lubił rozrywki - stwierdziła Victoria przemądrzałym tonem i wskazała na wielki, okryty prześcieradłem stół przypominający sarkofag. - Inaczej nie sprawiłby sobie stołu bilardowego.

I zanim Grace zdołała ją powstrzymać, zdjęła z niego pokrowiec. W

Tremayne House taki szatański wynalazek byłby nie do pomyslenia, ponieważ wedle poglądów seniora rodu Tremayne'ow podobne rozrywki uchodziły co najwyżej w pubach albo burdelach. Pomijał

przy tym fakt, że sam chętnie grywał w bilard w swoim klubie.

Victoria z okrzykiem zdumienia przesunęła dłoń po zielonym suknie wyściełającym stół. Sądząc po licznych zadrach, musiał być intensywnie użytkowany. Nigdzie jednak nie było ani marmurowych kul, ani kijów.

- Może zagramy partyjkę i poczujemy, jak to jest być rozpustnikiem! - zaproponowała.

- A czym chcesz grać? - Grace wskazała na pusty stół.

- Kule są pewnie w którejś z szaf. Zaraz ich poszukam.

- Victorio! - upomniała ją siostra, jednak Victoria już zajęła się odsłanianiem mebli. Wiedząc, że jej nie powstrzyma i nie chcąc też ryzykować odwołania obietnicy późniejszego wyjścia do ogrodu, Grace dała za wygraną i podeszła do niedużej komody pod oknem. Na pewno nie było w niej kul. W ogóle tu nie pasowała, jakby przyniesiono ją z innego pokoju. Wskazywałoby na to również to, że nie była przykryta prześcieradłem.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch i wyjrzała przez okno. Z oddali mignęły jej plecy pana Vikramy. Przeszukiwanie komódki musiało zaczekać.

- Chodźmy już - powiedziała, czując, jak ogrania ją fala gorąca.

- Dlaczego? - Victoria wypowiedziała to słowo jak dziecko, które wcale nie chce porzucać ulubionej zabawy.

- Bo przyszedł gość papy. Ten młody człowiek, którego wczoraj poznałyśmy.

- I to jego chcesz podglądać przez okno?

Grace z początku się zachnęła, jednak zaraz przypomniały jej się argumenty, o których pomyślała już w nocy.

- Ciekawe, co ma do powiedzenia. Słyszałaś, jak zaferował się, że opowie papie o uprawie herbaty? Myślę, że my też powinnyśmy się czegoś na ten temat dowiedzieć, bo zabawimy tu trochę.



Victoria uśmiechnęła się szeroko bez słowa, po czym wyszły z pokoju. Uśmiech nie znikł jej z twarzy również wtedy, kiedy postanowiły wyjść drzwiami frontowymi.

- O co chodzi? - zapytała w końcu Grace, poirytowana miną siostry.

- O nic - odparła niewinnie Victoria.

- To co, postradałaś rozum? A może znalazłaś coś strasznego w tamtej szafie?

Victoria zachichotała i przyłożyła dłoń do ust.

- Bez obaw, siostrzyczko, z moim rozumem wszystko w najlepszym porządku. Przypomniała mi się tylko twoja kwaśna mina podczas rejsu i pobytu w hotelu. Za to teraz ćwierkasz jak skowronek i opowiadasz o uprawie herbaty. Wiedziałam, że znajdziesz w swojej nowej ojczyźnie coś, co ci się spodoba.

Grace z całej siły próbowała przybrać obojętny ton.

- Przecież nigdy nie twierdziłam, że mi się ten kraj nie podoba! -

Wyprostowała się i wypięła pierś. - Żałuję tylko, że nie zadebiutuję przed królową.

- Nie martw się. - W oczach Victorii zajaśniały szelmowskie iskierki.

- Już papa zadba o to, aby znaleźć ci jakiegoś majątnego kandydata na męża. Albo wyjdiesz po prostu za tego pana Vikramę, którego imię pozostaje dla wszystkich zagadką.

- Och ty...! - Miała ochotę lekko ją trzepnąć, ale w tym momencie usłyszały stukanie znajomych obcasów.

- Panna Giles! - szepnęła Grace, a wizja całodziennego roz-pakowywania bagaży i przeglądania garderoby natychmiast kazała jej znów sprzymierzyć się z Victorią. - Chodź, zmykajmy do ogrodu, zanim nas zobaczy.

4.

## **Tremayne House, 2008**

*Drogi Mr Green,*

*jadę do Nuwara Eliya i chciałam tylko podzielić się z Panem wiadomością, że chyba jestem na właściwym tropie. Pan Jonathan Singh, bardzo miły naukowiec i pisarz, zaoferował się towarzyszyć mi w drodze do wioski, w której mieszka podobno pewien stary Nadireader potrafiący odcyfrować treść liścia palmowego. Nawet Pan nie wie, jak jestem*

*podeksycytowana! W dodatku udało nam się dowiedzieć, że plantacja należąca niegdyś do moich przodków nadal istnieje. Oczywiście zmieniła już właściciela. Teraz to państwowe przedsiębiorstwo, ale jego pracownicy, z którymi rozmawiałam przez telefon, byli bardzo mili i zgodzili się, abym przejrzała ich stare archiwa. Może znajdę tam jakieś wzmianki o Grace i pozostałych.*

*Wprawdzie nadal nie wiem, co jest tą wielką tajemnicą, ale pobyt tutaj i poszukiwania działają kojąco na moją duszę. Szkoda, że ciocia Emmely tego nie widzi.*

*Mam nadzieję, że u Pana wszystko w porządku. Łączę pozdrowienia  
Diana Wagenbach*

Kamerdyner odetchnął i oparł się na krześle. Wprawdzie tajemnica nadal pozostawała nieodkryta, jednak panna Diana była na właściwej drodze. Odczytanie liścia i pobyt na plantacji z pewnością ją ujawnią.

Przeczytał list raz jeszcze, po czym udał się do kuchni, gdzie postawił czajnik na kuchence, następnie poszedł do gabinetu na parterze. Tam, na biurku, leżała brązowa koperta. Ostatnia wskazówka. Należało ją przekazać w odpowiednim momencie, w przeciwnym razie mogła przynieść więcej szkody niż pożytku. Wyjął z niej ostrożnie fotografię i popatrzył na nią po raz kolejny od czasu wyjazdu panny Diany.

Zdjęcie nic mu nie mówiło, musiał jednak przyznać, że było w nim coś niezwykłego. Po co ktoś sporządził takie pismo? Jaki był zamiar tej osoby?

Na szczęście istniały już nowoczesne metody przekazywania informacji. Zaniósł więc fotografię tak ostrożnie, jakby trzymał tacę z herbatą, do drukarki z wbudowanym skanerem i położył je na szklanej powierzchni urządzenia.

„Ostatnia wskazówka”, przemknęło mu znów przez głowę, kiedy wiązka światła przesuwiała się wzdłuż zdjęcia. Chwilę później ukazało się na monitorze komputera. Czy panna Diana będzie umiała rozwiązać tę zagadkę z przeszłości? I jak to na nią wpłynie?

W końcu odkrycie jakiegokolwiek tajemnicy nigdy nie pozostawia człowieka takim, jakim był wcześniej...

### **Kolombo, 2008**

Starszy, może odrobinę nazbyt ostrożny kierowca prowadził swój minibus jak należy, choć raczej wolno po ceglastej, piaszczystej drodze

przypominającej Dianie trasy w Australii. Z prawej i lewej strony ciągnęły się szpalery palm i bambusów, rosnących niekiedy tak ciasno, że całkowicie ocieniały drogę. Z lekkim zniecierpliwieniem popatrzyła na Jonathana, któremu ani

powolne tempo, ani trąbienie na każdy nadciągający z naprzeciwka pojazd najwyraźniej wcale nie przeszkadzały. Ze stoickim spokojem czytał gazetę, którą miał już przy sobie, kiedy się spotkali. Nie oderwał

się od niej nawet wówczas, gdy omal nie zderzyli się z tuk-tukiem, który zniemacka wyskoczył z bocznej drogi.

- Może trzeba było wziąć innego kierowcę - szepnęła, kiedy już trochę się uspokoiła.

Jonathan opuścił i złożył gazetę. Uśmiechnął się, a w jego oczach pojawiły się iskierki.

- Każdy miejscowy poleci pani starszego kierowcę. Młodszy jeżdżą trochę... energiczniej.

- Żeby nie powiedzieć na złamanie karku. Tak jak ten chłopak przed chwilą? Takich jak on nie brakuje też w Kolombo.

- Tu, za miastem, jeżdżą jeszcze bardziej ryzykownie, bo im się wydaje, że mają więcej miejsca. Tubylcy mówią na to Colombo Driving. Nietrudno się domyślić dlaczego.

- O tak, już się o tym przekonałam. - Diana uczepliła się uchwyty nad głową, który miał uchronić pasażerów przed zderzeniem z drzwiami w trakcie pokonywania ostrych zakrętów.

- Proszę mi wierzyć, pan Gilshan to naprawdę dobry kierowca.

- Ale zanim dotrzemy do wioski, zrobi się ciemno.

- I co z tego?

- Jak to co z tego? - zdziwiła się Diana. - Przecież musi pan pewnie zaraz wracać do Kolombo.

- Owszem, ale nie dziś, ani nie jutro. Na pewno chciałaby pani od razu pojechać na plantację, prawda?

- Tak, ale...

- Wziąłem sobie tydzień urlopu - wpadł jej w słowo Jonathan. - Jako freelancer mogę sobie na to pozwolić.

Diana zaniemówiła i otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

- Co pani na to? Pomyślałem, że w Nuwara Eliya też może przyda się pani pomoc.

- Ale co z pana książką!? A wydawca...? Poza tym w ogóle mnie pan nie zna.

Singh tylko pokręcił głową z uśmiechem.

- Chyba już trochę znam. Nie pamięta pani, jak opowiedziała mi dzieje swojej rodziny? No i obiecałem Michaelowi, że się panią zajmę.

- Wiem.

- Dla mnie jako historyka to wielka frajda szukać z panią kolejnych tropów. Oczywiście przy założeniu, że chce pani mieć mnie za towarzysza.

Diana spuściła oczy z zakłopotaniem.

- Nie wiem tylko, jak się panu odwdziczę. W końcu oferuję mi pan swój wolny czas, który powinno się spędzać raczej z żoną i dziećmi.

- Nie jestem żonaty - odpowiedział poważnie. - Już nie.

- Co się stało? - wyrwało się Dianie, zanim zdążyła się powstrzymać.

- Bardzo przepraszam, nie chciałam być wścibska.

- Nie ma sprawy - odparł Jonathan, jednak jego twarz pozostała pochmurna. - Jak to się mówi, nie ułożyło się nam wspólne życie.

Można oczywiście pomyśleć, że jak na małżeństwo z pięcioletnim stażem to dość dziwne, ale tak właśnie się stało. Ona chciała robić karierę w firmie informatycznej, a ja zamierzałem wykorzystać okazję, by oddać się swojej pasji i poznać lepiej ojczyznę mojego ojca.

Niestety nie dało się tego pogodzić, no i się rozstaliśmy - Ma pan dzieci?

- Córkę. Mieszka z matką w Delhi.

- Widuje się pan z nią czasem?

- Tak, w święta lecę do Delhi i spotykam się z nią. No i podczas wakacji. Ale proszę sobie nie zawracać tym głowy, poświęcam Rani wystarczająco dużo czasu. - Teraz jego twarz odrobinę się rozjaśniła. -

Poza tym rzadko ma się okazję prowadzić badania razem z Angielką z Niemiec. Jest pani jedną z najciekawszych osób, jakie spotkałem w ciągu ostatnich miesięcy. A to już

coś, bo kiedy pracowałem w muzeum, poznałem osobiście nawet prezydenta.

Diana uśmiechnęła się pod nosem. Liczyła po cichu, że Jonathan pojedzie z nią na plantację, ale mimo to była zaskoczona.

Podróż do Ambalangody, już bez kolejnych kolizji, dobiegła wreszcie końca. Kierowca wysadził ich na skraju osady składającej się z rybackich

chatynek i licznych palm. Diana, ciesząc się, że znów ma stały grunt pod nogami, rozejrzała się wokół. Skądś dobiegały dźwięki głośniejszej muzyki zmieszane z nie mniej donośnymi śpiewami.

- Zdaje się, że akurat coś świętują - wyjaśnił Jonathan po chwili. -

Jestem pewien, że znajdziemy tam większość mieszkańców.

- To może przyjeżdżamy nie w porę?

- Wręcz przeciwnie, takie święto zaoszczędzi nam sporo czasu, bo wszyscy są w jednym miejscu. Pewnie nasz Nadireader także. A gdyby jednak pozostał w domu, to będziemy mieli kogo zapytać.

Minąwszy kilka opustoszałych domów, dotarli do źródła głośniejszych dźwięków. Przed jednym z domów zgromadziło się mnóstwo kobiet w sari oraz mężczyzn w tradycyjnych strojach. Nieopodal stała zaparkowana lśniąca limuzyna, nie do końca pasująca do otoczenia.

- O, mamy szczęście! - zakrzyknął Jonathan. - To wesele. Młoda para powinna zaraz udać się na ceremonię Poruwa.

I jak gdyby nigdy nic ruszył między gości. Im zaś jego pojawienie się zdawało się w ogóle nie przeszkadzać. Rozmawiali z nim bez skrępowania, oglądając się od czasu do czasu na Dianę, która stała z boku lekko onieśmielona. W końcu wrócił do niej z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Zaprosili nas na przyjęcie. Chyba powinniśmy tu jakiś czas zostać.

- A co z Nadireaderem?

- Jeśli o niego chodzi, to mamy pecha. A. Vijita trafił parę dni temu do szpitala. W wieku osiemdziesięciu pięciu lat to nic dziwnego.

Na dźwięk słowa „szpital” Dianie przypomniawszy się ciocia Emmely podłączona do tych wszystkich machin podtrzymujących funkcje życiowe.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego.

- Dasmaya, z którym rozmawiałem, twierdzi, że jeszcze stanie na nogi. Ale to może potrwać.

No cóż, to nieco pokrzyżowało jej plany. Poza tym mogło się też zdarzyć, że pan Vijita jednak już nie wróci do domu. Jonathan, widząc rozczarowanie na jej twarzy, powiedział: - Tutaj wierzą, że bogowie zawsze wybierają dla nas jak najlepszy los. Trzymajmy się tego. Ten staruszek uchodzi za świętego. Więc kto jak nie on jest w dobrych układach z bogami?

- A jeżeli on jednak umrze?

- To znajdziemy kogoś innego. Ale moim zdaniem trzeba być dobrej myśli. Tak najlepiej pomożemy panu Vijicie.

Początkowe skrępowanie Diany wobec weselnym gości znikło, jak tylko uroczystość rozkręciła się na dobre. Wtopiła się w tłum otaczający parę młodą, rezydującą na plecionej sofie obsypanej kwiatami, jakby stanowiła część jej rodziny. W pewnym momencie pojawiło się kilku mnichów buddyjskich, wywołując szepty wśród zgromadzonych.

Mężczyźni

w  
pomarańczowych  
szatach,  
odcinających się wyraziście od ich ciemnej karnacji, wachlując się liśćmi  
palmowymi, podeszli do młodej pary, by ją pobłogosławić. W  
podzięcie młodzi małżonkowie umyli im stopy i zaprosili ich do stołu.  
Podczas posiłku Diana nie mogła oderwać od nich oczu. Mnichów  
buddyjskich widziała dotąd tylko na filmach, nigdy na żywo.  
Kiedy zaspokoili głód, rozpoczęli rytualne pieśni, których goście słuchali  
w nabożnym skupieniu, niektórzy siedząc w pozycji  
kwiatu lotosu, której Dianie jeszcze nigdy nie udało się osiągnąć.  
Potem wstali, a jeden z nich powiedział coś, po czym wszyscy  
zgromadzeni zaczęli przed nim klękać, by otrzymać białą opaskę na  
nadgarstek.  
Diana zawahała się. Czy ma prawo do tego błogosławieństwa?  
Przecież nie jest buddystką...  
- Śmiało! - zachęcił ją szeptem Jonathan. - Okaze im pani w ten sposób  
swoją szacunek, nie zawadzi też otrzymać ich błogosławieństwo.  
Uklękła więc przed mnichem i spojrzała na jego twarz poraną tysiącem  
drobnych zmarszczek. Z uśmiechem przesunął jej po czole dłońmi złożonymi  
do modlitwy, a następnie zawiązał jej na nadgarstku białą tasiemkę.  
- To przynosi szczęście - wyszeptał jej do ucha Jonathan, kiedy i sam  
otrzymał podobną. - Myślę, że będziemy go jeszcze potrzebowali w naszych  
poszukiwaniach.  
Diana pokiwała głową, popatrzyła na wstążkę i pomyślała o  
nieznajomym Nadireaderze, od którego wyzdrowienia tak wiele zależało.

## 5.

### Vannattuppucci, 1887

Henry Tremayne czuł się trochę nieswojo, przekraczając próg gabinetu swojego brata. Wciąż unosił się tutaj duch Richarda, a pomieszczenie wyglądało tak, jak gdyby opuścił je tylko na chwilę na obchód plantacji. Przez twarz Henryego przemknął gorzki uśmiech.

Przez wszystkie te lata gardził bratem za to, że porzucił swoje zobowiązania wobec rodziny dla jakiejś ulotnej mrzonki. Teraz jednak, przyglądając się wystrojowi gabinetu, rozkładowi książek i ułożeniu akcesoriów pisarskich na mahoniowym biurku, rozpoznał jego przyzwyczajenia i poczuł niemal ciepłą sympatię do brata. Pamiętał też jednak przyczynę swojego gniewu...

Bo Henry marzył, by zostać naukowcem, chemikiem albo fizykiem.

Tyle że poza nim nie było nikogo, kto zatroszczyłby się o rodzinne dobra, a ojciec zmarł tuż po ukończeniu przez niego studiów w Eton.

Chcąc nie chcąc, musiał przejąć Tremayne House. W chwilach wzburzenia wyobrażał sobie, jak jego brat cieszy się wolnością w dalekich krajach, jak przeżywa przygody, które dla niego są niedostępne, ponieważ musi dźwigać jarzmo przeznaczone właściwie dla Richarda.

Z tych rozmyślań wyrwało go pukanie do drzwi. Spojrzał na zegarek.

Tak, to umówiony gość.

- Proszę! - zawołał, stając za biurkiem.

W drzwiach stanął wyprostowany pan Vikrama i grzecznie skinął głową.

- Dzień dobry, sir. Mam nadzieję, że dobrze pan spał.

- Odpowiem panu to samo, co mówiłem już dziś mojemu kamerdynerowi. Spałem jak niemowlę. - Kiedy podawał dłoń młodemu człowiekowi, usta tamtego rozchyliły się w lekkim uśmiechu. Henry spostrzegł też, że spojrzenie jego gościa skierowane jest w stronę okna, jednak kiedy odwrócił głowę, nie zobaczył tam niczego szczególnego.

- Miło mi to słyszeć, sir - odpowiedział pan Vikrama, którego twarz znów przybrała poważny, oficjalny wyraz. - Niektórzy Europejczycy miewają z



początku problemy z przyzwyczajeniem się do naszego klimatu.

- Mieliśmy na to czas w Kolombo. Po pierwszej nocy byłem tak wymęczony, że usnąłbym nawet przy turbinie okrętu. Proszę, niech pan siada.

Henry wskazał mu krzesło przed swoim biurkiem. Gość usiadł z gibkością, jaką on sam utracił już dawno temu.

- Zatem pełni pan na plantacji funkcję pryncypała.

- Można tak powiedzieć. Tę funkcję zawdzięczam dobroci pańskiego brata.

Henry przyglądał mu się przez chwilę bez słowa. Nie do wiary, że ten zadbany i najwyraźniej niegłupi człowiek jest synem robotnika i Tamilki!

- Od kiedy jest pan na służbie u mojego brata?

- Odkąd skończyłem czternasty rok życia - odpowiedział Vikrama. -

Ale wychowałem się na plantacji. Moja matka pracowała przy zbiorze herbaty. Sir Richard posyłał mnie i inne dzieci do szkoły, abyśmy nauczyli się czytać i pisać. Uważał, że mądrzy pracownicy są pożyteczniejsi od niewykształconych, zwłaszcza w tak delikatnej branży jak uprawa herbaty. Wydaje mi się,

że ten pomysł poddał mu Mr Taylor, od którego otrzymał pierwsze sadzonki.

Henry przypomniał sobie, że nazwisko Jamesa Tylora w istocie przewijało się w jednym z pierwszych listów od Richarda. Wtedy gdy próbował jeszcze uzyskać zrozumienie dla swojej decyzji lub przynajmniej zachować przyjaźń młodszego brata.

Udawał, że go to wcale nie interesuje, jednak tamten list, który przeczytał tylko raz, bardzo zapadł mu w pamięć. Dlatego przypomniał

sobie teraz bez trudu, że ów James Taylor przybył na Cejlon ze skrzynią sadzonek herbaty z Kalkuty, by zrobić konkurencję ówczesnym plantatorom kawy. Los mu sprzyjał, hodowcy kawy przerwali się na uprawę herbaty, a herbaciane plantacje szybko zaczęły się rozrastać.

Dość tych wspomnień! Henry chrząknął i powiedział: - I gdzie zatrudnił owoych wykształconych młodych ludzi?

- Przede wszystkim przy zarządcy. Chyba że któryś z uczniów okazał się niepojętny. - Jakieś dawne wspomnienie wywołało uśmiech na twarzy Vikramy. - Moja matka zawsze zachęcała mnie, żebym był najlepszy. Bo tylko w ten sposób będę mógł do czegoś dojść.

Oczywiście reszta uważała, że to szaleństwo, jednak sir Richard poznał

się na moich zdolnościach i postanowił je wspierać. Tylko dzięki niemu jestem tym, kim jestem. I bardzo mi przykro, że spotkał go taki los.

- Jak nam wszystkim... - Henry splótł dłonie na blacie biurka.

Nieznany rys charakteru brata niepokoił go tak samo jak ten młodzieniec, którego uzdolnienia najwyraźniej przewyższały normalny tok nauczania. - Ale zapewniam pana, że duch mojego brata będzie tu nadal obecny. Czy ta szkoła, o której pan wspominał, jeszcze istnieje?

Vikrama kiwnął głową.

- Tak, sir, prowadzi ją jeden z moich kolegów ze szkolnej ławy i uczy tamilskich chłopców wszystkiego, co powinni wiedzieć.

- A Syngalezów także?

W oczach Vikramy pojawił się cień pogardy.

- Oni wolą trzymać ze swoimi. Żadna z ich rodzin nie chce posyłać dzieci do szkoły.

- No cóż, po świecie muszą chodzić i tacy, którzy wykonują mniej wymagające prace, nieprawdaż? - Henry wstał. - Jestem bardzo ciekaw, co mi pan pokaże podczas obchodu. I mam nadzieję, że nie będzie pan ukrywał przede mną żadnych tajników uprawy.

- Może pan być spokojny. Zrobię wszystko, co w mojej mocy - odrzekł Vikrama i obaj wyszli z gabinetu.

Zdyszana Grace przyłgnęła do ściany. Serce łomotało jej, jakby została przyłapaną na jakimś wstydlwym postępku.

- Postradałaś rozum? - syknęła do siostry. - Założę się, że Vikrama nas widział.

- Wtedy na pewno powiedziałby o tym papie, a ten wyrżałby przez okno!  
- odpowiedziała Victoria. - Powinnaś wykazać trochę więcej odwagi. W końcu to był twój pomysł, żeby się tu zakraść.

Grace już miała jej coś odpowiedzieć, kiedy na zwirowej ścieżce rozległy się czyjeś kroki.

- Idą!

Szybko się podniosły i pomknęły za kwitnący na biało rododendron, zza którego mogły obserwować ojca i jego podwładnego. Ci zaś, nie rozglądając się na boki, zdążali właśnie do sąsiedniego budynku, w którym mieściła się administracja plantacji. Ten punkt programu nie zapowiadał się jako szczególnie interesujący, więc Grace postanowiła, że odczekają tu jeszcze chwilę i trochę ochłoną.

- Może powinniśmy przebiec do szop na herbatę - rzuciła podekscytowana Victoria. - Tam pewnie udadzą się w następnej kolejności.

- A nie uważasz, że tamtejszych ludzi zdziwi nasz niby przypadkowy spacer?

- Nie mniej niż to, że skradamy się w ślad za własnym ojcem.

Zmykajmy, zanim ogrodnik nas tu nakryje.

Rzeczywiście ciemnoskóry mężczyzna zajmujący się ogrodem stał niedaleko i zabrał się właśnie za strzyżenie żywopłotu. Miarowe zgrzytanie nożyc docierało do ich uszu, kiedy tylko papugi na drzewach cichły na krótki moment.

- No dobrze, chodź.

Grace podniosła się i strzepnąwszy z mankietu jakiś zabłąkany listek, poprawiła spódnice. Razem z siostrą, za rękę, ruszyły ścieżką, jak gdyby wybrały się właśnie na spacer. Minęły po drodze paru mężczyzn ze spuszczoneymi głowami, a jakaś kobieta z pustym koszem na głowie posłała im uśmiech. Kiedy znalazły się przy szopach, do ich nozdrzy dotarł zniewalający zapach. W porównaniu z nim to, co ulatniało się z kuchennych puszek na herbatę, było zaledwie nikłym wspomnieniem prawdziwego aromatu herbaty. Herbaciane listki, na różnych etapach wędnięcia, leżały na stelażach lub były usypane w kupki. Jedne były jeszcze całkiem świeże i pachniały niczym zioła, inne, spoczywające na stelażach, miały jasnobrazową barwę, a niektóre były już całkiem ciemne albo wręcz rdzawe. Obok szop stały stoły, gdzie siedzące przy nich kobiety skręcały mocniej przywiedłe listki w maleńkie ruloniki.

Na dalsze wrażenia siostry musiały jednak zaczekać.

- Idą! - szepnęła Victoria obserwująca bacznie budynek administracji.

Ukryły się więc za szopą, gdzie piętrzyło się kilka pustych koszy na herbatę.

Kobiety skupione na swojej pracy, nawet jeżeli zauważyły ich obecność, to nie dały tego po sobie poznać. Nie oderwały się od swojego zajęcia również na widok swojego nowego chlebodawcy i nadzorcy.

- A oto szopy, gdzie wszystko wykonuje się jeszcze ręcznie, tak jak w Chinach - pośpieszył z wyjaśnieniem Vikrama, podczas gdy Henry Tremayne przyglądał się budynekcom przykrytym bananowymi lub palmowymi liśćmi. - Kiedy herbata osiągnie właściwy stopień zwiędnięcia, trafia do suszarni. Nasz mistrz

pan A. Soresh jest niedościgniony w rozpoznawaniu tego odpowiedniego stopnia. Jak dotąd każdy rocznik herbaty, jaki pochodził z tej plantacji, był naprawdę znakomity.

Henry nie odpowiedział, rozglądając się nadal dokoła, jakby znalazł się nagle w zupełnie innym świecie.

- Chyba zrobił na nim wrażenie - szepnęła Grace. - Papa rzadko traci mowę.

- Bo on rzeczywiście robi wrażenie - mrugnęła okiem Victoria. - Szkoda tylko, że jestem dla niego za młoda.

- Chciałabyś wyjść za tubylca? Mamcia dostałaby ataku serca!

- Nie zapominaj, że pan Vikrama jest w połowie Anglikiem.

Czytałam, że mieszkańcy cieszą się tutaj dużym poważaniem. Tworzą nawet osobną kastę.

- Kastę? - zdziwiła się Grace, jednak zanim Victoria mogła jej odpowiedzieć, ojciec i Vikrama ruszyli w dalszą drogę.

Kiedy już nieco się oddalili, dziewczęta okrążyły szopę i przemknęły w pobliże następnego budynku, z którego okien buchało gorące powietrze.

- Pański brat zaczął niedawno wprowadzać także maszynową obróbkę herbaty - kontynuował Vikrama. - Jakość jest wprawdzie nieco niższa niż przy obróbce ręcznej, ale za to produkcja jest wtedy wyższa, a cena korzystniejsza, co jest mile widziane wśród klientów z nieco mniej zasobnym portfelem.

Z kolejnego budynku, do którego przeszli, dobiegały odgłosy jakiejś maszyny. Siostry nie odważyły się jednak zajrzeć przez okno do wnętrza, gdzie ojciec i Vikrama spędzili dłuższą chwilę. A przy tym grube ściany z gliny tłumyły głos młodzieńca objaśniającego funkcjonowanie maszyny i do ich uszu docierały zaledwie strzępki rozmowy, z których nie udało się niczego dowiedzieć.

Gdy zwiedzili już wszystkie budynki, mężczyźni udali się w stronę zagajnika, przez który wiodła ścieżka wykładana drewnianymi balami.

Siostry ruszyły ich śladem, oczywiście w sporej odległości. Po chwili ich oczom ukazała się osada, gdzie

pośród drewnianych chat krytych palmowymi liśćmi biegały dzieci i psy.

- Tu chyba mieszkają nasi robotnicy - Victoria wyciągnęła szyję z zaciekawieniem, na co Grace pociągnęła ją na dół.

- Jeszcze nas zobaczą!

- Bez obaw. Vikrama rozmawia właśnie z jakimś staruszkiem.

Zwróciłaś już uwagę, że tutejsi mężczyźni noszą spódnice?

- To są sarongi - pouczyła ją Grace.

- Skąd wiesz? - zdziwiła się Victoria. Wszak jej starsza siostra zdawała się w ostatnim czasie interesować wyłącznie balami i podwieczorkami.

- Słyszałam, jak ktoś mówił o tym w hotelu. Kobięcy strój nazywany jest sari.

Victorii postanowiła zaszokować siostrę: - Może my także powinniśmy nosić sari? Sądząc po odkrytych brzuchach, raczej nie noszą gorsetów.

- Vic... - Grace przyłożyła sobie dłoń do ust i spojrzała na siostrę, na której twarzy igrał uśmiezek triumfu. Wygrała. - Chyba nie mówisz poważnie! Te suknie są okropnie nieprzyzwoite. Mamcia...

- ... dostałaby migreny. To oczywiste - dokończyła za nią Victoria. -

Ale nie uważasz, że przy tym upale gorsety wydają się jeszcze ciaśniejsze?

Grace nie odpowiedziała. Odważyła się nieco bardziej wychylić, a w tej samej chwili Vikrama wybuchnął śmiechem. Odchylił głowę i roześmiał się tak serdecznie, że nawet ich nad wyraz powściągliwy ojciec uległ jego radości. Uśmiechnęła się również Grace. Ciekawe, co ich tak rozbawiło. Nie trwało to jednak długo. Mężczyźni pożegnali się z mieszkańcami osady i ruszyli w drogę powrotną.

- Uciekajmy! - szepnęła do siostry i czmychnęły czym prędzej w zarośla.

Dopiero kiedy skryły się za jednym z krzewów, przyszło im do głowy, że ojciec mógł je widzieć. Grace próbowała stłumić

zdyszany oddech, pod jej powiekami wirowały jasne punkciki.

Odzwyczajała się od takich biegów. Kiedy otworzyła oczy, Victoria wyglądała spoza gałęzi na drogę.

- Idą na plantację!

Przez moment zastanawiała się, czy nie zakończyć już tej przygody.

W końcu tylko przy szopach udało im się podsłuchać, o czym ojciec i Vikrama rozmawiają. Wątpiła także, czy dowie się czegoś więcej o samym nadzorcy. Ale Victoria paliła się do dalszej wycieczki, a i ona sama nie chciała stracić twarzy, więc wstała, mówiąc: - W takim razie ruszamy za nimi.

Kolejny etap marszruty trwał nieco dłużej i prowadził w górę schodami zbudowanymi z drewnianych bali. Idący w sporej odległości przed nimi ojciec i Vikrama prowadzili ożywioną rozmowę i Grace żałowała, że wiejący

wiatr nie jest na tyle silny, by donieść do jej uszu choćby jej strzępki. W zamian słyszała jedynie szum drzew, nawet papugi nieco ucichły.

„Jak wysoko leży plantacja?”, zastanawiała się, patrząc na Adams Peak, której wierzchołek, przywodzący na myśl ciasto obsypane cukrem pudrem, dotykał niemal nieboskłonu. Wzdrygnęła się, kiedy rozległ się krzyk jakiegoś ptaka, który krążył nad ich głowami.

Przypominał gryfa. Zatrzymała się też przestraszona, kiedy spostrzegła, że z naprzeciwka zmierza ku nim kilka zbieraczek herbaty, ale Victoria pociągnęła ją dalej.

- Zachowuj się tak, jak gdyby to było normalne, że tu jesteśmy - poradziła starszej siostrze.

Mimo to Grace miała wrażenie, że kobiety patrzą na nie nieco zdziwionym wzrokiem, po tym jak dopiero co minęły dwóch mężczyzn. Omal nie przeoczyła przy tym, jak barwnie się prezentowały. Ich sari były co prawda zrobione z niewyszukanych tkanin, za to uderzały w oczy kolorem płomiennie pomarańczowym, soczystym różem i promienną żółcią. Wobec owych iście papuzich kolorów siostry w swoich kremowych sukienkach przypominały niepozorne kury.

Kiedy je mijaly, kobiety ucichły. Szły w dół, stawiając w skupieniu kolejne kroki i uważając na kosze na głowach. Dopiero gdy znalazły się w pewnej odległości od dziewcząt, znów można było usłyszeć ich egzotyczny dialog. Na dźwięk ich mowy Grace przypomniało się spotkanie w Bibliotece Liści Palmowych. „Sprowadzisz na swoją rodzinę nieszczęście. Ale tylko tak sama odnajdziesz swoje szczęście”.

Te słowa, do których do tej pory nie przywiązywała większej wagi, nagle całkowicie ją obezwładniły.

- Co ci jest?

Kiedy Victoria chwyciła ją za rękaw, i tajemnicze słowa, i jej nagły bezwład gdzieś uleciały.

- Nic - odpowiedziała lekko oszołomiona. - To nic takiego. Chodźmy dalej.

Siostra popatrzyła na nią z powątpiewaniem, jednak Grace ruszyła już w dalszą drogę. Nie pozostawało jej więc nic innego jak podążyć za nią.

Zbieraczki uwijające się między krzewami herbaty przypominały pierwsze pączki róż na wiosnę. Henry Tremayne był pod wrażeniem zielonego przepychu, który teraz stanowił jego własność.

- To największe z trzech pól uprawnych - objaśnił Vikrama, zataczając łuk wyciągniętą ręką. - Tu uprawiamy herbatę, która jest potem skręcana ręcznie. Herbata z dwóch pozostałych pól oraz z tego nowego, które właśnie jest karczowane, jest przeznaczona do obróbki maszynowej. Krzewów jest tam więcej, jednak jakość listków jest niższa z powodu wyższego położenia pól.

Henry przyglądał się młodemu człowiekowi, którego oczy, gdy tylko zaczynał mówić o herbacie, zaczynały błyszczeć, jakby to była jego posiadłość.

- Plantacja chyba wiele dla pana znaczy?

- Odkąd sięgam pamięcią, to mój dom. Nie potrafię sobie wyobrazić piękniejszego miejsca na ziemi. Poza tym plantacja daje moim krajanom pracę i chleb. Trudno jej nie kochać.

Tremayne nic nie odpowiedział. Ten chłopak był naprawdę dobry.

Wręcz niebezpiecznie dobry, gdyby nie szczere oddanie, jakie widać było w jego oczach.

- Proszę mi opowiedzieć o uprawianej tu herbacie - odezwał się w końcu, zanim jeszcze milczenie stało się dla obu kłopotliwe.

Na twarzy Vikramy pojawił się lekki uśmiech.

- Z początku były to sadzonki assamu. Jednak pan Taylor pomógł nam uszlachetnić szczepy i stworzyliśmy własny gatunek, który zdążył już otrzymać swoją nazwę. Cejlon.

- Tak jak wyspa.

- Właśnie. I mogę pana zapewnić, że któregoś dnia przebijemy wszystkie inne gatunki.

Grace i Victoria słuchały objaśnień Vikramy, wstrzymując oddech.

Grace miała ochotę podzielić się z siostrą podziwem dla jego wiedzy, ale podeszły zbyt blisko i nawet szept zdradziłby ojcu ich obecność.

Mężczyźni ruszyli w końcu dalej, a siostry odczekały jeszcze moment i podniosły się, kiedy tamci znaleźli się już w sporej odległości.

-1 co teraz? - zapytała Victoria, strzepując z sukni suche listki.

- Zostaniemy tu jeszcze - postanowiła Grace, bo nie miała ochoty na powrót do dusznych murów. - Mogłybyśmy też popatrzeć na słonie, które karczują las. Co ty na to?

Victoria kiwnęła głową z błyszczącymi oczami. Zaraz jednak naszły ją wątpliwości.

- Mamcia będzie nas szukać. Już prawie południe, a panna Giles pewnie zdążyła jej donieść, że nie może nas znaleźć.

- Później opowiemy jej, gdzie byliśmy. Zresztą może sama na to wpadnie. W końcu już wczoraj mówiłyśmy o słońiach. A może po drodze uda nam się zobaczyć jakieś ładne motyle.

Tym ostatecznie przekonała Victorię. Co prawda wiedziały jedynie, że nowe pole znajduje się wyżej na stoku, mimo to zdecydowanym krokiem ruszyły dalej ścieżką prowadzącą pośród

krzewów herbaty. Tu i ówdzie napotykały zaciekawione spojrzenia zbieraczek, jednak gdy tylko siostry podnosiły wzrok, kobiety wracały do swojego zajęcia.

Po pewnym czasie dotarły do lasu, z którego dochodziły głośnie nawoływania. Teren był tu rzeczywiście bardzo stromy i łatwo można by się w nim zgubić, gdyby nie szeroka, kamienna droga usiana odciskami słoniowych stóp. Na jej skraju piętrzył się stos pni. Były na miejscu.

- Uważaj, gdzie stawiasz nogi - ostrzegła Grace, wpatrując się intensywnie w nierówne podłoże. - Bo inaczej stoczysz się po tym zbocz, a na dole znajdziemy tylko kupkę pogruchotanych kości.

- Ależ to by była zabawa! - odpowiedziała rozbawiona Victoria. -

Zawsze chciałam wiedzieć, jak to jest być toczącą się kostką.

- Kostką? - zdziwiła się Grace, przy czym mało brakowało, a sama potknęłaby się o korzeń wymyty przez deszcz.

- No wiesz, taką do gry, którą podrzuca się w kubku! - uśmiechnęła się jej siostra. - A teraz lepiej sama uważaj, bo to nie ja właśnie się zachwiałam.

Kiedy dotarły do nich czyjeś głosy, przystanęły. Chwilę później ich oczom ukazało się trzech mężczyzn prowadzących słońia. Nie był

udekorowany jak tamte słońie z Kolombo. Łańcuch opasujący jego przednią prawą nogę i trzymany przez jednego z robotników wrzynał

mu się głęboko w skórę. Na ten widok Grace przełknęła ślinę z przerażenia. Czy to dlatego Vikrama nie przyprowadził tu ojca? Nie chciał go szokować tym, jak obchodzi się tu ze zwierzętami wykorzystywanymi do pracy? Victoria także wyglądała na przestraszoną, widząc krwawe rany w szarej skórze zwierzęcia.

- Lepiej stąd chodźmy - powiedziała Grace, biorąc siostrę za rękę. Ta zaś bez protestu pozwoliła poprowadzić się dalej.

Schodząc na dół, nie zamieniły ani słowa. Dotarłszy do plantacji, zdecydowały się wracać inną drogą. „Może napotkamy tu coś, co zatrze



tamto niedobre wrażenie”, pomyślała przygnębiona

Grace. Postanowiła również, że po powrocie porozmawia z ojcem na temat słoni na plantacji.

Wciąż szły w milczeniu. Widziała, że młodsza siostra bardzo przeżyła to, co zobaczyły.

- Wiesz, wstałam dziś bardzo wcześnie - odezwała się w końcu Grace.

- I widziałam przepięknego, błękitnego motyla. Spodobałby ci się.

- To dlaczego mnie nie zbudziłaś? - zapytała Victoria obojętnym tonem, nadal rozpamiętując scenę ze słoniem.

Grace pomyślała, że jest niemądra. Przecież Victoria nie jest już dzieckiem, któremu wystarczy opowiedzieć jakąś miłą historyjkę, by zapomniało o złych przeżyciach.

- Spałaś tak słodko. Zresztą było naprawdę wcześnie. Jestem pewna, że znów przyleci, a wtedy...

Nagle z gęstwiny wyskoczył jeździec na koniu. Victoria krzyknęła z przestraszeniem. Grace, nie zastanawiając się ani chwili, chwyciła ją za nadgarstek. Tylko dzięki temu udało jej się w porę odciągnąć ją na bok, chroniąc przed stratowaniem. Kasztan stanął dęba, a jeździec próbował utrzymać się w siodle. Trwało dobrą chwilę, zanim znów zapanował nad zwierzęciem.

- Do licha, dzieci, co wy tu robicie?!

Mężczyzna, spoglądający na nie oczami pełnymi teraz przestraszenia i gniewu, miał ciemne włosy i brodę. Ubiór i język wskazywały nieodzownie na przedstawiciela angielskiej socjety.

Grace wyprostowała się i poprawiła suknię.

- Proszę wybaczyć, sir. Jesteśmy tu od niedawna i nie spodziewaliśmy się tak ożywionego ruchu na drodze.

Mężczyzna zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Gniew powoli ustępował z jego oblicza.

- Nowi plantatorzy. Tremayne'owie, jak mniemam?

Kiedy skinęła głową, zsiadł z konia i podszedł do niej, nie przestając się jej przyglądać.

- Nazywam się Dean Stockton. Bardzo mi miło panią poznać, panno...

- Grace. Grace Tremayne. A to moja siostra Victoria. Mężczyzna ujął jej dłoń i złożył na niej pocałunek, po czym zwrócił się z uśmiechem w stronę Victorii: - Proszę mi wybaczyć. Prawie pannę stratowałem! Tu na

górze rzadko można się na kogoś natknąć, a ja w dodatku przejąłem już od tutejszych mieszkańców dość karkołomny styl jazdy. Musiałybyście panie zobaczyć, co oni wyprawiają, powożąc.

Grace nie odpowiedziała. W tym mężczyźnie było coś odpychającego. Może zapach? Uśmiech? A może te dziwne błyski w jego oczach.

- Może odprowadzę panienki do domu? - zapytał i uśmiechnął się szeroko. - Jak miałyście okazję się przekonać, w tej okolicy bywa naprawdę niebezpiecznie. A byłoby mi niezmiernie przykro, gdyby coś złego spotkało tak urocze córki mojego nowego sąsiada.

- To bardzo miło z pana strony - powiedziała sztywno Grace. - Nie chcemy jednak pana dłużej zatrzymywać. Zdaje się, że gdzieś pan się śpieszył. A my, skoro znalazłyśmy się na tej drodze, trafimy też jakoś do domu. Do widzenia, panie Stockton.

I wzięwszy siostrę za rękę, pociągnęła ją za sobą. Wciąż jednak czuła na sobie wzrok tamtego mężczyzny, dopóki wreszcie nie wsiadł na konia i nie odjechał. Na szczęście jej obawa, że zechce je minąć, nie sprawdziła się, bo skręcił gdzieś w boczną ścieżkę.

- Dlaczego byłaś dla niego taka niegrzeczna? - zainteresowała się po jakimś czasie Victoria.

- Przecież omal cię nie stratował! - odparła Grace, sadząc wielkie kroki. - A w dodatku zachowywał się tak, jakby to była wyłącznie nasza wina!

- Przecież przeprosił. No i wiedział, że już tu jesteśmy! Kiedy usłyszał nasze nazwisko, zrobił się całkiem miły.

- Jak dla mnie zbyt miły - odpowiedziała Grace z irytacją. Sama właściwie nie do końca wiedziała, skąd się wziął ten gniew. Przecież raczej nie wybuchła nim na widok każdego

nieznajomego. - A poza tym, cóż w tym nadzwyczajnego, że wiedział o naszym przyjeździe. Pewnie wie już o tym cała okolica. Pamiętasz te wille, które mijaliśmy tu po drodze? Ich mieszkańcy tylko czekają na jakieś nowe wydarzenie. Pewnego dnia i nas to czeka. Będziemy się rzucać na każdego nowego przybysza.

**6.**

## **Nuwara Eliya, 2008**

Następnego dnia rano jeden z krewnych pary młodej odwiózł Dianę i Jonathana na stację, z której odchodził pociąg do Nuwara Eliya. Kiedy jego

wagony wyłoniły się spośród gęstych kłębow dymu, były już mocno zatłoczone, jednak pasażerowie zachowywali się nadzwyczaj uprzejmie i nikt się nie skarżył, gdy Jonathan lub Diana stanęli komuś przypadkiem na nodze. A parę stacji dalej zwolniło się nawet kilka miejsc siedzących.

- Nuwara Eliya nazywane jest Małą Anglią - powiedział Jonathan, kiedy pociąg toczył się wzdłuż zielonych wzgórz. -Może się pani domyślić dlaczego.

Diana nie mogła oderwać oczu od widoku za oknem. Gdzieś gdzie pośród zieleni połyskiwał jakiś biały punkt. Punkt, który istniał tam od zaledwie dwóch stuleci.

- To willa w stylu angielskim - odpowiedziała z uśmiechem.

-Tremayne House jest bardzo podobny, za to okolica jest tu o wiele piękniejsza.

- Takich willi jest tu sporo, a już na pewno więcej niż plantacji. Przez pewien okres Anglicy bardzo lubili ten kraj. To całkowite przeciwieństwo ich zimnej ojczyzny. Na dodatek pora monsunowa przypominała im pewnie ich słotny kraj, więc z miejsca czuli się tu jak u siebie. No i w porównaniu z wybrzeżem nie panują tu takie upały.

- Zdaje się, że już pan tu bywał - uśmiechnęła się Diana. Z jego wiedzą mógłby z powodzeniem zostać przewodnikiem.

- Mieszkam tu już jakiś czas, a nic tak nie cieszy miejscowych jak to, kiedy obcy opowiadają z dumą o ich kraju.

- Ale z pana pochodzeniem chyba nie może się pan uznawać za obcego?

- Niemniej jednak mam tylko obywatelstwo angielskie i indyjskie, a obywatelem Sri Lanki nie jestem. Jestem więc tu tak samo obcy jak pani. Choć mam pozwolenie na pobyt. - I popatrzysz przez okno, dodał: - Nie wybrała pani najlepszej pory. Wkrótce zaczną się deszcze monsunowe.

- Ależ ja nie zamierzam tak długo tu zostać. Tylko do chwili, kiedy dowiem się czegoś o mojej rodzinie.

Na twarzy Jonathana pojawił się tajemniczy uśmiech, ale nic nie powiedział. Tymczasem pociąg wtoczył się na stacyjkę u podnóża góry.

- Wysiadamy - powiedział Jonathan, wyławiając jej torbę z przepełnionej siatki na bagaże zwisającej cały czas złowrogo nad ich głowami.

Nie było łatwo precyzyjnie się pomiędzy pozostałymi pasażerami, na szczęście maszyniście nigdzie się nie śpieszyło. Odczekał cierpliwie, aż wszyscy, którzy mieli taki zamiar, wysiedli z pociągu, a wtedy zawiadowca dał sygnał do odjazdu. Podczas gdy pociąg ze swoim niemałym i mocno

rozkodanym ciężarem już się oddalał, Diana i Jonathan opuścili stację i skierowali się na krętą, piaszczystą drogę.

Stojący przy niej drogowskaz informował, że prowadzi do hotelu Hill.

- To jeden z najstarszych tutejszych budynków. Już w czasach kolonialnych prowadzono tam pensjonat dla podróżnych. Myślę, że będzie to dobry punkt wypadowy dla naszych poszukiwań.

- A nie znajdzie się tu też przypadkiem jakiś Nadireader?

- Nie, na pewno nie. Tu odszuka pani wiele angielskich tropów.

Zapewniam, że pan Vijita wyjdzie ze szpitala. Sama pani widziała, jak pięknie udekorowany był jego ołtarzyk. Poza tym nasza medycyna nie odstaje już od światowej, przynajmniej nie w Kolombo. Proszę się więc nie martwić, jak tylko będzie mógł, odczyta pani liść.

„Może należało jednak wybrać się do biblioteki w Kolombo”, pomyślała, ale zaraz przypomniały jej się słowa Jonathana. Tamtejsi Readerzy na pewno nie byłiby zbyt pomocni, gdyby poprosiła o odcyfrowanie przyniesionego przez siebie liścia.

- Proszę się odwrócić! - zawołał Jonathan. Posłuchała i jej oczom ukazał się zapierający dech widok. Zielone wzgórza wtulały się w siebie niczym para kochanków, którzy nie mogą się rozstać.

- Gdzieś w dole musi być stacja kolejowa.

W miejscu, które wskazał, Diana dostrzegła jedynie szyny wijące się pośród wzgórz niczym ciemna żyłka.

- Ten widok przypomina nawet trochę Szkocję - powiedziała z uśmiechem i znów odwróciła się do Jonathana, dostrzegając przy tym, że ten przez cały czas ją obserwuje. Teraz jednak spuścił wzrok zakłopotany.

- Owszem, tyle że zimą temperatura tak tu nie spada.

- Ma pan rację!

Znalazłszy się przed hotelem, Diana miała wrażenie, jakby wróciła do Tremayne House. Budynek był w podobnie opłakanym, a nawet gorszym stanie, bo zdecydowanie zabrakło tu kogoś takiego jak pan Green, kto zatroszczyłby się i o dom, i o ogród. Tutejszy, położony u stóp tarasu ogród musiał niegdyś stanowić prawdziwą ozdobę hotelu.

Ale zdziaczał całkowicie. Za to taras nadal wyglądał tak, jakby w każdym momencie mógł się tu pojawić jegomość w surducie i sztywnym kołnierzyku, by zasiąść gdzieś w cieniu, sącząc gin i paląc dobre indonezyjskie cygaro.

Większość kręcących się tu turystów pochodziła z Azji. Diana rozpoznała

wśród nich Japończyków i jakąś parę z Tajlandii.

Amerykanów poznała po akcencie w trakcie głośno prowadzonej rozmowy. W recepcji zaś, która również nie zmieniła się pewnie od stu pięćdziesięciu lat, powitał ich schludnie ubrany młodzieniec, którego biała koszula kontrastowała z jego oliwkową cerą.

- Czym mogę służyć? - zapytał po angielsku z silnym miejscowym akcentem.

Jonathan zapytał go w jego ojczystym języku o dwa pokoje, na co młody człowiek pośpieszył do staromodnej tablicy na klucze, na której wisiały lekko zaśniedziałe klucze z mosiądzu. Nie było mowy o nowoczesnych kartach magnetycznych czy owych dziwacznych i ciężkich brelokach, które w Niemczech tak trudno później schować do damskiej torebki.

- Mówi, że ma wolne pokoje, ale na dwóch różnych piętrach - szepnęła Jonathan. - Woli pani na górze czy na dole?

- Właściwie wszystko mi jedno - odpowiedziała Diana. Jonathan uśmiechnął się.

- Dobrze, w takim razie dostanie pani pokój na górze. Żeby mieć lepszy widok na tę wspaniałą okolicę.

Kiedy konsjerż wrócił z kluczami, poprosił Jonathana o wpisanie się do książki gości. Następnie zadzwonił dzwonkiem, na co zjawił się chłopak, który miał zaprowadzić Dianę do jej pokoju.

- Spotkamy się na dole za godzinę, OK? - zaproponował Jonathan, zrzucając sobie torbę na ramię.

Diana kiwnęła głową i ruszyła za boyem po wijących się w górę schodach. W pokoju nie było wprawdzie śladu po tak nowoczesnym wystroju jak w hotelu w Kolombo, mimo to jego urok natychmiast bardzo ją ujął. Jak na filmach z sufitu zwieszał się skrzydlaty wentylator, który obracając się leniwie, obserwował przebieg wypadków na dole.

Jonathan nie przesadził ani trochę, mówiąc o czekających na nią wspaniałych widokach. Oświetlone promieniami słońca zielone plantacje herbaty i rozsiane pośród nich wille wyglądały jak żywa fotografia prosto z folderu biura podróży. Ciekawe, czy był

tu kiedyś ze swoją żoną? Zaraz jednak przypomniała sobie, że rozstali się, zanim przyjechał na Sri Lankę.

Po rozpakowaniu torby zrzuciła z siebie ubranie i poszła pod prysznic.

Polewając się letnią wodą, oddała się rozmyślaniom.

Powinna sprawdzić, co w firmie, szeptało jej sumienie. Jednak z drugiej strony paliła ją ciekawość, co takiego znajdzie na plantacji, więc i tak nie mogłaby się skupić na pracy.

Godzinę później, zgodnie z umową, zeszła do holu. Jonathan również skorzystał z prysznicy i teraz pachniał przyjemnie drzewem sandałowym i limonką.

- Pozwoliłem sobie zamówić stolik na tarasie. Zdziwiłbym się, gdyby nie czekała tam już na nas mrożona herbata.

Przez ten czas, który spędzili w swoich pokojach, powietrze na zewnątrz zmieniło się i pachniało teraz letnim deszczem, jaki spada na spragnioną wody przyrodę i błyskawicznie wsiąka w wyschnięte podłoże.

- Obawiam się, że musimy przyspieszyć naszą wyprawę na plantację.

Jeśli się nie mylę, wkrótce nadejdzie pora monsunowa, a wtedy czeka nas miesiąc deszczu.

Właściwie Diana nie miałaby nic przeciwko, by zostać tu na miesiąc.

Zaraz jednak odezwał się rozsądek, przypominając o zawodowych obowiązkach.

- Mam coś dla pani - powiedział Jonathan, kiedy usiedli przy stoliku, i wyjął z kieszeni szarą kopertę.

Diana uniosła brwi ze zdziwieniem.

- Co to takiego?

- Informacje, jakie udało mi się zebrać na temat plantacji. Właściwie mogłem przekazać je pani już wcześniej, ale pomyślałem, że zrobię to tu, na miejscu.

Jej serce przyspieszyło, ręce zaczęły drżeć.

- Dziękuję.

- Muszę przyznać, że dla mnie to przyjemna odmiana w porównaniu z tematem terroryzmu w moim kraju. Akurat tym się zajmuję i wcale nie jest mi do śmiechu.

- Od zamachu na lotnisku minęły trzy lata, prawda? Kiwnął głową.

- Tak, od tego czasu nasze linie lotnicze znajdują się w posiadaniu Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Poza tym rozszerzono i zaostrożono środki bezpieczeństwa. Południe i zachód kraju są wprowadzone wolne od ataków Tygrysów, jednak w żadnym razie nie możemy sobie pozwolić na lekkomyślność.

- Ma pan na myśli Tamilskie Tygrysy? Znów skinął głową.

- Tu nazywamy ich najczęściej Tygrysami. Z organizacji, która miała bronić praw Tamilów, przekształcili się w ugrupowanie terrorystyczne.

Dziś nie cofają się ani przed zamachami, ani przed zabójstwem czy porwaniem.

„To stąd te ostrzeżenia przed terrorystami” przypomniała sobie Diana. Sama jednak, zajęta przygotowaniem do podróży i poszukiwaniem nowych tropów, zignorowała broszurę na ten temat.

- Czy ktoś jeszcze potrafi podać przyczyny tego konfliktu?

- Napięcia istniały już za czasów kolonialnych. Za panowania Anglików Tamilowie, którzy przywędrowali tu z południowych Indii i umieli pisać, byli uprzywilejowani. Zatrudniano ich na posadach administracyjnych i w biurach, zlecano im zarządzanie plantacjami i powierzano pozycje kierownicze w miastach. Z kolei Syngalezów od zawsze wykorzystywano przy najcięższych pracach fizycznych.

Szybko więc zaczęli postrzegać Tamilów jako współników swoich ciemnych. Kiedy zaś czas kolonii się skończył i Anglicy odeszli, Syngalezi, których jest tu przeważająca większość, całą swoją złość skupili na Tamilach. W 1983 roku doszło do krwawego pogromu ludności tamilskiej, a w kolejnych latach próbowano nawet zabronić im posługiwania się swoim językiem. Takie było podłoże narodzin Tamilskich Tygrysów.

Diana jak przez mgłę przypomniała sobie doniesienia w mediach o konfliktach w Indiach Południowych i na Sri Lance.

- W tej części Sri Lanki oba narody znów żyją w przyjaźni. Jednak na północy wciąż jest głośno o utworzeniu odrębnego państwa Tamilów. Rząd długo nie wyrazi na to zgody. Nie, raczej nigdy do tego nie dojdzie.

W trakcie krótkiej pauzy, która nastąpiła po tych słowach, Diana zastanawiała się nad tym, jak głęboko tkwią zadry w obu narodach. I czy w ogóle kiedykolwiek będą one umiały żyć w pokoju.

- Z pańską wiedzą mógłby pan zostać znakomitym dziennikarzem - powiedziała potem.

Jonathan pokiwał głową.

- Pewnie tak. Ale proszę mi wierzyć, jak tylko uporam się z najnowszym projektem, zamierzam wrócić do historii. W końcu to moje wykształcenie. Słyszała pani o królestwie Kandy?

- To gdzieś w pobliżu, prawda? Jonathan przytaknął.

- Tak, to nim zajmę się w następnej kolejności. Wyruszę na poszukiwania śladów dawnych królów i zbadam słynną Świątynię Zęba. Podobno jest tam przechowywany trzonowy ząb samego Buddy - powiedział i uśmiechnął się z rozmarzeniem, jakby nie mógł się już doczekać, by tam wyruszyć. Następnie dodał: -Człowiek potrzebuje czasem jakiejś miłej odmiany.

- Wydaje mi się, że badanie historii od dawna nieistniejącego królestwa to niełatwa sprawa.

- Trzeba wiedzieć, gdzie szukać. No, ale uważam, że Vannattuppucci Tea Company to także ogromna kopalnia wiedzy.

I jak gdyby znał już te materiały na pamięć, wyciągnął spośród nich jakiś prospekt, który oprócz reklamy zawierał też krótką wzmiankę na temat historii plantacji. Wskazał palcem na właściwy fragment tekstu i uśmiechnął się.

- To niemożliwe! - zawołała zdumiona Diana.

- A jednak. Jestem gotów postawić całe swoje honorarium za książkę, że znajdzie tu pani to, czego szuka.

Wieczorem oboje szykowali się do wyprawy w górę na plantację. Nie kursowały tam żadne środki komunikacji. Można było liczyć co najwyżej na słonie, które od niepamiętnych czasów wykorzystywano przy pracach polowych. Jednak Jonathanowi udało się znaleźć w hotelu kogoś, kto zgodził się ich podwieźć.

Na samą myśl, że nareszcie zobaczy miejsce, gdzie żyła jej praprababka, Diana czuła radosne podniecenie. Ciekawe, co tam znajdzie? Czy rzeczywiście jakieś akta przetrwały przez cały ten czas?

Czy raczej natrafi na pustkę? Z zamyślenia wyrwało ją pukanie do drzwi.

- Proszę - powiedziała, podejrzewając, że to ktoś z obsługi.

- O, jest już pani prawie gotowa.

W drzwiach, oparty o framugę, stał Jonathan. Diana wyprostowała się, odgarniając z czoła kosmyk włosów.

- Tak, mam już wszystko, co najpotrzebniejsze. Choć nie wiadomo, czy w ogóle znajdziemy na plantacji coś interesującego.

- Nawet jeżeli tak się nie stanie, to przynajmniej zobaczy pani miejsce, w którym mieszkali pani przodkowie. To ważne, by poznać swoje korzenie.

Diana uśmiechnęła się pod nosem.

- Przydałoby mi się choć trochę pańskiego optymizmu. Jonathan rozpostarł ramiona.



- Wystarczy go dla nas obojga.

Miała wielką ochotę utonąć w jego objęciach, mimo że wiedziała, że jego gest był całkowicie pozbawiony tego rodzaju podtekstów. Zaraz więc przywołała się do porządku. „Jesteś mężatką”, powtarzała sobie.

Nawet jeżeli jej małżeństwo to katastrofa, nie musi zaraz rzucać mu się na szyję. Jonathan też raczej nie spodziewał się, że jakoś zareaguje na jego gest.

- Właściwie przychodzę nie po to, żeby patrzeć, jak się pani pakuje - powiedział tajemniczo. - Odkryłem coś i chciałbym, żeby to pani zobaczyła. Niewykluczone, że przyda się to pani w dalszych poszukiwaniach.  
- Co to takiego?

- Zobaczy pani. Proszę zejść do klubu. Diana uniosła brwi.

- Mogę tam wejść tak po prostu? - Oczywiście żartowała. W dzisiejszych czasach większość męskich salonów stała dla kobiet otworem, a przynajmniej tolerowano tam ich obecność.

- Jasne, zresztą idzie tam pani z mężczyzną! Przydałaby się suknia wieczorowa.

- Suknia wieczorowa? - zdumiała się Diana. - Mówi pan poważnie czy żartuje?

- No cóż, wizyta w klubie zakłada pewną dozę elegancji. Kiedy chciałem tam wejść, zaproponowano mi wypożyczenie krawata.

Zanim zdążyłem odmówić, spostrzegłem tam coś, co chciałbym teraz pani pokazać, więc ostatecznie dałem się na ten krawat namówić.

Popatrzyła na rozpięty kołnierz jego koszuli.

- A gdzie ma go pan teraz?

- Musiałem go niestety oddać. Ale przed wejściem do klubu znów pewnie dostanę ten sam albo inny równie zabawny.

- Dobrze, zaraz przyjdę!

Zamknąwszy drzwi, podeszła do szafy, z której wcześniej wyjęła ubrania podróżne. Zastanawiała się, co też Jonathan odkrył tam na dole. A może to tylko podstęp, by namówić ją na miły wieczór w najstojniejszym męskim klubie w okolicy?

Wybrała w końcu ten sam zestaw, w którym zaprezentowała mu się tamtego wieczoru przed Grand Orientalem, i ruszyła do drzwi.

Jonathan stał oparty o przeciwległą ścianę. Jego spojrzenie przenikało ją na wskroś. Przypomniła sobie pierwsze randki z Philippem. Wtedy myślała

jeszcze, że jest prawdziwą szczęściarą. Uczucie, które już dawno się ulotniło.

- Wiem, że to nie jest strój wieczorowy - powiedziała lekko zakłopotana, choć dobrze wiedziała, że jego spojrzenie nie wyraża bynajmniej niezadowolenia z jej wyglądu. - Ale chyba jednak pozwolą mi wejść do środka?

- Jeżeli pani również włoży krawat, to na pewno nie. Roześmiała się głośno. Uwielbiała ten angielski typ poczucia humoru. Przed klubem rzeczywiście powitał ich ktoś w rodzaju selektonera. Nie przypominał jednak w najmniejszym stopniu owych dobrze zbudowanych indywidualistów stojących przed niemieckimi klubami czy dyskotekami. Uprzejmym, acz stanowczym gestem wskazał Jonathanowi na brak krawata, a przy tym nie dał po sobie poznać, że widzieli się już przed paroma minutami.

Krawaty wiszące w niedużej szafie należały do najokropniejszych, jakie Diana kiedykolwiek widziała. Musiały pochodzić chyba jeszcze z lat siedemdziesiątych albo osiemdziesiątych. Wzory były toporne, a kolory krzykliwe. Mimo to, przynajmniej z tej odległości, wyglądały schludnie i czysto. Można więc było je założyć bez obawy, że człowiek zetknie się z potem poprzednika.

Jonathan, znów wykazując się poczuciem humoru, wybrał najokropniejszy - w żółte i turkusowe pasy, przy czym żółte fragmenty zdobiły dodatkowo różowe romby.

- Nawet gdyby w klubie wybuchła bomba, to nic nie przebije krzykliwości tego krawacika - szepnęła mu Diana, kiedy wchodzili do środka. Tylko z trudem powstrzymywała się od kolejnego wybuchu śmiechu.

- Wiedziałem, że doceni pani mój wyborny gust - oznajmił i poprowadził ją obok członków klubu, mierzających ich niekiedy zdumionym spojrzeniem.

Nie było przy tym do końca wiadomo, czy bardziej razi ich brak sukni u Diany, czy raczej ten uroczy krawat Jonathana, kompletnie niepasujący do jego ubrania. Nikt się jednak nie odezwał, a nawet gdyby, to Diana i tak raczej by nie zareagowała, bo jej wzrok przykuły wiszące na ścianie fotografie. Widnieli na nich członkowie klubu w czasach jego największej świetności. Jonathan wskazał na jedną z nich, na którą i ona zwróciła uwagę.

- Proszę spojrzeć na nazwiska pod zdjęciem.

Fotografia za szkłem przypominała tamto zdjęcie z Grace, tyle że widniejące na niej osoby sfotografowano w zbliżeniu pozwalającym spokojnie rozpoznać ich twarze. Większość ubranych

elegancko mężczyzn spoglądała w obiektyw mocno umęczonym wzrokiem, zapewne dlatego, że w tamtym czasie raczej nie uśmiechano się do zdjęcia, a i samo wykonanie fotografii trwało niemiłosiernie długo.

Diana z drżącym sercem przesunęła wzrokiem po nazwiskach.

Emmerson Walbury, Trent Jennings, Dean Stockton, Henry Tremayne... Odszukała na fotografii mężczyznę czwartego od lewej.

Henry Tremayne miał jasną czuprynę i był wysoki. Najwyraźniej jego córka Grace odziedziczyła kolor włosów właśnie po nim.

- To niemożliwe! - powiedziała.

- A jednak! - odpowiedział Jonathan. - Wygląda na to, że pani przodek też należał do klubu. Zdaje sobie pani sprawę, że członkami klubu mogli zostać wyłącznie najzaciejsi przedstawiciele socjety.

- Domyślam się. W Anglii było podobnie. Zresztą gdziekolwiek jest tak do dziś.

Jonathan dał jej czas, by dobrze przyjrzała się zdjęciu. Następnie zapytał:

- Jak się pani czuje?

Po plecach Diany przebiegł dreszcz.

- Jakbym zajrzała przez jakieś okno w przeszłość - odpowiedziała po chwili. - Ciekawe, czy mogłabym dostać kopię. To jedyna zachowana podobizna mojego praprapradziadka. Nie udało mu się trafić do galerii przodków w Tremayne House.

- Myślę, że tak. Zapytam o to potem portiera. Jest mi winien przysługę za ten uroczy krawat.

- Ależ to pan sam go wybrał! - uśmiechnęła się Diana.

- A widziała pani, jaką miałem alternatywę? Jeden okropniejszy od drugiego! - odwzajemnił uśmiech Jonathan. - Proszę zaczekać, zapytam go teraz. Myślę, że za odpowiednią gratyfikacją przychyli się do naszej prośby.

I zanim jeszcze Diana zdążyła wtrącić, że skoro zamierza tamtego przekupić, to niech weźmie pieniądze od niej, Jonathan był

już za drzwiami. A niespełna dziesięć minut później trzymała już w ręku kserokopię zdjęcia. Za dwadzieścia dolarów portier zgodził się osobiście zdjąć zdjęcie ze ściany i zaniedbując swoje obowiązki przed drzwiami klubu, zrobić jego odbitkę. Zresztą znakomitej jakości.

- Dał mu pan za dużo! - popatrzyła z wyrzutem na Jonathana.

- Tak pani sądzi? A ja myślę, że to dobra cena za kolejny trop.

Przynajmniej wie pani, jak wyglądał pani przodek.

Diana popatrzyła w zamyśleniu na zdjęcie. A więc tak prezentowało się wytworne towarzystwo potentatów handlu i uprawy herbaty.

Zauważyła przy tym, że wewnątrz klubu, nie licząc drobnych renowacji, prawie wcale się nie zmieniło.

„Co takiego zrobiłeś Grace? - zapytała w myślach Henry’ego, przesuając palcami po jego twarzy. - Co sprawiło, że zerwałeś z nią kontakty i ją wydziedziczyłeś...”

Resztę wieczoru spędziła w klubie w towarzystwie Jonathana, nad mrożoną herbatą i przekąskami, składającymi się głównie z miejscowych owoców. Rozważania na temat plantacji i tego, co mogło się tam wydarzyć, zdawały się nie mieć końca. I dopiero kiedy grzecznie zwrócono im uwagę, że klub jest zamykany, przypomniało im się, że trzeba iść spać.

Jonathan, choć nie było to wcale konieczne, odprowadził ją pod drzwi pokoju.

- Nigdy nie wiadomo, czy o tej porze jakiś nieokrzesany gość nie zechce składać pani niemoralnych propozycji - oznajmił, na co Diana z uśmiechem odpowiedziała, że przecież nie żyją w czasach Henryego Tremayne’a. Choć rozglądając się wokół, można było odnieść wrażenie, że czas stanął w miejscu.

Kładąc się do łóżka, usłyszała jeszcze krople deszczu uderzające o szybę. Ich monotony odgłos szybko ją uśpił.

7.

## **Vannattuppucci, 1887**

Nadzieje Grace, że nie będzie już więcej musiała oglądać tego impertynenta Stocktona, zostały pogrzebane już następnego dnia rano.

Podczas śniadania, gdzieś pomiędzy owsianką z miodem i brązowym cukrem a tymi pysznymi bułeczkami, do których zdążyła się już przekonać także Claudia, ojciec oznajmił: - Wczoraj odbyłem jeszcze jedno przyjemne spotkanie. Poznałem mianowicie jednego z naszych sąsiadów o nazwisku Stockton. Jego plantacja sąsiaduje z naszą od zachodniej strony. Wybrał się specjalnie, by ze mną pomówić. To miły gest, prawda?

- Bardzo miły. Czy rozmowa przebiegła ciekawie?

- Owszem, a nawet bardzo przyjemnie. Odnoszę wrażenie, że przesiąkł już nieco tutejszą mentalnością, bo natychmiast zaoferował się przysłać nam kilku swoich robotników do pomocy przy karczowaniu.

„Ciekawe, czy było to przed, czy po spotkaniu z jego córkami?”

Grace splonęła rumieńcem i popatrzyła na Victorię. Siostra uniosła brwi ze zdumienia.

- Powiedział mi również, że miał już przyjemność poznać moje córki - ciągnął dalej Henry. - Nic o tym nie wspominałyście.

Grace chrząknęła.

- Nie sądziłam, że to ważne. On omal nie stratował Victorii, jadąc na swoim koniu.

- I nie przeprosił? - zapytała matka.

„Jak gdyby to było najważniejsze”, pomyślała ze złością Grace. A Victoria? Czy nie należałoby najpierw zapytać, czy jej się nic nie stało?

- Oczywiście, że przeprosił, a my przeprosiny przyjęliśmy - odpowiedziała i wróciła do jedzenia.

- Akurat o tym zajściu w ogóle mi nie wspomniał. Victorio, czy wszystko w porządku?

- Tak, papo. Grace w porę odciągnęła mnie na bok. I potem była na niego bardzo zła, bo zadeptałby mnie na śmierć.

Kiedy Grace spojrzała na nią z wdzięcznością, siostra puściła do niej oko.

- O ho, w takim razie mamy prawdziwą bohaterkę w naszej rodzinie.

- Ależ to nie było żadne bohaterstwo, papo! - zaprotestowała Grace. -

Ja tylko wypełniałam swój obowiązek pilnowania młodszej siostry.

- Co właściwie robiłyście tam na górze? - zapytała Claudia, mierząc córki badawczym spojrzeniem.

- Chciałyśmy zobaczyć, jak słonie karczują las - odezwała się Victoria. - Obiecałeś nam to, papciu.

- Zauważyłyśmy przy okazji, że jeden ze słoni ma się nie najlepiej -

wyrwało się Grace. Zapomniała wspomnieć o tym ojcu poprzedniego wieczoru. - Wydaje mi się, że robotnicy źle traktują zwierzęta.

Koniecznienie powinieneś coś z tym zrobić.

Ojciec spojrzał na nią przeciągle. Grace zreflektowała się, że jej wypowiedź wypadła odrobinę arogancko, choć wcale nie miała takich intencji. Jeżeli naprawdę zależy jej na tym słoniu, powinna być grzeczniejsza i nie ryzykować, że ojciec zignoruje jej prośbę.

Mierziła ją też myśl, że ten Stockton znów będzie się jej przyglądał w tamten nieprzyjemny sposób.

- Zatrosczę się o słońce - powiedział ojciec chłodnym tonem, nadal przyglądając się bacznie córce. - Czy jest jeszcze jakiś inny powód twojego wybuchu?

„Owszem, Stockton”, pomyślała z wściekłością. Na głos powiedziała jednak tylko:

- Źle spałam. To chyba wina powietrza.

- Będziesz musiała się przyzwyczaić. I do reszty także.

- No cóż, byłoby uprzejmie z waszej strony, gdybyście przyjęły pomoc pana Stocktona - Claudia próbowała zmienić temat, zanim rodzinne śniadanie przerodzi się w rodzinną awanturę.

„Pomoc? - spytała ironicznie w myślach Grace. - On pocałował mnie w rękę w bardzo nieprzystojny sposób”. A jego spojrzenia wywoływały w niej odrazę. W dodatku był od niej starszy o co najmniej dwadzieścia lat!

- Wołałam ją odrzucić. Poza tym miałam pod opieką Victorię.

Nie uszło jej uwagi, że matka z ojcem wymienili się spojrzeniami.

Jednak Henry, zamiast ją zbesztać, odstawił tylko filiżankę i powiedział:

- Wygląda na to, że pan Stockton nie przypadł ci do gustu. Mam jednak nadzieję, że to się wkrótce zmieni. Zaprosiłem go do nas dziś po południu na herbatę. Co ty na to, moja duszko?

Perspektywa przyjęcia gości sprawiła, że oczy Claudii zajaśniały nagłym blaskiem.

- Znakomicie! Powinniśmy przy tej okazji zaprosić do nas i jego rodzinę. Pewnie jest żonaty?

- Owszem, ma też syna. Jest trochę starszy od Grace i zajmuje się administrowaniem plantacją.

- W takim razie przekażę mu dziś zaproszenie. Jeśli nie masz nic przeciwko.

- Nie zaszkodzi lepiej poznać sąsiadów - odpowiedział Henry i wrócił do śniadania.

Grace siedziała przez chwilę jak skamieniała, zaraz sobie jednak przypomniała, że dama trzyma emocje w ryzach i nigdy nie powinna ich okazywać. Jeżeli powie coś jeszcze, tylko pogorszy sprawę. A ten podwieczorek to najpewniej kara za jej zachowanie.

Rodzice zaś chyba byli zadowoleni z jej milczenia. Jedynie Victoria dostrzegła jej wzburzenie. Kiedy potem, po śniadaniu wyszły do ogrodu, zapytała:

- Czy to naprawdę takie przykre, że przyjdzie? Przecież nic ci nie zrobił. Chciał być miły. Czasami pierwsze wrażenie bywa mylące.

Poza tym to mamcia będzie z nim konwersować przy herbacie. On pewnie nawet nie zwróci na ciebie uwagi, a podwieczorek prędzej czy później się skończy.

- Masz rację. - Grace spuściła głowę z zakłopotaniem. - Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Czasami mam... to znaczy czasami czuję, że ktoś jest nieszczerzy. Nie uważasz, że on był odrobinę zbyt grzeczny jak na pierwsze spotkanie? I jeszcze ten pocałunek w rękę. A jeszcze chwilę wcześniej wyglądał tak, jakby chciał nas potraktować pejczem.

- Masz rację. Ale papa zareagowałby tak samo, gdyby ktoś wyskoczył mu wprost pod kopyta jego konia. Sama wiesz, jakie zdarzają się wypadki. Pomyśl tylko o stryju Richardzie.

- Ale on spadł z Adams Peak, nie z konia.

- Upadek to upadek! - upierała się Victoria. Potem coś odwróciło jej uwagę. - O, patrz! Pan Vikrama. Może zapytam go, czy nie złapałby dla mnie papugi?

- Powinnaś raczej przerzucić się na łapanie motyli.

- Ale papuga tak pięknie pasowałaby do salonu mamci!

- W takim razie powinnaś zapolować na czerwoną. Panna Giles mówiła wczoraj, że zamówiła czerwony jedwab z Indii.

Kiedy Vikrama spostrzegł, że patrzą w jego kierunku, odwrócił się do nich i pomachał ręką z uśmiechem.

- No i co ci podpowiada twoja intuicja? Grace szybko odwróciła wzrok.

- Co masz na myśli?

- No, co myślisz o tym Vikramie?

- Przecież nie zamieniłam z nim choćby jednego słowa, więc nie potrafię ci jeszcze nic powiedzieć.

- Ale obserwowałyśmy go wczoraj. Mnie wydaje się całkiem miły.

- A mnie się nie wydaje, abyś już umiała to odpowiednio ocenić. -

Dobrze wiedziała, że mała sprzeczka odwiedzie siostrę od tematu Vikramy.

- Że niby ja nie umiem tego ocenić? - zaperzyła się Victoria. - I kto to mówi! W takim razie jesteś równie niedoświadczona co ja!

- Jestem o pięć lat starsza.

- Cztery - sprostowała siostra. - A pan Norris zawsze powtarza, że intuicja

i znajomość ludzkiej duszy nie zależą wcale od wieku. Nawet bardzo młode osoby potrafią wyczuć drugiego człowieka.

- Na pewno tak nie mówił.

- Ale tak uważa. A ja czuję się nad wiek dojrzała. - Victoria zadarła wysoko brodę, ale Grace straciła już ochotę na dalsze przekomarzania.

Patrzyła na Vikramę. Rozmawiały z nim właśnie jakieś dwie kobiety, żywo przy tym gestykułując. Ciekawe, o co chodzi. Z tak dużej odległości nie mogła nic wywnioskować, a nie chciała podchodzić bliżej. Nagle przyszło jej jednak do głowy, że on może mieć żonę lub narzeczoną. Jest przecież w odpowiednim wieku, i wygląda całkiem przystojnie. Pewnie zbieraczki za nim szaleją. W końcu dzięki swojej pozycji musi być niezłą partią.

- Nie śpij, Grace - powiedziała Victoria, uszczypnawszy ją lekko w ramię. Grace popatrzyła na nią przestraszona. Dopiero potem poczuła jej dotyk.

- O co chodzi?

Twarz Victorii rozjaśnił szelmowski uśmiezek.

- Pytałam cię, czy on kiedykolwiek tu dotrze.

- Kto?

- No, pan Norris. Jeżeli nie, to będziemy musiały wyswatać biedną pannę Giles z którymś z miejscowych. Na przykład z panem Vikramą.

Grace próbowała za wszelką cenę ukryć zazdrość.

- Nie sądzę, by była nim zainteresowana. Bądź co bądź to nie Anglik.

Jej wzrok znów powędrował w jego kierunku. Akurat pożegnał się uśmiechem z kobietami i ruszył w kierunku budynku zarządu.

- Nie, to nie jest mężczyzna dla niej.

Po południu Grace wraz z matką i Victorią siedziały w salonie, czekając na przybycie ojca i pana Stocktona. W Londynie uwielbiała, kiedy ktoś składał im wizytę w Tremayne House. Bywali u nich nawet pisarze czy malarze poleceni przez znajomych. Jednak teraz myślała tylko o niewygodnym kołnierzyku swojej różowej popołudniowej sukni i o tym, że czas nagle zaczął się wlec, jak gdyby ktoś rzucił zły urok.

I cóż ten Stockton może mieć do powiedzenia? Grace czuła się poirytowana. Zapewne najpierw będzie głądzić o herbacie, a potem zacznie zadawać wścibskie pytania. Na przykład czy jest już po debiucie. A wtedy na pewno będzie miała ochotę udusić go jego własnym ascotem.

Kiedy na zewnątrz rozległ się odgłos końskich kopyt, wszystkie naraz



odetchnęły. Gość przybył, można zaczynać. Grace rzuciła ukradkowe spojrzenie na zegar. Godzina. Może dwie. Potem sobie pójdzie, a ona będzie mogła napisać do swojej przyjaciółki Elizy Thornton, która teraz pewnie wylewa siódme poty podczas lekcji tańca i już nie może się doczekać otwarcia sezonu.

Kiedy z foyer dobiegł ich głos kamerdynera, popatrzyła na siostrę.

Umówiły się wcześniej, że przez cały czas będą miały Stocktona na oku, a później porównają swoje wrażenia.

Stockton wszedł sam. A gdzie ojciec? Dziewczęta wymieniły zdziwione spojrzenia.

- O, pan Stockton! - zawołała Claudia i wstała, by przywitać się z gościem. - Cieszę się, że mogę pana poznać. Mój mąż sporo mi o panu opowiadał.

- Mam nadzieję, że same dobre rzeczy - odparł z elegancją Stockton, nie zwracając przy tym najmniejszej uwagi na Grace i Victorię. -

Byłoby haniebne, gdybym okazał się niegodny pani towarzystwa.

- Jeżeli moje pierwsze wrażenie mnie nie zawiedzie, sądzę, że nie będzie się pan musiał niczego obawiać - odpowiedziała nieco kokieteryjnie Claudia, po czym przedstawiła córki: - A oto Grace i Victoria.

- Mieliśmy już przyjemność się poznać. - Stockton skłonił się lekko. -

Mam nadzieję, że zapomniały już panny o strachu.

- Oczywiście, panie Stockton! - odezwała się Victoria, patrząc na Grace, która usiłowała się uśmiechnąć.

„Może istotnie źle go oceniłam”, pomyślała. Poza tym nie powinna denerwować mamy.

- Wiemy, że nie miał pan żadnych złych zamiarów - powiedziała i podała mu rękę. Stockton ujął ją z uśmiechem.

- To dobrze. Byłbym niepokieszony, gdybym w jakikolwiek sposób pani uchybił.

- Z całą pewnością tak nie było - wtrąciła się Claudia. - Moja córka jest może nazbyt impulsywna, ale chciała jedynie chronić młodszą siostrę.

- Znakomite zadatki na przyszłą małżonkę - odparł Stockton rozbawiony i z przesadą szyderczo się uklonił..

Całe szczęście wymiana uprzejmości na tym się zakończyła i Claudia poprowadziła gościa do stołu.

- Proszę wybaczyć, jeżeli ciasto nie będzie takie, jakie zwykł pan jadać.

Mój szwagier najwyraźniej zapomniał nauczyć kucharkę piec porządne scones.

- Nie obwiniałbym za to pani szwagra - odpowiedział. - Moja kucharka również bywa oporna. Jest jednak bardzo pracowita, a w gruncie rzeczy to najważniejsze.

Kiedy usiedli, Grace poczuła dziwne napięcie. Stockton, jak na razie, niczym się jej znów nie naraził, jednak wyraźnie coś wisiało w powietrzu. Jak cisza przed burzą. Może to z powodu jego uwagi o przyszłej małżonce? Ale przecież nie miała nic przeciwko zamążpójściu, a i tamten starzec w Kolombo przepowiedział jej małżeństwo...

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia z powodu śmierci szwagra i brata - odezwał się Stockton. - To był dla nas wszystkich ogromny szok. Osobiście nie wierzę też w żadne pogłoski, jakie słychać od czasu do czasu.

Pogłoski? Grace spojrzała najpierw na siostrę, potem na matkę. Ta jednak, jak zwykle, była uosobieniem spokoju i opanowania. Nawet jeżeli jego uwaga zrobiła na niej wrażenie, nie dała tego po sobie poznać. A dobre maniery zabraniały, by pytać o plotki.

Kiedy Claudia zadzwoniła dzwonkiem, w salonie pojawiła się jedna z tamilskich służących, wyznaczona do podawania posiłków. Rani nie była może tak zręczna jak jej angielskie odpowiedniczki, jednak robiła, co mogła, pod surowym okiem chlebowdawczyni. Grace rzuciła ukradkowe spojrzenie na Stocktona i zauważyła, jak przygląda się służącej ubranej w sari.

- Pozwala pani służącym nosić ich tradycyjne stroje? To bardzo postępowe.

Na białych policzkach Claudii zakwitł lekki rumieniec.

- Okazało się, że w domu nie ma ani jednego uniformu dla służących.

Wygląda na to, że już mój szwagier pozwolił służbie pracować w swoich strojach. Jednak najbliższy statek, jaki zawinie do Kolombo, wiezie już odpowiednią odzież.

- Ależ proszę tego nie brać za słowa krytyki - powiedział Stockton, mieszając herbatę i napawając się jej aromatem. - Uważam, że stroje tutejszych kobiet są niezwykle urocze.

Wyglądają w nich niemal tak barwnie jak papugi na drzewach.

Pośród zalewu zieleni dobrze robi kilka barwnych elementów, nieprawdaż?

Kiedy podniósł filiżankę do ust, Grace popatrzyła na matkę. Ciekawe, czy nadal uważa, że jest miły? Bądź co bądź w Anglii uwagi na temat stroju służby były poczytywane za krytykę gospodyni.

- Wyborna herbata - powiedział Stockton. - Muszę z zazdrością przyznać, że ten rocznik przewyższa nawet moje własne zbiory. To *first flush*, prawda?

Claudia spojrzała na niego zdezorientowana.

- Proszę wybaczyć, że nie odpowiem na to pytanie. Jeszcze nie zaznajomiłam się z tajnikami uprawy herbaty.

- Och, to ja proszę o wybaczenie, że wprowadziłam panią w zakłopotanie.

Uprawą herbaty param się już od lat chłopięcych i w rozmowach bezustannie zdarza mi się wtrącać jakieś fachowe zwroty, nie bacząc przy tym, czy ktokolwiek mnie rozumie.

- A co to jest *first flush*, panie Stockton? - zaciekawiła się Victoria.

- Jedna z czterech pór zbioru herbaty. - Stockton zatrzymał spojrzenie na Grace, jak gdyby to od niej spodziewał się tego pytania.

Dziewczyna spuściła nerwowo wzrok, zdążyła jednak jeszcze zauważyć, że się do niej uśmiechnął. - To określenie odnosi się głównie do odmiany darjeeling, jednak i w wypadku assa-mu zwykliśmy rozróżniać pory zbioru. A tu właśnie uprawiamy głównie odmianę assam, choć nazywamy ją cejlon.

Przypomniała sobie objaśnienia Vikramy i uśmiechnęła się, co nie uszło uwagi gościa.

- Ma pani doprawdy uroczą córkę. Jest już po debiucie? Grace nie spodziewała się, że to pytanie padnie tak szybko.

Całe szczęście, że zadał je nie jej, tylko matce. Claudia znów wyglądała na zakłopotaną.

- Nie, niestety nie było już na to czasu. Śmierć szwagra była dla nas wszystkich ogromnym zaskoczeniem. Jednak planujemy

jej debiut w przyszłym roku, kiedy sytuacja tutaj już się nieco unormuje.

- W takim razie już dziś radziłbym poszukać dobrej krawcowej dla młodej damy. Towarzystwo w Nu wara Ełiya jest może niezbyt liczne, ale bardzo ambitne. Wszelako pani córka w pięknej sukni z całą pewnością zawróci w głowie każdemu tutejszemu młodzieńcowi.

- Jest pan bardzo uprzejmy - powiedziała Claudia z wdzięcznością. -

Może pańska małżonka mogłaby mi coś doradzić w sprawie krawcowej.

- Uczyni to z przyjemnością.

Nareszcie odwrócił głowę i Grace mogła odetchnąć z ulgą. Nie oznaczało to jednak, że zmienił temat.

- Może pani córki poznałyby moje dzieci, co pani na to? - zapytał po tym, jak spróbował wypieków. - George ma dwadzieścia lat, a Clara czternaście. Wydaje mi się, że przypadną sobie do gustu.

Wyglądało przy tym na to, że ma na myśli przede wszystkim Grace i swojego syna. W jednej chwili domyśliła się, dlaczego tak się jej przyglądał. Niczym rozplodowej klaczy. Miała ochotę zerwać się i wybiec z salonu. Opanowała się jednak, choć jej pragnienie, by herbatka dobiegła już końca, było teraz jeszcze większe.

- Z przyjemnością! - usłyszała matkę. - Zresztą planuję już skromne przyjęcie powitalne. Aczkolwiek najpierw chciałabym poznać inne panie.

- Wydaje mi się, że wystarczy im wysłać liściki z zaproszeniem.

Zapewniam, że moja małżonka już nie może się doczekać spotkania z panią. W Nuwara Eliya wieści rozchodzą się błyskawicznie. Wszystkie damy gorąco pragną panią poznać.

Natomiast Grace była pewna, że ze sposobu, w jaki na nią patrzył, wynikało, że on sam gorąco pragnął wyswatać ją ze swoim synem.

Zanim jednak zdążył jeszcze coś dodać, w holu rozległy się kroki i chwilę później w drzwiach salonu pojawił się ojciec.

- Dean, jak miło pana widzieć! - powitał gościa serdecznie, zaś Grace z trudem stłumiła westchnienie ulgi. Była przekonana, że teraz Stockton skupi swoją uwagę na jej ojcu i herbacie. Myliła się.

- Proszę mi wybaczyć spóźnienie - powiedział ojciec, siadając. -

Musiałem dopilnować spraw na polu. Moja córka zwróciła mi uwagę na pewne uchybienie.

- Uchybienie?

Wzrok Stocktona znów spoczął na niej, jak gdyby od razu wiedział, o którą z córek chodzi.

- Jeden ze słoni był ranny, a ona obawiała się, że to robotnicy mogli go tak źle potraktować. Okazało się jednak, że zranił się podczas walki z innym samcem. Moi robotnicy postanowili przenieść go w inne miejsce, by uniknąć kolejnych konfliktów.

Henry spojrział na córkę, która natychmiast się zarumieniła. Nie powinna była denerwować się na ojca. Następnym razem wyładuje złość od razu na Stocktonie.

Popołudniowa herbatka przeciągnęła się prawie do wieczora. Grace postanowiła pozbyć się towarzystwa Stocktona, zasłaniając się bólem głowy.

Co prawda nie wracano już w rozmowie ani do tematu zamążpójścia, ani jej debiutu, jednak dopiero kiedy nie była już narażona na jego spojrzenia, mogła nareszcie odetchnąć z ulgą.

Znalazłszy się za drzwiami, kiedy akurat miała zamiar się spacerować, aby oczyścić myśli z widoku pana Stocktona, wpadła prosto w objęcia pana Vikrama, który najwyraźniej zmierzał właśnie do ich domu.

- Przepraszam, panienko - powiedział, kiedy odzyskał równowagę. - Nie chciałem...

- To ja przepraszam, panie Vikrama - odpowiedziała pośpiesznie Grace. - Powinnam bardziej uważać. Omal pana nie przewróciłam.

Przyglądali się sobie przez chwilę w milczeniu, po czym Grace dodała:

- Pan zapewne do mojego ojca. Akurat jest w salonie, razem z panem Stocktonem.

- Och - westchnął tylko i się cofnął. - W takim razie przyjdę później.

- Dlaczego? - zdziwiła się Grace. - Jeżeli to coś ważnego, mój ojciec nie będzie miał panu tego za złe.

- To nic ważnego - odparł Vikrama i spojrzał na nią, jak gdyby już i tak powiedział zbyt wiele. - Omówię to z nim później. To nic pilnego.

Kiedy odwrócił się, by odejść, Grace zatrzymała go.

- Mr Vikrama!

- Tak? - zapytał, a jego oczy nabrały tak ciepłego wyrazu, że natychmiast zapomniała, co chciała mu powiedzieć. A może wcale nie miała mu nic do powiedzenia? Zakłopotana szukała więc w myślach jakichś słów i wreszcie znalazła takie, które nie kazałyby mu sądzić, że postradała zmysły.

- Moja siostra przepada za papugami. Może pokazałby jej pan, jak je złapać?

Na jego twarzy malowało się niedowierzanie pomieszane z zaskoczeniem.

- Oczywiście, że pokażę. Choć muszę zastrzec, że te ptaki zamknięte w klatkach czy wolierach nie są zbyt szczęśliwe. Uwielbiają latać w stadach, a najpiękniejsze z nich stanowią dużo wspanialszy widok dostrzeżone przypadkiem na drzewie niż oglądane w klatce.

Grace poczuła nagle ucisk w gardle. Przypomniała sobie bowiem tę nieszczęśliwą obłąkaną papugę ich znajomej. Chyba rzeczywiście oszalała - z tęsknoty za wolnością.

- Gdyby jednak pani siostra chciała zobaczyć jakąś papugę z bliska, mogę

to zorganizować.

Bała się, że swoją prośbą go obraziła, ale jego ciepły uśmiech rozwiał jej obawy.

- To byłoby nadzwyczaj miłe z pana strony - powiedziała. -Przyznam szczerze, że i ja miałabym ochotę zobaczyć papugi nie tylko od ich spodniej strony. I obiecuję, że natychmiast po naszych oględzinach wypuścimy ją na wolność.

Vikrama skinął głową z uśmiechem i zamierzał odejść, kiedy Grace znów coś się przypomniało.

- A czy mógłby mi pan wyjaśnić, co to są pory zbioru herbaty? Pan Stockton wspomniał coś o jakimś *first flush*.

Jego twarz rozjaśnił teraz ten sam uśmiech, który widziała już, kiedy rozmawiał z ojcem. Czy to możliwe, żeby jeden człowiek uśmiechał się na tak wiele różnych sposobów? Była tak oszołomiona, że prawie nie docierały do niej jego słowa.

- Ma pani trochę czasu? - zapytał. - Może powinniśmy o tym porozmawiać gdzie indziej, a nie tu, przed domem?

- Racja!

Zeszła więc za nim po schodach i ruszyli do ogrodu, w stronę rododendronów, za którymi poprzedniego dnia ukrywała się razem z Victorią.

- A więc chciałaby pani dowiedzieć się więcej na temat herbaty? - zapytał, budząc tym jej zdziwienie.

Kiwnęła jednak głową, w końcu to ona pierwsza zadała pytanie.

- Będę tu mieszkać. Powinnam zatem wiedzieć coś więcej o herbacie, prawda? Tym bardziej że, jeśli moja matka nie urodzi nam brata, to ja któregoś dnia zostanę właścicielką Vannattuppucci.

Przyszło jej do głowy coś jeszcze.

- Właśnie! Co oznacza ta nazwa? - zapytała, zanim Vikrama zdążył się ustosunkować do jej poprzedniej wypowiedzi. - To w pana ojczystym języku, prawda?

Vikrama kiwnął głową twierdząco.

- Vannattuppucci to po tamilsku motyl. Pani stryj zwrócił uwagę, że na plantacji lata wiele pięknych okazów motyli. Nadał jej więc adekwatną nazwę.

- Ja też widziałam tu już motyla. Takiego błękitnego. Był przepiękny. Niestety odleciał tak prędko, jak się pojawił.

- Niektórzy widzą w motylach dusze umarłych. Hindusi uważają, że człowiek może w następnym życiu odrodzić się równie dobrze jako zwierzę. Może to był pani stryj, który chciał się osobiście przekonać, kto sprowadził się na jego plantację.

Grace spodobała się ta wizja, nawet jeśli stryj był dla niej tylko na poły legendarną postacią. Za to w oczach Vikramy dostrzegła wyraz autentycznego żalu. Musiał chyba bardzo szanować swojego chlebodawcę. Zaraz jednak wrócił do rozmowy.

- Myślę, że cieszyłoby go zainteresowanie jego bratanicy dziełem jego życia. Zatem chciałaby się pani dowiedzieć czegoś na temat pór zbioru herbaty?

Kiedy potwierdziła, wyjaśnił jej, że wyróżnia się cztery pory zbioru.

W przypadku *first flush* chodzi o młode listki zbierane tuż po zimie.

*Second flush* to zbiory letnie, które właśnie teraz trwają. Z kolei *rain flush* odbywa się w porze monsunowej, zaś ostatni *autumn flush* to zbiory tuż przed porą zimową.

- Jeżeli pani zechce, będę przy każdym kolejnym etapie zbiorów objaśniał różnice między nimi. Trzeba bowiem wiedzieć, że każdy *flush* daje inną herbatę. *First flush* to herbata jasna i goryczkowa, *second flush* jest łagodniejsza, ale ciemniejsza. Wystarczy uważnie smakować.

Grace chciała właśnie jeszcze coś dodać, jednak słowa uwięzły jej w gardle. W drzwiach wejściowych pojawili się bowiem ojciec i jego gość. Obaj zmierzali w stronę dziedzińca. Stockton rozglądał się przy tym, jakby kogoś szukał. W pewnym momencie jego wzrok powędrował w jej kierunku. Spuściła oczy zawstydzona.

- Co się stało? - zapytał Vikrama.

- Wydaje mi się, że mój ojciec znajdzie teraz dla pana czas. Akurat żegna się z naszym gościem.

W odpowiedzi uniósł brwi ze zdziwieniem. Jednak Grace nie chciała dłużej zostać.

- Muszę już iść. Bardzo dziękuję za wszystkie wyjaśnienia - powiedziała jeszcze, i uniósłszy suknię, ruszyła szybkim krokiem w stronę domu.

Na ustach Deana Stocktona igrał lekki uśmiech, kiedy opuszczał plantację. Ta mała Grace wygląda obiecująco. Dostrzegł to już wtedy,

gdy odciągnęła na bok swoją siostrę, chroniąc ją przed stratowaniem.

Temperamentna i odważna. A przy tym narowista i wyglądająca na zdrową. Znakomity materiał na synową.

I do tego całkowite przeciwieństwo Alice. Bowiem jego delikatna małżonka omal nie umarła w czasie narodzin drugiego dziecka, a dzieci, które sprowadziła na świat, były chorowite i słabe. Georgea bardziej interesowało wypychanie ptaków niż uprawa herbaty. A słabowita Clara cały rok przesiadywała w swoim pokoju. Wcześniej tak mu to nie doskwierało, ale nie jest wieczny. W jego wieku należało już pomyśleć o przyszłości majątku.

Co prawda Grace przybywała z dalekiej Anglii, wyczuł jednak, że spodoba jej się praca na plantacji. Poza tym wyglądało na to, że już teraz potrafi sobie zjednać podwładnych. Po cóż inaczej rozmawiałaby z nadzorcą?

Naraz zaschło mu w gardle. Może ten nędznik czynił jej awanse?

Wizja nagiej dziewczyny w miłosnym uścisku z mężczyzną tak bardzo go podnieciła, że zatrzymał konia. Znalazłszy się z dala od towarzystwa i spojrzeń swojej niemrawej małżonki, mógł oddać się swoim fantazjom, w których widział teraz zarumienioną od pożądania twarz młodej kobiety. Jej jasne loki opadały na ramiona i pierś falującą pod wpływem namiętności. A on leżał pomiędzy jej udami i...

Zdyszany poluzował kołnierzyk. Trzeba się uspokoić. Przed nim kolacja w rodzinnym gronie. Nie może się zdradzić ze swoją pożądlivością. Mimo że ich małżeńskie łóżce już dawno wyziębło, jego żona miała w tej materii szósty zmysł, właściwy wszystkim

kobietom drżącym przed utratą męża. Spojrzawszy w jego oczy, natychmiast odgadłaby, że myślał o innej.

Zaciął konia i spróbował myśleć o czymś innym. Jednak nawet po przekroczeniu bramy własnej posiadłości słodkie usta i błękitne oczy Grace Tremayne nie dawały mu spokoju. Dopilnuje, żeby George się z nią ożenił. Za wszelką cenę.

Następnego dnia przed południem, kiedy Grace z Victorią pod okiem panny Giles zamierzały właśnie wybrać się na spacer, zjawił się pan Vikrama, trzymając w ręku uplecioną z trzciny klatkę, a w niej kraczącą wniebogłosy ognistoczerwoną papugę o zielono-niebieskim ogonie.

- Dzień dobry, moje panie! - skłonił się lekko. - Dotarło do moich uszu, że panna Victoria chciałaby popatrzeć z bliska na papugę. Akurat dziś rano przyleciała do mnie jedna chętna sztuka. Oczywiście pod warunkiem że zaraz potem wypuszczę ją na wolność.



Panna Giles wyglądała tak, jakby zaraz miały ją opaść roje ptasich pasożytów. Za to Victoria nie posiadała się z radości.

- Och, dziękuję, panie Vikrama! Obiecuję, że pośpieszę się z rysowaniem.

- Miss Victoria! - zawołała oburzona panna Giles. - Chyba nie zamierza panienka tego zapchlonego ptaka...

- Papuga jest absolutnie zdrowa i nic nie robi pani podopiecznej, madame - wtrącił się Vikrama, rzucając przy tym wymowne spojrzenie Grace. - Poza tym radziłbym raczej jej nie dotykać. Kontakt z papuzim dziobem bywa bardzo bolesny.

- Dziobnęła już pana kiedyś papuga? - zainteresowała się Victoria, biorąc od niego klatkę.

- Tak, i to nie raz, kiedy byłem dzieckiem. Chcąc schwytać papugę, trzeba to zrobić od tyłu, żeby nie spotkać się z jej dziobem. Jeżeli nie zrobi się jej krzywdy, szansa, że nas nie udziobie, jest większa. Tyle że nigdy nie wiadomo, co może sprawić jej ból.

- Sama nie wiem... - wciąż wahała się guwernantka.

- Panno Giles - włączyła się Grace. - To ja poprosiłam pana Vikramę, aby rozejrzał się za papugą. To bardzo miłe z jego strony i jesteśmy mu bardzo wdzięczne za tę przysługę. Jak inaczej, jeśli nie poprzez obserwację, moja siostra ma się nauczyć botaniki? Niestety wciąż nie ma z nami pana Norrisa...

Na wspomnienie nauczyciela wargi panny Giles wygięły się w podkówkę. Grace z zadowoleniem spostrzegła, że udało jej się zbić guwernantkę z tropu. Kiedy znów odwróciła się do Vikramy, w jego oczach dostrzegła coś, na co jej serce zabiło żywiej.

- Chodź, Victorio, zabierzmy się do rysowania papugi - powiedziała, kładąc dłoń na ramieniu siostry. Zanim się jednak odwróciła, posłała Vikramie uśmiech i przyjrzała się bacznie, czy zrobił on na nim odpowiednie wrażenie.

**8.**

## **Hills Club Hotel, maj 2008**

Deszcz mocno pokrzyżował Dianie plany. Przez kolejne dni lało jak z cebra. Wyjazd na plantację był więc niemożliwy. Nie dlatego, że nie było

nikogo, kto by ich zawiózł, lecz z powodu tutejszego stylu jazdy, który teraz wydawał jej się jeszcze bardziej ryzykowny.

- Zdarza się, że pora monsunowa kończy się trochę wcześniej? -

zapytała Jonathana przy śniadaniu. - Jeszcze w pociągu mówił pan, że to nie potrwa długo.

- Bywa i tak. Ale nie sądzę, żeby to był już deszcz monsunowy.

Niewykluczone, że za kilka dni będziemy jeszcze mogli pojechać na plantację.

Diana kiwnęła głową odrobinę rozczarowana. Tak bardzo liczyła, że już wkrótce tajemnica się wyjaśni. Tymczasem wszystko, co na razie na ten temat zgromadziła, to jakieś urywki, no i ten liść, którego nadal nie udało się odczytać. Spoglądając z okna na zieloną okolicę i ciężkie chmury, odrzuciła po raz kolejny niesprawdzone domysły. Nie zamierzała pochopnie osądzać swoich przodków. Niech przemówią fakty. Dopiero później puści wodze fantazji, by zapełnić ewentualne luki.

Zamierzała właśnie poszukać Jonathana i zejść z nim na kolację, wcześniej jednak włączyła jeszcze na chwilę komputer, by przejrzeć pocztę. Internet w hotelu działał dość wolno, trwało więc całe wieki, zanim ściągnęła wszystkie e-maile. „Ciesz się, że w ogóle działa”, zganiała się w myślach.

Mając wreszcie przed oczami całą listę, westchnęła. To, że Eva informowała ją na bieżąco o wszystkim, co działo się w pracy, uznała za miłe. Natomiast mniej przyjemne były aż trzy wiadomości od Philippa. Wszystkie bez nagłówka, jak gdyby miał nadzieję, że dzięki temu Diana łatwiej zdecyduje się na ich przeczytanie. Stłumiła chęć ich wykasowania. Przejrzy je później. Może będzie w nich coś o rozwodzie?

Z kolei e-mail od pana Greena zapowiadał się dużo sympatyczniej.

Kamerdyner zdał najpierw krótką relację z bieżących wydarzeń w Tremayne House i poinformował, że musiał sprowadzić fachowca, bo zawalił się fragment rynny w głównym budynku. Następnie poprosił, by zajrzała do załącznika i uważnie obejrzała jego zawartość. Znalazła w nim plik zdjęciowy pod nazwą IMG7635489. Czyżby pan Green przesłał jej fotografię nowej rynny?

Jęknęła na widok objętości pliku. Jak przy tej prędkości otworzy dokument liczący pięć megabajtów? Może lepiej zapisać wiadomość i otworzyć ją dopiero po powrocie do Kolombo? Tylko czy aby na pewno pan Green robiłby sobie tyle zachodu z powodu rynny?

Ciekawość zwyciężyła. „Zejdę na kolację, a w tym czasie niech plik się otwiera”, postanowiła. Jak wróci, zdjęcie powinno już być w komputerze. Przycisnęła więc odpowiedni klawisz, po czym wstała i zeszła na dół.

W czasie kolacji rozmawiali o kolejnych rządach kolonialnych na tych terenach oraz o Tamilach.

- Jeśli zostanie nam trochę czasu, powinniśmy koniecznie odwiedzić pewną świątynię w górach - zaproponował Jonathan. - Hindusi urządają swoje świątynie z wielkim przepychem, nawet

jeśli sami nie mają środków do życia. Bogowie są dla nich bardzo ważni.

Jedną z takich świątyń Diana widziała wcześniej na zdjęciu w przewodniku po tej okolicy. Spodobał jej się pomysł, by stanąć przed jej wejściem, dotknąć jej barwnych ścian i poczuć zapach kwiatów składanych w ofierze.

- Byłoby cudownie! Zna pan tutejsze świątynie?

- Jedna znajduje się niedaleko Vannattuppucci. A dwie kolejne w najbliższej okolicy. Jak tylko deszcz ustanie, nie powinniśmy mieć problemu z dotarciem do nich. Jednak - sięgnął po szklankę z wystygłą herbatą - w pierwszej kolejności trzeba zająć się pani rodzinną historią.

- Być może historia mojej rodziny splata się z hinduizmem bardziej, niż mi się wydaje - westchnęła Diana. - Gdybym choć trochę więcej wiedziała. Tymczasem wszystko, czym dysponuję, to przypuszczenia i ogólniki niemające żadnego związku z tą tajemnicą.

- Taka już chyba natura tajemnic - wymamrotał pod nosem zamyślony Jonathan, a w jego oczach pojawił się ten sam smutek, z którym wspominał wcześniej o swojej byłej żonie. Czyżby i on miał jakąś tajemnicę?

Przyglądając się swojemu towarzyszowi, Diana zapragnęła nagle dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Wzmianka o nieudanym małżeństwie i dziecku wystarczyłaby jej zapewne, gdyby ich znajomość okazała się przelotna. Jednak w trakcie ich spotkań dostrzegła w nim tak wiele rozmaitych cech, że teraz bardzo chciała wiedzieć, skąd się wzięły. Poza tym za każdym razem, gdy tylko czas pozwalał jej na dłuższe wpatrywanie się w jego oczy, ogarniało ją pragnienie, by go przytulić i pocałować - i przeżyć z nim w łóżku to, czego już dawno nie zaznała ze strony Philipa.

Resztę wieczoru spędzili na kreśleniu na serwetce czegoś w rodzaju mapy mentalnej. Zgromadzili na niej wszystkie poznane szczegóły i uzupełnili je o wiadomości ogólne. Wówczas przed

oczami Diany pojawił się przynajmniej przybliżony obraz życia jej przodków. Wyglądało na to, że samą tajemnicę uda się być może odkryć właśnie na miejscu zdarzeń.

Wracając do pokoju, Diana wyciągnęła z torebki prospekt plantacji i zgięła go w ten sposób, by widzieć numer telefonu. Jutro jest poniedziałek, a więc zostanie tam kogoś, z kim będzie mogła umówić się na spotkanie. Oczywiście o ile przestanie padać.

Znalazłszy się w pokoju, nie pamiętała już o zdjęciu w komputerze.

Dopiero kiedy wygaszacz ekranu zamigotał kolejną grafiką, znów sobie o nim przypomniała. Według wyświetlającej się informacji plik był całkowicie ściągnięty. Kliknęła w odpowiednią ikonę, a wtedy na ekranie pojawiły się szaro-białe obszary przypominające nieco fotografię z Grace przed plantacją. Potem jednak obraz nabrał ostrości i jej oczom ukazał się krajobraz niemający nic wspólnego ze Sri Lanką.

Po obramowaniu i w miarę dobrym stanie zdjęcia można było wnioskować, że zrobiono je w Europie, mniej więcej w latach sześćdziesiątych. Diana ze zdziwieniem spostrzegła, że był na nim cmentarz. Cmentarz, w którego centralnym miejscu znajdował się nagrobny krzyż górujący nad pozostałymi.

Już następnego dnia okazało się, że Jonathan miał rację, twierdząc, że pora monsunowa jeszcze nie nadeszła. Chmury przerzedziły się na tyle, że udało się przez nie przebić słonecznym promieniom.

Połykujące na liściach krople przypomniały Dianie bajkę o księżniczce, która zapragnęła mieć diadem z kropli rosy, bo woda mieniła się tym samym blaskiem co kamienie szlachetne. Opowiadała jej ją czasem Emmely, a kiedy pan Green spryskiwał trawnik, wędrowała przez ogród, wyobrażając sobie, że kroczy pośród klejnotów.

„Och, Emmely - pomyślała, patrząc na biurko. - Dlaczego nie zostawiłaś mi bardziej jednoznacznych wskazówek...”

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, chowała właśnie wszystkie swoje tropy do foliowej torebki, by w ten sposób uchronić je przed następnymi opadami deszczu. Coś jej mówiło, że powinna je ze sobą zabrać. Kto wie, może będą pasować do tego, co znajdzie na plantacji...

- Proszę! - zawołała, po czym w drzwiach stanął Jonathan. Miał na sobie strój nadający się do podróży, a przez ramię przerzucił niewielką torbę.

- I jak, spróbujemy szczęścia?

- Oczywiście! - odpowiedziała. - Jeżeli będziemy zwlekać, nic z tego nie wyjdzie. Za pięć dni mam samolot. Zostało więc mało czasu. Poza tym dzwoniłam już rano na plantację. Sekretarka powiedziała mi, że dobrze się składa, bo akurat na miejscu jest dyrektor i będzie mógł mi wszystko pokazać.

Jonathanowi udało się załatwić jeepa, dzięki czemu nie będą musieli wędrować pieszo przez dżunglę.

- To znaczy, że nie żartował pan, mówiąc wcześniej o pieszej wyprawie?  
- zapytała podejrzliwie.

- No cóż, to piękna droga - odpowiedział. - A wycieczka przez las także bywa urokliwa. Jednak przy obecnych warunkach pogodowych będzie rozsądniej, jeśli pojedziemy autem. Poza tym lepiej uniknąć spotkania z wargaczami. Te niedźwiadki bywają niebezpieczne, kiedy ktoś je przestraszy.

Zanim Diana zdążyła cokolwiek dodać, podjechał jeep z szoferem i mogli wyruszyć w podróż po wyboistej drodze. Silnik pracował tak głośno, że uniemożliwiał jakąkolwiek rozmowę. W dodatku przez cały czas obawiała się, żeby nie wypadli z drogi albo nie ugrzęźli w błocie.

Pewnie na pomoc musieliby czekać całą wieczność.

Jonathan siedział ze spokojną, wręcz zamyśloną miną. Miała jednak wrażenie, że to raczej maska i że nie chciał jej dodatkowo niepokoić własnymi obawami.

Wyczerpawszy w myślach wszystkie potencjalne warianty tragicznego wypadku, poddała się w końcu kołysaniu samochodu

i wróciła myślami do tego dziwnego zdjęcia przysłanego przez pana Greena. Jakiś zapomniany cmentarz, a na nim ogromny krzyż. Po co przysłał jej tę fotografię? Do tej pory nie zastanawiała się nad tym, jaki miał w tym cel i gdzie odnalazł to zdjęcie. Postanowiła, że zajmie się tym po powrocie z plantacji.

9.

## **Vannattuppucci, 1887**

Uskrzydłona obserwowaniem papugi Victoria biegła teraz wszędzie z blokiem rysunkowym, uwieczniając na nim wszystkie swoje wrażenia. A napotkane stworzenia, jak gdyby wyczuwając, że nic im z jej strony nie grozi, nie unikały konfrontacji i już wkrótce mogła się pochwalić okazałym zbiorem rysunków papug, motyli i innych owadów. Wyjątek stanowił jedynie

nietoperz.

- Mogłabyś zapytać pana Vikramę, czy nie znalazłby mi nietoperza? - zapytała siostrę po kolejnym zakończonym niepowodzeniem poszukiwaniu.

Grace wzdrygnęła się, czując, jak już na samo wspomnienie jego imienia cała się rumieni. Nie bardzo wiedziała, dlaczego, kiedy widziała nadzorcę, ogarniało ją nieznane dotąd podenerwowanie, którego nie potrafiła też niczym wyjaśnić. On traktował ją przecież grzecznie i z uprzejmością, a przy tym nie nadskakiwał jej jak ten Stockton. A jednak za każdym razem, gdy go spotykała, czuła, że albo jest nieodpowiednio ubrana, albo ma nie taką jak trzeba fryzurę, lub też zachowuje się jak dziecko. Co to znaczy?

Kiedy wreszcie dojechał pan Norris, skończyły się niestety ich wspólne przedpołudniowe spacerunki. Victoria musiała odtąd chodzić na lekcje, a Grace była skazana na pannę Giles, z którą miała się zająć przeglądem sukien, bo niektóre źle zniosły podróż. Znużona cerowaniem zakradała się niekiedy do pokoju, gdzie odbywały się lekcje, a pan Norris opowiadał o miejscowej faunie i florze, choć właściwie miał o niej raczej mgliste pojęcie. Zapewne to ojciec nakazał

mu, by zapoznał z tym tematem jego młodszą córkę.

Grace zazdrościła teraz odrobinę Victorii, że jeszcze pobiera nauki i nie musi zajmować się wyłącznie domowymi obowiązkami. Nie inaczej było pewnego przedpołudnia, kiedy nauczyciel opowiadał właśnie o miejscowych kwiatach.

- Krzew, który widzisz przed domem, nosi tu nazwę *Frangipani*, po łacinie *Plumeria*. Istnieje wiele odmian plumerii, jednak przeważają te o żółtych i czerwonych kwiatach. Ten krzew należący do rodziny toinowatych wywodzi się z rejonu Indii.

- A czy są także plumerie o niebieskich kwiatach? - zapytała Victoria, kończąc notować.

- Szczerze mówiąc, nie wiem, ale niewykluczone, że Bóg obdarzył te rośliny licznymi kolorami. - Pan Norris zdjął binokle i przysiadł na brzegu stołu. - Może ty albo twoja siostra odkryjecie podczas spaceru jakieś okazy o niebieskim kwieciu.

Victoria zaczęła z radości wirować i odkryła siedzącą z tyłu Grace.

Na jej twarzy odmalowało się zdumienie. Jak może dobrowolnie siedzieć na lekcjach, skoro teraz wolno jej robić tyle innych rzeczy?

- Chciałam tylko posłuchać - powiedziała zakłopotana Grace. Choć zakończyła edukację już trzy lata temu, poczuła się znów jak uczennica. - Przepraszam, że przeszkadzam.

Jednak nauczyciel uśmiechnął się serdecznie.

- Ciekawa rzecz z tymi moimi uczniami - powiedział jakby do siebie.

- Kiedy ich uczę, najchętniej by nie przychodzili. A kiedy tylko opuszczają szkolną ławę, zaraz znów ich do niej ciągnie.

- No cóż, mnie nie opowiadał pan o egzotycznych roślinach i zwierzętach - odparła.

- To prawda. I muszę przyznać, że choć jestem miłośnikiem kamieni, ożywiona przyroda tego kraju budzi moją prawdziwą fascynację. -

Znów założył binokle. - Gdyby takie było życzenie panny Grace, a także jeśli obowiązki jej na to pozwolą, może częściej odwiedzać nasze zajęcia. Oczywiście nie będę jej już obciążał dyktandami.

Victoria skrzywiła się.

- Oczywiście mnie owa dyspensa nie dotyczy, prawda?

- W rzeczy samej - odparł surowym tonem pan Norris. -Panna Grace zakończyła już szkolną edukację, poza tym nie będzie mogła tu często bywać. Któregoś dnia wyjdzie za mąż i założy własną rodzinę. Aby i tobie, Victorio, się to udało, gdy podrośniesz, musisz teraz pilnie kontynuować naukę. Na następny tydzień napiszesz wypracowanie.

Victoria z westchnieniem wróciła do swojego zeszytu.

Podczas gdy pan Norris rozwodził się na temat możliwości wykorzystania palmy kokosowej, Grace wyjrzała przez okno i na chwilę lekko zamarła. Akurat w tym samym momencie przechodził

bowiem tamtędy pan Vikrama, udając się zapewne do zabudowań z herbatą. Przypomniało jej się, co opowiadał o porach zbioru. Ciekawe, czy pan Norris też już o nich wie...

W przeciwieństwie do ubiegłej nocy, kiedy znów go obserwowała, Vikrama miał teraz na sobie zwykłe, angielskie ubranie, brązowe spodnie były włożone do wysokich butów, a na koszulę z półdługim rękawem narzucił kamizelkę w beżowy wzór. Pod pachą niósł jakąś skrzyneczkę.

Dokąd on tak ciągle chodzi? Najchętniej zerwałaby się i zapytała go wprost. Stłumiła jednak ten odruch i przeniosła spojrzenie na palmy, podczas gdy głos nauczyciela sączył się w tle niczym strużka deszczu.

Pora monsunowa przyniosła pochmurne dni, nieustanny deszcz i ochłodzenie. Choć to ostatnie nie powinno nawet być tak określane, bowiem temperatura spadła ledwie o parę stopni, a i tak wciąż była wyższa od temperatur typowych dla angielskiego lata.

Dla Grace i Victorii nastały długie dni w domu, co szczególnie doskwierało tej młodszej. Wprawdzie nie uważała już lekcji za czas stracony, jednak bardzo brakowało jej popołudniowych spacerów.

Czas wolny spędzały głównie na werandzie przed rozstawionymi sztalugami. Wystarczało kilka chwil, by odświeżającą woń deszczu zastąpiły zapachy farb olejnych, terpentyny czy gruntu.

- Pamiętasz tamte chwile nad stawem? - odezwała się Victoria, której pędzel kreślił właśnie niebieski kształt papuziego ogona.

- Kiedy same byłyśmy portretowane? - zapytała Grace, malując jasnym różem kwiat plumerii.

- Tak - odparła siostra z rozmarzeniem. - Czyż to nie były cudowne czasy? Doprowadzałyśmy tego biednego malarza do białej gorączki, a on za wszelką cenę usiłował nas uwiecznić na płótnie.

- Jak możesz to pamiętać? - zdziwiła się Grace. Nawet ona pamiętała tamto popołudnie nad stawem jak przez mgłę. Miała wtedy jedenaście lat i nie mogła wysiedzieć na miejscu, pozując do obrazu. Mimo nieustannych napomnień matki, zerwały się w końcu, by pobiegać, bo całkiem zdrętwiały, siedząc nad brzegiem stawu, gdzie aż roiło się od komarów.

- Przecież miałam już pięć lat! - zaprotestowała Victoria. -A pamiętam również rzeczy, które robiłam rok wcześniej.

- Na przykład? - chciała wiedzieć Grace, przy czym skryła twarz za sztalugą. Nadal, pomimo swoich osiemnastu lat, uwielbiała droczyć się z siostrą.

- Jak tata podniósł mnie aż do wierzchołka choinki, żebym umieściła tam aniołka. I jak biegałyśmy zimą po lesie i omal nie zamarzłyśmy, bo zgubiłaś drogę.

Słyszając pełen wyrzutu ton jej głosu, Grace parsknęła.

- Przecież nas uratowano. Jak długo będziesz mi to jeszcze wy-pominać, siostrzyczko?

- Dopóki będziesz wątpić, że pamiętam swoje wczesne dzieciństwo. -

Naraz jej oczy otwarły się szeroko i odłożyła pędzel na paletę, gdzie przeważały niebieskie odcienie.



- Co się stało? - zapytała Grace, nastawiając się w duchu na jakiś psikus ze strony młodszej siostry.

- Zdaje się, że pan Vikrama też interesuje się sztuką.

Kiedy Grace się odwróciła, młodzieniec cofnął się, lekko zawstydzony. Musiał chyba przyglądać się im już dłuższą chwilę.

Victoria pomachała do niego, na co odpowiedział nieśmiałym gestem, po czym odszedł, skinąwszy w stronę Grace. Ona sama stała jak przyrośnięta do ziemi. Dlaczego nie może po prostu odwrócić głowy i wrócić do malowania? Dlaczego nadal patrzy w miejsce, gdzie jego buty pozostawiły na trawie swój odcisk?

Tej nocy Vikrama się nie pojawił. Czymkolwiek się zajmował, przy tak rześkim deszczu, bębniącym niczym czyjeś niewidzialne palce o dom i liście, było to najwyraźniej niemożliwe. Grace było trochę żal, przyzwyczaiała się już do jego nocnych wędrówek, a za każdym razem, kiedy znikał w zaroślach albo się z nich wyłaniał, jej ciekawość była jeszcze większa.

Kiedy po tygodniu deszcz nieco zelżał, a dziedziniec na tyle przesechł, że można było zaryzykować stąpanie po nim bez zapadania się w błocie po kolana, pobiegła od razu do zabudowań, gdzie suszono liście herbaty. Wprawdzie stelaże były teraz puste, jednak zastała tam Vikramę, który zajęty był sprawdzaniem stanu budynków. Niedługo po deszczach miały zacząć się nowe zbiory. Do tego czasu wszystko musiało być naprawione.

- Panna Grace! - zawołał zaskoczony na jej widok. - Jeżeli potrzebuje pani czegoś ode mnie, wystarczyło posłać którąś ze służących.

- Przyszłam sama, bo chcę pana o coś zapytać. Poza tym mam już dość siedzenia w domu. Choć w Anglii nawet mi się nie śniło, że kiedyś będę tak lubiła przebywać na świeżym powietrzu.

Vikrama uśmiechnął się, ale nie przerwał swojego zajęcia.

- W pani ojczystym kraju jest ponoć mokro i zimno. Wilgoci i tutaj nie brakuje, za to temperatury są u nas dużo przyjemniejsze. Jeżeli w ciągu najbliższych dni będzie pani wstawać nieco wcześniej, zobaczy pani, jak góra i pola parują. To naprawdę cudowny widok o świcie.

- Już go widziałam - odpowiedziała i urwała.

Czy powinna to zrobić? A jeśli nie będzie już miała okazji, by go zapytać?

- Niedawno przez przypadek widziałam pana w nocy - wyznała z duszą na ramieniu. - A przynajmniej wydawało mi się, że to pan.

Vikrama zeszywniał. Każdy miesiąc jego ciała wydawał się teraz napięty, a jego ruchy bardziej nerwowe.

- Dokąd chodzi pan o tej porze w tym dziwnym ubraniu?

- Nie wiem, o czym pani mówi.

Poczuła, że nie powinna była jednak o nic pytać. Co ją obchodzi nocne życie Vikramy. Jest pracownikiem ojca, wyznaje hinduizm.

Dlaczego nie przyszło jej do głowy, że może odprawia jakiś religijny rytuał? Może należałoby lepiej poznać tutejszą religię?

Odkasznęła i zrobiła krok w tył. Nie chciała jeszcze zaognić sprawy.

- Chyba już pójdę.

- Panno Grace, ja...

Ona jednak ruszyła już pośpiesznie w stronę domu.

Pomimo wyjaśnienia, na które sama wpadła i które wszak brzmiało prawdopodobnie, nie mogła zasnąć. Kiedy tylko zamykała powieki, pojawiał się pod nimi wyraz twarzy młodego człowieka. Malował się na niej gniew, ale równie dobrze i strach. Jak

gdyby obawiał się, że zostanie na czymś nakryty. Będąc córką jego chlebodawcy, mogła oczywiście zażądać, ba!, nawet zagrozić, by zdradził jej swój sekret. Nigdy jednak nie zdobyłaby się na coś podobnego, a w późniejszym czasie cieszyła się, że tak się nie stało. Bo pewnie nie zobaczyłaby już Vikramy na oczy. A kto wie, może on nawet straciłby posadę...

Widziała już, jak żyją tu ludzie, którym się nie poszczęściło, i nie chciała go wtrącać w biedę. Mimo to myśl o religijnym rytuale nie dawała jej w nocy spokoju. Wstała więc cichutko, aby nie zbudzić Victorii, i stanęła za zasłoną okna. A może powinna wykraść się za nim?

Obracając w myślach setki sposobów, jak niezauważenie podążyc za Vikramą, wpatrywała się jak zahipnotyzowana w trawnik przed zaroślami, za którymi kryła się zapewne jakaś tajemnica. Jednak Vikrama się nie pojawił. Po oświetlonej blaskiem księżyca trawie przesunął się jedynie cień przelatującej papugi.

Po jakimś czasie dała więc za wygraną. Przemknęła się z powrotem do łóżka i zrzuciła kołdrę, która naraz wydała jej się ciężka niczym pierzyna. Było jej dziwnie smutno. Pewnie po tym, jak go spytała, wybrał sobie jakąś inną drogę, żeby chodzić na te tajne spotkania...

## Vannattuppucci Tea Company, 2008

Wbrew obawom Diany jakoś przeżyli podróż na plantację, choć jeep miewał niekiedy problemy z pokonaniem bardziej błotnistych odcinków. Parę razy miała już pewność, że za chwilę spadną ze stromej skarpy. Na szczęście kierowca za każdym razem odzyskiwał

panowanie nad autem, czasem w całkowitej ciszy, czasem klnąc jak szewc, jak gdyby pojazd był jego partnerem.

- Dobrze, że to jednak nie deszcze monsunowe, bo wtedy pozostałby nam już tylko helikopter - mrugnął do niej okiem Jonathan.

Kierowca był im potrzebny także w drodze powrotnej, więc Jonathan wetknął mu do kieszeni pieniądze i paczkę papierosów, wyjaśniając, że chcą, by na nich zaczekał.

Zgłosili swoje przybycie przez domofon przy bramie. Czekać aż ktoś do nich wyjdzie, Diana próbowała dojrzeć główny budynek skryty w oddali za palmami i rozłożystymi rododendronami. Temu, kto zaplanował taki układ, zależało zapewne na uniknięciu ciekawskich spojrzeń na swoją siedzibę.

Współgrające z bramą ogrodzenie musiało powstać co najmniej sto lat temu, o czym świadczyło choćby jego wiktoriańskie zwieńczenie w kształcie zdobionych prętów o ostrych zakończeniach. Ogród także był

urządzony w stylu angielskim. Diana spróbowała sobie wyobrazić przechadzające się po jego wypielęgnowanych ścieżkach Grace i Victorię w białych sukienkach, pod osłoną koronkowych parasolek.

W końcu na horyzoncie pojawił się jakiś mężczyzna w spodniach koloru khaki i beżowej koszuli. Mógł mieć koło pięćdziesiątki, a z jego całej postawy emanowała władczość. Kiedy niedbałym ruchem przycisnął guzik otwierający bramę, jej żelazne skrzydła zaczęły się otwierać.

- To pani jest pewnie tą damą z Niemiec. - Miał zaskakująco europejskie rysy twarzy. Podał jej rękę i się przedstawił: - Jason Manderley, dyrektor Vannattuppucci Tea Company.

W odpowiedzi Diana podała nazwiska swoje i Jonathana.

- Cieszę się, że znalazł pan dla mnie trochę czasu - dodała jeszcze.

Na twarzy Manderleya pojawił się szeroki uśmiech.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Jak powiedziała mi moja pracownica, jest pani jedną z potomkiń dawnych właścicieli.

„Jedyną”, dodała w myślach Diana, i skinęła głową.

- Wśród moich przodków była Grace Tremayne, córka Henryego.  
To nazwisko najwyraźniej nie było obce jej rozmówcy.

- W takim razie pewnie znajdzie pani co nieco w archiwum. Pozwoli pani ze mną.

Manderley poprowadził ją zadbanymi ścieżkami obok archaicznie wyglądających budynków, które choć stały puste, nie wyglądały na zapuszczone.

- To dawne zabudowania suszarni. Jeszcze do 1950 stały tu stelaże, na których wędły i suszyły się liście herbaty. - Następnie wskazał na świeżo pomalowany budynek pośrodku. - A tu siedziały pracownice ręcznie skręcające listki. Vannattuppucci

słynęło kiedyś właśnie z najlepszej skręcanej ręcznie herbaty.

Niestety w późniejszym czasie właściciele byli zmuszeni do przedstawienia się na produkcję maszynową, bo ręczny wyrób stał się nierentowny. Za to teraz, wprawdzie w ograniczonym stopniu, znów do niego wracamy. Są bowiem smakosze gotowi zapłacić więcej za tę, w rzeczy samej, prawdziwą przyjemność.

Podczas gdy Manderley opowiadał dalej, Dianie zdawało się, że spośród palm i kauczukowców dobiegają ją głosy mieszkających i pracujących tu niegdyś kobiet. Ogarnął ją przy tym ten sam rodzaj wyciszenia, jakiego doświadczyła już wcześniej w Tremayne House.

Jak gdyby wróciła do rodzinnego gniazda. Czyżby dziedzictwo Grace tkwiło aż tak głęboko w jej genach?

- Nie wiem, na ile zna pani historię uprawy herbaty na Sri Lance - kontynuował prezes, prowadząc ich w stronę domu po żwirowej ścieżce.

- Obawiam się, że niewiele wiem na ten temat - odpowiedziała. -

Moje poszukiwania skupiały się dotychczas raczej na miejscach i na osobach. Zależy mi na tym, by dowiedzieć się jak najwięcej o mojej praprababce oraz przedmiotach, które znalazłam w domu mojej ciotki.

- A co pani znalazła?

Przystanąła i wyciągnęła z torby fotografię.

- Mój Boże! - zawołał Manderley. - To rzeczywiście nasza plantacja.

Wiem nawet, gdzie zrobiono to zdjęcie. Proszę za mną!

Zboczyli z drogi i po chwili znaleźli się na ścieżce prowadzącej na pola herbaty. Kiedy wreszcie stanęli, Diana zobaczyła przed sobą względnie młody zagajnik. Porównawszy jednak to miejsce z fotografią, oprócz góry nie znalazła tu ani pola herbaty, ani pustej przestrzeni, na której stała Grace.

- Parę lat temu zaczęliśmy ponownie zalesiać tę część plantacji. Z jakichś nieznanych powodów nie była ona tak wydajna jak pozostałe pola. Zbieraczki herbaty twierdzą, że to z powodu klątwy.

Dianę przeszedł dreszcz.

- Klątwy?

- Tak, podobne historie nadal tu krążą. Ale dla mnie to czysty folklor.

Gdyby pokazała pani to zdjęcie którejś z pracownic, z pewnością uznałaby pani praprababkę za ducha. Może nawet za owego ducha, który pozbawił to pole urodzajności. Ja jednak jestem zdania, że tworząc tu pole, zrobiono jeden krok za daleko. Po prostu im wyżej sadzimy herbatę, tym niższe daje plony. Jak w każdej innej uprawie chodzi o zachowanie równowagi. A w tym wypadku właśnie jej zabrakło. Osiągnięto punkt, w którym klimat raczej szkodzi, niż wspomaga uprawę. Zapewne już pani zauważyła, że powietrze jest tu dużo chłodniejsze niż u stóp góry.

Jednak Diana była przekonana, że poczucie chłodu ma tym razem inne źródło. Może zbieraczki mają rację? Emmely też wspominała coś o klątwie. Może tu na górze wydarzyło się coś, co spowodowało na to miejsce nieszczęście?

- Jeżeli ma pani ochotę, może rozejrzeć się po okolicy - zaproponował

Manderley. - Albo może tu pani wrócić z aktami. Archiwum to dosyć ponure i pozbawione życia miejsce. Jeżeli pani zechce, każę tu ustawić dla pani stolik albo nieduży baldachim.

- To bardzo miło z pana strony, dziękuję!

- Wobec tego zobaczymy teraz, jakie skarby kryje nasze archiwum.

Kiedy ruszył w powrotną drogę, idąca nieco z tyłu Diana szepnęła do Jonathana:

- Może naprawdę istnieje jakaś klątwa. Moja ciotka też o tym wspomniała.

- W takim razie powinniśmy dokładnie obejrzyć to miejsce, może znajdziemy tu jakiś trop.

- Co pani mówi? - Manderley odwrócił się do niej.

- Och, nic takiego. Zwróciłam tylko na coś uwagę panu Singhowi.

Dyrektor, kiwnąwszy głową, poszedł dalej. Podążając za nim, Diana spostrzegła przed domem drzewo, które wydało jej się dziwnie znajome.

- To jabłoń? - zapytała Manderleya. Cóż by tu robiła jabłoń?

- Anglicy mieli zwyczaj dopasowywania nowej przestrzeni do swoich dawnych siedzib. Sprowadzali na przykład lisy, by na nie polować, albo sadzili właśnie drzewa owocowe. To sękaty drzewo pamięta jeszcze czasy Richarda Tremayne'a. Pan Tremayne chyba jednak szybko zasmakował w miejscowych owocach, bo ta jabłoń to jedyne obce drzewo na plantacji.

„Znamienny symbol poczucia obcości Anglików na tych terenach”, przemknęło Dianie przez myśl. Tym spostrzeżeniem postanowiła jednak podzielić się dopiero później z Jonathanem - o ile sam nie wpadł

na to samo. Może zechce zamieścić je w swojej książce...

W końcu dotarli do dawnej siedziby właścicieli, która z czasem zaczęła pełnić funkcję budynku administracji. Przed nimi wznosił się biały, dwukondygnacyjny budynek o wąskich oknach. Pośród czysto angielskich detali Diana odkryła też w nim mnóstwo elementów europejskiego klasycyzmu oraz kilka dyskretnych, acz zauważalnych niuansów wskazujących na wpływy miejscowej kultury.

- Prezentuje się wspaniale, prawda? - stwierdził z rozmarzeniem dyrektor.  
- Jeszcze w latach siedemdziesiątych poprzedni właściciel zastanawiał się nad przerobieniem go na hotel. Wakacje wśród pól herbaty oraz kulinarne atrakcje. Nic z tych planów nie wyszło, bo zbankrutował. I całe szczęście, bo roje turystów, po pierwsze, bardzo nadwerżyłyby substancję budynku, a po drugie, zakłócałyby funkcjonowanie plantacji. Dodam jednak, że jeśli ktoś ma tu coś do załatwienia, oferujemy mu możliwość noclegu.

- Znaleźliśmy już hotel - odparł Jonathan.

- Och, proszę więc go zwolnić. Za nocleg akurat od państwa nie wezmę ani jednej rupii.

Na myśl o zamieszkaniu w domu należącym niegdyś do jej rodziny Diana nie posiadała się z radości. Ciekawe, co by na to powiedziała Emmely...

- Myślę, że powinniśmy przyjąć propozycję pana Manderleya - zwróciła się do Jonathana. - Naturalnie pod warunkiem, że nie będziemy przeszkadzać.

- W żadnym wypadku, chyba że zamierzają państwo urządzić tu jakąś dziką imprezę. Do pokoi gościnnych prowadzi osobne wejście. A co się tyczy wyżywienia, to osobiście się o to zatroszczę. Moja żona wyśmienicie gotuje. Na pewno ucieszy się z tego spotkania.

- I to wszystko za darmo? - zdziwił się Jonathan.

- A dlaczego nie? - Uśmiech dyrektora był rozbijająco serdeczny. -

Będziecie państwo moimi gośćmi, proszę sprowadzić tu swoje bagaże z hotelu.

Kiedy weszli do holu, wypielegnowanego niczym w muzeum, minęły ich dwie kobiety, najwyraźniej pracujące w administracji. Miały na sobie wąskie spódnice i żakiety, które choć były współczesne, nawiązywały do tradycyjnych strojów. Skinęły w stronę dyrektora, po czym skierowały się do drugiego budynku.

- Idą pewnie sprawdzić, jak się mają sprawy w centrum dystrybucji - wyjaśnił im Manderley, kiedy przemierzali okazały hol z licznymi świadectwami powodzenia plantacji.

W pewnym momencie Diana spostrzegła na ścianie jaśniejszy kształt, pod którym leżało kilka wiązanek kwiatów.

- Panie Manderley, co znaczą te kwiaty?

Na twarzy mężczyzny pojawił się smutny uśmiech.

- W tym miejscu wisiał kiedyś przepiękny obraz. Przedstawiał chyba Sziwę i Ganeszę w tańcu. Malowidło zostało... zniszczone.

- Tutejsi robotnicy traktowali go jako rodzaj ołtarza, prawda?

- Włączył się Jonathan, wskazując na kwiaty.

- Owszem, i jak widać, czynią tak nadal. Miejsce, w którym wisiał obraz, traktują z jakichś powodów jako święte.

- A dlaczego nie zastąpiono go innym malowidłem? - zdziwiła się Diana.

Dyrektor zawahał się, jak gdyby nie chciał zdradzić jakiejś tylko jemu znanej historii.

- O to musiałaby pani zapytać właścicieli. Ja tylko zarządzam plantacją. Tak czy inaczej tego obrazu nie ma tu już od dawna. Wydaje mi się, że od czasów Tremayne'ów. Może znajdzie pani coś na ten temat w archiwach.

Następnie, by uniknąć dalszych pytań na temat malowidła, dał im znak, by poszli za nim do sutereny. Diana postanowiła jednak, że później zbada bliżej okoliczności zniszczenia obrazu.

- Na wzór angielskich domostw służba pracowała *downstairs*, natomiast państwo wiedli życie *upstairs*.

Ta uwaga przypomniała Dianie o pewnym serialu telewizyjnym, który oglądała w dzieciństwie. Po każdym kolejnym odcinku zamęczała ciotkę Emmely albo pana Greena pytaniami dotyczącymi służby.

- Teraz nie mamy już służby, a pomieszczenia na dole służą jako archiwum - mówiąc to, z rozmachem otworzył drzwi, za którymi rozciągały

się rzędy regałów i biurowych szafek. Diana spostrzegła tylko biurowe segregatory. Prawdziwe skarby musiały być pewnie ukryte w szafkach.

- Niesamowity widok!

- Śmiało, proszę wejść. To bardziej rodzaj biblioteki aniżeli miejsce, w którym drżałoby się o zachowanie dokumentów w dobrym stanie.

Panuje tu bowiem znakomity mikroklimat. Ani za sucho, ani zbyt wilgotno. Niejedno europejskie archiwum pozazdrościłoby nam takich warunków.

Podchodząc do antycznego biurka, podobnego do tego z Tremayne House, Diana poczuła się jak bohaterka tajemniczej baśni. Obok mocno wytartej skórzanej podkładki stała lampa od Tiffany'ego o nieco sfatygowanym już kloszu, a na brzegu widoczne były nacięcia.

Ciekawe, czy miały jakieś znaczenie, skoro nie poddano ich renowacji?

- Może tu pani siedzieć, jak długo zechce. Jedynie od czasu do czasu będzie pani musiała wpuścić tu moich pracowników, kiedy zechcą zajrzeć do którejs z teczek.

- Oczywiście - powiedziała Diana. Po raz pierwszy poczuła, że jest we właściwym miejscu. - Nie chciałabym nikomu przeszkadzać.

- Nie ma o tym mowy. Cieszę się, że w końcu ktoś zajmie się historią tego miejsca. Wierzę, że będę ją mógł potem z grubsza wykorzystać w celach reklamowych?

- Naturalnie, o ile nie znajdę w niej jakichś wstrząsających faktów - odparła z wahaniem.

- Proszę się nie obawiać, nie chodzi mi o żadne prywatne tajemnice.

Niewykluczone jednak, że przy okazji uda się pani odnaleźć jakieś ciekawe fakty dotyczące plantacji. A to bardzo wzbogaciłoby nasz, póki co dość skromny, folder informacyjny.

Diana kiwnęła głową.

- W porządku, w takim wypadku użyję panu wszystkich informacji.

Podczas gdy Jonathan zajął się sprowadzeniem z hotelu ich bagaży i załatwieniem wszystkich pozostałych formalności, Diana rozgościła się w archiwum. Co prawda laptop został w hotelu, miała jednak przy sobie notatnik, w którym mogła zapisać wszystkie ważne informacje.

Zabrała też ze sobą stary przewodnik po Kolombo. Nie miał on wprawdzie nic wspólnego z plantacją, za to świetnie nadawał się do przechowywania fotografii z Grace oraz kopii zdjęcia z Hills Club.



Jonathan wrócił po dwóch godzinach.

- Mam nadzieję, że wszystko zabrałem - powiedział, wręczając Dianie jej torbę, której kształt zdradzał, że nie wrzucił jej rzeczy byle jak, lecz najpierw starannie je poskładał.

Nadszedł wieczór, rozsnuwając nad plantacją purpurowe chusty obłoków. W świetle zachodzącego słońca drzewa i palmy

przypominały sylwetki wycięte z czarnego papieru. A odgłosy ptaków oznajmiających, że udają się już na spoczynek albo że właśnie wyruszają na łowy, stały się jeszcze donośniejsze.

- Sądząc po ciężarze, jest tu wszystko, czego potrzebuję - odpowiedziała z wysiłkiem. - W każdym razie zabrał pan mój laptop, a to najważniejsze. Z ubrań i bielizny mogę nawet zrezygnować.

Prawa brew Jonathana powędrowała w górę.

- Naprawdę?

Dopiero teraz dotarła do niej dwuznaczność jej własnych słów.

- Nie to miałam na myśli! W każdym razie potrafię sobie radzić, mając przy sobie niewielką ilość rzeczy. A ubrania zawsze można przeprać.

Zorientowała się, że pod wpływem jego uśmiechu zarumieniła się.

- Myślę, że jednak wziąłem wszystko. Tym bardziej że nie zdążyła się pani całkiem wypakować. Pewnie po cichu liczyła pani na to, że będziemy mogli się tu zatrzymać.

Mrugnawszy do niej, zarzucił sobie na ramię własną torbę i ruszyli na górę.

- Był u mnie pan Manderley i zostawił klucze do naszych pokojów - poinformowała go Diana, kiedy szli przez hol. Klucze pobrzękiwały przy tym cicho w jej torebce. - Twierdzi, że wcześniej mieszkały tam siostry Tremayne. Niestety nie zachował się dawny wystrój, ale w moim pokoju znajdują się kominek i okno, które na pewno były tam już wtedy.

- Może znajdzie pani jeszcze tajemny pamiętnik ukryty w kominku. -

Jonathan zaśmiał się.

- Jeżeli mam być szczerą, bardzo na to liczę. Ale z drugiej strony nie wierzę w takie cudowne przypadki. To jak z szóstką w lotto.

- Nigdy nie mów nigdy... - Jonathan rozglądał się po korytarzu. - Kto wie, co kryją te mury. Może spotkamy tu nawet jakiegoś

ducha i będziemy go mogli o wszystko wypytać. Mieszkańcy Sri Lanki mocno wierzą w duchy, które czuwają nad żywymi.

- Zdawało mi się, że większość Tamilów wyznaje hinduizm.

- Owszem, ale i tak wierzą w duchy. Bywają dusze, które sprzeciwiają się boskim wyrokom i nie odradzają się w nowym ciele, lecz wolą pozostać w cieniu...

Kiedy nagle umilkł, Diana uznała, że to wpływ atmosfery tego domu.

W końcu stanęli też przy pierwszych drzwiach, gdzie wręczyła mu klucz.

- Ponieważ byłam tu, kiedy przydzielano nam pokoje, wybrałam sobie oczywiście ten lepszy - zażartowała. - Mój ma ładniejszy widok na ogród.

Jonathan otworzył drzwi i uśmiechnął się.

- Ja chyba też nie mogę się skarżyć na widok. Poza tym szczerze wątpię, by była pani tak samolubna i wybrała lepszy pokój.

Diana roześmiała się.

- Mam wrażenie, że nasze pokoje stanowiły niegdyś jedno pomieszczenie. Niech pan tylko spojrzy na tę ścianę!

Nawet laik dostrzegłby, że postawiono ją zbyt blisko okna.

- Ma pani rację. Pewnie wcześniej było tu za dużo miejsca. Może była tu sala balowa.

Diana pokręciła jednak głową.

- Nie, tam gdzie mogła być sala balowa, jest teraz duże biuro. Jeżeli naprawdę był to kiedyś pokój sióstr Tremayne, to miały niesamowicie dużo miejsca.

- No cóż, skoro tak, to zajmę się przeszukaniem mojego pieca. Może znajdę tam jakieś dokumenty.

Diana popatrzyła na niewielki piec kaflowy stojący pod ścianą po prawej.

- Wydaje mi się, że niczego tu pan nie znajdzie. Palono w nim co najwyżej jakieś stare szpargały.

- Miejmy tylko nadzieję, że nie było wśród nich żadnych ważnych informacji na temat pani przodków.

Już chciała odpowiedzieć, że to wykluczone, kiedy przypomniała sobie upodobanie Emmely do różnych sekretów. Nie byłoby zatem dziwne, gdyby i Tremayne'owie próbowali ukryć gdzieś rzeczy, których nie chcieli upubliczniać.

- Ja w każdym razie jestem zadowolony ze swojego pokoju - słowa Jonathana przerwały wreszcie przytłaczającą ciszę. - A jak tylko znajdę coś ciekawego, dam pani znać.

Po odstawieniu bagaży do pokojów wrócili do archiwum, gdzie Diana z dumą zaprezentowała Jonathanowi swoje dotychczasowe znaleziska.

- Na razie udało mi się przeszukać dopiero pierwszą szafę. W dodatku papiery nie są uporządkowane.

- Wcale mnie to nie dziwi - odparł Jonathan. Kiedy dotknął skórzanych opraw dawnych ksiąg handlowych, jego oczy rozbłysły blaskiem badacza. - W końcu to nie muzeum, tylko prywatne archiwum. A w dodatku ważniejsza od dawnych akt jest tu produkcja herbaty. W dobie imperatywu produktywności przeszłość ma marginalne znaczenie.

- Myślę jednak, że w tym wypadku wciąż ma znaczenie - odpowiedziała Diana, nie mogąc przy tym oderwać oczu od jego twarzy.

Po raz pierwszy spostrzegła lekkie drzenie jego skroni i delikatne włoski ponad brwiami.

- Powinniśmy zatem gruntownie ją zbadać - powiedział, kładąc kres jej obserwacji, po czym ich spojrzenia skrzyżowały się. - Ale nie z pustym żołądkiem. Umieram z głodu!

Pan Manderley udostępnił im również kuchnię. Jonathan zaoferował się więc, że przygotuje dla nich ryż po tamilsku.

- Z mlekiem kokosowym - wyjaśnił, stając przy kuchence. - To tradycyjna potrawa urodzinowa.

Diana przyglądała mu się w zamyśleniu. Ciekawe, co powiedziałby Michael, widząc ich tutaj. Po powrocie opowie mu wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Zasłużył sobie.

Pół godziny później siedzieli już za stołem. Jonathan dodał do ryżu kilka pokrojonych owoców mango, które kupił od kierowcy jeepa. Tamten miał ze sobą bowiem całą skrzynkę, którą zamierzał po skończonym kursie zawieźć swojej rodzinie.

- Chcemy czy nie, jesteśmy tu odcięci od świata - powiedział Jonathan, biorąc do ust kawałek mango. - Kierowca będzie tu dopiero za cztery dni.

- Cztery dni! - przeraziła się Diana. - Ale mój samolot...

- Nie ma możliwości przesunięcia lotu?

Już miała zaprzeczyć, kiedy naraz przyszło jej do głowy, że dlaczego by nie...

- Oczywiście, że jest...

Twarz Jonathana rozjaśnił uśmiech.

- Znakomicie! Poza tym wydaje mi się, że nieprędko tu coś znajdziemy. Musimy te szafy przeszukać naprawdę gruntownie, żeby niczego nie przeoczyć.

## 11.

### Vannattuppucci, 1887

Zgodnie z obietnicą Stockton zabrał Henrygo do słynnego Hills Club, gdzie przedstawił go licznym plantatorom i innym wpływowym osobistościom. Już wkrótce został przyjęty do ich grona i uzyskał

członkostwo klubu. Bądź co bądź wywodził się z szanowanej rodziny, a nieszczęśliwy wypadek jego brata tylko przysporzył mu współczucia i zainteresowania.

W ramach rewanżu za tak cenne członkostwo oraz kontakty, które w przyszłości z pewnością się opłacą, Henry zaprosił Stocktona wraz z całą rodziną oraz kilku panów z klubu na przyjęcie powitalne, które Claudia planowała już od jakiegoś czasu.

W ciągu tych kilku dni poprzedzających jego wydanie Wilkes dwoił się i troił. Zapędził do ciężkiej pracy wszystkie służące, uzyskał też pozwolenie na zatrudnienie lokaja. Został nim młody Tamil, który ukończył właśnie szkołę nadal utrzymywaną wspaniałomyślnie przez Henrygo. Kucharka zaś została zapoznana przez niego z tajnikami angielskiej kuchni. Wilkes pokazał jej między innymi, jak piec scones albo jak modyfikować przepis na keks, dodając do niego miejscowe składniki. Kiedy zaś dostawa

warzyw i ryb dotarła dokładnie na czas, wprost nie posiadał się ze szczęścia. A Claudia wraz z nim. Już ona pokaże tym Stocktonom, naturalnie przy całej sympatii dla Deana Stocktona, że ważniejsze od strojów służby - uniformy wciąż jeszcze nie dotarły na miejsce - jest to, co gospodarze mogą zaoferować swoim gościom!

Wydanie przyjęcia wiązało się również z uszyciem nowych sukien dla dziewcząt, a przynajmniej przerobieniem starych tak, by wyglądały na nowe. Ze względów finansowych trudno było w ostatnich latach podążać za modowymi trendami. Teraz jednak panna Giles, z pomocą żurnala sprowadzonego przez Wilkesa z Kolombo, podjęła się dokonania niezbędnych przeróbek garderoby obu sióstr.

Pomogły jej w tym dwie młode Tamilki, które oprócz pracy w polu zajmowały się także reperowaniem odzieży. Grace była przy tym pewna, że chichot, jakim od czasu do czasu przy szyciu wybuchały, był

spowodowany dziwnym, ich zdaniem, wyglądem europejskiej odzieży

i bielizny. Victoria miała rację, tutejsze kobiety pod swoimi wygodnymi zawojami nie nosiły ani gorsetów, ani innej korygującej bielizny. Szczupłą sylwetkę zapewniała im bowiem ciężka praca, w dodatku ich ciemna karnacja wydawała się mniej podatna na starzenie aniżeli skóra białych kobiet. Bardzo im tego zazdrościła, zwłaszcza w chwilach, gdy panna Giles szarpała troczki jej gorsetu, by jeszcze bardziej ograniczyć jej swobodę oddychania.

Czasem, gdy nie mogła już wysiedzieć przy robotach krawieckich, wychodziła, tłumacząc, że przyniesie sobie coś do picia. Panna Giles chciała natychmiast dzwonić po służącą, Grace tłumaczyła jej jednak, że robi to sama, bo służące mają teraz mnóstwo innej pracy, i czym prędzej czmychała z pokoju.

I rzeczywiście udawała się do pomieszczeń kuchennych. Wprawdzie już w Tremayne House matka patrzyła niechętnym okiem, kiedy któraś z dziewcząt pokazywała się w kuchni. Rzekomo bowiem swoją obecnością wprawiały w zakłopotanie personel, nieprzywykły do przebywania w towarzystwie kogoś z państwa.

Kuchenne hałasy dotarły do niej już z oddali. Kucharka po tamilsku wydawała ostrym tonem polecenia swoim podkuchen-nym. Grace wprawdzie nie rozumiała, co mówi, czuła jednak, że nie jest zadowolona z ich pracy. Ostrożnie zajrzała do środka. Widziała kucharkę po raz pierwszy. Mogła mieć koło czterdziestki i sama była Tamilką. Podkuchenne, które mogły być rówieśnicami dziewczyny, wzdrygały się przy każdej komendzie szefowej. Pan Wilkes trzymał się z tyłu, polerując srebra.

W pewnym momencie spostrzegła siedzącą pod stołem dziewczynkę.

Było oczywiste, że to nie miejsce dla niej. Pewnie wślizgnęła się tu niepostrzeżenie w jakimś momencie i teraz tkwiła uwięziona pod ciemnym kuchennym stołem. Nie wyglądała jednak na zbyt zmartwioną, bo wcześniej musiała chyba zwędzić ze stołu kilka owoców. Kiedy jednak zauważyła przyglądającą się jej Grace, zastygła w bezruchu i pobladła. Próbowwała też ukryć trzymany w ręczce owoc.

Pewnie Wilkes, gdyby odkrył kradzież, potraktowałby ją surowo.

Grace tylko się do niej uśmiechnęła. Oczywiście panna Giles zareagowałaby oburzeniem. Wszak taka pobłażliwość nie sprzyja odpowiedniemu wychowaniu. Ale to dziecko z usteczkami obklejonymi sokiem z owoców spoglądało na nią swoimi wielkimi, ciemnymi oczami z

takim przejęciem, że nie miałyby serca, by je wydać.

Po pewnym czasie mała rozluźniła się trochę i popatrzyła trwożnie w stronę uchylonych tylnych drzwi, przez które zapewne się tu dostała.

Grace zrozumiała, co musi zrobić. Oderwała się więc od framugi i weszła do kuchni.

- Dzień dobry, Wilkes.

Natychmiast oczy wszystkich obecnych powędrowały w jej kierunku.

Podkuchenne popatrzyły na nią ze zdumieniem, kucharka o mały włos nie skaleczyła się nożem, a Wilkes błyskawicznie odłożył polerowane sztućce.

- Dzień dobry, panno Grace! - Wyprostował się i dał znak kucharce i pomocnikom, by ustawiły się w rzędzie. - Proszę wybaczyć, że nie zobaczyłem panienki wcześniej.

W momencie kiedy cała służba ustawiła się przodem do panny Tremayne, mała złodziejka wykorzystała okazję i czmychnęła z kuchni. Grace stłumiła uśmiech i powiedziała: - Przyszłam tylko, żeby zobaczyć, jak przebiegają prace w kuchni.

- Rozumiem, że to mama panienkę przysłała?

Wolała nie wyprowadzać go z błędu. Myśl, że sama z siebie mogłaby się zainteresować pracą na dole, z pewnością wytrąciłaby go tylko z równowagi.

- Przygotowania idą pełną parą. Zapewniam, że pani Tremayne będzie zadowolona. Naturalnie zdajemy sobie sprawę ze spoczywającej na nas odpowiedzialności. Każde z nas - potoczył wzrokiem po besztanych przed chwilą podkuchennych. - da z siebie wszystko, aby sprostać wymaganiom państwa Tremayne.

- Mama ucieszy się, słysząc te słowa, panie Wilkes. Proszę spokojnie wracać do pracy. Gdyby tylko był pan tak uprzejmy i nalał mi mrożonej herbaty...

Godzinę później można już było przymierzyć przerobione suknie.

Kiedy Grace spoglądała na swoje odbicie w lustrze, mimo że suknia w biało-niebieskie prążki prezentowała się naprawdę pięknie, ogarnął ją smutek. Już prawie zapomniała o swoim niedoszłym debiucie, tymczasem teraz, przy okazji tego zamieszania ze strojami, jego temat znów powrócił. Kilka dni wcześniej podsłuchiwała też rozmowę panny Giles z panem Norrisem.

- Co za wstyd, że dotąd nie przedstawiono jeszcze panienki -wzdychała guwernantka, na co nauczyciel odpowiedział: - Widziałem po drodze tyle

posiadłości i plantacji, że nie wątpię, że znajdzie się tu jakiś kandydat na męża dla panny Grace.

Tylko czy musi się on wywodzić akurat z rodziny Stocktonów.

Żołądek Grace ścisnął się boleśnie, kiedy przesunęła ręką po niebieskawej tkaninie sukni przyozdobionej wstążkami i koronkami sprowadzonymi z Kolombo.

- I jak, panno Grace? - Panna Giles spoglądała na nią wyczekująco niczym malarz spodziewający się pochwał mecenasa.

- Bardzo ładna - odpowiedziała skwapliwie.

Cóż, i w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu. W żadnym wypadku nie chciała jednak źle wypaść przed Stocktonami - o ile mogli się równać z gospodarzami.

- Może powinnyśmy raczej włożyć miejscowe szaty? - rzuciła Victoria z drugiego końca pokoju. - Na pewno nie drapią tak jak ta koronka przy moim dekolcie.

- Wykluczone! - W drzwiach stanęła Claudia, by ocenić wygląd córek. Ona również miała założyć przerobioną suknię, która była gotowa już od wczoraj. - Jesteście młodymi angielskimi damami, a nie jakimiś robotnicami!

Grace dostrzegła spojrzenie jednej ze szwaczek, która dobrze znała angielski. Nawet jeśli nie uszło ono również uwagi Claudii, przeszła nad nim do porządku dziennego. Zlustrowała córki z wszystkich stron niczym oficer dokonujący inspekcji rekrutów, przyglądając się przy tym bacznie wykończeniom, szwom oraz długości sukien. A kiedy skończyła, skinęła z aprobatą w stronę guwernantki.

- Dobra robota, panno Giles. Jestem pewna, że moje córki będą stanowić prawdziwą ozdobę przyjęcia.

Tuż przed uroczystością Vannattuppucci zostało udekorowane z tym samym przepychem, który niegdyś przy podobnych okazjach przydawał blasku Tremayne House, czyniąc z niego miejsce, w którym naraz nie można się było dopatrzeć żadnych oznak utraty dawnej świetności. Zastęp służących zajął się przystrojeniem dawno nieużywanej sali balowej. Z braku odpowiedniej liczby personelu Claudia zdecydowała się zatrudnić też kilka zbieraczek z osady. Nawet jeśli nie pozbyła się jeszcze wątpliwości co do nowego miejsca pobytu, była pewna, że odniesie spektakularny sukces.

W balowy wieczór podenerwowana Grace siedziała przy oknie.

Wiedziała, że na przyjęciu nie zabraknie również Deana Stocktona z rodziną, dlatego najchętniej uciekłyby do ogrodu i skryła się gdzieś w jego zakamarkach.

- Jak myślisz, czy jakiś dżentelmen poprosi mnie do tańca? -Victoria, uniósłszy prawą rękę, wykonała piruet.

Grace odwróciła głowę w jej stronę. Przynajmniej ona będzie się dobrze bawić. Tylko że to nie ona jest panną na wydaniu.

- Właściwie możesz traktować ten bal jako swój debiut - dodała siostra, pragnąc jej dodać otuchy. - Zostaniesz przedstawiona towarzystwu z całego Nuwara Eliya.

- A Stockton zaraz uwiesi mnie na ramieniu swojego syna...

- Może ma przystojnego syna? Zresztą nawet jeśli go nie znosisz, musisz przyznać, że dobrze się prezentuje.

- Co ty możesz o tym wiedzieć? - wymamrotała Grace pod nosem i znów wyjrzała przez okno, zastanawiając się, co tego wieczoru będzie robił pan Vikrama. Na pewno nie został zaproszony. Bądź co bądź

należał do personelu. Co innego Cahillowie. Pan Cahill zapytał ojca, czy miałby coś przeciwko, gdyby przyszedł z żoną i córkami. Henry, przez uprzejmość, a także czując się zobowiązany wobec adwokata, wyraził zgodę. Niemniej jednak Grace wolałaby już towarzystwo tych dwóch podpierających ściany dziewczątek, które poznała podczas spacerów, niż spotkanie ze Stocktonem i jego synalkiem.

Zanim Victoria rozwinęła na dobre swoją myśl, że ma oczy i sama potrafi ocenić, czy mężczyzna jest przystojny, czy nie, do pokoju weszła panna Giles. Jako skromna guwernantka nie miała szansy dorównać im elegancją ubioru, jednak zrobiła, co w jej mocy, by dobrze wyglądać. Wprawdzie ona i pan Norris także byli członkami personelu, jednak jako że dbali o edukację panien, pozwolono im uczestniczyć w balu.

- Panno Giles, wygląda pani oszałamiająco! - powiedziała Victoria, tańcząc dookoła guwernantki. - Pan Norris nie pozwoli pani zejść z parkietu.

Panna Giles przysłała właściwie z zamiarem udzielenia im lekcji na temat zachowania podczas balu, ale pochwały Victorii kompletnie zbiły ją z tropu i tylko się zarumieniła. Zanim znowu doszła do siebie, upłynęło sporo czasu i zorientowała się, że realizacja jej zamysłu mogłaby skutkować spóźnieniem.

Grace wstała z parapetu. Czowała nieprzyjemny ucisk w brzuchu. „Ten wieczór kiedyś się skończy”, pocieszyła się w myślach. Będzie się



zachowywać, jak na damę przystało, i postara się nie przynieść wstydu rodzinie.

Na schodach czekali już na nie rodzice. Claudia miała na sobie suknię z niebieskiej tafty wykończoną białymi koronkami. Henry w szarym surducie, czarnej kamizelce i ascocie ozdobionym szpilką z perłą prezentował się nadzwyczaj uroczyście. Oboje zmierzyli córki badawczym wzrokiem, po czym Claudia wystąpiła naprzód i poprawiła jeszcze wstążki u sukni Grace.

- Myślę, że naprawdę zrobicie dzisiaj wrażenie. Zresztą nie ma się co dziwić. Ci ludzie żyją tu już tak długo z dala od ojczyzny.

- Najdroższa, nie oceniaj ich zbyt pochopnie. Panowie, których poznałem w klubie, byli bez wyjątku bardzo kulturalni i mili. Nie sądzę zatem, aby ich rodziny mocno tu zdziczały.

Henry nachylił się w stronę małżonki i ucałował ją. W tym samym momencie przed domem rozległ się turkot powozów.

- Chyba przyjechali. Pokażmy się od jak najlepszej strony!

-zakomenderował i strzepnąwszy z surduta jakiś niewidoczny pyłek, przyjął godną postawę. Wilkes tymczasem udał się w stronę drzwi, by otworzyć je przed gośćmi.

W ciągu kilku minut podwoje ich posiadłości przekroczyła znaczna część śmietanki towarzyskiej z Nuwara Eliya. Na podjeździe przed domem zatrzymywały się kolejne powozy i kolejni wytwornie ubrani goście wstępowali na schody domu Tremayne'ów.

- O, są Stocktonowie!

Okrzyk ojca podziałał na Grace jak smagnięcie pejczem i przestała panować nad mimiką.

- Przestań być taka naburmuszona! - napomniała ją matka. -Jeszcze wystraszysz tego chłopca.

I o to chodzi! Nawet jeżeli George Stockton był podobny raczej do swojej bladawej, rudowłosej matki, i tak nie dostrzegła w nim nic, co zachęciłoby ją do poznania go bliżej. A już z pewnością nie wyobrażała go sobie jako swojego męża.

Stockton w swoim surducie ze szmaragdowego brokatu kroczył przodem niczym napuszony indyk. Jego spojrzenie przesunęło się po jej rodzicach, po czym spoczęło na Grace. Na jego twarzy malowało się ukontentowanie, kiedy Henry się z nim przywitał.

- Witam w moich progach, Mr Stockton!

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł, a następnie przedstawił swoją rodzinę. Rudowłosy George, z policzkami pokrytymi delikatnym rdzawym puszkim, miał jeszcze siostrę, która kolor włosów odziedziczyła z kolei po ojcu, aczkolwiek ze swoją przezroczystą cerą i wątlą sylwetką wyglądała dość anemicznie.

Grace posłała im uprzejmy uśmiech. Jej uwagi nie uszło przy tym, że młody Stockton przyglądał się jej bacznie, jak gdyby zdążył już co nieco usłyszeć o niej od swojego ojca. A więc to prawda! Stockton zamierzał wyswatać ją ze swoim synem. W dodatku przy okazji, jaką jej ojciec darzył nowego sąsiada, mogło mu się to udać!

- Pańskie damy prezentują się przeuroczo, panie Tremayne -zauważył Stockton po złożeniu galanteryjnego pocałunku na dłoni Claudii.

- Nie zaprzeczę - odparł Henry uprzejmie. - Ja zaś widzę przed sobą godną pana latorośl. Moje gratulacje, z pewnością jest pan dumny z tego młodego człowieka.

- Owszem - odparł Stockton, kładąc dłoń na ramieniu syna. -Nie może się już doczekać, by poznać pańską córkę. Bądź co bądź to ta młodzież pokieruje kiedyś naszymi plantacjami.

Wymowa tych słów natychmiast dotarła do Grace. Jako kobieta nie mogła przecież samodzielnie kierować plantacją. Było to możliwe jedynie u boku męża. Albo wcale, gdyby mąż zapragnął sam zarządzać całym majątkiem.

Jeszcze parę tygodni temu nie przejęłaby się tym specjalnie.

Podporządkowałaby się takiemu stanowi rzeczy i oddała całkowicie powinnościom małżonki i matki. Teraz jednak czuła w duchu lekki sprzeciw, co w równym stopniu ją zaskakiwało, co przerażało. Może u boku innego mężczyzny byłaby nawet gotowa podporządkować się społecznym konwenansom, ale nie w wypadku tego chłopaka, który już na pierwszy rzut oka wyglądał na słabszego od niej.

Na szczęście nadjechali nowi goście i państwo Tremayne musieli tymczasem pożegnać się ze Stocktonami. Rozstanie z Georgeem, a zwłaszcza z jego ojcem, wprawiło Grace w tak dobry nastrój, że kolejne powitania i komplementy przyjmowała z dużo większą przychylnością. W dodatku niektórzy spośród gości wydawali się jej nawet szczerzy i sympatyczni, tym bardziej że nikt więcej nie badał już jej wzrokiem handlarza krów na jarmarku.

Kiedy wszyscy goście dotarli już na miejsce, Henry wygłosił krótką

przemowę, jak bardzo się cieszy, mogąc powitać tak znamienite towarzystwo z Nuwara Eliya i mając możliwość zadomowienia się w tym pięknym kraju. Naturalnie wspomniał swojego brata - krótko, bo jako wytrawny mówca umiał poznać, kiedy temat może przygnębić, a nawet popsuć nastrój zebranych. Szybko więc wrócił do dzisiejszej uroczystości, po czym dał znak muzykom, sprowadzonym z pomocą Wilkesa z Kolombo, żeby zaczęli.

Kiedy od rozmów, uprzejmości i wymuszonych uśmiechów zaczęło jej się w końcu kręcić w głowie, Grace postanowiła zrobić sobie mały spacer. Trzeba przyznać, że tutejsi goście niewiele różnili się od towarzystwa w Londynie. Nawet jeśli mieszkali tu od lat, ich manieri pozostały bez większych zmian.

Ogród powitał ją kojącą ciszą i ciemnością, tym głębszą, im bardziej oddalała się od rozświetlonego domu. Wcześniej nie

przyszłoby jej nawet do głowy wychodzić na zewnątrz w sukni balowej, jednak ubiegłe tygodnie bardzo ją zmieniły. Sama już nie wiedziała, kim jest. Początkowa niechęć do tego miejsca szybko przekształciła się w uczucie przeciwne. Coraz bardziej interesowała ją uprawa herbaty i z wolna, za przykładem Victorii, zaczęła postrzegać pobyt tutaj jako wielką przygodę.

- Panno Grace - usłyszała cichy głos.

Kiedy się odwróciła, zobaczyła stojącego za nią Vikramę. Tym razem nie miał na sobie ani ubrania roboczego, ani tamtego tajemniczego przebrania. Grace nie mogła oderwać od niego oczu. W czarnej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem i podwiniętymi rękawami, i w szerokich czarnych spodniach wyglądał niczym orientalny wojownik z opowieści, które czytała dawno temu. Oni również ubierali się głównie na czarno. Tyle że w przeciwieństwie do nich on nie skrywał twarzy za chustą. Jego okolona czarnymi kosmykami twarz, o czarnych brwiach i świeżo przyciętej brodzie wydawała się bledsza w świetle księżyca.

Był jeszcze przystojniejszy niż wtedy, gdy widziała go ostatnim razem.

- Panie Vikrama, ja... Uśmiechnął się i uniósł dłoń.

- To ja chciałbym przeprosić. Moja reakcja była niestosowna i mogła pani odnieść wrażenie, że oddaję się jakimś nielegalnym praktykom. A tak nie jest.

Grace odwzajemniła jego uśmiech z ulgą. A więc już się na nią nie gniewa.

- Nigdy tak nie pomyślałam - odpowiedziała. - Byłam tylko ciekawa.

Tę cechę moja mama wcześniej zawsze ganiła. Więc stłumiłam ją w

sobie. Ale tutaj wszystko jest dla mnie takie nowe i inne. I obawiam się, że znów się we mnie zbudziła.

- Ciekawość nie zawsze jest naganna - powiedział Vikrama. - Czasami pomaga otworzyć się na inne kultury.

- Czy to cytat? - Grace uniosła brwi.

- Nie, to moje spostrzeżenie. Wynika z doświadczenia. Mojego i moich pobratymców. My również jesteśmy ciekawi, szczególnie

ludzi z innego świata. Dlatego zawsze znajdzie tu pani osoby chętne do pomocy. Bo pomagając, poznajemy się nawzajem.

Po tych słowach zapadła cisza. Gdzieś w oddali rozległ się dziwny krzyk. Pewnie jakiegoś ptaka.

- Mimo to nie miałam prawa pytać pana o to - stwierdziła skruszona Grace. - Nawet jeśli jest pan podwładnym mojego ojca, ma pan też swoje prywatne życie.

Vikrama spojrział na nią osobliwie. Chyba chciał coś powiedzieć, ale tylko pokręcił głową. Następnie wymówił: - *Kalañppayatu*.

Grace popatrzyła na niego zdziwiona.

- Proszę? Czy to tutejsze pożegnanie? Vikrama uśmiechnął się.

- To, czym się zajmuję. *Kalañppayatu*.

- A co to takiego?

- Sztuka walki. Każdego wieczoru ćwiczę z kilkoma przyjaciółmi.

Mistrzem jest Gurukał, medyk z wioski. A ja jestem jego uczniem.

- A co się w niej ćwiczy? - zapytała zaskoczona Grace. Po tym miłym i dobrze wychowanym zarządcy spodziewałaby się wszystkiego, ale nie tego, że uczy się walczyć.

- Używamy mieczy i tarcz, ale walczymy też wręcz. To właściwie bardziej rodzaj tańca niż okładania się pięściami. A podczas ćwiczeń jesteśmy raczej rywalami aniżeli wrogami.

Grace próbowała sobie wyobrazić taką walkę. Ciekawe, czy wszyscy są ubrani tak samo jak Vikrama. Jakie odgłosy wydają ich miecze? Jak nimi operują? Na pewno nie tak jak na przedstawieniach o Ryszardzie III!

- Istnieje wiele opowieści na temat tej sztuki walki - dodał Vikrama, idąc obok niej z założonymi do tyłu rękami. Poruszał się przy tym zwinnie niczym dziki kot. A może tylko tak się Grace wydawało, od kiedy wyznał, czym się zajmuje.

- Niech pan opowie!

- W dawnych czasach indyjscy władcy w swojej wielkiej mądrości nie chcieli doprowadzać do niepotrzebnego rozlewu krwi na polu walki. Zwaśnione strony wysyłały więc tylko po jednym wojowniku *kalaripayatu*, by stoczyli ze sobą pojedynek na śmierć i życie.

Następnie zwierzchnik pokonanego wojownika również uznawał się za pokonanego.

- Rozwiązanie godne mędrca - przyznała Grace. Do tej pory słyszała jedynie o wojownikach sikhijskich, słynących z odwagi, ale i okrucieństwa.

- To prawda. Niestety z czasem ta tradycja odeszła w zapomnienie, bo wojny między książętami indyjskimi wygasły, a ich wojska musiały się mierzyć z najeźdźcami nieznanymi tego zwyczaju. Mimo to wojownicy *kalaripayatu* zawsze zasilali szeregi gwardii przybocznej maharadzów.

Grace była tak przejęta tymi opowieściami, że nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- My uprawiamy południowy styl *kalaripayatu*. Nie możemy jednak, zgodnie z tradycją, robić tego w biały dzień.

Poruszona jego słowami nie zauważyła, kiedy umilkł, jak gdyby już powiedział za dużo.

- A jak wygląda taka walka? - zapytała z błyszczącymi oczami. - Czy mogłabym kiedyś popatrzeć?

Vikrama zmarszczył czoło.

- Obawiam się, że to nie będzie proste. W naszych ćwiczeniach uczestniczą wyłącznie mężczyźni. Kobiety trzymają się z boku. Wolno im wprawdzie patrzeć, jednak nie jest to mile widziane, bo rozpraszają walczących albo skłaniają ich do lekkomyślnych kroków, na które ci się decydują, aby im się przypodobać.

- To całkiem jak u nas - uśmiechnęła się Grace. - Młodzi Anglicy również, pragnąc przypodobać się dziewczętom, robią czasem różne głupstwa.

- Może znajdę możliwość, żeby mogła pani popatrzeć gdzieś z ukrycia - powiedział. - Ale do tego czasu powinna pani lepiej

poznać teren. Nawet gdybym wziął panią ze sobą, nie będę mógł jej później odprowadzić.

Policzki Grace płonęły, jakby stała przy rozgrzanym piecu. Jakie to ekscytujące! W starej, poczciwej Anglii coś takiego byłoby nie do pomyślenia!

Naraz spostrzegła jednak, że twarz Vikramy spoważniała.

- Co się stało? - stropiła się, na co młody mężczyzna stanął przed nią i położył jej delikatnie dłonie na ramionach.

- To bardzo ważne, aby nie powiedziała pani o tym swojemu ojcu.

Bardzo proszę, niech pani zachowa to dla siebie.

Grace była zaskoczona.

- Ale...

- Jeszcze nie wiem, jakim on jest człowiekiem. W czasie podboju Indii wojownicy *kalaripayatu* dali się Anglikom mocno we znaki. Są plantacje, gdzie jego ćwiczenie jest surowo karane. Ten rodzaj sztuki walki jest zabroniony.

Próbując odzyskać równowagę, odpowiedziała: - Ale chyba nie ma pan zamiaru...

- Nie, nie zamierzamy zaatakować Anglików. Jest nas już tylko garstka i chodzi nam bardziej o podtrzymanie tradycji. To dlatego wymykam się nocą i spotykam z innymi pod osłoną lasu. I to dlatego nie chciałem pani powiedzieć, co robię.

A więc skojarzenie z asasynami nie było wcale takie nietrafione.

Grace potrzebowała dobrej chwili, żeby ułożyć sobie w głowie to, co usłyszała. Ten miły, młody człowiek uprawiał zatem pod nosem kolonialistów zakazaną sztukę walki, za co mógł zostać ukarany. A jednak zaufała jej, córce swojego kolonialnego chlebodawcy.

- Dlaczego opowiedział mi pan o tym wszystkim? - wydusiła z siebie.

- Przecież mogłabym pójść do ojca i o wszystkim mu donieść.

- Mogłaby pani - znów się uśmiechnął. - Ale pani tego nie zrobi.

Wiem o tym od chwili, kiedy nie wydała pani tej małej, która podkradła kucharce owoce. Może nie zdaje sobie pani z tego

sprawy, ale kradzież, nawet kradzież jedzenia, uchodzi wśród tutejszych właścicieli za ciężkie przestępstwo i jest karana chłostą.

- Ale chyba nie w wypadku dzieci... Vikrama pokiwał głową ze smutkiem.

- Również w wypadku dzieci. Ani wiek, ani płeć złodzieja nie mają żadnego znaczenia.

Wstrząśnięta Grace pokręciła głową.

- A skąd pan wie o tej dziewczynce?

- Sama mi powiedziała. To córka moich przyjaciół. Akurat byłem u nich w odwiedzinach. A teraz wracam do domu. Dlatego mnie pani tu spotkała.

Znów się uśmiechnął i puścił jej ramiona. Choć jego uścisk nie był

mocny, nadal czuła na sobie dotyk jego dłoni i przeniknęło ją jakieś dziwne uczucie.

- Obiecuję, że ojciec o niczym się nie dowie - powiedziała, a nim Vikrama zdążył odpowiedzieć, dodała: - Ale proszę mi obiecać, że będzie pan ostrożny. Pewnie kara za to jest jeszcze dotkliwsza niż za kradzież.

- Proszę się nie obawiać, panno Grace, dopóki nikt się nie dowie, czym się zajmuję, nie grozi mi żadna kara. A teraz będzie lepiej, jeśli odprowadzę już panią do domu. Jestem pewien, że uczestnicy balu już za panią tęsknią.

Zmierzając w jego towarzystwie z powrotem do domu, Grace zastanawiała się, czy istotnie zauważono już jej zniknięcie. Ojciec i matka są pewnie tak zaabsorbowani Stocktonami, że raczej niczego nie dostrzegli. A Victorię, która w międzyczasie zdążyła już zaprzyjaźnić się z innymi dziećmi, bardziej interesowało drażnienie służby albo podpijanie wina z kieliszków.

- O, Vikrama, znalazł pan moją córkę!

Grace wzdrygnęła się na widok idącego ku nim ojca. Choć nie robiła niczego złego, zaniepokoiła się, czy aby ojciec czegoś sobie nie pomyślał.

- Źle się poczułam - pośpieszyła z wyjaśnieniem. - Musiałam zaczerpnąć świeżego powietrza.

- A pan Vikrama zatroszczył się o twoje bezpieczeństwo...

- Akurat byłem w drodze do domu, sir - powiedział spokojnym tonem Vikrama. - Pozwoliłem sobie odwiedzić przyjaciół w wiosce.

Wydawało mi się, że pańska córka się zgubiła, więc zaproponowałem, że ją odprowadzę.

- To bardzo uprzejmie z pana strony. Chodź, Grace, chcę cię przedstawić paru osobom.

Kiedy popatrzyła na Vikramę, ten skłonił się lekko i oddalił się, rzuciwszy jej przedtem przenikliwe spojrzenie.

Dopiero teraz Grace spostrzegła stojącego za plecami ojca Stocktona, który przysłuchiwał się ich rozmowie. Uśmiechał się przy tym na poły gniewnie, na poły zgryźliwie. Mogła się tylko domyślać, z jakiego powodu. Tamtego dnia, kiedy omal nie stratował koniem Victorii, zrezygnowała z jego towarzystwa. Tymczasem teraz nie miała nic przeciwko opiece jakiegoś Tamila. Udała, że tego nie widzi, jednak czuła, jak jego wzrok wwierca się między jej łopatki.

Po powrocie do sali balowej stwierdziła, że kompletnie tu nie pasuje.

Uśmiechała się oczywiście, tak jak tego od niej oczekiwano, jednak gdy tylko mogła, odwracała głowę w stronę okien, zza których spoglądała na nią ciemność.

Ciekawe, czy poszedł ćwiczyć? Wolałaby teraz być tam na zewnątrz i móc mu się przyglądać. Wiedziała jednak, że naraziłaby go tylko na niebezpieczeństwo. Poza tym ojciec nie spuści jej już z oka. Przez cały czas on albo matka ciągnęli ją gdzieś, by przedstawić kolejnym gościom. W rezultacie i tak nie była potem w stanie skojarzyć ich nazwisk z konkretnymi twarzami.

Przyjęcie zdawało się ciągnąć w nieskończoność, jednak kiedyś wreszcie dobiegło kresu. Stocktonowie pożegnali się. Dean nie omieszkał przy tym znów skomplementować ojca za jego „piękne panie” i zapowiedzieć się z ponowną wizytą. Pożegnali się i pozostali goście. Na odchodnym podchmielone damy chichotały, a ich mężowie sunęli do powozów niczym marynarze na rozhuśtanej łajbie.

- Córka Stocktonów jest okropnie nudna - orzekła Victoria w drodze do pokoju. - Widziałas, jaka jest blada? To z powodu rozlicznych chorób. Lekarz bywa u nich na okrągło.

Grace, która słuchała jej jednym uchem, mruknęła tylko: -Uhm.

- Nie jesteś ciekawa, skąd to wiem? Otóż ona uwielbia przechwalać się tym, jakież to kolejne niedomaganie zapędziło ją znowu do łóżka.

Teraz na przykład cierpi na zawroty głowy i arytmię serca. W zasadzie nie powinna była do nas przyjeżdżać, ale jej matka się uparła.

Słowa Victorii nie docierały jednak do Grace nawet wtedy, gdy znalazły się już w pokoju i zaczęły oswobadzać się z sukien.

- Za to Mary Cahill jest całkiem interesująca. Widziałas córkę pana Cahilla?

Grace pokręciła mechanicznie głową.

- Ona znajdzie męża bez problemu. Dobrze, że nie jesteśmy chłopakami, bo jeszcze upatrzyłaby sobie któregoś z nas.

W końcu zorientowała się, że siostra w ogóle jej nie słucha. Zamilkła więc i popatrzyła na nią.

- Co ci jest? Czemu nic nie mówisz?

- Nie, nic mi nie jest. Jestem tylko strasznie zmęczona. Ojciec z matką przedstawili mnie dosłownie każdemu z gości. Nie potrafiłabym ci teraz



nawet powiedzieć, z której rodziny pochodzą dany syn albo córka.

- Cóż, myślę, że twoje szanse, by nie wyjść za syna Stocktonów, chyba wzrosły - zaśmiała się Victoria. Kiedy jednak spostrzegła, że jej siostra nie zareagowała na jej żarcik, przysiadła obok niej na łóżku. -

Gdzie właściwie byłaś, kiedy ojciec po ciebie wyszedł?

- Spacerowałam - odpowiedziała Grace, rozpinając guziki sukni.

Marzyła, by znaleźć się w łóżku, albo usiąść na parapecie i mieć odrobinę spokoju, żeby pomyśleć.

- Spacerowałaś? Sama w takich ciemnościach? - Oczy Victorii zrobiły się okrągłe, jak gdyby usłyszała coś przerażającego. - Mógł cię porwać jakiś upiór.

- Nie sądzę. Wszystkie potencjalne upiory znajdowały się w sali balowej. Za to w szopach na herbatę panował spokój i wątpię, czy grasowały w nich jakieś herbaciane duchy.

- Nigdy nic nie wiadomo! - Victoria uniosła dłoń w ostrzegawczym geście. - Do każdego miejsca są przypisane jego duchy. Może po polach herbaty przechadza się na przykład duch stryja Richarda i dogląda swoich spraw?

Złowrogi ton, który młodsza siostra opanowała po mistrzowsku i którym posługiwała się zawsze, opowiadając choćby o kolejnej ze swoich powieści z dreszczykiem, sprawił, że Grace wzdrygnęła się mimowolnie.

- Bzdura! - powiedziała i wstała, by zdjąć suknię. - Stryj Richard tutaj nie straszy. Inaczej już by się nam pokazał. Nie zapominaj, że duchy potrzebują publiczności.

Ucałowawszy siostrę w czoło, pozbyła się kolejnych warstw spódnic, po czym w samej koszulce i pantalonach wślizgnęła się do łóżka.

Victoria z westchnieniem poszła za jej przykładem.

Tej nocy Grace nie usiadła jednak przy oknie. Leżąc w łóżku z szeroko otwartymi oczami, wpatrywała się w pomalowany na biało sufit bez żadnych zdobień czy stiuków i podążała za kolejnymi pytaniami pojawiającymi się w jej głowie.

To najważniejsze zadałaby mu już wtedy, gdy szli przez ogród. Czy ma żonę? Albo narzeczoną? Dotarło do niej przy tym, że choć nie zna odpowiedzi, czuje coś na kształt zazdrości. Nie chcąc jednak, by myśl o owej wyimaginowanej rywalce siała w jej głowie zamęt, spróbowała wyobrazić sobie, jak wygląda sztuka walki, o której opowiadał. Czy fechtują jak

rycerze? Czy może raczej walczą wręcz jak podczas tych walk gdzieś w londyńskich zaułkach? Naturalnie jeszcze nigdy takiej walki nie widziała, jednak wystarczały jej opisy z awanturniczych powieści Victorii. Podekscytowana zamknęła w końcu oczy i zapadła w niespokojny sen, pełen obrazów dziwnych mężczyzn w jeszcze dziwniejszych białych szatach.

Przez kolejne tygodnie Grace próbowała poznać bliżej życie zbieraczek i ich otoczenie, no i niby przypadkiem wpaść na Vikramę.

Czuła bowiem, że spoza jego sumiennej postawy zaczyna wyzierać coraz więcej cech jego charakteru, no i uczuć. W dalszym ciągu niemal co noc zniknął w zaroślach i wyłaniał się z nich po kilku godzinach.

Niekiedy unosił głowę i spostrzegłszy ją w oknie, uśmiechał się.

Czasami jednak zdawał się tak bardzo pochłonięty myślami, że nie patrzył w jej okno, a Grace zachodziła potem w głowę, co go tak zafrapowało.

Nocne czuwanie skutkowało późniejszym porannym wstawaniem z łóżka.

- Nie przychodzisz już wcale na lekcje - zdziwiła się Victoria któregoś ranka, kiedy siostra podniosła się ociężale z pościeli. - Nawet pan Norris już się stęsknił. A ojciec zastanawia się, dlaczego od dwóch tygodni każesz sobie przynosić śniadanie do pokoju.

- Przyglądam się życiu na plantacji - odpowiedziała wymijająco Grace. Miała nadzieję, że siostra nie domyśli się prawdziwego powodu jej samotnych spacerów.

- A co robisz nocą, jak już położymy się spać? Grace milczała z zakłopotaniem.

- Widziałam tej nocy, jak siedzisz w oknie i patrzysz na księżyc.

Chyba nie lunatykujesz?

- Blask księżyca... przeszkadza mi spać - odpowiedziała, licząc, że Victoria się tym zadowoli. W końcu z jej łóżka nie było widać, co dzieje się za oknem.

- Widziałam, jak się przy tym uśmiechasz. Jak gdybyś myślała o czymś miłym - dodała Victoria niemal uradowana, że odkryła jakąś tajemnicę swojej starszej siostry. - Chyba nie zamierzasz, za przykładem poetów, pisywać poematów do księżyca. Albo jak ten niemiecki malarz malować wyłącznie krajobrazów z księżycem.

- Masz na myśli Caspara Davida Friedricha? Nie, nie sędzę, bym mogła

dojść do jego biegłości. - Niewinne skojarzenia siostry pozwoliły odzyskać Grace pewność siebie. - Odkąd

tu przyjechałyśmy, zawsze zrywam się ze snu o tej samej godzinie i zasypiam znowu długo po północy.

- To nie jest normalne - stwierdziła Victoria. - Powinnaś o tym powiedzieć lekarzowi.

- Ale my nie mamy jeszcze żadnego lekarza, głuptasku. - Grace pogładziła siostrę po głowie. - Poza tym nic mi nie dolega. A powód pewnie tkwi w przesunięciu czasu. W jednym z żurnali ojca przeczytałam, że słońce wstaje tu kilka godzin wcześniej niż w naszych ojczystych stronach. Najwyraźniej nie mogę się do tego przyzwyczaić.

A w dodatku wieczór zapada tu wcześniej niż u nas.

Im dłużej mówiła, tym bardziej podobały się jej te tłumaczenia.

Nawet pan Norris nie mógłby im zaprzeczyć.

Ojciec zagadnął ją o samopoczucie podczas kolacji. Powtórzyła więc mu wszystko to, co mówiła Victorii. Wówczas Henry spojrział z wyrzutem na żonę.

- Nasza córka musi przywyknąć do tutejszych warunków. Czy panna Giles nie może czegoś zrobić?

- A cóż miałyby działać na bezsenność? - zapytała zdumiona Claudia. - Może śpiewać jej kołysanki? - Następnie nachyliwszy się do Grace, dodała: - Myślę, kochanie, że jakoś przeżyjemy twoją nieobecność podczas śniadania. Niemniej jednak spróbuj popracować nad swoim biologicznym rytmem.

- Tak zrobię - obiecała Grace z powagą, za to w myślach znów siedziała przy oknie, patrząc, jak z gąszczy wyłania się Vikrama w swoim dziwnym ubraniu.

Pośród tematów poruszonych na przyjęciu przez Stocktona i jej ojca pojawiła się także kwestia zatrudnienia na plantacji angielskich robotników. Mieli oni zająć się transportem oraz nadzorem nad zbieraczkami. Henry zaangażował drugiego nadzorcę. Został nim Jeff Petersen, kościsty blondyn, który kiedyś pracował na owczej farmie w Nowej Zelandii. Jego cechą charakterystyczną,

oprócz wielkiego nochala, był pleciony z rzemieni pejcz, który nosił zawsze przy sobie. Choć mówił cicho, jego głos brzmiał złowrogo. Nie był człowiekiem tolerującym jakiegokolwiek niedociągnięcia. Było widać, że gdy tylko zyska zaufanie swojego pracodawcy, zacznie tu rządzić twardą ręką.

Vikrama nie był z tego powodu szczęśliwy. Owce to nie herbata, a zbieraczki nie potrzebują żadnego poganiacza. Dają z siebie wszystko, bo doceniają życie na plantacji i szanują Richarda Tremayne'a nawet po jego śmierci. Zdają też sobie sprawę, że gdyby nie plantacja, należąc do najniższej kasty, byłyby skazane na życie w nędzy.

- Proszę wybaczyć, sir. Czy nie jest pan zadowolony z mojej pracy? -

zwrócił się więc do Henrygo podczas codziennej odprawy. Nowy nadzorca jeszcze w niej nie uczestniczył, jednak wkrótce miało się to zmienić.

- Wręcz przeciwnie, mój drogi. Jestem z pana bardzo zadowolony. I to tak bardzo, że postanowiłem ustanowić pana moim zarządcą.

Vikrama popatrzył na niego zdziwiony.

- Ale pan Cahill...

- Pan Cahill jest moim adwokatem i jestem zdania, że ta funkcja w pełni go satysfakcjonuje. Natomiast uważam, że pan marnuje swoje talenty na posadzie nadzorca. Pan Petersen będzie panu podlegał.

Gdyby uczynił coś niezgodnego z pańskim doświadczeniem, będzie pan upoważniony, by go upomnieć.

Vikrama nie był jednak do końca zadowolony. Dobrze znał zbieraczki i wiedział, jak je motywować bez użycia pejcza. Natomiast wystarczyło jedno spojrzenie na Petersena, by się przekonać, że po jego wejściu na pola ten stan rzeczy się zmieni.

- Nie wygląda pan na zadowolonego z mojej decyzji.

- To pan tu rządzi, sir. Nie wątpię, że wszystkie pańskie decyzje służą dobru plantacji.

Henry spojrzał na niego badawczym wzrokiem, po czym skinął głową.

- Proszę się napić herbaty, panie Vikrama. Miał pan rację, nasza plantacja produkuje naprawdę pierwszorzędny napój.

Vikrama w milczeniu spełnił jego prośbę, następnie zapytał: - Czy zauważył pan już może, że kobiety na polu śpiewają? Henry zmarszczył czoło. Skąd mu to przyszło do głowy?

- Kiedy wizytowaliśmy plantację, panowała cisza.

- To prawda. Kobiety widziały, że się zbliżamy. Gdyby jednak znalazł się tam pan niezauważony, miałby pan okazję posłuchać ich śpiewu.

- To wszystko miłe i piękne, ale co to ma wspólnego z tematem naszej

rozmowy?

- Nic, sir, chciałem panu tylko zwrócić na to uwagę. One śpiewają pięknie, a my na tej podstawie wiemy, że nasze zbieraczki są zadowolone. Dopóki będzie słycać ich śpiew, Vannattuppucci będzie dalej produkować tak znakomitą herbatę, a pan zyska dzięki temu sławę na całym świecie.

Henry uznał jego słowa za dziwaczne, ale nie dał tego po sobie poznać. Zresztą cóż mógłby odpowiedzieć? Żaden mądry człowiek nie wygaduje takich rzeczy... Naraz zrodziło się w nim poczucie nieufności. Może ten chłopak zamierzał zbuntować ludzi przeciw niemu, gdyby nie zrobił tego, czego od niego oczekiwano?

Spojrzał w twarz swojego rozmówcy, która wydawała się nie-poruszona, a jednak coś mu mówiło, że to tylko maska, pod którą wszystko kipi. „Nie mogę go spuszczać z oczu, ani na chwilę”, pomyślał.

Kiedy nowi pracownicy pojawili się na plantacji, to i owo się zmieniło. Wzrosła wydajność, a na polach zapanowała cisza. Kobiety pracowały szybciej, ale już nie śpiewały. Według pana Petersena śpiew odciągał od pracy.

Jednak Henry Tremayne nie zauważył tej zmiany. Zapomniał szybko o słowach Vikramy, a zarządca już więcej do tego tematu nie wracał.

Zmienił się i sam Vikrama. Stał się milczący i wycofany. Zdawał sobie sprawę, że Petersen i pozostali biali pracownicy nie będą słucać jakiegos mieszańca. A gdyby doszło do konfliktu, pan Tremayne stanie po ich stronie. Sądził, że to dlatego, że tamtego balowego wieczoru odprowadził jego córkę. Zapewne Stockton uświadomił mu szybko, że tak nie wypada. Ten sam Stockton, z którym pan Richard w ostatnim czasie strasznie się pokłócił i którego Vikrama obwinił w duchu za jego śmierć. Czy mógł jednak być takiego zdania o panu Tremayne?

Uznał, że lepiej będzie milczeć - wiedział, że Anglicy trzymają się razem - i schodzić też z drogi córkom Tremaynea, choć unikanie Grace przyjdzie mu z trudem. Jasności Grace, tak innej od pozostałych kobiet. Jeszcze nigdy do żadnej kobiety nie zapałał tak wielką sympatią... Jednak dla dobra swoich ludzi postanowił jej unikać.

Lepiej, żeby Tremayne nie nabrał jakichś podejrzeń...

O ile ojciec nie zauważył żadnej zmiany w zachowaniu Vikramy, Grace zorientowała się natychmiast. Kiedy spotykali się gdzieś na plantacji, nie rozmawiał już z nią tak beztrosko, jak dawniej. Wydawał

się powściągliwy, czasami wręcz sztywny i Grace już po paru chwilach oddalała się stropiona, ganiąc się przy tym za to, że w jej myślach zajmował coraz więcej miejsca. Kiedy jednak rozczarowanie mijało, zastanawiała się, co było powodem tej zmiany Problemy na plantacji?

Problemy z jej ojcem? Jej uwagi nie uszło pojawienie się pracowników poleconych przez Stocktona. I to, że Vikrama przebywał teraz raczej w biurze niż na polach. Czy to także sprawka Stocktona? Mimo że nie miała na to żadnych dowodów, jej złość na sąsiada jeszcze się wzmoгла.

Któregoś ciepłego, słonecznego dnia przed południem, akurat kiedy Victoria biedziła się, pisząc dyktando, Grace postanowiła napisać wreszcie do przyjaciółek z Londynu. Zamierzała to zrobić już po przybyciu do Kolombo, jednak zbyt wiele się wtedy działo.

W pewnym momencie, słysząc jakiś przenikliwy krzyk, cofnęła gwałtownie rękę z piórem. Na kartce pojawiła się długa paskudna kreska, niczym cięta rana na skórze. Ale nie to było najważniejsze.

Przypuszczając, że stało się coś niedobrego, dopadła do okna, a kiedy nie udało jej się nic zobaczyć, wyszła szybko z pokoju.

Wyglądało na to, że nikt poza nią niczego nie zauważył. Dopiero kiedy wyjrzała na zewnątrz z okien holu, spostrzegła tłum zgromadzony przed szopami na herbatę. Na podwórzu nadal rozlegały się czyjeś krzyki. Co tam się dzieje?

Z początku chciała powiedzieć o tym ojcu, ale ten wyjechał wczesnym rankiem. Z kolei matka leżała w łóżku złożona kolejną migreną. Skoro nie było nikogo, kto mógłby się tym zająć, sama uniosła suknię i wybiegła z domu.

Ostre, świszczące odgłosy rozlegające się pomiędzy kolejnymi krzykami zmroziły jej krew w żyłach. Kiedyś już je słyszała. To było w Plymouth, gdzie wsiadali na statek płynący na Cejlon. Zaczęła się przeciskać pomiędzy kobietami, które na jej widok zaczęły się przed nią rozstępować.

Petersen chłostał pejczem kobietę przywiązaną do palmy. Grace skamieniała na widok krwi na jej ubraniu.

- Niech pan przestanie! - krzyknęła, ale pejcz znów smagnął plecy kobiety.

Grace wzdrygnęła się, a potem ruszyła dalej do przodu. Kilku mężczyzn przepuściło ją z przestrachem, jeden z nich zawołał coś do nadzorcy, ale nie zrozumiała jego słów. Uświadomiła sobie, że może go powstrzymać tylko w

jeden sposób. Stała więc między nim a chłostaną kobietą, a ręką brygadzysty zastęgała w górze.

Petersen wydał z siebie pomruk wściekłości, jednak zaraz się zreflektował, z kim ma do czynienia.

- Proszę mi zejść z drogi, panno Grace!

Co za impertynent! Jak śmie jej rozkazywać?

- Niech pan kontynuuje, tyle że tym razem trafi pan mnie! - na-skoczyła na stojącego nadal z uniesioną ręką mężczyznę. - Ciekawe, jak pan wytłumaczy mojemu ojcu ślady pejcza na twarzy jego córki!

Na chwilę czas jakby się zatrzymał. Umilkły też szepty wśród zbieraczek, wzniecone jej przybyciem. Petersen zagryzł wargę, jak gdyby rzeczywiście rozważał, czy nie powinien wymierzyć kolejnego razu. W końcu opuścił rękę.

- Mam prawo ukarać tę kobietę! - zamruczał. - Ona kradła.

- Co kradła? Herbatę?

- Jabłka z jabłoni.

Grace wciągnęła powietrze, kręcąc głową z niedowierzaniem.

- Chłoscze ją pan, bo wzięła parę jabłek? Z tamtego drzewa? -

zapytała i wskazała na drzewo, które już swoim kształtem zdradzało, jak bardzo jest obce w tym miejscu. Swoją drogą co też skłoniło stryja Richarda, by je tu zasadzić, z góry skazując na degenerację?

- Kosztował pan już tych jabłek?

- Gdzieżbym śmiał, ma'am - wyprężył pierś Petersen.

- W takim razie powinien pan to zrobić - mknęła Grace. - Te jabłka kompletnie nie nadają się do jedzenia i tylko dlatego są jeszcze na drzewie! A jeżeli ktokolwiek ma ochotę je zjeść, to wolno mu to zrobić!

- Ale pani ojciec z pewnością...

- Mojego ojca nie obchodzi to drzewo! A nawet gdyby było inaczej, na pewno nie pozwoliłby na wychłostanie tej kobiety. Tego typu kary to średniowieczny relikwiarz i nie ma dla nich miejsca wśród kulturalnych ludzi. A teraz proszę ją odwiązać i zadbać, by opatrzone jej rany!

Nadzorca zazgrzytał zębami. Na Grace nie zrobiło to jednak żadnego wrażenia, więc jak niepyszny zwinął swój pejcz. Nie mógł się przy tym powstrzymać i rzucił:

- Doniosę o wszystkim pani ojcu!

- Proszę bardzo, tylko niech pan nie zapomni opowiedzieć o swoim zachowaniu! Bo ja z pewnością nie omieszkam mu o tym donieść, panie

Petersen!

Ich spojrzenia skrzyżowały się na moment. W oczach nadzorcy Grace dostrzegła wyraźnie chęć rewanzu. „To ja jestem dziedziczką - powiedziała sobie w myślach. - A pewnego dnia to ja poprowadzę tę plantację - z mężem albo bez”.

Istotnie ojciec, już kilka minut po powrocie, dowiedział się o całym zajściu, następnie przywołał do siebie córkę. Po wejściu do gabinetu spostrzegła pobladłego Vikramę stojącego obok ojca.

- Usiądź, Grace! - odezwał się Henry. Wyglądał przy tym na zdenerwowanego. Kiedy zajęła krzesło naprzeciw biurka, ojciec wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. Popatrzyła na Vikramę, ale na jego twarzy malował się taki przestach, że szybko spuściła wzrok. Ojciec zapewne skarciłby ją dotkliwie, gdyby się odezwała.

- Pan Petersen powiedział mi właśnie, co zaszło tam na dziedzińcu.

- Ojciec, on wychłostał kobietę! - wybuchła Grace. - Cokolwiek jeszcze ci powiedział, kłamał.

- Grace! - zagrmiał ojciec, więc zamilkła.

- Przepraszam - spuściła głowę, jednak z trudem panowała nad wzburzeniem. Czy ma ponieść karę za to, że nadzorca zachował się niczym średniowieczny kat?

- Chyba nie muszę ci mówić, że takie zachowanie całkowicie nie przystoi młodej damie! Przecież on mógł cię zranić!

- To znaczy, że pozwoliłeś Petersenowi chłostać zbieraczki?

I to z powodu jabłek, których nawet nie jemy?

- Chodzi o pryncypia. Kradzież to kradzież!

- Co najwyżej drobny występki! Nawet w Anglii nikogo nie karze się już chłostą.

- Owszem, ale złodzieja zwalnia się z pracy i nie daje referencji.

- Powinieneś raczej zaoferować tej kobiecie zadośćuczynienie za poniesione krzywdy! - Oczy Grace zapłonęły gniewem. Gdzie

podział się ojciec, którego znała? Czyżby Stockton zastąpił go jakąś marionetką? - Od kiedy żyjemy jak barbarzyńcy?

Henry zacisnął usta, a jego policzki nabiegły krwią. Niechybna oznaka ataku wściekłości. Grace poczuła naraz ucisk w brzuchu. Nie, to nie był strach. Dotarło do niej, że ojciec nie jest po jej stronie.

Zapewne już podczas rozmowy z Petersenem przyjął jako swoje jego



stanowisko.

- Nie będziesz nigdy więcej wtrącać się w sprawy moich pracowników! - powiedział cicho, jednak groźba w jego głosie zabrzmiała bardzo wyraźnie. - A za twój brak szacunku udzielam ci aresztu domowego do końca dnia. Nie chcę cię widzieć poza domem, zrozumiałaś?

Grace popatrzyła na ojca zdumiona. Od ostatniego razu, kiedy ojciec ukarał ją aresztem, minęło przeszło osiem lat. Wtedy, podczas przyjęcia w ogrodzie, wdrapała się w białej koronkowej sukience na drzewo, żeby mieć lepszy widok na park. Oczywiście sukienka się zniszczyła, a ona cały dzień musiała się nudzić sama w swoim pokoju, bo mała Victoria musiała zostać pod opieką matki.

„Chyba nie mówisz poważnie?”, miała ochotę zapytać, ale słowa uwięzły jej w gardle. Popatrzyła na Vikramę. Nie umiała jednak odczytać jego spojrzenia i tylko zerwała się z krzesła.

Ojciec spojrział na nią gniewnie. - - Jutro oczekuję stosownych przeprosin. Możesz odejść.

Grace poczuła, jak ściska się jej serce. W oczach zalśniły łzy, łzy złości i rozczarowania. Powstrzymała je jednak, obróciła się powoli i wyszła z gabinetu. Panowała jeszcze nad sobą, przechodząc przez hol.

Przy schodach matka rozmawiała z panną Giles o obrazie z hinduskimi bóstwami, pod którym wciąż czyjeś niewidzialne ręce składały kwiaty.

Przez cały miesiąc, odkąd tu przybyli, nikomu nie udało się przyuważyć żadnego z wyznawców. Potrafili chyba wybierać najdogodniejszy moment.

Grace udało się przejść obok nich bezszelestnie i znalazła się na korytarzu. Tu, pod osłoną półmroku, mogła sobie wreszcie pozwolić na łzy. Zapłakała więc bezgłośnie nad doznaną

niesprawiedliwością i nad obojętnością ojca wobec życia swoich podwładnych. Płakała również dlatego, że świadkiem tej rozmowy był

Vikrama. To był chyba najważniejszy powód jej łez.

Znalazłszy się na końcu korytarza, przystanęła. Usłyszała wyraźnie, jak Victoria nuci jakąś melodię. Pewnie siedzi przed sztalugą i maluje.

Gdyby zobaczyła teraz zapłakaną siostrę, nie omieszkałaby zapytać o powód jej płaczu. Mimo że wiedziała, iż ma Victorię po swojej stronie, wołała nic jej nie mówić. Nie pokazywać jej, jak bardzo ojciec ją zranił.

Po chwili zastanowienia przypomniała sobie o męskim saloniku.

Wiedziała, że ojciec jeszcze go nie zajął. Odwróciła się więc na pięcie i ze ściśniętym gardłem ruszyła do drzwi, które otworzyły z siostrą kilka

tygodni temu. Z holu wciąż docierały do niej głosy matki i guwernantki. Bojąc się, by jej nie usłyszały, nacisnęła klamkę z najwyższą ostrożnością.

Zaledwie znalazła się za progiem, zawładnął ją jakiś dziwny czar.

Jak gdyby czekał tam na nią stryj Richard we własnej osobie, chcąc ją pocieszyć. Łzy przestały płynąć, a umysł znów zaczął pracować na chłodno. Poczucie doznanej krzywdy odpłynęło gdzieś na bok, ustępując miejsca całkiem innej myśli.

Kim właściwie był Richard Tremayne? Zrobiło jej się żal, że wie o nim tak mało. Ciekawe, czy i on ukarałby ją za to, że ujęła się za kobietą pracującą w majątku. Ciekawe, jak sam traktował swoich podwładnych. Z tych niewielu zdań, jakie usłyszała na jego temat od Vikramy, wynikało, że darzono go tutaj wielkim szacunkiem.

Zarzuciła myśl, że stryj mógł prowadzić zapiski. Mężscy przedstawiciele rodu Tremayne'ów nie mieli w zwyczaju pisać pamiętników.

A jeśli Richard choć w niewielkim stopniu przypominał brata, musiał być raczej stąpającym twardo po ziemi człowiekiem, koncentrującym się na tym, co tu i teraz, a nie oddającym się wspomnieniom i bezproduktywnym rozmyśleniom.

Ona wprawdzie także należała do tego samego rodu, jednak tego typu skłonności musiała odziedziczyć po kądzieli. Matka

również dużo rozmyślała. Myślała o wszystkim, i choć lekarz w tym właśnie upatrywał przyczyny jej migren, nie umiała z tym skończyć.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, po jej gniewnym płaczu pozostał już zaledwie cichy szloch, jak u dziecka, które po gwałtownym wybuchu już za chwilę nie pamięta, dlaczego w ogóle płakało. Przeszła się po pokoju z zadumą, przesuwając dłonią po prześcieradłach, pod którymi można było wyczuć kształty znajdujących się tu mebli. Otworzyła klapę pianina i nacisnęła na jeden z białych klawiszy. Ton, jaki się rozległ, zabrzmiał dość fałszywie. Pianino musiało być nieużywane na długo przed śmiercią stryja. Po co w takim razie kazał je tu wstawić?

Może zamierzał uczyć się grać? I ten wątek uznała jednak za mało prawdopodobny. Pewnie chciał zrobić wrażenie na swoich przyjaciółkach i znajomych z klubu.

W pewnym momencie coś kazało jej podejść do niedużej, empirowej komódki, stojącej pod obrazem przedstawiającym jezioro i dworek.

Grace początkowo sądziła, że to Tremayne House, ale się myliła.

Malowidło nie miało chyba żadnej wartości sentymentalnej, a stryj

powiesił je tu zwyczajnie dla ozdoby.

Ściągnawszy prześcieradło, otworzyła pierwszą szufladkę. Serce biło jej mocno. Ciekawe, czy znajdzie tu coś, co pozwoli jej lepiej poznać stryja Richarda. Rozległo się skrzypnięcie i jej oczom ukazało się dno wyściełane nieco zużyтым, czerwonym aksamitem. Odcisnięte na nim kształty wskazywały, że w szufladzie spoczywać musiały jakieś przedmioty, które jednak dawno zostały z niej wyjęte. Przesunęła palcami po materiale, a kiedy niczego nie znalazła również pod nim, zamknęła szufladkę i zajęła się następną. W tej znajdowało się kilka karteczek, pożółkłe rachunki zapisane po tamilsku, pusta tabakiera z popsutym zawiasem i fragment mosiężnego łańcuszka. Same szpargały, które pozostały po opróżnieniu szuflady z najważniejszych rzeczy.

W ostatniej szufladce, która z początku nie dawała się otworzyć, zrazu nic nie znalazła. Jednak kiedy pociągnęła mocniej, oprócz skrzypnięcia dosłyszała jakiś grzechot. Zaintrygowana

wysunęła więc ją do końca, a jej poszukiwania zostały uwieńczone jakimś błyszczącym przedmiotem. Nie umiałaby przy tym powiedzieć, czy został on celowo położony tak głęboko, czy też znalazł się tam pod wpływem gwałtownego pociągnięcia za szufladkę. Zresztą jakie to miało znaczenie? Wyjęła go ostrożnie ze środka. Medalion był bardzo stary, srebro całkiem zaśniedziało, łańcuszek był prawie czarny. Grace drżącymi rękami próbowała go otworzyć, ale nie było to łatwe. Może jego zawartość broniła się przed jej spojrzeniem?

W pewnym momencie usłyszała za drzwiami coraz głośniejsze głosy i zamarła. Czyżby matka i panna Giles szły po nią aż tutaj?

Powstrzymała się, by wybiec z pokoju i udawać, że akurat wraca z rozmowy z ojcem. Zamiast tego stanęła przy ścianie obok obrazu, ściskając w dłoni medalion tak mocno, jak gdyby był magicznym przedmiotem zapewniającym niewidzialność. Po chwili głosy zaczęły cichnąć. Gdzieś otworzyły się jakieś drzwi. To nasz pokój, przeraziła się Grace. Matka dowie się zaraz od Victorii, że nie ma jej z nią. Że została wezwana przez ojca.

Czy zechcą zajrzeć tutaj? A zresztą, dlaczego w ogóle tak się boi?

Czy ten pokój nie stanowi części ich domu?

Oddychała cicho. Czowała, jak medalion w jej dłoni stopniowo się ogrzewa. Znow rozległ się odgłos otwieranych drzwi. Do jej uszu dobiegły czyjeś kroki, tym razem jednak nie towarzyszyła im rozmowa. Osoby na korytarzu, najpewniej matka i panna Giles, przeszły obok salonu i w końcu znow

zalażły się w holu.

Grace odetchnęła z ulgą, po czym spojrzała na medalion. Nie uda się go otworzyć bez pomocy nożyka do listów albo przynajmniej igły.

Zawiesiła sobie na szyi pachnący postarzałym metalem łańcuszek, a medalion ukryła pod sukienką. Następnie zasunęła szufladkę, okryła mebel ponownie prześcieradłem i rzuciwszy jeszcze okiem na obraz, wyszła z pokoju.

Tak jak przypuszczała, Victoria siedziała przed sztalugą. Malowała bukiet kwiatów plumerii w stojącym przed nią srebrzystym wazonie.

- A, to ty. Myślałam, że to znowu panna Giles. Jak rozmowa z ojcem?

- Niezbyt dobrze - odpowiedziała Grace.

- Słyszałam już, co zrobiłaś. Cała plantacja mówi tylko o tym.

Powiedział o tym panu Norrisowi któryś z robotników. Myśleli, że jestem tak zajęta pracą, że nic nie słyszę. Wykazałaś się szaleńczą odwagą!

- Tak myślisz? - westchnęła Grace, siadając na łóżku. - Tak czy inaczej dostałam za to areszt domowy. Ale najgorsze, że ojciec besztął mnie jak małe dziecko w obecności Vikramy.

Victoria uniosła brwi.

- Areszt domowy? Przecież ty masz już osiemnaście lat! Jak on może cię karać w ten sposób?

Grace wzruszyła tylko ramionami.

- Najwidoczniej może, jeżeli nie zachowujesz się jak dorosła. Zresztą ja sama nie wiem, co się ze mną dzieje. Jeszcze parę tygodni temu byłam skłonna robić wszystko, czego ode mnie wymagano.

- Nie jesteś już w Anglii. U nas takie barbarzyństwo jak chłosta nie uchodzi w kulturalnych kręgach. Możesz być pewna, że ojciec zrobi coś z tym nadzorcą. Jednak to on jest tu panem. Nie ty.

- Ale kto miał pomóc tej biednej kobiecie? Nie było nikogo, kto by go powstrzymał. - Pomyślała o Vikramie, tyle że jego ojciec trzymał teraz wciąż przy sobie.

Nie ruszyła kolacji przyniesionej przez jedną ze służących i tylko usiadła w otwartym oknie. Przynajmniej tego ojciec nie mógł jej zabronić. Widok na zielone krzewy rozmyły łzy, którym znów się poddała, bolejąc nad swoją krzywdą. Nowa fala żalości ogarnęła ją zaraz po tym, jak Victoria wyszła na kolację.

Dlaczego nie przyznał jej racji? I dlaczego musiał ją ukarać w obecności

Vikramy?

To oraz myśl, że Petersen zapewne świetnie się teraz bawi, bolało ją tak, jak gdyby ktoś wbijał jej w pierś rozżarzony nóż. Ojciec ją zdradził. Nigdy nie pomyślałaby, że coś takiego kiedykolwiek nastąpi.

- To było bardzo niemądre!

Grace wzdrygnęła się. Kiedy wyjrzała przez okno, zobaczyła ubranego na czarno Vikramę. Twarz wciąż miał bladą, a oczy błyszczące. Co robi tu pod domem? Jeżeli ktoś go zobaczy...

Nie miała jednak siły, by go odprawić.

- To była jedyna rzecz, jaką mogłam zrobić - odpowiedziała, ocierając dłonią łzy. - Nie chciałam patrzeć, jak on chłoszcze tę kobietę. Przecież ona wzięła tylko kilka kwaśnych jabłek.

- Jabłek należących do pani ojca - dodał Vikrama.

Czyżby i on przeszedł na jego stronę? Poczwała naraz, jak bardzo chce wrócić do Londynu. Jak mogła się dać tak zwieść tym pięknym widokom? Najwyraźniej w niejednego człowieka, który znalazł się z dala od ojczyzny, wstępowało dzikie zwierzę.

- Tak samo jak i do mnie! Równie dobrze mogłabym je zerwać i jej podarować - powiedziała przekornie.

- To by było co innego. Ale to była kradzież. Będę musiał pouczyć zbieraczki, by w przyszłości tego nie robiły. Mamy teraz nowego pracodawcę, który nie zna zwyczajów swojego poprzednika.

Płynąca z jego słów pogarda poraziła Grace.

- Czy to znaczy, że mój stryj pozwalał ludziom zrywać te jabłka?

Na twarzy Vikramy pojawił się na chwilę tęskny uśmiech.

- Tak, pozwalał.

- To dlaczego nie powiedział pan o tym mojemu ojcu? On mógł nie wiedzieć... - urwała, widząc smutny wyraz jego oczu.

- Trochę się tu zmieniło, odkąd zatrudnił tych nowych ludzi -

powiedział cicho. - A ze mnie zrobił swojego psa gończego. Nie mam już kontaktu z ludźmi na polach. Muszę mu towarzyszyć podczas spotkań i przekazywać jego polecenia nadzorcy. Ale

wiem, że ci ludzie zaczynają powoli przejmować władzę. Pewnego dnia okażę się zbędny i on każe mi odejść. Tamilski mieszaniec nie pasuje po prostu do tak ważnej pozycji na plantacji.

„Przeklęty Stocktoni - pomyślała Grace z gniewem. - To on wciąż

podpuszcza ojca”.

- Nie sądzę, że mój ojciec stanie się taki. Ceni pańskie umiejętności i pewnie chce pana mieć przy sobie, bo sam nie czuje się jeszcze zbyt pewnie w dziedzinie uprawy.

- Być może - odparł Vikrama, spoglądając na swoje ręce i daremnie usiłując ukryć wzburzenie. - Być może się mylę. Ale niepokoi mnie, że nie mam już prawie kontaktu ze zbieraczkami i pozostałymi robotnikami. Oni mi ufają i pod moją komendą chętnie pracowali dla swojego pana. Za to teraz Petersen i jego ludzie patrolują plantację z bronią przy boku, choć nie ma po temu żadnej potrzeby, a Petersen wymierza kobiecie chłostę z powodu rzekomej kradzieży jabłek... -

Zaczął drżeć na całym ciele. Wyglądało na to, że z chęcią rozprawiłby się i z nadzorcą, i z jego podkomendnymi. Potem popatrzył na Grace.

Jego spojrzenie przenikało ją na wskroś. - Dziękuję, że wstawiła się pani za moimi ludźmi. Że obroniła pani Naalę.

- Naala to jej imię? Vikrama kiwnął głową.

- Zapamiętam je.

- Blizny po pejczu zostaną jej na całe życie. Ona nigdy nie zapomni, kto i za co jej to zrobił. Ale nie zapomni także, że to córka jej pracodawcy uchroniła ją przed najgorszym. Nikt z mojego ludu tego nie zapomni.

Naraz ich twarze znalazły się tak blisko, że mógłby ją w każdej chwili pocałować. Jednak spuścił głowę i cofnął się.

- Panie Vikrama! - zawołała, zanim zdążył się odwrócić.

- Tak, panno Grace?

- Czy byłoby możliwe... - umilkła, bojąc się, że być może oczekuje zbyt wiele.

- O co chodzi? - uśmiechnął się.

Zebrała się więc na odwagę i dokończyła: - Czy mógłby pan nauczyć mnie trochę tamilskiego?

- Ale większość miejscowych mówi po angielsku.

- Tak, wiem, ale... wtedy tam na podwórzu... miałam ochotę pocieszyć Naalę w jej języku. No i chciałabym rozumieć, co mówiły tamte kobiety. Wydaje mi się, że byłoby... uprzemie, rozumieć ich język, nie uważa pan?

Serce kołatało jej jak oszalałe, a żołądek znów ścisnął się boleśnie.

Pomyślała, że się wygłupiła. Vikrama ma rację, przecież wszyscy tu mówią po angielsku. A po tym, co zaszło po południu, nikt nie będzie chciał,

by właściciele rozumieli ich język. Tylko w ten sposób mogli wyrazić swoje skargi bez obaw, że ktoś ich za to ukarze.

- Tamilski nie jest prosty w nauce - odezwał się po dłuższej chwili, podczas której przyglądał się jej uważnie. - Ale zrobię wszystko, by go panią nauczyć.

Następnie odwrócił się i zniknął w gąszczu zarośli.

Grace popatrzyła za nim z uśmiechem, po czym przypomniała sobie o medalionie. Wyjęła go z sukni, przyjrzała mu się i już chciała sięgnąć po jedną ze spinek do włosów, kiedy do pokoju wpadła z impetem Victoria. Szybko ukryła więc swój skarb za kołnierzykiem.

- Nie jesz? - zdziwiła się, widząc pełną tacę.

- Jem, właśnie zamierzałam usiąść do stołu.

- No to zabieraj się do jedzenia, drób smakuje wybornie! Poza tym nie musisz się dalej dąsać. Ojciec już się uspokoił. Oznajmił, że udzielił nagany Petersenowi z powodu tej chłosty. Zapewne miał ci tylko za złe, że się w to wmieszałaś.

„O nie, miał mi za złe, że nie jestem już tą grzeczną dziewczynką, do jakiej się przyzwyczaił”, pomyślała, ale pokiwała głową.

- Pójdę do niego zaraz z rana i przeproszę - oznajmiła. Dobrze przy tym wiedziała, jak wykorzysta odzyskaną wolność.

Kiedy następnego dnia rano przeprosiła ojca, a on zniósł jej karę, wybrała się do obejść zbieraczek. Naala, jak wiele innych, mieszkała z dziećmi na skraju plantacji. Dzieci miała dwójkę, ale najwyraźniej nie było żadnego męża. Syn był już na tyle duży, by pomagać przy pracach na polu, natomiast córeczka mogła mieć trzy, może cztery lata.

Patrzyła teraz na zbliżającą się Grace wielkimi oczami, po czym umknęła do środka.

Grace z przejęciem przyglądała się ich azyłowi, którego nie można było nazwać ani domem, ani chatą, ani nawet szopą. Zbite z dziurawych desek ściany pokrywał dach z liści palmowych, który na pewno nie chronił przed deszczem. Poczowała się niemal zawstydzona luksusem, w jakim ona sama żyła.

Chwilę później dziewczynka znów się pojawiła, dając jej znak rączką, aby weszła. Wewnątrz panował mrok, a w powietrzu unosił się zapach zaschłej krwi i gorzkich ziół. Obok posłania, na którym, leżąc na brzuchu, spoczywała Naala, stała staruszka o ciemnej skórze przypominającej łupinę

włoskiego orzecha. Długie życie wyryło na jej twarzy gęstą sieć zmarszczek. Zmierzyła przybyłą od stóp do głów brązowymi oczami, po czym jej twarz się rozjaśniła.

- Ty jesteś młoda miss.

Grace potrzebowała chwili, by zrozumieć wymówione z silnym akcentem słowa, następnie kiwnęła głową.

- To ja.

- Ty pomóc Naala.

- Tak. Chciałam się dowiedzieć, jak ona się czuje.

- Źle czuje - odparła kobieta i zsunęła odrobinę ściereczkę z pleców Naali.

Rany pokrywała wprawdzie jakaś maść, jednak nie maskowała ich, a jeszcze je uwypuklała. Wyglądały jak krwawe przepaście. Przerazona Grace zakryła twarz dłonią.

- Powinien ją obejrzeć lekarz. Staruszka potrząsnęła głową.

- Żaden lekarz. Ja być i dbać o nią. Moje lekarstwo pomaga na rany, tylko czekać.

Ton jej głosu sprawił, że Grace odstąpiła od swojego zamiaru. Miała jednak wątpliwości, czy w tym wypadku wystarczą tradycyjne metody.

A co jeśli wda się gangrena? Czytała kiedyś artykuł o tym, jak straszna jest śmierć z jej powodu.

- Czy mogę jeszcze przyjść i dowiedzieć się, jak ona się czuje?

- Pani chodzić, gdzie zechce - odpowiedziała staruszka, znów okrywając rany.

Grace pomyślała, że jest tu kompletnie zbędna. A tak bardzo chciałaby pomóc. Tylko jak?

Cisza, jaka zapanowała, stała się w końcu tak nieznośna, że Grace zdecydowała się pożegnać. Obiecała jednak, że zajdzie tu jeszcze za kilka dni.

Wracała do domu przez pola herbaty rozciągające się wokół niczym miękki zielony dywan. Towarzyszyły jej zaciekawione spojrzenia zbieraczek, które jednak szybko wracały do pracy. Szła w dół wąską ścieżką, spoglądając co rusz na chmury przyjmujące na błękitnym tle rozmaite niezwykle kształty. Ciekawe, czy zwiastują deszcz...

- Miss Grace! - usłyszała czyjś głos.

Ośloniła oczy od słońca i zobaczyła Vikramę. Dziś na koszulę z niedbale



podwiniętymi rękawami narzucił kamizelkę. Na jego ciemnych spodniach i wysokich butach znać było ślady kurzu. Musiał chyba wracać z objazdu.

- Pan Vikrama? - uśmiechnęła się do niego.

- Nadal chce się pani uczyć naszego języka?

- Oczywiście - odparła. - Akurat przed chwilą bardzo by mi się przydał.

Odwiedziłam Naalę. Ta kobieta, która u niej była, to zachorka, prawda?

Vikrama pokiwał głową.

- Przybyła z wioski już wczoraj, żeby opatrzyć rany. Na pewno zadba, by Naala niebawem wróciła do pracy.

Grace dosłyszała w jego głosie lekki ton wyrzutu. Kiedy wreszcie przestanie traktować ją tylko jak córkę swojego chlebodawcy?!

- Dla mnie najważniejsze jest to, aby rany się wygoiły i nie wdało się zakażenie. Czytałam kiedyś historie o zwyczajach na dawnych żaglowcach. Chłostani nierzadko umierali z powodu ran. Nie chcę, żeby Naala umarła.

- Jest pani zupełnie inna od reszty Angielek, jakie znam.

- Rozumiem, że to komplement! - odparła z uśmiechem. - Sądziłam, że jestem taka jak one, ale to miejsce ma magiczną moc.

- O tak, zmienia ludzi, jeśli tylko na to pozwolą - uśmiechnął się z rozmarzeniem, po czym założył ręce na plecach. - Co pani na to, żebyśmy umówili się jutro po południu na pierwszą lekcję? Akurat mam wolne.

- I swój wolny czas chce pan poświęcić na moją naukę?

- Nie mam nic innego do roboty. Poza tym zrobię to w słusznej sprawie. Może pani ojciec także któregoś dnia zainteresuje się tamilskim. Wówczas to pani będzie mogła go uczyć.

Grace omal nie parsknęła śmiechem. Jej ojciec miałby uczyć się czegoś od niej? On, który skarcił ją jak małe dziecko, bo podjęła samodzielną decyzję?

- Zrobię tak, jeśli się zainteresuje - powiedziała tylko, nie chcąc wyjść przed Vikramą na krnąbrną dziewczynkę. - Bardzo panu dziękuję.

Będę punktualnie.

Po powrocie do domu opadły ją jednak wątpliwości. Czy naprawdę powinna mu o tym opowiedzieć? Przypomniała sobie jednak spojrzenie Petersena. Spojrzenie obiecujące rewanż za jej ingerencję.

Gdyby zobaczył ją w towarzystwie Vikramy, spreparowałby zaraz jakieś kłamstwa i poszedł z nimi do ojca. Oboje popadliby w tarapaty.

Postanowiła zatem grać w otwarte karty.

Kiedy podczas kolacji, niemal trwożliwie, przedstawiła swój zamysł, wzbudziła ogólne zdumienie.

- Ale po co ci ten prymitywny język, skoro wszyscy naokoło mówią po angielsku? - zapytała matka, która choć zapewne wiedziała o ukaraniu córki, uznała już całe zajście za niebyłe.

- Chcę wiedzieć, co tutejsi ludzie naprawdę myślą - wyjaśniła Grace i popatrzyła na ojca, który nie wyglądał na skłonnego, by przychylić się do jej prośby.

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, jak jej słowa mogły być zrozumiane. Jednak było już za późno.

- Uważasz, że oni mogą coś knuć za naszymi plecami? - zapytał ojciec z poważną miną.

- Nie, ja tylko... - urwała. W żadnym wypadku nie chciała wywołać wrażenia, jakoby tutejsi mieszkańcy mieli buntować się przeciwko swojemu pracodawcy. Wtedy Petersen nie omieszkałby już wkrótce wychłostać kolejnej kobiety. - Chciałabym potrafić rozmawiać z nimi w ich języku. Trudno mi zrozumieć ich akcent, kiedy mówią po angielsku. Poza tym byłoby grzecznie, gdybym znała ich język.

- Chcesz tym ludziom okazywać grzeczność?! - parsknął Henry.

Następnie wziął do ręki szklankę i wypił jej zawartość łączywie. - Oni nie znają niczego poza rozkazami i obowiązkami. Byliby zdumieni, gdyby ich pan zaczął im nagle okazywać uprzejmość.

Grace zacisnęła usta. A więc odmawiał.

- Owszem, przyznaję, że znajomość ich języka byłaby przydatna.

Wtedy przynajmniej zawczasu byłoby wiadomo, kiedy zechcą się zbuntować. Mogłabyś wyświadczyć mi wielką przysługę, gdybyś istotnie wiedziała, co mówią między sobą. Wiele bym dał, żeby wiedzieć, co myślą.

Grace poczuła, że robi się jej słabo. Zapach pieczeni wydał się jej nie do zniesienia. A więc ojciec chciał ją wykorzystać do szpiegowania.

Pożałowała, że w ogóle poruszyła ten temat. W końcu ojciec był tak zapracowany, że i tak niczego by się nie dowiedział.

- Ja też chcę się uczyć tego języka! - zawołała Victoria.

- Ty zajmij się swoją nauką i zadaniami od pana Norrisa - skwitował ojciec. - Właśnie pokazał mi twoje ostatnie dyktando. To niedopuszczalne, żeby młoda dama miała tak okropny charakter pisma.

Victoria nadąsała się, a Grace z trudem powstrzymała się, by nie odetchnąć z ulgą. Kochała swoją siostrzyczkę z całego serca, jednak z jakiegoś, nie do końca zrozumiałego względu wolała nie mieć jej przy sobie podczas lekcji z Vikramą.

- No dobrze, Grace, zacznij naukę z panem Vikramą. Ale tylko pod warunkiem że nie będziesz go odciągać od jego obowiązków.

- Zgodził się mnie uczyć w swoim czasie wolnym od pracy.

- I zabierzesz ze sobą pannę Giles. Jako przyzwoitkę.

- Przyzwoitkę? - prychnęła Grace. - Do czego może dojść podczas lekcji?

- Mam nadzieję, że do niczego, bo ona będzie ci towarzyszyć. Jeżeli się na to nie zgodzisz, nie będziesz mogła podjąć nauki.

Grace sapnęła. Wiedziała jednak, że nie powinna przeciągać struny.

Lepiej nie igrać z łaskawością ojca, bo jeszcze się rozmyśli.

- Dobrze, ojczy, zabiorę ze sobą pannę Giles - odezwała się słodkim głosem. - Mam tylko nadzieję, że nie zanudzi się przy tym na śmierć.

- Na pewno może się w tym czasie zająć jakąś robótką - dodała Claudia, najwyraźniej zadowolona, że nie musi już szukać gu-wernantce żadnego zajęcia. - Ja też uważam, że to lepiej, jeśli nie będziesz zostawać z tym mężczyzną sam na sam. Być może dobry z niego pracownik, za to o jego życiu prywatnym nie wiemy nic. -I spojrzała na małżonka jak gdyby w nadziei, że zdradzi jej cokolwiek o Vikramie. - Myślę, że to bardzo odważne z twojej strony, że sama go o to zapytałaś. W końcu mógł ci źle zrozumieć.

Grace zacisnęła usta. Co oni sobie o nim myśleli, do licha? Że rzuci się na nią zaraz jak jakiś rozpustnik?

- Skoro tak uważasz - odpowiedziała, i choć nie była już głodna, włożyła do ust kawałek mięsa i zaczęła je przeżuwać, by nie musieć odpowiadać na kolejne pytania.

- Skąd właściwie przyszedł ci do głowy pomysł, by uczyć się tamilskiego? - dziwiła się Victoria, kiedy udały się do swojego pokoju.

- Myślałam, że nie znosisz tego kraju. Przynajmniej było tak jakieś trzy tygodnie temu.

Grace uśmiechnęła się pod nosem, w zamyśleniu patrząc na wyszywaną przez siebie jedwabną chusteczkę. Od paru dni haftowała na niej kwiat plumerii.

- To z powodu tej kobiety, którą wczoraj wychłostano. Victoria

popatrzyła na nią zdezorionowana.

- Ale co to ma do rzeczy?

- Pozostałe kobiety były bardzo wzburzone i cały czas szeptały coś między sobą. A ja nic nie rozumiałam.

- To znaczy, że chcesz szpiegować dla papy?

- Oczywiście, że nie! - oburzyła się Grace. - Jestem pewna, że ci ludzie nie mówią o nas nic złego.

- Ale może to się zmieni, po tym jak nadzorca wychłostał tę kobietę.

- Miejmy nadzieję, że tak się nie stanie. Ja w każdym razie nie zamierzam ich podsłuchiwać, budząc w ten sposób tylko jeszcze większą nieufność. Mnie chodzi tylko o to, żeby móc z nimi porozmawiać.

Po tych słowach wróciła do wyszywania. Akurat skończyła brzeg kolejnego płátka, kiedy Victoria zapytała ją wprost: - Lubisz tego Vikramę, prawda? Omal nie ukłuła się igłą w palec.

- Co ty wygadujesz?

- Nie zaprzeczaj! Jestem twoją siostrą. Widzę, jak świecą ci się oczy, kiedy o nim mowa. Albo kiedy sama o nim mówisz. Nic dziwnego, że ojciec kazał ci zabrać ze sobą pannę Giles.

„Czyżby moja sympatia była aż tak widoczna?”, przestraszyła się Grace, a jej policzki spłonęły rumieńcem.

- Jest naprawdę bardzo miły - przyznała. - I przystojny, nie uważasz?

- Wygląda jak londyński dandys, który za długo przebywał na słońcu - w oczach Victorii zajaśniały iskierki rozbawienia.

- Co ty możesz wiedzieć o dandysach?! - udała oburzenie jej siostra.

- Nie pamiętasz gości na naszym przyjęciu pożegnalnym? -zapytała Victoria, siadając naprzeciw niej na parapecie. - Na przykład pan Hutchinson wyglądał tak, jakby polował na narzeczoną. A przecież ma już bogatą i, jeśli wierzyć innym kobietom, wyrozumiałą małżonkę.

Wspomnienie tamtego mężczyzny, którego istotnie można było określić mianem dandysa, przegnało całe zakłopotanie Grace i przyprawiło ją o wybuch śmiechu.

- O tak, pamiętam ten jego zabawny zakiecik - przyznała. -Wyglądał jak strach na wróble.

- I kompletnie nieadekwatnie do swojego wieku! - dodała Victoria. -

Wszystkie dziewczęta pękały ze śmiechu na jego widok.

Obie roześmiały się serdecznie.

- Wiesz - powiedziała Victoria, kiedy już trochę się uspokoiły. -  
Chyba nie byłam całkiem szczerą. Trochę zaczyna mi brakować Londynu i przyjęć. - Niemal nieporadnie sięgnęła po rękę siostry. -  
Wierz mi, byłabyś najpiękniejszą panną na balu debiutantek.  
- Tak myślisz? - zapytała Grace. Uświadomiła sobie jednak przy tym, że nie czuje już żalu, że nie zatańczy przed królową. Znalazła coś, co wynagrodziło jej tamtą niewykorzystaną okazję. Coś, czego nie umiała nazwać, przynajmniej na razie, co stanowiło jednak o wiele większą wartość niż salonowy blichtr.  
- Zastanawiam się, co będzie z moim debiutem. - Victoria machała nogami, uderzając piętami o boazerię pod parapetem. -Myślisz, że pojedziemy do Anglii?  
- Jeżeli tylko wystarczająco długo będziesz o tym wspominać ojcu... -  
Grace była wprawdzie niemal pewna, że nic to nie da, ale nie chciała siostrzyczce odbierać nadziei.

- Słyszałam, że w Nuwara Eliya też odbywa się doroczny bal debiutantek - odpowiedziała Victoria. - Urządzają go w jednym z hoteli. Finansują go panowie z klubu. Dbają, aby w ten sposób ich żony też miały coś do roboty.  
Grace mrugnęła do Victorii, na co ta wybuchła śmiechem.  
- Może mają też dublerkę królowej?  
- Raczej nie, choć myślę, że ustawiają kopię jej oficjalnego portretu - orzekła Victoria. - Więc i my zatańczymy przed królową.  
I znów obie zaczęły się śmiać.

**12.**

## **Vannattuppucci Tea Company, 2008**

Diana zbudziła się około szóstej rano. Nad plantacją unosiła się mgła nadająca całej okolicy niebieskawą poświatę. Niewykluczone, że miała ona wpływ na odgłosy papug, które odzywały się nieśmiało i tylko z rzadka. Poza tym panowała zupełna cisza. Do jej uszu docierał jedynie szum herbacianych listków na wietrze. Jak szept elfów.

Wstała i podeszła boso do okna. Chłód kamiennej podłogi natychmiast pobudził ją do życia, podobnie jak widok z okna. Światło było tu zupełnie inne niż w Europie. Mgła nie działała tu wcale przygnębiająco, przypominała raczej welon panny młodej, która pełna wyczekiwania odsłania swoją twarz

przed ukochanym.

Usiadła na parapecie, przyglądając się zarysowi swojej własnej sylwetki w szybie. Czy w tym pokoju pozostały jeszcze jakieś ślady po Grace? Gdzie należałoby zacząć poszukiwania?

Kiedy w końcu się rozwidniło, a promienie słoneczne pokonały mgłę, spostrzegła niewielkie rzeźbienie w ramie okna. Patrząc pobieżnie, można je było śmiało przeoczyć, kiedy jednak już raz się je spostrzegło, było całkiem wyraźne.

„To motyl”, pomyślała, a serce zaczęło jej łomotać, jak gdyby odkryła właśnie pamiątnik Grace Tremayne. Zeszła z parapetu i zbliżyła twarz do ramy. Zauważyła od razu, że ma do czynienia z dziełem zarazem i skomplikowanym, i kunsztownym. Ciekawe, czy wykonała je Grace.

A może to była Victoria?

Babka Emmely była znana ze swoich przepięknych rysunków i sztychów. Niestety czas nie obszedł się z jej pracami łaskawie. Diana przypominała sobie mgliście, że jedynie w salonie wisiały jeszcze dwa rysunki węglem jaj autorstwa. Szkoda, że nie może porównać ich teraz z tym rzeźbieniem. Natychmiast odrzuciła przy tym pomysł, by poprosić pana Greena o przesłanie ich zdjęcia lub skanu. Zamiast tego sama sięgnęła po aparat, którym do tej pory uwieczniła jedynie kilka widoków.

Zdjęcia ani trochę nie oddawały wrażenia, jakie wywierał rzeczywisty wizerunek motyla, ale do prac porównawczych były wystarczająco dobre. Kiedy podniosła oczy znad aparatu, spostrzegła, że szczelina pomiędzy parapetem a ramą z wyrzeźbionym motylem jest nieco szersza niż pozostałe. Akurat na tyle szeroka, by coś w niej ukryć!

Wiedziona nagłym przecuciem otworzyła okno i nachyliła się nad szczeliną. Z początku niczego tam jednak nie dostrzegła. „Potrzebuję światła!” stwierdziła gorączkowo. Pobieгла więc do łóżka i wzięła stamtąd komórkę. Słabe światło wyświetlacza okazało się bardzo pomocne.

Coś tam jest! Kartka? A może to tylko kawałek tapety? Palcami nie była w stanie tego wydobyć. Ale ma przecież pęsetę! Odłożyła więc pośpiesznie aparat i sięgnęła po kosmetyczkę leżącą na nocnym stoliku. Pęsetkę zabierała zawsze ze sobą na wszelki wypadek. Tym razem spróbowała za jej pomocą dosięgnąć skraj tkwiącego w szczelinie kawałka papieru, co wcale nie było takie proste. Ale to pewnie dlatego wciąż tu tkwił. Kiedy w końcu udało się jej go chwycić i ostrożnie wyciągnąć, okazało się, że to ani kartka papieru,

ani kawałek tapety.

To list! List ukryty w ścianie za boazerią!

- To niemożliwe! - powiedziała z bijącym sercem.

Widniał na nim napis: „Na pożegnanie, 1907”. Koperta zaklejona była cieniutką pieczęcią z wizerunkiem motyla. Kto mógł go napisać?

Może Victoria? Pismo przypominało tamto z listu znalezionego w krypcie, było jednak dojrzalsze i odrobinę nerwowe, jak gdyby jego właścicielka była czymś bardzo wzburzona. Poza tym Diana wiedziała, że Victoria wróciła do Anglii.

Zważyła w dłoni brunatną kopertę. Musiało w niej być chyba kilka kartek. Co zawierały? Czy była to wiadomość dla ukochanej osoby?

Może to w niej kryło się wyjaśnienie przyczyn wyrzutów sumienia Victorii?

Choć umierała z ciekawości, postanowiła odłożyć otwarcie listu na później. Od śmierci Richarda Tremaynea do momentu jego napisania upłynęło dwadzieścia jeden lat. Możliwe, że kryła się w nim jakaś część rodzinnej historii. Teraz jednak zamierzała poszukać kolejnych śladów.

Posiedziała jeszcze chwilę, kontemplując widok za oknem, po czym wstała i schowała list do torby, żeby jej nie kusił. Następnie sięgnęła po tubę z liściem palmowym, którą Jonathan ułożył pieczołowicie pod jej ubraniami. Kiedy go wyjęła, zaszeleścił lekko w jej rękach.

- Może przepowiedziałeś przyszłość którejś z dziewcząt? - mruknęła, przesuwając ostrożnie palcami po zapisanych znakach. - A może nie masz z tym nic wspólnego? - Zapanowała cisza. Nie było żadnej odpowiedzi.

Kiedy za drzwiami zrobiło się głośniejsze, co oznaczało pojawienie się pracowników kompanii, Diana schowała liść z powrotem do tuby.

Powstrzymała się, by znowu spojrzeć na znaleziony list. Wszystko w swoim czasie, stwierdziła, i udała się do niedużej łazienki, którą dzieliła z Jonathanem.

Jej towarzysz chyba jeszcze spał, bo kabina prysznicowa była sucha, a z kranu dopiero po dłuższej chwili zaczęła lecieć ciepła woda. Kiedy skończyła i zamierzała właśnie przemknąć się dyskretnie korytarzem do swojego pokoju, otworzyły się sąsiednie

drzwi. Jonathan w podkoszulku i spodniach od piżamy to całkiem nowy widok.

- Dzień dobry! - zawołała z promiennym uśmiechem, widząc, że chyba

jeszcze nie do końca się dobudził. W odpowiedzi usłyszała raczej pomruk aniżeli radosny okrzyk. Zapewne zmieni się to po porannej toalecie.

- Mam nadzieję, że dobrze pani spała! - powitał ją pan Manderley, kiedy weszła do kuchni. Właściwie zamierzała zrewanżować się Jonathanowi za wczorajszą kolację, zobaczyła jednak, że wszystko jest już gotowe.

- Pozwoliłem sobie zatroszczyć się o śniadanie - wyjaśnił z uśmiechem dyrektor. - Byłem przed chwilą w archiwum po analizę rynku i widziałem, że już tam pani coś zgromadziła.

- Tak, w starych szafach jest to i owo. Na szczęście mam pomocnika.

- Pani narzeczony jest naukowcem, prawda? Diana uniosła brwi.

- Narzeczony?

Manderley spojrzał na nią zmieszany.

- Państwo nie są... O, przepraszam, to te pułapki języka angielskiego!

Naprawdę myślałem, że są państwo...

- Nie, Jonathana, to znaczy pana Singha polecił mi przyjaciel. A on był tak miły, że zaoferował mi pomoc w poszukiwaniach.

- Aha... - Manderley, aby ukryć zakłopotanie, odwrócił się do kuchenki i postawił na niej czajnik.

- Dokonałam już jednego odkrycia - odezwała się Diana, by przerwać kłopotliwe milczenie. - W starej ramie okiennej w moim pokoju spostrzegłam wyrzeźbionego motyla.

- Wiem - odpowiedział dyrektor. Kiedy znów się do niej odwrócił, na jego twarzy nie było już śladu zakłopotania. -Przypuszczamy, że to dzieło którejś z córek Tremayne'ów. Albo jakiegoś tajemniczego kochanka.

- Czy dziewczęta miały jakichś szczególnych adoratorów? Wiem, że Grace wyszła za jakiegoś kapitana.

Manderley zmarszczył czoło.

- Kapitana?

- Tak, niemieckiego kapitana. To jeden z niewielu faktów z życia mojej przodkini, jakie znam. Może to wywołało skandal, który doprowadził do zerwania kontaktów z rodziną?

- No cóż, chyba nie będę umiał nic dodać w tym względzie. Uważam jednak, że powinna pani zajrzeć również do Stocktonów. W ostatnich latach sąsiednia plantacja musiała zostać wystawiona na licytację.

Wypląnęły wtedy przy okazji różne papiery. O ile wiem, była w nich też wzmianka o Tremayneach.



Diana popatrzyła na niego zdumiona. Stockton! Tak nazywał się człowiek stojący na zdjęciu obok Henryego.

- Bardzo dziękuję za tę wskazówkę! - odpowiedziała. - Zajrzę do tamtych dokumentów, o ile tylko będzie to możliwe.

Manderley popatrzył na nią życzliwie, po czym jego spojrzenie powędrowało w stronę drzwi.

- Dzień dobry, panie Singh. Właśnie rozmawialiśmy z panną Wagenbach o jej poszukiwaniach.

- Pan Manderley podpowiedział mi, że powinnam się zapoznać z dokumentami z sąsiedniej plantacji. Podobno rodzina Stocktonów dysponuje również informacjami na temat moich przodków, czy to nie wspaniale?

- Stocktonów? Czy nie tak nazywał się tamten mężczyzna ze zdjęcia w klubie?

- Tak, to on.

- Widzę, że znakomicie się państwo rozumieją! - wtrącił Manderley, po czym zerknął na zegarek. - Bardzo przepraszam, ale muszę iść na obchód. Proszę nie zapomnieć o herbacie!

I wyszedł w pośpiechu, zanim Diana zdążyła mu podziękować za śniadanie. Tymczasem woda w czajniku zawrzała. Manderley ustawił już przezornie zawczasu puszkę z herbatą oraz dwie filiżanki.

Najwyraźniej nie planował zjeść śniadania razem z gośćmi.

Po kuchni rozeszła się cudowna woń herbaty. Podczas gdy Diana zajęła się tostami, Jonathan nakrył do stołu.

- I jak upłynęła panu noc w naszym podzielonym pokoju? - zapytała Diana, kiedy siedzieli już za stołem, zajadając tosty z margaryną i dżemem pomarańczowym. Nie powiedziała jednak Jonathanowi o swoim znalezisku pod parapetem, choć sama nie wiedziała dlaczego.

Może chciała zachować tę informację na czarną godzinę, kiedy okaże się, że pozostałe poszukiwania spełzły na niczym.

- Nieszczerólnie. Zresztą sama mogła się pani o tym przekonać, kiedy mijaliśmy się w drodze do łazienki.

Przyjrzała mu się badawczo. Rzeczywiście nie wyglądał na wy-spanego.

- Może nawiedził pana jakiś duch? W hotelu chyba nie miał pan kłopotów z zaśnięciem?

- Nie, i z reguły sypiam dobrze. Ale teraz kłębiło mi się w głowie zbyt wiele myśli. Zwykle udaje mi się jakoś z nimi uporać. To chyba wpływ tego

miejsca. To ono obudziło tyle skojarzeń, złych i dobrych.

„Co mógł mieć na myśli?”, zastanawiała się Diana.

- Może jednak nie powinnam była odciągać pana od jego pracy - zmartwiła się. - Jeździ pan ze mną gdzieś po świecie, a tymczasem do pańskich drzwi być może puka wydawca.

- Nie, to nie to - rzucił. - Chodzi o moją byłą żonę.

- No, chyba że tak... - Diana ugryzła tost, by ukryć zakłopotanie.

Następnie napiła się najlepszej cejlońskiej herbaty, jakiej kiedykolwiek kosztowała. Zdaje się, że Manderley zaoferował im właśnie tę z ręcznie zwijanych listków.

- Przysłała mi wczoraj wiadomość, że kogoś poznała - odezwał się znów Jonathan. - Jakiegoś komputerowca z Melbourne. Zastanawia się nad wyjazdem do Australii. No i chce zabrać Ranę, co oznacza, że będziemy od siebie jeszcze dalej. Nie wspominając już o tym, że będzie musiała zmienić szkołę...

- Bardzo panu współczuję.

- Nie trzeba. Przeczuwałem coś od pewnego czasu. A raczej to córka wspominała o tym w listach. Oczywiście jest jeszcze zbyt mała, żeby wyjaśnić wszystko w drobnych detalach, ale czuję, że jest jej z tym ciężko.

- A gdyby postarał się pan o opiekę nad dzieckiem? W końcu ma pan indyjskie obywatelstwo.

- Owszem, ale to oznaczałoby, że musiałbym wrócić do Delhi.

Musiałbym pożegnać się ze Sri Lanką i ze swoimi planami.

Diana przypomniała sobie natychmiast o królestwie Kandy, o którym niedawno mówił.

- To zabrzmiało strasznie samolubnie, prawda? - uśmiechnął się z goryczą i upił łyk herbaty.

- A nie mógłby pan zabrać córki na Sri Lankę?

- Odpadłby mi argument z koniecznością zmiany szkoły. Bo tu też poszłaby do innej. Poza tym jest bardzo przywiązana do matki. -

Odstawił filiżankę z westchnieniem. - Wygląda na to, że moja książka musi się stać bestsellerem. Inaczej nie będzie mnie stać na samoloty do Australii.

- A opłacanie przez byłą żonę przelotów córki do pana nie wchodzi w rachubę?

Jonathan pokręcił głową.

- Rana ma dopiero osiem lat. Żadna matka, bez istotnego powodu, nie wyśle dziecka w samotną podróż na drugi koniec świata. Będę się musiał oswoić z myślą, że nie będziemy się zbyt często widywać.

Widząc, jak bardzo jest przybity, ujęła jego dłoń.

- Na pewno uda się panu znaleźć jakieś rozwiązanie. A jeśli będzie trzeba, to zacznę nachodzić wydawców u siebie w kraju i tak długo grać im na nerwach, aż kupią prawa do pana książki.

Jonathan uśmiechnął się z rozmarzeniem, zaraz jednak pokręcił głową i zmienił temat.

- Porozmawiajmy lepiej o aktach i o pani planach. Pewnie będzie pani chciała zajrzeć na sąsiednią plantację, prawda?

Diana przytaknęła.

- Tak, pod warunkiem że uda się nam tam dotrzeć. Nasz kierowca ma przyjechać dopiero za trzy dni. - Przy okazji przypomniała sobie, że musi jeszcze przebukować lot.

- Pan Manderley użył nam pewnie któregoś ze swoich kierowców.

Choć nic go z panią nie łączy, wyraźnie kibicuje naszym poszukiwaniom.

Sposób, w jaki Jonathan wypowiedział słowo „naszym”, sprawił, że zrobiło jej się ciepło koło serca. Ukryła jednak uśmiech za filiżanką.

Pół godziny później byli już w drodze do archiwum. Praca na plantacji szła pełną parą. Na dziedzińcu słychać było głosy robotników, kobiety poprawiały swoje sari i zakładały na plecy kosze na herbatę. Gdzieś z domu dobiegał dźwięk telefonu, a za drzwiami ktoś pisał na klawiaturze komputera.

Za to w suterenie, dawnym miejscu dla służby, panował na razie spokój. Jedynym słyszalnym dźwiękiem było brzęczenie świetlówek na korytarzu. W samym archiwum kurz wirował w świetle promieni słonecznych padających na biurko, a w ciągu nocy przybył tam jeszcze jeden stolik przeznaczony na odkładanie ksiąg handlowych i foliów.

Jonathan zatarł ręce i otworzył drzwiczki od szafy. Popatrzył niemal nabożnie na złożone w nim bezładnie dokumenty, po czym się uśmiechnął.

- Wie pani, brakowało mi tego chaosu w papierach. Wcześniej, w muzeum, nieustannie mieliśmy do czynienia z podobnymi znaleziskami, które trzeba było przejrzeć i skatalogować. Miewałem tego czasami dość, za to teraz widzę, że trochę za tym tęsknię.

- Wobec tego ma pan okazję, żeby się tu wyżyć - odparła Diana, idąc do biurka. - Mam tu już kilka ksiąg z kluczowego okresu. Jak tylko zapoznam

się z ich treścią, pójdę po następne.

Jonathan kiwnął głową i zanurkował w szafie.

- Jeżeli dobrze zrozumiałem, plantację w 1887 roku przejął Henry Tremayne - odezwał się Jonathan znad sterty książek. Przejrzenie dokumentów z szafy zabrało mu dwie godziny. -Wszystkie pozostałe książki prowadził Richard Tremayne.

- Henry przyjechał tu pewnie kilka miesięcy po tym, jak dowiedział się o jego śmierci - odparła Diana i przypomniała sobie telegram. -

Otrzymał telegram, że jego brat zginął na skutek upadku z Adams Peak.

- Richard chodził po górach? Diana wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Może lubił wędrówki. Tam na górze jest pewnie świątynia, prawda?

- Owszem, prowadzi tam szlak pielgrzymi - potwierdził Jonathan. -

Nawet teraz jest na nim dość stromo. Wystarczy chwila nieuwagi i można spaść w dół zbocza. Przypuszczam, że sto lat temu wejście musiało być jeszcze bardziej niebezpieczne.

- Jeżeli wystarczy nam czasu, chętnie bym się tam wybrała -powiedziała Diana, przekładając w zamyśleniu kolejne karty książki handlowej.

- Są jakieś informacje na temat miejsca, gdzie zginął? Potrząsnęła przecząco głową.

- Obawiam się, że nie. Może będzie coś o tym w starych aktach policyjnych, ale tych tutaj nie znajdziemy. O ile w ogóle jeszcze istnieją.

- Anglicy byli w tym względzie dosyć skrupulatni. Na pewno w jakiejś szafie albo piwnicy można by znaleźć setki tego rodzaju akt.

Jednak żeby do nich dotrzeć, potrzebowałyby pani jeszcze więcej czasu, a nie wiem, czy pani klienci mogą się obyć bez pani tak długo.

Miał rację, kiedyś trzeba będzie wreszcie zakończyć tę przygodę i wrócić do dawnego życia. Teraz jednak nie chciała jeszcze o tym myśleć. Wczoraj udało jej się nawet nie zajrzeć do skrzynki z e-mailami. Kto wie, może będzie lepiej, jeżeli nie zrobi tego i przez kolejne dni...

Kiedy nad Vannattuppucci nastąpiło popołudnie, Diana odchyliła się na krześle z ciężkim westchnieniem i przycisnęła palce do skroni. Ile książek już przejrzała? Suche dane liczbowe były może spisane starannie, jednak dla niej niewiele z nich wynikało. Poza tym czuła coraz większą pokusę, by przeczytać znalezione rano listy. Oparła się jej jednak, przypomniawszy sobie

słowa swojego dawnego profesora, który ostrzegał początkujących prawników, aby każdy dowód ujawniać we właściwym czasie.

Jonathan wstał.

- Chyba powinniśmy zrobić sobie małą przerwę. Może prze-szlibyśmy się po plantacji?

- Świetny pomysł - stwierdziła Diana i odłożyła dokumenty na boczny stolik.

Na schodach owionęło ich przyjemne ciepło. Po tylu godzinach przy sztucznym świetle oczy Diany musiały się najpierw znowu przyzwyczać do słońca. Potem mogła już do woli napawać się soczystymi barwami otoczenia. Próbowała sobie przy tym wyobrazić, jak Grace, przechadzając się pod osłoną niedużej parasolki, chroniła skórę przed opalenizną.

- Może pójdziemy najpierw do ogrodu - zaproponował Jonathan. -

Widziałem z okna kilka pięknych starych rododendronów.

Zapomniał chyba, że Diana ma ze swojego okna ten sam widok.

Okружиłi dom, stąpając po żwirowej ścieżce i dotarli do ogrodu. W centralnym miejscu wznosił się przekaźnik antenowy. Zapewniał on tutejszym mieszkańcom zasięg w komórkach. Komfort, jakiego nie mogli zabraknąć i w tej części świata.

Jonathan miał rację, rosło tu także kilka przepięknych, wiekowych różaneczników. Ich kwiaty pyszniły się barwami od śnieżnobiałej do purpurowej. „Moi sąsiedzi w Berlinie byliby gotowi zabić za takie okazy”, pomyślała Diana z uśmiechem. Jednak jej

wzrok przyciągały bardziej krzewy plumerii, które musiały liczyć sobie tyle samo lat co rododendrony. Zapewne zasadzono je jeszcze przed założeniem plantacji.

Patrząc na ten kwietny przepych, przypomniała sobie o owym zasuszonym białym kwiecie z czerwonym środkiem, który znalazła między stronicami starego przewodnika. Wiele wskazywało na to, że pochodził właśnie stąd. Zafascynowana tą myślą podeszła do jednego z krzewów, by dotknąć jego mięsistych kwiatów. Ciekawe, czy Grace albo Victoria też tak robiły. I ten słodkawy zapach. Do tej pory nie zwróciła na to uwagi. Teraz jednak, stojąc u jego źródła, uświadomiła sobie, skąd brała się ta słodka nuta w powietrzu, jaką wyczuła dziś rano.

- To nasz narodowy kwiat - wyjaśnił Jonathan, stając za nią.

-Tajlandia ma orchideę, a Sri Lanka i Indie kwiat plumerii. Można je tu spotkać praktycznie wszędzie.

- W moim kraju rosłyby co najwyżej w ogrodzie botanicznym albo w szklarni.

Przyglądała się krzewowi dobrą chwilę, malując w głowie sceny z dziewczynkami z obrazu wiszącego w Tremayne House. Tyle że tu nie były już dziećmi, lecz młodymi pannami. Nagle ogarnęła ją dziwna nostalgia i zapragnęła stanąć w oknie, przez które mogłaby zobaczyć swoje przodkinie. Na razie dysponowała jedynie okienną ramą, której szyba pozostawała wciąż zaklejona czarną folią z kilkoma małymi prześwitami. Odnaleziony dzisiaj rano list stanowił okienną klamkę.

Tyle że ją należało zamontować na samym końcu, a wtedy być może okno uda się otworzyć.

Dopiero po jakimś czasie zdołała wreszcie oderwać wzrok od plumerii. Kiedy się odwróciła, jej oczom ukazał się w pełnej okazałości widok na tylną fasadę domu. Dostrzegła też angielską stylistykę ogrodu. Tak jak w Tremayne House, choć tamten nie był tak wypielęgnowany.

Kiedy dotarli do skrzydła domu, w którym znajdowały się ich kwatery, Jonathan nagle przystanął.

- Niech pani spojrzy! - Wskazał na niewielki przesmyk w zaroślach i wiodącą tamtędy wydeptaną w trawie ścieżkę. - Ciekawe, dokąd prowadzi.

- Może zatem zobaczymy, co się tam kryje?

Diana obejrzała się na dom. Czy pan Manderley nie będzie miał nic przeciwko, jeśli tam pójda? Nie dostrzegła nikogo w żadnym z okien, więc skinęła głową i ruszyła za nim wąską ścieżką. Jej koniec ginął gdzieś pośród gęstwiny i wysokich traw.

- Jakie jest tu prawdopodobieństwo natknięcia się na węża? -zapytała z rezerwą. Węże trafiały się wprawdzie i w zadbanych ogrodach, jednak tu, pośród tych zarośli takie spotkanie wydało jej się bardziej realne.

- Niezbyt duże - odparł Jonathan. - Co prawda nie jestem biologiem, ale wydaje mi się, że węże boją się nas bardziej niż my ich. Natomiast lepiej uważać na drapieżne koty, choć i one są dość płochliwe. Za to zauważyła już pani pewnie, ile tu małp. No i papug.

Przedzierali się przez zarośla dobrą chwilę, tracąc czasem nadzieję, że dokądkolwiek dotrą. Nagle ich oczom ukazał się dach z liści palmowych.

- Szałas? Tutaj?

- Przyjrzyjmy się mu bliżej! - odpowiedział Jonathan pełnym zapału głosem i odgarnął gałęzie.

Choć wąska ścieżka zaczęła im z wolna niknąć z oczu, poddając się znów działaniu natury, udało im się jakoś dotrzeć do budowli.

Wzniesiony z bali i desek szałas przypominał trochę Dianie domki na palach, jakie widziała na wybrzeżu. Temu tutaj nie groziło jednak zalanie. Mocno zniszczony dach nosił ślady licznych przetaczających się nad nim burz, a cały szałas jakby chylił się do ziemi. Jego puste okna spoglądały smutno w stronę gąszczy palm i drzew kauczukowych, jak gdyby wspominały dawne, lepsze czasy.

- Ciekawe, co to był za dom - zastanawiała się Diana, przesuwając wzrokiem po wyłożonym belkami wejściu do chaty. Choć

mocno zarosło już trawą, nadal bez trudu można było dostrzec jego zarys.

- Nie jestem pewien. Mógł tu mieszkać na przykład guru, przewodnik duchowy. Ale równie dobrze mogło to być miejsce spotkań mieszkańców pobliskiej wioski.

- Ale dlaczego tak wysoko? - zdziwiła się Diana.

- O to musiałaby pani zapytać ludzi ze wsi. Zajrzę do środka. Jonathan wspiął się po schodach i wszedł do wnętrza chaty.

W końcu wyłonił się stamtąd z promiennym uśmiechem, niosąc w ręce długi kij.

- Chyba wiem, co tu kiedyś było. Diana uniosła brwi.

- Poznał to pan po tym kijku?

- Ale to nie jest jakiś tam kijek, to kij do ćwiczeń. Nie chciałbym spekulować, ale moim zdaniem uczono się tu sztuki walki.

Diana podeszła bliżej, następnie również wspięła się na górę po schodach i zajrzała do środka. Wszędzie dookoła wałały się pokryte grubą warstwą kurzu ratanowe meble i inne przedmioty.

- Sztuki walki? Czy tu także istnieje coś w rodzaju karate?

- To coś o wiele lepszego! - Jonathan obrócił kijem w powietrzu i zawołał: - **Kalarippayatu!**

- Co takiego?

- Tak się nazywa ta sztuka walki. **Kalarippayatu** - powtórzył i wyjaśnił jej pokrótce, na czym ona polega.

Diana była pod wrażeniem.

- To bardzo mądry sposób mierzenia swoich sił - przyznała. - Kiedy pomyślę, że dzięki niemu można by uniknąć tak straszliwych strat w ludziach podczas wojen...

- Ale zawiera też element ryzyka - dodał Jonathan. - Proszę sobie

wyobrazić sytuację, w której ten gorszy władca ma po prostu lepszych wojowników. I tylko z tego powodu cały naród ma potem cierpieć pod jego rządami...

- Ma pan rację, to byłoby nie fair.

Diana widziała, z jakim podziwem Jonathan ogląda cały szałas.

Niemal jakby łączyła go z tym miejscem jakąś więź.

- Ćwiczył pan tę sztukę walki? Jonathan pokręcił głową.

- Jestem naukowcem, nie sportowcem. A *kalarippayatu* jest bardzo wymagająca. Zaczyna się ją trenować zazwyczaj od najmłodszych lat.

Podobnie jak dżudo czy karate. Zawodnicy dosłownie skaczą na siebie i wykonują skomplikowane sekwencje ciosów z użyciem broni albo walczą wręcz. A ich układ można rozpoznać, tylko przyglądając się im uważnie i na dodatek orientując się odrobinę w zasadach. To naprawdę fascynujący widok.

Diana w zadumie spróbowała sobie wyobrazić młodych adeptów siedzących na szerokiej werandzie i przyglądających się zawodnikom walczącym na drewnianej platformie.

- Szkoła sztuki walki tuż pod okiem moich przodków! Nigdy bym na to nie wpadła.

- Podejrzewam, że nie funkcjonowała już w czasach Henryego Tremaynea. Choć niewykluczone, że mężczyźni z wioski spotykali się tu, by nadal ćwiczyć. A jeśli tak było, to należy podziwiać ich odwagę, bo gdyby zostali przyłapani przez właściciela plantacji, mogłoby się to dla nich źle skończyć.

Ponieważ ani Diana, ani on nie spodziewali się, że natkną się tu na tak interesujące znalezisko, nie mieli przy sobie nawet aparatu, by je udokumentować.

- Przyjdę tu później jeszcze raz i zrobię zdjęcia - powiedział więc Jonathan. - Takie znalezisko znakomicie pasuje do mojej książki.

- Naprawdę? - uśmiechnęła się Diana. - Przecież to tylko szkoła walki.

- Ale także świadectwo tamilskiej tradycji z czasów kolonialnych. A ponieważ to w nich upatruję źródeł dzisiejszych konfliktów, powinienem o tym wspomnieć.

Kiedy znów znaleźli się wśród gęstwiny, Diane zdało się w pewnej chwili, że gdzieś ponad głową mignęła jej małpa. Na ułamek sekundy uchwyciła wzrokiem barwę jej futra, choć równie dobrze mógł to być jakiś



egzotyczny ptak. Woląla jednak myśleć, że to była właśnie małpa.

Ledwie wyłonili się po drugiej stronie zarośli, zabiegł im drogę dyrektor plantacji, do którego spodni w kolorze khaki przyczepiło się parę zielonych listków herbaty.

- Ho, ho, skąd to państwo wracają? - zdziwił się.

- Odkryliśmy coś - odpowiedziała Diana. - Wiedział pan, że z tyłu za plantacją znajduje się dawna szkoła walki?

- Szkoła walki?

Jonathan, wskazując na przesmyk w zaroślach, zapytał: - Nie zwrócił pan nigdy uwagi na tę wąską ścieżkę? Manderley pokręcił głową.

- Nie. Najczęściej zaprzęta mnie co innego niż stan trawnika.

- W takim razie proszę kiedyś rzucić okiem na tamten budynek.

Wprawdzie czas zrobił już swoje, ale to obiekt historyczny -

powiedział Jonathan. - A gdyby go pan odnowił, można by tam urządzić domek dla gości albo wykorzystać jako dodatkową atrakcję.

Nie zachowało się bowiem zbyt wiele tajnych szkół walki z okresu kolonializmu. Anglicy byli czujni, w dodatku nie wszyscy wojownicy, którzy trenowali tę sztukę pomimo ich zakazu, mieli do dyspozycji taki budynek.

Manderley popatrzył na nich szeroko otwartymi oczami. Diana dobrze znała takie spojrzenie. Takie samo prezentowali jej klienci, kiedy uświadamiała im, jaki potencjał tkwi we właściwej strategii obrony.

- Wezmę to sobie do serca. I dziękuję za tę informację. Pomachał im ręką na pożegnanie i oddalił się.

- My też chyba powinniśmy wracać do pracy - zwrócił się do niej Jonathan.

- O tak! - Jeszcze raz popatrzyła na przesmyk pośród krzewów, a następnie przeniosła wzrok na okno swojego pokoju.

Przyszła jej do głowy pewna myśl. Czy Grace albo Victoria mogły zauważyć przemykających się tamtędy adeptów szkoły? A może nawet któraś z nich odważyła się sama tam zakraść?

Pokręciła głową. Raczej nie. W końcu były panienkami z dobrego domu. Mimo to spodobała jej się wizja Grace obserwującej walki wojowników *kalaripayatu*.

13.

**Vannattuppucci, 1887**

Panna Giles nie wyglądała na zachwyconą, kiedy Grace zabrała ją ze sobą na lekcję. Odgrywanie przyzwoitki kłóciło się z jej przebiegiem dnia, poza tym odbierało szansę na spotkanie z panem Norrisem. Nie miała jednak wyjścia i musiała spełnić polecenie swoich chlebodawców.

Grace zabrała ze sobą torbę, do której włożyła kilka kartek z gabinetu ojca, świeżo napełniony kałamarz, pióro, pudełeczko ze stalówkami oraz ołówki. Czuła się trochę tak, jak gdyby wróciła do dziecięcych lat, kiedy wraz z przyboremi szkolnymi musiała zjawiać się w pokoju do nauki, gdzie czekał już na nią pan Norris. Kiedy spostrzegła stojącego przed drzwiami Vikramę, jej serce zabiło mocniej. Miała cichą nadzieję, że będzie miał na sobie tamten tamilski strój. Był

jednak ubrany w zwykły strój, w którym pracował wcześniej na plantacji, choć pachniał świeżo. Nałożył jednak nową, białą koszulę w drobniutkie, czerwone prążki. Przystrzygł też znowu zarost.

Rzeczywiście wyglądał jak młody dandys.

Na miejsce nauki wybrali kawałek trawnika obok pola herbaty, skąd roztaczał się doskonały widok na Adams Peak. Grace

poczuła przyjemny dreszcz na samą myśl, że kiedyś wejdzie na szczyt góry, z którego, jak utrzymywali żeglarze, można było zobaczyć całą wyspę. Za to panna Giles nie wydawała się podatna na uroki natury. Co jakiś czas rzucała uwagi na temat stanu podłoża, po jakim musi stąpać.

A kiedy akurat się nie skarżyła, to oganiała się od owadów.

- A gdzie tutaj można usiąść? - zapytała w końcu.

- Tam, panno Giles! - odpowiedział Vikrama, wskazując na kilka kamieni, które dawno temu stoczyły się tu ze zbocza.

- Mam siedzieć na kamieniach!

- Chwilowo - odparł Vikrama, wciąż, ku zdumieniu Grace, zachowując spokój i opanowanie. Jej samej guwernantka zaczynała już działać na nerwy.

- Poproszę pana Tremayne'a, by kazał ustawić tu stolik i krzesła.

Panna Grace dość nagle postanowiła uczyć się tamilskiego i nie wiem, czy nauka się jej spodoba.

Spojrzał na nią, a ona skinęła głową. Na pewno się jej spodoba! Już choćby ze względu na nauczyciela!

Kiedy znaleźli wreszcie dla siebie odpowiednie miejsca do siedzenia, a panna Giles oddaliła się do cienia, Vikrama rozpoczął naukę prostych słów i

zwrotów. Przy czym to, co dla Grace wydawało się nie do wymówienia, jemu przychodziło z godną pozazdroszczenia łatwością.

Cierpliwie wysłuchiwał jednak jej prób, a uwagi ze strony coraz bardziej znudzonej guwernantki kwitował uprzejmym uśmiechem. Pod koniec lekcji Grace wyglądała jak wyżęta przez wyżymaczkę. Jednak jeszcze nigdy nie czuła takiej satysfakcji. Nareszcie miała pewność, że robi coś sensownego.

Potem, podczas kolacji, zasypała rodziców, którzy mieli cichą nadzieję, że jej zapał do nauki szybko minie, nowo poznanymi słówkami i ich znaczeniami.

- To naprawdę zaskakujące, jak bogaty jest ten język! A jego pismo!

To jakby tajemny szyfr!

Oczywiście nie chciała podsycać w ojcu nieufności wobec jego pracownic, wiedziała jednak, że kiedy wspomni o tym tajemnym

szyfrze, bez przeszkód będzie mogła kontynuować naukę. Jeśli będzie chciał czegoś się od niej dowiedzieć, powie mu to, o czym sama już dobrze wiedziała. Mianowicie, że tutejsi ludzie są dalecy od wszczynania jakiegokolwiek buntu.

- Ja też wolałabym się uczyć tamilskiego - grymasiła Victoria, kiedy wieczorem Grace kopiowała nowo poznane znaki do zeszytu, który dostała od pana Norrisa.

- To bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje - odpowiedziała, nie przerywając zajęcia. - Najpierw naucz się francuskiego, potem będziesz mogła poznać język miejscowych.

- Ale francuski do niczego mi się tu nie przyda!

- Przeciwnie. Niech tylko zaproszą cię do siebie panie z towarzystwa.

Słyszałaś, jakie były zachwycone!

- Ale ja ani myślę marnować czas z ich nudnymi córkami. Poza tym one na pewno nie lubią spacerów - dodała i zamilkła na dobre.

Grace odniosła jednak wrażenie, że za jej słowami kryje się coś jeszcze. Odłożyła więc pióro i podeszła do młodszej siostry. Victoria spuściła oczy.

- Co ci jest?

- Lubisz tego Vikramę? - Teraz jej wzrok zdawał się przenikać Grace na wskroś.

Grace nabrała głośno powietrza.

- Oczywiście, że go lubię, jest bardzo miły. Victoria nadal patrzyła na nią badawczo.

- Ale powiesz mi, kiedy się w kimś zakochasz, prawda?

Grace zaniemówiła. Czy naprawdę mogłaby jej o tym powiedzieć?

Dobrze wiedziała, co myślą o tym ojciec i matka. Nigdy nie dopuściliby do małżeństwa z mieszzańcem.

Ale o czym ona w ogóle myśli?! Przecież tylko lubi Vikramę, nic więcej. Mimo to, choć nie chciała się do tego przyznać, wciąż pamiętała o tamtej przepowiedni z liścia palmowego. Sprowadziłaby na rodzinę nieszczęście!

Przytuliła siostrę.

- Oczywiście, że ci powiem. Ale na razie nie mam o czym. Vikrama jest miły i bardzo wyrozumiały jako nauczyciel, ale to wszystko.

Trwały tak dłuższą chwilę, wtulone w siebie. Potem Grace sięgnęła po zeszyt, by Victoria mogła się przekonać, że nie znajduje się tam nic poza tamilskimi znakami. A ich nikła, na razie, znajomość jeszcze długo nie pozwoli Grace prowadzić żadnego tajemnego pamiętnika.

Grace poznawała coraz to nowe zwroty i sprawiało jej wielką radość, gdy mogła ich użyć podczas odwiedzin u Naali. Rany kobiety wprawdzie się wygoiły, ale, tak jak mówił Vikrama, blizny po nich nie znikną nigdy. Podobnie jak nigdy nie zapomni, kto je zadał. Pozostali mieszkańcy wioski przyglądali się Grace z początku nieufnie, ale znachorka zadbała, by dowiedzieli się, kim jest.

Kiedy nastawał czas odpoczynku, kolorowe sari znikwały z herbacianych pól, dając roślinom czas do dalszego wzrostu. Zbieraczki były teraz zajęte głównie pakowaniem herbaty. Nie oznaczało to jednak, że Petersen zrezygnował z poganiania ich. Krążył nad nimi nadal niczym sęp. Jak powtarzał, nie może być miejsca na żadne „lenistwo” z ich strony. Kiedy więc przyłapał którąś z kobiet, że pracuje wolniej od pozostałych, stawał nad nią, głaszcząc ją ostentacyjnie pejczem po plecach. Choć obowiązywał oficjalny zakaz chłosty, one miały żyć w niepewności. Zbieraczki przy każdej okazji skarżyły się Vikramie. On jednak nie mógł teraz wiele zrobić.

Petersenowi, dopóki nie dopuści się kolejnego aktu przemocy, nie groziło zwolnienie.

Grace unikała kontaktów z nowymi pracownikami. A kiedy już napotykała gdzieś Petersena, starała się ukryć gniew na widok jego złośliwego uśmiechu.

Gdyby to od niej zależało, ich życie mogłoby tak wyglądać już zawsze, jednak pewnego wieczoru podczas kolacji ojciec powiedział:

- Obawiam się, że na jakiś czas będziesz musiała zrezygnować ze swoich

lekcji. Pan Vikrama będzie mi teraz potrzebny przez cały dzień.

Trzeba uporządkować księgi i przygotować nowe umowy handlowe.

Grace spojrzała na niego zaskoczona. Zaraz jednak dotarło do niej, że nie może nawet zaprotestować. Praca jest wszak ważniejsza niż jej lekcje. Plantacja zapewnia im utrzymanie.

Nie mając odtąd nic specjalnego do roboty, spędzała popołudnia, spacerując albo siadając ze sztalugą w ogrodzie. Victoria najczęściej dotrzymywała jej towarzystwa. Wystarczyło jedno spojrzenie na ich obrazy, aby się przekonać, że jej młodsza siostrzyczka była o niebo lepszą artystką.

Pewnej nocy, kiedy znów czekała w oknie, aż Vikrama wyłoni się z zarośli, Victoria zaczęła nagle dyszeć przez sen. Grace myślała z początku, że to odgłosy jakiegoś zwierzęcia, może małpy. Kiedy jednak znów je usłyszała, odwróciła się i zobaczyła, jak Victoria przewraca się z boku na bok, szcękając zębami. Podbiegła więc do niej.

- Vicky, kochanie, co ci jest?

Victoria nie odpowiedziała. Kiedy dotknęła jej czoła, przeraziła się.

Było rozpalone! Odskoczyła z przestraszeniem od jej łóżka i przez moment mięła w rękę koszulę nocną. Następnie obróciła się na pięcie i wybiegła z pokoju. Trzeba wezwać doktora. Na pewno mieszka gdzieś w Nuwara Eliya.

Choć nie wypadało wchodzić tak znieczeka do sypialni rodziców, pociągnęła za klamkę i po chwili była już przy ich łóżku, potrząsając ojca za ramię.

- Papo, słyszysz mnie?

Henry zamruczał ospale, po czym spytał: - Co tu robisz, Grace?

- Victoria zachorowała. Kaszle i ma gorączkę. Potrzebny jest lekarz.

Claudia była szybsza od małżonka. Wszystko słyszała i teraz zerwała się z łóżka.

- Henry, poślij Wilkesa po doktora Desmonda. Tego, którego poznałeś w klubie.

Tremayne podniósł się z łóżka bez słowa i założył szlafrok. Kiedy wybiegł z pokoju, Grace wróciła szybko do Victorii. Nie oglądała się nawet na matkę, choć i ona na pewno musiała już wstać. Zanim skręciła w korytarz prowadzący do ich pokoju, usłyszała jeszcze jej władczy głos przywołujący służącą i nakazujący jej zgotować wodę.

Dokąd udał się ojciec, nie wiedziała. Pewnie poszedł zbudzić Wilkesa.

Victoria nadal wiała się na łóżku nękana gorączką. Kiedy Grace się do niej

zbliżyła, zaczęła kręcić głową na boki.

- Victorio, kochanie - odezwała się do niej, jednak ani jej głos, ani dotyk nie były w stanie wyrwać siostry z maligny.

- Odsuń się od niej natychmiast, Grace! - zawołała matka, stając w drzwiach.

Grace zamierzała akurat przysiąc na jej łóżku, spojrzała więc na matkę pytającym wzrokiem.

- Ależ mammo...

- Gorączka w tej części świata może być zaraźliwa. Zaczekajmy najpierw na lekarza.

- Tylko kiedy on przyjedzie!

- I tak do tego czasu nie możemy nic zrobić. Odejdź od jej łóżka, Grace, nie chcę, żeby pochorowały mi się obie córki.

Wróciła więc do swojego łóżka, przybita i z sercem przepelnionym troską. Matka była tak przestraszona tą dziwną gorączką, na jaką zapadła biedna Victoria, że nawet nie weszła do środka. Grace poczuła złość. Jeżeli ona ma się odsunąć, to przecież właśnie zadaniem matki jest spróbować obudzić Victorię. Albo chociaż uspokoić. Nic takiego nie nastąpiło. Claudia pozostała w drzwiach niczym niezdecydowany anioł śmierci i spoglądała tylko na łóżko chorej córki.

Trwało całą wieczność, zanim w końcu zjawił się lekarz. Okazało się, że Henry pojechał po niego sam, na koniu.

Doktor Desmond, rudobrody jegomość o dobrotliwym spojrzeniu, po którego odzieniu widać było, że ubierał się w wielkim pośpiechu, przywitał się krótko z Claudią i Grace, po czym podszedł do Victorii.

Claudia, ośmielona jego obecnością, odważyła się nawet przestąpić próg pokoju. Gdzieś w korytarzu ojciec wydawał polecenia służbie. Po chwili zjawiły się dwie służące z miskami z ciepłą i zimną wodą.

Claudia dała im znak, by postawiły je na stole, po czym obie wyszły.

Badanie lekarskie trwało krótko. Doktor najpierw osłuchał płuca Victorii stetoskopem, następnie zmierzył puls, sprawdził czoło i wetknąwszy jej pod język termometr, zaczął spoglądać na zegarek.

- Tak jak myślałem - powiedział potem. Spakował stetoskop i podszedł do misek, by obmyć ręce. - Obawiam się, że mała ma malarię.

Czy nie ukąsił jej moskit?

Claudia spojrzała pytająco na Grace, która przebywała z Victorią

najdłużej w ciągu dnia.

- Nie, nic o tym nie wiem - odparła z troską w głosie. - Ale rzeczywiście spędzamy dużo czasu na dworze i Victoria nie zwraca uwagi na każdego komara.

- Moskity, młoda damo, to nie są zwyczajne komary. Są groźnymi roznośicielami chorób. Gdyby i pani została ukąszona, proszę mi o tym szybko zameldować.

Stropiona Grace spojrzała na matkę. Z poszarzałą twarzą wyglądała tak, jakby nagle przybyło jej dziesięć lat.

- Nie, i na ten temat nic mi nie wiadomo - odpowiedziała.

- Cóż, ślady po ukąszeniach szybko znikają, ale ich skutki bywają tragiczne.

- Co pan zamierza, doktorze? - zapytała szorstko Claudia, krzyżując ręce na piersi.

- Wypiszę receptę na chininę. Jest do dostania w Kolombo. Proszę ją podawać w przepisanych dawkach. Proszę też pilnować, aby gorączka nie przekroczyła niebezpiecznej granicy. Wygląda na to, że pani córka ma silny organizm, ale to jeszcze dziecko i wszystko może się zdarzyć...

Kiedy Grace ze szlochom ukryła twarz w dłoniach, umilkł na chwilę.

- Oczywiście nie należy myśleć o najgorszym. Proszę zadbać, aby odpowiednio wychłodzić małą, jeśli trzeba, na całym ciele. Państwo także powinni zapobiegawczo wypić dawkę chininy.

Przeszedł do biurka Grace i sporządził krótką notatkę.

- Proszę to dać jednemu ze służących. Niech od razu wyrusza. Do tego czasu to od pani zależy, czy gorączka zostanie utrzymana w ryzach.

Grace wzięła receptę i wybiegła z pokoju. W korytarzu wpadła na ojca.

- Doktor Desmond mówi, że trzeba z tym zaraz jechać do miasta po lekarstwo.

- Co z nią? - Nim zdążyła odpowiedzieć, rzucił okiem na kartkę i od razu wiedział. - Malaria? W naszym domu!

- My też musimy wziąć to lekarstwo - dodała Grace.

Henry kiwnął głową, następnie odwrócił się i pobiegł z powrotem do holu. Kilka minut później na dziedzińcu rozległ się tętent końskich kopyt.

Lekarz pożegnał się, zapewniwszy, że malaria roznosi się przez moskity, ale nie poprzez dotyk, a Claudia zadzwoniła po służące.

- Będzie lepiej, jeśli nie powiemy im, o co chodzi - szepnęła do córki.

- Nie możemy dopuścić do tego, że pracownicy zaczną opuszczać plantację w panice przed malarią.

Grace skinęła głową. Malaria istniała dla niej do tej pory tylko jako egzotyczna choroba, o której wspomiano czasem, opisując podróże do Afryki lub Azji. Nie miała pojęcia, czy jest zaraźliwa, jak przebiega i jakie są szanse na przeżycie. Tak czy inaczej było rozsądniej zachować spokój. Choć z drugiej strony, czy

służące nie domyślą się tego same? Przecież żyją w miejscu, gdzie ta choroba nie jest niczym niezwykłym...

Przez całą noc próbowały obniżyć gorączkę Victorii, jednak zimne okłady w zetknięciu z jej rozgrzanym ciałem szybko traciły swoje właściwości. W pewnym momencie dziewczynka zaczęła pojękiwać, okresy spokoju mieszały się z napadami dreszczy.

Kiedy zaczęło świtać, Grace czuła się jak marionetka wykonująca mechanicznie ruchy, którymi kierował jakiś niewidoczny lalkarz.

Zimna woda w miednicy całkiem zmętniała, a leżący obok okład przypominał małe, pomarszczone zwierzątko.

Matka, która usiadła niby na chwilę, żeby odpocząć, spała w najlepsze od trzech godzin. Grace nie chciała jej budzić. Kiedy nastanie dzień, sama się położy, ale tymczasem chciała wytrwać przy siostrze najdłużej jak się da.

Gdy na nią patrzyła, do jej oczu zaraz napływały łzy. Światło dzienne ukazało bowiem jeszcze wyraźniej złowrogie skutki choroby. Brunatne cienie pod oczami nadały jej twarzy wyraz pośmiertnej maski, jedynie purpurowa barwa na policzkach świadczyła o tym, że w ciele Victorii nadal tli się życie. Życie w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Matka w końcu się zbudziła i przeciągnęła z jęknięciem.

- Minęły już te czasy, kiedy mogłam spać gdziekolwiek.

Zaraz sobie jednak przypomniała, dlaczego przyszło jej spędzić kilka godzin w tak niewygodnej pozycji. Wstała więc, zachwiawszy się lekko, i podeszła do łóżka.

- Jak ona się czuje? - zapytała, jak gdyby starsza córka była lekarzem.

- Można powiedzieć, że bez zmian - odpowiedziała Grace. - Jak widzisz, nadal jest rozpalona, a woda w ogóle jej nie chłodzi.

- Każę przynieść świeżą - odrzekła i pogładziła Grace po głowie z niespodziewaną czułością. Następnie dotknęła opuszkami palców czoła młodszej córki i odwróciła się.



Ledwie wyszła z pokoju, w oknie stanął Vikrama. Grace, czuwająca wciąż przy łóżku siostry i zmieniająca jej okłady, podbiegła teraz do niego. Była lekko zawstydzona swoją przepoconą sukienką i nieuporządkowaną fryzurą, ale z drugiej strony, jak tu dbać o wygląd, kiedy trzeba zajmować się chorą?

- Słyszałem, że pani siostra jest chora.

Grace kiwnęła głową, po czym rzuciła zatroskane spojrzenie na Victorię, której twarzyczka nadal była nienaturalnie zaczerwieniona.

- W nocy był lekarz z Nuwara Eliya. Niestety nasz służący wciąż nie wrócił z chininą. Mama akurat się położyła, ale gorączka nadal rośnie.

Dreszcze trochę ustąpiły, choć w każdej chwili może się to zmienić.

- To malaria, prawda? - zapytał z powagą.

- Skąd...

- Chinina. To środek, który stosują na nią Anglicy. Zresztą jeśli ktoś tutaj dostaje gorączki, to często właśnie z powodu malarii. - Wziął ją za rękę. - Proszę na siebie uważać.

Grace pokręciła głową z przygnębieniem.

- Niech się pan nie martwi, nie zachoruję.

- Miejmy nadzieję. Pojadę do wioski i zapytam znachorki, czy nie mogłaby pomóc.

- Ma chininę?

- Nie, coś innego. Postaram się zaraz wrócić - obiecał i szybko się oddalił.

Grace odprowadziła go wzrokiem i wróciła do Victorii. Nad jej łóżkiem unosił się kwaśny zapach. Dziewczynka, pojękując, kręciła głową na prawo i lewo, jej usta poruszały się, jak gdyby chciała coś powiedzieć. Nie było jednak słyhać jej głosu.

Serce Grace znów się ścisnęło, a z jej piersi wydobył się szloch.

Zdjęła z czoła chorej szmatkę i zanurzyła ją w wodzie, która znów zdążyła się zrobić letnia. „Proszę Cię, Boże - błagała w myślach - nie zabieraj mi siostry. Jeżeli uważasz, że zgrzeszyłam, ukaraj mnie, a nie ją”.

Przed południem gorączka skoczyła do tego stopnia, że Victoria zaczęła majaczyć, opowiadając bezładnie coś o papugach i małpach. W

końcu obie z matką uznały, że nie ma innego wyjścia i kazały przynieść wannę z zimną wodą, do której włożyły chorą.

Kiedy jej ciało znalazło się w zimnej wodzie, zaczęła szcząkać zębami,

jednak już po chwili się uspokoiła, a jej policzki nieco pojaśniały. Po wyjęciu wydawała się chłodniejsza. Szybko jednak wróciła do poprzedniego stanu.

- Gdzie ten przeklęty służący! - warknęła matka po tym, jak kazała przynieść świeżej, zimnej wody. - Pewnie ukradł pieniądze i już go tu nie zobaczymy.

- Niedługo przyjedzie - próbowała uspokajać ją Grace. - Pamiętasz, jaka tu jest droga. Poza tym po ostatnich deszczach wiele traktów rozmokło.

Ale Claudia nie chciała tego słuchać.

- Przeklęty kraj - mruzczała. - Czemu nie sprzedał plantacji?

- To nie wina plantacji, mamó - Grace pogładziła ją po ręce. - To moskity. Poza tym pan Cahill mógł nas uprzedzić, że powinniśmy dodawać do wody chininę. Tak jak robią tu wszyscy wokół.

Dopiero po chwili dotarło do niej, że matka mogłaby się zdziwić, skąd o tym wie. Ale Claudia była tak zajęta swoją złością, że nie zwróciła na to uwagi.

Kiedy służące przyniosły świeżą wodę, znów powtórzyły kąpiel.

Przez chwilę wydawało im się nawet, że Victoria się budzi. Potem jednak zorientowały się, że choć ma półotwarte oczy, to nadal jest nieprzytomna.

Okolo południa Claudia nie wytrzymała.

- Chcę, żeby ktoś pojechał do Kolombo i odszukał tego przeklętego sługę! - zawołała i wypadła z pokoju, zanim Grace zdołała ją powstrzymać.

W następnym momencie usłyszała pukanie w szybę. Z bijącym sercem odwróciła głowę w tamtą stronę. To Vikrama! Położyła siostrze kolejny zimny okład na czole i pośpieszyła do

okna. Vikrama w tym czasie wydobył spod ubrania płócienny woreczek. Kiedy otworzyła okno, podał go jej ze słowami: - To od Kisah. Powiedziała, żebyś zmieszała to z wodą.

- Czy to kora chinowca?

- Tak, ale zmieszana z ziołami na gorączkę. Kisah uprzedzała, że jej stan może się z początku pogorszyć, ale potem szybko zacznie wracać do zdrowia.

- Czy ten środek jest bezpieczny? Vikrama skinął głową.

- Ludzie w wiosce przyjmują go zapobiegawczo, żeby uniknąć malarii. Właściwie powinienem był powiedzieć o tym pani ojcu, ale zakładałem, że jak wszyscy Anglicy przyjmujecie już chininę.

- Proszę sobie tym nie zawracać głowy. Nie mógł pan przecież o tym wiedzieć. My sami nie mieliśmy o tym pojęcia.

Vikrama popatrzył na nią z troską.

- Może niech pani też zażyje ten lek. Żeby i pani nie...

- Na razie czuję się dobrze - odpowiedziała, uświadamiając sobie, jak bardzo cieszy ją jego troskliwość. - Ale dziękuję, zaaplikuję go sobie później.

Ich spojrzenia spotkały się na moment, po czym Vikrama znów się oddalił.

- Dziękuję! - zawołała za nim, na co znów się odwrócił i pomachał jej na pożegnanie.

Kiedy zniknął, otworzyła woreczek. Mieszanka przypominała wyglądem nawóz, choć pachniała dużo przyjemniej. Ale jak ma to zmieszać z wodą, tak aby matka nic nie zauważyła? Zresztą co by w ogóle powiedziała, gdyby się dowiedziała, że dała Victorii miejscowy medykament? Pewnie by się oburzyła i wyrzuciła go czym prędzej.

Przez moment ogarnęły ją wątpliwości. Czy to lekarstwo na pewno jest coś warte? Ale zaraz przypomniała sobie, jak dzięki znachorce Naala znów stanęła na nogi. Może nie błyskawicznie, ale kobieta zdążyła już wrócić do pracy na plantacji.

Claudia chyba nadal zajęta była nakłanianiem męża, by posłał kogoś śladami posłańca, Grace postanowiła więc nie zwlekać dłużej i przystąpiła do działania. Nalała wody do dwóch szklanek i dosypała do nich odrobinę ziołowej mieszanki. Wypiwszy jedną z nich, podeszła z drugą do Victorii.

Czy uda jej się ją napić? Gdyby to była trucizna, pierwsza poczułaby jej skutki. Napój jej jednak nie zaszkodził, więc miała nadzieję, że pomoże Victorii, a w najgorszym razie, że przynajmniej jej stan się nie pogorszy.

- Victorio, kochanie - przemówiła łagodnym głosem, unosząc nieco jej rozgrzaną głowę. - Mam tu lekarstwo. Musisz je wypić.

Victoria odpowiedziała ciężkim westchnieniem, nadal nieobecna, na co siostra lekko nią potrząsnęła.

- Kochanie, otwórz oczy. Napij się troszkę, to wszystko. Niestety znów usłyszała tylko jakieś nieartykułowane dźwięki.

W panice spojrzała na drzwi i nadstawiła uszu. Na razie nie było słyhać żadnych kroków, ale matka w końcu tu wróci. Poza tym w każdej chwili mogły tu wejść służące z wodą.

- Victorio, proszę.

Teraz sklezione powieki dziewczynki lekko się uniosły. Grace wątpiła wprawdzie, że zrozumiała, co do niej mówi, jednak ośmielona tym drobnym

odruchem siostry przytknęła szklankę do jej ust. Przez chwilę bała się, że mała się zachłysnie. W końcu jednak udało się jej napić ją brunatnym płynem. Pod wpływem jego cierpkiego smaku nawet lekko oprzytomniała. I podczas gdy Grace przemawiała do niej łagodnie, wypła połowę szklanki, po czym znów zapadła w głęboki sen.

Kiedy już ułożyła ją z powrotem na poduszce, podeszła do okna i wylała przez nie resztkę płynu. Woreczek ukryła pod sukienką.

Modliła się przy tym, aby lekarstwo pomogło i uratowało jej siostrzyczkę.

Ostrzeżenia znachorki potwierdziły się. Po wypiciu wody z ziołami stan Victorii jeszcze się pogorszył. Dreszcze przeszły w malignę.

Dziewczynka leżała jak nieżywa. Grace poczuła skurcz w żołądku. Nie z powodu lekarstwa, które ona także wypła, lecz z obawy, że popełniła straszny błąd. Co, jeśli właśnie przyczyniła się do śmierci Victorii?

Popatrzyła na matkę spacerującą po pokoju z nerwowo splecionymi dłońmi. Liczyła w duchu, że zioła wkrótce objawią swoją leczniczą moc. Pojawił się również ojciec. Zapytał o stan córki, ale nie odważył się zbliżyć do jej łóżka.

Późnym popołudniem zjawił się nareszcie goniec z chininą. Grace spostrzegła go pierwsza, kiedy szła do jadalni po jakieś owoce.

Zauważyła też, że jego wierzchowiec był u kresu sił. Nie zwlekając, odstawiła misę z owocami. Nie zorientowała się przy tym, że położyła ją tuż obok obrazu z hinduskimi bóstwami. Od jakiegoś czasu leżało pod nim znacznie mniej kwiatów.

Posłaniec, młody robotnik z plantacji, z trudem wspiął się po schodach. Zataczał się ze zmęczenia i w końcu usiadł, całkowicie wyczerpany. Grace otworzyła więc drzwi i podeszła do niego.

Ociekający potem chłopak powiedział, że wraca z apteki i wręczył jej pudełeczko owinięte brązowym papierem.

- *Nanri* - podziękowała Grace po tamilsku i odesłała go do kuchni.

Sama tymczasem pośpieszyła do ich pokoju.

Kiedy wpadła do środka, Claudia aż podskoczyła.

- Przywiózł! - zawołała podniecona i zanim matka zdążyła o cokolwiek zapytać, dodała: - Właśnie tu dotarł, prawie zajechał konia.

Ale mamy to!

Matka odetchnęła z ulgą. Była przy tym tak roztrzęsiona, że

przygotowanie lekarstwa powierzyła Grace. Kiedy dziewczyna przysiadła potem na łóżku siostry, by podać jej chininę, spostrzegła, że pot na jej czole odrobinę wysechł. Uniosła ją delikatnie i znów przemówiła do niej łagodnym tonem. Victoria otworzyła oczy i tym razem spojrzała na nią przytomnym, choć jeszcze szklistym wzrokiem.

Trwało chwilę, zanim rozchyliła usta,

potem jednak wypła lekarstwo z mniejszym trudem niż poprzednio.

Może to tylko złudzenie albo gra wyobraźni, Grace czuła jednak, że stan Victorii trochę się ustabilizował.

Po napojeniu jej roztworem chininy ułożyła siostrę z powrotem na przepeconej poduszce i poprawiła jej zmierzwione włosy. Nie spuszczała jej z oka przez następnych kilka godzin. Żołądek bolał ją przy tym niemiłosiernie i choć czuła głód, nie była w stanie nic przełknąć. Razem z matką zmieniały Victorii w dalszym ciągu zimne okłady. Choć szmatki nadal szybko traciły temperaturę, dziewczynka nieco się uspokoiła, a maligna przeszła w zwykły sen.

- Tak czy inaczej, chinina chyba działa - powiedziała Claudia pod koniec dnia. Zmęczenie odbiło się na jej twarzy. Podkrążone oczy i brak makijażu bezlitośnie ujawniały jej trzydziesty ósmy rok życia. -

Gorączka będzie ją męczyć pewnie jeszcze jakiś czas, ale mam wrażenie, że jej stan już się nie pogorszy.

Miała rację, choć Grace, kładąc się po niemal dwóch dobach czuwania nad siostrą, była przekonana, że lekiem, który zadziałał, były zioła z tamilskiej wioski.

Wysoka temperatura utrzymywała się jeszcze przez kilka kolejnych dni, od czasu do czasu pojawiały się też dreszcze, jednak w końcu choroba zaczęła ustępować. Victoria doszła do siebie, kiedy gorączka całkiem spadła. Wymizerowana i słabiutka leżała na wysoko ułożonych poduszkach, jadła lekkostrawne zupy owocowe, przygotowywane po mistrzowsku przez kucharkę, a po jakimś czasie poprosiła o papier i sangwinę.

Choć poprzednie dni odcisnęły swoje piętno również na Grace, dziewczyna czuła się wolna i szczęśliwa jak nigdy dotąd. Anioł śmierci nie stał już nad łóżkiem Victorii, mogła więc znów pomyśleć o czymś innym. W pierwszej kolejności o Vikramie, któremu koniecznie chciała podziękować za szybką pomoc.

Kiedy to tylko było możliwe, zaglądał do nich przez okno, pytając o

samopoczucie obu sióstr. Po tym jak doktor Desmond

podczas ostatniej wizyty orzekł, że zdrowiu Victorii nic już nie zagraża, Grace wybrała się pewnego pochmurnego dnia po południu na poszukiwanie zarządcy. Znalazła go w szopie na herbatę, gdzie kontrolował stan więdnących listków.

- Panie Vikrama, czy możemy porozmawiać?

Zarządca odwrócił się w jej stronę i pokiwał głową. Następnie powiedział coś po tamilsku do siedzących tam pracownic i wyszedł na zewnątrz.

- O co chodzi? Mam nadzieję, że pani siostrze nic się nie stało.

Dziewczeta mówiły mi, że była bardzo dzielna.

Grace po raz pierwszy od wielu dni uśmiechnęła się beztrąsko.

- Nie, wszystko w porządku. Proszę się nie martwić. Victoria czuje się dużo lepiej. Doktor Desmond uważa, że nic jej już nie grozi. Przez najbliższy czas będzie może trochę osłabiona, ale i to szybko minie.

Vikrama odetchnął z ulgą.

- Miło mi to słyszeć. Kisah pytała mnie ostatnio, jak czuje się mała.

- Proszę jej przekazać, że jej medykamenty świetnie się sprawdziły i że wszyscy jesteśmy jej bardzo wdzięczni.

- To znaczy, że powiedziała pani o tym matce? - zapytał, spojrzawszy na nią badawczo.

- Nie, ona... - Grace spuściła głowę zawstydzona. - Ona na pewno uznałaby je za truciznę. Podałam je Victorii, kiedy matki nie było w pokoju.

- A więc zaufała mi pani. Spojrzała na niego.

- Tak, ufam panu.

W oczach Vikramy zajaśniał przez chwilę błysk radości.

- Może pani siostra wyzdrowiała również dlatego, że złożyła pani ofiarę Sziwie i Ganeszy - powiedział.

- Co zrobiłam?

- To pani postawiła misę z owocami pod obrazem, prawda?

Dopiero po chwili przypomniała sobie tamto zdarzenie. Po prostu zapominała wtedy o owocach.

- Jedna z dziewcząt zaczęła rozpowiadać, że złożyła pani ofiarę bogom. I teraz wszyscy sądzą, że to Sziwa i Ganesza uzdrowili pani siostrę.

Uśmiechnął się do niej serdecznie, po czym wyciągnawszy rękę, odgarnął delikatnie kosmyk z jej policzka. Pod wpływem dotyku jego palców Grace poczuła, jak gdyby przeszył ją prąd. Zakłopotana tym czułym gestem zrobiła

krok w tył.

- Przepraszam, nie chciałem... - zarumienił się Vikrama i opuścił rękę.

- Nie, nie... to... Wszystko w porządku... - Grace odgarnęła nerwowo włosy z twarzy. Serce kołatało jej jak oszalałe, a policzki płonęły pąsem. Całą duszą pragnęła, by znów jej dotknął. Sama wszystko popsuła, cofając się przed nim. - W każdym razie bardzo panu dziękuję. Wszyscy dziękujemy - powiedziała tylko.

- Cieszę się, że mogłem pomóc - Vikrama skłonił się lekko, po czym wbił w nią wzrok. Jeszcze nigdy jego ciemne oczy nie wydawały się jej tak tajemnicze. I nigdy dotąd nie czuła w duszy takiej tęsknoty, która nie opuściła jej nawet wtedy, gdy odwróciła się od niego i pobiegła z powrotem do domu.

- Stocktonowie zaprosili nas do siebie - oznajmiła Claudia podczas kolacji. - Teraz, kiedy Victoria wyzdrowiała i prawie wróciła do sił, możemy już chyba zaryzykować wyjście.

- Też tak sędzę - przytaknął ojciec, ocierając usta serwetą. - Co ty na to, Victorio?

Oczy dziewczynki zaświeciły się.

- Och, byłoby cudownie! Mogłabym ich córce opowiedzieć o mojej chorobie. A nawet jej tym zaimponować, bo założę się, że nie miała jeszcze malarii.

- Będzie lepiej, jeżeli nie będziesz przy nich rozpowiadać o tej chorobie - wtrąciła matka. - Żeby sobie nie pomysleli, że możesz zarażać. Ich córka jest już i tak słabego zdrowia i wolałabym nie przysparzać pani Stockton dodatkowych zmartwień.

- Ale doktor Desmond mówił, że malaria nie przenosi się z człowieka na człowieka.

- Nie byłbym tego taki pewien, moja panno - odezwał się ojciec. -

Nauka wciąż się rozwija, kto wie, co przyniosą najświeższe badania.

Może się okazać, że malaria jest zakaźna i wpędzimy naszych sąsiadów w tarapaty.

Henry roześmiał się i znów otarł usta serwetą. Claudia poklepała go po ramieniu, a Victoria zrobiła nadąsaną minę.

Grace wolała się nie odzywać. Perspektywa całego popołudnia w towarzystwie tego nudziarza Georgea wydawała się jej nie do zniesienia. Nie mówiąc o spojrzeniach jego ojca. Rodzice są chyba ślepi, skoro dotąd niczego nie zauważyli. W duchu zamarzyła nawet, że teraz to ona zapada na

malarię. W tym samym czasie co Victoria zachorowało też kilku pracowników plantacji, jednak dzięki znachorce żaden poważnie nie ucierpiał ani nie umarł.

- Co ci jest, serdeńko? - zwrócił się do niej Henry. - Jesteś taka milcząca. Nie cieszysz się na naszą małą wycieczkę?

- Ależ nie, cieszę się.

- A wyglądasz tak, jakbym kazał ci zjeść skrzynkę cytryn.

- Nie czuję się najlepiej. Znów mam mdłości. - Wiedziała, że to najlepsza wymówka i że po niej ojciec nie będzie już drażył tematu.

- Miejmy tylko nadzieję, że za parę dni poczujesz się lepiej. Byłoby szkoda, gdybyś nie mogła z nami pojechać.

Nie dla Grace. Zdawała sobie jednak sprawę, że nie ma wyjścia.

Skinęła tylko głową z uśmiechem i zapytała: - Kiedy mielibyśmy jechać?

- W przyszłą niedzielę, zaraz po nabożeństwie. Jeżeli zechcecie, możemy nawet wybrać się do kościoła w Nuwara Eliya.

„To nie taki zły pomysł”, pomyślała Grace, mając nadzieję, że nikt nie dostrzeże drwiny w jej spojrzeniu. Mogłaby się od razu pomodlić, by George Stockton wcale się nią nie interesował.

Tydzień minął jak z bicia strzelił. Panna Giles z pomocą Grace i Victorii wyszykowała suknie, które miały włożyć na wizytę.

- Powoli staję się pokojówką - mruzczała w chwilach, kiedy sądziła, że nikt jej nie widzi ani nie słyszy. Gdyby bowiem jej skarga dotarła do uszu Claudii, czekałaby ją ostra reprimenda. Jednak ani Grace, ani Victoria nie miały zamiaru jej zdradzać przed matką.

Podczas gdy Victoria zajęta była nadrabianiem zaległości w nauce, Grace spędzała czas na spacerach albo marząc podczas nużącego doszywania tasiemek i koronek o ponownych lekcjach z Vikramą.

Nadal nie miał na to czasu, a ona obawiała się, że wkrótce zapomni wszystkie z takim trudem wyuczone słówka i znaki.

W niedzielę po południu, po wizycie w nowo wybudowanym kościele w Nuwara Eliya i krótkim lunchu wyruszyli w drogę do sąsiadów.

Trakt prowadzący przez dżunglę był rozjechany przez wozy i bardzo wyboisty. Gdziekolwiek napotykali też woły, które przeżuając trawę, spoglądały na nich tak, jak gdyby nigdy jeszcze nie widziały ludzi ani koni. Nad ich głowami, w koronach drzew skakały papugi i małpy. Od czasu do czasu któraś z przedstawicielek tych ostatnich wyłaniała się z gąszczy obok



ich powozu, niczym zwiadowca mający za zadanie w razie potrzeby ostrzec swoich pobratymców przed zagrożeniem.

Grace pozostała jednak całkowicie obojętna na wszystkie uroki przyrody. W myślach powtarzała sobie wciąż tylko, że może nie będzie tak źle. W końcu w Anglii również zdarzały się im niemiłe wizyty u ludzi, którzy pożyczali ojcu pieniądze. Przecież Stockton jej nie ugryzie, a na pewno nie wtedy, gdy będzie się trzymać blisko przy rodzicach.

Po godzinie jazdy ich oczom ukazał się widok na plantację Stocktonów. Trzypiętrowa rezydencja pyszniła się niczym perła na zielonym aksamicie. Pola herbaty były większe niż w Vannattuppucci, dookoła stało też znacznie więcej zabudowań

gospodarczych. Dom otaczało wysokie, ozdobne ogrodzenie. Na jego widok Henry zawołał:

- To najlepsza kowalska robota, jaką widziałem!

- Nasze ogrodzenie też jest ładne. - Nie mogła się powstrzymać Grace.

Dom może i prezentował się z przepychem, jednak jej zdaniem także zbyt pyszałkowato jak na własność człowieka, który nie mógł się nawet pochwalić szlacheckim tytułem. Tremayne'owie również nie wywodzili się ze szlachty, jednak ich domy wznosiły się skromniej, na wysokość dwóch pięter.

Kiedy ich powóz wtoczył się na podjazd przed domem, Claudia uznała, że powinna jeszcze po raz ostatni pouczyć dziewczęta.

- Zachowujcie się przyzwoicie i nie róbcie żadnych dziwacznych uwag. Ty, Victorio, nie wtajemniczaj ich córki w szczegóły malarii, a ty, Grace, zrób coś zaraz z tą naburmuszoną miną. Chcę, żebyś zachowywała się przyzwoicie wobec Stocktonów.

„Czy kiedykolwiek zachowałam się nieprzyzwoicie?”, przemknęło Grace przez głowę. Woląла jednak uniknąć teraz scysji z matką, więc nie odpowiedziała. Obie więc tylko przytaknęły Claudii akurat w momencie, kiedy stangret zatrzymał powóz.

Stocktonowie wraz ze swoją cherlawą córką i bladym synem, wyglądającym tak, jakby dusił się własnym ascotem, oczekiwali gości w holu, gdzie wprowadził ich nadęty kamerdyner.

- Moi drodzy! - zaczęła Alice Stockton, rozkładając ramiona, podczas gdy jej małżonek potrzasał energicznie dłonią Henrygo, a jego spojrzenie skrzyżowało się przypadkiem ze spojrzeniem Grace.

Poczuła się tak, jakby zbyt nachalnie dotknął jej policzka.

Po przywitaniu, podczas którego, chcąc nie chcąc, musiała znieść

pocałunek złożony na jej dłoni przez Deana Stocktona, zaprowadzono ich do okrągłego, urządzonego z przepychem salonu za przesuwными, witrażowymi drzwiami. Nie tylko Claudia zachwyciła się przepięknymi ratanowymi meblami, drogimi dywanami i obrazami przedstawiającymi uroki okolicy.

Herbatę zaserwowano na chińskiej porcelanie, ciastka smakowały wybornie. Grace spostrzegła, że matka niemal z zazdrością przygląda się scones, jeszcze przed wzięciem pierwszego kęsa. Ona sama czuła natomiast ciągły ucisk w żołądku. Bynajmniej nie z powodu ciasteczek. Miała wrażenie, że przez cały czas znajduje się pod ostrzałem spojrzeń rzucających jej to przez Deana, to przez Georgea.

Raz nawet przyłapała tego ostatniego, jak oblizuje wargi, i obleciał ją nieprzyjemny dreszcz. Szybko sięgnęła więc po filiżankę, jednak już w tej samej chwili zaatakował ją Stockton senior: - Brakuje pani balów, nieprawdaż? W Londynie o tej porze roku urządza się tam jeden za drugim.

- Prawdę mówiąc, tęsknię już za Londynem - odparła chłodnym tonem. - Jednak widok tutejszej natury i życie w Vannattuppucci wynagradzają mi tę stratę z nawiązką.

Jej odpowiedź zabrzmiała zupełnie niewinnie i właściwie nikt nie mógł jej niczego zarzucić. Mimo to Dean Stockton poczuł się w obowiązku, by zauważyć:

- W takim razie może później George pokaże pani naszą plantację?

Jako przyszłemu właścicielowi sprawi mu to z pewnością wielką przyjemność.

- Ależ oczywiście - włączył się syn, oblewając się rumieńcem. -

Kiedy tylko pani zechce.

Nie miała wyjścia. Musiała się zgodzić, zwłaszcza że ojciec z matką patrzyli na nią tak, jakby chcieli jej przypomnieć o zasadach dobrego wychowania. Kiedy więc wyraziła taką chęć, pokiwali głowami z zadowoleniem. A żeby tego było mało, w chwili gdy nikt nie patrzył, Victoria obdarzyła ją szerokim uśmiechem.

Rozmowom przy stole przysłuchiwała się dość pobieżnie. Jej wzrok wciąż wędrował w stronę drzewa plumerii o intensywnie różowych kwiatach rosnącego na środku ogrodu. Plumerie w Vannattuppucci również były przepiękne, ale to drzewo miało jakiś szczególny urok.

Może uda jej się później namówić George'a, żeby pod nim zostali?

Albo najlepiej zabawili się w chowanego.

Skryłyby się gdzieś w trawie za drzewem i siedziała tam cichutko aż do wieczora...

Gdyby to od niej zależało, podwieczorek mógłby się ciągnąć w nieskończoność. W końcu nadszedł jednak moment, kiedy całe towarzystwo wstało od stołu. Dean zabrał Henry'ego do gabinetu, gdzie chciał mu coś pokazać, Victoria ruszyła za Clarą do jej pokoju, panie postanowiły odpocząć, jej zaś George zaoferował swoje ramię.

Pozazdrościła swojej młodszej siostrze. Wolałaby już wysłuchiwać opowieści o chorobach Clary, aniżeli prowadzić wymuszoną konwersację z tym człowiekiem, który i tak w jej opinii prawdopodobnie nie miał nic do powiedzenia.

George zaprowadził ją do ogrodu - wyprawa na pola herbaty albo do osady zbieraczy nie wchodziła w rachubę, po co narażać się na spojrzenia tych prymitywów. Na prośbę Grace udali się najpierw pod plumerię. To, co z oddali wyglądało na jedno drzewo, stanowiło w rzeczywistości splot kilku pni. Ciekawe, czy było to dzieło natury, czy miał w tym swój udział jakiś zręczny ogrodnik. Tak czy inaczej efekt robił ogromne wrażenie.

- Tam z tyłu znajdzie pani drzewo **bodhi**. Miejscowi twierdzą, że to właśnie pod jednym z takich drzew Buddha doznał oświecenia -

powiedział George. Widok plumerii był dla niego codziennością i nie umiał już dostrzec w nim niczego nadzwyczajnego. - Z tego powodu darzą tę roślinę jakimś absurdalnym kultem. Tylko surowymi zakazami można ich powstrzymać od składania pod nim kwiatów.

Grace znów przypomniała sobie o wizerunku bogów w holu ich domu. Od czasu, gdy jedna ze służących zobaczyła, jak odstawia tam misę z owocami, a Victoria rzeczywiście wkrótce potem zaczęła wracać do zdrowia, ilość kwiatów pod obrazem znów wzrosła. Liczyła tylko po cichu, że ojciec nie da się namówić Stocktonowi, by zakazać tego robotnikom i zbieraczkom.

Kiedy stanęli pod rozłożystą koroną drzewa, Grace dostrzegła w niej kilka papug.

- Proszę zobaczyć! - krzyknęła. - Czyż one nie są piękne? George rzucił na górę tylko krótkie spojrzenie i powiedział: - Niedawno upolowałem zieloną papugę. Udało mi się nawet ją wypchać, tak że wygląda jak żywa.

Grace popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, co młodzieniec odczytał niechybnie jako wyraz podziwu, bo dodał: - Trzeba pani wiedzieć,

że preparowanie zwierząt to moja pasja. W

ten sam sposób konserwuję również owady i motyle. Jeżeli tylko wyrazi pani takie życzenie, chętnie pokażę jej swoją kolekcję.

Przypomniała sobie wtedy trofea ojca w jego gabinecie w Tremayne House. Zwierzęta, które sam uśmiercił, i które chciał zachować sobie na pamiątkę. Ich czarne, szklane oczy wywoływały w niej dreszcz, nawet kiedy przestała już być dzieckiem.

- Nie, dziękuję - odpowiedziała pośpiesznie. - Wolę obserwować zwierzęta w ich naturalnym środowisku.

Myliła się jednak, sądząc, że w ten sposób odwiedzie Georgea od jego ulubionego tematu. Z zapalem, jakiego nikt by się nie spodziewał w tak cherlawym ciecie, zaczął objaśniać jej tajniki preparacji, wywołując jeszcze większy skurcz w jej ściśniętym żołądku. A kiedy wyznał, że pracuje właśnie nad ozdobą z papuzich piór, którą zamierza podarować matce na Boże Narodzenie, stwierdziła, że ma już dość.

- Proszę mi wybaczyć, źle się czuję! - odezwała się nieco gwałtowniej, niż powinna.

- Odprowadzę panią! - zaproponował George, ale Grace pokręciła głową odmownie.

- Nie, nie trzeba, nie chciałabym popsuć panu obserwacji kolejnych... obiektów.

Po czym obróciła się na pięcie i spróbowała oddalić się z możliwie jak największą godnością. Kiedy stwierdziła zaś, że znalazła się już wystarczająco daleko od swojego rozmówcy, zaczęła biec, jak gdyby ścigały ją duchy wszystkich wypchanych przez niego zwierząt.

Znalazłszy się w domu, spróbowała się odrobinę uspokoić.

O ile jej wcześniejsze zastrzeżenia wobec młodego Stocktona wydawały się dość niepoważne, to teraz naprawdę miała powód, by nim gardzić.

Była już prawie pod pięknymi szklanymi drzwiami, kiedy do jej uszu dobiegły głosy matki i pani Stockton. Ton ich rozmowy sprawił, że przystanąła i zaczęła się jej przysłuchiwać.

- Moja droga, nasz syn już szaleje za waszą córką - wyznała z egzaltacją Alice. - Myśli o niej nieustannie od dnia balu.

- I to mimo że widział ją tak krótko - westchnęła Claudia. - Sama nie wiem, co w nią wtedy wstąpiło. To nie ta sama dziewczyna.

- To wina klimatu. Młodzież łatwiej ulega tu oszołomieniu. Ja sama, choć

żyję tu już dwadzieścia lat, z trudem do tego przywykłam. Może być pani jednak pewna, nasz George i wasza Grace będą piękną parą, jeżeli tylko rozważą państwo taką ewentualność.

Grace wstrzymała oddech. Czy to możliwe, że zaproszono ich tutaj właśnie z tego powodu?

- Droga pani Stockton, już o tym myśleliśmy. Teraz wszystko będzie zależec od tego, czy młodzi przypadną sobie do gustu.

Musiała zatkać sobie usta dłonią, by stłumić okrzyk przerażenia. A więc matka całkiem poważnie widzi ją u boku tego mydłka? Ona, której postawny mąż był wszak jego całkowitym przeciwieństwem?

Nagle zrobiło jej się tak słabo, że musiała oprzeć się o framugę. Nie miała jednak czasu, by całkiem zasłabnąć, bo za jej plecami rozległ się głos Stocktona udzielającego ojcu wskazówek dotyczących plantacji.

Nie zastanawiała się długo. Wyprostowała się i weszła do salonu.

- Jesteś, Grace! - powiedziała słodko Claudia. - Właśnie o tobie rozmawiamy.

W zasadzie należało odpowiedzieć coś uroczego, ale Grace nie była w stanie wydusić z siebie ani jednego miłego słowa. A to, co

cisnęło się jej na usta, wołała zachować dla siebie. Uśmiechnęła się więc tylko blado. Chwilę później do salonu wkroczyli Stockton i Henry. Ich brwi poszybowały w górę, kiedy spostrzegli obok swoich małżonek także Grace - samą.

- Gdzie zgubiła pani mojego syna? - zażartował gospodarz, wpatrując się w nią intensywnie. - Chyba nie bawi się pani z nim w chowanego?

- Nie, oczywiście, że nie - odparła możliwie najgrzeczniej i spuściła wzrok, aby nie dostrzegł, jakie obrzydzenie wzbudziły w niej obrazy przywołane niedawno przez Georgea. - Jest chyba w ogrodzie.

- O, w takim razie znów pewnie zasadza się na jakieś zwierzę - powiedział Stockton lekko wytrącony z równowagi. Najwyraźniej i on niezbyt ceniał pasję syna. - Zamiłowanie Georgea do kolekcjonerstwa nie zna żadnych granic. Jestem jednak przekonany, że pewnego dnia jakaś piękna kobieta skieruje jego zainteresowania na inne tory - dodał

i znów popatrzył na nią. - Mieliby państwo coś przeciwko, gdybym pokazał tej młodej damie naszą wieżę widokową? - zapytał też zaraz. -

Skoro ogród nie budzi pani zachwyty, to może spodoba się pani widok na góry i waszą posiadłość - zwrócił się znowu bezpośrednio do niej.

- Oczywiście, że nie - odezwał się Henry, upominając wzrokiem córkę.

Perspektywa zostania sam na sam ze Stocktonem wzbudziła jej ogromną niechęć. Przemogła się jednak i zdobyła nawet na uśmiech.

- Gdyby miał pan ochotę, może pan pójść z nami. Henry odmówił.

- Nie, myślę, że posłucham, o czym tak rozprawiają nasze damy.

„Nawet ojciec nie ma ochoty na jego towarzystwo”, pomyślała ze złością. Podniosła się jednak z bijącym trwożnie sercem i przyjęła zaoferowane jej ramię. Stockton popatrzył na nią z uśmiechem, po czym wyprowadził z salonu.

Schodzili z ganku, milcząc. Grace próbowała się domyślić, gdzie znajduje się owa platforma widokowa i czy to daleko stąd. Liczyła też po cichu, że może pojawią się przed nimi George albo Clara z Victorią i też zechcą do nich dołączyć. Nikt jednak nie przeciął im drogi, jak gdyby to sam Stockton pozamykał ich gdzieś na klucz.

- Proszę, to niedaleko - odezwał się w końcu z taką uprzejmością, że natychmiast wzbudził jej czujność. Zaraz jednak się uspokoiła.

Przecież nieopodal są rodzice, a on poza dziwnymi spojrzeniami nigdy nie próbował nic jej zrobić.

Ruszyli w górę zbocza wzdłuż położonych na tarasach pół herbaty.

Stąpali po schodkach z bali, których stopnie były na tyle płaskie, by wspinając się, nie trzeba było zbyt mocno zadzierać spódnicy. Widok na plantację i szelest herbacianych listków sprawiły, że Grace na moment zapomniała, kogo ma u swego boku. Potem jednak Stockton znalazł się tak blisko za nią, że niemal czuła ciepło jego ciała i zapach wody kolońskiej.

- Zaraz będziemy na miejscu - wyjaśnił. Zupełnie niepotrzebnie, bo Grace zdążyła już dostrzec platformę.

Znajdowała się na sztucznej półce skalnej, a obserwatora przed upadkiem w przepaść chroniła żelazna barierka. W słońcu połyskiwał też niewielki teleskop. Musiała przyznać, że roztaczał się stamtąd naprawdę przepiękny widok. Z oddali widoczna też była góra Adams Peak, z której spadł stryj Richard.

- Luneta pozwala zobaczyć nawet wierzchołki gór - powiedział stojący za nią Stockton. Miała wrażenie, że ustami niemal dotyka jej ramienia. - Trzeba tylko uważać, by nie zawróciło się pani w głowie.

- Myślę, że to mi nie grozi - odparła Grace, miotając się między zaciekawieniem a niepokojem.

- Jest pani odważna. To mi się podoba!

Położywszy dłoń na jej ramieniu, przesunął ją ostrożnie do przodu.

Kiedy nachyliła się, by spojrzeć przez teleskop, dotknęła biodrem jego ciała. Przestraszona popatrzyła na bok. Nie sądziła, że stoi tak blisko niej.

- Tutaj może pani ustawić ostrość.

Nim zdołała się cofnąć, obszedł ją z boku. Jego dłoń niby przypadkiem musnęła jej włosy, ramię spoczęło na jej plecach. Na poły ją obejmując, zaczął kręcić pokrętłem teleskopu. Potem wreszcie cofnął rękę, nie omieszkając jednak przy tym dotknąć jej talii.

Grace cała się trzęsła. Jak on śmie jej dotykać?! W następnej chwili sama sobie wydała się śmieszna. „Pewnie jestem przewrażliwiona”, stwierdziła w duchu, i spróbowała skupić się na widoku z teleskopu.

Przez dłuższy czas podziwiała porwane szczelinami zbocza Adams Peak, skierowawszy zaś obiektyw w dół, rzeczywiście zobaczyła pola i rezydencję w Vannattuppucci.

Jednak potem usłyszała, jak Stockton dyszy. Najpierw myślała, że źle się poczuł. Kiedy jednak oderwała wzrok od lunety, ujrzała parę ciemnych oczu lśniących jakimś dziwnym blaskiem. Choć nie miała wielkiego doświadczenia, instynkt podpowiedział jej, że ten blask oznacza żądze, pożądanie. To te doznania zdominowały teraz jego umysł i kazały mu się oblizać.

- Grace - szepnął niemal bezgłośnie z dziwnym uśmiechem na twarzy.

Chciała się cofnąć, ale uniemożliwiły jej to teleskop i metalowa barierka. Stockton zrobił krok w jej stronę i podniósł rękę, by dotknąć jej włosów.

- Proszę, wracajmy już - wyszeptała przestraszona. - Kręci mi się w głowie. Proszę!

Ręka Stocktona zastygła w powietrzu. Chwilę później zgasł lubieżny blask w jego oczach.

- Jak sobie pani życzy - powiedział sztywno i podał jej rękę. Grace tym razem jej nie przyjęła i samodzielnie zeszła po schodach.

Przez całą drogę powstrzymywała się, by nie zacząć biec. Wprawdzie Stockton trzymał się już w należytej odległości i nie próbował

ponownie do niej zbliżyć, jednak to, co mogło się teraz dziać w jego głowie, zatrzażało ją jeszcze bardziej niż to, co wcześniej usłyszała z ust matki i pani Stockton.

Po powrocie do salonu zastała tam już także Georgea oraz Clarę z

Victorią.

- Jak tam widoki? - zapytał ojciec pogodnie, bynajmniej nie dostrzegając, że coś jest nie w porządku z jego córką.

- Przepiękne - zbyła go.

Zauważyła przy tym, jak pani Stockton patrzy pytająco na męża.

Wprawdzie wyraz pożądania zniknął już z jego oblicza, pozostawił jednak na nim ślad, który nie uszedł uwagi Alice. Przez resztę popołudnia Grace nie była w stanie spojrzeć jej w oczy, choć to nie ona polowała na jej męża i nie ona szukała niby przypadkowych kontaktów.

Na szczęście to piekło skończyło się godzinę później i wyruszyli z powrotem do Vannattuppucci. Cały czas Grace była tak wzburzona, że nie mogła z siebie nic wykrztusić. Poczucie zawstydzenia wywołane spacerem ze Stocktonem szybko wymieszało się w niej z falą gniewu z powodu planowanych zaręczyn z Georgeem. Nikt jednak niczego nie zauważył, bo Victoria przez całą drogę powrotną paplała o chorobach, jakie tym razem odkryła u siebie Clara.

- Nie było mi łatwo, ale nie pisnęłam słówkiem o mojej malarii - dodała, widząc posępne spojrzenie ojca.

Kiedy powóz stanął przed domem, Grace poczuła, jak wzbiera w niej złość. Pani Stockton zachowywała się tak, jak gdyby sprawa zaręczyn była już przesądzona! Jak matka może oddawać ją pierwszemu lepszemu człowiekowi tylko dlatego, że ich plantacje sąsiadują ze sobą, a Stocktonowie wyglądają na zamożniejszych od nich! Ciekawe, co by powiedziała, wiedząc, że Dean Stockton też ostrzy sobie zęby na jej córkę... „Pewnie uznałaby, że coś sobie ubzdurałam”, pomyślała zdruzgotana Grace.

Znalazłszy się w pokoju, gniewnym gestem zerwała z głowy kapelusz i cisnęła go w kąt pod oknem. Następnie zanurzyła palce we włosach i zaczęła je szarpać. Victoria, która weszła tuż za nią, zamknęła pośpiesznie drzwi.

- Co ci jest, miałaś jakiegoś owada w kapeluszu?

Grace nie odpowiedziała i zaczęła zdejmować suknię. Potem obróciła się do niej z błędnym wzrokiem. Victoria odskoczyła na bok przestraszona.

- Będziemy musieli zamknąć cię w zakładzie dla obłąkanych?

- Zamknij tam lepiej panią Stockton! - parsknęła Grace. - Uważa, że jej synalek i ja tworzylibyśmy piękną parę! A matka jeszcze jej wtóruje! Jak gdyby w okolicy nie było innych kawalerów!

Nie była jednak gotowa, by opowiedzieć siostrze, jak zachował się wobec



niej Stockton na platformie widokowej.

- Których i tak nie masz ochoty poślubić, prawda? - powiedziała przenikliwie Victoria, zdejmując kapelusz dużo spokojniej niż Grace.

- Oczywiście, że wołałabym kogoś z nich. Takiego, który w niczym nie przypomina tego Georgea Stocktona! Jak matka może w ogóle rozważać moje małżeństwo z tym wymoczkim? Wyobraź

sobie, co go najbardziej fascynuje? Uwielbia wypychać martwe zwierzęta! W czasie spaceru wyłożył mi w najdrobniejszych szczegółach, jak je patroszy za pomocą haka. Wierz mi, ten chłopak ma nie po kolei w głowie.

W oczach Victorii zaślnęły iskierki zainteresowania. Z jej wrodzoną ciekawością na pewno chętnie na własne oczy zobaczyłaby wszystkie te preparaty.

- Może powinnaś powiedzieć o tym mamie?

- Ona pewnie w ogóle nie zechce mnie wysłuchać. Żebyś widziała, jaka była zachwycona pomysłem pani Stockton. A przecież jesteśmy tutaj zaledwie od dwóch miesięcy!

- Gdybyśmy zostali w Londynie, też miałabyś już swoich adoratorów.

- Ale nie byłoby wśród nich takiego, który szlachtuje zwierzęta i wypycha je trocinami.

- Wiesz, mama uważa, że dziewczęta powinny wyjść za mąż najwcześniej, jak się da - ciągnęła beznamiętnie Victoria. - Ona sama miała właśnie osiemnaście lat, kiedy poznała papę.

Już miała odpowiedzieć, że ojciec nie hołdował żadnym krwawym hobby i z powodu braku szlacheckiego tytułu nie urządził też polowań, kiedy uświadomiła sobie, że od czasu ukarania jej aresztem zmieniło się jej nastawienie wobec ojca. Owszem, nadal darzyła go miłością, jednak odkąd tu przybyli, jej uczucia wobec niego spowijał jakiś cień.

Nie umiała przy tym powiedzieć, czy przyczyna owej zmiany leżała w niej samej, czy w nim.

- Zdaję sobie sprawę, że któregoś dnia będę musiała kogoś poślubić.

Ba, gdyby jeszcze pół roku temu ktoś powiedział mi, że zostanę żoną bogatego plantatora, nie posiadałabym się ze szczęścia. Ale teraz... -

urwała. Czy naprawdę, będąc w Anglii, zgodziłaby się bez protestów na to, że to rodzice wyszukają dla niej męża?

W Anglii miałaby czas przez cały sezon balowy, by samej wyszukać sobie kandydata na męża. Może nawet zakochałaby się w nim, a jego ojciec

nie patrzyłby na nią jak myśliwy na zwierzynę.

Miłość! Otóż to. Jako dziewczynka wciąż o niej marzyła. Jednak kiedy dorosła, zaczęto jej wmawiać, że ważniejsze od niej są zobowiązania wobec rodziny. Mimo to tęsknota za nią nie dawała się tak łatwo stłumić.

- Nie kocham Georgea Stocktona i pewnie nigdy nie pokocham. A przecież mówi się, że wystarczy parę chwil, aby przekonać się, czy jakiś człowiek budzi naszą sympatię, czy nie.

- Mówi się także, że żony przyzwyczajają się do swoich mężów i z czasem nawet udaje im się ich pokochać.

- Owszem, tak się mówi. Ale akurat ty, tak zaczytana w roman-tycznych powieściach i książkach Jane Austen, chyba byś tak nie umiała, prawda? Nie wolałabyś znaleźć swojego pana Darcy?

Jeszcze zanim skończyła mówić, uświadomiła sobie, że ona znalazła już swojego.

- Ja wolę raczej pułkownika Brandona - rozmarzyła się Victoria.

- Niech będzie pułkownik Brandon - przystała Grace. - Chodzi mi o to, że George Stockton nie jest ani jednym, ani drugim. Niech sobie będzie bogatym dziedzicem, ale i takich nie

brakuje tu pewnie w okolicy. Co, na litość Boską, rodzice chcą osiągnąć, wydając mnie za tego mydłka? Przecież na pewno mieszka tu kilku postawniejszych synów plantatorów.

- Ale gdybyś za niego wyszła, pozostałabyś niedaleko stąd. A wiesz, że ojciec spodziewa się, że to ty przejmiesz po nim kiedyś plantację.

- Właściwie to miałam przejąć Tremayne House - zaprotestowała Grace. - I szczerze mówiąc, wolałabym teraz być właśnie tam!

Oczywiście to nie do końca była prawda, bowiem coś ją tu jednak trzymało. Ale też by uniknąć małżeństwa z George'em, byłaby gotowa z miejsca wyruszyć w podróż nawet na koniec świata.

- Po co ci ta ruina? - zdziwiła się Victoria. - Musisz przyznać, że tutejszy klimat jest o wiele przyjemniejszy, a i dom jest w dużo lepszym stanie.

- To prawda, ale pomyśl, co zrobiłabyś, gdybyś była na moim miejscu!

Kiedy wybuchła płaczem, siostra usiadła obok niej, gładząc ją delikatnie po plecach.

- Może jeszcze to przemyślą. Poza tym nie chciałabym, żebyś odeszła. Zresztą niewykluczone, że młody Stockton też nie chce tego małżeństwa. Albo na przykład któregoś dnia, podczas objazdu plantacji, spadnie z konia.

Nikt nie wie, co przyniesie los.

Od czasu wizyty u Stocktonów Grace była obrażona i nie pokazywała się poza porami posiłków. Claudia chyba z niczego nie zdawała sobie sprawy, a ojciec był tak zajęty pracą, że w ogóle nie zauważył złego nastroju starszej córki.

Siedząc nad pełnym talerzem owsianki, nie czuła w ogóle apetytu. Jej umysł zdominował teraz sprzeciw wobec zaręczyn z George'em Stocktonem.

Zgoda, jako kobieta musi spełnić swoją powinność i wyjść za mąż.

Ale dlaczego akurat za niego? Równocześnie zastanawiała się wciąż, gdzie podziała się tamta posłuszna córka, którą interesowały jedynie debiut i zamążpójście.

Zmusiła się, żeby spróbować jajka. Wówczas przyszło jej coś do głowy. Nikt nie jest w stanie zająć miejsca w jej sercu, bo ono nie jest już wolne. Otworzyła je przed pewnym mężczyzną, mimo że nie wiedziała nawet, czy nie jest z kimś związany.

**14.**

### **Vannattuppucci Tea Company, 2008**

Następnego dnia rano znów czekało na nich w kuchni śniadanie, jednak zamiast pana Manderleya znaleźli jedynie karteczkę od niego.

Przepraszał, że dziś go nie będzie, ale ma pilne sprawy w Kolombo i wróci dopiero jutro.

- Będzie nam go brakowało - uśmiechnęła się Diana w drodze do archiwum i włożyła karteczkę do kieszeni w spodniach. - Nie będziemy mieli kogo zapytać.

- W całym domu roi się od ludzi, którzy tylko czekają, by oderwać się od swoich codziennych zajęć - zażartował Jonathan, a następnie podał jej płytę CD. - Wyszukałem dla pani parę ciekawostek o *kalarippayatu*. Jest tu też film, dzięki któremu będzie pani mogła zobaczyć, na czym ta walka polega. Może się to pani do czegoś przyda.

- Skąd wziął pan płytę? - zdziwiła się Diana.

- No cóż, panie w sekretariacie są bardzo uczynne. Należy tylko uśmiechnąć się szarmancko i wyrazić pokorną prośbę. Niech pani rzuci na to później okiem, naprawdę warto.

Diana wzięła pudełko z płytą i popatrzyła na jego opis, ponad wszelką

wątpliwość autorstwa Jonathana.

- A co z pańskim projektem? - zapytała potem. - Mam wyrzuty sumienia, że na tak długo odciągam pana od pracy.

- Nie uważam tego tutaj za odciąganie od pracy. Już wczoraj mówiłem pani, że wykorzystam co nieco z tego, co tu znajdziemy. I właściwie powinienem być wdzięczny pani i Michaelowi. Mam okazję spojrzeć na mój temat z całkiem innej perspektywy. My historycy mamy zwyczaj podchodzić do wielu zagadnień zbyt racjonalnie. A w tym miejscu - powiódł ręką dookoła - można na własnej skórze odczuć inne aspekty tego konfliktu. Czego chceć więcej?

Minęło kilka godzin. Jedynym śladem, jaki udało się Dianie tym razem odnaleźć, była recepta na chininę wystawiona przez doktora Desmonda. Pozostałe luźne kartki stanowiły wyłącznie listy przewozowe i korespondencję biurową. Choć przynajmniej odkryła na nich podpis swojego przodka Henry'ego Tremaynea. Nawet nie dysponując głębszą wiedzą na temat grafologii, była w stanie określić go jako człowieka zawsze stawiającego na swoim. Co takiego się wtedy stało?

Przypomniała sobie pogrzeb Emmely. Tamto wydarzenie -skandal, jak pisze w liście Victoria - musiało mieć naprawdę wielkie znaczenie, skoro jeszcze za jej czasów nadal słychać było jego echa. Co to jednak było, tego nikt już dziś nie wiedział. Pewne jest wszakże, że coś wtedy zaszło.

- O mój Boże! - zawołał nagle Jonathan. Diana odwróciła się do niego przestraszona.

- Co się stało?

- Chyba znalazłem tu coś, co bardzo się pani przyda.

Wręczył jej jakiś obszarpany zeszytek o kartkach pofalowanych od wilgoci. Na okładce nie było żadnego opisu, zaś w środku znajdowały się wyłącznie tamilskie znaki.

- Co to jest? - zapytała zdumiona, wskazując na lekko zamazane pismo. - Nie znam tamilskiego.

- Te znaki nie mają znaczenia, to co najwyżej ćwiczenia w pisaniu. Za to z tyłu znajduje się chyba prawdziwy skarb.

Kiedy przewróciła kartki, zobaczyła, o czym mówi Jonathan.

- To niemożliwe! - wydusiła. Krew zaczęła jej mocniej pulsować, jak gdyby szykowała się właśnie do sprintu.

Za znaczkami znajdowały się zapiski, tak drobne, że należało je oglądać

przez lupę. Ciasno zakreślone linijki niemal nakładały się na siebie, jak gdyby ich autor chciał wykorzystać każdą wolną przestrzeń zeszytu. Patrząc pobieżnie, można było je uznać za bezładne gryzmoły.

Diana przybliżyła je jednak do twarzy, jakby nagle zapadła na krótkowzroczność, i dostrzegła ich precyzję.

- Autor musiał użyć bardzo cienkiego pióra - powiedziała po chwili, odkładając zeszyt. - Chyba poproszę pana Manderleya o lupę.

- Ten, kto pisze takim drobnym pismem, chce coś ukryć - stwierdził

Jonathan tonem znawcy. - Może kryją się tu jakieś tajemnice Grace albo Victorii?!

- Jeżeli ten zeszycik naprawdę należał do którejś z sióstr, pewnie byłby dla niej na tyle ważny, że zabrałaby go ze sobą do Anglii. Może jednak zbyt wiele się po nim spodziewamy?

- Ale tego dowiemy się dopiero po odczytaniu tych notatek. Diana pokiwała głową i w zamyśleniu przesunęła dłonią po stronicach zeszytu. Przypominały w dotyku drobnoziarnisty papier piaskowy.

- Poproszę panie z sekretariatu o lupę. Ta w czerwonym sari dała mi już płytę, więc jak jeszcze raz się do niej uśmiechnę, pewnie dostanę i lupę.

Dlaczego, słysząc te słowa, poczuła ukłucie zazdrości? Dobrze знаła odpowiedź, wołała jednak się w to nie zagłębiać. Teraz najważniejszy był ten zeszycik.

- Zaraz wracam!

Jonathan wstał i wyszedł z archiwum. Diana odprowadziła go zamyślonym wzrokiem, następnie raz jeszcze podniosła zeszyt

blisko twarzy. Doleciał ją wówczas zapach cynamonu, którym pachniały również rzeczy znalezione w szkatułce. Oczy, usiłujące odcyfrować drobne pismo, szybko zaczęły łzawić, jednak potem to właśnie warstwa łez, niczym lupa, pozwoliła jej przeczytać pierwsze zdania.

***Nie wiem, od czego zacząć. Moje myśli są tak splątane, a nie ma tu nikogo, komu mogłabym się zwierzyć. Jako że nie mam tu żadnej przyjaciółki, powierzę swoje myśli temu zeszytowi i spalę go, jak się cały wypełni. Spróbuję opisać wszystko po kolei...***

Nim zaczęła czytać dalej, zjawił się Jonathan z lupą i koszykiem z owocami.

- Panie z sekretariatu wcisnęły mi go na drogę, kiedy odrzuciłem ich zaproszenie na lunch.

Diana uniosła brwi.

- Już pora obiadu? - Krótki rzut oka na zegarek dał jej odpowiedź.

- Pan Manderley pewnie przestraszy się, że umrzemy z głodu. Choć jako badacz dobrze wiem, jak trudno oderwać się od spraw minionych.

Niech pani spokojnie czyta dalej, a jak natknie się pani na coś przełomowego, proszę dać mi znać. Ja zajmę się poszukiwaniem kolejnych podobnych perełek.

Diana uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Potem sięgnęła po lupę. Zanim jednak wróciła do czytania, wzięła banana. Obierając go i jedząc powoli, zastanawiała się, kto tak rozpaczliwie usiłował przekazać swoje myśli.

Kiedy zjadła, wyciągnęła list, który znalazła pod trumną Deidre.

Atrament był tego samego koloru. Nic dziwnego, on też został napisany tutaj. Ale czyj był ten zeszyt? Grace czy Victorii?

Po porównaniu obu charakterów pisma odkryła, że są wprawdzie do siebie podobne, jednak każdy z nich wykazywał swoje indywidualne cechy. Pismo z listu Victorii wydawało się odrobinę dziecinne i niestaranne. To z zeszytów było bardziej płaskie

i zamaszyste, jak gdyby autor, lub autorka, pisząc w pośpiechu, nie zwracał zbyt wiele uwagi na estetykę. Czy to może być pismo Grace?

Czy to ona przelała tu swoje myśli na papier? Diana z bijącym sercem sięgnęła po lupę i zaczęła czytać dalej.

Już po lekturze pierwszej strony miała pewność, że to słowa Grace.

Choć

zdania  
formułowane  
były

z  
iście

wiktoriańską

wstrzemięźliwością, bez trudu między wierszami dało się wyczuć jej wewnętrzne wzburzenie, które popchnęło ją do tego kroku.

Kiedy dotarła do pewnego miejsca, zaczerpnęła głośno tchu i podniosła wzrok.

- Wie pan co? - odezwała się, zamykając zeszyt.

- Co takiego? - zapytał Jonathan znad stosu szpargałów.

- Jedziemy na plantację Stocktonów!

- Teraz?

- A dlaczego by nie?

- Jestem ciekaw, skąd ta nagła decyzja. Znalazła pani coś w tym zeszyciku?

- A jakże! - odpowiedziała. - Moja praprababka pisze, że całe, jak to określa, nieszczęście, zaczęło się od wizyty u Stocktonów. Myślę, że należy pójść za tą wskazówką.

Jonathan podniósł ręce w geście oznaczającym, że się poddaje.

- OK, pani tu jest szefem! Zobaczmy tylko, jak to daleko stąd!

Wstał i podszedł do wiszącej obok drzwi mapy okolicy. Była już nieco przestarzała, o czym świadczył choćby jej pożółkły papier, ale zaznaczone na niej drogi zapewne nadal znajdowały się w tym samym miejscu.

- Jeżeli jest pani gotowa na forsowną przechadzkę, powinniśmy tam dotrzeć za jakieś trzy godziny - orzekł po przestudiowaniu szlaków prowadzących na północ.

- Jestem gotowa na wszystko! Muszę zobaczyć tę plantację i znalezione tam dokumenty.

Jonathan pokiwał głową z uśmiechem i wziął swoją torbę.

Choć plantacja wyglądała na mocno zaniedbaną, rezydencja dawnych właścicieli wciąż prezentowała się bardzo okazale. Farba na ścianach fasady wprawdzie się łuszczyła, a niektóre okna zostały zabite deskami, jednak Diane stojącej w bramie razem z Jonathanem nietrudno było sobie wyobrazić, jak wyglądało tu życie przed stu dwudziestu laty.

- Przepraszam! - krzyknął nagle Jonathan.

Diana, wpatrzona w budynek, dopiero teraz spostrzegła jakiegoś człowieka w roboczym ubraniu przechodzącego przez podwórze.



- O co chodzi? - zapytał łamaną angielszczyzną, więc Jonathan przeszedł na tamilski.

Diana nie rozumiała, o czym rozmawiali, była jednak pewna, że jej towarzysz wytłumaczył powód ich wizyty i zapytał, czy mogą się tutaj trochę rozejrzeć.

Mężczyzna coś odpowiedział i odszedł.

- Co teraz? - zapytała zdziwiona.

- Przyniesie nam klucz. Powiedział, że zarządca akurat wyjechał, ale jeżeli obiecamy, że zostawimy wszystko na swoim miejscu, pozwoli nam obejrzeć dom - wyjaśnił, i popatrzywszy na nią, z uśmiechem dodał: - Ten dom naprawdę robi wrażenie. Dziwię się, że ta plantacja upadła. W końcu warunki są tu podobne jak w Vannattuppucchi.

- To pewnie kwestia właściciela - odparła Diana, skubiąc listki bluszczu, kompletnie niepasującego do tego miejsca. Jak gdyby Stocktonowie nie zamierzali nigdy zasymilować się z tym krajem. -

To, co pisze o nim Grace, jest dalekie od pochwał.

- Był aż takim łajdakiem?

- Powiedzmy raczej, że był łasy na niewieście wdzięki. Ciekawa jestem jego losów. Może na ich podstawie dowiemy się też czegoś o samej Grace?

Zanim Jonathan zdążył jej zadać kolejne pytanie, zjawił się robotnik, pobrząkując pękienf kluczy. Jęk, jaki wydały zawiasy bramy, kiedy ją otwierał, wywołał u Diany gęsią skórkę.

- Chodźmy - powiedział z zapalem Jonathan i podążyli za swoim przewodnikiem.

Zaraz na środku trawnika natknęli się na tabliczkę z napisem w trzech językach: „*For sale*”.

- Co tu zrobić z takim budynkiem? - szepnął Jonathan. -Może urządzić w nim hotel? Albo muzeum? Niestety minęły już te czasy, kiedy jakiś arystokratyczny ród z Anglii bez problemu urządziłby tu sobie letnią rezydencję.

- Ale nadal rośnie tu herbata - wtrąciła Diana. - Możliwe, że jeszcze kiedyś na nowo zacznie się ją tutaj produkować.

- Możliwe. Pan Manderley świetnie by się do tego nadawał. W końcu pola leżą po sąsiedzku. Ale nawet on nie jest pewnie w stanie utrzymać dwóch okazałych rezydencji. Niewykluczone, że Stockton Manor będzie w przyszłości oferować turystom jedynie przechadzki po polach herbaty.

„Co za szkoda”, pomyślała Diana, mimo że nadal miała w pamięci zapiski z zeszytu Grace.

Kiedy znaleźli się przed domem, spostrzegła na jego murze rysę. Jak gdyby miało tu miejsce jakieś trzęsienie ziemi. Ze ścian pod dwoma oknami na piętrze farba odpadała całymi płatami. Stare drzwi wejściowe zamieniono na nowe. Ich nowoczesna stylistyka stanowiła bolesny zgrzyt, niszcząc harmonię całego budynku. „W Niemczech główny konserwator zabytków już dawno uderzyłby na alarm”, pomyślała ze smutkiem.

Po przekroczeniu progu trafili nagle do świata z odległej przeszłości.

Choć w domu brakowało już mebli, a na ścianach pozostały po nich jedynie jaśniejsze ślady, łatwo sobie było wyobrazić, z jakim przepychem musiał być niegdyś urządzony. Diana niemal z nabożeństwem przyglądała się marmurowym schodom prowadzącym na piętro. Z wiszącego na ścianie obrazu w pozłacanych ramach spoglądał na nią ciemnowłosy

jegomość w wytwornym surducie. Zahipnotyzowana jego spojrzeniem weszła na schody.

Obraz nie był podpisany. Wnioskując jednak po znajdującym się w tle krajobrazie i charakterystycznym zarysie rezydencji, miała przed sobą samego Deana Stocktona. Jak przez mgłę przypominała sobie też jego podobiznę ze zdjęcia w hotelowym klubie, choć wtedy bardziej absorbowowała ją postać Henrygo Tremaynea.

Na pierwszy rzut oka nie przypominał kogoś, kto nastawałby na cnotę młodych dziewcząt. Kanciaste rysy twarzy wyrażały raczej powagę i odpowiedzialność, choć schludnie przycięta broda i porządnie zaczesane, lekko szpakowate włosy mogły świadczyć o jego próżności.

Co do sylwetki, trudno dziś było stwierdzić, czy malarz aby na pewno lekko jej nie podretuszował, czy też Stockton istotnie nie miał brzucha, tak charakterystycznego dla wielu panów w jego wieku. Tak czy owak Dean Stockton z obrazu prezentował się olśniewająco, choć przepastna czerń jego oczu zdradzała skrywane skrzętnie żądze tego typowego przedstawiciela epoki wiktoriańskiej.

Kiedy się odwróciła, spostrzegła, że Jonathan przez cały czas się jej przygląda.

- To ten mężczyzna ze zdjęcia, prawda? - A więc i on o nim nie zapomniał.

- Tak przypuszczam. Zresztą kto inny jak nie właściciel tej plantacji

miałby widnieć na tak okazałym portrecie?

- Może uda nam się tu znaleźć jakieś powiązania Stocktonów z Tremayneami? Dostaliśmy godzinę. Bierzmy się więc do przeszukania domu.

Diana kiwnęła głową i zeszła ze schodów. Przez cały czas czuła na sobie wzrok mężczyzny z obrazu.

Wiele pokoi stało całkowicie opustoszałych. Ze ścian zwisały kable, co mogło świadczyć o tym, że przedtem znajdowały się tu pomieszczenia biurowe. Jednak elementy wyposażenia musiały zostać wyniesione już dłuższy czas temu.

Kiedy nie znaleźli niczego ciekawego na dole, nawet w opustoszałym salonie, ruszyli na górę, mijając wielki portret Stocktona. Tam z kolei kilka pokoi było zamkniętych na klucz, a spoglądając przez dziurkę od klucza, można się było przekonać, że nie używano ich już nawet w czasach prosperity plantacji.

- Patrzcie, patrzcie! W tym domu jest nawet coś w rodzaju muzeum.

Za drzwiami, które otworzył Jonathan, znajdował się jeden z nielicznych umeblowanych pokoi. Diana podejrzewała, że musiał to być gabinet pana domu. Na wysokich regałach brakowało już jednak co cenniejszych egzemplarzy książek. Walały się na nich jedynie pojedyncze, podniszczone woluminy. Wartościowsze meble zostały chyba wcześniej zabezpieczone albo okazały się dla potencjalnych złodziei zbyt ciężkie do wyniesienia. Na szerokich parapetach piętrzyły się stosy papieru, jakieś nieuporządkowane dokumenty z różnych okresów, pożółkłe gazety i wyblakłe teczki.

W dalszej kolejności jej wzrok powędrował ku broszurom z widniejącym na stronie tytułowej zdjęciem rezydencji z czasów jej świetności. Ułożone w stosik pożółkłe i wyblakłe od słońca druki z trudem mieściły się na starej, poobijanej komodzie. Diana sięgnęła po jeden z nich. Kiedy zaczęła go czytać, poczuła dreszcz. Autor, a zarazem właściciel plantacji zadał sobie sporo trudu, by spisać jej historię po angielsku i syngalesku. Oprócz ogólników znalazła tam również rodzinną fotografię Stocktonów, która potwierdziła jej przypuszczenie, że mężczyzna na portrecie to istotnie Dean Stockton.

- Dean Stockton doprowadził plantację do prawdziwego rozkwitu i przekazał ją synowi w wieku siedemdziesięciu lat, złożony chorobą.

Zmarł dwa lata później, dołączając do swojej małżonki, która odeszła nagle dwadzieścia lat wcześniej.

Diana rzuciła okiem na krótką notę biograficzną. Alice Stockton umarła, mając trzydzieści dziewięć lat - w 1888 roku. Nie było żadnej wzmianki o tym, czy Stockton ożenił się ponownie.

- Zastanawiam się, czy Stockton miał coś wspólnego ze śmiercią żony? - mruknęła pod nosem.

- Skąd taki pomysł, pani Holmes? - zapytał Jonathan.

- W zapiskach Grace natknęłam się na razie tylko na jedną datę, 4 października 1887 roku. Niewykluczone, że Stockton osobiście zabiegał o względy Grace. Po zejściu na wieżę widokowej można by wnioskować, że ostrzył sobie na nią zęby od dłuższego czasu.

- Ale czy byłby zdolny zabić z tego powodu swoją żonę...

- Takie rzeczy się zdarzały - upierała się Diana. - Grace musiała czuć do jego syna odrazę. Z jej notatek wynika, że i Stockton nie miał o nim dobrego zdania. Dlaczego więc nie miałby sam wzdychać do młodej i pięknej kobiety?

- Przecież mógł się rozwieść.

- Ale to oznaczałoby wielki skandal.

Natychmiast przypomniała jej się wzmianka o skandalu w liście Victorii. Ciekawe, czy Stockton miał z nim coś wspólnego. Czyżby obiecał Grace małżeństwo? Może zrobił coś, co uzasadniałoby odesłanie Grace z powrotem do Anglii?

Na samą myśl, że Stockton mógł się nie cofnąć nawet przed wzięciem Grace przemocą, przeniknął ją zimny dreszcz. Poczuli przemożną chęć przeczytania jej dalszych zapisków, tyle że zeszyt pozostał w archiwum w Vannattuppucci...

- Może Henry nie odprawił Grace, bo mu się sprzeciwiła, ale by chronić ją przed Stocktonem? - wyraził swoje przypuszczenie Jonathan.

- To jak wytłumaczyć wtedy fakt, że ją wydziedziczył? - zapytała, po czym umilkła i spojrzała przez okno. Ciekawe, czy gdzieś tam istniała jeszcze ta platforma, na której Stockton napastował Grace.

Rzut oka na zegarek powiedział im, że mają jeszcze czterdzieści pięć minut, zanim robotnik wyprosi ich z domu.

- Poszukajmy tej platformy - zaproponowała wiedzioną nagłym impulsem.

- Nie chce pani obejrzeć reszty domu?

- Nie sędę, żebyśmy znaleźli tu coś więcej - stwierdziła, wkładając broszurę do kieszeni w spodniach. Ta rodzinna fotografia wystarczy jej do dalszych przemyśleń. - Chcę zobaczyć to miejsce, gdzie Grace została sama.

Stan ogrodu pozostawiał wiele do życzenia. Na uroku nie straciło jedynie drzewo plumerii o kunsztownie splecionych pniach, które musiała oglądać również Grace.

Zawarty w jej zapiskach opis drogi wiodącej na platformę był dość pobieżny. Poza tym widać było, że bardziej zajmowało ją wyrażanie swoich odczuć. Jonathan zwrócił się więc z takim pytaniem do robotnika za płotem, który na jego widok, niczym przyłapany na gorącym uczynku uczeń, rzucił na ziemię palonego przed chwilą papierosa. Dla kogoś nieznanego tamilskiego jego żywa gestykulacja wyglądała dosyć bezładnie, jednak Jonathan dobrze wszystko zrozumiał.

- Chodźmy. To tędy.

Część ogrodu, w której się teraz znaleźli, była jeszcze bardziej zdziczała niż zarośla otaczające szkołę walki w Vannattupucci.

Widać było, że już od dawna ponownie włada tu sama natura.

Drewniane schodki, po których niegdyś stąpali Grace i Stockton, były teraz niemal całkowicie zarośnięte trawą. Spoglądając ponad gęstwina, nadal jednak można było dostrzec dawne pola uprawne.

W połowie drogi natknęli się na nieoczekiwaną przeszkodę. Napis na tabliczce kołyszącej się na zardzewiałym łańcuchu był w języku tamilskim i syngaleskim.

- Zakaz wstępu - przetłumaczył Jonathan. - Prawdopodobnie istnieje zbyt duże ryzyko upadku.

Diana była gotowa zignorować zakaz, jednak jej towarzysz przytrzymał ją za rękę.

- Proszę lepiej zostać po tej stronie. Jeżeli pani spadnie w przepaść, rodzinna tajemnica już nigdy nie zostanie wyjaśniona. Zresztą tam na górze pewnie nic już nie ma.

Przez chwilę biła się z myślami, ale szybko przypomniała sobie, że Grace pisała o sztucznej półce skalnej. Zatrzymała się więc przed barierą.

- Tak bardzo chciałam to zobaczyć... - wymamrotała jak rozczarowana dziewczynka.

- Kto wie, może nadal grasuje tam duch Stocktona? - uśmiechnął się do niej na pocieszenie Jonathan. - I kiedy panią zobaczy, przyjdzie mu do głowy

coś zdrożnego, a ja akurat nie mam przy sobie ekwipunku ghostbustera.

Diana odwzajemniła jego uśmiech. Naraz czas zmarnowany na tę wspinaczkę wydał się jej zupełnie bez znaczenia.

Po powrocie do rezydencji Jonathan wetknął do ręki czekającemu już na nich niecierpliwie robotnikowi kilka banknotów i przeprosił, że przeciągnęli nieco swoją wizytę. Następnie pożegnał się z nim i wrócił do Diany.

- Mówi, że możemy wrócić, kiedy tylko zechcemy - powiedział, kiedy byli już za porośniętym bluszczem ogrodzeniem.

- Nic dziwnego, skoro dostał pieniądze.

- Wiem, jak pozyskiwać przyjaciół. Diana popatrzyła na niego i powiedziała:

- Czy podziękowałam już panu za wszystko, co do tej pory pan dla mnie zrobił?

- Nie sądzę, by było to już teraz konieczne - odparł. - Wciąż nie znaleźliśmy ostatniego elementu układanki.

Uśmiechnęła się w zamyśleniu. Gdyby Philipp był przynajmniej w połowie tak miły jak on, może spróbowała by z nim raz jeszcze. Ale im dłużej przebywała z Jonathanem, tym stawało się dla niej coraz bardziej oczywiste, że już do siebie z mężem nie wróca. „Tylko co dalej?” usłyszała z tyłu głowy. Czy jeszcze kiedykolwiek spodoba jej się jakiś mężczyzna?

„Już tak się stało”, odpowiedziała sobie w myślach. Już tak się stało.

Po powrocie do Vannattuppucci była wykończona, a jednocześnie bardzo podekscytowana. Choć wyjaśnienie tajemnicy wydawało się na wyciągnięcie ręki, nadal pozostawało poza jej zasięgiem.

Zjedli szybką kolację i znów zeszli do archiwum.

- Powie mi pani, kiedy znajdzie coś przełomowego? - zapytał

Jonathan i usiadłszy wygodnie na krześle, przymknął na chwilę oczy.

- Oczywiście - odparła zdawkowo i sięgnąwszy po lupę, zagłębiła się w lekturze.

**15.**

## **Vannattuppucci, 1887**

Dwa dni po wizycie u Stocktonów Grace postanowiła pójść w nocy do Vikramy. Tamte przeżycia wciąż nie dawały jej spokoju.

Potrzebowała rady jakiejś przyjaznej osoby, nie siostry, która nie rozumiała jeszcze wielu rzeczy, i nie przyjaciółki z dalekiej Anglii, której odpowiedzi doczekałaby się już dawno po przymusowych zaręczynach.

Upewniwszy się, że Victoria mocno zasnęła, założyła na siebie niebieski jedwabny szlafrok i otworzyła okno najciszej, jak się dało.

Pod wpływem wpojonej jej wiktoriańskim wychowaniem wstydlivosti przez chwilę się zawahała - nie uchodziło, by młoda dama biegła po ogrodzie w nocnym stroju. Zaraz jednak podkasawszy koszulę i szlafrok, wspięła się na parapet.

Jeszcze nigdy nie spacerowała po plantacji nocą, i to w dodatku sama.

W Tremayne House nie odważyłaby się wyjść do parku bez opieki, bojąc się, że nocą grasują tam duchy. Tym bardziej dziwiło ją, że tu, w tym miejscu, które wcale nie wyglądało przyjaźniej, w ogóle nie czuje strachu. Zresztą kogóż miałaby tu spotkać o tej porze?

Dotarłszy na skraj zagajnika, uświadomiła sobie, że właściwie nie wie, gdzie ma szukać Vikramy. Podejrzewała, że jest w swoim domu w osadzie, ale wcale nie była tego pewna. Może teraz mieszkał w budynku administracji? Dziwne, że nigdy dotąd się nad tym nie zastanawiała.

Postanowiła w końcu pójść do wioski i w razie gdyby instynkt ją zawiódł, zapytać kogoś o niego. Szła prowadzącą przez las ścieżką, przy czym musiała bardziej liczyć na swoją pamięć niż na oczy, bo podłóża prawie nie było widać. W pewnej chwili usłyszała jakieś odgłosy. Najwyraźniej w wiosce nie wszyscy jeszcze spali. A może to przyjaciele Vikramy idący do szkoły walki?

Kiedy wyłoniła się przed nią jakaś ubrana na biało postać, nie zastanawiając się długo, podbiegła do niej, wołając: - *Vikrama teedureen?* - co znaczyło: „Gdzie znajdę Vikramę?”.

Postać odwróciła się do niej twarzą.

- Panno Grace, co pani tutaj robi?

Dotarło do niej, że to właśnie Vikrama, który najwyraźniej szedł na ćwiczenia.

- Ja... szukałam pana - wyszeptała, poprawiając z zakłopotaniem rękawy szlafroka. - Chciałam... chciałam z panem porozmawiać.

Vikrama przechylił głowę i lekko się rozluźnił. Następnie odłożył na ziemię niesione pod pachą zawiniątko.

- Chodzi o lekcje? Pani ojciec nie daje mi ostatnio chwili wytchnienia.

Grace pokręciła jednak głową.

- Nie, nie chodzi o lekcje. Ja...

Zacięła się. Czy na pewno powinna mu o tym powiedzieć? Może i on stwierdzi, że najlepsze, co może spotkać kobietę, to zamążpójście. W

końcu i w jego wiosce, jak usłyszała podczas jednej z wizyt, kilka dziewcząt szykowało się, by wkrótce wyjść za mąż.

- Co się stało? - zapytał i spojrzał na nią tak, jak gdyby chciał ją objąć. Bardzo tego pragnęła.

- Wszystko wskazuje na to, że moja matka chce mnie wydać za mąż. Za Georgea Stocktona.

Wyraz jego twarzy wydał się jej zrazu nieprzenikniony, spostrzegła jednak, że zeszywniał.

- O!, w takim razie... - Nie dokończył. Jak gdyby dalszy ciąg uniósł podmuch wiatru.

- Tylko że ja nie chcę za niego wychodzić. Nie kocham go. Pomiędzy jego oczami pojawiła się bruzda, która choć nie była głęboka, przydała mu parę lat.

- Małżeństwo nie zawsze łączy się z miłością - powiedział, a w jego głosie dało się wyczuć smutek. Odsunął się od niej odrobinę, jakby ktoś wsunął między nich jakiś niewidzialny klin, i spojrzał na nią z powagą. - U nas również dziewczęta wydaje się za mężczyzn wybranych przez ich rodziny. Tutejsze kobiety mogą wychodzić za mąż jedynie za mężczyzn z tej samej kasty.

- Czy pan... ma żonę? Vikrama pokręcił głową.

- Nie. Jako mieszaniec nie należę do żadnej kasty. Owszem, wszędzie mnie przyjmują, ale nikt nie odda mi swojej córki. Tak zostało ustanowione. Hindusi pobierają się wyłącznie w obrębie swojej kasty.

Ja w najlepszym wypadku znajdę żonę wśród Burgherów, mieszaińców nienależących do żadnej z kast.

Grace popatrzyła na niego. Każdy rys jego twarzy wydawał się jej tak dobrze znany, że umiałaby ją odwzorować nawet z zamkniętymi oczami. Jego spojrzenie przepelniło ją niespodziewanym ciepłem, a jego słowa przyniosły jej ulgę. A więc jest wolny! Nic ani nikt nie stoi na przeszkodzie, aby ją pokochał. Tak jak ona pokochała jego.

Na moment pojawiło się w jej myślach wspomnienie przepowiedni, jakoby miała sprowadzić nieszczęście na swoją rodzinę, szybko je jednak odpędziła. Przecież nie da się zwieść paplaninie jakiegoś starca.



Poza tym nieszczęście nastąpiłoby raczej wtedy, gdyby poddała się woli rodziny i wyszła za mąż za człowieka, którego nie darzyła nawet cieniem uczucia.

Nagle Vikrama znalazł się blisko niej, jego twarz niemal dotykała jej twarzy, a jego ręce spoczęły na jej ramionach. Zajrzał w jej oczy w poszukiwaniu ewentualnego sprzeciwu, a kiedy go nie znalazł, pocałował ją. Wargi miał suche, jednak kiedy się rozchyliły, Grace poczuła ich wilgoć. Nie broniła się. Dopuściła go do siebie, pozwoliła, by jego język otoczył jej usta i wniknął w ich głąb. Poczowała uderzenie pulsującej gwałtownie krwi i miała wrażenie, że jej ciało płonie.

Kiedy się cofnął, jej twarz owiał chłód nocy. W tej samej chwili zatęskniła za jego ponowną bliskością.

- Ja... - odezwała się i urwała, kiedy ujął jej dłoń.

- Poszukajmy jakiegoś miejsca, w którym będziemy mogli spokojnie porozmawiać - powiedział cicho.

Kiwnęła głową i ruszyła za nim w ciemnościach. Po drodze przychodziły jej do głowy tysiące myśli. Wydawały się jej przy tym tak głośne, jak gdyby je wypowiadała. W końcu weszli do niewielkiej drewnianej chatki. Serce Grace znów załomotało. Co się tu wydarzy?

Będą przez całą noc rozmawiać? A może robić co innego?

Cokolwiek by to było, pragnęła tego z całego serca. Tęskniła za dotykiem jego skóry i za tym, by znów poczuć jego usta na swoich wargach. Chciała poczuć jego ciepło, jak wtedy, gdy wziął ją w ramiona.

- Ja... - zaczęła, lecz kiedy na niego spojrzała, słowa uwięzły jej w gardle. Ich usta znów się spotkały, tym razem delikatniej, a ich dłonie poczęły wędrować po ciele drugiego z taką subtelnością, jakby badały jakiś niezwykle kruchy ład.

Kiedy znów oderwali się od siebie, Vikrama zamknął drzwi.

Świadomość, że są teraz całkiem sami, tak ją podnieciła, że nie zwróciła nawet specjalnej uwagi na to, gdzie się znaleźli. Nie zbliżył

się do niej od razu, lecz obszedł ją i położył swój pakunek na stole.

Chcąc nie chcąc, musiała więc rozejrzeć się po pomieszczeniu. W świetle księżyca widziała jedynie niewyraźne zarysy, które nabrały realnych kształtów, kiedy Vikrama zapalił lampy stojące na parapecie.

Chata była urządzona bardzo skromnie. Pod ścianą stało nienowe już łóżko ze świeżą pościelą. Znajdująca się obok drzwi komoda musiała chyba

kiedyś stanowiąc wyposażenie rezydencji. Naprzeciw wejścia stała niewielka szafa o orientalnych kształtach, zamiast krzeseł leżały rozłożone na podłodze poduszki. Ze ścian łuszczyła się czerwona farba. Deski na podłodze lekko skrzywiały pod ich krokami.

„Czy potrafiłabym żyć w takich warunkach?”, zapytała się w myślach.

Tak, umiałaby. Z właściwym człowiekiem u boku można żyć wszędzie. Już o tym wiedziała. Nie potrzebuje dworku w Anglii ani debiutu przed obliczem królowej. Potrzebuje właściwego człowieka.

- Nie jest tu tak elegancko jak w waszym domu - odezwał się lekko zawstydzony. Jego głos brzmiał dziwnie w otaczającej ich zewsząd ciszy. - Ale to mój dom. Wybudowałem go własnymi rękami.

- To najpiękniejszy dom, jaki tylko mogę sobie wyobrazić - odparła Grace, nie bardzo wiedząc, co zrobić z oczami. W ciepłym świetle lamp twarz Vikramy wyglądała jeszcze piękniej. Niczym oblicze księcia z egzotycznej bajki.

- Usiądź - powiedział, wskazując na jedną z poduszek. Perspektywa ponownego znalezienia się w jego pobliżu sprawiła, że dziewczyna jeszcze bardziej się zarumieniła i pozostała w miejscu.

- Nie, tak chyba będzie lepiej. Ja... - Naraz serce podskoczyło jej do gardła. Uświadomiła sobie, w jakim niebezpieczeństwie się znalazła.

Przynajmniej tak określiłaby to jej matka albo panna Giles. - Muszę już iść - wyszeptała więc. Wiedziała na ten temat tyle, ile podsłuchiwała z rozmów służby jeszcze w Tremayne House, to jednak wystarczyło, by napędzić jej strachu.

- Drzwi są otwarte - odpowiedział, jakby wyczuł jej wahanie. - Ale wiesz, że nic ci nie zrobię.

Tyle że w niej wszystko wręcz wołało, by właśnie jej to zrobić. To, czego nigdy nie zapomni. To, co wyzwoli ją z tego błędnego

kręgu, do którego chcieli ją wtłoczyć rodzice. Nie chce zostać narzeczoną Georgea Stocktona. Chce być narzeczoną tego człowieka, tego nieznanego, na którego zwróciła uwagę już w chwili przybycia.

Nie otworzyła więc drzwi. O nie! Nawet się do nich nie zbliżyła, tylko pozostała na tym samym miejscu i spojrzała na niego z pragnieniem w oczach.

Vikrama podszedł i zatrzymał się pół kroku przed nią. Znowu poczuła jego zapach i ciepło jego ciała. Nie bronila się, kiedy przyciągnął ją do siebie. Kiedy odwzajemniła namiętnie jego pocałunek, ich ciała niemal złąły się w

jedno i odrobinę odważniej zaczęła pieścić jego tors i ramiona. Wtedy to on nagle się zatrzymał i cofnął. Kiedy zaś Grace chciała się do niego nachylić, łagodnie ją odsunął.

- Nie możemy tego zrobić!

- Dlaczego?

- Nie chcę cię wpędzić w nieszczęście. Przecież wiesz, że mogłabyś zajść w ciążę. Nie chciałbym ci tego zrobić.

Grace popatrzyła na niego zszokowana. Takie słowa nigdy nie padłyby z ust angielskiego dżentelmena. Ale przecież miał rację. Choć całe jej ciało wrywało się do niego, choć była gotowa nie zważać na podszepty rozsądku, rozumiała, że Vikrama ma słuszość. Gdyby zaszła w ciążę, spełniłaby się ta złowroga przepowiednia. A tego nie chciała za żadne skarby.

Rozstali się zatem bez kolejnego pocałunku ani uścisku, jednak z obietnicą, że znów się spotkają. Kiedy Grace wyszła z chaty, uświadomiła sobie, że wreszcie udało się jej wyjaśnić to, co od tak dawna ją nurtowało. Wiedziała teraz, że Vikrama kocha ją tak samo jak ona jego. To wystarczy, by na jakiś czas odpędzić od siebie demona małżeństwa z Georgeem Stocktonem.

W drodze powrotnej miała nieodparte wrażenie, że ktoś ją śledzi. Nie bardzo wiedziała, skąd to się brało, ale wydawało się jej, że odgłosy jej kroków brzmią inaczej, jak gdyby ktoś próbował dopasować do nich swój chód. Nagle za jej plecami coś trzasnęło. Odskoczyła z okrzykiem. Potem jednak zauważyła, że owe

niepokojące dźwięki powędrowały ponad jej głowę. Pewnie to tylko mały. Kiedy ruszyła w dalszą drogę, niczego już za sobą nie słyszała, znikło także uczucie, że ktoś się w nią wpatruje. „Pewnie to tylko nadmiar wyobraźni”, pomyślała, widząc przed sobą zabudowania domu.

Od tamtej pory wykradała się z domu, kiedy tylko się dało, i biegła na spotkanie z Vikramą. Całowali się, spacerowali po lesie, trzymając się za ręce, oddychali pozbawionym kurzu powietrzem i podziwiali piękno nocy i jej tajemnic, które otwierały się przed tym, kto zechciał

popatrzeć na świat z zupełnie innej strony.

Kiedy zapragnęli usiąść na jakimś kamieniu, Vikrama rozkładał na nim swoją kurtkę. Pod wpływem jego ciepła i pocałunków budziła się w Grace tęsknota za jeszcze większą bliskością, a choć i on pałał

pożądaniem, które lśniło także w jego oczach, nigdy się mu nie poddał.

Ich pocałunki były coraz namiętniejsze, nigdy jednak nie sięgnął po

więcej. Później przez resztę nocy wpatrywała się w sufit swojego pokoju, owładnięta pragnieniem, jakiego dotąd nie poznała i nie wiedziała, jak je ukoić.

Od chwili przyjazdu nie bywała w tak dobrym nastroju jak teraz. Ta odmiana nie uszła uwagi jej siostry.

- Lepiej już sypiasz? Jesteś teraz taka promienna!

- Tak, sypiam doskonale - skłamała Grace. Nie chciała jej mówić o ukochanym, nawet gdyby mała umiała dochować tajemnicy.

Jej dobry humor trwał do momentu, w którym Stockton zapowiedział się na herbacie. Za późno przy tym zaświtała jej myśl, że mogłaby udać niedysponowanie. Chcąc nie chcąc, musiała znów wysłuchiwać jego pochlebstw, a nad jej głową znów zawisła groźba małżeństwa z jego synem. Tym razem na szczęście nie musiała szukać jakiegoś pretekstu, by się pożegnać, bo wcześniej matka odesłała ją z Victorią do ogrodu.

Zamierzała bowiem omówić coś ze Stocktonem.

„Zapewne chodzi o moje zaręczyny”, pomyślała Grace z goryczą.

Musiała przy tym użyć całej siły woli, by nie dać po sobie niczego poznać.

- Może pobawimy się w chowanego w ogrodzie? - zapytała Victoria.

Grace zgodziła się, choć nie miała najmniejszej ochoty na jakiegokolwiek zabawy.

- Ja szukam, a ty się chowasz! - krzyknęła siostra i pobiegła w stronę plumerii.

„Następnym razem powinnam raczej schować się przed Stocktonem”, przemknęło jej przez głowę, kiedy szukała jakiejś kryjówki. Podczas gdy Victoria wciąż jeszcze odliczała, Grace skierowała spojrzenie na pergolę, na którą do tej pory nie zwracała szczególnej uwagi. Tam siostra na pewno jej nie znajdzie. A do tego czasu zdąży się otrząsnąć po wizycie Stocktona.

Kiedy znalazła się w zielonym korytarzu pod osłoną sękatych figowców, poczuła się trochę jak w Tremayne House, gdzie również istniały podobne trejaże, tyle że otoczone drzewami owocowymi. Szła przed siebie, nasłuchując głosu Victorii. Światło słoneczne padało na ścieżkę poprzez liście, tworząc na niej fantazyjne kształty. Kiedy znalazła się w połowie drogi, wszystkie dźwięki nagle ucichły.

Przystanęła i odchyliła głowę z przymkniętymi oczami. Może powinna częściej tu bywać...

- Rozkoszuje się pani spokojem, panno Grace?

Stockton wyrósł przed nią jak spod ziemi. Skąd on się tu wziął?

Przestraszona zaczerpnęła tchu i cofnęła się. W jednej chwili pożałowała, że wybrała to miejsce na swoją kryjówkę. Stockton pewnie musiał widzieć, jak tu idzie, i poszedł za nią.

- Panie Stockton, zdaje się, że zamierzał pan porozmawiać z moją matką.

Mężczyzna uśmiechnął się i podszedł bliżej z założonymi z tyłu rękami.

- To był dosłownie drobiazg. Nie chciałem jednak odchodzić bez pożegnania z panią.

Sądząc po wyrazie jego oczu, wcale nie myślał o pożegnaniu. Ten sam blask Grace widziała już w oczach Vikramy, kiedy znalazła się nocą w jego chacie. Jak gdyby czytając w jej myślach, Stockton przyskoczył do niej znienacka i przyparł ją do ściany z pni drzew.

Lubieżne błyski w jego oczach śmiertelnie ją przeraziły.

- Nareszcie sam na sam z moją księżniczką.

- Proszę mnie puścić! - Grace chwyciła go za nadgarstki, ale nie była w stanie się bronić. Jego oddech owionął jej twarz.

- Chciałem cię mieć już tego dnia, kiedy wypadłaś z siostrą pod kopyta mojego konia - wydyszał. - Nie ma minuty, żebym o tobie nie myślał. Nocą, kiedy leżę obok żony, marzę, by cię pojąć. Żebyś została moją kochanką. Tam, na platformie tak niewiele brakowało.

Gdybyś się nie spłoszyła, już bym cię miał.

- Panie Stockton! - powiedziała wzburzona Grace. - Pan chyba nie mówi poważnie.

- Jeszcze jak! Pożadam cię, moja słodka Grace, już od miesiący.

Wiem, że twój ojciec zabiłby mnie, gdybym pofolgował swojej żądzy.

Ale nic straconego, skoro wychodzisz za mojego syna. Tego nieudanego, cherlawego młokosa, któremu w głowie tylko zwierzęce truchła. Kto wie, czy w ogóle jest w stanie spłodzić potomka. Ale o to ja się zatroszczę.

- Proszę mnie puścić, panie Stockton! - szarpnęła się Grace, ale nie zdołała się wyswobodzić. - Co pan za bzdury wygaduje?!

Nagle zastygł w bezruchu, a w jego oczach pojawił się wyraz szaleństwa.

- Bzdury? To posłuchaj, dotarły do mnie pewne pogłoski. Pogłoski, które z pewnością zainteresują twojego papę. Zobaczymy, czy uzna to za bzdury.

- Nie wiem, o czym pan mówi! - parsknęła z gniewem i strachem równocześnie. Naprawdę coś wie? Ale kto miałby ją podpatrzeć i mu

donieść?

Nagle przyszedł jej do głowy Petersen. Może to on zauważył, jak wraca z którejś schadzki.

- Mówię o tym mieszańcu Vikramie. Niebrzydki, trzeba przyznać. I najwyraźniej wie, od której strony cię zająć, żeby dostać, co trzeba.

Grace czuła, jak nogi się pod nią uginają. Nie miała nawet siły, by odtrącić jego rękę wędrującą pod jej spódnicę i by uchronić się przed jego biodrami wciskającymi się między jej nogi.

- To tylko głupie plotki! - próbowała się bronić, zastanawiając się jednocześnie, kiedy ktoś dowiedział się o jej potajemnych spotkaniach.

Ten ktoś musiał przy tym mieć bardzo plugawą naturę, skoro uznał, że oddaje się Vikramie jak pierwsza lepsza dziewczka.

- Może zaoferujesz mi te same usługi co temu dzikusowi, co? -

wydyszał podniecony Stockton, zupełnie ignorując jej słowa. - W końcu nic się nie wyda, skoro on już cię otworzył.

Kiedy sięgnął ręką do jej majtek, straciła oddech. Strach i obrzydzenie nie pozwoliły jej wydobyć z gardła nawet jednego dźwięku. Znow poczuła na twarzy jego oddech, a po chwili jego usta przylgnęły do jej warg, a jego język zdławił krzyk. Równocześnie jego palec wniknął w nią głęboko. Myślała, że za chwilę zemdleje z odrazy.

Krew pulsowała jej w skroniach jak oszalała.

On tymczasem zatrzymał się zaskoczony i oderwał usta od jej twarzy.

- On nie...

Grace zaszlochała z obrzydzenia i złości, po czym raz jeszcze próbowała go odepchnąć.

Stockton szybko uporał się ze swoim zaskoczeniem i się uśmiechnął.

- W takim razie...

- Grace?

Wołanie siostry zabrzmiało jej w uszach jak odgłos odsieczy.

Stockton jeszcze bardziej poczerwieniał na twarzy. Grace pochli-pywała. Zostawi ją teraz w końcu? A może będzie miał czelność napastować ją także na oczach siostry?

Kiedy głos Victorii rozległ się ponownie, cofnął się. Jednak zamiast ją puścić, jeszcze mocniej zacisnął palce na jej ramionach.

- Ani słowa ojcu, zrozumiałaś? - warknął. - Gdybyś jednak zechciała mu

powiedzieć o naszym spotkaniu, ja powiem mu, że widzisz się z tym mieszkańcem.

- Jesteś świnią, Stockton! - odparła Grace z obrzydzeniem.

- Możliwe, ale zawsze dostaję to, czego chcę! Jeżeli mam zachować milczenie, chcę, żebyś do mnie przyszła w noc przed twoim ślubem.

Mój syn nawet się nie zorientuje, że nie jesteś dziewicą. Poza tym, prawdę mówiąc, nie chcę zostawić przyszłości plantacji w jego rękach. Sam zrobię ci dziedzica. Bądź pewna, nigdy nie zaznasz większej rozkoszy.

Kiedy w końcu zwolnił uścisk, Grace gwałtownie odskoczyła. On zaś zamiast znów ją zaatakować, przesunął tylko ręką po włosach i popatrzył na nią jak drapieżnik na swoją ofiarę.

- Pomyśl o tym, co ci powiedziałem, księżniczko. Dopóki twój ojciec o niczym się nie dowie, wszystko zostanie między nami. A jeżeli zjawisz się u mnie przed swoją nocą poślubną, zapomnimy o wszystkim. Masz moje słowo dżentelmena!

Grace miała ochotę plunąć mu w twarz, jednak wtedy zza rogu wyłoniła się Victoria. Dziewczynka ze zdziwieniem spoglądała to na siostrę, to na Stocktona.

- Tu jesteś! Dlaczego się nie odzywałaś?

Grace omal nie umarła ze wstydu, kiedy starając się zapanować nad sobą, odpowiedziała:

- Akurat rozmawialiśmy z panem Stocktonem. Nie słyszałam, jak wołałaś.

- Chciałam już iść po pana Vikramę, żeby pomógł mi ciebie szukać.

Słyszając jego imię, Stockton łypnął na nią złowrogo i zacisnął usta, jednak Grace wciąż dźwięczały w uszach jego słowa. Wiedziała, że jest zdolny zrealizować swoje groźby.

- Już idę, kochanie - powiedziała i odeszła razem z siostrą, ani razu nie odwracając się za siebie.

Wiele ją kosztowało, by nie dać po sobie poznać, co zrobił jej Stockton. Choć łyzy cisnęły jej się raz po raz do oczu, wiedziała, że wtedy Victoria zapyta ją, co się stało. Wołała więc szybko wziąć się w garść.

Kiedy były już w drodze do pokoju, panna Giles zawołała do siebie Victorię, więc Grace wróciła sama, a znalazłszy się za drzwiami, padła na łóżko. Co robić? Jak ma ujawnić sprawki Stocktona i nie stracić przy tym twarzy? Nie może przecież opowiedzieć rodzicom, że... Poza tym on z

miejsca wszystkiemu zaprzeczy lub, co gorsza, przedstawi to zajście tak, jak gdyby to ona chciała uwieść jego. Nie, nie może do tego dopuścić!

W pewnym momencie jej wzrok padł na komodę. Podniosła się i podeszła do niej szybkim krokiem. Otworzyła jedną z szuflad i spojrzała na spoczywający w niej odpis treści liścia palmowego. Słowa Stocktona wciąż dźwięczały jej w uszach. Zdawała sobie sprawę z konsekwencji tego, co zamierzała zrobić, ale nie miała innego wyboru.

Stockton musi przestać się nią interesować - zarówno jako kobietą, jak i synową. Nawet za cenę spełnienia przepowiedni. Choć kto wie, może w ten sposób właśnie zapobiegnie nieszczęściu? Kto powiedział, że jej małżeństwo, z George'em Stocktonem i poddanie się plugawym żądaniom jego ojca nie oznaczają katastrofy dla niej i dla jej całej rodziny?

Tej nocy pozostała w domu. Siedząc pod oknem z podciągniętymi kolanami, próbowała jakoś otrząsnąć się z poczucia wstępu, jakie ją ogarnęło. Wciąż jeszcze czuła łapy Stocktona penetrujące jej wnętrze.

Czy będzie w stanie jeszcze kiedykolwiek dotknąć Vikramy, nie mając przed oczami dyszącej z pożądania fizjonomii tego nikczemnika?

Naraz usłyszała lekkie drapanie i podniosła głowę. Pod oknem stał

Vikrama w swoim białym ceremonialnym stroju. Grace obejrzała się na Victorię, ale ta spała już twardo. Następnie otworzyła okno.

Vikrama uśmiechnął się do niej promiennie.

- Chcę cię ze sobą gdzieś zabrać - szepnął. - Chciałaś zobaczyć, jak walczę.

Owszem, chciała. Tyle że teraz nie umiała się nawet ucieszyć z tego gestu zaufania. Gestu miłości.

- Co ci jest? - zmartwił się Vikrama, kiedy nie usłyszał żadnej odpowiedzi. - Nie chcesz iść? Dostałaś okres?

Swoboda, z jaką mówił o podobnych sprawach, wywołała uśmiech na jej twarzy.

- Nie, wszystko w porządku. Trochę źle się czułam, ale odkąd się zjawiłeś, już mi przeszło. - Wychyliła się i pocałowała go. - Zaraz wracam.

Szybko przebrała się w popołudniową sukienkę wiszącą w dalszym ciągu na krześle i upewniwszy się, że Victoria nadal mocno śpi, wymknęła się przez okno z pomocą Vikramy. Oparła się przy tym na moment o niego całym swoim ciężarem, a jej ramiona dotknęły jego nagiej piersi. Spojrzała na niego z początku z przestachem, potem z zaskoczeniem. Znała już dobrze dotyk jego dłoni i ramion, znała dotyk jego ust, ale nie sądziła, że jego piers



tak gładko przylgnie do jej skóry.

Iskra, która zapłonęła zrazu w jej sercu, rozpała teraz jej łono.

Vikrama chyba spostrzegł, co się z nią dzieje, bo przyciągnął ją do siebie i pocałował tak namiętnie jak nigdy wcześniej. Potem jednak szybko się opamiętał.

- Musimy już iść - wyszeptał z trudem. - Czekaają na nas. No i chyba nie chcesz, żeby zobaczyła nas twoja siostra.

Pokręciła głową i ruszyła za nim.

Po drodze rozmawiali szeptem o tym, że nie mogą przestać o sobie myśleć i że byłoby fatalnie, gdyby któregoś dnia Vikrama potknął się na plantacji i runął w przepaść.

- Ale nawet w chwili śmierci byłabyś obecna w moich myślach - dodał z uśmiechem.

- Nawet tak nie żartuj! - oburzyła się Grace i wyciągnawszy rękę, pogładziła go po miękkich włosach. - Wolę, żebyś już nigdy o mnie nie myślał, niż żebyś miał spaść w przepaść.

Vikrama roześmiał się i pocałował ją.

W tej chwili nie myślała już wcale o ataku Stocktona. Zresztą nie byłaby w stanie powiedzieć o tym ukochanemu. Była pewna, że poszedłby do niego, by go w jakiś sposób ukarać, a nie chciała, żeby znalazł się w niebezpieczeństwie. Miała już dobry plan, który miał

doprowadzić do tego, że zostanie z człowiekiem, którego kocha.

Kiedy dotarli do chaty oświetlonej słabym blaskiem pochodni, z wrażenia zabrakło jej tchu. Na drewnianej werandzie siedziało sześciu mężczyzn w różnym wieku i przyglądało się platformie z bali, na której leżało kilka przedmiotów.

- Co to? - szepnęła w stronę Vikramy.

- To nasza szkoła.

- Macie szkołę walki na tyłach naszego domu? Vikrama znowu ją pocałował.

- Tak, mamy. Liczę, że zachowasz to dla siebie.

- Oczywiście, ale jak wam się udało utrzymać to w tajemnicy przed moim ojcem? Czy mój stryj pozwalał wam tu ćwiczyć?

Kiwnął głową.

- Tak, pozwalał. Pod warunkiem że nigdy nie zaatakujemy tą metodą kogokolwiek z jego ludzi. Dla kogoś nieprzygotowanego może to być

naprawdę niebezpieczne. Wszyscy lubili tu twojego stryja, więc zgodzili się, że będą ją stosować wyłącznie w obronie własnego życia.

- Czy to dotyczy także mojej rodziny? Vikrama skinął głową w niemal uroczystym geście.

- Przyznam, że w wypadku Petersena czasem trudno mi się powstrzymać, żeby odwzajemnić mu się na nasz sposób za to, co zrobił

Naali, ale wiem, że muszę nad sobą panować. Mam świadomość, że twój ojciec nie jest tak tolerancyjny jak jego brat. Dlatego spotykamy się tutaj tylko pod osłoną nocy i zostawiamy potem to miejsce tak, żeby wyglądało, jakby już od dawna stało opuszczone. Ktokolwiek trafi tu za dnia, natknie się wyłącznie na pustą i walącą się chatę.

Potem pociągnął ją za sobą, aż stanęli przed werandą. Zgromadzeni wyglądali na zdziwionych jej przybyciem. Vikrama wyjaśnił im i starszemu mężczyźnie, który zapewne był ich mistrzem, dlaczego ją przyprowadził. Grace żałowała, że nie wszystko rozumie. Postanowiła, że poprosi Vikramę, by znów zaczął udzielać jej lekcji podczas ich spotkań.

- Nauczyciel się zgodził - powiedział, kiedy w końcu do niej wrócił. -

Wyjaśniłem mu, że można ci zaufać i że nas nie zdradzisz.

- A powiedziałeś mu... Potrząsnął przecząco głową.

- Przedstawiłem cię jako moją przyjaciółkę i tę, która uratowała Naalę.

- I to wystarczy?

- Dla naszego nauczyciela tak. Usiądź sobie najlepiej na jednym z kamieni i patrz.

Posłuchała go, a potem przyglądała się, jak Vikrama wraca do swojego mistrza. Zdaje się, że pełnił funkcję jego prawej ręki.

Nauczyciel był już za stary, by samemu walczyć, więc wszystkie skomplikowane ruchy pokazywał młodemu adeptom jego pomocnik.

Na początku stoczyło walkę dwóch młodych mężczyzn. Ich widok zapierał Grace dech w piersiach. Jednak dopiero kiedy Vikrama stanął

do walki ze starszym z uczniów, nie mogła wyjść ze zdumienia. Nie przypuszczała nigdy, że człowiek potrafi poruszać się tak szybko i płynnie. Zawodnicy wskakiwali na siebie niczym koty, krzyżując w powietrzu krótkie ćwiczebne miecze. Od czasu do czasu ich ciała splatały się w uścisku, przypominając tańczącego Sziwę z obrazu w holu. Na koniec obaj pokłonili się sobie z szacunkiem, a następnie oddali pokłon nauczycielowi.

W ten sposób odbyło się kilka kolejnych rund, podczas których po kolei każdy mierzył się z każdym. Kiedy Vikrama nie był akurat na platformie,

patrzyła, jak siedzi obok mistrza z poważną, niemal uroczystą miną. Zawodnicy nie wydawali podczas walki żadnych okrzyków, pośród ciszy rozlegał się jedynie szcęk broni.

Grace zachodziła w głowę, dlaczego nigdy dotąd żaden odgłos nie doleciał do jej uszu.

Kiedy ćwiczenia dobiegły końca, a uczniowie rozpięchli się w mrokach nocy, Vikrama odprowadził ją do domu. Zewsząd z zarośli docierały do nich odgłosy natury, gdzieś ponad ich głowami rozległ się okrzyk ptaka wzlatującego nad zboczem oświetlonym księżycową poświatą.

- Ożeniłbyś się ze mną? - zapytała wprost Grace, dziwiąc się później swojej własnej śmiałości. Odwagi dodał jej zapewne strach przed Stocktonem.

Vikrama zastygł w miejscu.

- Czy ożeniłbym się z tobą? Ale przecież twój ojciec na pewno by się na to nie zgodził.

- Możliwe, ale czy nie moglibyśmy się pobrać bez jego błogosławieństwa? Przed twoimi bogami! Skoro byli mi tak przychylni, kiedy Victoria zachorowała...

Tak zaskoczona jeszcze go nie widziała. Serce jej się ścisnęło.

Może on wcale nie chce jej poślubić?

- To by przyniosło nieszczęście - odezwał się w końcu. - Sprowadziłbym nieszczęście na twoją rodzinę. Jestem tylko mieszkańcem.

Nie należę ani do twojego świata, ani nie jestem Tamilem.

- Ale mnie kochasz? - zajrzała mu w oczy w poszukiwaniu prawdy i odnalazła ją tam.

- Kocham cię - odpowiedział. - Bardziej niż własne życie. Bardziej niż wszystko, co do tej pory kochałem!

Po tych słowach wziął ją w ramiona. Zatopieni w miłosnych pocałunkach osunęli się na miękką trawę. Dłoń Vikramy zsunęła się w kierunku jej ud. Grace jednak nie była zaskoczona tym, że jego dotyk wcale jej nie odstręczył. Pozwoliła jego ręce wsunąć się pod jej spódnicę i poczuła na wewnętrznej części ud delikatny dotyk jego palców. Dalej nie odważył się posunąć. Potem nagle, jakby ktoś wylał na niego kubek zimnej wody, odsunął się od niej, potrząsając głową.

- Nie - wyszeptał, choć wiedział, że już na to za późno.

- Proszę, wróć do mnie - wyszeptała błagalnie, wyciągając do niego ręce.

- Nie wiem, co będzie potem, ale teraz pragnę tylko ciebie.

- To będzie bolało - ostrzegł, oddychając ciężko i walcząc resztką sił.  
- Wiem - odparła, czując, że pod wpływem pulsującego w niej pożądania zaraz rozprysnie się niczym szklanka, do której ktoś nalał zbyt gorącej wody.

Vikrama wahał się jeszcze przez moment, a potem zsunął spodnie i położył się na niej. Kiedy próbował ostrożnie w nią wejść, przymknęła oczy. Myślała, że jakoś zapanuje nad bólem, ale był nie do wytrzymania. Kiedy jego biodra przylgnęły do jej ud, znieruchomiał.

W jego oczach pragnienie mieszało się z troską.

- Mam nadzieję, że nie...

Pocałowała go. Choć jej łono nadal paliło, czuła, że to najpiękniejsza chwila w jej życiu. Przez moment trwali w bezruchu, spleceni w uścisku. Potem ból ustąpił stopniowo przyplwowi rozkoszy, jakiej jeszcze nigdy nie zaznała. Kiedy znów zaczął się w niej poruszać, nie zamknęła już oczu. Chciała widzieć, co się z nim dzieje, chciała patrzeć, jak doznaje rozkoszy, a jednocześnie całym ciałem chłonęła nowe doznania.

Gdy Vikrama poczuł, że doznała spełnienia, wycofał się z niej, a po chwili coś kleistego wylądowało na jej kolanach. Opadł wtedy z jękiem na trawę obok niej.

Choć dalej czuła się jak w niebie, miała świadomość, że jej plan nie zadziałał. Z tego co wiedziała o pożyciu między kobietą a mężczyzną wynikało, że mężczyzna powinien wylać nasienie w łonie kobiety.

Tymczasem Vikrama - przez wzgląd na nią - tak nie zrobił.

Leżeli przez dłuższy czas w milczeniu, wsłuchani w swoje oddechy.

- Powiedz, jak właściwie masz na imię? - zapytała Grace, przytulając głowę do jego piersi. Rozkosz w jej ciele jeszcze nie wybrzmiała.

Przestało się nawet liczyć, że jej plan nie wypalił.

- Mam na imię Vikrama. U nas nie ma zwyczaju noszenia nazwisk.

- To co oznacza to R przed twoim imieniem?

- To od imienia mojej matki. Właściwie powinna to być pierwsza litera imienia ojca, ale moja mama trzymała je w tajemnicy. Miała na imię Rani i zgodnie z naszym zwyczajem przekazała je mnie.

- Zatem o twoim rodzie świadczy jedynie pierwsza litera imienia któregoś z rodziców?

- Tak, taka jest nasza tradycja.

- A czy to nie bywa mylące?

- Czasami, ale większość ludzi zwraca uwagę, aby ich dzieci nie

otrzymywały imion, jakie noszą już inni, by uniknąć zbieżnych kombinacji.

Znow zamilkli. Grace uświadomiła sobie, że powinna już wracać.

- Chcesz, żebyśmy to znowu powtórzyli? - pogładził ją po głowie i policzkach z łagodnym uśmiechem.

- Tak - powiedziała podekscytowana. - Nie wyobrażam sobie bycia z innym mężczyzną.

Pocałowali się namiętnie, po czym Vikrama powiedział: - Zapytam Naji, czy nie znajdzie dla ciebie jakichś ziół.

- Po co? - zdziwiła się Grace, na co pogłaskał jej brzuch.

- Bo chciałbym w tobie pozostać do końca, ale uniknąć ciąży.

Grace zaczerwieniła się i sama sobie wydała się bardzo naiwna.

Rzeczywiście, sypiając z mężczyzną, mogła zajść w ciążę! A to, że wycofał się z niej zawczasu i wspomniął teraz o ziołach, świadczyło, że nie chce jej zrobić krzywdy. Skąd mógł wiedzieć, że ona właśnie chciała, by jego nasienie nie wylądowało na jałowej ziemi, tylko...

- A te zioła pomagają?

- Żadna z naszych kobiet nie zachodzi w ciążę, jeśli tego nie chce.

Dopóki są niezamężne, piją zioła i nic się nie dzieje. A po ślubie je odstawiają i rodzą dzieci.

Przez cały czas, kiedy mówił, głaskał ją, wzbudzając na nowo pożądanie.

- Będę się powstrzymywał, dopóki zioła nie zaczną działać.

- A ile to potrwa?

- Parę dni. Potem nic ci już nie będzie grozić.

**16.**

## **Vannattuppucci Tea Company, 2008**

Zapadła już północ. Podczas gdy Jonathan ślęczał nad księgami handlowymi, Diana oparła się na krześle i przyłożyła palce do skroni.

W głowie jej szumiało, a całe ciało przepełniało jakieś dziwne podniecenie. Nowe odkrycie okazało się precudowne, miało tylko tę przerażającą moc, że nie można się było od niego oderwać. Żadna miłosna powieść nie zrobiła na niej takiego wrażenia jak relacja Grace o jej kielkującej namiętności i o nieszczęściu, jakie groziło jej ze strony Deana Stocktona.

Właściwie zwierzenia jej przodkini powinny ją były zaszokować, jednak dzieliło je tak wiele lat i przeżyć, że widziała w niej jedynie młodą kobietę,

zakochaną na śmierć i życie, która chciała też swoją miłość urzeczywistnić, co w tamtej epoce było przecież nie do pomyślenia.

- Powinna już się pani położyć - odezwał się Jonathan, który również wyglądał na zmęczonego. Diana dopiero teraz zorientowała się, że jest tak późno. - Ten zeszyt nigdzie nie zniknie.

- Ale ja szczerze wątpię, że po tym, co przeczytałam, uda mi się spokojnie usnąć.

- Takie to straszne?

- Nie, *raczej* nie, ale zaskakujące. A już z pewnością skandaliczne jak na tamte czasy. W każdym razie wiele *rzeczy już* mi się wyklarowało.

Ale jednocześnie pojawiło się mnóstwo nowych pytań...

- To może wybierzemy się na nocny spacer? - zaproponował

Jonathan, wskazując na małe okienko, przez które w blasku księżyca widać było fasadę sąsiedniego budynku. - Ciepłe, wieczorne powietrze pomoże pani zebrać myśli.

Tego właśnie potrzebowała. Jej skronie pulsowały niemiłosiernie, co niechybnie oznaczało przepracowanie.

Kiedy wyszli przed dom, czujnik światła zareagował od razu, zalewając schody mocnym światłem. Na fioletowym niebie, na którego tle odcinały się czarne sylwetki palm, widać było srebrzysty półksiężyc i mrowie gwiazd. Nad całą okolicą unosił się cichy szmer.

- Proszę iść za mną - powiedziała, biorąc Jonathana za rękę.

Zaprowadziła go do pergoli, gdzie Stockton napastował Grace. Ciekawe, jak potoczyłaby się ta historia, gdyby się to nie zdarzyło...

- Moja praprababka miała romans z zarządcą - wyznała, kiedy znaleźli się w cienistym korytarzu.

- Z tym Cahillem? - zdziwił się Jonathan. - Znalazłem to nazwisko gdzieś w papierach.

- Nie, z R. Vikramą. Miejscowym. Jonathan otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

- To faktycznie zaskakujące.

- Powoli zaczynam się domyślać, co mogło się stać powodem rodzinnej waśni, no i skandalu. Henry nie chciał jej ratować przed Stocktonem. Ona i Vikrama musieli zostać nakryci.

- Może ktoś znalazł jej zeszyt. W końcu nie bez powodu leżał właśnie w tamtej książce rachunkowej. Jak gdyby ktoś czerpał z jego lektury jakąś perwersyjną przyjemność.

- Ale jak ten ktoś miałby go znaleźć? Przecież Grace dobrze go chowała. Poza tym zamierzała go nawet spalić. I jestem pewna, że gdyby miała taką możliwość, tak właśnie by się stało. Tremayne'owie znają się na kryjówkach...

Naraz ich twarze znalazły się tak blisko jak nigdy wcześniej. Do jej nozdrzy dotarł zapach jego skóry i ostatnia nuta wody kolońskiej.

Zacząła się zastanawiać, jak to było, kiedy tak naprzeciw siebie stali Grace i Vikrama i po raz pierwszy się pocałowali. Naraz miała wrażenie, jakby czas się cofnął. Potem zaś poczuła na swoich ustach ciepłe wargi Jonathana. Jak gdyby od zawsze tam było ich miejsce.

Kiedy znów otworzyła oczy, zobaczyła, że Jonathan patrzy na nią zdziwiony.

- Co? Tak źle całuję? Pokręciła głową z uśmiechem.

- Poczulałam, jakbym cofnęła się w czasie. Jakbym była Grace.

Jonathan roześmiał się.

- Ale mam nadzieję, że całowałaś się ze mną, a nie z tamtym Vikramą.

- Całowałam się z tobą - odparła, kładąc delikatnie dłonie na jego policzkach. - Ale musisz wiedzieć, że skomplikowana ze mnie osoba.

No i mam jeszcze męża, z którym dopiero muszę się rozwieść.

- I już myślisz o kolejnym małżeństwie? - zażartował, na co Diana splonęła rumieńcem.

- Masz rację, jeszcze nawet nie wiemy, czy potrafimy ze sobą wytrzymać. Ja ze swej strony mogę wyznać, że chyba się trochę w tobie zakochałam.

- Tylko trochę? - znów zażartował i wziął ją za rękę.

W jego oczach dostrzegła to samo pragnienie, które i w niej pulsowało. Sumienie zasygnalizowało jej wprawdzie, że wciąż jest mę-

żatką i że nie powinna tego robić w ramach odwetu na Philippic Ale nie robiła tak z tego powodu. W tej chwili nie pragnęła niczego więcej, jak tylko być z Jonathanem.

Noc z Jonathanem okazała się całkowicie inna od tego, do czego przyzwyczaiła się w trakcie małżeństwa. Philipp nie był ani nachalny, ani nieczuły. Kiedy jeszcze byli szczęśliwi, nie wyobrażała sobie lepszego kochanka. Jednak Jonathan nauczył ją czegoś jeszcze. Jego pocałunki, jego ruchy były tak łagodne i zmysłowe, że w jego ramionach całkowicie zapomniiała o byłym mężu i miała wrażenie, że znalazła się w siódmym niebie. Z miejsca przegnała złośliwe spostrzeżenie, że nie ma w tym nic

dziwnego, bo przecież pochodzi z ojczyzny Kamasutry. Zalała ją fala intensywnych doznań, zwieńczonych zapierającym dech w piersi spełnieniem.

Leżeli potem wtuleni w siebie, patrząc na sufit, na którym igrały nocne cienie.

- Ta chwila jest doskonała - szepnęła Diana, przytulając się do jego piersi.

- Naprawdę? - uśmiechnął się Jonathan, muskając jej włosy. - A wcale nie pokazałem ci jeszcze wszystkiego.

- Może zostawmy sobie coś na następne dni. Nie chciałabym, żebyś wrócił do Kolombo zupełnie bez sił.

- Myślę, że akurat do tego czasu mi ich wystarczy - odpowiedział, po czym przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Diana poleżała jeszcze chwilę w jego objęciach, aż nagle zerwała się i założyła szlafrok.

- Co się stało? - zdumiał się Jonathan.

- Przyniosę coś.

- Coś na wzmocnienie z kuchni?

- Zeszyt - odpowiedziała bez ogródek.

- Znowu! - zamruczał. - Tak cię już znudziłem, że musisz poczytać?

- Nie, ale chcę wiedzieć, co dalej. I tak nie zasnę. Nie mów, że nie chciałbyś się dowiedzieć, co się stało z Grace i Vikramą.

Nachyliła się nad nim, by go pocałować, i wyszła z pokoju. Kiedy wróciła z zeszytem, usiadła przy Jonathanie i oparta o jego pierś zaczęła czytać na głos.

***Od tamtej pory nic nie było takie jak dawniej. Nocą wykradałam się z domu, spotykałam z Vikramą i kochaliśmy się. Za dnia odgrywałam porządną córkę, która cierpliwie znosi fantazje matki na temat małżeństwa z Georgeem, ignoruje dobre rady panny Giles i spaceruje po okolicy z młodszą siostrą u boku.***

***Na szczęście nie natknęłam się już więcej na Deana Stocktona.***

***Przyznaję, sprawia mi wielką przyjemność, kiedy pomyślę, że on się boi. Boi się, że mogłabym jednak powiedzieć ojcu o tamtym zajściu. Ale owa przyjemność ma jednak wadę, bo przypomina mi także, że i on groził, że mnie wyda.***

***Wieczorami, kiedy siedzę w oknie, czekając na Vikramę, wsłuchuję się w siebie. Już po naszej pierwszej wspólnej nocy Vikrama dał mi***



*woreczek z ziołami, ale nawet go nie ruszyłam.*

*To okropne, że go oszukuję, ale serce mówi mi, że postępuję słusznie. Czy nie tego właśnie dotyczyła przepowiednia z liścia palmowego?*

*Sypiamy ze sobą od trzech tygodni. Możliwe zatem, że już jestem w ciąży. Ta myśl z jednej strony mnie niepokoi, bo nawet nie chcę myśleć, jak zareagują rodzice. Ale z drugiej strony daje mi poczucie wolności, bo ten okropny George teraz na pewno już mnie nie*

## zechce...

W tym miejscu, ku rozczarowaniu Diany, zapiski niestety się urywały.

- Jak myślisz, była z nim w ciąży? - zapytał Jonathan, muskając ją po ramionach.

- Niewykluczone - odparła. - Nie zażywała tych ziół. - Spojrzała na swoje ramię, następnie wzięła do ręki kosmyk swoich czarnych włosów. - Grace i Victoria miały jasną karnację.

- W końcu były Angielkami. Jak herbata z mlekiem. Nic dziwnego, że i ty masz tak jasną skórę.

- Herbata z mlekiem to ładne określenie. Jeżeli Vikrama istotnie był ojcem jej dziecka, które później urodziła w Niemczech, to jego krew płynie także w moich żyłach.

- Krew wojownika *kalaripayatu*. - Jonathan pocałował ją w szyję. - Przyjrząwszy się bliżej twojej skórze, mogę się nawet założyć, że jego krew trafiła do twojej rodziny.

Diana wyciągnęła rękę i pogładziła jego biodro.

- Ciekawa jestem, jak wyglądał?

- Vikrama? Może był trochę podobny do mnie.

- Nie, nie to mam na myśli. Chodzi mi o moment, kiedy to się wydało.

Kiedy Grace musiała przyznać się ojcu, że spodziewa się dziecka.

Ciekawe, czy powiedziała im, kto jest ojcem?

- Pewnie nie. Kochała go. Nie chciała narazić go na kłopoty. Gdyby jej ojciec się dowiedział, urządziłby mu piekło.

- W takim razie dlaczego już nigdy potem nie było żadnej wzmianki o Vikramie? - snuła dalej rozważania Diana i przypomniła sobie o liście w torbie. Ostatni dowód? - W liście, który znalazłam w rodzinnej krypcie Tremayne'ow, Victoria pisała, że on chciał do niej przyjechać.

Przypuszczam, że miała na myśli właśnie Vikramę.

- Może stchórzył? A może jej ojciec kazał go pobić swoim ludziom?

- Pobić? Wojownika *kalaripayatu*? - Diana z powątpiewaniem uniosła brwi, po czym odwróciła się. - Obawiam się, że nie dotarliśmy jeszcze do końca tej historii. Część tajemnicy wyszła już na jaw, mimo to mam wrażenie, że to nie wszystko. Nadal nie wiemy, co było potem i jak te

intymne zapiski trafiły do księgi rachunkowej.

- No cóż, mamy jeszcze trochę czasu. Dopóki mój wydawca nie naciska...

- Jesteś prawdziwym zrzędzeniem losu, wiesz? - Diana przytuliła się do jego piersi. - Nawet nie wiem, jak mam dziękować Michaelowi.

- Coś wymyślisz. - Jonathan otoczył ją ramionami i ucałował w głowę.

- W swoim liście Victoria pyta Grace, czy jej wybaczyła... - odezwała się Diana, wpatrzona w dal i zatopiona w objęciach

Jonathana. W jej głowie pojawiło się pewne podejrzenie, ale uznała, że jest za wcześnie, by o nim powiedzieć. - Jeszcze ci o tym nie mówiłam, ale znalazłam tu list. Tam, obok parapetu.

Wyswobodziwszy się z jego objęć, wstała z łóżka, by przynieść torbę.

- Co takiego? - uniósł brwi Jonathan.

- Wydaje mi się, że napisała go Victoria. - Podała mu grubą kopertę.

- I nie przeczytałaś go do tej pory? Pokręciła głową.

- Nie. Wydaje mi się, że to może być ostatni element układanki.

Chciałam go otworzyć dopiero wtedy, gdy dojdziemy do punktu, z którego nie będzie już widać dalszej drogi.

- No cóż, zapiski z zeszytu już nas dalej nie zaprowadzą. Może powinnaś go otworzyć właśnie teraz? - Oddał go Diane, która przesunęła palcami po napisie „Na pożegnanie”.

- Może rzeczywiście powinnam go otworzyć dopiero wtedy, kiedy będziemy stąd wyjeżdżać?

Jonathan przytulił ją i pocałował.

- Zrób, jak uważasz. Choć jestem pewien, że ten list pozwoli poskładać ze sobą wszystkie pozostałe elementy.

Diana uśmiechnęła się z rozmarzeniem i choć poczuła dreszcz zaciekawienia, odłożyła kopertę na stolik nocny i wtuliła się w pierś Jonathana.

Choć nie zmrużyli w nocy oka, już z samego rana znów znaleźli się w archiwum. Wzięli ze sobą kawę. Wiedzieli, że czeka ich teraz żmudna, detektywistyczna praca, jeżeli chcą się dowiedzieć, co stało się z Vikramą i Grace.

- To dziwne - powiedział Jonathan, następnie podniósł się z krzesła i podszedł do Diany z księgą, którą właśnie przeglądał. - To nie jest zwykła książka przychodów, tylko lista płac. Figuruje tu faktycznie R.

Vikrama. Jak na ówczesne warunki

zarabiał całkiem nieźle jako zarządca. Jednak jego dane znikają z listy w grudniu 1887 roku.

- Niewykluczone, że Henry Tremayne jednak dowiedział się, kto jest sprawcą ciąży jego córki.

- Uważasz, że im o tym powiedziała? Przecież równie dobrze mogła wymienić Stocktona.

Takie rozwiązanie wydało się jej mało prawdopodobne. Tak bardzo chciałyby się dowiedzieć, jak to było. Dlaczego Grace przestała pisać?

Cokolwiek stało się później, musiało mieć doniosłe znaczenie!

Złościło ją, że nadal brakuje jej najważniejszego elementu.

Potem nagle coś przyszło jej do głowy.

- Ktoś musiał znaleźć ten zeszyt. Może nawet wcześniej, niż zaszła w ciążę. Jej opisy są jednoznaczne i dają doskonały powód po temu, by wyrzucić Vikramę.

- Brzmi prawdopodobnie - przyznał Jonathan. - Nadal jednak jest w tym coś dziwnego. Dlaczego nie pisze o ciąży? Wygląda na to, że ojciec odkrył ich sekret, zanim zorientowała się, że jest w ciąży. A jeśli Vikrama wyleciał z tego powodu, to co powstrzymałoby go przed przyjazdem do niej, jak jest o tym mowa w liście? Dlaczego nigdy do niej nie dotarł?

- Może nie miał takiej możliwości? Diana z przerażenia aż opuściła lupę.

Nawet nie zauważyli, kiedy Manderley stanął w drzwiach, przysłuchując się ich rozmowie.

- Panie Manderley, skąd...

Dyrektor, ubrany tym razem w beżowy garnitur z czerwonym krawatem, wsunął ręce do kieszeni.

- Nie bez powodu tutejsi ludzie wierzą, że nad tym miejscem ciąży klątwa. Klątwa, którą ściągnęli tak pani, jak i mój przodek.

- Co pan ma na myśli? - zapytał zdumiony Jonathan.

- Wiedziałem, że kiedyś przyjdzie ten dzień. Tajemnicy należy strzec albo pozostawić ją za zasłoną przeszłości. Jednak wcześniej czy później zjawia się ktoś, kto wyciąga ją na światło dzienne.

Ciałem Diany wstrząsnął dreszcz. Słowa dyrektora wywołały w niej dziwny niepokój.

- Powinniśmy o tym porozmawiać przy dobrej herbacie. Zapraszam.

Woda w czajniku zaczynała wrzeć. Diana i Jonathan usiedli przy stole.

Nadal nie było wiadomo, co Manderley miał na myśli, ale ponieważ pomógł im nieco przybliżyć się do rozwiązania zagadki, Diana, chcąc nie chcąc, musiała teraz uzbroić się w cierpliwość.

- Muszę poprosić o wybaczenie. Nie oparłem się pokusie rzucenia okiem na zapiski w zeszycie, który pani przeglądała.

- Znalazłam go w starych księgach rachunkowych - wyjaśniła Diana.

- Aż dziwne, że nikt wcześniej nie zwrócił na niego uwagi.

- Bo nigdy nie szukała go właściwa osoba - odpowiedział Manderley, nalewając wodę do imbryka. W jej klarowną strukturę wdarty się rudawe smugi.

- Przygotowanie cejlońskiej herbaty to prawdziwa sztuka, ale w zamian można się rozkoszować jej doskonałym smakiem. Ta pochodzi ze zbioru *autumn flush*.

Kiedy herbata znalazła się już w szklankach, Manderley wrócił do przerwane go wątku.

- Przyglądając się państwu poszukiwaniom, zwróciłem uwagę na jedno nazwisko. Cahill. To był adwokat Tremayne.

„Przeczytał o tym w zeszycie”, oburzyła się w myślach Diana i zrobiło się jej tak nieprzyjemnie, jak gdyby dyrektor nakrył ich na uprawianiu seksu.

- To był jeden z moich przodków - wyjaśnił Manderley. - Nasza rodzina związała swój los z tą plantacją. Owszem, wielu próbowało stąd odejść, zacząć inne życie, ale zawsze w końcu wracali. Jak gdyby ciążyła nad nami jakaś klątwa.

- W takim razie coś nas łączy.

- Też tak myślę. Przynajmniej w odniesieniu do Cahilla. Manderley wstał i wyszedł za drzwi, po czym wrócił, trzymając w ręku niedużą książeczkę.

- Powinna to pani włączyć do swoich materiałów.

- Co to jest?

- Zapiski mojego przodka. Prowadził je, kiedy trafił do zakładu dla obłąkanych w Kolombo.

- Do zakładu dla obłąkanych?

- Niewiarygodne, prawda? Służba u jego chlebodawcy doprowadziła go do szaleństwa.

- Czytał to pan?

- Nie - odparł dyrektor. - Ten brulion od lat stanowi temat rozmów w naszej rodzinie. Nazywano go „hańbą”. Kiedy go znaleziono, było już za

późno, by kogokolwiek ukarać. Moi dziadkowie zamknęli go w sejfie w naszym domu. Każdemu z dzieci powtarzali, że jego lektura jest szkodliwa. Więc z czasem po prostu o nim zapomniano. Teraz jednak, kiedy zobaczyłem jego nazwisko w dokumentach, pamięć o nim ożyła.

Diana popatrzyła uważnie na sfatygowany, oprawiony w skórę brulion. Na okładce widać było odciski czyichś palców. Na brzegach widniały gdzieś tam brunatne kleksy.

- Należał do Cahilla, który pracował z pani przodkami. Jestem pewien, że wiele ustępów panią zaszokuje, jednak znajdzie w nim pani mnóstwo wskazówek. A gdyby wypłynęły tam fakty, które i mnie dotyczą, proszę dać mi znać.

Ich spojrzenia spotkały się na chwilę. Potem Manderley dolał wszystkim herbaty.

Diana przez całe przedpołudnie nie mogła się oderwać od pamiętnika Cahilla. Jonathan postanowił w tym czasie poszukać innych śladów adwokata w dokumentach w archiwum. I rzeczywiście odnalazł go na liście płac. Natknął się też na jego podpis na wyklejce jakiejś umowy handlowej.

- Ten podpis może ci się przydać do porównania charakterów pisma - powiedział, podając jej kartkę. Dianie zaś wystarczyło jedno spojrzenie, by się przekonać, że to jego pismo.

Tego wieczoru wyjątkowo wcześniej opuścili archiwum. Diana odłożyła na bok zapiski Cahilla i zajęła się innymi dokumentami.

Wiedziała, że lektura tego pamiętnika wymaga spokoju - i oparcia w ramionach Jonathana.

Z tego cienkiego, czarnego brulionu zdawała się emanować jakaś złowroga aura. Diana wolała nie myśleć, co za plamy widnieją na jego zniekształconej okładce. Kiedy położyła na niej dłoń, by otworzyć zeszyt, poczuła się naraz nieswojo, choć Jonathan był tuż przy niej, muskając ją delikatnie po plecach. Przesunęła po okładce palcami i poczuła ucisk w żołądku. Może to tu znajduje się ostatni element układanki? Wyjaśnienie, dlaczego Vikrama nie wyruszył za Grace. I dlaczego jej ojciec wykluczył ją z rodziny.

- Nie wiem, czy powinnam to czytać.

- Boisz się relacji szaleńca?

- Kto wie, co on tu napisał?

- Dowiesz się, jeśli przeczytasz. - Jonathan objął ją w talii, drugą ręką

otoczył jej ramię i wtulił policzek w jej szyję. - Jestem przy tobie, gdyby było źle. Myśli szaleńca bywają czasem jak silny strumień, który potrafi ścinać z nóg.

- Właśnie tego się obawiam - odpowiedziała Diana. - Myślisz, że on naprawdę tego nie czytał?

- Po co miałyby kłamać? Niektórzy wcale nie chcą poznawać tajemnic z odległej i mrocznej przeszłości. Zwłaszcza takich tajemnic, jak podejrzewam.

Diana spojrzała z westchnieniem na brulion, po czym zebrałszy się w sobie, otworzyła go.

17.

### **Zdumiewająca historia Johna Cahilla, Vannattuppucci, 1887**

Przybycie nowego właściciela Vannattuppucci wprawiło Lucy Cahill w stan ekscytacji. „Jak gdyby to była sama królowa Wiktorja” drwiła później jej najstarsza córka Megan w rozmowie z rodzeństwem, mając naturalnie nadzieję, że matka tego nie usłyszy. Lucy oczywiście słyszała, ale machnęła tylko ręką. Przyjazd nowego pracodawcy otwierał przecież zupełnie nowe możliwości.

- Słyszałam, że Tremayne'owie mają dwie przeurocze córki. Może postarasz się, żebym kiedyś ich poznała? - poprosiła męża. - Może nawet udałoby się włączyć Megan do kręgu przyjaciół tamtych dziewcząt? Wzrosłyby wtedy dla niej widoki na dobrze sytuowanego męża.

- Kiedyś na pewno - zamruczał pan Cahill z wzrokiem utkwionym w gazecie i filiżanką kawy w dłoni.

Nie czytał jednak. Skryty za połami gazety oddawał się rozmyślaniom. I tak już od kilku tygodni. Co ma powiedzieć Henryemu Tremayne'owi? Śmierć jego brata musiała być dla niego wielkim wstrząsem. Czy zamierza teraz sprzedać plantację? A może odda jej zarządzanie wspaniałomyślnie w jego ręce?

- Kiedyś? - przerwała jego rozważania Lucy. - Czy ciebie w ogóle obchodzi przyszłość naszych dzieci?

- Nie wiedziałem, że przyszłość naszych dzieci zależy od Tremayne'ów.

- I to jeszcze jak! - upierała się jego małżonka. - Gdybyś to tylko umiejętnie zaaranżował, Megan i Sophia mogłyby wejść do najwyższych kręgów.

Wyglądało na to, że szykuje się kolejna awantura, gwałtowna jak

monsunowa burza. Odłożył więc gazetę i odstawił filiżankę, której zawartość i tak dawno już wystygła.

- Moja droga - powiedział, wiedząc, że nie należy nawet próbować sprzeciwiać się żonie. Tym bardziej że miał zaraz wyruszać do Kolombo, by powitać pracodawcę wraz z rodziną, i nie chciał się denerwować. - Kiedy tylko nadarzy się okazja, zadbam o to, byście zostały przedstawione Tremayne'om. Będzie jednak lepiej, jeśli najpierw sam im się przyjrzę. Jeżeli okażą się mili i przystępni, a mam tu na myśli także ich córki, to zapoznam z nimi nasze dzieci.

Lucy skinęła głową z zaciśniętymi ustami. Taka odpowiedź wcale jej nie zadowalała, ale wiedziała, że nie ma sensu dalej drażnić tego tematu. W wojnie na słowa jej mąż nie był godnym jej przeciwnikiem.

W drodze do Kolombo Cahill zastanawiał się raz po raz, ile tajemnic swojego poprzedniego chlebodawcy może zdradzić. Nie ma sensu ujawniać całej prawdy. W końcu tylko on ją znał. Czasami lepiej nie budzić demonów. Tremayne powinien raczej skupić się na zachowaniu plantacji w dobrej kondycji. Ciemne plamy na kamizelce jego brata zostały pogrzebane wraz z nim samym. Nie ma powodu o tym wspominać.

Mężczyzna, który stanął przed nim w kapitanacie portu, był całkowitym przeciwieństwem swojego zmarłego brata. Miał jasne włosy, lekko puciołowatą twarz o niebieskich oczach i delikatny zarost.

Mimo to prezentował się jak prawdziwy dżentelmen.

- Witamy, panie Tremayne. Cieszę się, że dotarli państwo szczęśliwie na Cejlon.

Uścisnęli sobie dłonie i udali się do biura. Przez cały czas Cahill czuł się jednak odrobinę nieswojo. Denerwowało go, że musi rozmawiać o zmarłym Richardzie. Przez ostatnie tygodnie udało mu się już odrobinę o nim zapomnieć. Było jednak oczywiste, że Henry Tremayne oczekuje od niego wyjaśnień. Opowiadając więc o tym, znów miał

przed oczami zmasakrowane ciało plantatora, przywiezione do Vannattuppucci. I robotników żegnających w szpalerze swojego ukochanego pana.

Na widok krwi Cahillovi, który był z natury delikatniejszy, niż na to wyglądał, zrobiło się niedobrze. Mimo to przyglądał się, jak to, co zostało z sir Richarda - jak go tu nazywano, mimo że nie miał szlacheckiego tytułu - było przygotowywane do pogrzebu.



Choć Tremayne był chrześcijaninem, zażyczył sobie, by po śmierci jego ciało spalono, zgodnie z hinduską tradycją, a prochy wyspano do morza. Kiedy teraz o tym myślał, uważał to za słuszne rozwiązanie.

Transport ciała do Anglii trwałby przecież kilka tygodni. A tak wystarczyło zatelegrafować do Henry'ego Tremayne'a do Tremayne House i napisać później jeszcze do niego list z wyjaśnieniem, że grób jego brata nie istnieje, gdyż taka była ostatnia wola zmarłego.

Nie umiał natomiast odpowiedzieć, jak się posuwa policyjne śledztwo. Zdawał sobie jednak sprawę, że nikt nie będzie się zbytnio zajmował zmarłym, którego prochy zniknęły już w morskich odmętach. Na koniec Tremayne zaprosił go na obiad. Cahill uznał to za szczególnie miły gest, zwłaszcza że kiszki już mu marsza grały, a do domu było daleko.

Wszystko przebiegało jak po maśle. Robotnicy zakończyli najważniejsze prace remontowe i już po niedługim czasie Cahill mógł oznajmić swoim nowym chlebodawcom, że nic nie stoi na przeszkodzie, by wprowadzili się do Vannattuppucci. Wtedy po raz pierwszy widział się również z panią Tremayne i jej córkami.

Przepięknę dziewczęta, szczególnie ta starsza. Któregoś dnia to ona zostanie panią na Vannattuppucci, przypomniały mu się też słowa żony sprzed paru dni. Może istotnie udałoby się jakoś zbliżyć córki do tych dziewcząt...

Pojawienie się Vikramy zbiło go na chwilę z pantafelów. Czego tu szukał ten chłopak? Nie pozostało mu jednak nic innego, jak zrobić dobrą minę do złej gry. W końcu ten mieszaniec, jak go nazywał, wydawał mu się zupełnie niegroźny. Zniżył się więc nawet do pochwał

na jego temat, bo uznał, że wówczas sam przedstawi siebie w korzystniejszym świetle. Potem chłopak odszedł. Cahill pokazał jeszcze Henry'emu dom i na tym zakończyła się jego rola tamtego dnia.

W drodze do domu natknął się na jadącego na koniu Deana Stocktona. Śmiało można było powiedzieć, że był to najzamożniejszy plantator w całej okolicy. Przez jakiś czas wyglądało wprawdzie na to, że Richard Tremayne mógłby mu dorównać, a nawet go prześcignąć, jednak zdarzyło się nieszczęście i Stockton zachował palmę pierwszeństwa.

- Witam, panie Cahill, co pana tu sprowadza? - Stockton ściągnął wodze. Najwyraźniej wybierał się do Nuwara Eliya na spotkanie z przyjaciółmi z klubu. Cahill za namową żony także starał się o członkostwo, jednak bezskutecznie. Posiadacze plantacji i pozostali przedsiębiorcy nie byli

skłonni przyjąć do swojego grona adwokata, który nie miał własnej kancelarii, a jedynie świadczył usługi jednemu z nich. Pomimo tej skazy Stockton traktował go jednak zawsze poprawnie.

- Wracam z Vannattuppucci. Odwiozłem tam właśnie nowego właściciela, pana Henrygo Tremaynea.

- Brata Richarda? - Stockton uniósł brwi. Przez moment zastanawiał się chyba, czy nowy plantator okaże się tak uparty jak jego poprzednik, który za życia stanowił dla niego mocną konkurencję. I psuł mu krew z powodu ziemi.

- W rzeczy samej. Wprowadza się właśnie z żoną i dwiema córkami. Przyznam, że piękne z nich stworzenia.

Stockton, który znany był z upodobania do niewieścich wdzięków, rozparł się w siodle z uśmiechem.

- Wobec tego chyba złożę im wkrótce wizytę.

- Znakomity pomysł, sir. Na razie w Vannattuppucci panuje jeszcze zamieszanie, jestem jednak przekonany, że za kilka dni nadarzy się okazja. Zwłaszcza że pan Vikrama zaoferował się, że oprowadzi swojego pracodawcę po całym majątku.

Słyszając o owym pół-Tamilu, Stockton skrzywił się z niesmakiem.

Kiedy w Vannattuppucci zabrakło pana, ten cały R. Vikrama zachowywał się niemal jak właściciel. Rozповідаł o tym każdemu, kto tylko chciał słuchać, przemilczając przy tym prawdziwy powód swojego wrogiego nastawienia. Stockton był bowiem wściekły, że dom i plantacja nie trafią w jego ręce, jak to sobie zaplanował.

Cahill dobrze o tym wiedział. Nietrudno się było domyślić, że ten bogacz wprawdzie nie będzie próbował wyłudzić od Tremayne a posiadłości, ale zrobi wszystko, żeby i tak dostać się do jego pól.

- Powiada pan zatem, że ma córki - odezwał się, ignorując uwagę o Vikramie. - I żadnego syna?

- Na razie nie, o ile mi wiadomo. Wszelako pani Tremayne jest jeszcze dosyć młoda, może więc się zdarzyć, że powije również dziedzica.

Stockton skrzywił się, jak gdyby w duchu prosił Boga, by nic takiego nie miało miejsca. Następnie odchylił się na siodle i pociągnął za wodze.

- Serdecznie dziękuję za wieści, panie Cahill. Do zobaczenia.

- Do widzenia, panie Stockton! - zawołał Cahill za oddalającym się już galopem plantatorem.

O wizycie Stocktona dowiedział się, kiedy znów zjawił się w biurze Tremayne. Vikrama zdążył już zaznajomić go z nowymi zadaniami i Cahill liczył na to, że nowy właściciel szybko się w nie

wdroży. Wskazywałyby na to choćby dalsze rozmowy, no i fakt, że plantacja funkcjonowała jak dobrze naoliwiony mechanizm.

Któregoś popołudnia, kiedy akurat przechodził przez hol, zauważył starszą pannę Tremayne rozmawiającą z Vikramą. Nie było w tym nic zdrożnego, mimo to na ich widok zastygł w miejscu. W jego piersi ożyło coś, co dawno już schował w najdalszych zakamarkach duszy.

Jak ta dziewczyna się do niego uśmiecha! Jak jego spojrzenia wędrują po jej twarzy i sylwetce! Dwoje młodych ludzi, pełnych życia i tęsknot, których jeszcze nie zakosztowali.

„To nic takiego”, próbował się uspokoić. W końcu co w tym złego, że tak urocza panna jak miss Grace chce poznać ludzi na plantacji. I choć wyglądem ani trochę nie przypominała stryja, miała chyba podobny charakter. Dobry, otwarty i serdeczny.

I dobrze. Przyszła właścicielka Vannattuppucci będzie potrzebować sympatii swoich robotników, którzy gotowi są ciężko harować raczej dla pana, którego kochają, aniżeli takiego, którego tylko poważają.

Tygodnie po balu u Tremayne'ow przyniosły nie tylko wiele zmian, lecz zaciążyły też na atmosferze w domu. Jego dotychczasowe obowiązki zarządcy Henry Tremayne przekazał Vikramie. Pocieszył

go jednak, że choć będzie miał teraz znacznie mniej pracy, jego pensja nie ulegnie zmianie, bo bardzo sobie go ceni jako doradcę w kwestiach prawnych. Tymczasem żona nie przestawała mu suszyć głowę, że bal ani trochę nie spełnił jej oczekiwań.

- Nawet nie spojrzały na moje córki, zwłaszcza ta starsza!

-lamentowała. - Ta młodsza była nawet całkiem miła dla naszej Sophie, ale to wszystko.

- To inne sfery, moja duszko - próbował ją uspokajać. - Poza tym mają na plantacji tyle nowych wrażeń, że nie mogą się troszczyć o każdego z gości. Ale obiecuję, nasze dziewczęta będą jeszcze miały szansę.

Pani Cahill tylko prychnęła w odpowiedzi i znów zaczęła chyba szukać w pamięci kolejnych pretensji do panien Tremayne.

- Co ta starsza widzi w tym mieszańcu?

- To nie nasza sprawa, najdroższa - studził ją w dalszym ciągu małżonek,

choć sam powziął nagle jakieś straszne podejrzenie. To nie pierwszy raz, kiedy widział tę dziewczynę z Vikramą. Wydawali się bardzo zaprzyjaźnieni.

Przez kolejne dni zachodził w głowę, dokąd Vikrama chodzi z nią i z tą zblazowaną panną Giles.

- Chce się nauczyć mowy miejscowych, żeby wiedzieć, co o nas mówią.

Uwaga Tremayne'a zabrzmiała tak poważnie, jak gdyby istotnie spodziewał się czegoś złego ze strony swoich pracowników. Naprawdę uważał, że mogliby go oszukiwać? A może podejrzewał, że relacja między Vikramą a jego córką wykracza poza ramy układu nauczyciel -

uczennica?

„Może powinienem mu powiedzieć”, rozważał przez chwilę, zaraz jednak odstąpił od swojego zamiaru. To z pewnością nie ma żadnego znaczenia. Panna Grace szuka po prostu towarzystwa w swoim wieku.

A nauka miejscowego języka tylko przyda się jej jako przyszłej właścicielce Vannattuppucci. Richard Tremayne też go poznał.

Przez kolejne tygodnie Cahill pozostawał niemal beczynny.

Tremayne zlecał mu co najwyżej jakieś błahostki albo kazał przygotowywać dokumenty, które miał później zawieźć komuś z okolicy.

- Właściwie zrobił z ciebie gońca - pomstowała Lucy kąśliwym tonem. - Ten tamilski młokos jeszcze cię wygryzie.

- Nie wygryzie, moja duszko. Nie martw się - próbował ją uspokajać, ale ziarno niepewności zostało zasiane. Czy naprawdę Vikrama go przerósł? Czy też Tremayne czuł, że...

Nie, to niemożliwe. Nikt o tym nie wiedział.

Pewnego dnia, po powrocie z Kolombo, gdzie uwierzytelniał kilka dokumentów, zaczepił go Dean Stockton. Był podenerwowany i wyglądało na to, że czeka właśnie na niego.

„Pewnie wypatrzył przez lunetę, że wracam”, pomyślał przygnębiony. Wszędzie mówiło się, że Stockton ma dzięki temu oko na całą okolicę i obserwuje, co się tu dzieje.

- Dobry wieczór, panie Cahill! - Stockton stanął w poprzek przed jego lekkim powozem, uniemożliwiając mu w ten sposób przejazd. „Jak zbójca”, przemknęło Cahillowi przez głowę.

- Dobry wieczór, panie Stockton. Czym mogę służyć?

- O, myślę, że znajdzie się to i owo.

Ta odpowiedź zdumiała go, a jego zdumienie jeszcze wzrosło, kiedy

Stockton wyłuszczył mu swoją sprawę.

- Jeden z moich ludzi, których oddałem Tremaynebwi, doniósł mi, że panna Grace spotyka się regularnie z tym Vikramą.

- On tylko uczy ją języka! - odparł Cahill, czując, jak oblewają go zimne poty.

- Języka? Pan Petersen mówił co innego. Spotykają się głównie nocą i całują się. Nie wygląda mi to na naukę języka.

Cahill zaniemówił na chwilę.

- Czy i pan widział już coś podobnego?

- Nie, sir. Widuję ich tylko po południu.

- Cóż, w takim razie przydałby się ktoś, kto będzie miał ich na oku.

Upatrzyłem ją sobie na narzeczoną dla syna i wolałbym, żeby nikt nie podrzucił mu do gniazda jakiegoś kukułczego jaja.

Cahillowi zakręciło się w głowie. Nie może do tego dojść! To byłoby nie do pomyślenia, gdyby...

- Będę ich obserwował, panie Stockton. - Nagle przyszło mu do głowy coś jeszcze. - A co z panem Tremayneem? Mam mu o tym powiedzieć?

Stockton pokręcił jednak głową.

- Nie, na razie nie. Nie powinniśmy go denerwować. Ma na głowie całą plantację. Poinformuje pan szefa dopiero, jak pojawią się dowody.

Ale najpierw powie pan o nich mnie. - I wyjął

z kieszonki kamizelki portmonetkę. - To dla pana. Na poczet poczynionych wysiłków.

I nim Cahill zdążył mu podziękować, zawrócił konia i odjechał.

Od tamtej pory nie ustawał w szpiegowaniu Grace Tremayne. „Dla dobra plantacji”, jak sobie powtarzał. I dla dobra panienki. Nietrudno uwieść takie młode stworzenie. Za dnia patrzył czasem w jej okno, czasem obserwował ją z daleka. Nie znalazł jednak żadnego dowodu.

Nie miał pojęcia, kiedy się spotykali i które dy chadzała dziewczyna.

Podczas kolejnego spotkania ze Stocktonem zameldował więc, że wszystko jest w jak najlepszym porządku i że nie musi mieć powodów do zmartwień. Kto wie, co naprawdę widział ten Petersen.

- Poza tym niewykluczone, że chce zdyskredytować panienkę.

Dotarło zapewne do pana uszu, jak mu się postawiła, kiedy chłostał jedną ze zbieraczek?

- Tak, słyszałem o tym. - Jego mina świadczyła o tym, że takiego obrotu

spraw raczej nie wziął pod uwagę.

- Jestem pewien, że pański człowiek szuka zemsty. Panna Grace to dobrze wychowana młoda dama, która wie, czego się od niej oczekuje.

Nigdy nie zadałaby się z tym dzikusiem.

Stockton chyba uwierzył w jego słowa, bo nigdy już nie zapytał go o to. Jak gdyby uzyskał kolejny dowód niewinności Grace.

Kilka tygodni później Cahill zorientował się jednak, że był w błędzie.

Któregoś dnia, kiedy jak zwykle udawał się na odprawę, zastał w domu Tremayne'ow spore zamieszanie. Wziął więc na bok jedną ze służących i zapytał, co się dzieje, bo zauważył doktora Desmonda.

- Panna Grace zasłała. Proszę poczekać w gabinecie pana Tremayne'a.

Panna Grace zasłała? Jak to się mogło stać? Wszak to krzepka i zdrowa panna!

Kiedy dwie godziny później Henry Tremayne wszedł do gabinetu, był blady jak ściana.

- Ach, Cahill, zupełnie o panu zapomniałem.

- Czy mogę zapytać, co się stało?

Tremayne z ciężkim westchnieniem opadł na krzesło. Twarz miał jak skamieniała.

- Moja córka...

- To chyba nie nawrót malarii? - zapytał z przesadną grzecznością.

Nie chciał się zdradzić, że wie już, iż tym razem nie chodzi o Victorię.

- To nie Victoria, to Grace... - urwał Tremayne, po czym dodał, starannie ważąc kolejne słowa: - Odłóżmy naszą rozmowę. Nie mam teraz do tego głowy.

Cahill miał ochotę powiedzieć, że ma nadzieję, iż pannie Grace nie stało się nic złego, jednak wolał milczeć. I tak dowie się, o co chodzi.

Kiedy opowiedział potem Lucy o zasłabnięciu panny Tremayne, ta odparła natychmiast:

- Może wcale nie prowadziła się tak przyzwoicie?

- Co masz na myśli? - Znów poczuł, jak oblewa go pot.

- O ile wiem, takie młode panienki słabną tylko wówczas, gdy są w ciąży. Ze mną było tak samo, nie pamiętasz? Byłam wtedy w ciąży z Megan.

W rzeczywistości Cahill niezbyt przejmował się dolegliwościami Lucy w trakcie ciąży. Któregoś dnia wrócił do domu, a ona zakomunikowała mu dobrą nowinę...

- Możesz mi wierzyć, jeśli był tam jakiś chłopiec, który zabiegał o jej względy, to ona teraz jest z nim w ciąży.

Po tych słowach Cahill nie był już w stanie dokończyć kolacji.

Następnego dnia huczało już na całej plantacji. Panna Grace na pewno jest w ciąży. A pan jest wściekły, bo ona nie chce mu powiedzieć, kto jest ojcem.

Cahill biegał nerwowo po swoim gabinecie. Wiedział, że tak będzie!

To na pewno ten Vikrama. Dlaczego nie był dociekliwszy? Po co opowiadał Stocktonowi, który najwyraźniej martwił się o syna, o tej historii z zemstą? Petersen to łajdak, ale ma głowę na karku i najwyraźniej pozostał wierny swojemu poprzedniemu pracodawcy.

To prawdziwa katastrofa! Gdyby nie wiedział tak dużo o panu Richardzie, może wcale by go tak nie obeszło, że Grace zadała się z Vikramą. Tych dwoje nie mogło być razem. Powinien był wkroczyć dla dobra plantacji. Teraz było już jednak za późno.

Nie doszedł, jak Henry Tremayne dowiedział się, że to Vikrama jest ojcem dziecka. Mówiło się coś o jakimś zeszycie, który znaleziono u siostry Grace Victorii. Najwyraźniej wiedzioną dziecięcą ciekawością zaczęła czytać o nocnych eskapadach starszej siostry, a wtedy nakryła ją panna Giles.

Reakcja Tremayne'a była drastyczna. Wysłał Petersena i jego kamratów, aby odszukali i przykładowo ukarali Vikramę.

Oczywiście jego córka nie miała tego widzieć. Jednak dowiedziała się jakimś sposobem i wybiegła z pokoju, kiedy ojciec wydawał im polecenia.

Nigdy nie zdoła zapomnieć jej krzyków, kiedy prowadzili tego chłopca.

- Proszę, pozwólcie mu odejść! - błagała ze szlochem, wyrrywając się z uścisku powstrzymujących ją mężczyzn.

- Nie ma mowy, panienczko! - szydził Petersen. - Pani ojciec kazał nam dać mu porządną nauczkę i na pewno ją dostanie! Dajcie go tam pod drzewo, żebyśmy mogli zderzyć z niego skórę!

- Nie! - krzyknęła Grace tak rozpaczliwie, że Cahill miał ochotę zakryć uszy. Nie miał jednak odwagi.

- Broń się! - krzyknęła potem. - Broń się. Nie pozwól, żeby cię zabili!

Pomyśl o naszym dziecku!

Na te słowa zaczął się wyrywać prowadzącym go ludziom. Odwrócił się i spojrzał na Grace. Patrzyli sobie w oczy, jak gdyby wiedzieli, że to,

co się teraz dzieje, rozdzieli ich na zawsze.

Potem jednak Vikrama dosłownie eksplodował. Ruchami, jakich Cahill nie widział nigdy w życiu, wyswobodził się z uścisku oprawców i zaatakował ich. Zanim się zorientowali, dwóch stało z krwawiącymi nosami, trzeci zaś zatoczył się do tyłu. Petersen w okamgnieniu rozwinął swój pejcz, ale zdołał użyć go tylko raz, i to nie do końca, bo Vikrama szybkim kopnięciem go odepchnął.

- Do diabła, nikt nie ma przy sobie broni?! - zaryczał nadzorca, ale Vikrama zdążył już daleko odbiec, po czym obejrzawszy się raz jeszcze na ukochaną, zniknął w ciemnościach.

Mężczyźni, którzy powstrzymywali Grace, puścili ją teraz i ruszyli w ślad za nim, niknąc po chwili w zaroślach. Ona zaś osunęła się na stopnie schodów. Wpatrywała się przy tym w ciemność niemal błagalnie. Pewnie modliła się, żeby udało mu się uciec.

Kiedy Tremayne wyszedł w końcu z domu, jego ludzie akurat przywlekli się z powrotem. Petersen z opuchniętymi ustami powiedział

mu o klątwie rzuconej przez Vikramę. A kiedy dodał, że bił się tak, jak gdyby sam diabeł go opętał, odezwała się Grace, uśmiechając się zagadkowo.

- To nie żaden diabeł. To *kalarippayatu*, idioto.

Cahill pomyślał, że to może imię jakiegoś demona. Henry zaś zignorował jej uwagę i pociągnął ją szorstko do góry.

- Czego tu szukasz? Dałem ci areszt.

Dziewczyna zachwiała się, jakby zaraz miała zemdleć, co w jej stanie nie byłoby niczym nadzwyczajnym. Zachowała jednak świadomość i popatrzyła na ojca z takim wyrazem twarzy, który niejedną delikatną naturę przywiódłby do łez.

- Nie dopadną go, ojcze. Nie dopadną go. Jego bogowie o to zadbają.

Oczy Henryego zaświeciły na chwilę, jak gdyby chciał ją uderzyć, po czym zaciągnął ją do domu.

Cahill, na którego nikt dotąd nie zwrócił uwagi, oparł się o poręcz schodów. Co za noc! Jakie poruszenie! I to wszystko dlatego, że milczał. Że nie zrobił nic, kiedy zanosilo się na nieszczęście!

„Powiniennem był zdradzić mu tajemnicę jego brata. Może źle by zareagował, ale nie doszłoby do takiej tragedii!”

Wyczerpany wyjął z rękawa chusteczkę i otarł czoło. Rozmowę z panem Tremayneem mógł sobie już darować. Wróci tu jutro.



Następnego wieczoru na dziedziniec wpadł Dean Stockton.

Poszukiwania Vikramy rozszerzono tymczasem na obie plantacje. Po tym zaś, jak usłyszał, co się stało, zaoferował również swoją pomoc.

Teraz i jego ludzie poszukiwali byłego zarządcy, do tej pory jednak bez rezultatu. Zjawił się wściekły w Vannattuppucci i wbiegł na schody.

Czekającego w holu Cahilla nie obdarzył nawet jednym spojrzeniem.

Pewnie nawet go nie zauważył.

- Trzeba go było zastrzelić jak psa! - grzmiał chwilę później w salonie Tremayne'ow, niemal tak oburzony, jakby panna Grace była jego córką.

„No cóż-pomyślał Cahill - gdyby nie Vikrama, zostałaaby jego synową”. Świadomość skrywanej tajemnicy znów dała mu o sobie znać. Kiedyś będzie musiał o tym powiedzieć Tremayne'owi, ale nie teraz.

Wiedział, że najlepiej byłoby obrócić się na pięcie i wyjść na zewnątrz. Wtedy spostrzegł na schodach jakąś postać. Panna Grace!

Wycofał się więc jeszcze bardziej w ciemny kąt i ukrył za drzwiami.

Młoda kobieta była zbyt pochłonięta własnymi myślami, by go spostrzec.

- Istnieje chyba rozwiązanie - odezwał się Stockton, kiedy trochę ochłonął.

- Mianowicie? - zapytał Henry, podczas gdy jego żona tonęła we łzach.

- Tam we wsi są kobiety, które potrafią pomóc pozbyć się bękarta.

Jego słowa podziały na Tremayne'ow jak ostrze noża.

- Sugeruje pan, że powinna pójść do znachorki?

- Pójść nie. Państwo mogliby tu taką osobę sprowadzić. Tu, w domowym zaciszu, z dala od wścibskich spojrzeń mogłaby pomóc wrócić panie do poprzedniego stanu.

- Ale to grzech! - uniósł się Tremayne.

- Grzechem było też to, co pańska córka i ten bastard wyprawiali! -

odparował mu z gniewem Stockton. - Chyba nie chce pan stracić twarzy!

Ja nadal widziałbym ją jako synową, ale dopiero kiedy pozbędzie się ciąży.

Cahill zagryzł wargi, kiedy Grace przeszła obok niego.

Wyprostowana i dumna jak królowa. Dobrze słyszała żądanie Stocktona. Zawahała się na moment przed drzwiami, potem jednak weszła do środka. Zanim sąsiad zdążył wystąpić z kolejnymi groźbami, odezwała się pewnie i ze spokojem:

- Zatrzymam to dziecko, Stockton. Nie zmusisz mnie do zgrzeszenia przeciwko życiu.

W salonie zapadła cisza. Cahill żałował, że nie widzi twarzy zebranych.

Nawet

pani

Tremayne  
przestała  
szlochać.

Najprawdopodobniej wszyscy zamarli z wrażenia.

- Ojczy, matko, chcę wam oszczędzić hańby. Postanowiłam wrócić do Anglii i tam urodzić dziecko.

Znow nikt się nie odezwał.

- Bachora tego dzikusa? - zachnął się w końcu Stockton. - Panno Tremayne, niech się pani opamięta! Przecież może się pani pozbyć tego kłopotu.

- Zamordować to dziecko? Za co? Za to, że jak to określiłeś, to ty chciałeś mi zrobić swojego dziedzica? A może zmieniłeś już zdanie od czasu tamtego spotkania?

- To...

- Kłamstwo? Tak chcesz to załatwić, Stockton? - Nastąpiła krótka pauza. Potem Grace ciągnęła dalej: - Przecież czytałeś moje zapiski, ojczy! Tak ci zależało na znalezieniu winnego. Ale to nie

Vikrama! To ten człowiek ponosi winę za to wszystko. Przeczytaj to jeszcze raz dokładnie!

Sapnięcie Stocktona rozległo się aż za drzwiami.

- Chyba nie uwierzy pan tej dziewczynie...

- Milcz, Stockton! To mój dom i to ja w nim decyduję! A teraz radziłbym panu go opuścić, zanim się zapomnę!

- Będiesz tego żałował, Tremayne! - wydyszał Stockton. - Już ja zadbam o to, żeby cały Cejlon dowiedział się, jaką masz córkę!

I wypadł z salonu, dysząc z wściekłości. Przechodząc przez hol, zamruczał coś jeszcze pod nosem, następnie trzasnął za sobą drzwiami.

Zapanowała zupełna cisza.

- Ojczy? - odezwała się niemal szeptem Grace.

- Popłyniesz do Anglii najprędzej, jak to będzie możliwe -oznajmił

Tremayne drżącym głosem. - Tam urodzisz dziecko, a my oddamy je jakiejś rodzinie, która je zechce.

- Nie, ojczy, ja...

- Ani słowa! - Zagrzmiał. - A teraz idź na górę i nie pokazuj się już najlepiej nikomu na oczy.

Grace nie odpowiedziała. Odwróciła się powoli i wyszła z salonu.

Ukryty w cieniu Cahill dostrzegł, jak po jej policzkach toczą się łzy.

W kolejnych dniach jego obecność okazała się zbędna. Deszcze schłodziły powietrze. Znak, że nadchodzi zima. Za miesiąc będą świętować Boże Narodzenie. Zaszły się więc w swoim gabinecie i nie chciał rozmawiać ani z żoną, ani z dziećmi. Co teraz stanie się z plantacją? Wprawdzie Tremayne'owie mają jeszcze jedną córkę, której mogliby ją przekazać. Ale co z ich reputacją? Stockton nie spocznie, dopóki ich nie zrujnuje. Zwłaszcza że słowa Grace okazały się prawdą.

Tydzień później na podjazd przed domem zajechał powóz. Panna Grace zabierała ze sobą niewiele rzeczy. Towarzyszyła jej

panna Giles. Zapewne po to, by mieć pewność, że panienka nie popełni po drodze kolejnych głupstw.

Cahill nie widział, jak wyglądało pożegnanie z rodziną. Teraz na schodach stała tylko panna Victoria, machając obu na do widzenia.

Potem powóz opuścił plantację. Jak się potem dowiedział, córka Tremayne'ow popłynęła do Anglii statkiem pocztowym o nazwie „Calypso”.

Odkąd starsza córka wyjechała, Henry Tremayne bardzo się zmienił.

Na całe godziny zamykał się w swoim gabinecie i w samotności przeżuwał porażkę, wściekłość i rozpacz.

W końcu Cahill zebrał się na odwagę. Nie liczył oczywiście, że jego słowa przyniosą Tremayne'owi pocieszenie, wręcz przeciwnie. Zanim jednak stanie się coś jeszcze, postanowił powiedzieć mu wszystko, co wie.

- Niczego nie potrzebuję, Wilkes! - zawołał Henry, sądząc, że to kamerdyner.

- To ja, Cahill - wyszeptał adwokat. - Muszę koniecznie z panem pomówić.

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Czyżby Tremayne postanowił go ignorować?

- Proszę wejść! - usłyszał w końcu.

W pierwszej chwili Cahill poczuł przerażenie. Jeszcze nigdy nie widział swojego pracodawcy w takim stanie. Mniejsza o ubiór.

Zdarzało się już, że chodził bez marynarki. Jednak jego twarz pokrywał wielodniowy zarost, usta tworzyły prostą, bladą kreskę, a zapadnięte oczy otaczały cienie.

- Czego pan chce, Cahill? - zapytał. Nawet jego głos brzmiał inaczej.

Jak gdyby w ciągu tych paru dni postarzał się o całe lata.

- Mam coś, co może pana zainteresować. Henry uniósł brwi.

- Doprawdy?

- Jest coś, co powinien pan wiedzieć. Zwłaszcza teraz, kiedy... - w tym miejscu urwał, widząc gniewne spojrzenie chlebodawcy.

Tremayne podniósł się za biurkiem, jakby chciał się na niego rzucić.

Potem jednak się wyprostował i powiedział: - Proszę, niech pan wejdzie.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, przemknęło mu tylko przez głowę: „Nie pogarszaj tego wszystkiego!” ale Rubikon został już prze-kroczony, nie było odwrotu. Jego pracodawca miał prawo dowiedzieć się całej prawdy. Aby już na zawsze zatrzeć ślady z przeszłości.

- Wybacz pan, panie Cahill, nie mam zbyt wiele czasu - zaczął

Tremayne, wskazując równocześnie na krzesło przed biurkiem, na znak, że adwokat może usiąść. - Bardzo więc proszę przejść od razu do rzeczy.

Spojrząwszy na otwartą wprawdzie, lecz niczym niezapełnio-ną księgę handlową, Cahill wywnioskował, że teraz czas zabiera mu zupełnie co innego.

- Istnieją pewne okoliczności. Sprawy, które przemilczałem po pańskim przyjeździe, uznawszy je za nieistotne.

Twarz Henryego jeszcze bardziej spochmurniała, jednak nie odezwał się i słuchał dalej.

- Na skutek pewnych wydarzeń pamięta pan zapewne pana Vikramę?

Parsknięcie Tremayne'a zdradziło mu, że doskonale go pamięta.

- Co z nim? Zmalował coś jeszcze oprócz uwiedzenia mojej córki?

- Obawiam się, że tak, aczkolwiek to nie jego wina, lecz pańskiego brata.

- Richarda? A cóż on ma z tym wspólnego?

Cahill zawahał się, czując jednocześnie niemal perwersyjne podniecenie. Nareszcie zrzuci z siebie to brzemię.

- Kiedy pański brat przyjechał do Vannattuppucchi, wpadła mu w oko jedna ze zbieraczek. Zaiste, była przepiękna! Złocista cera, kruczoczarne włosy i osobliwe, zielone oczy, jak u Egipcjanek. Jako jej pan, brał ją często do siebie. Biedaczka myślała, że zostanie jego żoną.

Między Holendrami a miejscowymi kobietami zdarzały się przecież mieszane małżeństwa, a ich potomstwo cieszyło się nawet względnym szacunkiem. Wszelako pański brat był z innego materiału. Dziewczyna znudziła mu się po jakimś czasie. Ale było za późno, bo spodziewała się dziecka. Kiedy mu to wyznała, wpadł w gniew i wygnał ją z plantacji. Zhańbiona musiała wrócić do swojej wioski. Jednak po jakimś czasie ruszyło

go sumienie. Krótko przed rozwiązaniem kazał ją sprowadzić z powrotem. Naturalnie pod warunkiem że nie zdradzi, kto jest ojcem jej dziecka. Urodziła je więc, dała mu imię i wychowała.

Kiedy umarła, pan Tremayne poczuł się w obowiązku, by zadbać o chłopaka. Vikrama dorastał na plantacji, nie wiedząc nawet, że Richard jest jego ojcem, a z czasem stał się jednym z najważniejszych podwładnych.

- Skąd pan o tym wie?

- Pański brat wyjawiał mi to krótko przed śmiercią. - Cahill zagryzł wargi. W rzeczywistości było nieco inaczej, ale kogo to obchodzi? -

Zamierzał ustanowić syna prawomocnym dziedzicem, jako że jego żona zmarła, a on nie chciał już ponownie się żenić. Bogu dzięki nie doszło do tego z powodu śmierci pana Richarda. Nie widziałem powodu, by wtajemniczać w te sprawy samego Vikramę, ponieważ jest pan bratem Richarda i to raczej panu należy się ta plantacja, a nie jemu.

Dokąd byśmy zaszli, gdyby te dzikusy miały swoje własne plantacje?

Henry spoglądał na niego skonsternowany. Przez moment wydawało się, że słowa Cahilla zupełnie do niego nie dotarły i odbiły się od niego jak krople deszczu o plandekę. Jednak w rzeczywistości wniknęły głęboko do jego duszy.

- Ten chłopak jest synem Richarda? - wymamrotał z niedowierzaniem. Jak Bóg może go tak doświadczać?

- Powiedziałbym panu o tym już wcześniej, ale był pan tak zajęty...

Nie dokończył jednak, bo Tremayne ryknął z wściekłości. Następnie w ataku furii zmiotł z biurka kałamarz, który upadł z brzdękami na podłogę, rozpryskując swoją zawartość na parkiecie.

- To znaczy, że moja córka zaszła w ciążę ze swoim kuzynem?!

- Można tak powiedzieć. - Cahill cofnął się, jak gdyby spodziewał się teraz ataku na jego osobę.

Henry jednak tylko patrzył na niego bezradnie. Jego usta wciąż się poruszały, jednak nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

Spoglądającemu na niego Cahillowi robiło się na zmianę to zimno, to gorąco. Oczy Tremayne'a przypominały dwie bezdenne czeluście. Miał wrażenie, że zaraz sam do nich wpadnie.

- Powinien był mi pan powiedzieć już na samym początku, że mój brat ma nieślubne dziecko!

Cahill nie wiedział zrazu, co odpowiedzieć. W końcu Tremayne miał



rację.

- Czy on wie, kim jest? - zapytał Henry, zaciskając dłonie w pięści.

Adwokat potrząsnął przecząco głową.

- Nie, nie sędzę. Inaczej nie zbliżyłby się do pańskiej córki. Przecież są kuzynami w pierwszej linii. Nawet tutejsze dzikusy nie są tak zepsute.

Henry, który chyba dopiero teraz pojął powagę sytuacji, opadł na krzesło. Ten gest ośmielił znów nieco Cahilla.

- Doprawdy, nie spodziewałem się, że on i pańska córka... Panna Grace to prawdziwa dama, w dodatku zabiegał o nią młody Stockton.

Nic nie wskazywało na to, że...

Choć po głębszym zastanowieniu musiał przyznać, że bardzo wiele właśnie na to wskazywało. Ich wzajemne spojrzenia, uśmiech Vikramy na jej widok, ona siedząca w oknie... Ojciec Grace był chyba tego samego zdania. Zerwał się teraz znów z krzesła i okrążywszy biurko, chwycił Cahilla za poły surduta.

- Powinieneś być lepiej na niego uważać. Nie, powinieneś być go wyrzucić i to zaraz po tym, jak się dowiedziałeś.

- Ale pański brat...

- Mój brat był jeszcze większym łajdakiem, niż sądziłem! Nigdy nie powinien być się zadać z tamtą kobietą. Szczęście, że przynajmniej ona nie zdradziła temu bękartowi, kto jest jego ojcem!

Przez moment opadły go jednak wątpliwości. A może jednak mu powiedziała? Szybko odegnał tę myśl, tak potworna mu się wydała.

Istniało tylko jedno rozwiązanie tego problemu.

- Jeżeli będzie miał czelność jeszcze raz się tu pokazać, dopilnujesz, żeby zniknął. Raz na zawsze!

- Chce pan, żebym go... - wyjąkał Cahill.

- Zrobisz to! - odwarknął Henry, po czym uśmiechnął się złowrogo. -

Za to, że tak długo ukrywałeś przede mną tę informację! Zadbasz, żeby ślad po nim zaginął. Wszelki ślad. Wtedy może wybaczę ci, że mnie oszukałeś i pozwolę ci pozostać na plantacji. W przeciwnym razie ty i twoja rodzina już możecie zacząć się pakować.

Kiedy wypuścił go z rąk, Cahill stał jak rażony piorunem. Jeszcze przez kilka minut nie był w stanie się poruszyć ani oderwać wzroku od tego człowieka, który kipiał gniewem, bo został pozbawiony jednej z najukochańszych osób.

„A co ty byś zrobił, gdyby chodziło o twoją Megan?” przemknęło mu przez głowę. Odpowiedź była prosta: zabiłby tego drania. Wiedział już, co ma zrobić.

Całymi dniami zachodził w głowę, jak zwabić Vikramę w pułapkę.

Pamiętając nieudaną próbę dania mu nauczki przez Petersena i jego ludzi, zdawał sobie sprawę, że musi działać ostrożnie. Ten chłopak wie, jak walczyć. W kontakcie z nim nie będzie miał żadnych szans.

Nie potrzebowałby nawet noża, żeby położyć go trupem.

Najpierw jednak Vikrama musiał w ogóle się pojawić. Ludzie Tremayne'a i Stocktona poszukiwali go dalej bez żadnych rezultatów.

Potem jednak los uśmiechnął się do niego - po raz pierwszy od wielu tygodni. Nękaną bezsennością siedział któreś nocy w oknie swojego gabinetu. W pewnej chwili spostrzegł jakąś postać przemykającą się przez ogród. Od razu rozpoznał, kto to. Ale czego Vikrama tu szuka?

Grace nie było już od miesiąca, a Tremayne kategorycznie zabronił mu się tu pokazywać. Czyżby upatrzył sobie już inną dziewczynę?

Nie zastanawiając się długo, włożył spodnie i otworzył szufladę biurka. Metalowa powierzchnia rewolweru połyskiwała złowrogo w ciemnościach. Wystrzał będzie słyszalny wiele mil stąd. Nie widział

jednak innej możliwości, by pokonać tego chłopaka. Z nożem w ręku nie miałby pewnie żadnych szans. Wetknąwszy więc rewolwer za pasek spodni, wyszedł z domu. Na plantacji panowała całkowita cisza.

Słyszał tylko jedyne terkot bambusów i szum drzew.

Spostrzegł, że Vikrama kieruje się do rezydencji. „Ma chłopak nerwy ze stali”, pomyślał z podziwem. Po wcześniejszej próbie pobicia on na jego miejscu nigdy nie zdobyłby się na podobny wyczyn. Zaczął się za nim skradać pod osłoną drzew i zarośli. Wszystkie okna domu były ciemne. Przypominały martwe oczy.

Vikrama nie odważył się jednak wejść do środka. Okrążył tylko front domu, kryjąc się w rzucanym przez niego cieniu i w pewnej chwili zniknął Cahillowi z oczu. Co on zamierzał? Kiedy wyjrzał zza rogu, zobaczył go, jak stoi przed otwartym oknem. Z okna wychyliła się zaś szczupła dziewczyna, by coś od niego odebrać. Jakiś podłużny, owinięty w szmatkę przedmiot. Zamienili jeszcze parę słów, których Cahill nie dosłyszał, po czym Vikrama odszedł. Dłoń adwokata spoczęła na rewolwerze. Nie, jeszcze nie. Kiedy Vikrama się odwrócił, szybko skrył się w cieniu. Wracił. Gdy zaś zmierzał w

jego kierunku, Cahill zaczął się za jednym z rozłożystych rododendronów. Wracał do siebie? Obejrzał się na dom. Pewnie odgłos wystrzału pobudził wszystkich mieszkańców i pracowników plantacji.

Zanim uporał się z rozterkami, Vikrama zniknął w zaroślach. To nie była droga do jego chaty. Dokąd on poszedł? Upewniwszy się, że chłopak go nie spostrzeże, adwokat wyszedł zza krzewu i ruszył jego śladem. Znalazłszy się w zagajniku i wsłuchując w odgłosy kroków przed sobą, zorientował się, że Vikrama zdążyła na plantację. Może nawet na to samo miejsce, gdzie uwiódł pannę Grace.

Na myśl o nagim ciele dziewczyny i o tym, co mogli wtedy robić, zaschło mu w ustach. Chętnie znalazłby się na miejscu tego młokosa!

Przywołał się jednak szybko do porządku. Teraz musi zachować zimną krew, żeby zrealizować swój plan. Odegnął więc grzeszne myśli i skupił się wyłącznie na tym, by robić jak najmniej hałasu. Vikrama chyba niczego nie podejrzewał. Plantacja herbaty, na której mieszkał

od dziecka, dawała mu poczucie bezpieczeństwa. Cahill miał niemal ochotę roześmiać się z goryczą. Nie przeczuwał, że w ślad za nim podąży śmierć. A może nie? Może jednak coś czuł?

W jednej chwili oblała go fala gorąca. Jak wtedy, gdy ruszył na górę za swoim pracodawcą, przekonany, że tylko w ten sposób może uratować Vannattupucci. Gdyby Richard nie postanowił odsłonić prawdy przed synem i przekazać kierowanie plantacją w jego ręce -

ręce tego dzikusa, jak nadal o nim myślał - pewnie żyłby do dziś.

Jednak Cahill poczytywał za swój obowiązek nie dopuścić, by plantacja znalazła się w rękach Tamila. Na nic zdały się jego wcześniejsze przekonywania. Kiedy dogonił go tam na Adams Peak, doszło między nimi do kłótni, która zakończyła się upadkiem Richarda w przepaść.

Przed jego oczami znów pojawiło się zmasakrowane ciało chlebodawcy. Był jednak przekonany, że tylko śmierć może powstrzymać Richarda przed popełnieniem tego wielkiego głupstwa, więc nawet nie próbował go ratować, kiedy spadł. Wmówił sobie potem, że ten wypadek okazał się dla plantacji szczęściem - i ratunkiem. Bo kto chciałby robić interesy z plantatorem, który byłby tubylcem?

Teraz sytuacja się powtórzyła. Znów widział się w roli wybawcy.

Musiał ostatecznie pozbyć się dowodu niewierności Richarda Tremayne

a, a zarazem jego spadkobiercy. Może nie pomoże w ten sposób pannie Grace, ale Vannattuppucci na pewno.

Najciszej, jak się dało, odciągnął kurek rewolweru. Czy ma mu wcześniej powiedzieć, że Grace jest jego kuzynką? Że jego ojcem był

Richard Tremayne? Nie, mógłby go wtedy potraktować tak jak Petersena i innych. Nabrał tchu i pociągnął za spust.

Wystrzał zabrzmiał niczym odgłos burzy. Ciekawe, kto mógł go usłyszeć. Przez moment widział się już ze stryczkiem na szyi, potem jednak przypomniał sobie, że przecież działa na zlecenie swojego pracodawcy. Że on będzie mu wszak wdzięczny za to, z czym nie mogli sobie poradzić jego ludzie.

Strzał powalił Vikramę jak drzewo. Upadł na ziemię z jękiem, zagłuszonym hukem broni. Cahill patrzył na niego z niedowierzaniem, ba!, był zszokowany! Potem dotarło do niego, że musi szybko pozbyć się ciała. Najlepiej wywieźć je gdzieś daleko, żeby nikt go nie znalazł.

Rozpacz i strach przed karą szybko pomogły mu znaleźć rozwiązanie.

Właściwie potrzebował tylko szpadla. I nawet wiedział, gdzie go znaleźć. Pognał więc w stronę domu. Odgłos wystrzału chyba nikogo nie zbudził. We wszystkich oknach nadal było ciemno.

Naraz pole herbaty wydało mu się nieprzyjaznym miejscem. Cienie wokół przynosiły mu pełne wyrzutu szeptu, wiatr zaś zawodził żalobną pieśń o życiu, które odebrał. Nawet kiedy owinał ciało zabitego w prześcieradło, wciąż prześladowało go spojrzenie jego oczu.

Kopał potem, czując się tak, jakby zmarły wciąż na niego patrzył i szeptał: „Zabrałeś mi ojca, moją miłość, moje życie. Czy wiesz, jaka kara cię za to czeka?”

- Nie będzie kary - mamrotał. - Nikt się o tym nie dowie. Wszyscy dadzą wiarę temu, co powie twój pan.

Kiedy dół był już dostatecznie głęboki, wyprostował się i zdjął koszulę klejącą mu się od potu do ciała. Poczul na plecach przyjemny

chłód. Zaraz będzie po wszystkim. „Nie martw się. Jutro twój pan cię za to nagrodzi”. Chwycił więc zabitego za nogi i przyciągnął go na skraj dołu. Przy okazji przykrywające go prześcieradło zsunęło się z jego twarzy. Martwe oczy spoglądały wprost na niego. Przez moment miał wrażenie, że widzi przed sobą twarz Richarda Tremayne'a spoczywającego na skale. Przerażony zepchnął więc zmarłego kopniakiem do dołu. Oprócz głuchego odgłosu upadającego ciała wydało mu się, że dosłyszał stęknięcie. Jeszcze

żyje? Ogarnęła go trwoga. Nie chciał ryzykować jeszcze jednego wystrzału.

Trzeba go zakopać. Wtedy nie będzie już mowy o żadnych stęknieniach. Sięgnął więc pośpiesznie po łopatę i gorączkowymi ruchami zaczął zasypywać dół.

To się zaczęło jeszcze tej samej nocy. Głos zabitego, jego skargi i groźby wróciły, kiedy położył się do łóżka obok żony. Spała już od dawna, a on wołał, by o nic go nie pytała, więc jej nie zbudził.

Kiedy zamknął oczy, zobaczył twarz Vikramy. Malujące się na niej zaskoczenie, kiedy został trafiony, i gasnące światło w jego oczach.

Potem zaś zobaczył twarz Richarda, tuż przed upadkiem ze skały - również zaskoczona i pełną wyrzutu.

- Musiałem to zrobić - wyszeptał. - Nie rozumiecie? Musiałem to zrobić.

Głosy nie dawały mu jednak spokoju. Szeptały mu wciąż o tym, o czym nie chciał słyszeć. O skrywanych pragnieniach, o ciemnych plamach na jego duszy i mrocznych wspomnieniach. Nie dały mu zmrużyć oka przez całą noc. Potem zaś nastał poranek i nadszedł czas, by powiedzieć swojemu pracodawcy, co się stało. Z całą pewnością słyszał wystrzał i może nawet domyślał się, że już po problemie.

Kiedy parę godzin później siedział w jego gabinecie, głosy w jego głowie odrobinę ucichły, jak gdyby chciały usłyszeć, co do powiedzenia ma Henry Tremayne. Nakazywały mu przy tym, by

wyznał, że dopuścił się zabójstwa jego brata. Że zabił go, kierując się głębokim przekonaniem, że to niedopuszczalne, aby któregoś dnia stery plantacji przejął jego syn. Majątek musi pozostać w angielskich rękach. Musi. Światopogląd Cahilla nie przyjmował żadnej innej możliwości.

- Tak, załatwione. - Wyjął z kieszeni marynarki chusteczkę i otarł zroszone potem czoło. - Zagrzebałem go na nowym polu. To było łatwiejsze, niż sądziłem - zaśmiał się niepewnie.

- I nikt cię nie widział?

- Nikt, sir. Spodziewałem się, że wystrzał wszystkich pobudzi, ale tak się nie stało.

Tremayne pokiwał głową z zadowoleniem.

- Dobra robota, Cahill. Moja córka już pewnie dotarła do Anglii.

Jakoś załatwimy i tę sprawę. A pan znów może wrócić do swoich obowiązków zarządcy.

- Ogromnie dziękuję, sir. To bardzo wspaniałomyślnie z pana strony.

Cahill nie spodziewał się jednak, że nie będzie się długo cieszył

odzyskaną posiadłość. Już dwa tygodnie później przegrał bowiem walkę z głosami w swojej głowie. Nie pomogło, że nękany wyrzutami sumienia przelał na papier wszystkie swoje straszliwe czyny. Takie zadośćuczynienie nie wystarczyło duchom zmarłych.

Któregoś dnia, kompletnie nagi, wypadł z krzykiem na podwórze, przerażając tym zarówno zbieraczki, jak i szacowną małżonkę. Po gruntownych oględzinach doktora Desmonda odesłano go do zakładu dla obłąkanych w Kolombo. Tam, skrzepowany kaftanem bezpieczeństwa i zamknięty w mrocznej celi, do której prawie nie docierało światło dzienne, został wydany całkowicie na pastwę wyrzutów i złorzeczeń swoich ofiar. Regularne zastrzyki z morfiny, pomyślane jako kuracja w takich przypadkach, jeszcze wzmocniły jego przypadłość. Nie pozostało mu nic innego, jak się jej poddać i całkowicie postradać zmysły.

**18.**

### **Vannattuppucci Tea Company, 2008**

Diana, trochę zaspana, spojrzała w lustro. Lektura zapisków Cahilla zajęła jej niemal całą noc. Choć udało jej się potem przespać kilka godzin, mimo to była wykończona i czuła się fatalnie po odkryciu tej zbrodni, której nikt już nie mógł odkupić. W trakcie czytania, w obliczu tak rażącej niesprawiedliwości, wybuchła nawet płaczem. Na szczęście Jonathan był tuż obok. Przytulił ją mocno i ukołysał, dał siłę, by czytać dalej.

Jej zdaniem sprawiedliwości stało się zadość, kiedy wyrzuty sumienia wpędziły Cahilla w obłąd. Żałowała nawet, że podobny los nie spotkał

Henry ego. Choć z drugiej strony i jego, choć sobie tego nie uświadamiał, dosięgła kara. Jego ród, istniejący od wieków, zaczął

zanikać. Podobnie jak nazwisko z braku męskich potomków.

Przetrwała jedynie gałąź, której najchętniej sam by się pozbył. Może rzeczywiście istnieje coś takiego jak karma?

Na śniadaniu zastali Manderleya, który wprawdzie patrzył na nich wyczekująco, był jednak zbyt nieśmiały, by od razu zapytać o to, co leżało mu na sercu.

- Dobrze pani spała? Diana pokręciła głową.

- Nie, ale to nic. Spać nie dały mi zapiski, które dostałam od pana.

Wiem już, co się stało z moją praprababką.

- Aha... - Dyrektor ścisnął nerwowo dłonie. Naraz ten pewny siebie mężczyzna zamienił się w małego chłopca czekającego na karę.

- Ten zeszyt zawiera naprawdę mocne rzeczy. - Choć Manderley o to nie zapytał, Diana czuła, że bardzo chce wiedzieć, co takiego uczynił jego przodek.

- Cahill zabił mojego prapradziadka i pogrzebał go na polu herbaty - wyjawiała mu więc. - Potem zaczęły go jednak nawiedzać głosy i to one zawiiodły go do zakładu dla obłąkanych w Kolombo. Ten przytułek jest wymieniany w moim starym przewodniku jako ciekawostka.

- Ludzie mieli kiedyś inne poglądy - odpowiedział zmieszany Manderley, choć widać było, że poczuł też ulgę. - Myślałem już o tym, że mój przodek mógł dopuścić się morderstwa. Inaczej nie przemilczano by jego nazwiska. W naszym drzewie genealogicznym zostało ono przekreślone. Ktoś pewnie przeczytał jego wyznania, może jego żona, ale było już za późno na śledztwo. O ile pamiętam, Cahill zmarł dwa miesiące po umieszczeniu go w zakładzie. Połknął własny język.

- Okropność - wyszeptała Diana, wyobrażając sobie, jak mogły wyglądać ostatnie godziny tego człowieka. Była zbyt wielkoduszna, by życzyć mu takiego losu. Choć kto wie...

- Bardzo mi przykro z powodu pani przodka - odezwał się przygnębiony Manderley. - Zawsze czułem, że na naszej rodzinie ciąży jakieś mroczne brzemie. Że istnieje jakiś powód, dla którego nie możemy się uwolnić od tego miejsca.

- Nie sądzę. Minęło już wiele czasu, a pańska rodzina nie ma przecież nic wspólnego z czynami swojego przodka. A gdyby naprawdę istniało jakieś brzemie, to teraz, dzięki panu, zostało zrzuczone, bo pozwolił mi pan poznać tamte wydarzenia.

Manderley skinął głową, po czym odwrócił się w stronę ekspresu do kawy.

Diana po południu zajęła się pakowaniem, mając poczucie, że posiada już wszystkie informacje potrzebne do rekonstrukcji wydarzeń. Potem sięgnęła po list. Nie spodziewała się już po nim żadnych niespodzianek, mimo to poszła z nim do pokoju Jonathana, by razem z nim poznać ostatni element wielkiej mozaiki.

- To już koniec - oznajmiła, kiedy podniósł oczy znad swojego bagażu. - Żegnamy się z Vannattuppucci, więc możemy go otworzyć.

Wziął ją za rękę i posadził na skraju łóżka. Odetchnęła głęboko, następnie złamała pieczęć i rozłożyła list.

*Mój szanowny domu,  
minęło dwadzieścia lat, odkąd moja rodzina zjawiała się w  
Vannattuppucci, zajmując twoje pokoje i próbując napęłnić je  
życiem. Opuszczam teraz to miejsce jako szczęśliwa żona i matka  
mojej małej Deidre, która zdążyła już skończyć dwanaście lat. Ktoś  
musi się zatroszczyć o Tremayne House, zanim całkiem popadnie w  
ruinę. Ponieważ moja siostra została przez naszego ojca pozbawiona  
praw do spadku, czuję się zmuszona wrócić do Anglii wraz z Noel i  
Deidre i przejąć tamtejsze obowiązki.*

*Nim jednak stąd wyjadę, muszę jeszcze napisać o czymś, co leży mi  
na sercu. O tajemnicy, która nigdy nie powinna wyjść na jaw i którą  
mogę co najwyżej powierzyć tobie. Nie chcę jej zabierać do Anglii.  
Wolę pozostawić ją na tym miejscu, gdzie okryłam się winą.  
Czasami obrazy z przeszłości wracają do mnie, jak gdyby to wszystko  
zdarzyło się wczoraj. Niekiedy wydaje mi się także, że słyszę głos  
Grace albo widzę ją, jak spaceruje po parku. Wtedy do*

*oczu cisnę mi się łzy, bo wspomnienie tamtych szczęśliwych dni jest*



## dla mnie zbyt bolesne.

*Wszystko zmieniło się tamtego dnia, kiedy Grace zasłabła, a lekarz stwierdził, że jest w ciąży. Rodzice zachodzili w głowę, kto może być ojcem, bo Grace milczała i patrzyła tylko w sufit, kiedy ktoś ją o to pytał.*

*Jednak prawda zawsze wychodzi na jaw.*

*Chodziła plotka, że panna Giles podsunęła mojemu ojcu tajne zapiski Grace, które rzekomo znalazła u mnie. To nieprawda.*

*Pragnąc zdjąć ten ciężar z duszy biednej panny Giles, wyznaję, że to ja sama dałam ojcu ten zeszyt. Ale nie chciałam zaszkodzić Grace.*

*Chodziło mi raczej o uświadomienie papie, co skłoniło ją do tego kroku, do tej miłości, o której wiedziałam już od pewnego czasu.*

*Miałam nadzieję, to zrozumie, że okaże jej wyrozumiałość, nawet jeśli gniewał się, że Grace nie chce wskazać ojca dziecka.*

*Koniec końców moje dobre zamiary doprowadziły do prawdziwego nieszczęścia. Wszystko legło w gruzach, a ja prawdopodobnie na zawsze straciłam siostrę.*

*Grace nie odpowiedziała na mój list, w którym informowałam ją, że Vikrama do niej przyjedzie. Podobnie jak na wiele pozostałych, w których błagałam ją o wybaczenie i oferowałam pomoc. Odnalazłam ją w jakimś niemieckim miasteczku. Dowiedziałam się, że wyszła za mąż i urodziła córeczkę. Nadal jednak nie odpowiada na moje listy. Jeżeli w ogóle dowiedziała się, że Vikrama chciał do niej przyjechać...*

*Chyba nie będę jej umiała na to odpowiedzieć, bo piękny Tamil któregoś dnia zniknął bez śladu. Przypuszczam, że nie żyje, bo zaraz po tym zniknięciu zaprzestano jego poszukiwań i do Nuwara Eliya wrócił spokój. Prawdopodobnie zwietrył go któryś z pomagierów Stocktona i zadbał, by zniknął raz na zawsze. Niestety nic bardziej pocieszającego nie przychodzi mi do głowy.*

*Już czas, powóz zajechał przed dom. Pozostawiam ten list w miejscu, w którym Grace wyglądała zawsze za swoim ukochanym,*

*a które ja na pamiątkę ozdobiłam symbolem naszej plantacji, czyli*

## wizerunkiem motyla.

*Żegnaj Vannattuppucci, będzie mi ciebie brakowało!*  
*Twoja Victoria Princeton, z d. Tremayne*

Kiedy skończyła czytać, zapadła długa cisza. Ani Diana, ani Jonathan nie wiedzieli, co powiedzieć. Siedzieli więc na łóżku wsłuchani w szum drzew przypominający jakieś odległe szepty z przeszłości.

- A więc to Victoria zdradziła siostrę - odezwał się w końcu Jonathan.  
Diana pokiwała głową.

- Można tak powiedzieć. I tym listem chciała zrzucić z siebie tę winę.  
Winę, o której Grace nie wiedziała.

Jonathan otoczył ją ramieniem.

- Masz już wszystkie elementy. Zagadka rozwiązana.

- Nie do końca - powiedziała Diana. - Jest jeszcze ten liść palmowy.

Chociaż nie jestem już wcale pewna, czy chcę poznać jego treść. Po co mi jeszcze ta przepowiednia, skoro znam już rodzinną historię.

- Mogłabyś sprawdzić, czy wszystko się zgadza. Na wypadek, gdybyś sama chciała kiedyś otrzymać podobny horoskop.

Diana przytuliła się do jego ramienia.

- Czy naprawdę chcę wiedzieć, co mnie czeka? Kiedy doznam porażki, a kiedy osiągnę sukces? A gdzie miejsce na zaskoczenie?

- Myślę, że te horoskopy to raczej pewne życiowe wskazówki -

odpowiedział Jonathan. - Ludzie mogą zmieniać drogi, którymi podążają. Zwłaszcza wtedy, kiedy rozpoznają, gdzie popełnili błąd.

- A nie sądzisz, że nasze przeznaczenie spełnia się właśnie poprzez nasze próby, by je zmienić?

- To jest jakiś argument. - Musnął policzkiem jej włosy. - Wiesz, zaczyna mi się podobać, że łączy nas więcej, niż z początku myśleliśmy.

- Nasze tamilskie dziedzictwo.

- Właśnie. Kto wie, może któryś z moich przodków nawet znał twój. W końcu indyjscy Tamilowie, których sprowadzili tu Brytyjczycy, mieszkali w jednym regionie Cejlonu. Może nawet przyplłynęli na tym samym statku?

- No to mam nadzieję, że nie jesteśmy przynajmniej tak blisko spokrewnieni jak Grace i Vikrama. - Diana poczuła się jeszcze bardziej nieswojo. Niech koronowane głowy łączą się ze swoimi nawet bliskimi kuzynami. Ona jednak już nie mogła sobie wyobrazić małżeństwa w obrębie jednej rodziny.

- Nie, na pewno nie jesteśmy. - Jonathan wziął jej dłoń i pocałował.

Wyjechali z Vannattuppucci godzinę później, podziękowawszy Manderleyowi i obiecawszy mu przysłać streszczenie wszystkich wydarzeń, by mógł umieścić je w kronice plantacji.

Kierowca czekał już na nich przed bramą, następnie zawiózł ich w zawrotnym tempie z powrotem na stację, na której wysiedli ponad tydzień temu. Potem, kiedy przepelniony pociąg toczył się już w kierunku Kolombo, Diana patrzyła z nostalgią na wzgórze Nuwara Eliya. Wiedząc, że to stąd wywodzą się częściowo jej korzenie, trudno jej było tak po prostu wyjechać. „Jeszcze tu wrócę - obiecała sobie w myślach. - Pewnego dnia”.

Kiedy tym razem dotarli z powrotem do wioski, nie natknęli się na żadną uroczystość. Pośród chat na plaży panowała cisza. Jedyne na piasku dokazywała gromadka dzieci, goniąc małego, brązowego psiaka, który z wywieszonym językiem usiłował umknąć swoim małym prześladowcom.

„Ciekawe, czy pan Vijita już wrócił”, zastanawiała się lekko przygnębiona Diana i wyjęła z plecaka tubę. Otwierając ją, czuła mrowienie. Co jeszcze może jej zdradzić ten liść? Na przykład czy przepowiednia dotyczy Grace, czy Vikramy? Albo czy spełniła się tak, jak to zostało spisane przeszło tysiąc lat temu?

Jonathan poszedł się rozejrzeć i wrócił wkrótce biegiem.

- Mamy szczęście! Jest już w domu. Wprawdzie nie do końca wyzdrowiał, ale jego syn pozwolił nam z nim porozmawiać.

Chata staruszka, choć nadzwyczaj solidna, w oczach Europejczyka przypominała slumsy. Stało w niej proste łóżko, mały stolik o krzywych nogach, dwa krzesła w nie lepszym stanie i komoda, w której gospodarz trzymał zapewne cały swój dobytek, składający się z paru ubrań i pamiątek. On sam siedział teraz na łóżku, ubrany w koszulę i tradycyjny sarong. Na stopach miał sandały. Przywitał ich bezzębnym uśmiechem i przyjrząwszy się uważnie Dianie, dał gościom znak, by usiedli.

Mówił tylko po tamilsku i syngalesku, więc rozmowę prowadził

Jonathan, który wręczył mu też liść palmowy. Staruszek, spojrzawszy na

liść, zmarszczył czoło i rzucił kilka szybkich słów.

- Co powiedział? - szepnęła Diana. - Zdoła coś odczytać?

- Myślę, że tak - odparł Jonathan przytłumionym głosem. - Twierdzi, że twój liść nie pochodzi z biblioteki.

- Tak? - Uniosła brwi. - Ale...

- On mówi, że to horoskop na wesele. Panuje tu zwyczaj, żeby przed ślubem porównać ze sobą horoskopy pana i panny młodej. Dzięki temu można uniknąć nieszczęśliwych związków.

Staruszek znów odezwał się z charakterystycznym staccato. Jonathan coś mu odpowiedział, następnie obaj wdali się w dłuższą dyskusję.

„Może powinnam była nauczyć się paru zwrotów - pomyślała Diana. - Jak kiedyś Grace”.

Wreszcie Jonathan oznajmił:

- Jest pewien, że to horoskop weselny.

- Ale Grace opowiadała o liściu palmowym, który zapowiadał rodzinną katastrofę.

- W takim razie musiał to być ten, z którego zrobiono odpis.

Tamilowie używali liści palmowych jako papieru do pisania. Dlatego przepowiednia dla R. Vikramy także została spisana na takim liściu.

- A więc to horoskop weselny Vikramy?

- Tak. Prawdopodobnie chciał go z sobą zabrać, żeby ożenić się z Grace w Anglii. Jeżeli pan Vijita ma rację, ten liść ma najwyżej sto dwadzieścia lat.

Pierwsze, co przyszło teraz Dianie do głowy, to myśl, że Michael, poznawszy wyniki analizy, pewnie bardzo się tym faktem zdziwi.

Uświadomiła sobie przy okazji, że od czasu przyjazdu do Vannattuppucci ani razu nie przejrzała e-maili.

- Szkoda - powiedziała lekko zawiedziona. - Szkoda, że nie udało mu się jej poślubić.

- To prawda. - Jonathan myślał o czymś przez chwilę, po czym dodał: - Jednak z drugiej strony cieszę się, że wszystko tak się ułożyło.

- Dlaczego?

- Jak potoczyłoby się wasze życie, gdyby Vikrama poślubił twoją praprababkę? Nasze drogi na pewno by się nie zeszły, bo nie musiałybyś szukać klucza do rodzinnej zagadki. Byłaby to wielka szkoda.

Już następnego dnia, przenocowawszy w mieszkaniu Jonathana, Diana odleciała do domu. Jonathan, chcąc побыć z nią jeszcze trochę, odprowadził

ją na lotnisko. Przegadali wcześniej całą noc. O przeszłości, teraźniejszości i przyszłości.

Diana czuła się lekko otumaniona, ale szczęśliwa. Nareszcie rozwiązała zagadkę Tremayne'ów. Spełniła wolę Emmely i mogła żyć dalej, mając świadomość swojego niecodziennego pochodzenia.

Podczas rozstania była bardzo rozdarta.

- Będę za tobą tęsknić. Za tobą i za Sri Lanką.

- Za swoją ojczyzną, jak by nie było.

- Tak, po części za moją ojczyzną.

- Wkrótce zobaczymy się znowu - powiedział Jonathan i pocałował ją namiętnie. - Uporządkuj swoje sprawy, a ja postaram się szybko skończyć książkę. Potem zobaczymy, co z nami będzie.

Tulili się do siebie jeszcze przez chwilę, po czym Diana musiała już iść. Pomachała mu tylko zza barierki i szybko odwróciła głowę, żeby nie widział jej łez.

Podczas lotu ponownie przejrzała wszystkie zebrane papiery, które pan Manderley udostępnił jej w postaci kopii. Pan Green bardzo się zdziwił!

Po wylądowaniu w Berlinie podjęła decyzję. Pojedzie na jakiś czas do Anglii i zajmie się nie tylko uporządkowaniem rodzinnej historii, ale spróbuje też wyspecjalizować się w angielskim prawie. W czasie jej nieobecności Eva dowiodła, że świetnie sobie radzi w kancelarii sama.

Po tym, jak zasłona rodzinnych tajemnic opadła, pora zacząć nowe życie.

Na szczęście Philippa nie było w domu. W zamyśleniu spojrzała na fasadę budynku. Fasadę, za którą krył się upadek jej małżeństwa.

Koniec z tym. Mimo że przywiązała się już do tego domu, nie chciała tu dłużej zostawać. W ciągu ostatnich dwóch tygodni wpuściła tyle światła do mrocznych rodzinnych dziejów, że sama również nie chciała nadal tkwić w mroku.

Zadzwoiła więc do kolegi specjalizującego się w prawie rodzinnym i umówiła się na spotkanie. Na szczęście mogła się z nim zobaczyć już następnego dnia. Następnie zatelefonowała do Evy i zapowiedziała się na popołudnie.

Kiedy weszła do sypialni, żeby się przebrać, stanęła jak wryta. Na kołdrze leżały majtki. Nic nadzwyczajnego, zwyczajne bladezielone figi z koronką, w rozmiarze S, jak oceniła. Nie przypuszczała, by Philipp zaczął nosić damską bieliznę, zatem ów drobiazg musiał

należęć do jego dziewczyny.

Kilka tygodni temu taki widok przyprawiłby ją o atak furii. Teraz tylko się uśmiechnęła, jeszcze bardziej utwierdzona w przekonaniu o słuszności swoich decyzji. Następnie zabrała się do opróżniania szafy, pakując do walizki rzeczy, które chciała zatrzymać. Cała reszta powędrowała do worka na śmieci, który później

w drodze do hotelu zamierzała wrzucić do kontenera Czerwonego Krzyża. Kiedy już walizka i worek znalazły się w bagażniku jej mini coopera, poszła do gabinetu. Philipp odłożył dla niej parę listów na biurku. Jakies rachunki i reklamy, pocztówka i oferta podróży do Indii.

Wszystko trafiło od razu do kosza. Nigdy nie lubiła gromadzić bibelotów, z czego teraz bardzo się cieszyła. Do dwóch wielkich pudeł

schowała skoroszyty, książki i przybory do pisania. Spakowała też rachunki. Niech Philipp nie ma potem pretekstu do narzekań, że musi je za nią płacić.

Na koniec usiadła przy biurku i napisała do niego list, w którym wyjaśniła, że czas się rozstać. Dla niego i dla niej. Nie opowiedziała o swojej rodzinnej historii, wspomniała jednak, że odkrywszy rodzinne tajemnice, chce zacząć wszystko od początku. Potem, życząc mu jeszcze szczęścia, podpisała się i włożyła list do koperty, którą zaniósła do jego gabinetu.

Kiedy zносиła na dół pierwsze pudło, zadzwonił telefon. Chciała go zignorować, ale dzwonił dalej uparcie, więc odebrała. Usłyszawszy głos pana Greena, wiedziała, że dobrze zrobiła.

- Mam nadzieję, że dotarła pani szczęśliwie do Niemiec.

- Dziękuję, Mr Green. Nawet bardzo szczęśliwie. Kiedy się zobaczymy, będę miała panu mnóstwo do opowiedzenia. A pan mnóstwo do wyjaśnienia.

Nie widziała jego twarzy, lecz była pewna, że się uśmiechnął.

- Moja ciotka we wszystko pana wtajemniczyła, prawda? To pan porozmieszczał wszystkie wskazówki tak, żebym się na nie natknęła.

- Jak się pani domyśliła?

- W hotelu Hills Club dostałam od pana e-mail ze zdjęciem, którego nie znał nikt z mojej rodziny. Było zagadką, gdzie znajduje się grób Grace. Ktoś musiał więc podrzucić Emmely to zdjęcie, albo moja babka miała je w swoich rzeczach. Moja mama nic nie wiedziała o cmentarzu, na którym była pochowana Grace, a Emmely pewnie dobrze strzegła tej informacji. No i później wtajemniczyła pana.

Po drugiej stronie panowała cisza. Pewnie dalej się uśmiechał.

- Muszę przyznać, że ukrycie listu pod sarkofagiem to był majstersztyk. Ale od tamtego czasu zaczęłam coś podejrzewać. Nikt przecież nie zostawiłby takiego listu w krypcie.

- Gratuluję. Dorównuje pani samemu Sherlockowi Holmesowi.

Diana uśmiechnęła się, przypomniawszy sobie, że Jonathan też ją tak nazwał. Ciekawe, co teraz robi? Czy o niej myśli? Czy tęskni?

- Nie dzwonię tylko po to, żeby zapytać o pani samopoczucie. Zjawił się tu pewien dżentelmen, który chciałby z panią pomówić.

Powiedziałem mu, że tu pani nie ma, on jednak uparł się, żebym do pani zatelefonował, bo ma pani coś ważnego do powiedzenia.

Diana, wiedzioną przeczuciem, zadrżała.

- Dziękuję, Mr Green. Proszę mu podać słuchawkę.

Kiedy usłyszała głos Jonathana, zrobiło jej się najpierw zimno, a potem gorąco. Co on robi w Anglii? Przecież zamierzał skończyć książkę!

- Muszę przyznać, że to zacna rezydencja. Choć przydałby się remont. Nie sądzisz?

Diana przez chwilę nie mogła złapać tchu.

- Rzeczywiście, planuję wyjechać na jakiś czas do Anglii. W biurze wszystko gra, a ja nie mam już ochoty szarpać się dalej z Philipem.

On dostanie mieszkanie w Berlinie, ja wezmę Tremayne House.

- Zatem sprawa z rozwodem jest już pewna?

- Przynajmniej dla mnie. Jeszcze dziś przekażę odpowiednie papiery mojemu adwokatowi. - O majtkach na pościeli wołała nie wspominać.

- Potem rozmówię się z moją partnerką z kancelarii. Jeszcze nie wiem, czy sprzedam swoje udziały, czy zatrzymam je jako cichy udziałowiec.

W każdym razie zamierzam zapisać się na studia w Anglii.

- Chcesz zacząć wszystko od nowa?

Diana popatrzyła w zamyśleniu na białą tasiemkę na nadgarstku, którą dostała jako talizman podczas wesela w tamilskiej wiosce. Sporo wytrzymała i nadal ciasno opasywała jej rękę.

- Na Sri Lance wciąż miałam wrażenie, że oprócz rodzinnych korzeni poszukuję też samej siebie. I myślę, że się odnalazłam. Poza tym nowy początek bywa ekscytujący, nie sądzisz?

- A czy w twoim nowym życiu przewidziałaś może współlo-katora w Tremayne House?

Jej serce zabiło tak głośno, że aż się przestraszyła, że od tego ogłuchnie.

- Co powiedziałaś?

- Powiedzmy, że ja również planuję zatrzymać się jakiś czas w Anglii, bo książkę mogę skończyć i tutaj. A przy okazji mógłbym zaproponować jej wydanie któremuś z tutejszych wydawnictw. Czy byłaby możliwość, żebyś mnie u siebie przechowała?

Z największym trudem powstrzymała się, żeby nie krzyknąć jak nastolatka. Aby przywołać się do porządku, ugryzła się w rękę, po czym odpowiedziała:

- Wydaje mi się, że mamy jakiś wolny pokój. Przekażę panu Greenowi, żeby go przygotował.

Trzy dni później Jonathan odebrał ją z Heathrow. Diana zdążyła w międzyczasie powyjaśniać najważniejsze sprawy i mogła już bez przeszkód zacząć nowe życie.

- Tak bardzo za tobą tęskniłam - wyszeptała mu do ucha, kiedy skończyli namiętnie się całować.

- Ależ to było tylko kilka dni - odparł z szelmowskim błyskiem w oku.

- To była cała wieczność! - zaprotestowała, po czym wtuliła się w niego.

Kiedy potem usiedli w kuchni, pan Green nie mógł sobie odmówić, by nie podać do herbaty swojego ciasta. Na długim, noszącym blizny po nożu blacie stołu rozłożyli rezultaty poszukiwań.

- Proszę usiąść, Mr Green - powiedziała Diana po tym, jak kamerdyner przez dłuższą chwilę krzątał się jeszcze po kuchni.

Oczywiście nigdy nie przyznałby się, jak bardzo jest ciekaw ich opowieści.

- Ma pan swój niebagatelny udział w tym przedsięwzięciu. Powinien więc pan teraz wszystkiego się dowiedzieć.

Kamerdyner posłuchał zatem jej prośby. Następnie oboje z Jonathanem zdali mu relację z wszystkich strasznych i zaskakujących odkryć. Green słuchał ich z obojętną miną, jakby od dawna o tym wiedział, kiedy jednak przyszła kolej na zapiski Cahilla, zmarszczył czoło.

- Zastanawiam się, ile z tego było wiadome pani Woodhouse.

Wiedziała, że jej matka mieszkała na plantacji do dwunastego roku życia. Kiedy wtajemniczyła mnie w całą sprawę, wspomniała o sekrecie związanym z jej cioteczną babką Grace, o jakichś wydarzeniach na Cejlonie - przerwał



na chwilę i upił łyk herbaty. -

Ciekawe też, czy lady Deidre celowo zabrała swoją wiedzę do grobu.

Nie sądzę, by lady Victoria nie wspomniała swojej córce o Grace i jej nieślubnym dziecku.

- Nie każdy wyjawia swoje tajemnice, nawet na łożu śmierci -zauważył z zadumą Jonathan. - Czasami nie chcemy, żeby jakieś fakty wyszły na jaw, bo mogłyby zaszkodzić rodzinie lub któremuś z jej członków.

- Poza tym obowiązek odkrycia prawdy nie spoczywał na Emmely, bo ona nie była ostatnim z potomków rodu Tremayne'ow - dodała Diana. - Choć jestem pewna, że jakoś by ją zniosła. Emmely była silną kobietą.

- W rzeczy samej.

Na samo wspomnienie o Emmely twarz Diany rozjaśniła się w uśmiechu.

- Myślę, że to jeszcze nie wszystko - oświadczył kamerdyner, po czym wstał i wyszedł z kuchni.

Diana posłała Jonathanowi długie spojrzenie.

- Czy to możliwe, że ma coś jeszcze w zanadrzu?

- Niewykluczone. Do tej pory znakomicie dozował kolejne wskazówki.

Pan Green zjawił się po chwili, trzymając w ręku brązową kopertę i objaśnił:

- Oprócz tego zdjęcia, które wysłałem pani w e-mailu, są jeszcze dwa.

Ponieważ nie otrzymałem wtedy żadnej odpowiedzi, uznałem, że jest pani zajęta czym innym.

- Mogliśmy też na przykład zostać porwani.

- O tym usłyszałbym w telewizji. Tak czy inaczej nie martwiłem się.

Zresztą już nie raz dowiodła pani, że potrafi o siebie zadbać -

powiedział i z uśmiechem wyciągnął z koperty dwie czarno-białe fotografie.

Na jednej widniał nagrobek. Druga zaś przedstawiała obraz z Victorią i Grace w wieku dziecięcym. Diana popatrzyła na kamerdynera pytającym wzrokiem.

- Czy pan wie, co to oznacza? Green pokręcił głową.

- Nie, skąd miałbym to wiedzieć? Pani ciotka nie zdradziła mi żadnych szczegółów. Dała mi do ręki jedynie tych kilka tropów i nakazała stopniowo je odkrywać. Pozwoli pani jednak, że coś zauważę.

Ponieważ ten grób nie znajduje się w Anglii, powinna pani zacząć od obrazu.

- Mam go zdjąć ze ściany? - popatrzyła na Jonathana, który siedział z miną niewiniątka.

- Dlaczego nie? Może ten kawałek ściany pod nim potrzebuje trochę dziennego światła.

Z bijącym sercem opuściła kuchnię, a w ślad za nią ruszyli Jonathan i pan Green. Kiedy stanęła przed obrazem z intymną sceną z życia dziewczynek i ich matki, ręce trzęsły się jej tak bardzo, że niemal zwątpiła, czy będzie w stanie w ogóle go dotknąć. Co pod nim znajdzie? Kolejne zapiski? Zawahała się. Co tym razem ujrzy światło dzienne?

„Nie bój się, Diano. To tylko prawda, która czeka na odkrycie”, usłyszała w głowie szept ciotki. A potem, jak gdyby wspomagały

ją czyjeś ręce - ręce Grace, Victorii i Emmely - położyła palce na ciężkiej ramie i dźwignęła cały obraz do góry.

Jako pierwszy wypadł spod niego wycinek ze starej gazety. Pod wpływem czasu papier gazetowy stał się tak cienki, że poszybował na ziemię lekko niczym piórko. Jonathan podniósł go i odczytał: „»Calypso« w niebezpieczeństwie - niemiecki frachtowiec zdąża na pomoc angielskiemu statkowi pocztowemu”.

- „Calypso”? - zapytała Diana. Ta nazwa brzmiała znajomo. Czy nie tak nazywał się statek, o którym Cahill wspominał w swoich zapiskach? Musi do nich zajrzeć.

Potem, kiedy z pomocą Jonathana odwróciła obraz, odkryła jeszcze zatkniętą za blejtram białą kartkę, a właściwie kawałek białego brystolu, jaki jeszcze dziś wykorzystuje się przy akwafortach czy pastelach.

Czując dokładnie krew krążącą w każdym zakątku jej ciała, odwróciła kartkę, po czym zakryła twarz dłonią.

- To twarz tego anioła!

Niezwykłe realistyczny rysunek opatrzony był sygnaturą z tym samym motylem, którego odkryli wcześniej na oknie w Vannattuppucci. Obok widniały inicjały V.T.

- Narysowała go Victoria, ale skąd...

Nagle pociemniało jej w oczach. Ten rysunek nie został oparty na wizerunku anioła. Było odwrotnie - to anioł powstał na podstawie tego szkicu.

- Czy to możliwe, że to... Vikrama?

Obejrzała się na Jonathana uważnie studiującego obrazek.

- Niewykluczone. Ta twarz ma indyjskie rysy.

- Tylko że tu on ma brodę, a anioł...
- Nie widziałem dotąd brodatego anioła! - wtrącił się pan Green. - Przypuszczam, że pani Woodhouse pozwoliła sobie go ogolić.
- A zatem Vikrama czuwa nad Beatrice?
- To piękna wizja, prawda?
- Tak, piękna.

## **EPILOG**

### **Polska, 2009**

Odszukanie cmentarza, na którym mógł znajdować się grób, zajęło im trochę czasu. Pierwsza fotografia, przesłana e-mailem przez pana Greena, okazała się niezbyt pomocna. Wojna i sześć kolejnych dziesięcioleci bardzo zmieniły całe otoczenie. Wiejski cmentarzyk niemal całkowicie popadł w niebyt. Po odejściu stąd Niemców miejscowi dali upust swojemu gniewowi za to, czego dopuszczały się tu hitlerowskie oddziały. Wieś przestała istnieć, na szczęście nagrobki pozostawiono nietknięte. Albo z przesądów, albo w przeświadczeniu, że zmarli nie będą już stawiać żadnych żądań.

Wzrok Diany poszybował ponad bramą wejściową, której furta musiała zniknąć już dawno temu, o czym świadczyła rdza na zawiasach. Jej filary wznosiły się w górę niczym dwa palce jakiegoś olbrzyma. Nikt nie dbał też o otaczający cmentarz żywopłot, który zdziczał i rozrósł się niczym baśniowe krzewy wokół zamku Śpiącej Królowy.

Krzyż stał trochę krzywo nad częściowo zapadniętym grobem. Po wielu latach pod ziemią trumna musiała się poddać.

Diana zatrzymała się na pokrytej suchymi liśćmi ścieżce i wyciągnęła rękę za siebie, gdzie podążał za nią Jonathan. Natychmiast poczuła uścisk jego cieplej i mocnej dłoni.

Drugie zdjęcie przedstawiające grób było zbyt niewyraźne, by można było rozpoznać jakiegokolwiek szczegóły. Dostrzegalny był tylko jeden -

na środku płyty nagrobnej widniał medalion. Połyskiwał teraz nadal pomimo upływu czasu pośród bluszczu, jakby wołał, by go nareszcie odnaleźć. Kiedy Diana odgarnęła pędy bluszczu, zastygła najpierw w bezruchu, po czym przechyliwszy głowę, przeczytała na głos:

***Tu spoczywają w pokoju***

***Kapitan marynarki Friedrich Sodermann i lipca 1860-4 maja 1918***

*V. Grace Sodermann z domu Tremayne 25 grudnia 1868-19*

## grudnia 1931

- V? - zdziwiła się potem.

- V - powtórzył z niedowierzaniem Jonathan. - Zdumiewające.

- Co takiego?

- Na Sri Lance jest zwyczaj, by przed swoim imieniem nosić pierwszą literę od imienia ojca. A w wypadku kobiet po ślubie imię ojca zastępuje imię męża.

Diana poczuła, jak krew uderza jej do głowy. Serce zaczęło walić jak oszalałe, a w ustach całkiem jej zaschło.

- Została żoną Vikramy?

- Sądząc po tym napisie, tak - odparł Jonathan. - A przynajmniej musiała czuć się jego żoną. No i znać ten zwyczaj.

Diana przykucnęła i przez kilka następnych minut wpatrywała się w dal.

A więc Grace poślubiła Vikramę - zgodnie z tamilskim prawem i obyczajem. Czy jej niemiecki mąż o tym wiedział? A jeżeli tak, to jak żył ze świadomością, że zawsze będzie na drugim miejscu? Jak sobie radził, wiedząc, że Grace przez cały czas czeka tylko na dzień, w którym odnajdzie ją Vikrama? No i co musiała czuć Victoria, kiedy się dowiedziała, że Vikrama zniknął? Czy to dlatego schowała w skrytce tę szkatułkę z pamiątkami - przewodnikiem, niebieskim kamieniem, fotografią i tym weselnym horoskopem?

Kiedy wyciągnęła potem rękę, by dotknąć nadgryzionego przez czas medalionu, zauważyła, że jest poluzowany.

- Masz może przy sobie nóż? - zapytała, nie bardzo wiedząc, czego właściwie szuka. Nie zamierzała go ze sobą zabierać, chyba że taka okazałaby się wola Grace.

- Proszę - Jonathan podał jej scyzoryk a ona wydobyła medalion za jego pomocą. Dlaczego właściwie nikt tego do tej pory nie zrobił? Czy to wojna skazała to miejsce na zapomnienie?

Zaledwie wzięła go do ręki, w miejscu, w którym tkwił tyle lat, odkryła zwitek papieru. Sięgnęła po niego i rozwinęła drżącymi placami. Pismo! To samo pismo, które widniało na liściu palmowym, który zdążyła jeszcze przed wyjazdem przekazać Michaelowi, informując go o pomyłce. Była tam też

niewielka notatka, kilka haseł

skreślonych subtelnym pismem, w którym rozpoznała rękę Grace.

- To chyba kopia tamtego liścia palmowego - powiedziała i podniosła się.

- Tego, o którym pisała w swoim zeszyku!

- A może chodzi po prostu o jej horoskop weselny - wtrącił Jonathan, ale Diana wiedziała swoje.

- Nie, jestem pewna, że to odpis tamtego liścia. Gdyby chodziło o jej horoskop, miałaby oryginał.

Diana na próżno usiłowała pozbiierać myśli wirujące teraz jej w głowie niczym tornado. Jej wzrok znów padł na medalion.

- Może w środku jest zdjęcie obojga - nawet jej samej ten pomysł

wydał się szalony, mimo to Jonathan z uśmiechem poddał się jej sugestii.

Kiedy podważył scyzorykiem wieczko medalionu,

ich oczom ukazał się portret pięknej kobiety o indyjskich rysach, zaskakująco przypominających twarz Vikramy.

- To musi być jego matka.

- Kochanka Richarda - dodała Diana. Czują, jak kręci się jej w głowie.

Ten medalion przedstawiający prawdopodobnie matkę Vikramy, a także odpis liścia palmowego, o którym Grace wspominała w swoich zapiskach stanowiły naprawdę ostatnie elementy rodzinnej układanki.

Zgromadziła już chyba wszystko, by zrekonstruować rodzinne dzieje.

Postanowiła zabrać oba nowe znaleziska, by zachować je dla następnych pokoleń, o ile się narodzą. Miała jednak taką nadzieję.

Rozwód z Philippem był w toku, jej związek z Jonathanem wydawał

się szczęśliwy i doskonały. Reszta była w rękach losu. Niezależnie od jakichkolwiek przepowiedni.

## **Ocean Indyjski, 1887**

Znalazłszy się na pełnym morzu, Grace sama już nie wiedziała, czy jej mdłości wywołane są ciążą, czy raczej chorobą morską, na którą cierpiało wielu pasażerów. Zima to nie najlepsza pora na morską podróż. Jeden sztorm przechodził w następny. Pogoda poprawi się dopiero, kiedy przepłyną Kanał Sueski, a stamtąd będzie już niedaleko do Anglii.

Ale Grace było wszystko jedno. Wszystko jedno, czy trzęsie się z zimna, czy poci z gorąca. Czy będzie żyć, czy umrze. Czasem ogarniała ją fala tęsknoty za wiecznym mrokiem. Zaraz potem, niczym promień słońca

przebijający się przez grubą warstwę chmur, pojawiała się myśl o dziecku i znów czuła, że chce żyć. Życie dla tego dziecka i dla nadziei, że jeszcze kiedyś zobaczy swojego ukochanego.

W takich momentach wyciągała karteczkę, którą dostała w Bibliotece Liści Palmowych.

Była tam *przecież* obietnica szczęśliwego zakończenia. Miała urodzić dziecko i zamieszkać nad morzem. Choć tak wiele oddzielało ją teraz od Vikramy, miała nadzieję, że wróżba mówi o Oceanie Indyjskim. O

tym, że któregoś dnia wróci na tę wyspę o kształcie skrzydła motyla i będzie już na zawsze cieszyć się jej pięknem. Zgodnie z przepowiednią miała umrzeć w sześćdziesiątym trzecim roku życia. To sporo czasu, by Vikrama zdążył ją odnaleźć.

- Zdaje się, że nadciąga kolejny sztorm - zaniepokoiła się panna Giles.

Pobyt na statku zmienił ją w kłębek nerwów. Większość podróży spędzała, siedząc w milczeniu w rogu kajuty i odzywając się do swojej podopiecznej tylko w ostateczności. Grace była jednak pewna, że to nie dlatego, że się na nią gniewa, lecz z powodu wyrzutów sumienia.

Na początku myślała ze złością, że guwernantkę spotkała właściwie sprawiedliwa kara. Bądź co bądź to ona grzebała w rzeczach Victorii i podsunęła ojcu jej tajne zapiski, zdradzając, że to Vikrama jest ojcem dziecka Grace. Kiedy wchodziły na pokład, miała ochotę zepchnąć ją z relingu wprost do morza.

Jednak czas spędzony na morzu kazał jej wszystko jeszcze raz przemyśleć. Dobrze przy tym widziała, jak przykro jest pannie Giles. A jedyną myślą, jaka zdawała się podtrzymywać ją na duchu, była nadzieja, że pan Tremayne pośle po nią z powrotem, bo będzie potrzebna do opieki nad panną Victorią. Nadzieja raczej płonna, bo teraz przyda się bardziej do opieki nad niemowlęciem. Niemowlęciem, które wywoła prawdziwy skandal. Niemowlęciem, które zostanie zapewne odebrane matce, żeby zachować pozory.

Próbowała więc zapomnieć o gniewie. A widząc, jak guwernantka rozpacza po rozstaniu z panem Norrisem, pocieszała ją nawet, że któregoś dnia nauczyciel na pewno do niej przybędzie i się z nią ożeni.

Sama pocieszała się zaś nadzieją powrotu na Cejlon, choć ta malowała wraz z każdą kolejną milą morską. Rósł za to strach

o ukochanego. Jeżeli Vikrama chciał przeżyć, powinien trzymać się z

dala od Vannattuppucci. Modliła się więc nieustannie, by jego mężne serce nie skłoniło go do popełnienia jakiegoś głupstwa, którego będzie potem żałował. I wciąż miała nadzieję, że los pozwoli im jednak na wspólne życie.

Kiedy rozpętał się sztorm, zwątpiła na moment w moc liścia. Może mylił się, przepowiadając jej jeszcze czterdzieści trzy lata życia. Skąd bramini mieliby wiedzieć, co spotka danego człowieka? Na skutek burzy morskiej, dużo straszliwszej od poprzednich, statek omal nie zatonął. Wybuchła panika. Kiedy wyszła na pokład, ujrzała nad sobą gigantyczną falę. Do jej uszu dobiegł krzyk, a potem spostrzegła, że panna Giles nagle gdzieś zniknęła. Zanim jednak zdążyła sprawdzić, co się z nią stało, czyjeś ręce pociągnęły ją na bok i znalazła się w szalupie ratunkowej.

Ktoś okrył ją kocem, zewsząd dobiegały jakieś głosy. Policzki smagały jej porywy mokrego i lodowatego wiatru. Nie zwracała jednak na to uwagi. Była całkowicie pochłonięta myślą o przepowiedni z kartki. Wiedziała już, że stanie się dokładnie tak, jak było tam zapisane.

- Wszystko w porządku, proszę pani? - zapytał młody oficer, pomagając jej wsiąść z szalupy. Grace kiwnęła głową, szcękając zębami i ruszyła za nim do przeznaczonej dla niej kabiny. Nie spostrzegła nawet, z jakim zachwytem patrzył na jej twarz i włosy. Ba, wyśmiałaby każdego, kto powiedziałby jej, że ów jasnowłosy oficer o niebieskich oczach zostanie kiedyś jej mężem.

Wszystko zmieniło się w trakcie podróży. Młody oficer bardzo się o nią troszczył, dbał o jej wygodę i osobiście przynosił dodatkowe posiłki, bo uważał, że to maleństwo pod jej sercem potrzebuje teraz szczególnej opieki. Nawet kiedy znaleźli się już na lądzie, a Grace zamieszkała w niewielkim pensjonacie w Hamburgu - do Tremayne House nie zaciągnięto by jej nawet wołami - odwiedzał ją regularnie, przynosząc prezenty i zabierając na spacer. Niektórzy, widząc stan Grace, kręcili głowami ze zdziwieniem, inni zaś sądzili, że ten mężczyzna, z którym spaceruje, jest

jej mężem. Swoim znajomym, rzucającym uwagi, że Johann nie przepuści żadnej pannie, groził w żartach pojedynkiem, ale Grace dobrze widziała, jaką dumą promieniały jego oczy, kiedy brano go za ojca dziecka.

Może sprawiła to jego troskliwość, a może świadomość, że potrzebuje człowieka, na którym mogłaby się oprzeć, zanim zjawi się jej prawdziwy książę, tak czy inaczej Grace postanowiła uchylić znów nieco drzwi do swojego serca. Z początku czuła do niego sympatię, potem nawet rodzaj



przywiązania. Do tego mężczyzny, który poślubił ją w małym kościółku w rodzinnych Prusach Wschodnich, kiedy była już w siódmym miesiącu ciąży.

Stała przed ołtarzem z gniewną satysfakcją i zgodziła się zostać jego żoną, czyniąc go najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem. A na sercu trzymała list od siostry napisany 15 lutego 1888 roku.

„Wybaczyłam ci, Victorio - pomyślała, wychodząc z kościoła przy wtórze okrzyków i wśród zachwyconych spojrzeń gości weselnych. -

Dobrze wiedzieć, że ktoś zatroszczy się o moje potomstwo”.

Owo potomstwo przyszło na świat w roku, który przeszedł do niemieckiej historii jako Rok Trzech Cesarzy. Grace dała swojej córce, która tak przypominała ojca, na imię Helena. Z początku, zgodnie z tamilskim zwyczajem, zamierzała postawić przed jej imieniem pierwszą literę imienia jej ojca, po namyśle jednak z tego zrezygnowała, wolała uniknąć niepotrzebnych pytań.

Wystarczyło, że Helena spoglądała na nią oczami Vikramy.